



Renata L. Górska

Błędne siostry

Przyjechałam tu, żeby odpocząć, a przyszło mi zmierzyć się z czymś, czego dotąd bałam się najbardziej. Co dziwne, dopiero poddając się temu, przed czym tyle lat uciekałam, stałam się silniejsza i pokonałam przeszłość.

Replika

Renata L. Górska

Błędne siostry

Wydawnictwo Prószyński i S-ka

Jej warkocze

*Pierwszy zaplatała niespiesznie
starą kołysanką wabiąc wspomnienia
rok po roku przeczesywane starannie
by je wyrównać wygładzić
pozbawić kołtuna
by stały się nienaganne
niczym biel wstążek
którymi
pragnęła związać koniec*

A drugi warkocz ścięła

Wstęp

Można na pozór iść, lecz dreptać tylko w miejscu, można jak skorpion ze strachu przed bólem zabić się własnym jadem. Jakkolwiek wydaje się to dziwne, czasem dopiero cofając się będziemy zdolni ruszyć do przodu. Być może odkryjemy nawet, że choć w cieniu prawdy kryją się lęki, przez jej światło na powrót wnika w nas nadzieja.

Pojawiając się po latach w ojczyźnie, byłam daleka od takich refleksji. To miał być dłuższy wypoczynek, na który zgodziłam się nie całkiem dobrowolnie. Przyświecał temu cel, który po czasie, wobec siły innych wydarzeń, okazał się drugorzędny. Nastawiłam się, że będę w znanym mi tylko z nazwy, karkonoskim uzdrowisku, a zamieszkałam na odludziu. W starym domu na górskiej polanie, odziedziczonym przez Reginę.

Moja jedyna rodaczka w firmie nakłaniała mnie:

– Przynajmniej go zobacz! Jeżeli uznasz, że to nie dla ciebie, znajdziesz sobie inną kwaterę, po sezonie nie ma problemu!

– No, nie wiem... W grę wchodziłoby nawet kilka miesięcy pobytu!

– To bez znaczenia, dom stoi pusty. I najpewniej aż do lata nikogo w nim nie będzie!

– Naprawdę mogłabym...? – Powoli przekonywałam się do jej pomysłu.

– Karola, nie krępuj się! Dla nas nawet lepiej, żeby ktoś tam pomieszkał i doglądał domu. Co prawda, stoi na uboczu, ale to uroczy zakątek! Oczywiście, możesz zabrać kogoś ze sobą...

– Tim odpada – weszłam jej w słowo. – Musi pracować, a zresztą nieraz dał mi do zrozumienia, że Polska go nie interesuje.

– To może jakaś koleżanka? – podsunęła.

Jej sugestia uświadomiła mi, że nie znam nikogo, z kim chciałabym tam pojechać. Konsekwencja życia, jakie prowadziłam od lat; nie brakowało znajomych, lecz nie było przyjaciół.

– Zastanowię się, daj mi, proszę, trochę czasu! – wykręciłam się, zarazem zapewniając Reginę, że doceniam jej propozycję.

W gruncie rzeczy, chyba już wtedy podjęłam decyzję – czułam nietypowy dla siebie dreszczyk podniecenia. Niemniej rozbudzone emocje potem jeszcze nieraz zmieniały koloryt. Podniecona wizją samotnej wyprawy przygasalam na myśl, że trzeba będzie powiedzieć o niej Timowi. Wyrozumiałość nie była jego silną stroną.

To spowodowało, że wyjechałam z wyrzutami sumienia oraz z naiwnym przeświadczeniem, że przemieszczam się tylko geograficznie. Tymczasem przyszło mi się zmierzyć z powrotem innego rodzaju, którego wcale nie pragnęłam. Przewrotny los rzucił mnie w miejsce nieodpowiednie ku temu, wręcz

niebezpieczne. Do domu na polanie. A jednak właśnie tam, ścierając się z duchami przeszłości – własnymi i obcymi – odzyskałam klarowność widzenia. Z wysoka widać więcej.

* * *

Panorama z okien domu na stoku rozciągała się po daleki horyzont. Przy idealnej pogodzie można było dostrzec zabudowania po drugiej stronie doliny. Natomiast pobliskie pagórki nierzadko zasnuwała mgła, pełznąca po łąkach, sponad których wybijały się wapniaki przy szlaku. Skałki te zwano Błędnyimi Siostrami.

Czasem biel otulała całą polanę, wnikała nawet między drzewa lasu. Mgła pojawiała się tu często i także z tego powodu miejsce budziło grozę. Okoliczni mieszkańcy uważali je za siedlisko niezwykłych zjawisk.

Zła sława przylgnęła do polany tak dawno, że nikt nie umiał powiedzieć, co i kiedy stało się tego powodem. W starych przekazach można było doszukać się wzmianek o widzianych tam zjawach, tajemniczych znakach na trawie lub śniegu, nietypowym zachowaniu zwierząt. Z lat, gdy obszar był dostępny jedynie dla wojska, przeniknęła informacja o wzmożonej radioaktywności terenu i anomaliach magnetycznych. Bywało, że turyści przybyli do schroniska pod szczytem narzekali na zawroty głowy, jakich doświadczały, idąc przez polanę. Inne skargi dotyczyły nagłej awarii sprzętu elektronicznego, zwłaszcza aparatów fotograficznych. Tutejsi ludzie, jeśli nie musieli, nie chodzili tamtędy. Stosownie do generacji określenia dotyczące polany oscylowały pomiędzy przekleństwem a negatywną energią, i na dowód przytaczano przypadki zdarzających się tutaj nieszczęść. Naturalnie, sceptycy na wszystko mieli wyjaśnienie i wyśmiewali pogłoski o miejscu, rzekomo obłożonym klątwą. Dziwnym jednak trafem, gdy na nowo znakowano okoliczne szlaki górskie, drodze przez polanę dostał się kolor czarny.

Tym bardziej zastanawiało, że ktoś się tutaj osiedlił. Stary dom przetrwał pomimo pożarów, zawieruch wojennych i zmieniających się właścicieli. Zbudowany na odludziu, jak przystało na samotnika, nieufnie wystawiał się na pokaz i skrywał swoje sekrety za obstawą drzew. Z lotu ptaka sprawiał wrażenie gniazda porzuconego na polanie. Turyści najczęściej nie mieli pojęcia o jego istnieniu. Przemierzali polanę zamaszystym łukiem, prawie nigdy nie zbacząc ze szlaku. Dom wybijał się ponad rosnące wokół świerki jedynie dachem, który mniej bystrym oczom zlewał się z ciemną ścianą lasu. Czasami tylko dym z komina zdradzał obecność życia w tym miejscu, a po zmroku, światła w oknach.

Opowiadano o domu osobliwe historie, czasem ubarwione lub nawet całkiem zmyślane, przy czym zawsze z jednoznaczną puentą: lepiej trzymać się od niego z dala. Potwierdzonym faktem była tragiczna śmierć ostatnich nabywców domu, jak też ich poprzednika. Ci pierwsi zginęli, co prawda, w kraksie samochodowej, lecz

upierano się, że ciąży nad tym jakieś fatum. Wcześniejszy właściciel tylko krótko nacieszył się domem, gdyż podczas naprawy dachu spadł tak pechowo, że skręcił kark. Wypadki zdarzyły się także innym bywalcom domu. Zaczynali w nim chorować, łamali kończyny bądź czuli nieuzasadniony niepokój.

Kto wie, czy nie było to wynikiem wpływu polany, ponieważ i na niej dochodziło do dziwnych przypadków: na przykład zdarzyło się kiedyś, że myśliwi nieumyślnie kogoś postrzelili, byli też jacyś zamarznięci turyści. Ludzie błądzili tam często we mgle i śnieżycy, gdy nie wiedzieć czemu schodzili z szerokiego traktu. Nawet leśniczy, znający polanę doskonale, kiedyś kompletnie stracił tam orientację i zasłabł.

Dom zbudowano pod koniec XIX wieku. Dwukrotnie się palił. Pierwszy pożar nie wyrządził dużych szkód. W połowie lat trzydziestych dom palił się po raz drugi i wówczas spłonął prawie doszczętnie. Ruiną zajęto się dopiero po drugiej wojnie światowej, odbudowując budynek dla stacjonującego w tej strefie wojska. U progu lat sześćdziesiątych teren udostępniono cywilom i dom przeszedł pod pieczę władz lokalnych. Nie znajdując zastosowania dla ustronnej posiadłości z trudnym dojazdem, zapominano o niej i stopniowo podupadała. Wreszcie wystawiono ją na sprzedaż.

Właściciele zmieniali się co kilka lat, każdy przybywał z pomysłami, po czym szybko je zarzucał. Dopiero ostatni nabywcy doprowadzili dom do porządku, a nawet go rozbudowali. Starsi państwo Witomscy, rodzice mojej znajomej, chcieli osiąść w nim na stałe, do tego jednak nie doszło. Ich spadkobiercy bywali w nim rzadko, toteż dom przeważnie był niezamieszkały. Niekiedy wabił amatorów cudzego mienia, lecz odkąd jeden z nich poważnie tam się zranił, o mało się nie wykrwawiając, już nawet i oni omijali polanę.

Kto i dlaczego postawił tutaj dom pozostało tajemnicą. W owych latach były to tereny niemieckie, co uwidaczniało się w architekturze powstałych wtedy budowli. Domostwo nie miało jednolitego stylu. Tak z zewnątrz, jak i w środku znalazłoby się ślady wielokrotnych przeróbek z użyciem takich materiałów, jakie akurat były dostępne. Stało na solidnej, kamiennej podbudówce, najstarszej i jedynej nienaruszonej części, obejmującej najniższy poziom. Do budowy wyższego piętra użyto belek z ciemnego drewna, przy czym konstrukcja balkonu musiała powstać w innym okresie, gdyż była z drewna zabezpieczonego na ciepły brąz. Najnowszy wydawał się dach z dobudowanym pod nim drugim piętrzem. Budynek na zboczu, od strony polany miał trzy poziomy, natomiast gdy patrzyło się na niego z przeciwnej strony, mogło się zdawać, iż kondygnacje są tylko dwie.

Za ogrodem przy domu rosły drzewa, przeważnie choiny, tworząc mały zagajnik. Posiadłość otaczało ogrodzenie ze starej, metalowej siatki, lecz od frontu dostawiono nowy, drewniany płot z furtką. Dochodziła do niej wąska droga z wyróżniającymi się pasami bitej ziemi na szerokość kół samochodu, używana

chyba nieczęsto, gdyż pośrodku porastały ją trawa i chwasty. Zaniedbany ogród i obejście wskazywało, iż od dawna nikt tutaj nie przebywał. Dowodziła tego także poluzowana okiennica w oknie na piętrze, która przy wietrze uderzała o ścianę.

* * *

Moje pierwsze zetknięcie się z domem nastąpiło jesiennym zmierzchem. Niczym statek widmo wolno wynurzał się z mgieł, jednak mnie nie przeraził. Być może zmęczenie sprawiło, że zobojętniałam na nowe wrażenia. Prawdziwie zapoznałam się z nim dopiero nazajutrz. Zaskoczyła mnie jego wielkość, w pozytywnym sensie też wnętrza, inaczej niż położenie. Do uzdrowiska był stąd szmat drogi i najbliższa, nieduża wioska leżała za pasmem buczyny. Dla zdeklarowanego mieszcza, za jakiego się miałam, to istna pustelnia! Nie mając natury ryzykanta, nie pisałam się na przygody czy inne ekscytujące podniety. Dlaczego więc pozostałam?

Dom na górskiej polanie zrodził we mnie nieuzasadnione przecucie, że czekał na mnie i musiałam tutaj się znaleźć. Od pierwszej chwili intrygował mnie bez mała jak żywa istota, dla jednych nieprzystępna, dla innych otwarta. Ponadto posiadał cechy, których brakowało w moim życiu. Miał stabilność. Mocny fundament. Odporność na działanie żywiołów i przeciwności. Charakter wzbudzający respekt. Niezachwiany spokój. Później odkryłam także pewne wspólności: Nie przerażała go samotność. Jego przeszłość była niejasna, a przyszłość – niepewna. Zmienił go ogień. I jeszcze jedna rzecz, całkiem irracjonalna, odczuwana intuicyjnie: jak ja, pragnął być kochany.

Oswajaliśmy się ze sobą powoli, nie od razu sobie ufając. Dom nie miał powodu, by objawiać mi wiele z siebie; ot, kolejny gość, jeden z wielu w jego wiekowych dziejach. Obserwował mnie, może też testował moją gotowość na nowy sposób postrzegania rzeczy. A ja okazałam się mało pojętną uczennicą. Skupiałam się tylko na sobie, dodatkową przeszkodą było moje nastawienie. Ktoś, kto jak ja, na całe lata zamknął się w sobie, dobrowolnie skazał się na alienację, ale też na swoistą ślepotę. Jeżeli czegoś nie dotknęłam, tego nie było.

Tymczasem dom żył, miał serce, być może i swojego ducha. Egzystowaliśmy obok siebie, niekiedy wzajemnie się przenikając, choć długo nie docierało to do mnie. Ryzykowałam, nie byłabym pierwszą, którą ten dom ukarał za arogancję. Chroniła mnie nieświadomość, dzięki czemu czułam się w nim swobodnie i nie lękałam się tego miejsca. Czymś jednak musiałam go ująć, że zezwolił mi w siebie wrosnąć. Dopiero po czasie pojęłam, ile temu domowi zawdzięczam. Otoczył mnie niczym kokon i pomógł dojrzeć do życiowych wyborów.

Przyjechałam tu, żeby odpocząć, a przyszło mi zmierzyć się z czymś, czego dotąd bałam się najbardziej. Co dziwne, dopiero poddając się temu, przed czym

tyle lat uciekałam, stałam się silniejsza i pokonałam przeszłość. Czy doszłoby do tego w jakimś innym punkcie świata? Być może, lecz właśnie tutaj w cienkie warkocze minionego wplotły się wreszcie nowe, mocne pasemka. To dzięki nim ani przedwcześnie nie ścięłam swoich wspomnień, ani nie rozczesywałam ich w nieskończoność. Czas splatał dobro ze złem, zwycięstwo z porażką, a szczęście z bólem. Dom na polanie pomógł mi zrozumieć, że dopiero przyjmując wszystko, poznam życie prawdziwie.

Dom na polanie

Nieduża wioska łagodnie wznosiła się ku góróm. Wysiadłam z taksówki i wciągnęłam w płuca chłodne powietrze, przesycone wonią choin. Jestem w Polsce! Dopiero teraz naprawdę to sobie uzmysłowiłam. Nie towarzyszyły temu żadne szczególne uczucia.

Odgłos samochodu wywabił z domu dwoje starszych ludzi. Miałam nadzieję odebrać od nich klucze i natychmiast ruszyć dalej. Niestety, Garbarkowie oznajmili, że dom, o który mi chodzi, znajduje się w górze, za lasem, i samochodem osobowym wjechać tam się nie da. Wskazali na asfalt kończący się za ich gospodarstwem, wyżej był już tylko ubity gościniec.

– Chwileczkę, niech mnie pan tu nie zostawia! – zaprotestowałam, gdy taksówkarz wyjął z bagażnika moją torbę.

Minę musiałam mieć nietęgą, ponieważ Garbarkowa zaczęła mnie uspokajać:

– Niech się panusia nie martwi, dojdzie tam piechotą!

– Sama? Z bagażami!? Nie znam drogi!

– Przecie mój poprowadzi! – Zaśmiała się, kiwając głową. – Pani Reginka pisała, że panusia przyjedzie, ale my nie wiedzieli, kiedy...

– To jak w końcu będzie? – Kierowca zgasił butem niedopałek papierosa.

– No, nie wiem... myślałam, że to będzie bliżej uzdrowiska. Daleko stąd ten dom? – zwróciłam się do gospodyni.

– E, tam, daleko! – zachnęła się. – Raz-dwa z moim zajdziecie!

Wciąż byłam niezdecydowana. Zniecierpliwiony taksówkarz wzniósł wzrok ku niebu, ale pani Garbarkowa uśmiechała się do mnie ze spokojem w oczach i nad wyraz życzliwie. Jej jowialność wzbudzała we mnie zaufanie i przekonywała bardziej niż słowa. Postanowiłam pozostać, również dlatego, że czułam się nieludzko zmęczona; poprzedzająca podróż bezsenna noc dawała mi się we znaki. Uregulowałam należność za przejazd i taryfa odjechała.

Niemłodzi Garbarkowie mieli wygląd ludzi przywykłych do ciężkiej pracy, a na twarzach zacność. Ona – korpulentna, przy tym bardzo ruchliwa, on, choć chudy, zdawał się flegmatyczny. Wkrótce zorientowałam się, że w gospodarstwie rządzi Garbarkowa. Wprowadziła mnie do kuchni i bez pytania postawiła przede mną talerz zupy, jakby głód gościa był dla niej czymś oczywistym. Moje opory nie zdały się na nic, nie dała mi dojść do słowa. Wreszcie uznała chyba, że dostatecznie odpoczęłam, gdyż zwróciła się do męża:

– A wstańże i zaprowadź już paniusią na polanę!

– Na polanę? – powtórzyłam płochliwie.

– Ano tak się mówi, bo trza minąć buczynę! – wyjaśniła skwapliwie gospodyni, dodając: – Nie jest daleko, da panusia radę! Starsi państwo codziennie

schodzili do wioski i nazad! – Zamyśliła się na moment, chyba na ich wspomnienie, gdyż kontynuowała po ciężkim westchnieniu: – Oj, narobili się przy tym domu, narobili. Tak mi ich żal! Domu także szkoda... Całe lato stał pusty!

W oczach Garbarkowej pojawiło się wzruszenie, które prędko przykryła szorstkim tonem:

– Idźcie już, bo potem całkiem się zaćmi! A torbę niech paniusia zostawi u nas. Jutro pošlę ją przez chłopaka.

Cokolwiek miało to znaczyć, zgodziłam się, nie mając innego pomysłu. Szybko przepakowałam kilka niezbędnych drobiazgów do podręcznego plecaka, a przewidująca kobieta wcisnęła mi też coś na kolację. Nie zabrałam prowiantu, ale też nie przypuszczałam, że wyląduję gdzieś na końcu świata. Podziękowałam Garbarkowej, po czym ruszyliśmy z jej mężem w drogę.

Najpierw trzeba było podejść w górę pod linię lasu, co dla mnie, mieszcucha, stanowiło już wyczyn. Kamieniste podłoże było nierówne, miejscami wystawały korzenie, więc należało uważnie patrzeć pod nogi. Szliśmy nieszybko, równomiernie, krok za krokiem, lecz gdy w którymś momencie obróciłam się za siebie, wioska leżała za mną jak na dłoni.

Między drzewami powitał nas półmrok. Garberek uspokoił mnie, że choć las rozciąga się wysoko w góry, tutaj jest tylko jego wąskie pasmo. Rzeczywiście, już za pierwszym zakrętem drzewa się przerzedziły i wyszliśmy na otwartą, a tym samym jaśniejszą przestrzeń.

– To już polana? – spytałam.

Przytaknęłam. Nie mogłam ocenić jej wielkości, gdyż łąki tonęły we mgle. Tworzyła nieprzebitą ścianę, a trakt, którym szliśmy, stopniowo nikał. Skręciliśmy w lewo i znaleźliśmy się na wąskiej drodze, w tych warunkach łatwej do przeoczenia. Pięła się stromo, a ja nie miałam odpowiedniego obuwia, więc raz po raz się poślizgiwałam. Dostałam zadyszki i chciałam przystanąć, lecz mój przewodnik upierał się, że jesteśmy blisko celu. Prawie już w to zwątpiłam, kiedy z mlecznej bieli przed nami zaczęło się coś wylaniać.

Najpierw była to tylko ciemna, nieprzychylna bryła, przysłonięta drzewami. W miarę zbliżania się do niej ujawniało się więcej detali: kamienna podmurówka, powyżej ściany z belek, spadzisty dach. Zdumiały mnie gabaryty domu, nie spodziewałam się, że będzie taki duży! Wejście znajdowało się od innej strony, więc trzeba było podejść wyżej. Skręciliśmy w prawo i znaleźliśmy się na zarośniętej zielskiej drodze. Nareszcie biegła jak trzeba, poziomo.

– Jakies pojazdy jednak tu dojeżdżają...

Wskazałam na dwa pasy jakby pod rozstaw kół.

– Gazik wjedzie – objaśnił Garberek, po czym dodał, że szliśmy na skróty, autem terenowym jedzie się okrężnie: – Trza traktem wyżej i wpiery pod lasem skręcić do domu.

Furtka niezamknięta na klucz zaskrzypiała przy uchyleniu. Ta część posesji była niewielka. Sam dom, teraz pomniejszony do dwóch kondygnacji, wyglądał lepiej niż od drugiej strony.

Mój towarzysz sprawnie uporał się z zamkiem w masywnych drzwiach wejściowych i pierwszy przekroczył próg.

– Niech tu zostanie, pozapalam światła!

Gdy po chwili weszłam do środka, uderzył mnie zapach domu, charakterystyczny dla wnętrza z przewagą drewna. Znalazłam się w czymś w rodzaju holu, z częścią na schody prowadzące w dół i w górę. Wyposażenie wnętrza nie było surowe, w głębi dostrzegłam fotele, kanapę, miękkie chodniki. Poczucie komfortu zakłócał tylko panujący tu chłód.

Garberek powiedział, że wszystko jest w porządku, jedynie na ciepłą wodę muszę poczekać, gdyż dopiero co włączył bojler.

– A gdzie mam spać? – Liczyłam, że oprowadzi mnie po domu.

– U góry są izby z łózkami. Wybierze sobie jakąś!

Uznał widocznie, że na tym skończyło się jego zadanie, wręczył mi pęk kluczy i ruszył do wyjścia. Przemykając za nim drzwi, dostrzegłam, że na dworze już zmierzchało. Mgła chyba nawet zgęstniała, bowiem mężczyzna zniknął mi z oczu tuż za furtką.

Zostałam sama. Prawdę mówiąc, mimo wczesnej jeszcze pory, marzyłam tylko o łóżku. Schody prowadzące na piętro zakręcały w połowie swojej wysokości i miejscami skrzypiały. Na górze znalazłam się w prostokątnym przedpokoju z trojgiem drzwi. W jednych była szybka i za nimi odkryłam łazienkę, pozostałymi pomieszczeniami okazały się dwa, niemal identyczne pokoje. Wybrałam ten oddalony od schodów, naprzeciw łazienki.

Wystrojem przypominał hotelowy standard. Schludny i bezosobowy, jakby przeznaczony dla często zmieniających się gości. Usiadłam na fotelu, nie byłam w stanie ani zebrać myśli, ani wykrzesać z siebie sił na jakieś działania. Wciąż nie dochodziło do mnie, że dotarłam do celu. Czułam się nieswojo, jak gdyby podglądana ukrytą kamerą i przytłaczała mnie cisza. W swoim mieszkaniu włączyłabym muzykę, tutaj jednak nie dostrzegłam żadnego odbiornika. Pokój zdobiły jedynie wzorzyste zasłony i jakaś reprodukcja na ścianie. Nic więc dziwnego, że mój wzrok coraz bardziej przyciągało porządnie zaścielone łóżko.

Wypakowałam plecak, posiliłam się kanapkami, popijając resztkami wody, którą wzięłam na podróż. Z kosmetyczką w ręce udałam się do łazienki, lecz nie poświęciłam dużo czasu na higienę. Woda była lodowata, a ja niechętna hartowaniu ciała.

Jak na złość, nie mogłam zasnąć. Co najmniej godzinę przewracałam się z boku na bok; a to poduszka była źle ułożona, a to zmarzły mi stopy. Podniosłam się z łóżka i przyniosłam sobie koc z sąsiedniego pokoju. Miałam nadzieję, że teraz już

zasnę, niestety, gdy wyłączyłam lampkę, senność odeszła. Dopadły mnie natomiast czarne myśli, mogące konkurować z mrokiem w pokoju.

Uznałam, że przyjazd tutaj to poroniony pomysł. Sama w zimnych ścianach obcego pokoju, mgła za oknami, zatrważające odludzie. Idealna sceneria na dreszczowiec!

Nie życzyłam sobie tłumów, ale też nie pisałam się na pustelnicę!

Przywykła do tętna metropolii, niemilknącej nawet nocą, poczułam się wyrwana ze swojego środowiska. W tym zaś niepewna, odizolowana i smutna. Wreszcie jednak organizm upomniał się o swoje.

Nie zapamiętałam, co mi się śniło. Pierwsza noc w nowym miejscu nie pozostawiła po sobie żadnego śladu, łagodnie przywracając mnie jawie. Jakże inaczej niż przez codzienny gwałt zadawany mi alarmem budzika, niemniej jednak z podobnym rezultatem: totalna amnezja, pełna utrata danych, reinkarnacja w inny byt.

Kiedy mój duch zechciał wreszcie połączyć się z ciałem, uzmysłowiłam sobie, gdzie jestem. Skłamałabym mówiąc, że mnie to zachwyciło. Pozostać czy przenieść się gdzie indziej? Sen nie dostarczył mi żadnych pomocnych wskazówek, a serce nie zadygotało echem przeczucia. Podobno nieświadomość losu jest łaską; kiedyś zgadzałam się z tym poglądem, teraz zmieniałam zdanie.

Jakaś dziwnie znajoma woń unosiła się całkiem blisko, z mojej pościeli. Uświadomiłam sobie, że tak pachniały rzeczy wysuszone letnim wiatrem; odżyły związane z tym obrazy. Ogród, łopoczące pranie zdejmowane ze sznurów do dużego kosza z wikliny. Spokojne i dobre oczy babci Naty, uczącej mnie, by poszewki składać równo jak ona. Wspomnienie kochanej osoby przydało mi odwagi. Przetarłam oczy i zbratałam się z jasnością dnia.

Znalazłam się w zupełnie innym pomieszczeniu niż to, które zapamiętałam z minionego wieczoru. Po ścianach pokoju ślizgały się zalotne promienie słoneczne i od razu zrobiło się radośniej. Wzrok przyciągał ukośny sufit z drewnianych belek, z podobnych został zbity solidny regał zmyślnie przedzielający pokój. Po sypialnej stronie wbudowano w ścianę szafę sosnową, a obok łóżka stała nocna szafka. Dojrzałam na niej swój telefon komórkowy i machinalnie sprawdziłam godzinę. Dziesiąta z minutami; nie sądziłam, że już tak późno! Nie miałam natury skowronka, lecz rutyna wczesnego wstawania zazwyczaj robiła swoje. Mojej uwadze nie uszło, że z ekranu telefonu zniknęła belka zasięgu. Trochę mnie to zmartwiło, miałam jednak nadzieję, iż to tylko chwilowe.

Podniosłam się z łóżka i bosy podeszłam do okna. Kiedy je uchylałam, powiało chłodem, więc z powrotem wskoczyłam do ciepłej pościeli. Z zewnątrz docierał regularny skowyt pracujących gdzieś pił, potem rozszczeakał się pies. Może wczorajsza mgła skrywała bliskie sąsiedztwo innych domów?

Podeszłam do okna, przezornie otulona pledem. Choiny przed domem

zasłaniały widok, dopiero wychyliwszy się, dostrzegłam łąki; ciągnęły się ku ciemnej linii lasu w dole. Dalsza panorama ginęła w mlecznych oparach nad doliną. Tam gdzie musiało kryć się uzdrowisko.

Włożyłam ubranie i przemyłam twarz zimną wodą, gdy rozległ się natarczywy dzwonek u wejścia. Zbiegając na dół, związywałam włosy frotką, na porządne uczesanie zabrakło czasu. Zerknęłam przez judasza – za drzwiami stał jakiś chudy wyrostek.

– Kto tam? – zapytałam.

– Garbarkowa mnie przysłała! – padła szybka odpowiedź.

Uspokojona, otworzyłam. Chłopak nawet stojąc, kołysał się na boki, luzacko bądź nerwowo. Wyglądał na jakieś osiemnaście lat.

– Dzień dobry! – Uśmiechnął się, ujawniając ubytki w uzębieniu, ale też pokojowe zamiary. – Gospodyni kazała wam to dać.

Postawił moją torbę na progu i wręczył mi dużą reklamówkę. Od razu do niej zajrzałam.

– O, chlebek! – ucieszyłam się. – I tyle innych rzeczy. Dziękuję! Ile się należy?

– Rozliczycie się z Garbarkową. To ja już pójdę, jedziemy na wyręb za schroniskiem. Z leśniczym... – Wskazał głową gazik na drodze za furtką.

– Zaczekaj, dostaniesz coś za fatygę...

Nie wiedziałam, ile powinnam dać, ale gdy chwilę później wręczyłam mu banknot, wydawał się zadowolony.

– Jeśli znowu będziecie czegoś potrzebować, to tylko powiedzcie!

Rzucił mi szczerbaty uśmiech i odszedł, nim zdołałam go o cokolwiek wpytać, chociażby, w jaki sposób miałabym się z nim kontaktować? Codziennie przejeżdżał tędy z leśniczym? Ciekawiło mnie również, gdzie znajduje się najbliższy sklep i schronisko, o którym mówił? No cóż, nie pozostawało mi nic innego, jak samej to sprawdzić.

Najpierw zamierzałam przetestować drogę do wioski, tym razem w jasności dnia oraz w lepszej kondycji. Poprawił mi ją prysznic, przez noc woda w bojlerze dobrze się nagrzała. Do pełni szczęścia brakowało już tylko kawy. W kuchni stał ekspres, lecz znalazłam jedynie resztki neski, nie było cukru ani śmietanki. Zaparzyłam wodę w czajniku elektrycznym. Kawa smakowała dziwnie, w przeciwieństwie do produktów przysłanych przez Garbarkową, smacznych i świeżych. Jeżeli miałam pozostać tu na dłużej, należało zrobić większe zakupy. Tymczasem, nasycona śniadaniem, zapoznawałam się z domem.

Głównym poziomem był ten, na którym właśnie przebywałam. Stąd wychodziło się na zewnątrz, a schodami w dół i w górę. Podzielony został na coś w rodzaju salonu i mniejszą część z otwartą kuchnią oraz holem, ze ścianami wyłożonymi boazerią. Podłoga była z desek, jedynie przy drzwiach, a także w

kuchni pokrywały ją brązowe kafle. Duże okna panoramiczne na południowej ścianie, na noc przysłonięte okiennicami, upodabniały pomieszczenie do apartamentu przyzwoitego hotelu. Dostarczały nie tylko dużo światła, powiększały też całość optycznie; za nimi był podłużny balkon. Przy ładnej pogodzie musiał roztaczać się stąd wspaniały widok na dolinę. Nie dzisiaj. Słońce skryło się za chmury i przeniknęło mnie zimno, toteż zlustrowałam otoczenie pobieżnie. Na dużej, lekko spadzistej polanie, gdzie stał dom, słała się zmienna w barwie łąka, przecięta jaśniejszą linią traktu. Mniej więcej w połowie drogi mijał on piaskowe skałki, zgubione tam jakby przez górskiego golema, po czym wiódł łukiem w górę. Polanę otaczały lasy. Istne odludzie, powtórzyłam w myślach. O zmierzchu wszystko wyglądało tu inaczej, natomiast teraz zakątek ujawnił całą swoją urodę. Prawdę powiedziawszy, o czymś takim marzyłam, ale wciąż nie wykluczałam przeprowadzki do uzdrowiska.

W mojej naturze leżało, by zawsze zachować sobie drogę odwrotu. Tim zarzucił mi kiedyś, że jestem jak dzikuska, ucywilizowana tylko pozornie, a w duchu tęskniąca za dżunglą. Wściekłam się wtedy, świadoma faktu, że nie miałam dokąd wracać. Co dla niego powrotem, dla mnie było tylko zmianą kierunku. W jednej rzeczy miał jednak rację. Nigdy w stu procentach nie polegałam na innych i nawet w optymalnym położeniu zakładałam jego nietrwałość. Jako dobrowolna banitka musiałam wpoić sobie reguły, których opanowanie dawało mi choć namiastkę bezpieczeństwa. Jedną z nich był brak ufności do ludzi i niemal bezwiedne planowanie wyjść awaryjnych.

Do domu tuliły się drzewa: wyrosłe sosny i niższe świerki oraz jakieś inne, których nazw nie znałam. Z najbliższego spadło kilka szyszek, wyżej buszowała wiewiórka. Ptaki, których świergot słyszałam od rana, również nie krępowały się moją osobą. Jeden przysiadł całkiem blisko, na drewnianej balustradzie. Spłoszył się, gdy szyszka uderzyła o ziemię. Z wiatrem niósł się mocniejszy zapach wilgoci. Przemarznięta wróciłam do kuchni.

Postawiłam wodę na herbatę i przez okno popatrzyłam na ogród. Był niewielki, porośły niewysoką trawą, więc nie wymagał szczególnej pielęgnacji. Zadbanie o czystość w domu nie stanowiło dla mnie problemu, a choć Regina nie powiedziała tego wprost, oczekiwała chyba, że zatroszczę się o całą posesję.

Z kubkiem herbaty usiadłam przy ladzie oddzielającej kuchnię od pokoju. W części salonowej dominował stary kamienny kominek. Obok w podniszczonym koszu leżały szczapy drewniak, na metalowym haku wisały przyrządy służące do „obsługi” kominka. Nieoczekiwanie poczułam, że tutaj bije serce tego domu, nie tylko go ogrzewa, ale też jakby dodaje domownikom energii.

Pomiędzy oknem a ladą kuchni wstawiono komplet typowy dla górskich domów: stół-ława i dookoła krzesła, których oparcia zdobiły wypalone w drewnie wzory. Na lewo od kominka stały regały kolorystycznie dobrane do reszty,

zapełnione różnościami, książkami oraz sprzętem audiowizualnym. Duże pudło telewizora na razie mnie nie interesowało, jednakże chętnie posłuchałabym radia. Niestety, żadnego odbiornika nie udało mi się włączyć. Przytulności dodawały przeróżne drobiazgi, znamienne dla kobiecej ręki. Na środku pokoju, wokół mniejszego stolika ustawione były fotele i rogowa, irchowa kanapa. Pomysłowo i wygodnie, oceniłam z uznaniem.

Czułam się tutaj jeszcze obco, lecz z wiarą, że nie spotka mnie w tym domu nic złego. Spróbowałam sobie wyobrazić, że jestem tu z Timem, lecz natychmiast odrzuciłam te sceny. Zdaniem lekarza, potrzeba mi było tego, czego od dawna nie zaznawałam – samotności i spokoju. W pracy, w domu, a nawet na urloпах zawsze ktoś mi towarzyszył, zresztą, niekoniecznie wbrew mojej woli.

Ciekawiło mnie również najniższe piętro. Strome schody prowadziły do niedużego holu wyłożonego kamienną posadzką. Znajdowało się tu kilkoro drzwi, jedne masywniejsze od innych. Leżała przed nimi wycieraczka, domyśliłam się więc, że prowadzą na zewnątrz. Tylko te były zamknięte. Kiedy otworzyłam następne, odkryłam schody do piwnicy, za kolejnymi niedużą łazienkę. Ucieszył mnie w niej widok pralki automatycznej.

Po przekroczeniu progu ostatnich drzwi zobaczyłam oddzielne mieszkanie urządzone dość pretensjonalnie, jakby przez osobę ze starszej generacji. W części kuchennej stał piec na węgiel, jaki pamiętałam jeszcze z domu mojej babci Naty. Dziwne, piętro wyżej była kuchienka elektryczna. Wycofałam się do holu.

Będąc na parterze domu, nie umiałam pozbyć się wrażenia, że jestem niżej. Grube, kamienne mury, pozostawione tutaj w naturalnym stanie, a które w innym otoczeniu najpewniej zyskałyby mój podziw, przywodziły na myśl lochy. Pomimo zamkniętych drzwi czułam dochodzący nie wiadomo skąd ciąg chłodnego powietrza. Czym prędzej wróciłam na górę.

Najwyższe piętro domu, o tej samej powierzchni co niższy poziom, z powodu ukośnych ścian wydawało się mniejsze. Na swoją sypialnię wybrałam pokój ocieplany południową stromizną dachu. Latem było tu może za gorąco, jednak nadchodziła już jesień. Odpowiadało mi funkcjonalne wyposażenie pokoju, nie miałam innych oczekiwań. Oprócz komody z kompletami czystej pościeli i ręcznikami, wnętrza innych mebli były puste. Podłogę przykrywał wzorzysty dywan w tonacji zbliżonej do koloru zasłon. Pokój naprzeciw schodów był odrobinę większy, lecz pozostałam przy swoim wyborze. Widok z okna na dolinę wydał mi się bardziej atrakcyjny niż na ścianę lasu powyżej polany.

Po zwiedzeniu domu Reginy zdecydowałam, że na razie w nim pozostanę. Miałam nadzieję, że spędzę tutaj czas spokojnie, a niechby i nudno. Niczego więcej nie pragnęłam.

Mój kontakt z Reginą przez kilka lat ograniczał się do przypadkowych spotkań na korytarzach biurowca i grzecznościowej wymiany frazesów. To, że

obydwie byłyśmy Polkami, nie gwarantowało jeszcze zawarcia przyjaźni. W gruncie rzeczy niewiele wiedziałyśmy o sobie i też żadna nie siliła się na zwierzenia. Rok temu nasza firma zaczęła sponsorować jeden z teatrów, co otwarło nam możliwość nabycia tańszych wejściówek. Dzięki temu po raz pierwszy natknęłam się na Reginę poza miejscem pracy. Na spektakl obydwie przyszłyśmy w pojedynkę, z tego samego powodu – zawiedli nasi partnerzy, niechętni sztuce tego rodzaju. Odtąd do teatru chodziliśmy już razem, a do rytuału należało przedłużenie wieczoru przy winie. Powierzchnowa relacja stopniowo nabierała głębi, chociaż rzadko wypuszczaliśmy się na prywatne wody.

Tamtego dnia stało się inaczej. Zaliczyłyśmy wówczas, moim zdaniem, nieudaną adaptację „Mewy” Czechowa. W tym kraju nie wyczuwało się słowiańskiej duszy, więc po spektaklu nie szczędziłam krytyki. Regina próbowała brać reżysera w obronę, wreszcie przyznała, że udziwniona gra zabiła klimat pierwowzoru. Potem, w pobliskim barze, analizując przekaz sztuki, niezauważalnie przeszłyśmy do własnego życia. Bezwiednie stałam się tego inicjatorką, gdyż czułam potrzebę, żeby z kimś porozmawiać. Po ostatniej wizycie u mojego lekarza jego słowa tkwiły we mnie jak cierń. Dlaczego zwróciłam się z tym do Reginy? Czyżbym spodziewała się, że podobnie do mnie, wykpi jego pomysł?

Ona nie obnosiła się ze swoją polskością, a wszelkie sentymenty związane z ojczyzną były jej obce. Należała do tych emigrantów, których do wyjazdu za granicę nie zmusiła trudna sytuacja. Tym bardziej zdziwiłam się, gdy wysłuchawszy mnie, powiedziała:

– Twój lekarz może mieć rację. Powinnaś tam pojechać. Zwłaszcza, jeżeli alternatywą jest pobyt w szpitalu...

– Tak, najpierw obserwacja, potem chyba terapia. O ile nie coś gorszego. – Westchnęłam, przypominając sobie słowa doktora.

– Karola, nie możesz w nieskończoność brać zwolnień lekarskich! Jestem daleka od powtarzania plotek, ale cierpliwość kadrowca chyba się kończy.

– Myślisz, że o tym nie wiem? Dziewczyny w moim dziale też narzekają, że dokładnie im się moją robotę...

– Pogadaj ze swoim szefem. Dla firmy to nawet lepiej, jeśli weźmiesz bezpłatny urlop. Tylko... – Zawahała się. – Pół roku to niemało. Masz oszczędności?

– Chyba dam radę. Kłopot jedynie w tym, że nie wiem, dokąd miałabym pojechać?

– Lekarz mówił o Polsce?

– Owszem. Zalecał odpoczynek w ojczyźnie. Ubzdurał sobie jakąś teorię o retrospekcji. No wiesz, że niby trzeba się cofnąć, aby nabrać rozbiegu. Odnoszę wrażenie, że facet jest bezradny. Chce ode mnie odpocząć!

– Nie sądzę. Wiele dolegliwości ma podłoże psychosomatyczne. A u ciebie,

jak rozumiem, do tej pory nie wykryto żadnych organicznych przyczyn. W każdym razie, nie masz nic do stracenia. Wypoczniesz, co już samo w sobie jest niemałą korzyścią. Nie zastanawiaj się, pakuj manatki i w drogę!

– Nie tak szybko! – Roześmiałam się. – Najpierw muszę dostać urlop. Potem przekonać Tima o zasadności wyjazdu, a to na pewno nie będzie proste. No i trzeba znaleźć dobrą kwaterę...

– Nie przesadzaj! W Internecie roi się od ofert!

– Niby tak, ale do żadnej nie mogę się przekonać. Te, które mi się podobają, są za drogie, a jeśli cena jest przystępna, to znowu coś nie pasuje w opisie. Prawdę mówiąc, nawet nie wiem, w jakim rejonie szukać. Chciałabym, żeby było ładnie i cicho. Najlepiej jakiś mały pensjonat.

– Dlaczego nie pojedziesz do siebie? Do twojego miasta, do domu...

– Nie mam tam już domu.

– A co z rodziną?

– Jest tylko siostra, ale do niej nie chcę – odparłam wymijająco.

Zaprzestała dopytywania, popatrzyła tylko na mnie uważniej. Niepisane reguły naszego kontaktu zawierały prawo do uszanowania swoich granic. Każda mówiła o sobie wyłącznie tyle, ile uważała za stosowne. Niedopowiedziane zdania przyjmowałyśmy tak samo normalnie, jak brak odpowiedzi na konkretne pytania. Wytworzył się dość dziwny układ. Brakowało przyjacielskich zwierzeń, a zarazem wyczuwałyśmy się lepiej niż tylko dobre znajome. Nie przeszkadzało nam, że pewne tematy pozostały dla nas tabu. Byłyśmy w tym względzie bardzo do siebie podobne.

– Chyba wiem, dokąd mogłabyś pojechać! – Regina wyrwała mnie z zamyślenia. – Ale najpierw muszę upewnić się co do jednej rzeczy...

– Jakies fajne miejsce? Opowiadaj!

Nie pozwoliła pociągnąć się za język. Tydzień później umówiła się ze mną na lunch. W rejonie naszego biurowca było kilka barów i restauracji, zdecydowałyśmy się na sprawdzoną i niedrogą włoską knajpkę. Regina czekała na mnie przy stoliku w rogu sali, gdzie iluzoryczne freski na ścianach miały nas przenieść w śródziemnomorskie klimaty. Tym razem nie tyle one pobudziły moją fantazję, ile propozycja koleżanki.

– Nie udało mi się skontaktować z bratem – zaczęła po krótkim wstępie, nawiązującym do naszej wcześniejszej rozmowy. – Wiktor przed tygodniem poleciał do Stanów i niestety, na razie jest nieuchwytny. Dowiedziałam się jednak, że jego kontrakt potrwa do przyszłego lata. Tym samym wszystko jasne, Karolo. Dom jest do twojej dyspozycji.

Nie zrozumiałam, w czym rzecz. Brat Reginy? Jaki dom? Jej wyjaśnienia wprowadziły mnie w osłupienie. Nie spodziewałabym się, że okaże mi tyle zaufania! To nie pasowało ani do jej natury, ani do charakteru naszej znajomości.

– Zaoszczędzisz na wynajmie, pokryjesz tylko koszty zużycia prądu i wody! Nie wzięłabym nic, ale rozliczam się z bratem, dom odziedziczyliśmy wspólnie. Znajomi Wiktora bywają tam na tych samych warunkach. Najczęściej jednak nikogo tam nie ma, klucze dajemy tylko przyjaciółom...

– Dziękuję – wykrztusiłam, zdumiona jej wspaniałomyślnością.

– Daj spokój! – zachnęła się. – Znamy się nie od wczoraj.

– I naprawdę nie sprawię ci kłopotu?

– Przeciwnie! Cieszę się, że ktoś tam pomieszka. Mieliśmy już włamanie, a kiedy dom stoi pusty, znów może skusić jakiegoś łobuza. Nie martw się, jest już dobrze zabezpieczony. Wiktor wstawił mocniejsze drzwi, naprawił okiennice. Rzadko tam przyjeżdżamy, więc trzeba go porządnie zamykać. Dawniej, to co innego, mama i tato spędzali tam każdą wolną chwilę...

Dopiero teraz dowiedziałam się, że rodzice Reginy zginęli w wypadku drogowym. Powiedziała o tym, ograniczając się do suchych faktów.

– Zawsze chcieli odejść razem. Byli nierozłączni jak papużki... – Po chwili milczenia wróciła do sedna: – Kupili tę ruinę za bezcen, latami ją odbudowywali. Nie pytaj, jakim nakładem środków i czasu... Kochali ten dom, przebywali tam, kiedy tylko mogli. Sęk w tym, że nam to się nie udaje. Moich niespecjalnie tam ciągnie. – Wzruszyła ramionami. – A brat jest zapracowany, jeździ tam najwyżej raz, dwa razy do roku.

– Regina, nie powiedziałaś mi jeszcze, gdzie to jest?

Wyjaśniła, że dom stoi w Karkonoszach, dorzuciła nazwę popularnego uzdrowiska. Na spotkanie ze mną przyniosła nawet folder, zachwalający walory okolic. Zaproponowała też pożyczanie pieniędzy, jeżeli zaszłaby taka potrzeba. Byłam w szoku.

W następnych dniach próbowałam sobie wyobrazić, jak by to było, gdybym wyjechała na pół roku do Polski. Popadałam przy tym w skrajne nastroje, aż wzbudziło to czujność Tima. Kiedy wyjawiałam mu swoje plany, rozłościł się. Jak coś takiego mogło mi przyjść do głowy?! Dlaczego nie wyjadę wypocząć gdzieś bliżej i czemu aż półroczny urlop bezpłatny? A co z naszym psem, naszym mieszkaniem, naszym związkiem? Kolejność wyliczonych wspólności dała mi do myślenia.

Suczka była zresztą jego, nie nasza. Yoda, rasowy, smukły podenco z Ibizy, udowadniała to każdego dnia, wlepiając wierne ślepią w swojego pana. Darzyła go miłością zaborczą, z ambicjami na wyłączność i niekiedy odnosiłam wrażenie, że z wzajemnością w stopniu większym niż dopuszczalny. Oczywiście temu zaprzeczał, lecz gdy pupil wylądował w klinice dla zwierząt, Tim o mało nie zwariował ze strachu. Co tu zresztą dużo opowiadać, żyliśmy w trójkącie.

Mieszkaliśmy w wynajętej części willi, należącej do ciotki Tima. Miałam z tym lokum tyle wspólnego, ile było w nim moich rzeczy – zmieściłyby się w kilku

torbach. Przeprowadzki to dla mnie rutyna, w minionych latach kilkakrotnie zmieniałam adres. Większość moich mebli zagraciała przybudówkę znajomej polskiej rodziny, czekając tam na pewniejsze czasy. Te z Timem, niestety, takie nie były.

Po tygodniu bezskutecznych prób wymuszenia na mnie zmiany decyzji, postawił warunki: Mogę jechać, ale jedynie na miesiąc. Jeżeli nie wrócę do tego czasu, on nie odpowiada za swoje samcze instynkty. Wspomniał również o naszych rachunkach dzielonych równo; istotnie tak było, pominąwszy jego samochód. Sztyletując mnie wzrokiem – nawykł do tego z racji zawodu, pracował przy kontroli lotniska – wskazał na inne trudności. Poranne spacerunki z Yodą, które kiedyś bezmyślnie wzięłam na siebie, urosły do rangi problemu. Obiady w restauracjach, po których strajkował jego żołądek, wizyty i wyjścia, gdzie wypadało pokazać się z partnerką, jak również samotne wieczory, bo przecież nie zawsze są mecze. Takie i podobne argumenty wcale nie miały na celu uświadomienia mi, że jestem w jego życiu niezbędną. Ton, jakim je wypowiadał, mówił sam za siebie – albo przyjmuję warunki, albo z nami koniec.

Tim nie był pierwszym egoistą, który usiłował nagiąć moje życie pod kątem swoich potrzeb – moje własne się nie liczyły. Znałam go nie od dzisiaj i wiedziałam, czego mogę się po nim spodziewać. Poszłam na kompromis. Nie obiecałam niczego, ale też nie wycofałam się ze swojego stanowiska – wrócę, gdy poczuję, że to już czas. Być może nawet za miesiąc.

Po uzyskaniu zgody na urlop bezpłatny zawiadomiłam Reginę, że chętnie skorzystam z jej oferty. Przyjęła to tak, jakby nic innego nawet nie brała pod uwagę.

– Uprzedzę Garbarków, to miejscowi, doglądają naszego domu. Będą cię oczekiwać. Masz już bilet na samolot?

Ubożuchna w nadzieję, że mój lekarz może mieć rację, trzymałam swoje emocje na wodzy. Będzie, jak będzie. Związek z Timem nie uchronił mnie przed atakami migreny, wręcz nawet się nasiliły. Podobnie ten kraj z jego nieobliczalną aurą domagał się przetestowania dystansu do niego.

Teraz przebywałam znów w ojczyźnie. Nie tęskniłam za nią, i chyba też nikt nie tęsknił tu za mną. Wszystko, na co liczyłam, to dobroczynny jej wpływ na mój organizm. Urodziłam się tutaj, przeżyłam w tym kraju dzieciństwo i młodość, oddychałam jego powietrzem, spożywałam plody tej ziemi. Przeczytałam kiedyś, że najskuteczniej leczą nas zioła zebrane właśnie tam, gdzie urodziliśmy się i wzrastaliśmy. Kto wie, czego jeszcze pozbawiamy się, wyjeżdżając daleko?

Na takie myśli wpadłam podczas drugiego śniadania, które teoretycznie miało mi zastąpić obiad. Bez opamiętania kładłam świeży twarożek na pajdy pysznego chleba podesłanego mi przez Garbarkową. Proste jedzenie przypominało moim receptorom smakowym o istnieniu produktów, nie tylko podszywających się

drożyzną pod wiejskie, lecz będących nimi naprawdę. Spędziłam kawał życia na wicie bez konserwantów i sztucznych aromatów, toteż zakodowałam w sobie naturalne smaki. Miliony innych konsumentów nie miało tego szczęścia i przypuszczałam, że z każdym kolejnym pokoleniem będzie w tym względzie gorzej. Podczas delektowania się apetycznie pachnącymi wędlinami objawiło mi się jeszcze jedno proroctwo: za pół roku nie rozpoznam siebie w lustrze!

Gdybym tego pierwszego dnia miała konkretne wizje przyszłości, to wcale by mnie to nie martwiło. Rzeczywiście, nieświadomość może być czasem łaską. W moim wypadku doznawałam jej jeszcze przez tydzień. Kiedy słońce zniknęło za horyzontem, znów przeżywałam rozterki, lecz na opuszczenie polany było za późno. Rankiem wszystko wyglądało znów inaczej. I tak dzień po dniu przywykałam do odludzia, a w domu czułam się już całkiem swobodnie. Niebawem przyszło mi stwierdzić, że nic bardziej nie prowokuje losu niż przedwczesne poczucie bezpieczeństwa.

Jednak! Nowe otoczenie i bezstresowy rytm dnia sprawiły, że nie pytałam po przebudzeniu... przyjdzie, nie przyjdzie? Górskie powietrze, przed którym wcześniej mnie przestrzegano, zdawało się działać korzystnie. Niestety, dzisiejszy poranek doszczętnie zburzył tę iluzję. Mój wróg był wierniejszy niż najlepszy przyjaciel. Migrena nigdy nie opuszczała mnie na długo.

Atak był wyjątkowo silny, jakby choroba długo przyczajona uderzyła ze zdwojoną siłą. Nie wiem, jak przeżyłam kolejne godziny, nie pomogło lekarstwo, nie mogłam ruszyć się z łóżka. Bardziej wyczułam niż zobaczyłam, że najpierw nadszedł zmierzch, a potem wieczór. Z upływem czasu cisza i ciemność wprowadziły mnie w swoisty stan zawieszenia gdzieś pomiędzy półsnem a świadomością. Ból ograniczył się do pulsowania w jednej skroni, wzmagając się przy każdym najlżejszym ruchu. Skuliłam się do pozycji embrionalnej, umysł przełączył się na najniższe obroty, zwolnił się rytm serca. Organizm instynktownie oszczędzał energię, gdzie tylko się dało. Podałam się temu bez wiary, że będzie lepiej, gdyż wyzwolenie było zbyt daleko. Każda minuta zdawała się wiecznością, istniałam od oddechu do oddechu.

Musiałam chyba zapaść w drzemkę, gdyż nagle coś mnie obudziło. Przez chwilę miałam nadzieję, że już po wszystkim, ale niestety, ból powrócił. Na domiar złego, towarzyszył mu strach, którego nie mogłam niczym uzasadnić. Spociłam się jak mysz i to nie tylko migrena doprowadziła mnie do tego stanu. Dopiero teraz uświadomiłam sobie dźwięki, które nie powinny tu się rozlegać, a w mojej pamięci zostały pogłosem.

Ktoś był w domu, na moim piętrze, i nawet nie starał się zachowywać cicho!

Wyłapałam równomierne skrzypnięcia podłogi, i odgłosy kroków na schodach; oddalały się. Po chwili ucichły, lecz nie doczekałam się trzaśnięcia drzwi wyjściowych. Mój oddech, wstrzymany szokiem, panicznie przyspieszył.

Włamanie?! To możliwe? Co powinnam zrobić?! Ujawnić swoją obecność czy gdzieś się zaszyć i udawać, że nikogo tu nie ma? Ostrożnie wysunęłam rękę spod kołdry i po omacku sięgnęłam po telefon. Cyferki zegara pokazały północ, co dodatkowo potwierdziło moje przypuszczenia. O tak późnej porze mógł to być tylko włamywacz! Przymrużyłam oczy, próbując rozpoznać, czy na wyświetlaczu pojawiają się belki zasięgu. Nie doczekałam się cudu. Moje położenie było beznadziejne. Sama, w pustym domu, z dala od ludzkich siedzib. I podczas silnego ataku migreny. Znów uderzyła fala bólu. Jakaś siła odśrodkowa wypychała mi gałki oczu, a już i tak nieznośne pulsowanie w głowie zamieniło się w łomot kamiennej lawiny. Stwardniały kark tamował dojście tlenu do mózgu, który oszalał karuzelą pisków i chaotycznych skrawków myśli. Łapałam powietrze jak ryba na piasku, próbując to przetrwać. Sponiewierana bólem, w pułapce ciała i tego domu, czułam się żywcem przeniesiona w jakiś najgorszy horror.

Zebrałam się w sobie, aby zmienić pozycję. Zrobiło mi się niedobrze. Wiedziałam, że teraz to już tylko kwestia czasu, a będę zmuszona zaprzyjaźnić się z sedesem. Łazienka znajdowała się blisko, ale czekało mnie pokonanie przedpokoju. W moim stanie było mi obojętne, czy natknę się przy tym na kogoś i jak ten ktoś zareaguje. W najlepszym razie uwolni mnie od katuszy. Spotkanie z przestępcą nie sznurowało już gardła przestachem. Nic nie mogło dorównać gehennie, którą właśnie przechodziłam.

Powoli obróciłam się na bok, po czym usiadłam na łóżku i włączyłam lampkę nocną. Jej błysk poraził mnie bolesnym snopem iskier elektrycznych w sam środek głowy. Upłynęło parę minut, nim odważyłam się otworzyć oczy, wzięłam głęboki oddech i powoli ruszyłam do przodu. Boso, w samej nocnej koszuli i dygocząc z zimna; nie było już czasu, żeby znaleźć coś do okrycia.

Uchyliłam drzwi pokoju, lekko zaskrzypiały. Od schodów biła ku górze smuga światła. Ktoś rozpanoszył się na dole, jakby nie był tu wcale intruzem. Z braku odgłosów rozmowy mogłam przypuszczać, że to jedna osoba. Mężczyzna? Kobieta? Poczulałam zapach czegoś smażonego na ogniu, boczku lub kielbasy. Wywołało to u mnie mdłości, więc nie patrząc już na nic, pobiegłam do łazienki.

Zwymiotowałam i spuściłam wodę do muszli. Z głośnym bulgotem spłynęła rurami w dół, a gdy odgłos ucichł, usłyszałam, że ktoś wchodzi na górę. Bardzo szybko, jakby po dwa schody naraz i na pewno był to ktoś dobrze zbudowany. Złapałam ręcznik, wytarłam twarz. Sekundę później w drzwiach łazienki stanął masywny mężczyzna.

Zarys jego sylwetki rozmywał mi się przed oczami, nie był jednak fatamorganą. Kiedy zapalił światło, zobaczyłam go wyraźniej. Ubrany całkiem na czarno, w dłoni trzymał jakiś obły przedmiot, a jego mina nie wróżyła nic dobrego. Dostrzegłszy mnie, wybałuszył oczy, jakby zobaczył ducha.

– A niech mnie...! Kim pani jest, do cholery?! Miało tu nikogo nie być!

Spiorunował mnie wzrokiem.

Co racja, to racja. Pominąwszy szczegół, że nie ja byłam tu nieproszonym gościem. Spodziewał się chyba, że bez świadków wymłóci wnętrze z cennych rzeczy. Ten dom przez większość roku stał niezamieszkały i było mało prawdopodobne, że ktoś pojawi się tu po sezonie. Określenie „być w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie” pasowało zarówno do mnie, jak i do włamywacza. Był osobnikiem o niewątpliwie mocnej posturze, a tym samym miał nade mną przewagę. Nie mogłam nawet użyć intelektu, by poprawić jakoś swoje położenie. W głowie nie pojawiła mi się żadna twórcza myśl, nie byłam nawet zdolna do logicznie brzmiącej riposty. Migrena totalnie rozprawiła się ze mną, czyniąc także spięcia na łączach umysłu.

– Jest tu pani sama czy z kimś?

Nie doczekawszy się natychmiastowej odpowiedzi, z ponurą miną wycofał się na korytarz. Trzeszczenie podłogi zdradzało, że penetrował mój pokój. Wróciwszy, nie ukrywał zniecierpliwienia:

– Może dowiem się wreszcie, co pani tu robi?!

– Rzygam... – Tylko tyle zdołałam powiedzieć.

Konwulsje w żołądku udaremniły mi rozwinięcie dialogu. Napotkałam spojrzenie przestępcy pełne nieskrywanej odrazy. Trudno żebym oczekiwała od niego litości. Rabuś mógłby ją zresztą pojąć opacznie i zakończyć moje męki na amen; trzymał w dłoni dużą latarkę.

Kombinowałam, czy może wdać się z nim w pertraktacje, jednak zabrakło mi polotu. Fortele zapamiętane ze scen filmowych w moim wypadku były niewykonalne. Nie potrafiłam zaskoczyć go znajomością wschodnich sztuk walki, nie miałam bogatej rodziny, która chętnie złożyłaby za mnie okup, a mój stan wykluczał zabyśnięcie czarem osobistym.

Niezdarnie podniosłam się z kolan, odkręciłam wodę w kranie i przepłukałam usta, potem umyłam twarz. Mężczyzna w milczeniu obserwował każdy mój ruch, a ja starałam się na niego nie patrzeć. Sytuacja była dość jasna, a zarazem trochę komiczna. Zdezorientowany przestępca oraz ofiara, która zamiast trząść się ze strachu, spokojnie doprowadza się do ładu. Spojrzawszy do lustra nad umywalką, na moment zamarłam. Zamiast znajomej twarzy zobaczyłam blade czupiradło o matowych, wyczerpanych bólem oczach. Zmoczyłam ręcznik zimną wodą i owinęłam nim głowę. Dopiero teraz zwróciłam się do nieznajomego:

– Mam straszną migrenę. Muszę do łóżka...

Próbowałam ominąć go w drzwiach, ale mnie zatrzymał:

– Zaraz, nie tak szybko... Najpierw wyjaśnimy sobie parę rzeczy!

Westchnęłam ciężko, ledwo stałam na nogach. Zarzucił mnie pytaniami, których sens i tak do mnie nie docierał. Mówił za głośno i jego słowa waliły po mojej głowie niczym ciosy boksera. Niedługo potem zaczęły dochodzić do mnie

zniekształcone, jakby przez tubę. To było dla mnie sygnałem, że muszę coś powiedzieć, zanim powali mnie znów atak. Odezwałam się dziwnie słabym głosem:

– Nic nie wiem, nie jestem właścicielką! Niech pan tu robi, co mu się żywnie podoba, byleby tylko mnie zostawił w spokoju. Przepraszam, naprawdę muszę się położyć...

Odsunął się i przepuścił mnie bez słowa. Miał teraz dogodną sposobność, aby rąbnąć mnie od tyłu latarką.

Wbrew znanym mi schematom, wróciłam do pokoju bez szwanku. Zamknęłam drzwi na klucz, uzmysławiając sobie, że dla włamywacza otwarcie zamka byłoby drobnostką. Odgłosy kroków świadczyły jednak, że wycofał się na dół. Bandzior o gołęmbim sercu, zadrwiłam na przekór wypadkom. Ułamek sekundy później migrena przypomniła o sobie nawrotem bólu...

Spałam wiele godzin, mój organizm wiedział, czego potrzebuje i grozę sytuacji miał za nic. Co innego po przebudzeniu. Wystarczył rzut oka na bałagan w pokoju, by stwierdzić, że znajdowałam się dokładnie tam, gdzie być nie pragnęłam. A więc to nie był koszmar. Minął jedynie atak migreny.

Podniosłam się z łóżka i domknęłam drzwi szafy oraz pootwierane szuflady biurka. Leżały na nim rzeczy wysypane z mojej torebki, chyba niczego nie brakowało. Był paszport i karta kredytowa, pieniądze też nienaruszone. Czego w takim razie facet szukał?

W przedpokoju powitał mnie intensywny aromat świeżo zaparzonej kawy. On nadal tu był?! Nie rozumiałam, dlaczego nie wykorzystał minionych godzin i zwyczajem rabusi, nie ulotnił się stąd cichaczem? Coś mi tutaj nie pasowało.

Do łazienki przeszłam na palcach, cichutko i na wszelki wypadek zarygnowałam drzwi od środka. Zobaczyłam dodatkowy ręcznik kąpielowy. Był wilgotny i to nie ja go używałam. Na regale obok wanny odkryłam zestaw markowych męskich kosmetyków. Mężczyzna nie sprawiał wrażenia drobnego złodziejaszka. Kim w takim razie był i jakim prawem rozgościł się tutaj?!

Szum prysznicza i suszarki do włosów nie zwabiły nikogo na górę. Poranną toaletę wykonywałam nerwowo, choć czas wcale nie naglił. Po powrocie do pokoju zapytałam siebie, co dalej? Podjęłam decyzję: idę na dół! Dalsze wymyślanie scenariuszy spotkań z tym kimś doprowadziłoby mnie do obłądu.

Na półpiętrze nikt na mnie nie czyhał, co nie znaczyło, że byłam bezpieczna. Dolatywały niegłośne dźwięki muzyki, a w powietrzu unosił się zapach kawy. Przybysz albo zszedł całkiem na dół, albo kręcił się gdzieś na zewnątrz domu. Nie łudziłam się, że odszedł na dobre. Weszłam do salonu. W kominku palił się ogień, a na ladzie pomiędzy kuchnią a pokojem ładowała się komórka. Trochę zdziwiła mnie ta nieostrożność, lecz nie odważyłam się go ruszyć; użycie telefonu zgodnie z jego przeznaczeniem i tak było tu niemożliwe. Po tygodniu prób wychycenia

sieci w domu lub jego pobliżu, zrezygnowałam. Na polanie nie było zasięgu, dopiero za buczyną, przy drodze do wioski.

Kuszona zapachem kawy, stałam chwilę niezdecydowana, by wreszcie mu ulec. Zaparzona w ekspresie była taka, jaką lubiłam; ani za słaba, ani za mocna. Usiadłam z kubkiem przy stole, przewencyjnie plecami do ściany, z dobrym widokiem na pokój. Radio, które teraz jakimś cudem działało, było nastawione na stację z muzyką klasyczną. Wbrew okolicznościom, rozluźniłam się, do czego przyczyniło się też chyba ciepło wnętrza. Dotąd nie rozpalałam ognia w kominku, bojąc się, że zakopczę pomieszczenie. Czasem włączałam przenośny grzejnik elektryczny, lecz rankiem dom był wychłodzony.

Wypiłam zaledwie kilka łyków kawy, gdy usłyszałam odgłos zbliżających się kroków. Zamarłam. Po chwili ukazał się mężczyzna. Włamywacz?

Rosły brunet kroczył nieśpiesznie, trzymając w rękach kosz wypełniony szczapami. Minawszy część kuchenną, dojrzał mnie wreszcie, lecz nie wyglądał na zaskoczonego.

Peszyła mnie jego swoboda. Nieznajomy rzucił tylko „dzień dobry” i spokojnie zajął się ogniem. Uważnie śledziłam jego ruchy, w razie potrzeby – gotowa do obrony.

Grzebiąc po grzebaczem w ogniu, nieoczekiwanie odwrócił się ku mnie i beznamiętnie zapytał:

– Jak samopoczucie? – Oschłość jego tonu miała się nijak do troski o mój stan. Natomiast w jego oku dostrzegłam błysk zainteresowania, co też zaraz poparł słowami: – Dzisiaj wygląda pani na zdrową. To dobrze.

– Nie mam już migreny.

Zignorował moją informację. Podnosząc się, spojrzął na swoje brudne dłonie i powiedział:

– Idę się umyć. A potem zjemy śniadanie. Nakryje pani do stołu?

Skierował się ku schodom, pozostawiając mnie w zdumieniu. Propozycja czy polecenie? Nie prowokuj go, nakazałam sobie, w niejasnych sytuacjach emocje są szkodliwe.

Zabrałam się do przygotowania śniadania. W szafce znalazłam świeże pieczywo, również w lodówce zauważyłam więcej produktów. Kiedy on zdążył zrobić sprawunki? Najpewniej, gdy spałam. Jego zachowanie zbiło mnie trochę z tropu. Ponadto... w świetle dnia nie wyglądał na bandziora. Nie miał w sobie nic pospolitego, wręcz przeciwnie. W jego spojrzeniu ujawniał się intelekt, być może groźniejszy niż bezwzględność włamywacza. Jeżeli był przestępcą, to raczej „większego kalibru”. Powinowaty ojca chrzestnego? Miałam nadzieję, że nie psychopata.

Kiedy wrócił, obrzucił spojrzeniem nakryty stół i zajął miejsce naprzeciw mnie. Nalał sobie kawę do kubka.

– To częstujmy się. Smacznego! – rzucił.

– Smacznego – powtórzyłam cierpko, nie potrafiąc wzbudzić w sobie apetytu.

Przeciwnie mój towarzysz. Rozkroił bułkę i posmarowawszy masłem, nakładał na nią plastry wędliny. Chwilę potem zatopił w niej zęby, jak zdążyłam dostrzec, zdrowe i mocne. Obserwowaliśmy siebie wzajemnie w milczeniu, ja ukradkiem, on bez skrępowania. Wreszcie zapytał:

– Dlaczego pani nie je?

Pokręciłam głową. Wzruszył ramionami, a po przełknięciu kęsa bułki powiedział:

– Jeżeli chodzi o problem z utrzymaniem wagi, to lepiej zrezygnować z kolacji.

Problem z utrzymaniem wagi?! Bezczelność faceta nie mieściła mi się w głowie! Nie wytrzymałam rosnącego we mnie napięcia, nauka poszła w las.

– Nie sądzę, abym musiała się głodzić! – odparowałam. – Po prostu nie mam apetytu, a powód tego jest chyba oczywisty: pana obecność w tym domu! Mam udawać, że nic się nie stało?! Nie dociera do pana absurd tej sytuacji?!

Siliłam się na spokój, jednak mój głos brzmiał za ostro, jak zawsze, gdy byłam zirytowana. Bezwiednie ścisnęłam kubek, aż dziwne, że nie pękł. Mężczyzna miał gdzieś moje wzburzenie, rozkroił drugą bułkę, obłożył ją i odparł spokojnie:

– Owszem, dociera. Trzeba to oczywiście rozwiązać, jednak nie na pusty żołądek. Pani również radzę się posilić. Czekaj panią wędrownka.

– Nic o tym nie wiem! – zachnęłam się.

– Teraz już tak. Proszę! – Podsunął mi koszyczek z pieczywem.

Zawahałam się, nie wiedząc, co planuje. Porwać mnie w góry?! Złamał prawo do tego stopnia, że potrzeba mu zakładniczki? Jego twarz pozostała niewzruszona, ale też nie było mu raczej do żartów. Chcąc nie chcąc, zmusiłam się do jedzenia.

Skończył jeść i przybrał wygodniejszą pozycję. Momentami przymykał powieki, jakby wsłuchując się w muzykę; z radia płynęła symfonia Berlioza. Miałam teraz okazję przyjrzeć mu się dokładniej. Typowo męski układ twarzy z wyraźną linią brwi i mocnym zarysem szczęki wskazywałby na silny, jeśli nie bezwzględny charakter, gdyby nie odrobinę za duże, brązowe oczy. Lekko ogorzała skóra i regularne rysy nasuwały mi z kolei skojarzenie z kowbojem, znaczy z wizerunkiem kowboja z filmów i reklam. Nie gwarantowało to jeszcze, że był człowiekiem ceniącym honor i prawo. Natomiast na plus poczytałam sobie jego wiek, jakieś dwa, trzy lata przed czterdziestką.

– Może dowiem się wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi? – spytałam z determinacją. – Pojawia się pan tutaj nocą, wdziera do mojego domu...

- Mówiła pani, że nie jest jego właścicielką.
- Chwilowo opiekuję się nim.
- Chwilowo. Doskonale to pani ujęła.

Kpił sobie ze mnie czy tylko straszyl? Może planował wywlec mnie do lasu i tam zabić? Przystopowałam fantazję racjonalnym argumentem – potencjalny morderca nie wpychałby swojej ofierze śniadania. Jego niewzruszony spokój działał mi na nerwy.

- Kim pan właściwie jest?!

Przysunął się do stołu i spojrzał mi głęboko w oczy. Jego badawczy wzrok przenikał mnie niczym spojrzenie hipnotyzera. Zmieszałam się lekko, a wówczas on odpowiedział:

- I'm... nobody.

Zbył mnie jak niegodnego siebie przeciwnika. Być może miałam do czynienia ze zwyczajnym chamem.

- Nie ma pan imienia?

Milczał.

- Karola! – W nagłym impulsie wyciągnęłam do niego rękę.

Uświadomiłam sobie, że nie wzbudza już we mnie strachu. Nie wiem, czy sprawił to wspólny posiłek, czy moja złość, iż dominuje nade mną. Przytrzymał moją dłoń i odpowiedział cynicznie:

- Wiem. Przeczytałem w pani paszporcie.

Zatkało mnie. Co za tupet!

- Dobrze wiedzieć, z kim spędza się noc... – uzupełnił wypowiedź.

Mogłabym przysiąc, że w jego oku dostrzegłam błysk rozbawienia; zgasł w ułamku sekundy. Sprytnie, swojego imienia nie ujawnił. Wyrwałam dłoń z jego uścisku.

– Precyzyjniej byłoby, że pod jednym dachem. Jak pan w ogóle dostał się tutaj?!

- Drzwiami – odparł beznamiętnie, nie dając się sprowokować moim tonem.

– Pięknie, że nie kominem – zakpiłam. – A dowiem się może, w jakim celu pan tu się włamał?

Popatrzył na mnie przenikliwie, marszcząc czoło. Poczulałam się nagle, jakby ważyły się moje losy. Tym razem zareagował żywiej:

– Najpierw to ja chciałbym usłyszeć, co pani tu robi? Dom miał być pusty! Skąd miała pani klucze?

Wpatrywał się we mnie, oczekiwał konkretnej odpowiedzi. Nie miałam odwagi podjąć zabawy w półsłówka. Zresztą, rozmowa zaczynała mnie męczyć. Postanowiłam wyłożyć karty na stół, przecież nie miałam nic do ukrycia.

– To dom mojej znajomej. Pozwoliła mi z niego korzystać. Mogą to poświadczyć ludzie, którzy opiekują się nim pod jej nieobecność.

– A jak nazywa się pani znajoma?

– Regina Solt – rzuciłam, po czym podałam jej pełne nazwisko: – Witomska-Solt.

Uderzył się dłońmi w uda i gwałtownie wstał z miejsca. Na jego twarzy po raz pierwszy tego poranka pokazały się emocje. Podszedł do kominka i wziął pogrzebacz. Na szczęście, zatopił go tylko w ogniu, poprzesuwał nim polana, po czym odwiesił na stojak. Dopiero wtedy ośmieliłam się znów odezwać:

– Przyjechałam tu przed tygodniem.

– I tyle będzie musiało pani wystarczyć! – Odwrócił się w moją stronę. – Im szybciej zacznie się pani pakować, tym lepiej!

Poczerwieniał na twarzy, być może od pochylania się nad żarem.

– A to niby dlaczego? – zaprotestowałam, śmiejąc się nerwowo. – Podoba mi się tutaj. Lubię jesień w górach.

– Nie zabraniam pani delektować się tutejszą naturą. Tak samo można to czynić w uzdrowisku. Samotnej kobiecie w takiej głuszy to ani wygodnie, ani bezpiecznie...

Insynuacje zawierały groźbę? Tym razem w oczach mojego rozmówcy nie dostrzegłam cienia uśmiechu, raczej zniecierpliwienie.

– Jakim prawem usiłuje pan dysponować tym domem? – Nie zamierzałam się poddać. – I kim pan właściwie jest, panie bezimienny?

Popatrzył na mnie srogo. No, proszę. Jeżeli moja obecność tak go drażniła, to co dopiero ja miałam powiedzieć?! Nie musiałam być dla niego miła! Nie dosyć, że nie docenił mojej postawy, to jeszcze każe mi się stąd wynosić?! O, nie, tak łatwo nie ustąpię!

– Nie włamałem się, mam klucze! I nie otrzymałem ich przed tygodniem, mam je od co najmniej miesiąca. Jaki z tego wniosek? Pani znajoma postąpiła pochopnie, powinna się poinformować, czy dom jest wolny. Zostałem zaproszony tutaj wcześniej od pani, tym samym uważam naszą dyskusję za zakończoną.

– Kto pana tutaj zaprosił?

– Wiktor Witomski. Krewniak pani znajomej, jak sędzę.

– Jest jej bratem – uściśliłam.

– To niczego nie zmienia. Mogę korzystać z tego domu, jak długo zechcę, a choćby i do wiosny.

– Podobnie jak ja! – Nie przejęłam się jego pewnym siebie głosem. – No cóż, rodzeństwo nie dogadało się ze sobą, ale i tak racja jest po mojej stronie. Gdybym zastała tu pana w dniu mojego przyjazdu, może byśmy rozmawiali inaczej. Ale teraz? Nie widzę powodu, abym miała się stąd wynosić! Byłam tu pierwsza!

Ostentacyjnie wstałam, aby choć trochę zniwelować jego przewagę. Nie wiedziałam, kim był ten człowiek i czy mnie nie okłamuje. Wprawdzie zgadzało

się imię brata Reginy, lecz taką informację można zdobyć łatwo. Skrywanie przez niego własnej tożsamości wydawało mi się podejrzane.

– Wychodzę teraz! – oświadczył. Odłączył komórkę od kabla i schował do kieszeni. – Radzę pani życzliwie, proszę zabrać swoje rzeczy i opuścić dom. Bagaże, których nie da pani rady unieść, proszę wystawić do holu, wraz z adresem, na który mają zostać dostarczone. Aha, do ognia proszę już nie dokładać, wrócę późnym popołudniem. Pani ma już nie być. Żegnam!

Obrócił się na pięcie i poszedł. Byłam wściekła, że uczynił to tak po prostu, nie próbował nawet negocjować ze mną. Zanim doszłam do siebie na tyle, aby pobiec za tym gburem, jego już nie było. Drugi kubek kawy nie pomógł w ukojeniu nerwów. Wpieniałam się wciąż na nowo. Wyprosił mnie stąd, jakbym to ja była intruzem! No nie, to jakaś paranoja!

Pomna ryzyka opuszczenia domu, mimo wszystko wybrałam się na krótki spacer. Musiałam wziąć się w garść, potrzebowałam świeżego powietrza. Nie łudziłam się, że szybko wymyślę jakąś doskonałą strategię, ale coś musiałam postanowić. Odrzuciłam pomysł, by skontaktować się z Reginą. Na odległość i tak nie mogłaby mi pomóc, postawiłabym ją tylko w niezręcznej sytuacji.

Udałam się szlakiem w górę. Polana chyba nigdy dotąd nie podobała mi się tak jak dzisiaj. Z innej niż zawsze perspektywy prezentowała mi całe swoje piękno, potęgowane ciepłą poświatą słońca. Traktem szli jacyś wędrowcy. Mijając mnie, wyrazili uznanie dla urody tego zakątka, a ja poczułam się dumna, jakbym była jego stałą mieszkanką.

Przechadzka podziałała na mnie mobilizująco. Wracałam do domu nastawiona bojowo, nie zamierzałam poddać się bez walki. Wola nocnego przybysza przestała mnie interesować.

Weszłam do papierniczego skuszona reklamą kart telefonicznych; najwyższa pora zaopatrzyć się w polską. Nowego numeru nie zamierzałam zdradzić Timowi, co innego Reginie. Ona nie molestowała mnie pytaniami, czy nie mam już dosyć urlopu i kiedy zamierzam wrócić? Wiadomości Tima, składowane gdzieś w przestrzennej poczekalni, sygnalizowały swoje istnienie, ledwo weszłam w zasięg fal komórkowych. Każdego dnia kilka esemesów o podobnej treści, coraz bardziej niecierpliwe, to w miłszym tonie, to zaczepne.

Zachowywał się jak obrażony dzieciak, pozbawiony ulubionej zabawki i niańki. Szczytem wszystkiego był zarzut, iż Yoda znów choruje i to z tęsknoty za mną! Nonsens! Jeżeli jej wzdęcia miały jakiś związek z moją osobą, to brały się ze strachu, że wrócę. Każdego ranka musiałam się szarpać z suczką, tylko na siłę mogłam ją wywlec z domu. Przypuszczałam, że była szczęśliwa, mając pana wyłącznie dla siebie. Natomiast jego egocentryzm ujawniał się coraz wyraźniej. Ani razu nie spytał o moje samopoczucie, ani jak tu sobie radzę, natomiast sam bez przerwy narzekał.

Zanim przełożyłam kartę w telefonie, wystukałam do Tima ostatnią wiadomość ze starej. Poinformowałam go o kolejnym, silnym ataku migreny, co miało być czytelnym sygnałem, iż na mój powrót za wcześnie. Bezceremonialnie dodałam, że poprzez ten numer nie będzie ze mną kontaktu, ale od czasu do czasu sama się zamelduję. Po namyśle, w jaki sposób zakończyć wiadomość, podpisałam się tylko inicjałem.

Zamiana karty powiodła się, wczytały mi się nawet wszystkie dane z książki adresowej. Przy tej okazji przejrzałam listę nazwisk i stwierdziłam, że większość mogłabym wykasować. Pośród nich był tylko jeden polski numer.

Z rodzinnym miastem łączyła mnie tylko Danuta. Jedna z niewielu dawnych koleżanek nie przeniosła się ani w inny region kraju, ani poza jego granice. Wyszła za męża, urodziła dzieci, otworzyła sklep z używaną odzieżą. Dzwoniłam do niej czasem, jednak nigdy nie podałam adresu. Ona zdawała się to akceptować. I chyba dlatego utrzymałam z nią kontakt, chociaż z upływem lat nasze światy oddaliły się od siebie nie tylko geograficznie.

Zastałam ją w domu. Kiedy rozpoznała mój głos, powitała mnie niezwykle serdecznie. Nie rozmawialiśmy ze sobą od ponad roku.

– Jesteś w Polsce! Niech skonom!

– Skąd wiesz?

– Wyświetlił mi się twój numer. To komórka, prawda? Karola... nie wierzę... jednak przyjechałaś!

– Tylko na urlop w góry.

– W góry, nie w góry, musisz zahaczyć o nas! Mam ci tyle do opowiedzenia, poznasz wreszcie mojego męża i naszych synków...

Rozgadała się, nie przerywałam jej, zazdroszcząc entuzjazmu, z jakim opowiadała o swoich sprawach. Wywód zakończyła zaproszeniem:

– Miejsca u nas jest dosyć, przeprowadziliśmy się do nowego domu. Dostaniesz ładny pokój gościnny, przyjeżdżaj! Chyba że wolisz zatrzymać się u Kingi...

– Wróciła do naszego miasta? – spytałam z wymuszonym spokojem.

– Nie wiedziałaś?! Mieszka tu od wiosny. Warszawka już jej nie chce, Kinga Pe przestała być modna. A tak zadzierała nosa! – Sekundę później zreflektowała się: – Przepraszam, bądź co bądź to twoja siostra. Tak w ogóle, trzyma się świetnie i robi dobrą minę do złej gry. Wiesz, pracuje teraz dla miejscowego posła, podobno nawet łączy ich coś więcej...

– Nie mówmy, proszę, o niej!

Przystąpiła na to opornie, czułam, że z chęcią opowiedziałaby więcej. Nie mogłam do tego dopuścić, nie chciałam słuchać o Kindze. Danuta upierała się, bym nie patrząc na odległość, zajechała w rodzinne strony.

– Nie dam ci spokoju! Mam twój numer, mogę do ciebie przedzwonić. Jak

długo zostaniesz w Polsce?

– Nie wiem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Dzwoni, oczywiście. Tylko że często jestem poza zasięgiem, więc nagraj wiadomość.

– Zawsze tajemnicza, zawsze chodzi swoimi drogami. – Chyba mi nie uwierzyła.

– Nie gniewaj się, proszę!

Rozłączyłyśmy się, a ja jeszcze przez chwilę siedziałam na ławce. Ostatnią rzeczą, którą chciałabym usłyszeć, to wieści o Kindze. Życie mojej siostry, tak w sławie, jak w niesławie, nie obchodziło mnie. Dla niej było to na tyle oczywiste, że sama też nie kontaktowała się ze mną.

Wróciłam autobusem kursującym między wioską a uzdrowiskiem. Powiedziała mi o nim Garbarkowa, zawsze chętna na podzielenie się informacjami, choć częściej dotyczyły miejscowych nowinek. Do zmierzchu było jeszcze daleko, więc do niej wstąpiłam. Zapraszała mnie zresztą, ilekroć przechodziłam obok jej domu. Kiedyś zobaczyłam ją na podwórzu w towarzystwie około dwunastoletniej dziewczynki, wnuczki. Dowiedziałam się, że została pod opieką dziadków, kiedy rodzice wyjechali do pracy w Irlandii. Zuzia, tak miała na imię, spoglądała na mnie z ciekawością, lecz nie odezwała się ani słowem. Musiała być chyba bardzo nieśmiała.

– O, dzień dobry! – powitała mnie Garbarkowa, wycierając dłonie fartuchem. – A ja tyle co myślałam o paniusi! Proszę, niech wejdzie dalej!

Poszłam za nią do kuchni, jak zwykle nagrzej od pieca i niepowtarzalnie pachnącej. Lubiłam, kiedy domy miały swoją własną woń. Pod okapem suszyły się zioła, a nad piecem, kuchenne ręczniki. Gdy Garbarkowa otworzyła spiżarkę, rozszedł się zapach wędzonki i kwaśnego mleka. Wyczułam też stare zapachy, jakie były od podłóg i ścian, niemające jednak nic wspólnego z brudem.

Byłyśmy same. Gospodyni zaproponowała mi herbatę, a stawiając czajnik na piecu, przeproszała, że nie ma nic słodkiego.

– Zawsze coś jest, ale akurat dzisiaj przyszły koleżanki Zuzi i wyjadły resztę placka – tłumaczyła się. – To może zrobię parę kanapek? Mam pyszne ogórki z naszego ogródka, sama kisiłam!

Od razu zabrała się do dzieła. Uwinęła się z tym z godną pozazdrosczenia rutyną i postawiła przede mną talerz z poczęstunkiem. Krzątając się po kuchni, wciąż mówiła. Dowiedziałam się, dlaczego jej syn z synową wyjechali za granicę i jak im tam się układa. Potem zaczęła wspominać zmarłych Witomskich i stwierdziła, że dom, o który tak dbali, najpewniej znowu zniszczeje.

– A paniusia to jednak nie powiedziała mi całej prawdy! – Spojrzała na mnie z szelmowskim uśmiechem.

– Nie rozumiem...

– Mnie tam nic do tego – ciągnęła, wciąż się śmiejąc. – Ale słyszałam, że na

polanę przyjechał ten amant!

Trzeba było mnie uprzedzić, bo jednak człowiek trochę zamartwiał się o paniusię! Sama tak daleko od ludzi... a wiadomo, jakie są czasy, po co kusić złego? Co chłop w domu, to chłop!

Pojęłam, że chodzi o nocnego przybysza. Na razie żadne z nas nie ustąpiło, nadal mieszkaliśmy pod jednym dachem. Uznałam jednak, że to nawet lepiej, iż sąsiedzi wiedzą o jego obecności w domu. Ale żeby zaraz amant?!

Widywałam go tylko przelotnie, a mijając się, rzucaliśmy sobie wrogie spojrzenia. Obligatoryjne pozdrowienie było jedynym ludzkim ogniwem między nami. Nasza wzajemna niechęć do siebie trwała nieprzerwanie od owego wieczoru, kiedy to miałam opuścić polanę. O zmierzchu postanowiłam zjeść kolację. Przygotowanie pracochłonnego posiłku uspokajało mnie i pozwalało poczuć się w pełni panią domu. Słuchałam przy tym audycji radiowej o konflikcie na Bliskim Wschodzie. Brunet wrócił i zamknąwszy za sobą drzwi, krzyknął:

– Nie do wiary! Co pani tu jeszcze robi?! Nie dotarło, że jest tu pani niepożądana?!

Potem powtórzył te same argumenty co zwykle, choć powinien już wiedzieć, że nie robią na mnie wrażenia. Jego podniesiony głos sprawił, że mój starannie wypracowany spokój opuścił mnie w jednej chwili. Od dziecka nie znosiłam krzyków, nie umiałam ich odpierać, więc i teraz aż skuliłam się w sobie. Może poleciałyby mi nawet łzy, gdyby facet nie wycofał się w porę na górę. Wchodząc po schodach, nadal coś mamrotał.

Moja ulga, że na tym się skończyło, okazała się przedwczesna. Niebawem wrócił z kolejnymi pretensjami, że nawet się nie spakowałam! No, nie... Znowu bez pytania polazł do mojego pokoju! Teraz i we mnie się zagotowało.

– Nie tym tonem, proszę! Jest pan nie tylko chamski, ale i żałosny!

– Pani opinia mnie nie obchodzi! – odparował, jednak już parę decybeli ciszej.

– A mnie nie interesuje pana pokrętna logika! Jestem tu gościem na takich samych prawach, jak pan. Pomijam już nawet fakt, że przyjechałam tu pierwsza. Powtórzę panu po raz ostatni. Nie wyjeżdżam!

– Ja też nie!

– No, cóż... – Zmierzyłam go lodowatym spojrzeniem. – Nie zmuszę pana do tego. Dom na szczęście jest duży.

– Na pani miejscu zastanowiłbym się jeszcze. Chce pani tu zostać? Z obcym mężczyzną, z dala od ludzi?! – szydził.

– Podobno jest pan znajomym Witomskiego – przypomniałam mu. – Może nawet jego przyjacielem?

Grałam, o bracie Reginy wiedziałam tyle, ile o tym typie, czyli nic. Tymczasem on gapił się na mnie, jakby sondował moje wnętrze wykrywaczem

kłamstw. Nie spieszyłam się, nie miałam nic do ukrycia. Moja uwaga przyhamowała chociaż jego zapędy, by mnie wystraszyć, ale nie osłabiła impertynencji.

– Jeżeli pani sądzi, że ugłaszczę mnie kolacją, to jest pani w błędzie!

Po chwili osłupienia, odzyskałam rezon:

– Wprawdzie nie pomyślałam o tym, ale proszę bardzo, wystarczy dla nas obojga! „Jeśli łaknie nieprzyjaciel twój, nakarm go, jeśli pragnie, napój go...”.

Nie dokończyłam biblijnego cytatu, gdyż dalej było o rozżarzonych węglach, a to mogło na nowo zaognić sytuację. Brunet wzruszył ramionami i oświadczywszy spokojnie: „już jadłem”, odwrócił się i wyszedł.

Starcia z nim były nieuniknione, lecz na razie nastąpiło zawieszenie broni. Albo spokój przed burzą, co zapowiadały z oddali błyski jego spojrzeń i pomruki.. Ignorowałam to, hamując się, by nie odpowiedzieć mu tym samym. Minęło kilka dni. Krążyliśmy na różnych orbitach tej samej planety, łudząc się, że następnej mijanki nie będzie. Na próżno. Nikt nie zamierzał ustąpić.

Dom na polanie był doskonałą kryjówką dla kogoś, kto miał coś na sumieniu. Ten facet zachowywał się jak każdy turysta, jednak przy bliższej obserwacji wyczuwało się jego ostrożność. Opuszczał dom każdego poranka, zaopatrzony w dobre buty do wędrówek i niemały plecak. Niekiedy, gdy obudził mnie krzątaniem się między pokojem a łazienką, a potem wychodził, obserwowałam go zza okna. Zawsze udawał się w góry, nigdy w dolinę. Ciekawe, dlaczego? Wracał o zachodzie słońca albo nawet późnym wieczorem, czasami robił sobie kolację, przeważnie jednak od razu znikał w swoim pokoju, tym drugim na moim piętrze. Przygotowywał się do jakiejś sekretnej misji? Może był zwyczajnym pasjonatem wędrówek po górach? Szczerze mówiąc, dopóki mnie się nie czepiał, było mi to obojętne. Odludek i mruk.

W jakiś sposób komunikował się jednak z chłopakiem dostarczającym mu sprawunki, tym samym szczerbatym wyrostkiem, który przyniósł mi torbę. Zagadnięty przeze mnie, skąd wie, co ma przywieźć, niechętnie wyjaśnił, że listę produktów daje mu leśniczy. Wywnioskowałam, że mój współlokator nie unika wszystkich ludzi, jak widać, niektórych toleruje. Ten rys jego natury nie zajął mnie jednak na tyle, by poświęcić mu uwagę. Uporządkowałam lodówkę, przydzielając naszym rzeczom miejsce na oddzielnych półkach. Facet udawał, że tego nie dostrzega i konsekwentnie wprowadzał w niej chaos. Ze względu na brak kooperacji z jego strony zarzuciłam pomysł, by przeciągnąć linię demarkacyjną po całym domu.

Dzisiejsza wyprawa do uzdrowiska, pomimo że autobusem, zmęczyła mnie. Codzienne spacerunki do wioski udawały, w jak słabej formie tu przybyłam. Do domu docierałam mokra i zadyszana, a każdy drobiazg w plecaku zdawał się odważnikiem ciężarowca. Chociaż kładłam się spać grubo przed północą, rzadko

budziłam się przed dziewiątą. Odnosiłam wrażenie, że mój organizm wyrównuje teraz czas, w którym żyłam, czerpiąc już tylko z rezerw. Brak obowiązków i stałych terminów stopniowo pozbawiał mnie uczucia napięcia. Nic przecież nie musiałam, a wszystko, co robiłam, wynikało wyłącznie z mojej nieprzymuszonej woli. Było to dla mnie takim samym nowym doświadczeniem, jak otaczający mnie spokój.

Jeżeli zgadzało się, iż warunkiem równowagi wewnętrznej jest możliwość refleksji, miałam ku temu idealne warunki. Na razie nie próbowałam analizować swojego życia. Jak każdy, potrzebowałam stabilizacji, lecz mój poukładany świat raz po raz się walił. W niewzruszoność tego obecnego też nie do końca wierzyłam, wiedząc, iż został zbudowany z nazbyt wielu moich kompromisów. Lepiej o tym nie myśleć i oszukiwać się, że jest dobrze. To stąd moja migrena? Być może, choć jeśli iść tym śladem, jej ataki musiałyby nękać większość znanych mi ludzi, a tak nie było. Na inne wnioski jeszcze za wcześnie.

Niebo za oknami powoli zaciągało się granatem, poświstywał wiatr, zanosilo się na deszcz. Jesień, podobnie jak koniec lata, dąsała się, skąpiąc ładnej pogody; nawet pod kocem kuliłam się z chłodu. Zmobilizowałam się, by rozpaść w kominku. Wychodziło mi to coraz lepiej, tym razem jednak zadanie miałam utrudnione. W koszu zostało zaledwie kilka szczap, resztki na samą rozpałkę. Odczekałam chwilę, aż ogień się rozżarzył i chcąc nie chcąc, musiałam udać się po opał.

Drewno było składowane na zewnątrz, pod skośnym zadaszeniem. Niestety, z przeciwnej strony niż wyjście od frontu, toteż musiałam dom obejść, trzymając się ledwo już widocznej dróżki. Zmarzłam, bo lekkomyślnie wyszłam w samym swetrze. Pośpiesznie ładowałam drewno, kiedy najpierw poczułam kilka kropli na twarzy i zaraz lunęło z całą siłą. Taszczyłam ciężki kosz pod górę, raz za razem się ślizgając.

Za rogiem domu dostrzegłam światła samochodu. Oddalał się już, lecz znajomy odgłos silnika wskazywał, że to gazik leśniczego. Niekiedy podrzucał tu mojego współlokatora. Do drzwi wejściowych dotarłam doszczętnie przemoczona i tam czekała mnie niespodzianka. Były zamknięte.

Wymacałam dłonią dzwonek i zaczęłam gwałtownie go naciskać. Nic, żadnej reakcji od wewnątrz. Poczulałam się nieswojo. Facet wrócił i zorientował się, że opuściłam dom bez kluczy, nawet go nie zamknęłam. Teraz zajmie całe domostwo, a mnie nie wpuści! Mogę dzwonić ile chcę, a on będzie udawać, że nie słyszy...

Gdy wyobraziłam sobie, jak w ciemnościach i deszczu brnę do Garbarków, ogarnęła mnie wściekłość. Akurat! Nie ruszę się stąd ani na krok! Z jeszcze większym zacięciem naciskałam dzwonek, równocześnie waląc w drzwi drewnianym palikiem. Po chwili się otwarły, a na mnie padła smuga światła.

Facet miał zdumioną minę i chyba nie od razu mnie rozpoznał. Nic dziwnego. Krople wody kapały z włosów na moją twarz, wykrzywioną gniewem. Bez słowa wepchnęłam się do holu, a moje spojrzenie mogło mierzyć się z bazyliżkowym. Współlokator chyba dopiero wtedy zorientował się, w czym rzecz, gdyż zaczął się nieskładnie tłumaczyć:

- Nie słyszałem... byłem na górze.
- Zamknął pan drzwi! – syknęłam.
- Tak? Chyba odruchowo... Kto jednak wychodzi z domu bez kluczy?

Nie słuchałam go. Odstawiłam kosz na posadzkę i trzęsąc się z zimna, pobiegłam po schodach na górę. W łazience ręcznikiem osuszyłam włosy, potem obmyłam twarz. Poczułam zadowolenie, że wreszcie mogę przebrać się w coś suchego. Włożyłam spodnie od dresu i wełniane skarpety, a na plecy zarzuciłam dwa swetry; mimo to dygotałam. Pomyślałam, że jeżeli zaraz nie wypiję czegoś gorącego, to nie rozgrzeję się nawet pod kołdrą, a może nawet przeziębę. Musiałam zejść na dół, tyle że tam kręcił się człowiek, na którego byłam wściekła. Przemogłam opory, zdrowie ważniejsze.

Mój współlokator pochylał się nad paleniskiem, podkładając do ognia. Na odgłos moich kroków odwrócił się w moją stronę. Chyba się nawet uśmiechnął. Uciekłam wzrokiem i przemknęłam do kuchni, by włączyć podgrzewacz do wody. Nie usłyszałam, kiedy mężczyzna nadszedł. Zorientowałam się, że stanął za moimi plecami, dopiero wówczas, gdy się odezwał:

- Proszę usiąść przy ogniu, a ja zrobię nam herbatę z rumem!

Poczułam się niewyraźnie, choć barwę głosu miał akurat nietypowo łagodną.

- Nie trzeba – burknęłam.

– Trzeba, trzeba. To poniekąd i moja wina, że pani przemokła. Zresztą, mnie także przyda się coś mocniejszego.

Nie dopytywałam się, z jakiego powodu on również potrzebuje rozgrzewki. Czyżby przewidywał kolejną rundę walki między nami?

- Jak to możliwe, że nie usłyszał pan dzwonnka?!

– Długo pani tam stała?! Hm... Po powrocie włączyłem u siebie muzykę. Gdybym nie zszedł na dół zobaczyć, co z ogniem, nadal by pani tam mokła – odparł, lecz mogło to być zgrabną wymówką.

Przy okazji wyjaśnił mi również, jak miała się tu rzecz z kluczami. Piętro niżej, czyli na samym dole, było drugie wyjście na zewnątrz. Widziałam je podczas pierwszej lustracji domu. Za nimi znajdowało się znane mi już zadaszanie z zapasem opału. Czego jednak nikt mi nie powiedział, to że klucz do obydwu drzwi był jeden. Wyglupiłam się więc, latając dookoła domu. Jeżeli nawet rozbawiłam faceta, to na jego twarzy nie ujawniła się Schadenfreude. Zachował typowe dla siebie oblicze sfinksa.

Nie patrząc na mnie, wyjął z szafki dwie szklanki i butelkę rumu. Zanim

zabrał się do zaparzania herbaty, zatrzymał się na chwilę i spojrzał na mnie wymownie. No dobrze, ustąpiłam, kierując się w stronę kominka. Usiadłam na kanapie, okrywając się kocem – w tak dużym pomieszczeniu ciepło rozprzestrzeniało się wolno. Byłam zbyt rozdygotana, żeby zastanawiać się nad sytuacją.

Wkrótce wrócił, niosąc przed sobą tacę pełną przekąsek. Postawił ją na stoliku i najpierw wlał do szklanek rum, po czym dolał herbaty. Wsypał po dwie łyżeczki cukru i zamieszał.

– Proszę pić, póki gorąca! – Podał mi szklankę.

W podziękowaniu skinęłam głową. Skosztowałam napój. Nie wydał mi się mocny, lecz już po pierwszych łykach krew zaczęła krążyć mi szybciej. Czułam się nieswojo, zmieszana bliskością mężczyzny, jego odmianą, jego uprzejmością. Od naszej poprzedniej rozmowy zmienił się również zewnątrz. Na jego policzkach pojawił się zarost, zamienił czarny strój na dzinsy i kraciaste, flanelowe koszule. Spojrzenia miał dzisiaj inne, bez uprzedniej wrogości, spokojne, wręcz mi przychylnie. Być może coś knuł, albo to był jego dzień miłosierdzia dla bliźnich. Sączyliśmy herbatę w milczeniu.

– Pani Karolo, mam pewną propozycję – odezwał się.

Po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu. Nie wiedziałam, czy to krok ku spoufaleniu, czy próbuje uśpić moją czujność. Na wszelki wypadek miałam się na baczności.

– Jak sądzę, pani nie zamierza stąd wyjechać, ja również planuję tu pozostać. Może więc spróbowałibyśmy jakoś się dogadać? A najlepiej rozpocząć wszystko od nowa. Początek naszej znajomości był dość niefortunny.

– Nie tylko początek – mruknęłam. – Nie wiem nawet, jak pan się nazywa.

– Przepraszam, ma pani rację. Powinienem zacząć od tego.

Odstawił szklankę, podniósł się z miejsca i wyciągnął do mnie rękę.

– Armin.

– To imię czy nazwisko? – Wolałam się upewnić.

– Imię. Proszę tak zwracać się do mnie. O ile nie jest to dla pani niezręczne...

Czy był to może sprytny fortel, aby wymigać się od wyjawienia swojego nazwiska? Nie miałam pewności. W każdym razie uśmiechał się niewinnie.

– To dla mnie nie problem. – Wzruszyłam ramionami. – Proszę też do mnie mówić po imieniu, ale pod jednym warunkiem...

Spojrzał na mnie, unosząc brew. Czym prędzej więc dokończyłam:

– ...że podarujemy sobie brudzia.

Zaśmiał się, błyskając zębami i wyraził zgodę. Na razie bardzo trudno było mi myśleć o nim „Armin”; przez te wszystkie dni nadawałam mu różne określenia, od zbira po czubka. Zwątpiłam nawet, czy kiedykolwiek czegoś się o nim dowiem. Jednakże teraz, kiedy szukał porozumienia, niska barwa jego głosu stała się nawet

przyjemna dla ucha. Jak widać, jeśli chciał, potrafił być sympatyczny.

Armin, jeżeli naprawdę tak się nazywał, wrócił do poprzedniego tematu:

– Czy myślę się, przypuszczając, że nie tylko ja przybyłem tu z potrzeby samotności?

– Dla mnie nie ma to aż takiego znaczenia. Mogę tu być sama, albo z kimś.

– Jak długo planujesz tutaj pozostać? – zapytał.

– Nie wiem. Teoretycznie mogłabym nawet i pół roku.

– Pół roku... – Milczał chwilę. – No cóż, w takim razie pozostaje zawrzeć układ. Myślę o ustaleniu pewnych zasad.

– Doceniam, że już mnie pan... że już mnie nie wyrzucasz. – Nie powstrzymałam się przed sarkastyczną uwagą.

– Nie wracajmy do tego. Przyznam, że wolałbym być tutaj sam, ale skoro to niemożliwe, pójdźmy na jakiś kompromis.

– Co proponujesz?

– Może zabrzmiałoby to trochę cudacznie, ale chciałbym mieć święty spokój. Rozumiesz?

– Nie całkiem.

– No wiesz, żadnych wspólnych posiłków czy innych prób zaprzyjaźnienia się – rozpoczął rzeczowym tonem. – Jutro z rana przeniosę się na dół. Naturalnie, w jednym domu nie sposób nie natykać się na siebie. Chodzi jednak o to, abyś nie miała wobec mnie żadnych oczekiwań. W mojej aktualnej fazie ducha nie piszę się na towarzyskość... Umiesz to zaakceptować?

Byłam skołowana, co w moim wypadku pokrywało się z blokadą aparatu mowy.

– Karola? – ponaglił mnie.

– W porządku, jestem za – odparłam beznamiętnie.

– Cieszę się. W takim razie przejdźmy do następnej sprawy.

W przeciwieństwie do mnie on, jak widać, przygotował się do rozmowy.

– Goście – rzucił.

Spojrzałam na niego pytająco.

– Nie chcę, abyś kogokolwiek tu zapraszała. Mnie również nikt nie będzie odwiedzać.

– Powoli! Tego już nie mogę obiecać.

Do tej chwili nawet nie pomyślałam o zaproszeniu tutaj kogokolwiek. Zaprotekowałam na przekór. Patrzyłam na niego hardo.

– Będziesz musiała. To należy do naszego układu – oświadczył; wytrzymał moje spojrzenie.

– Jakiego układu? – Wkurzył mnie. – Przecież ustaliśmy dopiero, co i jak. Trzymać się na dystans? Nie ma sprawy. Brak twojego towarzystwa nie wydaje mi się ogromną stratą. Nie znaczy to jeszcze, że ślubowałam żyć jak w klauzurze

zakonnej! Możliwe, iż nie zaproszę tu nikogo, ale nie wykluczam, że będzie inaczej.

Słuchał mnie w skupieniu, marszcząc czoło. Poczułam się pewniej. On nie ma prawa niczego mi narzucać! Jeżeli mu się nie podoba, droga wolna!

– Spodziewasz się przyjazdu męża? – zapytał nagle.

– Nie jestem mężatką – odparłam, zanim zdołałam ugryźć się w język.

– To kogo? – dociekał nietaktownie. – Narzeczonego? Chłopaka? Na zakonnicę istotnie nie wyglądasz...

Zgromiłam go wzrokiem.

– Po prostu odhacz ten punkt i przejdź do następnego!

– Nie tak szybko! Nie życzę sobie, aby kręcili się tutaj jeszcze jacyś inni ludzie!

– To masz pecha, ponieważ właścicielka domu zezwoliła mi na to! Jedyne, co mogę dla ciebie zrobić, to w stosownym czasie uprzedzić cię o czyjejs wizycie. Na dalsze ustępstwo nie pójdę.

Znów się zamyślił. Uznał chyba, że nic nie wskóra, gdyż nie spierał się więcej. Natomiast ja kułam żelazo póki gorące:

– Chętnie zostawię cię w spokoju, ale nie zamierzam sama zajmować się domem. Skoro już ustalamy wszystko, podzielmy też obowiązki!

Zaskoczyłam go. Wypunktowałam mu, co jest tutaj do roboty, a potem targowaliśmy się, kto ma czym się zająć. Wreszcie doszliśmy do porozumienia. Armin zadba o wszystko, co na zewnątrz domu, włącznie z rąbaniem drzewa na opał, ja zaś o ogólne porządki na wspólnym poziomie. Piętra powyżej i poniżej rozdzieliliśmy na nasze „prywatne”, z ograniczeniem, lecz nie zakazem poruszania się po nich, co było mi zresztą na rękę. Do parteru od początku miałam uprzedzenie, a na górze, odkąd zamieszkał tam Armin, czułam się skrępowana. To jednak w łazience na dole podłączona była pralka automatyczna, a obok znajdowała się suszarnia, więc siłą rzeczy, tam też musiałam schodzić. Z kolei współlokator wyegzekwował sobie prawo wylegiwania się w kąpeli; w łazience na parterze nie było wanny. Złośliwiec. Potem przypomniałam sobie jeszcze o lodówce, prosząc o trzymanie się swojej połowy. Tutaj przyciął mi już z lekką irytacją, że nie jest na diecie, by dobierać się do moich jogurtów.

Ustaliliśmy podział kosztów za ogrzewanie i wodę, po czym dotarliśmy do finału rozmowy. W moich oczach Armin nabrał cech dziwaka-samotnika, niepozbowionego sprytu. On najpewniej miał mnie za nudną osobkę z tendencjami do uporu i pedanterii.

Rozstaliśmy się po wypiciu drugiej szklanki herbaty z rumem. Armin podniósł się z miejsca z nonszalanckim wyrazem twarzy, jakby załatwił, co chciał i nic więcej go nie obchodziło. Miałam wypieki na policzkach, na pewno nie tylko z powodu alkoholu. Czułam się wystrychnięta na dudka, powoli jednak opanowałam

emocje. Armin pragnie świętego spokoju? Dostanie go. Oprócz okresowego pobytu pod tym samym dachem, przecież nic nas z sobą nie łączyło. I niech tak pozostanie. Niewchodzenie sobie w drogę było idealnym rozwiązaniem.

Atak migreny tym razem mnie nie zaskoczył, lekarstwo zażyłam na czas. Po trzech kwadransach ból głowy minął, natomiast przez resztę dnia byłam zmuszona pogodzić się z ubocznymi następstwami specyfiku – niedyspozycją żołądka i ogólnym osłabieniem kondycji. Do wieczora bardziej egzystowałam niż żyłam, a spowolnionym myślom towarzyszyły ślimacze ruchy. Teraz dzień spisany na straty był łatwiejszy do zniesienia niż dawniej. Nie obciążały mnie wyrzuty sumienia, że zawałam terminy i zawodzę ludzi. Nie musiałam tłumaczyć się z czegoś, na co nie miałam wpływu, a czemu nie zawsze wierzono. Niektórzy uważali, że cackam się z sobą, wymyśliłam sobie dobry wykręt lub odgrywam arystokratkę, ale tak naprawdę jestem po prostu hipochondryczką. Tylko nieliczni potrafili rozróżnić zwykły ból głowy od ataków migreny. Zazwyczaj sami doświadczyli jej ataków.

Armin, tak jak to zapowiedział, przeniósł się do mieszkania na dole. Za dnia prawie wcale się nie widywaliśmy, pewien problem stanowiły wieczory, zwłaszcza przebywanie przy kominku. Uwielbiałam tam przesiadywać, cóż, kiedy mój komfort psychiczny zniknął z chwilą pojawienia się Armina. Nie mówił wyraźnie, że mu przeszkadzam, ale dawał mi to odczuć. Potrafił rozłożyć się z książką czy gazetą na kanapie, nic sobie nie robiąc z tego, że siedzę obok na fotelu. Poza zdawkowym przywitaniem zupełnie mnie ignorował. Ja, widząc, że on już zasiadł przy kominku, zakręcałam na schodach i wracałam do siebie. Po powrocie do domu pichcił sobie jakieś gorące danie, a ja, pamiętając, co mówił o wspólnych posiłkach, wtedy też wolałam czmychnąć na górę. Dochodziło i do innych, krępujących mnie sytuacji.

Kiedyś, pewna, że współlokator dawno śpi, zeszłam w piżamce na dół, aby zaparzyć sobie ziółka. Pijąc je, słuchałam cicho włączonej muzyki. Raptem zjawił się Armin, a niedwuznaczne spojrzenie, jakim mnie zlustrował, sprawiło, że spąsowiałam jak małolata. Na domiar złego, zabrał się do otwierania butelki wina. Czym prędzej wycofałam się na górę, obawiając się, że mój strój plus jego alkohol mogłyby się stać niebezpieczną mieszanką.

Innym razem to Armin, raczej bezwiednie, sprowokował mnie do wejrzenia na niego innym okiem. Nie mogąc zasnąć, do późna czytałam, kiedy pomimo wcześniej zjedzonej kolacji zgłodniałam. Zeszłam więc po jogurt, a gdy wracałam, z dołu wyłonił się Armin, chyba także z celem na kuchnię. Miał na sobie tylko bokserki, ale w przeciwieństwie do mnie, nie wyglądał na zażenowanego. Chociaż już kompletne ubranie nie do końca skrywało jego budowę, to wtedy naprawdę sobie uświadomiłam, jak silnym musiał być mężczyzną. Nie przeszło to po mnie bez śladu.

Te incydenty były jednak niczym w porównaniu do moich cowieczornych

rozterek względem rozgoszczenia się przy kominku. Armin zdawał się nie mieć takich dylematów i zachowywał się, jakby dom należał do niego. Drażniło mnie to. Przed paroma dniami wszedł do kuchni, by przygotować sobie kolację, lecz tym razem nie ruszyłam się z ulubionego miejsca. Wiedziałam, że gdy zasiądzie przy stole, jak zwykle zapyta, czy mam ochotę się poczęstować. Nie myliłam się. Tym razem jednak zaskoczyłam go chyba, gdyż zamiast „nie, dziękuję”, odparłam:

– No właśnie, nie wydaje ci się, że stawiamy siebie w niezręcznym położeniu? Ty nieszczerze proponujesz mi jedzenie, bo tak wypada, a mnie z kolei głupio tu zostać, wiedząc, że wolisz być sam.

Spojrzał na mnie przeciągle, uśmiechnął się, ale nie zaprzeczył. Po chwili stwierdził:

– Wiedzieliśmy, na co się piszemy, godząc się na układ.

– Można by go zmodyfikować...

– Domyślam się, że masz dla mnie jakąś propozycję. – Mierzyliśmy się wzrokiem.

– Owszem. – Cieszyłam się w duchu, że nareszcie to rozwiążemy. – Właściwie chodzi tylko o wspólne wieczory, bo z resztą radzimy sobie w miarę dobrze.

– O wspólne wieczory?

Jego uniesione brwi uświadomiły mi, że być może opacznie pojmuję moje słowa, więc czym prędzej dodałam:

– Ustalmy jeszcze prawo do odpoczynku przy kominku.

Popatrzył na mnie ze zdumieniem.

– Jak to sobie wyobrażasz, Karolo? Będziesz tutaj w dni parzyste, a ja w nieparzyste?!

– Czemu nie? – Byłam trochę speszona.

– Życie też masz tak precyzyjnie poukładane? – W jego głosie pojawiła się nuta ironii.

– Nie kpij. Chcę tylko uprościć naszą koegzystencję!

– Doceniam to, ale uważam, że przesadziłaś! – Kręcił z niedowierzaniem głową. – Ani myślę na to przystać! Będę tu przebywać, ilekroć przyjdzie mi ochota. A żebyś nie myślała, że masz do czynienia z egoistą, daję ci prawo do tego samego.

– Krótko mówiąc, wracamy do punktu wyjścia. – Westchnęłam.

– Karola... nie skłonisz mnie, abym dobrowolnie zgodził się być więźniem tego domu!

– Teraz ty przesadzasz! Chyba dobrze, iż co drugi dzień będziemy schodzić sobie z drogi? Przecież sam tego chciałeś!

– Ale ja jestem zadowolony!

– Nie widzisz czy nie chcesz widzieć problemu?

– Sama go stwarzasz! Twoja obecność wcale mnie nie krępuje i to bez względu na porę i miejsce...

– Zauważyłam... – wtrąciłam z przekąsem.

– Nie ma więc powodu, byś zwiewała stąd, ilekroć tu przychodzę – dokończył.

– Wiem, ale traktować się wzajemnie jak powietrze chyba dla żadnego z nas nie jest przyjemne. Uważam, że lepiej się dogadać i będzie po kłopotcie.

– Zawsze jesteś pragmatyczką?

Tym razem zaskoczył mnie nie tyle sensem pytania, ile tonacją. Nie było w niej śladu kpiny, raczej powaga z odrobiną zdumienia. Być może to właśnie sprawiło, że zająknęłam się i nie odpowiedziałam. Skupił się na jedzeniu, dając mi znak, że uznaje rozmowę za zakończoną. Wycofałam się na swoje piętro. Pozostały mi znowu uniki, lecz rzadziej zachodziła taka potrzeba. Armin tylko sporadycznie pokazywał się w kuchni, wracał do domu później niż zwykle.

Nie brakowało mi towarzystwa ludzi i ceniłam sobie spokój tego miejsca. Dużo spacerowałam, a chaotyczna mozaika moich myśli coraz częściej układała się w rozpoznawalny wzór. Dom na polanie nastrajał mnie do refleksji i z każdym dniem czułam się tutaj odrobinę inna. Niekiedy wracało do mnie pytanie Armina, a będąc wobec siebie uczciwa, nie umiałam temu zaprzeczyć. Tak, byłam pragmatyczką, stałam się nią zresztą na własne życzenie. Trzymałam na wodzy tak uczucia, jak i fantazję, chociaż kiedyś często jej się oddawałam. „Tamto już nie wróci!”, moja wewnętrzna strażniczka stawiała mnie tym hasłem na baczność.

Po tylu latach tego swoistego treningu wciąż nie byłam w stanie zająć się wiwisekcją. Moja pamięć okazała się zawodna. Dawno przestałam jej ufać, nie mając pewności, czy nie zniekształciłam minionych zdarzeń, wyolbrzymiając te negatywne. Teraz jednak, kawałek po kawałeczku jakby się zasklepiała. Luki wypełniały się pierwszymi wspomnieniami.

Mało tych dobrych łączyłam z ostatnim okresem życia w Polsce. Może szczęśliwa byłam jedynie w dzieciństwie i we wczesnej młodości? Mogło też być, że podświadomie wyparłam wszystko, co obudziłoby we mnie tęsknotę – za krajem swojego pochodzenia i za sobą z tamtych lat. Nie byłabym pierwszą ani ostatnią osobą, która woli przeglądać się w zakurzonej lustrze niż przetrzeć je ściereczką prawdy.

Znałam kilku emigrantów chyba właśnie z takiej przyczyny bojących się powrotów do Polski. Na odległość nic nie burzyło ich poczucia, że słusznie podjęli taką właśnie decyzję. Spalili za sobą mosty, lecz na drugim brzegu również pozostali obcy, bez korzeni rodzinnych i wspólnej, narodowej przeszłości. Cóż, asymilacja w pierwszym pokoleniu nie była możliwa, a mógł twierdzić inaczej tylko głupiec lub kłamca.

Nowa fala przyjezdnych, tych tylko na chwilę, przybywała już z innym

nastawieniem. Nie wstydziła się swojej polskości, nie miała ani kompleksów, ani nierealnych oczekiwań. Znała swoją wartość i prawa rynku, wykorzystywała jedno i drugie. Ich cel był określony jasno: dorobić się, by kiedyś powrócić. Nie miała potrzeby bronić się przed wątpliwościami stałym utyskiwaniem na Polskę, dlatego jawnie mówili tak o wadach życia w kraju, jak i o swojej nostalgii. Parę razy byłam świadkiem starć rodaków, gdy jedna ze stron pluła na wszystko co polskie, druga zaś rewanżowała się wytykaniem mankamentów obczyzny. Moje stanowisko leżało gdzieś pośrodku. Trzeźwo postrzegałam życie tak u siebie, jak i za granicą, wiedząc, że Eden w jakimkolwiek miejscu na naszej ziemi to iluzja.

Po kilku tygodniach pobytu w Polsce dotarło do mnie coś jeszcze. Nasze polskie przyzwyczajenia przynależały do nas, były swojskie, więc nie raziły tak bardzo jak cudzoziemskie dziwactwa, z którymi nie zdążyliśmy się jeszcze zżyć i nie nauczyliśmy się ich ośmieszać. Ile lat trzeba spędzić za granicą, aby nowe stało się naszym? Czy będąc wychowanym gdzie indziej, w ogóle można to zrobić? Czym jest normalność, którą akceptujemy, chwalamy ją, albo na nią psioczemy, lecz czujemy się w niej jak ryba w wodzie? Swoje to swoje. I chyba nie ma różnicy, czy dotyczy to więzów krwi, czy chodzi o terytorium ojczyste.

Zamieszkując w domu na polanie, przestawiłam się na inne warunki. Przewidywałam, że nie będzie tu idealnie. Chłód, gdy w kominku wygasł ogień, brak telewizji, Internetu, niekiedy też ciepłej wody... W Polsce brałam życie, jakim było, zaskakująco łatwo dostosowując się do jego utrudnień. Podobne sytuacje doświadczane gdzie indziej, również na urlopie, potrafiły zepsuć mi humor na wiele godzin. Nie tutaj.

Bywało, że zdarzenia mnie przerastały. W pewnej chwili zorientowałam się, że zażyłam już wszystkie tabletki, jedyne, które pomagały mi powstrzymać migrenę. Bez mojego koła ratunkowego poczułam się niepewnie. Musiałam coś z tym zrobić, zabezpieczyć się, uspokoić.

Podczas wizyty w uzdrowisku wstąpiłam do apteki i spytałam o potrzebny lek. Potwierdziło się, iż tryptany są tylko na receptę. Zaproponowane inne środki były dla mnie zbyt słabe. Farmaceutka zdradziła mi w rozmowie, że też cierpi na migrenę – zerknęła na mnie ze współczuciem. Aż nie mogłam uwierzyć, gdy powiedziała, że sprzeda mi środek na swoją receptę, farmaceutyczną. Oczywiście należało zachować dyskrecję. Poleciała mi miejscowego lekarza, abym w przyszłości nie miała podobnego problemu. Opuściłam aptekę szczęśliwa, mile zaskoczona miłosiernym podejściem farmaceutki.

Przypadek ten wywołał z mojej pamięci podobne epizody, gdy pomagano mi, omijając regulamin, podpowiadano wyjścia awaryjne. Wiadomo, że bez przepisów regulujących życie w państwie zapanowałby ogólny rozgardiasz. W Polsce jednakże nie zdominowały one jeszcze zdrowego rozsądku, a także – człowieczeństwa.

Tam, gdzie mieszkałam na stałe, instrukcje na piśmie były niepodważalną świętością i mogłam być pewna, że nikt nie naraziłby się dla mnie jak ta farmaceutka. Współczucie byłoby może i szczerze, lecz spod okienka apteki odprawiono by mnie z kwitkiem. Odwieczna różnica w mentalności czy raczej stopniowe znieczulenie serc? Wszędzie tam, gdzie zaczynał panoszyć się pieniądz, podejście ludzkie zamieniało się w bezduszny schematyzm. W dobie globalizmu stopniowo stawało się to jakby normą.

Nie pasowałam do istniejącego porządku świata. Poddawałam się mu na tyle, na ile musiałam, lecz płacąc za to cenę. Teraz, gdy nic nie rozpraszało moich myśli, zostałam skonfrontowana ze skutkami życia, jakie dotąd prowadziłam. Tutaj nie dało się uciec w kompanię innych zagubionych ludzi, zagłuszających poczucie wyobcowania frazesami czy alkoholowym animuszem.

Unikałam ilustrowanych czytań, w których kreowano nie tylko zewnętrzny wizerunek, lecz także sposób życia. Komercyjny, rzecz jasna, ze szczyptą czegoś na deser: pseudomistyki, pseudofilozofii, pseudopsychologii. Podawano ludziom mgliste cele do zdobycia oraz iluzoryczne przekonanie, że nie są materialistami. Oczytani ignoranci popisywali się swoją wiedzą z gazet i małpowali swoich wielkich, których największą zasługą było posiadanie tego, czego oni jeszcze nie mieli, a bardzo pragnęli. Przede wszystkim – dużych pieniędzy, niekiedy sławy, urody, a rzadziej władzy. Media prowadziły ludzi za rączkę, na pozór informowały i relaksowały, a naprawdę – zniewalały i otepiały. Czy stałam się już ich ofiarą? Być może tak. Prawdziwie pojmować zaczęłam to dopiero tutaj, w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Korony buków przy drodze do wioski nabrały barwy złota, inne drzewa ustroiły się w czerwienie i rudości. Tylko choiny pozostały niezmiennie zielone; im dalej od lasu, tym było ich mniej. Słońce prześwietlało chmury, dotykając niekiedy i mojej twarzy. Zimne policzki ogrzewały się wtedy na chwilę, by wyziębić się, kiedy wchodziłam w cień. Ostre powietrze przesycił zapach butwiejących liści porzuconych na ziemię po hulankach wiatru. Widoczność była dziś doskonała, mogłam podziwiać góry otaczające dolinę, a nawet dalekie szczyty, których istnienia nie podejrzewałam. Na żaden, nawet najbliższy, dotychczas nie weszłam; to pogoda nie dopisała, to brakowało wiary w swoje siły.

Droga, mimo kamiennej nawierzchni, była nierówna, upstrzona plackami wyrw. Przy pierwszych zabudowaniach wioski złączyła się z wstęgą asfaltu i odtąd szło mi się lepiej. Napotykałam pojedynczych przechodniów, niekiedy minął mnie jakiś pojazd. Grupka dzieci z kolorowymi tornistrami na plecach żywo rozprawiała o czymś przy strumyku.

Zaplanowałam wybrać się do uzdrowiska. Na przystanku nikogo nie było i rozkład jazdy autobusów potwierdził, że poprzedni dopiero co odjechał. Ruszyłam więc pieszo, przez pola; podobno tamtędy krócej niż szosą. Do granic miasteczka

dotarłam w niespełna pół godziny, a po kwadransie doszłam do centrum.

Chodniki zapełniały się ludźmi. Bez trudu odróżniałam miejscowych od turystów; ci pierwsi poruszali się pośpiesznie, przeważnie niosąc w torbach zakupy, drudzy w tempie spacerowiczów i jakby bez celu. Pośród nich zauważyłam starszych Niemców. Starannie ubrani, niegłośno rozmawiali, trzymając się w kiluosobowych grupkach. Autokary z rejestracjami ich kraju w tym rejonie nikogo nie dziwiły. Sądząc po wieku wycieczkowiczów, mogli pamiętać te strony jedynie z młodości bądź nawet z dzieciństwa. Wielu straciło tu domy rodzinne, bliskich, przyjaciół, a dekady lat niemal zupełnie pozmiały dawną rzeczywistość. Dlaczego więc, nie patrząc na nic, pragnęli raz jeszcze znaleźć się na tej ziemi, przywołać wspomnienia, chociażby i bolesne? Dało mi to do myślenia.

Większość sklepów przy głównej ulicy nastawiła się na pamiątkarstwo. Poza sezonem świeciły pustkami, czekając na kolejną falę masowej turystyki. Oglądałam wystawy, na niczym nie zatrzymując oka na dłużej. Aż jedna witryna przyciągnęła moją uwagę i zdecydowałam się wejść do sklepu. Był to antykwariat. Zapowiedział mnie dzwonek nad drzwiami, a wówczas starszy pan siedzący przy biurku w kącie pomieszczenia podniósł się z krzesła.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał.

– Dzień dobry! Nie, dziękuję. Rozejrzę się trochę...

Zlustrował mnie baczny spojrzeniem. Chyba uznał, że nie musi patrzeć mi na ręce, bo rzucił „bardzo proszę!” i na powrót usiadł, zatapiając się w czytaniu książki. Padała na nią smuga światła z gabinetowej lampy w stylu Tiffany.

Ostrożnie poruszałam się po wnętrzu, by przypadkiem o coś nie zawadzić. Niektóre meble służyły do eksponowania starych przedmiotów, inne same w sobie były antykami. Bordowe ściany stanowiły tło dla obrazów oraz zegarów, a spod sufitu zwisały żyrandole, kryształowe i inne. Moją uwagę przykuła porcelana wystawiona w szklanej witrynie. Były tam komplety z Miśni, zabytkowe świeczniki, pojedyncze figurki i rozmaite bibeloty. Regina kolekcjonowała porcelanowe zwierzęta i przyszło mi na myśl, że byłoby miłym gestem z mojej strony przywieźć jej z Polski pamiątkę. Spodobała mi się figurka przedstawiająca dwa białe konie w biegu. Odważyłam się zapytać o cenę.

Antykwariusz przerwał lekturę i podszedł do mnie gibkim, jak na swoje lata, krokiem. Barwa jego głosu była niemal młodzieńcza i mogła nawet uchodzić za kobiecą. Zza okularów patrzyły na mnie inteligentne, szare oczy, nie szacował w typowy dla sprzedawców sposób możliwą zawartość mojego portfela. Nie byłby jednak człowiekiem handlu, gdyby miast udzielić mi rzeczowej odpowiedzi, nie począł opisywać wyjątkowości figurki.

– Dobry wybór! – Najpierw mnie pochwalił. – Rzecz jest z początku dwudziestego wieku, więc nie tak kosztowna, droższe są starsze rzeczy. Jak widać, biała porcelana, ręczna robota. Proszę spojrzeć na ten wspaniale oddany ruch

zwierząt, rewelacyjne wykonanie! Ciekawa jest również ta podłużna plinta imitująca trawy...

Otworzył gablotę jednym z kluczy, których pęk pojawił się w jego dłoni. Nie wyjawiał ceny, natomiast z namaszczeniem wyjął figurkę i ostrożnie mi ją podał. Nie powiem, aby zrobiła na mnie jakieś oszałamiające wrażenie, ale przyznałam, że wyrób niczego sobie. Ponowiłam pytanie o jego wymierną wartość.

– Musi pani wiedzieć, że to Hutchenreuther... Znana niemiecka firma z długą tradycją.

– Tak, słyszałam o niej. Figura jest sygnowana? – zapytałam.

– Oczywiście! – zachnął się. – Proszę spojrzeć od spodu. To nie tylko piękna rzecz, ale i dobra inwestycja!

Zgadzało się. Wciąż nie wiedziałam jednak, ile to cacko kosztuje. Spróbowałam inaczej.

– Wie pan, dzisiaj i tak jej nie wezmę, nie mam przy sobie dużo gotówki. Ale jeżeli dowiem się ceny, szczerze panu powiem, czy zakup wchodzi dla mnie w rachubę. – Uśmiechnęłam się filuternie.

– No, dobrze. – Poddał się wreszcie. – Dla pewności sprawdzę w katalogu.

Zwróciłam mu figurkę, a on zamknął ją za oszklonymi drzwiami gabloty. Na biurku wertował jakąś księgę.

– Tak, mam. Figura z biegnącymi końmi. Hutchenreuther. Czteryście pięćdziesiąt złotych.

– Drogo – zmartwiłam się.

– Jak na pamiątkę z urlopu, zapewne. Ale jeżeli przyjmie pani, że to zabytkowy i cenny przedmiot...

– No tak... – przyznałam z zalem.

– Proszę mi wierzyć, nie mamy wygórowanych cen. Porównujemy je zawsze z aukcjami i innymi antykwariatami. Zysk jest dla nas sprawą drugorzędną, antyki to nasza pasja, mówię o mnie i moim współpracowniku. Proponuję, aby rozejrzała się pani po sklepie. Być może znajdzie też coś ładnego i tańszego? – zachęcał mnie z życzliwym uśmiechem.

Też się uśmiechnęłam, wyczuwając jego szczerłość. Nabyć coś drogiego nie było sztuką, aczkolwiek dla Reginy nie chciałam też skąpić. Za radą antykwariusza przeglądałam inne drobiazgi. W podziwie dla kunsztu dawnych rzemieślników dotarłam do sekretarzyka z mahoni. Obok wystawionych na nim starych przyborów do pisania w pewnym momencie dostrzegłam coś znajomego. I wówczas stała się rzecz, którą wcześniej znałam jedynie z opisów książkowych.

W jednej sekundzie przeniosłam się w czasie i znalazłam w domu rodzinnym, w swoim dziewczęcym pokoju. Widziałam go wyraźnie, w odróżnieniu od tego, co było wokół mnie, a stało się nagle zamglone. Straciłam nie tylko poczucie czasu i miejsca, szok stłumił również moje emocje.

Nie przeczuwałam, że pewne obszary mojej pamięci upomną się kiedyś o wielkie porządki. Zakurzone nieświadomie bądź porzucone celowo, ukrywały się tam pod gęstą pajęczyną. Nie miałam nic przeciwko temu, by zarosły nią szczelnie, a nawet na dobre. Nie lubiłam wracać do przeszłości, zwłaszcza w pewne lata. Być może dlatego stężałam, odkrywając nagle ten przedmiot. Nieprzygotowana na kaskadę skojarzeń, jakie we mnie wywołał, potrzebowałam chwili, żeby się otrząsnąć.

To była niewielka, mosiężna ramka na zdjęcie, taka z podpórką od tyłu, do postawienia na biurku bądź nad kominkiem. Wykonana według starego, najpewniej secesyjnego wzoru, oplatała się wokół fotografii roślinną wicią. W takiej samej trzymałam kiedyś zdjęcie mojej mamy, jedyne jej portretowe, nie licząc ślubnego, na którym opierała się głową o mojego ojca. Zarówno ta ślubna fotografia, jak i zdjęcia z młodości mamy, niezauważalnie zniknęły z naszego domu, wreszcie gdzieś przepadły. Zostało mi tylko to w złoczonej ramce, z której młoda, subtelna kobieta uśmiechała się tylko ustami, oczy miała smutne. Moja mama.

Nie miałam już nawet tej ostatniej pamiątki po niej, a właśnie tę zabrałabym ze sobą, opuszczając Polskę... Czasami myślałam, że twarz mamy zatarła się już w mojej pamięci, a potem nagle moje odbicie w lustrze znów mi ją przypominało. Tym razem wróciła inaczej, jak dawniej wypełniając ramkę, chociaż już tylko w moim wyobrażeniu.

Nie pamiętałam jej, nic mi nie mówiły jej dane, że miała tyle i tyle wzrostu oraz jakiej była postury. Nie wiedziałam, czy pachniała perfumami lub może tylko mydłem. Nie poznałam jej gustu ani intelektu, nie usłyszałam jej rad. Mama zmarła, gdy miałam niespełna cztery lata.

Niedługo po tym w moim życiu pojawiła się druga matka, która była zarazem moją ciocią – rodzona siostra mojej mamy. Z tego, co mi opowiedziano, kiedy ojciec został wdowcem, pomagała mu opiekować się mną i domem. Ciocia Eugenia była niezamężna, ale z córeczką i bez tatusia dla niej. Byłyśmy z Kingą rówieśniczkami i nierzadko brano nas za bliźniaczki, zwłaszcza, że później nosiłyśmy to samo nazwisko. Ojciec ożenił się ze swoją szwagierką i zaadoptował jej dziecko. Nie miałam pojęcia, czy decyzja o ślubie była wynikiem ich rozsądku, czy może jednak miłości. Oboje byli ludźmi mocno stąpającymi po ziemi, więc przypuszczałam, że zbliżyli się do siebie w logicznym ciągu wydarzeń. W rezultacie całe moje dzieciństwo i młodość wiązała się z ojcem, ciocią i Kingą. Wiedząc, że moją prawdziwą mamą jest kobieta ze zdjęcia, nie zwracałam się do drugiej matki inaczej niż „ciociu Geniu”. Nie przypominałam sobie jednakże dnia śmierci mamy ani jej pogrzebu. Nie ukrywano przede mną, że moja rodzicielka nie żyje, lecz będąc małym dzieckiem, chyba nie rozumiałam, co to znaczy. Miałam przecież rodziców, byłam zadbana i kochana.

Przedziwne, gdyż nagle odżyła we mnie pewna scenka z dzieciństwa: Jest

bardzo gorąco, liżę lody na tarasie parkowej kawiarni i nagle ta pani pochyła się nade mną. „Jaka ty jesteś podobna do swojej mamusi!”. Te słowa musiały coś mi uświadomić, skoro je zapamiętałam. Czy odtąd zaczęłam myśleć o zmarłej mamie i odczuwać jej brak? Może tak, może nie. Kilka razy w roku chodziliśmy z ojcem na cmentarz, składaliśmy na grobie mamy wiązanki kwiatów. Był to dla mnie miły rytuał, lecz długo nie pojmowałam, że własne atomy zawdzięczam osobie, której ciało spoczywa pod marmurową płytą. Z czasem nauczyłam się odczytywać litery jej imienia. MARIA – wodziłam palcem po nagrobku, a ojciec tylko kiwał głową, zawsze tam dziwnie milczący.

Dużo później zaczęłam wypytywać o matkę. Udzielano mi skąpych odpowiedzi, w rodzaju, że była dobrym człowiekiem, miała słabe zdrowie. Mimoza, wyraziła się kiedyś ciocia Genia, a ja zachodziłam w głowę, czy miała na myśli tylko jej konstrukcję fizyczną. Zagadywałam ojca, jaką była dla niego żoną, a dla mnie – choć tak krótko – mamą, lecz patrzył na mnie z takim bólem, że dałam spokój. Niekiedy zdradził mi jakiś detal, na przykład, że uwielbiała tańczyć, poznali się zresztą na szkolnej zabawie. Podczas tych fragmentarycznych wspomnień jego oczy szklily się radośnie, lecz gdy prosiłam o więcej szczegółów, potrafił urwać w pół słowa, kończąc rozmowę. Pozostawały mi tylko wyobrażenia o mamie, a te rodziły się właśnie, kiedy spoglądałam z łóżka na jej zdjęcie w mosiężnej ramce...

Opuściłam antykwariat, chyba nawet nie żegnając się z miłym sprzedawcą. Zatopiona w myślach spacerowałam po uzdrowisku, gdy znalazłam się nagle pod Domem Kultury. Od dawna chciałam tam wstąpić po plan imprez kulturalnych. Szatniarz, pełniący zarazem funkcję kogoś w rodzaju recepcjonisty, nie pozwolił mi na szybkie opuszczenie budynku.

– Trafiała pani na spotkanie autorskie, bardzo prosimy! Pora jest trochę wczesna, więc ludzi niewiele. To najwyżej godzinka, a potem będzie można kupić książkę z autografem!

– No, nie wiem. Nie nastawiłam się na to. A co to za autor?

– Dziennikarka z Warszawy. – Spojrzał do planu i podał mi jej nazwisko. – Książka traktuje o naszych stronach, na pewno panią zainteresuje.

Wahałam się, gdyż nadreptałam się po uzdrowisku i byłam już trochę zmęczona. Nie uśmiechało mi się też wracanie do domu w ciemnościach, aczkolwiek przezornie wzięłam z sobą latarkę. Z drugiej strony, jeśli będą nudy, mogłam wyjść przed końcem spotkania. Zgodziłam się wziąć udział w imprezie, a ucieszony pan wskazał mi drogę:

– Proszę pójść schodami na górę, drugie drzwi po prawej!

Podwójne skrzydła otwarte na oścież zapraszały do środka. Znalazłam się w sali o chyba wielorakim przeznaczeniu, ponieważ stał w niej fortepian, a ściany ozdabiały obramowane szkłem fotografie aktualnej wystawy. Kilkanaście rzędów

jednakowych krzeseł wypełniało środek pomieszczenia, za dużo, jak na niewielką liczbę zebranych tu gości. Na centralnym miejscu, za podłużnym stołem siedziały dwie kobiety i cicho rozmawiały ze sobą. Moje kroki tłumiła miękka wykładzina, więc dostrzegły mnie dopiero, gdy zajmowałam miejsce. Młodsza, rudowłosa, skinęła w moją stronę głową, posyłając mi uśmiech. Jej towarzyszka ukradkiem zerknęła na zegarek, a zaraz potem na drzwi.

Brakowało jeszcze paru minut do piętnastej i gdy wydawało się, że nikt już nie przyjdzie, z korytarza dobiegły odgłosy rozmów i próg sali przekroczyła gadatliwa grupka pań w średnim wieku. Wyglądały na kuracjuszki, które niekoniecznie dotarły tu z powodu chęci spotkania z autorką. Czymś rozbawione, rzuciły parę trywialnych uwag na temat fotografii, po czym wybrały rząd, w którym siedział jedyny tu obecny mężczyzna. Kiedy uspokoiły się wreszcie, rudowłosa zza stołu podniosła się z miejsca i powitała serdecznie gości oraz autorkę, którą przedstawiła, omówiła jej dorobek dziennikarski, by następnie przejść do promowanej książki. Dowiedziałam się, że została napisana na prośbę pewnej rodziny; ta od pokoleń żyła w uzdrowisku, po wojnie opuściła je na zawsze. Autorka bazowała na wspomnieniach spisanych w osobistych pamiętnikach i listach, jak również na wywiadach z ostatnią członkinią rodu pamiętającą ówczesne czasy.

Następnie głos zabrała pisarka. W sposób zdradzający wysoką kulturę i dbałość o piękno języka rozwinęła historię powstania tego projektu, od przypadkowej rozmowy z nestorką owej rodziny, po zainteresowanie nim polskich wydawców. Kilkakrotnie wyjeżdżała za granicę, by dotrzeć do prywatnych źródeł, jak też w celu konsultacji. Niestety, starsza pani, której bardzo zależało, aby powiązanie jej przodków z tą ziemią nie poszło w zapomnienie, nie doczekała się wydania książki. Zmarła w niespełna miesiąc przed jej ukazaniem się na polskim rynku. Jednakże zdążyła się jeszcze zatroszczyć, aby zapis dziejów jej rodziny został opublikowany również w języku niemieckim. Tłumaczenie było w toku.

Po wypowiedzi autorki przedstawicielka Domu Kultury zachęcała do dyskusji. Pytania padały nieśmiało i nawiązywały do rzeczy, które zostały już powiedziane. Dopiero ten jedyny mężczyzna na sali ożywił atmosferę. Pytał dziennikarkę szczegółowo o posiadłość rodziny, dla której pisała, jak też o ich obecne miejsce zamieszkania. Ciekawiło go także, czy powstanie cykl takich wspomnieniowych książek i czy ta była sponsorowana. Im dłużej mówił, tym bardziej ton jego głosu stawał się napastliwy, miał za złe autorce, że nie odpowiedziała na parę pytań, zasłaniając się ochroną prywatności.

Twierdził, że takie książki nie służą niczemu dobremu, jedynie wzbudzają nadzieję u Niemców na odzyskanie dawnych majątków. Inni byli odmiennego zdania, krótko mówiąc, doszło niemal do kłótni. Pracownica Domu Kultury prosiła o spokój i zażenowana przeproszała autorkę. Obserwowałam całe zamieszanie z

boku. Prowadząca zareagowała stanowczo i wyprosiła burzyciela ze spotkania. Grupka kuracjuszek stanęła po jego stronie i też opuściły salkę.

Po ich wyjściu rudowłosa wyraziła ubolewanie z powodu incydentu i raz jeszcze przeprosiła autorkę. Na zakończenie spotkania przypomniła o możliwości kupna książki, po niższej cenie niż rynkowa, a dla chętnych z dedykacją autorki. Sporo osób ustawiło się w kolejce.

Zastanawiałam się, czy warto ją kupić. Z okolicą nie byłam związana ani stałym miejscem pobytu, ani sentymentami. Historia tego rejonu znana mi była na tyle, na ile zapamiętałam ją ze szkoły, a temat roszczeń wobec ziem zachodnich nie podniecał mnie ani trochę. Wzięłam książkę i zaczęłam ją pobieżnie przeglądać. Zawierała mnóstwo fotografii, czarno-białych lub w sepii, jedynie ostatnie, przedstawiające elegancką, starszą panią o białych, starannie ułożonych włosach, było w kolorze. W jej spojrzeniu nie dostrzegłam pazerności, a biblioteczny regał, który stanowił tło, pozwalał przypuszczać, że od dóbr materialnych wyżej ceniła wartości duchowe. Na chybił trafił wybrałam jeden i drugi fragment tekstu, ale oprócz stwierdzenia poprawnego stylu, nie umiałam orzec, czy spodobałaby mi się całość.

Wtem natrafiłam na zdjęcie, które uderzyło mnie nieoczekiwaną znajomością scenerii. Przedstawiało moją polanę, z jej charakterystycznymi skałkami przy szlaku, identyczną linią lasu – zgadzało się wszystko! Dom na zdjęciu nie był widoczny, niemniej jednak książka dopiero teraz mnie zainteresowała. Kupiłam ją i ustawiłam się w kolejce po autograf.

– Dla kogo ma być? – zapytała autorka, omiatając mnie ekspresowym spojrzeniem.

Podaliśmy jej swoje imię i nazwisko, w zamian otrzymując wpis, na którym nie zależało mi wcale, jednak byłoby mi głupio wyjść stąd bez niego. Kierowałam się już w stronę drzwi, kiedy zatrzymała mnie rudowłosa:

– Bardzo przepraszam. Pani jest chyba u nas po raz pierwszy?

– Tak – odparłam, lekko zaskoczona pytaniem.

– Proszę wybaczyć, że się dopytuję, ale czy pani mieszka tutaj, czy tylko wypoczywa? Wydaje mi się, jakbym panią skądś znała.... Już wyjaśniam, w czym rzecz! – dodała. – Posiadamy bazę danych tutejszych mieszkańców, których interesują wydarzenia kulturalne. Wysyłamy im zaproszenia drogą internetową. Może więc i pani byłaby chętna? Latem dzieje się więcej, zagłada sporo przyjezdnych, jednak po sezonie, sama pani widzi, frekwencja jest nieduża. Zapewniam, że tak wybuchowo jak dzisiaj nigdy u nas nie było! Ciekawa jestem... jak pani do nas dotarła? Poleciał pani ktoś to spotkanie?

– Niezupełnie. Zauważyłam plakaty Domu Kultury i tutaj zaszłam. Pan z szatni na dole powiedział mi o spotkaniu, więc skorzystałam. Niestety, nie mieszkam tutaj na stałe. Wzięłam jednak plan imprez i jeżeli znajdę coś ciekawego

dla siebie, na pewno zajrzę.

– Bardzo prosimy! Na długo przyjechała pani do naszego uzdrowiska?

– Jeszcze nie wiem. Czas pokaże – odparłam zgodnie z prawdą.

– Proszę mi wybaczyć, bo zasypuję panią pytaniami, a nawet się nie przedstawiłam! Irena Janowicz. – Podała mi dłoń.

Nie byłam zachwycona, że rudowłosa mnie zatrzymała, teraz jednak zmieniłam zdanie. W jej zachowaniu, pomimo potoku słów, nie doszukałam się natręctwa. Gdy rozmawialiśmy, autorka książki się niecierpliwiła.

– Zdaje się, że nie ma potrzeby, abym została dłużej. Wszystko już ustaliłyśmy, chciałabym ruszyć w drogę. Daleka trasa przede mną. Więc już się pożegnajmy...

– Przepraszam, to raczej ja już pójdę. – Poczułam się winna.

– Ale proszę mi obiecać, że jeszcze do nas pani zawita! – rzuciła rudowłosa w moją stronę, a do autorki: – Przed jazdą warto się wzmocnić! W pobliżu jest całkiem przyjemna restauracja...

Przybyszka ze stolicy grzecznie, acz zdecydowanie postawiła na swoim. Nie pokazała po sobie, że cokolwiek podczas spotkania wytrąciło ją z równowagi czy chociażby nie zaspokoilo jej oczekiwań. No, może spodziewała się lepszej sprzedaży książek. Te, które pozostały, spakowała do dużej torby; pani Janowicz i ja pomogłyśmy zanieść bagaż na parking.

Dziennikarka upchała torbę w bagażniku i odjechała z piskiem opon, jakby czym prędzej chciała opuścić nieprzyjazne miejsce. Pani Janowicz wzruszyła tylko ramionami, widocznie przywykła do kapryśnych zachowań swoich gości.

– Jak widzę, dotarła tu pani pieszo – zwróciła się do mnie. – Może gdzieś panią podrzucić? Jestem już wolna, zamknę tylko salę i jadę do domu.

Spojrzałam na niebo. Słońce spieszyło ku zachodowi wystraszone nadciągającym z przeciwnej strony granatem. Podwieszenie byłoby mi na rękę.

– Dziękuję... To może na przystanek autobusowy? Muszę dostać się do pewnej wioski.

– A do której?

Kiedy podałam jej nazwę, roześmiała się.

– Szczęściara z pani! Ja tam mieszkam! Wreszcie wiem, dlaczego wydała mi się pani znajoma. Widywałam tam panią. Przy sklepiku, bo mieszkam naprzeciw. Co za zbieg okoliczności! Proszę chwilę zaczekać, zaraz wracam!

Szybko się uwinęła i parę minut później zajęłam miejsce w małym, groszkowozielonym samochodzie. Jego właścicielka spojrzała na mnie, uśmiechając się mile.

– Jesteśmy chyba w podobnym wieku – zagadnęła. – Nie byłoby lepiej przejść ze sobą na ty? Ojej, proszę mi wybaczyć! Po tej aferze na spotkaniu wciąż jestem podniecona i rozkojarzona!

- Ależ nie ma za co przepraszać! Bardzo chętnie!
- Super! – Posłała mi uśmiech i ruszyliśmy. – Karolina, tak?
- Właściwie Karola. Po ojcu Karolu.
- Do mnie można Irena lub Ira, jak wolisz. Nie lubię tylko zdrobnienia Irka.

Uff, gorset poluzowany.

– Słucham?

– Taka przerośnięta. – Zachichotała. – Do osób z naszego pokolenia łatwiej mi zwracać się po imieniu. Mój mąż mówi, że boję się uznać siebie za dojrzałą babę!

– Ja też wolę mówić po imieniu, ale czasami lepiej nie spoufalać się za szybko.

– Wiesz, dla mnie specjalnie nie ma znaczenia, jak długo kogoś znam. Do niektórych osób od razu czuję sympatię, a do innych trudno mi się przekonać.

– Widać, masz dobre wyczucie ludzi.

– Nie wiem. Albo kogoś od razu polubię, albo wcale.

– Aż tak?

– No! Oczywiście, nie zawsze się z tym ujawniam! – Zaśmiała się głośno.

– Nie sposób lubić wszystkich – zgodziłam się. – Ale może jednak warto niektórym dać drugą szansę?

– Zapomnij, nie ja! – przyznała z rozbijającą szczerością. – Mam chyba charakter po babce góralce. Ledwo ją pamiętam, bo zmarła, gdy byłam mała, jednak w mojej rodzinie do teraz krążą o niej anegdoty. Zawsze skora do pomocy, ale pamiętliwa jak cholera! Biada, jeśli ktoś jej się naraził!

– Mam więc szczęście, że niczym ci nie podpadłam... drałowałamby teraz pieszo! – Gawędząc, dotarliśmy do wioski. Zatrzymała się przy sklepie i zrobiłyśmy zakupy. Poleciała mi przy tym niedrogie, a dobre wino.

– Wypijesz je z mężem? – zagadnęła.

– Nie jestem mężatką.

– Ale też nie sama?

– Nie.

Naprawdę zastanawiałam się, czy chodzi jej o mój pobyt w górach czy o bycie w związku. Nie zdążyłam tego wyjaśnić, a Irena chyba nawet na to nie czekała.

– Karolo, a może wstąpiłabyś do mnie? Mieszkam tutaj, w tym bliźniaku. My zajmujemy lewą stronę, a teściowie prawą. Chodź! Napijemy się kawy, pogadamy...

Nie przyjąłem zaproszenia; niebo przybierało już kolor zmierzchu, musiałam ruszyć na polanę. Obiecałam jednak zajrzeć do niej przy innej okazji – tu lub do Domu Kultury. Wymieniłyśmy się numerami telefonów komórkowych, kiedy na ulicy pojawiła się Zuzia z jakąś inną dziewczynką.

– To moja Ola! – Irena uśmiechnęła się z dumą na widok swojej

poniejszej kopii.

Następny odcinek drogi pokonałam w towarzystwie wnuczki Garbarków. Po kilku spotkaniach w domu jej dziadków w niczym nie przypominała już dawnej, onieśmiałej dziewczuszki. Teraz też całą drogę mówiła, przeskakując z tematu na temat, a także przez kałuże po ulewie z minionej nocy.

Pożegnałam się z małą przy furtce jej domu i przyspieszyłam kroku. Mimo że nie było jeszcze ciemno, dochodząc do buczyny, zapaliłam latarkę. Między drzewami panował już półmrok, więc każdy nagły, niezidentyfikowany dźwięk niepokoił. Nie zawsze udawało mi się poskromić wyobraźnię. Dzisiaj szłam, właściwie nie rejestrując, gdzie jestem, jak ktoś, kto tę samą trasę przemierza od lat.

Przypominałam sobie rozmowę z nową znajomą. Nagłe, przypadkowe kontakty nie dawały okazji, by przygotować się na nie i wówczas decydowało pierwsze wrażenie, chociaż na pewno nie zawsze było to regułą. W czasach, kiedy noszenie masek stało się czymś powszednim, tak jak ocena ludzi według gadżetów, można łatwo się pomylić, a nawet zostać celowo oszukany. Ponadto na każdym etapie życia, również w młodości, mogą pojawić się uprzedzenia, które z góry przekreślą człowieka lub nie zezwolą na rozwój znajomości. Wystarczy zwykła zazdrość – bo ona jest ładniejsza, bo jego wóz jest lepszy, bo... i zaprzepaszczamy okazję, aby przekonać się, jakimi „oni” są naprawdę.

Byłam w tym względzie inna? Zapewne nie. Gdyby nie inicjatywa Iry, powiedziałabym „do widzenia!” i na tym by się skończyło. Odludek i mruk. Epitety, które przypisałam Arminowi, niestety i do mnie pasowały.

Traktem zbliżał się gazik leśniczego. Mijając mnie, brodacze za kierownicą poświęcił mi tylko przelotne spojrzenie. Nie sądziłam, aby podwoził Armina, gdyż on dopiero o zmierzchu zjawiał się w domu. Odpowiadało mi to, jak również jego milczenie, choć dość osobliwe było przebywanie z kimś pod jednym dachem i wmawianie sobie, że tego kogoś tam nie ma. Teraz zawstydziło mnie takie nastawienie do niego. Ponadto przypominałam sobie o ramce widzianej w antykwariacie i niepokoił mnie zbliżający się wieczór. Niczym w imadle ramka ze sklepu przytrzymywała moje myśli na wspomnieniach, od których wolałabym uciec. Wiedziałam, że te najboleśniej nie ujawniły się jeszcze i tylko czyhają na stosowną chwilę.

Podchodząc dróżką wzdłuż ogrodzenia posesji, dostrzegałam dym wydobywający się z komina. Armin wrócił przed czasem? Może sprowokować go jakoś, by chociaż dzisiaj odstąpił od naszego układu? Sztorcowałam siebie za tę nedoręczność, kompletny brak konsekwencji – bez skutku.

Nie chciałam wiele, banalnej rozmowy, byleby tylko zabić swoje myśli. Nie bardzo jednak wiedziałam, jak ją zainicjować. Mogłam zwyczajnie zapukać do Armina i zaprosić na drinka. Owszem, ryzykowałam odmowę, lecz czułam, że

dzisiaj lepsza byłaby kłótnia niż cmentarna cisza. Chwilę później przekroczyłam próg domu, a to, co w nim zastałam, bynajmniej w niczym nie przypominało grobowca.

Od kiedy sfrunęłam z obłoków na ziemię, czyli dojrzałam, nie znosiłam sytuacji, na które nie zdążyłam się przygotować. Spontaniczność była obca mojej naturze, bowiem wskutek zaskoczenia podjęłam wiele błędnych decyzji. Dzisiejsza Karola preferowała plany, a czymś wręcz idealnym wydawała się umiejętność zapięcia ich na ostatni guzik. Luksusu psychicznego dostarczały mi dni, które leciały sobie utartym rytmem, natomiast najmocniej nadwątlały go nieprzewidziane okoliczności.

W domu powitała mnie głośna muzyka, a niebawem pojęłam, że coś tu się szykuje. Współlokator rozgościł się przed rozpalonym kominkiem, na stoliku przed nim stała butelka wina i dwie puste lampki. Wyglądało, że kogoś oczekiwał. Zdziwiło mnie to, przecież wzbraniał się przed przyjmowaniem tu gości. Słyszając, że nadchodzę, przekręcił się fotelem w moją stronę.

– Zapraszam! – Szarmanckim gestem wskazał mi miejsce naprzeciw siebie i uśmiechnął się zachęcająco.

Gapiłam się na Armina, oczekując wyjaśnień, lecz on rzucił jakby od niechcenia:

– Późno wróciłaś.

Niewiele brakowało, żebym wybuchła histerycznym śmiechem. Powstrzymałam go, ale niestety, nie mogłam zapanować nad gorącym rumieńcem. Nie przytrafiło mi się to od lat! Mój wiek szczenięcy należał do prehistorii, a na menopauzę było jeszcze za wcześnie. Armin na szczęście patrzył w okno.

– Byłam w uzdrowisku.

– Wyglądasz na zmęczoną. – Zerknął na mnie.

Przede wszystkim na kompletnie zbitą z tropu, pomyślałam.

– Na kuchence są flaczki – ciągnął. – Wprawdzie ze słoika, ale doprawiłem po swojemu. Może zjesz? Powinny być jeszcze ciepłe.

Nie wierzyłam własnym uszom. Przez tyle dni traktuje mnie jak trędowatą, a ni stąd, ni zowąd przeobraża się w troskliwego mężusia? Czyżby pod moją nieobecność wydarzyło się coś szczególnego? Jego twarz niczego nie zdradzała, a swoje intencje skrywał pod wieloznacznym uśmiechem. Cokolwiek zamierzał, zastana sceneria zdawała się potwierdzać, że wszystko zaplanował. Mogłam zlekceważyć jego ofertę, lecz zawahałam się. A co, jeżeli i jego dręczyły złe wspomnienia? Bywało, że wieczorami w kółko słuchał tej samej płyty i chyba przy tym popijał. Chandra albo totalny odlot. Dziś spojrzałam na to przychylniejszym okiem.

W gruncie rzeczy, jego zachowanie było mi nawet na rękę. Dobrze, zdecydowałam w myślach, podejmę grę, choć na razie nie znam reguł. Intuicyjnie

zgadywałam, że to, co zdarzyło się wcześniej, teraz nie miało już znaczenia. Kolejny nowy początek? Siląc się na spokojny ton, odpowiedziałam:

– Głodna nie jestem, ale wina chętnie się napiję. Przebiorę się tylko i wracam.

Odchodząc, wyczułam na sobie uważny wzrok Armina. Uśmiechnęłam się do siebie. Pragnęłam towarzystwa i moje życzenie wypełniło się samoistnie. Los mi sprzyjał, przeszłość miała szansę stać się nieważna; tu i teraz zajmowało moje myśli. Stało się tak, jakby skleiły się dwie kartki scenariusza i mogliśmy przeskoczyć do akcji z następnych stron.

Zdjęłam grube ubrania, trochę się odświeżyłam. Spojrzenie w lustro upewniło mnie, że makijaż nie jest potrzebny, policzki rozpałało podniecenie. Rozpuściłam włosy i kilkoma ruchami szczotki nadałam im sprężystość. Na dłużej zatrzymałam się przed szafą, ciuszków nie miałam dużo, ale i tak zrobił się problem. Bluzeczka czy kaszmirowy sweter z dekoltem w serek? Sięgnęłam po czystą bieliznę, gdy w ostatniej chwili uzmysłowiłam sobie, że nie wybieram się przecież na randkę! Z głębokim westchnieniem odłożyłam koronkowe śliczności i posłuchałam głosu rozsądku.

Zeszłam na dół niemal bezszmerowo, w zakupionych niedawno, góralskich kapciach, obszytych futerkiem. Miałam nadzieję, że podziałają antyerotycznie, jak reszta mojego odzienia. Muzyka rozbrzmiewała teraz ciszej – przyjemny, kobiecy wokół przy akompaniamencie gitary. Armin czytał coś na okładce kompaktu. Spojrzał na mnie z nieukrywanym zdumieniem. Jeżeli liczył, że wystroję się jak na proszoną kolację, to go zawiodłam. Polarowy dres miękko przywierał do ciała, ale nie ujawniał jego kształtów. Optymalnie, ponieważ i ciepło, i niewyzywająco.

– Co to za muzyka? – spytałam

– Wspaniała, prawda? Tutaj wszystko wypływa z duszy artysty.

– Mnie na razie nie porywa – droczyłam się.

– Siądź, proszę. – Wskazał na fotel. – Musisz w nią się wsłuchać. Zrelaksuj się.

Rozsiadłam się wygodnie, podciągając jedną nogę pod siebie. Gdyby ktoś podglądał nas zza okna, mógłby pozazdrościć: rozpalony kominek, na stole butelka, jako dopełnienie intymnego nastroju. Zauważyłam, że jest już otwarta. Przy pewnych gatunkach było to wskazane, przy innych nie. Pierwsza się nie napiję, postanowiłam na wszelki wypadek.

– I jak? – zagadnął, a widząc, że nie łapię, uzupełnił: – Muzyka. Zagrała już w twoim sercu?

– Jeden utwór to trochę za mało. Pozwól, że posłucham dalszych – wymówiłam się z oceny.

– Ale to już przy winie! – Umiejętnie napełnił szklę i podał mi lampkę.

– Będzie toast? – zażartowałam.

– Będzie.

– Za co więc wypijemy?

Nie odpowiedział od razu, w jego oczach pojawiło się zamyślenie. Potem spojrzał na mnie i oświadczył:

– Za wolność!

W jego głosie pojawiła się nieznana mi dotąd nuta. Nie myliłam się. To była tajona hardość, tym bardziej mnie zaskakująca, że twarz Armina rozjaśnił uśmiech.

– Za wolność! – powtórzyłam z przesadnym patosem, by ukryć zażenowanie.

– A także, by cena za nią była jej warta! – dokończył z diabolicznym rechetem.

Zamarłam. Być może niewłaściwie odczytywałam jego sygnały, ale poczułam, że miał na myśli coś konkretnego. Przyszło mi do głowy, że jest zbiegiem przeczekującym tu najgorszy czas, nim nie ustaną poszukiwania. A co ze wspomnianą ceną, czyżby Wiktor Witomski udostępnił mu schronienie za grube pieniądze?

Ciemna purpura trunku rozświetlała się, gdy spoglądałam przez kielich w stronę ognia. Ukradkiem obserwowałam swojego towarzysza. Jest poszukiwany? Ścigają go władze albo jakieś męty, z którymi się zadał? Nic innego nie przychodziło mi na myśl.

Żadne z nas nie kwapiło się do skosztowania wina. Armin znów się zadumał, ja rozmyślałam, czy nie usiłuje mnie zmylić. Wreszcie ocknął się i zapytał:

– Nie pijesz? – Pociągnął łyk.

Odważyłam się skosztować. Wino było zbyt cierpkie, wkrótce jednak przywykłam do jego bukietu i jego smak zaczął mi sprawiać przyjemność. Armin wpatrywał się w ogień, ciszę między nami wypełniała muzyka. Teksty kolejnych utworów traktowały o samotności, bólu, zawiedzionej miłości. Standard, który kiedyś mnie wzruszał, teraz nie budził emocji. Historie z góry skazane na fiasko ucinałam, nim na dobre się rozkręciły, uczucia trzymałam na wodzy. Nawet niedobór romantyzmu w moim związku z Timem przestał mi już przeszkadzać.

Oczy Armina się zaszklily. Nie miałam pewności, czy to pod wpływem muzyki bądź wina, poczułam się nieswojo. Nieprzewidywalność tego faceta mnie konsternowała, nie wierzyłam też w jego nagłą zmianę. Miałam tylko nadzieję, że nie próbował wprowadzić mnie w cikliwy nastrój, choć nie mogłam tego wykluczyć. Jakby na potwierdzenie Armin spojrzał mi głęboko w oczy. Chyba nie spodziewał się, że poruszyły mnie melancholijne utwory? Znowu go nie wyczułam, chodziło mu tylko o wino.

– Dolać ci? – Jego lampka była już pusta, pił szybciej ode mnie.

– Nie, dziękuję.

Zaczął się nowy, bardziej rytmiczny utwór, ogień w kominku dołączył do

melodii wystrzałami wilgotnego drewna. Powoli odprężałam się. Po raz pierwszy przebywałam tu bez poczucia, że dla współlokatora jestem intruzem. Nie można było tak od razu? Nie ośmieliłam się wypowiedzieć tego głośno. Odezwał się natomiast Armin:

– Ostatnio pogoda sprzyja wędrownikom. Znasz tejsze okolice?

– Nie. Chodziłam tylko do uzdrowiska. Ewentualnie trochę szlakiem pod górę, tym do schroniska. Jest daleko stąd?

– Półtorej godziny marszu na pewno. Czasem je mijam.

– Jak to... mijasz? Wędrujesz jeszcze dalej? I nie zatrzymujesz się tam na odpoczynek?

– Nie męczę się szybko. Ale bywa, że robię sobie przerwę gdzie indziej.

– Unikasz ludzi, prawda? Dlaczego?

Momentalnie stężał. Jakby chcąc zyskać na czasie, podszedł do kominka i dołożył do ognia. Czekałam cierpliwie, nie spuszczać z niego wzroku. Wreszcie wrócił na swoje miejsce i dopiero teraz mi odpowiedział.

– Sądziłem, że wyraziłem się kiedyś jasno. Nie lubię wścibiania nosa w moje życie... – Jego chłodny ton nie pasował do zarumienionej twarzy.

– Nie ja pierwsza zaczęłam stawiać pytania! – odparowałam.

Znów poczułam niepokój. Wciąż nie wiedziałam, z kim mam do czynienia. To, że od razu mnie nie zakatrupił, nie musiało znaczyć, iż odstąpił od niecných zamiarów. Aczkolwiek wizja mordy nie wydawała się prawdopodobna.

Rozchmurzył się tak szybko, jak sposepniał. Uśmiechnął się nawet, co odebrałam jako nieme przeprosiny za nagłą napaść.

– Góry dają mi to, czego teraz najbardziej mi potrzeba

– powiedział. – Jesienią jest w nich łagodność i pokój. Jak po dobrze spełnionym obowiązku.

– Natura napracowała się latem, więc teraz może wypocząć. Powinniśmy być wdzięczni losowi, że możemy tu przebywać.

– Raczej rodzeństwu Witomskim! – Zaśmiał się. – Jesteś przyjaciółką siostry Wiktora, tak?

– Znamy się z pracy.

– Czym się zajmujesz?

Pytanie zabrzmiało obojętnie, dlatego też oględnie wyjaśniłam mu, na czym polega moja praca. Zresztą, byłam jedynie typowym trybikiem maszyny funkcjonującej na rzecz anonimowych dla mnie udziałowców i pod nadzorem już jawnego zarządu. Osiągnęłam stanowisko, które wykluczało możliwość dalszego awansu, a jednostajne zadania na dłuższą metę zaczynały mnie nużyć. „Poszukaj sobie innej pracy”, nieodmiennie padało z ust Tima, gdy się użalałam. Cóż, kiedy zamiana tego w czyn przekraczała moje siły. Migrena trzymała na mnie łapę, skutecznie powstrzymując każdy zryw inicjatywy. Godziłam się na to, co było.

– Jak widzisz, nie mam nic do ukrycia, możesz śmiało pytać dalej! – zakończyłam swój wywód nieco zaczepnie.

– Na razie nie mam takiej potrzeby. – Nie dał się sprowokować, i dodał: – Muszę cię o czymś uprzedzić.

Spojrzałam na niego podejrzliwie. Kiedyś zaistniała podobna sytuacja i skończyło się to na próbie narzucenia mi pewnych zasad. Armin pocierał dłonią brodę, jakby wahał się jeszcze, czy powiedzieć.

– Może się zdarzyć, że ktoś będzie o mnie wypytywał.

– Kto?

– Kobieta. Kręci się po okolicy, zagaduje miejscowych. Nie sądzę, aby dotarła do tego domu, bo ci, którzy wiedzą, gdzie jestem, nie puszczą pary z ust. To znaczy, ich jestem pewny, ale... pozostajesz jeszcze ty.

Sztyletował mnie wzrokiem, a ja poczułam się, jakbym miała coś na sumieniu. Zaraz jednak zrozumiałam, że tylko próbował wybadać moją dyskrecję.

– Dlaczego ona cię szuka?

– Powody są drugorzędne. – Wykręcił się. – Po prostu lepiej będzie, jeżeli mnie nie znajdzie. Muszę wiedzieć, czy mogę na ciebie liczyć? W przeciwnym razie byłbym zmuszony stąd wyjechać.

– Wystawiasz mnie na niemałą pokusę! – zażartowałam.

Nie podchwycił mojego tonu. Natomiast przyznał mi rację:

– Wiem. Dlatego może od razu określ się jasno.

Mogłam się tego spodziewać – niczego mi nie wyjaśniał i ani myślał prosić. To oczywiste, że nie przeistoczę się w kapusia. Ale nie odpuściłam.

– Chyba nie wejdziesz przez to w konflikt z prawem?

– Nie. Zabezpieczam się trochę na wyrost. Więc jak?

– No, dobrze. Skoro jest to dla ciebie ważne...

Miałam nadzieję, że dowiem się czegoś więcej, jednakże Armin uznał temat za zakończony. Dolał nam wina.

– Czułem, że mnie nie zawiedziesz!

Coś mi w tym wszystkim nie grało. Postanowiłam go „podebrać”.

– Ufasz mi tak na słowo?

– Można by jeszcze przeprowadzić rytuał braterstwa krwi... – odparł, udając powagę.

– Nic z tego. Dla żadnego faceta nie będę się chlastać!

– Trudno. Pozostaje wierzyć w twoją przyzwoitość.

– A pamiętasz może piosenkę „Nie wierz nigdy kobiecie”?

– Powiem inaczej: Ufam ci tylko do pewnego stopnia. Wiedz, że ja nie zapominam. Dlatego możesz jeszcze się wycofać.

Żałowałam, że wyjechałam z tą głupią piosenką. Od zawsze mnie drażniła, nie wiem, co za czort mi ją podsunął.

– Chyba mi nie grozisz? – spytałam z niewinnym uśmiechem. – Nasze siły są nierówne...

– Dajmy już temu spokój! Zaufanie to zbyt poważna rzecz, aby stroić sobie żarty. Zanim komuś zaufam, najpierw dobrze go sprawdzam.

– O! Może dzisiejszy wieczór też jest testem?

– Nie. Sprawdziłem cię już wcześniej, zanim poszliśmy na układ.

– A jednak dzisiaj robisz od niego wyjątek! – powiedziałam to wreszcie głośno.

Sprytnie dążył do celu, a kiedy go uzyskał, nie musiał być miły. Kolejny raz poczułam się wystrychnięta na dudka. Postawił na swoim i uzyskał moją obietnicę, nie oferując nic w zamian. Dlaczego udawało mu się tak łatwo?

Nie bez znaczenia była jego fizjonomia, skłamałabym twierdząc, że nie jest atrakcyjny. Istniał też inny wabik, nieprzejrzystość natury Armina, pociągająca mieszanka dobrego i zła. Protekcyjny, lub pełen rezerwy, wzbudzał we mnie coraz silniejszą potrzebę przekonania się, jaki on jest naprawdę? Przewidywałam, że wchodząc z tym mężczyzną w zażyłość, stąpom po cienkim lodzie. Rozsądek podpowiadał, aby trzymać się od Armina z daleka. Przeważała jednak ciekawość.

Ku mojemu zdumieniu, jego słowa zawierały coś w rodzaju usprawiedliwienia:

– Przemyślałem, co ostatnio mówiłaś. No wiesz, o twoim skrępowaniu, kiedy jesteśmy tu razem i nie odzywamy się do siebie. Stąd to zaproszenie na wino.

– Będziemy znowu pertraktować?

Nie dodałam złośliwie, że sporo czasu potrzebował na namysł.

– Przyznaję, częściowo miałaś wtedy rację. Nie spodobało mi się tylko twoje rozwiązanie. Nie byłbym w stanie trzymać się tak sztywnych reguł. Co innego, przydzielić sobie w domu prywatne rejony, a co innego zabronić wchodzenia na wspólne piętro.

– Mówiłam o co drugim dniu...

– Nie sposób kierować nastrojami według kalendarza! Być może chętnie posiedzę tu trzy wieczory pod rząd, a potem przez tydzień nie będę miał na to ochoty.

– Co więc proponujesz? – W duchu zgadzałam się z jego argumentacją.

– Wycofuję się z punktu o świętym spokoju. Przepraszam, to nie było zbyt grzeczne z mojej strony. A więc? Akceptujesz zmianę? Chyba lepiej późno niż wcale... – zakończył ze skruchą w spojrzeniu.

Rozbroił mnie tym, choć oczywiste, że dobrał mimikę do słów. Te jednak wydawały się szczerze.

– Dobrze. – Uśmiechnęłam się na zgodę.

– Wypijmy i za to! – Stuknęliśmy się lampkami.

Włączył nowy kompakt, ten rodzaj muzyki lepiej przypadł mi do gustu.

Wyraziłam głośno swoją opinię, i weszliśmy w dialog o preferowanych przez nas gatunkach muzycznych. Zdumiewając się, że często nasze wybory się pokrywały. Niespodziewanie odkryliśmy naszą pierwszą wspólność, nie licząc zamiłowania do samotni, w moim wypadku, dopiero niedawno uświadomionego. Czy miały być też następne?

W butelce pokazało się dno i Armin chciał otworzyć drugą, ale go powstrzymałam.

– Jeśli o mnie chodzi, to mam już dosyć. Idę spać.

Nie zatrzymywał mnie. Wracalam do siebie z uczuciem mile spędzonego czasu i tłącą się w duchu nadzieją, że powtórzymy jeszcze takie chwile. Dopiero podczas zasypiania naszły mi znowu wątpliwości, na ile to wszystko było naturalne, a na ile stała za tym interesowność Armina. O poranku – słońce nastroiło mnie pozytywnie – odpędziłam takie myśli. Jakkolwiek było naprawdę, wieczór w towarzystwie współlokatora spełnił moje oczekiwania. Nie wróciłam do rozgrzebywania przeszłości, a tym samym noc przespałam spokojnie. Śmiało mogłam to uznać za mały sukces.

Za buczyną ożył mój telefon komórkowy. Zapiszczał znajomymi dźwiękami, zapowiadając nowe wiadomości.

Jedną wysłała mi Danuta, kusząc na przyjazd do siebie; słała mi te zaproszenia z godną podziwu regularnością. Drugi esemes był od Reginy; prosiła, abym koniecznie przedzwoniła do Tima. Domyślałam się, o co chodzi – upływał miesiąc mojego pobytu w Polsce. Ultimatum Tima nie przewidywało przedłużenia terminu. Wiedziałam, że trzeba będzie podjąć decyzję, lecz chciałam jeszcze wszystko przemyśleć. Ciągle miałam nadzieję, iż znajdziemy jakiś kompromis.

Pierwsze zwiastuny poprawy mojego stanu pokrzepiały mnie i potwierdzały sens tej swoistej kuracji. Zdrowiałam. Nie wiedziałam, na czym polegał ów proces, gdyż migrena wciąż atakowała, choć już z mniejszym impetem. Bliskość przyrody wyciszała mnie i pozwalała dojść do głosu temu, co latami było zagłuszone.

Nie wyobrażałam sobie powrotu do zgiełku miasta i do pracy, nawet do Tima. Moja pierwotna koncepcja zakładała, że spróbuję pograć z nim na zwłokę. Teraz uzmysłowiłam sobie bezcelowość takiego działania. Jego zgoda na dalszy tydzień czy miesiąc nie zmieniłaby mojej sytuacji, ponieważ nacisk czasu mimowolnie mnie stresował. Coś mi mówiło, że powinnam całkowicie uwolnić myśli od rzeczy, które dotąd mnie wiązały. I coraz bardziej tego chciałam.

Zawędrowałam znów pieszo do uzdrowiska. Słońce tylko optycznie ocieplało widoki. Miniona noc musiała być zimna, chłód utrzymywał się do teraz, chociaż minęło południe. Szybki marsz mnie rozgrzał. Cieszyłam oczy naturą, zmienną niemal z dnia na dzień. Po drodze zgłodniałam, więc na głównej ulicy wstąpiłam do jednej z restauracji o wystroju karczmy góralskiej, kojarzącej mi się raczej z Podhalem. Ledwie kelnerka przyjęła zamówienie, gdy lokal zapełnił się

spora grupą turystów. Miałam szczęście, byłam pierwsza w kolejce i wkrótce zjadłam już obiad. Nowi goście rozgadali się. Po niemiecku. To była typowa wycieczka rencistów zza zachodniej granicy – dobrze odżywieni, zadbani, z pewnością nie muszą liczyć się z każdym groszem. Trochę przeszkadzały mi podniesione głosy; uspokoili się dopiero, gdy postawiono przed nimi jedzenie.

Starłam się nie patrzeć w ich stronę, zerkałam przez szybę na snujących się za oknem przechodniów. W pewnym momencie wyczułam czyjś wzrok na sobie. Odruchowo odwróciłam się, napotykając spojrzenie jednej z Niemek. Uśmiechnęła się do mnie trochę niepewnie, a mnie się zdało, że przypomina mi kogoś. Wspomnienie było odległe, nie umiałam połączyć go z nikim konkretnym.

Kiedy opuszczałam restaurację, zatrzymało mnie wołanie. Kobieta, doganiając mnie w holu, zapytała z wahaniem:

– Pani Karola?

Skinęłam głową, zaskoczona, nie spodziewałam się, że ona jest Polką. Uśmiechnęła się radośnie.

– Upłynęło tyle lat! – mówiła z przejęciem. – Pani mnie nie poznaje, prawda? Tak, tak, postarzałam się... Jestem matką Hani. Przyjaźniłyście się kiedyś.

Karuzela czasu zawirowała w odwrotnym kierunku, by gwałtownie zatrzymać się w moich latach studenckich. Hania. Nie lubiła, gdy tak się do niej zwracano.

Przedstawiała się zawsze Hanna, jakby w obawie, że nie potraktuje się jej poważnie.

– Rzeczywiście! – Było mi głupio, że jej nie poznałam.

– Mieszkamy teraz z Hanią w Niemczech. Dość blisko siebie, ale ona dużo pracuje i udziela się w tym swoim ruchu. Na wspólną podróż do Polski też nie miała czasu, więc sama zapisałam się na wycieczkę. A pani tutaj na urlopie czy może na stałe? Jak się pani wie?

– Karola, proszę! Dziękuję, nie narzekam – odparłam zdawkowo. – Jestem tu na urlopie.

– A my, niestety, tylko przejazdem. Po obiedzie wracamy do Jeleniej Góry, a jutro dalej, do Krakowa. Bardzo żałuję, bo miałabym ci niejedno do powiedzenia!

– Proszę serdecznie pozdrowić Hanię!

– Dziękuję, na pewno bardzo się ucieszy! Podczas ostatniego pobytu w Polsce, ale to już parę dobrych lat temu, dopytywała się w naszym mieście o ciebie. Mówiła, że zapadłaś się jak kamień w wodę, nikt nie umiał jej powiedzieć, gdzie teraz mieszkasz. Napisz mi swój adres i telefon, co?

Nie chciałam ujawniać adresu. Wykręciłam się:

– Lepiej będzie, gdy pani napisze mi adres Hani. Często się przeprowadzam.

Rzuciła mi krótkie, badawcze spojrzenie, jednak przystała na to. Wpisując mi do notesu dane córki, poskarżyła się, że Hanna nie chce zrobić jej babcią.

Podobno stawia na pełną niezależność, co niespecjalnie mnie zdziwiło. W czasach studenckich była zdecydowaną feministką, z tych krańcowo nieprzyjaznych płci męskiej. Żegnałam się z jej matką, gdy kobieta przytrzymała moją dłoń i nieoczekiwanie zarzuciła mnie lawiną zdań:

– Jesteś piękną kobietą, Karolo, ale nie znalazłaś szczęścia i ja znam tego powód! Musisz przyjąć oświecenie z kosmosu, otworzyć się na pozytywne wibracje! Płyną do nas, ale ty jesteś zablokowana! Potrzebujesz przewodnika, musisz stać się kanałem dla jego mocy! On cię nauczy, że wszystko jest możliwe! Wiedz, że my sami dla siebie możemy być bogami! Przewodnik pomoże ci odkryć twój potencjał...

Wyrwałam dłoń chyba nazbyt energicznie, ale matka Hani nie spostrzegła tego, gadała jak w transie. Nieraz słyszałam podobne bzdety – moja koleżanka z biura fascynowała się ezoteryką. Jej wyuczona i dużo obiecująca wielomówność miała się potem nijak do owoców jej życia. Ciągłe popadała w tarapaty, była oszukiwana przez lowelasów i różnych oszustów, jak magnes przyciągała ich swoją łatwowiernością. Ja uważałam takie rzeczy za oczywiste bzdury i bolałam nad tym, że tak wielu poszukujących bądź nieszczęśliwych ludzi daje sobą manipulować.

– Przepraszam panią, ale na mnie już czas – przerwałam jej wywód. – Do widzenia! I udanej wycieczki!

– Koniecznie zadzwoń też do mnie! Dopisałam ci mój numer telefonu, ten na dole...

Wreszcie udało mi się wyjść na zewnątrz. Słowotok kobiety wciąż brzmiał w moich uszach. Nie znalazłam szczęścia?! A kto powiedział, że w ogóle go szukam? Nie być szczęśliwym nie musi znaczyć, że jest się nieszczęśliwym!

Nie mierzyłam tak wysoko, wystarczyło mi zadowolenie i brak problemów. Moje istnienie nie było posłannictwem, szczerze mówiąc, nie stawiałam sobie nawet małych celów, a moje plany nigdy nie wybiegały daleko. Niekiedy za moimi plecami nazywano mnie egocentryczką, ale wcale nią nie byłam. Do siebie miałam tyle samo dystansu, ile do innych.

Spotkanie z matką Hani sprawiło, że poszłam w przeciwną stronę, niż chciałam. Przystanęłam, by zawrócić i w tym momencie jakiś pan mi się uklonił. Był to sprzedawca ze sklepu z antykami, z którego właśnie wychodził.

– Pani do nas? – Zachęcająco uchylił drzwi sklepu. – Bardzo proszę! Mam coś do załatwienia, ale w środku jest mój wspólnik.

Zamierzałam odmówić, gdy nagle przypomniałam sobie o ramce. Postanowiłam ją kupić.

W antykwariacie było dziś jaśniej niż poprzednim razem, a to dzięki zapalonym żyrandolom. Szczególnie jeden, cały z kryształków, prezentował się okazale, rozszczepiając światło na kolory tęczy. Oglądała go jakaś para zapewne w towarzystwie współwłaściciela sklepu. Gdy weszłam, przeprosił klientów i

grzecznie spytał, czy mógłby mi w czymś pomóc.

– Nie spieszę się – odparłam. – Jeżeli pan pozwoli, rozejrzę się trochę...

Skinąłem głową, więc skierowałam się do sekretarzyka z mahoniem, na którym wciąż stała mosiężna ramka. Miałam stuprocentową pewność, że jest identyczna jak ta, którą kiedyś posiadałam. Niezliczoną ilość razy brałam ją do rąk, znałam na pamięć wzory i ostrość rzeźbionych elementów. Moje serce zabiło żywiej. Tekturka włożona za szkło szpeciła ramkę. Aż prosiło się, by wsunąć w nią jakąś fotografię, lecz ja nie chciałam pierwszej lepszej. Pragnęłam, by na powrót spoglądała z ramki twarz mojej mamy.

– Widzę, że coś pani znalazła...

W zamyśleniu nie zauważyłam, że antykwariusz podszedł do mnie. Klienci przyglądali się teraz zegarom na ścianie.

– Owszem. Ile kosztuje ta ramka? – zapytałam.

Nie była droga, dlatego sprzedawca oszczędził mi długiego wywodu, jakim starszy antykwariusz uraczył mnie, gdy pytałam o figurkę z porcelany. Poprosiłam, by odłożył ramkę dla mnie, gdyż chciałam przyjrzeć się jeszcze innym rzeczom. Moją uwagę przyciągnął obraz. Pejzaż w oleju przedstawiał górskie zbocze porośnięte trawami i otoczone lasem, jednak na pierwszy plan wysuwał się dom. W rogu płótna widniał czytelny inicjał oraz data – rok 1937. Obraz przypominał moją polanę, tylko domostwo i jego bliskie otoczenie wyglądało inaczej. Jedyne podmurowanie pokrywało się z obecnym, reszta była ciemniejsza, o innym układzie okien, jednopiętrowa. Zdezorientowało mnie to, lecz też zaciekało, przy tym wartość artystyczna obrazu w tym wypadku się nie liczyła. Nie przepadałam za realistycznym malarstwem, preferowałam impresjonizm, a dzieło było raczej przeciętne.

Para klientów wybrała zegar, zapłaciła za niego i opuściła antykwariat. Zagadnęłam sprzedawcę, wskazując na obraz.

– Wie pan, co to za miejsce? Może gdzieś w okolicach?

Pominałem moje pytanie i skupił się na porównywaniu obrazu z innymi pracami w zbiorze. Moja cierpliwość była na wyczerpaniu, gdy zadźwięczał dzwonek i do środka wszedł znajomy starszy pan, drugi właściciel.

– Może pan będzie umiał mi pomóc? – zwróciłam się do niego z zaskoczenia, wykorzystując, że jego współnik na chwilę zamilkł. – Proszę spojrzeć na ten obraz... Czy to możliwe, że przedstawia rzeczywiste miejsce? Chyba je znam.

Wymienili między sobą szybkie spojrzenie. W oczach młodszego sprzedawcy dostrzegłam błysk. Ostrzeżenia?

– Być może – odparł starszy antykwariusz. – Gdzie widziała pani tę polanę?

Wyjaśniłam, jak umiałam, dodając:

– Tylko ten dom... Chyba nie ten sam. Postawiono tam inny? Jestem

przekonana, że cała reszta się zgadza.

– Można wiedzieć, dlaczego to panią ciekawi?

– Ponieważ tam mieszkam.

Antykwariusze znów na siebie spojrzeli, lecz tym razem nie udało mi się wyłapać żadnych czytelnych sygnałów. Sprzedawca, którego wcześniej poznałam, wydawał się łagodniejszy. Kurze łapki wokół oczu czyniły je wiecznie uśmiechniętymi, a pucołowate, rumiane policzki dodawały mu jowialności. Twarz drugiego, pomimo że była młodsza, znaczyły bruzdy na czole i od nosa po kąci ust. Przy każdym słowie mimika nabierała ostrości, której nie zmiękczała sztuczna, jak się wydawało, uprzejmość.

– Chce pani przez to powiedzieć, że kupiła dom? – zapytał.

– Nie, nie. Przebywam w nim czasowo. Wyjadę stąd najdalej wiosną.

– Wiosną?! – Jego zdumienie nie było udawane. – To bardzo długi pobyt, więc chyba w towarzystwie?

– Nie, przyjechałam sama – odparłam, pamiętając o prośbie Armina.

Nie wiedzieć czemu, moja odpowiedź nie spodobała się im. Starszy mężczyzna westchnął ciężko i pokręcił głową, młodszy jeszcze mocniej zmarszczył brwi.

– Czy to jest moja polana? – naciskałam.

– Owszem. Powinienem właściwie powiedzieć: niestety – rzekł ten bardziej sympatyczny.

– Dlaczego?!

– Zapytajmy panią raczej, czy nadal interesuje się tym obrazem? – wszedł mu w słowo młodszy sprzedawca. – Trzeba zdjąć go ze ściany i przetrzeć z kurzu. Proszę zaczekać, przyniosę drabinkę. Pozwolisz ze mną? – zwrócił się do współnika.

Znalazłam się w niezręcznej sytuacji, nie pytałam o obraz z zamiarem jego nabycia. Czy w ogóle był na moją kieszeń? Gdyby nie ramka, która mnie interesowała, pożegnałabym się szybko i wyszła. Zostałam również dlatego, że zaintrygowało mnie zachowanie sprzedawców. Coś przede mną taili.

Moment później obraz został zdjęty i starannie odkurzony. Teraz mogłam przyjrzeć mu się z bliska, zwłaszcza że twórca starał się wiernie oddać detale. Skupiłam się na szczegółach dotyczących domu. Im dłużej wpatrywałam w niego, tym bardziej się upewniałam, że to ten sam! Musiał zostać przebudowany, kamienny parter pozostał w niezmiennym stanie, różnił się dopiero od piętra po dach. Nie umiałabym powiedzieć, która z wersji podobała mi się bardziej. Budowla z obrazu zdawała się niższa i nie miała balkonu. Brakowało wysokich choin. Posiadłość otaczał drewniany parkan, zza którego wychylały się gałęzie młodych drzew owocowych. Dzisiaj ogrodzenie było inne, drzewka zniknęły, może zdziczały i zostały wycięte. Z okna na piętrze przeciąg wywiał na zewnątrz firankę

i malarz uwiecznił ją zastygłą w ruchu. Dojrzałam tam coś jeszcze, jakby zarys osoby stojącej w pokoju. Kształty wskazywały, że to kobieta, lecz nie miałam pewności.

– Zauważył pan tę postać? – zapytałam młodszego antykwariusza, który stał przy mnie.

– Nie, nikogo nie widzę – stwierdził, nachylając się nad obrazem.

– Ależ tak! – upierałam się. – Tam stoi kobieta. Dziwne. Czemu nie bezpośrednio w oknie albo przed domem?

– Na dobrą sprawę, jeśli się chce, niejedno można zobaczyć. Proszę spojrzeć, tutaj pod lasem sylwetki dwóch saren, czyż nie? To przemawia na korzyść tego obrazu. Lubię takie, na których nawet po latach udaje mi się odkryć coś nowego.

Teraz i ja dopatrzyłam się saren w plamie cienia, nie pozwoliłam się jednak zbić z tropu co do mojego odkrycia. Im intensywniej wpatrywałam się w kontury kobiety, tym jakby bardziej się wyostrzały. Dostrzegłam nawet, że miała długie, ciemne włosy opadające na ramiona.

– Może ma pan rację i ten obraz również do takich należy. Przyznaję jednak, że nie tyle on mnie zaniepokoił, ile sam dom. Zna pan może jego historię?

– Wie pani, minęło tyle czasu. Była wojna... – Urwał, wzruszając ramionami.

Patrzył na mnie wyczekująco, więc chcąc nie chcąc, zwróciłam mu obraz. Kiedy odwieszał go na ścianę, odeszłam w głąb sklepu, a wtedy z zaplecza wysunął głowę starszy właściciel. Dawał mi jakieś znaki, wskazywał na zegarek i podniósł dłoń z wysuniętymi w górę czterema palcami, a zaraz potem serdecznym dotknął ust, jakby nakazując mi milczenie. Pojęłam, że chce, bym przyszła ponownie, o szesnastej. O tej godzinie robiło się ciemno, więc pokręciłam głową, lecz mężczyzna już się wycofał.

Za ramkę zapłaciłam jego współpracownikowi. Obsłużył mnie uprzejmie, ale chłodno; podziękowałam i wyszłam. Na zewnątrz powitał mnie zimny wiatr, który z zachodu przywiął nad miasto kolonijny chmur.

Dziwne niedomówienia na temat domu sprawiły, że moją niefrasobliwość zastąpił lekki niepokój zmieszany z zaciekawieniem. Ekscytowało mnie przecucie sekretu, może nawet ciemnej tajemnicy związanej z miejscem, w którym obecnie przebywałam. Dlaczego przebudowano domostwo, kim byli jego wcześniejsi mieszkańcy? Z jakiego powodu przedwojenny malarz tak dyskretnie uwiecznił na obrazie kobietę? Pytań było dużo więcej.

Zapewne los nieprzypadkowo przywiódł mnie tutaj. Myślałam o tym podczas drogi na polanę. Im bliżej domu, tym mocniej oddziaływała na mnie siła jego przyciągania. Wcześniej nie byłam tego świadoma, choć już zawsze cieszyły mnie powroty do niego. I jeszcze ramka w moim plecaku, kojarząca mi się z fragmentem przeszłości, który był dla mnie dobry i bezpieczny. Nie wierzyłam w

moc talizmanów, nie miałam zresztą oryginalnej ramki, a jedynie wykonaną według tej samej matrycy. Stała się dla mnie znakiem, jakby przypieczętowała domysł, iż musiałam tu przybyć. Bodajże nawet za cenę nieodwracalnych zmian.

Uznałam, że wszystko jest bez zarzutu. Twarz przyjemnie muskały mi ciepłe promienie słońca, resztę ciała otuliłam wełnianym kocem. Leżak był wygodny, tylko trochę za krótki, lecz i z tym sobie poradziłam – w pokoju znalazłam miękko wyściełany podnóżek. W zasięgu ręki miałam książkę, coś do podgryzania oraz okulary przeciwsłoneczne. Na razie kontemplowałam widoki, dzisiaj niezwykle wyraźne po sam horyzont. Zbocza gór po przeciwległej stronie doliny okrywał jeszcze ciemny płaszcz cienia. Miejscami linia szczytów była postrzępiona przez wybujałe choiny, może i jakieś wyręby. Po raz pierwszy udało mi się dojrzeć zabudowania, nie miałam jednak pewności, czy należały do uzdrowiska, czy tak jak mój dom, leżały z dala od niego.

Miasteczka nie można było stąd dostrzec, jedynie słaba luna, która pojawiała się nocą, była dowodem jego istnienia. Wierzchołki drzew skutecznie broniły widoku na dolinę, natomiast polana pomiędzy nimi a domem z perspektywy balkonu ujawniała się w całej okazałości. Łąki gdzieś tam były upstrzone kępami pożółkłych chwastów bądź brunatnymi plackami ziemi, soczysta zieleń traw zmieniła się w butelkową. Wstęga szlaku w dole wyróżniała się jaśniejszą nawierzchnią, dobrze ubitą lub kamienistą. Zbite przy nim w jedną całość skałki trzymały nieruchomo wartość.

Doliną przechodzili turyści, przeważnie w małych grupkach, o tej porze dnia bez wyjątku kierując się ku górą. W minionym tygodniu aura ciągle zawodziła, toteż i ja, powitana porannym słońcem, zaplanowałam sobie wędrowkę. Niestety, niedługo potem pojawiły się bóle brzucha, comiesięczna kobieca przypadłość pomieszała mi szyki. Wpadłam natomiast na pomysł, by w zamian wykorzystać balkon i rozstawiłam tam leżak. Ciche miauczenie zapowiedziało kolejnego amatora przyjemnej, jesiennej aury. Kotek wskoczył mi na kolana i wahając się chwilę, zwinął się w kłębuszek, dodatkowo ogrzewając moje podbrzusze. Był tak leciutki, że prawie wcale nie czułam jego ciężaru. Nic dziwnego, miał dopiero trzy miesiące. Myślałam, że jego futerko jest całkiem czarne, lecz teraz słońce ujawniło paletę brązów, od ciemnych po połyskujące złotem. Być może i ślepka kota okazałyby się nie tak zielone jak we wnętrzu domu, tego jednak nie dało się sprawdzić. Od razu zasnął.

Nie miał jeszcze swojego imienia; wołałam „kici, kici”, a wówczas natychmiast do mnie przybiegał. Prawdę mówiąc, bałam się, że jeśli nadam mu imię, potem nie będę już mogła rozstać się ze zwierzakiem. Zajął się nim pod wpływem nalegań Zuzi, a raczej widoku jej oczu wypełnionych łzami. Opowiadała, że jeżeli nikt nie zaopiekuje się kotkiem, sąsiad wywiezie go i gdzieś porzuci. Ponoć zawsze tak czynił z potomstwem swojej kocicy. Garbarkowie mieli w

swoim obejściu dwa koty i nie godzili się na więcej. Wrażliwa dziewczynka znalazła domy całej gromadce kociąt sąsiada, z ostatnim maluchem był jednak kłopot.

– Ludzie się boją, że czarny kot przyniesie im pecha – tłumaczyła mi, podniecona jak nigdy. – A pani jest taka mądra i na pewno nie wierzy w przesady!

– Można by go oddać do schroniska dla zwierząt – podsunęłam.

Niestety, w pobliżu nie było żadnego. Zuzia ukrywała kotka przed sąsiadem i przed swoimi dziadkami. Nie bez oporów zgodziłam się przejąć jej podopiecznego.

– Ale nie na zawsze – zastrzegłam sobie. – Za granicę nie mogę go zabrać, więc potem będziesz musiała znaleźć mu innych opiekunów.

Zuzia przystała na takie rozwiązanie, choć jej filuterny uśmiech wskazywał, że w duchu liczy na więcej. Jeszcze tego samego dnia wybrałam się do uzdrowiska i kupiłam co trzeba. Następnego poranka umówiłam się z Zuzią po odbiór zwierzaczka. Był mniejszy niż myślałam, za to pełen niespożytej energii!

W domu od razu mnie rozbawił, penetrując wszystkie kąty, z niektórych miejsc wyłaził potem szary w sukience pajęczyn i kurzu. Łasił się do mnie przy każdej okazji. Pokazałam mu, gdzie są w kuchni jego miseczki, jedna z wodą, druga z suchą karmą, natomiast kocią toaletę, kuwetę ze żwirkiem, umieściłam w łazience na górze.

Malec, jak na zwykłego dachowca, okazał się bardzo pojętny, pod względem higieny nie sprawiał kłopotu. Poza tym zachowywał się odpowiednio do swojego wieku, lubił psocić. Nocami towarzyszył mi w łóżku, upatrzył sobie miejsce na kołdrze w zagięciu moich kolan. Nie miałam nic przeciwko temu, ponieważ był czyściutki i w przeciwieństwie do Yody, o neutralnym zapachu. Wyniknął jednak pewien kłopot. O świcie zwierzak chciał do toalety i budził mnie wtedy miauczeniem. Po kilku nocach miałam dosyć pobudek i odtąd drzwi zostawiałam lekko uchylone. Miałam nadzieję, że o tej porze Armin nie pojawia się na górze.

Mile zaskoczyła mnie jego reakcja na kota. Obawiałam się, że nowy mieszkaniec domu może mu posłużyć za pretekst do zwady. Nic takiego nie nastąpiło.

Tamtego dnia wcześniej wrócił do domu. Dorzucając dREW do kominka, dostrzegł na moich kolanach śpiącego kota.

– A to kto? – zapytał i już był przy mnie. – Mogę?

Przyzwoliłam skinieniem głowy, a on podniósł spiocha i orzekł z uznaniem:

– Fajny! To znajda?

W kilku zdaniach wyjaśniłam, w jaki sposób znalazł się w domu, na wszelki wypadek dodając, że nie zostanie tu na zawsze. Kotek obudził się i rozejrzał trochę bojaźliwie, po czym polizał dłoń Armina. A to asekurant! Czyżby zrozumiał niepewność swojego położenia i próbował go obłaskawić? Niewątpliwie – z dobrym rezultatem, ponieważ Armin bez namysłu oznajmił:

– Jeśli go nie chcesz, to ja go wezmę!

– Hola, hola! Jeszcze nie wyjeżdżam!

Kotek chyba naprawdę miał dar rozumienia ludzkiej mowy, gdyż błyskawicznie wyśliznął się z rąk mężczyzny i na powrót wskoczył na kanapę, szukając sobie miejsca przy moim boku. Armin roześmiał się.

– Dobrze, ale potem nie oddawaj go nikomu obcemu! Znam kogoś, kto chyba chętnie przyjąłby go pod swój dach.

– Myślałam, że chciałeś go dla siebie – zdziwiłam się.

– Odpada, dużo podróżuję – wyjaśnił krótko.

Kotek mimowolnie stał się zaczątkiem większej zażyłości między mną a Arminem. Niby nie zmieniło się wiele, ale bywało, że uśmiechaliśmy się do siebie, obserwując harce malucha, lub dzieliliśmy się obserwacjami. A ten, jakby rozumiał przydzieloną mu rolę, wciągał nas w swoje zabawy, dopraszając się uwagi obojga.

Teraz przeciągnął się, przydeptał koc na moich kolanach i ułożył się na nim. Słońce silnie przygrzewało, jednak nie uległam złudzeniu i pozostałam pod swoim przykryciem. Jesienne powietrze wpadało do płuc ostrością, której lepiej nie lekceważyć.

Wzięłam z sobą książkę nabytą na spotkaniu autorskim. Nie wiedziałam, czy zainteresują mnie losy rodu, który na niemal dwa wieki zapuścił tu korzenie, a potem wrócił do kraju swojego pochodzenia. Migracje rodziny narzuciła jej historia. Pierwszą – nieszczęśliwy wybór jednego z przodków, okazującego lojalność nie temu władcy, co trzeba. Druga była konsekwencją wojny światowej, gdy ród znalazł się po stronie przegranych. Chociaż miał niemieckie korzenie, jego odnogi sięgały też Szwajcarii.

Pomimo pewnych uprzedzeń, spowodowanych zapewne krytycznymi uwagami, jakie padły na spotkaniu autorskim, szybko przekonałam się do tej książki. Zorientowałam się, że fakty ciekawiące historyków były w niej drugorzędne. Narratorka pragnęła wciągnąć czytelników w świat swoich wspomnień i zarazić ich nastrojem czasów, które bezpowrotnie minęły. Nestorka rodu, pani o nazwisku poprzedzonym „von”, musiała nie tylko być wspaniałą gawędziarką, lecz posiadać też znakomitą pamięć. Tekst obfitował w plastyczne, malarskie opisy, zawierał szczegółowe relacje, liczne anegdoty. Ostatnią rzeczą, jaką mogłabym powiedzieć o tej książce, to że jest nudna. Nic więc dziwnego, iż pochłaniałam ją strona po stronie.

Zatrzymałam się przy zdjęciu polany. Czarno-białe, niezbyt wyraźne, z nieruchomo zastygłym momentem przeszłości. Widok na obrazie olejnym z polaną był inny, barwny i poniekąd nadal żyjący. Miało się odczucie, że za chwilę wiatr znów poruszy firanę lub przemknie wyniosłe nad zgiętymi w ukłonie trawami. Zarówno jednak obraz, jak i fotografia miały w sobie coś intrygującego.

Szukałam treści nawiązujących do polany, przede wszystkim do znajdującej

się tam siedziby. Ciekawa byłam osób, które zbudowały ją na takim odludziu. Niestety, książka nie dostarczała żadnych danych o domu, zawierała jednak informacje o polanie. Narratorka przytoczyła opowieść, jaka krążyła tu kiedyś, uprzedzając, że nie wie, ile w tym prawdy.

Rzecz dotyczyła skałek przy szlaku. Najpewniej rzadko który turysta wiedział, że to miejsce starodawnych obrzędów sięgających chyba jeszcze czasów pogaństwa. Od strony traktu nic nie wskazywało, że tworzyły coś w rodzaju osłony dla niewielkiej przestrzeni. Według spisanej relacji, przed wiekami skrywały kamienny okrąg z paleniskiem w centralnym punkcie, dookoła którego ułożone były naturalne, skaliste ławy. Miała tam również być jakaś jaskinia czy grotta, na tyle duża, że można było w niej zamieszkać.

To miejsce od zawsze cieszyło się złą sławą. Od niepamiętnych czasów omijane, naznaczone innością tych, którzy znaleźli się tam wskutek prześladowań, lub też z własnej woli. Mówiono, że dokonano tam strasznej rzezi, a niedające się niczym wytłumaczyć zdarzenia na polanie, które przerażają ludzi, to zemsta ofiar. Dlatego uważano, że to miejsce przeklęte.

Zdaniem narratorki, trudno określić, jakich lat sięgała owa historia, gdyż była w niej mowa raz o czarownicach, raz o protestantkach. Pierwsze mogły być znachorkami lub akuszerkami, wyklętymi przez medyków, co w porównaniu do topienia w rzece czy palenia na stosie było jeszcze łagodnym sposobem pozbywania się konkurencji. Z kolei szykanowani przez Kościół chrześcijanie, którzy opowiedzieli się za Reformacją, również nierzadko ratowali życie, ukrywając się na odludnych obszarach.

Ciekawe, że obydwie wersje opowieści były zgodne w jednym: ofiary pogromu to kobiety. Dalszy ciąg nie był jednoznaczny. Kiedy dusze zamordowanych protestantek spokojnie odeszły w zaświaty, o czarownicach twierdzono, że błękały się tu nadal, przemienione w stado saren. Uśmiechnęłam się. Dużo przemawiało za tym, że owe kobiety nie mogły być złe, raczej postrach budziła ich odmienność. Najpewniej miały więcej wspólnego z niesieniem pomocy niż rzucaniem uroków. Wiadomo, że ludzie bojąc się inności, oswajają ją sobie, ubarwiając w elementy bajkowe, lub sprowadzają do pospolitości. W tym wypadku chyba chodziło o to pierwsze.

Nie wiedzieć kiedy, zbliżyłam się do połowy książki. Najpierw zaczął się wiercić kot, a potem mój żołądek przypominał o sobie. Złożyłam leżak i oparłam o balustradę. Być może do jutra, pożegnałam w myślach wygodne legowisko.

Zrobiłam sobie omlet z pieczarkami z puszki, usmażonymi na oliwie, posypałam wiórkami żółtego sera i posiekaną pietruszką. Kończyłam jeść, kiedy usłyszałam dzwonek u drzwi. Zdumiałam się, chłopak z wioski zjawiał się o wcześniejszej porze, zaś Armin miał klucze. Odłożyłam sztucce i poszłam otworzyć. Na zewnątrz stała jakaś kobieta.

– Dzień dobry! – rzuciła, gdy uchyliłam drzwi, po czym dodała z przeprasającym uśmiechem: – Chciałam zapytać o drogę, chyba pobłądziłam...

Istotnie, sprawiała wrażenie zagubionej, a już na pewno zmęczonej. Jej twarz pokrywały drobne kropelki potu, jasna grzywka przykleiła się do czoła. Nic dziwnego, taszczyła ze sobą okazałej wielkości plecak i chyba też – jak na taką pogodę – ubrała się za ciepło. Odwzajemniłam powitanie i zawahałam się:

– Nie wiem tylko, czy zdołam pani pomóc?

– Na pewno! Znając te okolice...

– W tym rzecz, że jestem tutaj od niedawna – zgasiłam jej entuzjazm. – A pani długo w drodze?

– Dzisiaj od wczesnego rana, a tak w ogóle, od tygodnia. Podobno w pobliżu znajduje się jakieś schronisko?

– Z tego, co wiem, jest, ale dość daleko stąd, dopiero pod szczytem. Dochodzi się tam czarnym szlakiem.

– Niepotrzebnie więc z niego zbczyłam...

Chyba nie spodziewała się, że ten dom jest schroniskiem, pomyślałam. Wczuwając się w jej sytuację, rozumiałam, że mogła mieć już dosyć wędrówki. Była mniej więcej w moim wieku, dużo niższa ode mnie, o karnacji anemiczki. Westchnęła ciężko i zdejmując plecak z ramion, zapytała grzecznie, czy mogłaby dostać szklankę wody. Zrobiło mi się głupio, że gapiłam się na nią, zamiast samej zaproponować. Uratowałam twarz, zapraszając kobietę do środka.

– Woda jest tu wyśmienita – zapewniłam. – Może jednak odpocznie pani troszeczkę i napije się ze mną herbaty?

– Z ochotą! – Obdarzyła mnie uśmiechem i przedstawiła się, podając mi dłoń: – Łucja Luty.

Uczyniłam to samo, po czym zaprosiłam do pokoju. Rozglądała się ciekawie po wnętrzu, a wyczuwając mój wzrok, spytała, czy może skorzystać z łazienki. Powiedziałam, że musi pójść na piętro. Wyjęła z plecaka dużą, męską kosmetyczkę i udała się na górę. Jakiś czas później wróciła odświeżona, z włosami gładko przyczesanymi.

Przy herbacie dowiedziałam się, że pani Łucja spędza urlop na wędrówce od schroniska do schroniska. Byłam dla niej pełna uznania, sama nie zdobyłabym się, by samotnie przemierzać góry, obawiałabym się wypadków czy napotkania złych ludzi. Zdawała się bagatelizować ryzyko, ale odniosłam wrażenie, że nadrabia miną. Ujawniła mi, czym zajmuje się na co dzień i gdzie mieszka

– wiodła spokojny, całkiem przeciętny żywot, a pociąg do przygód tłumaczyła potrzebą rekompensaty.

Zanim się spostrzegłam, to ja byłam wypytywana początkowo taktownie, potem już bardziej wprost. Panią Łucję ciekawiło, skąd przybyłam, co robię za granicą, jak też wiele, wiele więcej. Odpowiadałam zdawkowo, wreszcie jednak

miałam dosyć ciągnięcia mnie za język. Zamiast odpowiedzi uśmiechałam się tylko, mając nadzieję, że gość odczyta to należycie. Spędziłyśmy ze sobą przyjemną godzinę, na dalszą nie miałam chęci. W dzbanku z herbatą pokazało się dno, kobieta odstawiła go z rozczarowaniem, lecz udałam, że tego nie widzę. Mimo wszystko ani myślała zbierać się do drogi, weszła w nowy temat, teraz już wyraźnie grając na czas.

– Nie chcę panią ponaglać, jednak do schroniska jeszcze kawał drogi, a robi się ciemno – zauważyłam, siląc się na rzeczowy ton.

Przygryzła wargę i odezwała się przymilnie:

– Szczerze mówiąc, mam już na dzisiaj dosyć wędrowania. Ten dom jest taki duży... Może mogłabym u pani przenocować? Oczywiście zapłacę!

Nie doczekawszy się mojej szybkiej zgody, zalała mnie potokiem zapewnień, że nie uczyni żadnego kłopotu, nie potrzebuje nawet pościeli, najwyżej jakiś koc, ma też ze sobą konserwę... Przerwałam jej.

– Niestety, to niemożliwe.

– Dlaczego? – Nie kryła rozczarowania.

– Dom nie jest mój, nie jestem uprawniona, aby wynajmować pokoje.

– Nikt nie musi dowiedzieć się o tym...

– Przykro mi. Nie mogę. To jest prywatna siedziba, nie pensjonat. Jeżeli nie chce pani iść do schroniska, to bliżej jest miasteczko, tam dużo wolnych kwater. Z wioski kursuje autobus, do przystanku niedaleko i na dodatek z górki.

– Rozumiem, ale tak miło nam się rozmawiało! Proszę zrobić wyjątek! Wygląda pani na dobrego człowieka...

Byłam stanowcza. Wstałam i poszłam do kuchni, wynosząc tacę z filiżankami i dzbankiem. Kiedy odwróciłam się w stronę pokoju, pani Łucja zaskoczyła mnie, robiąc mi zdjęcie.

– Na pamiątkę naszego spotkania! – Uśmiechnęła się chytrze.

Wolałabym zostać zapytana o zgodę, lecz nie odezwałam się, by nie przeciągać pobytu kobiety. Potrwało jeszcze z dziesięć minut, nim odeszła, przedtem jeszcze korzystając z łazienki.

Rozdrażniła mnie swoim tupetem. Pretensje o to mogłam mieć tylko do siebie, nie trzeba było zapraszać jej do środka. Po raz któryś w życiu nie wyczułam człowieka, na własną prośbę znalazłam się w kłopotliwym położeniu. Jako że pani Łucja zapaliła sobie raz i drugi, musiałam pokój wywietrzyć. Wyszłam na balkon zauroczona wyglądem nieba w kolorze indygo – pierwsza zapowiedź zmierzchu. I wtedy zobaczyłam, że kobieta idzie w dół polany.

Dziwna osoba, pomyślałam, i może wyrzuciłabym ją z pamięci, gdyby nie pewne spostrzeżenie. Idąc po coś na górę, zauważyłam, że drzwi do mojego pokoju były zamknięte. Tymczasem, odkąd wzięłam tu kota, nie domykałam drzwi łazienkowych, i tych od mojego pokoju. Czyżby kobieta była złodziejką?

Przejrzałam torebkę i pobieżnie całą resztę, jednak wszystko było na swoim miejscu. Czego więc szukała? W łazience również niczego nie brakowało, nawet moje perfumy były nienaruszone, co po wizycie innej kobiety nie jest wcale normą. Doszłam do wniosku, że pani Łucja zerknęła do pokoju z czystej ciekawości. Nie podobało mi się to, lecz mogło być gorzej. Zganiłam siebie za lekkomyślność.

Wieczór spędziłam samotnie, Armin po powrocie przywitał się i zniknął u siebie. Poczytałam dalej książkę, a gdy zrobiłam się senna, udałam się na swoje piętro. Później dobiegła mnie z dołu muzyka, Armin słuchał swojej ulubionej płyty. W pewnej chwili wszedł na górę, zatrzymał się pod moimi drzwiami, lecz nie wszedł do środka, z łazienki też nie skorzystał. Może nie chciał być dzisiaj sam? Jeśli tak było, dlaczego nie dawał wyraźniejszych sygnałów? Może stęsknił się za kotkiem, ten jednak twardo spał na mojej kołdrze.

Niby nic wielkiego, a jednak wybiło mnie to z przedsennej letargu. Armin najpewniej uprzyjemniał sobie bezsenną noc muzyką i alkoholem. Rozpamiętywał minione zdarzenia? Nic o nim nie wiedziałam. I nagle skojarzyłam słowa jego ostrzeżenia z wizytą dziwnej pani Luty. Co prawda, nie pytała o niego, może jednak szukała potwierdzenia, że naprawdę mieszkam tu sama? Jeżeli tak było, nie znalazła dowodów obecności drugiej osoby, Armin wszystkie swoje rzeczy zniósł na dół. O tym, że na najniższej kondygnacji są jeszcze dodatkowe pomieszczenia mieszkalne kobieta mogła nie wiedzieć.

Uświadomiłam sobie teraz bladłość jej twarzy mającą się nijak do opowiadki o tygodniowej wędrownicy po górach. Czyżby ten strój oraz stosowna bajeczka miały mnie zmylić? Zamiast ubywać pytań, wciąż ich przybywało, gdyż doszły jeszcze spekulacje na temat Armina. Zakładając, że pani Luty była swojego rodzaju agentką, to na ile ważna była jego osoba, że zlecono jej go odszukać?

Nie umiałam połączyć człowieka, z którym przebywałam pod jednym dachem, z przypuszczeniami, jakie się nasuwały. Armin bawiący się z kotkiem, Armin wrażliwy na piękno przyrody, Armin zachwycony muzyką... Czy ten mężczyzna mógł mieć drugą, mroczną naturę? O tym, że jest to możliwe, przypominały nie tylko fabuły filmów o przestępcach, lecz także prawdziwe życiorysy psychopatów. Właśnie dlatego, że nikt nie domyślał się czającego się w nich zła, udawało im się zdziałać rzeczy, które przechodziły potem do legend kryminalistyki. Spokojni małżonkowie i ojcowie rodzin, przeciętni pracownicy, niewyróżniający się niczym sąsiedzi. Co ja wiedziałam o Arminie? Nic. Nawet z Reginą nie rozmawiałam jeszcze na jego temat. Przez najście pani Łucji pojęłam, że dziwnemu współlokatorowi udało się stępnąć moją czujność. Byłam znowu w punkcie wyjścia.

Tim zwykł powiadać, że źle sypia ten, kogo dręczy sumienie. Przypominałam to sobie, nie bez powodu. Bezsenność męczyła mnie już przez kilka nocy, za dnia ledwo powłóczyłam nogami. Wieczorami powieki same

opadały mi na oczy, lecz potem znowu do świtu przewracałam się z boku na bok. Nie miałam złudzeń, co było tego przyczyną. Moje wyrzuty sumienia oczywiście dotyczyły Tima.

W tak skrajnej wersji ujawniły się dokładnie po miesiącu mojego pobytu w Polsce. Wyobrażałam sobie wściekłość Tima, iż nadal nie zapowiadam powrotu. Powinnam zadzwonić do niego, w głębi ducha przeczuwałam jednak, iż nie będzie chciał mnie słuchać. Miałam jeszcze wybór, mogłam zostać albo mogłam wracać. Z tym że ostatnia opcja zakrawała mi na tchórzostwo.

Nocne postanowienia poprawy miały się nijak do praktyki za dnia. Snułam się „powłóczysta” w sensie tak ruchów ciała, jak i kondycji ducha. Czułam się z tym okropnie i zakładałam nawet, że podświadomie sama nakręcam się na bezsenność. Odrzuciłam tę myśl, gdyż aż taką mistrzynią w samooszustwie nie byłam. W gruncie rzeczy wiedziałam, że po prostu należy się przemóc i nareszcie pogadać z Timem.

Armin zaskoczył mnie mówiąc, że zostanie dziś w domu; dotychczas zdarzyło się to może dwa, trzy razy. Zakomunikował mi, jakbym nie wiedziała już o tym poprzez sygnał wewnętrznego barometru, że niebawem zmieni się pogoda. Ranek był słoneczny, Armin postanowił zrobić porządek w ogrodzie. Przedtem jednak, ku mojemu zdumieniu, oświadczył, że przygotuje śniadanie.

Za jego wcześniejszymi próbami odkrycia swojej grzeczniejszej strony przeważnie krył się jakiś interes, dlatego zachowywałam czujność. Bez entuzjazmu skorzystałam z kawy, na resztę kręcąc głową.

Nasze drogi krzyżowały się wyłącznie w domu. Ostatnio sporadycznie, jakby za dnia dobrowolnie odstępował mi środkowy poziom. Raz po raz odkrywałam ślady jego późnowieczornych posiedzeń przy kominku, nierzadko słyszałam też muzykę. Staralam się nie postrzegać tego jako afront, choć na pewno nie przypadkiem przebywał tam tylko pod moją nieobecność. Przyjęłam też bez szemrania powściągliwość Armina. Zagadywany, odpowiadał w wersji minimalistycznej, czyli przeważnie „tak” lub „nie”, więc rewanżowałam się tym samym. Czasami tylko kotek umyślił sobie inaczej i na przemian nas zaczepiał, usiłując wciągnąć do wspólnej zabawy. Dawaliśmy mu ku temu coraz mniej okazji.

Dzisiaj współlokator zmienił koncepcję i chyba jak zwykle oczekiwał, że dostosuję się do tego. Jego rezerwa stopniała; może nie był przesadnie miły, jednakże nietypowo rozmowny. Z powodu niewyspania potakiwałam tylko lub wtrącałam półsłówka. Odebrał to jako dąsy, gdyż zarzucił mi, że go nie słucham. Zareagowałam odruchowo:

– Przepraszam cię. Źle spałam. Mógłbyś dolać mi jeszcze kawy?

Spojrzał na mnie uważnie i chyba uznał, że go nie zwodzę, ponieważ skwitował:

– Rzeczywiście, nie wyglądasz najlepiej. Może masz za mało ruchu?

– Nie sędzę. Nigdy w życiu nie chodziłam tyle, ile teraz! Prawie codziennie do sklepiku w wiosce, a nieraz nawet pieszo do uzdrowiska.

– Tylko w dolinę? Nie chcesz chyba powiedzieć, że nie wędrujesz po górach?

– Dostanę kawę? – przypomniałam.

– Bardzo proszę. – Dolał mi do kubka. I nie omieszkał dalej drążyć: – Ale doszłaś chociaż szlakiem do schroniska?

Wzruszyłam ramionami. Nie chciało mi się tłumaczyć, że w przeciwieństwie do niego, samotne łożenie po bezludnych okolicach postrzegam jako wątpliwą przyjemność.

– Nie wierzę! – Dotarło do niego, co znaczy moje milczenie. – Karola, sama chyba widzisz, że twój pobyt w tym domu jest pomyłką. Trzeba było od razu zostać w dolinie, znaleźć sobie coś w uzdrowisku. Stąd masz wszędzie daleko i na dodatek, jak widzę, nie czujesz się tutaj najlepiej.

Mogłam się po nim spodziewać, że od razu wykorzysta chwilę mojej nieuwagi! Naprawdę musiałam pilnować się z każdym słowem?! Gniew na Armina w pewnym sensie dopiero mnie obudził bądź też kawa dodała mi energii, w każdym razie, na atak odpowiedziałam atakiem:

– Z tego, co dochodzi do mnie na górę, również nie sypiasz tu za dobrze!

Zrozumiał, ale wcale się nie speszył.

– Trzeba było powiedzieć, że za głośno puszczam muzykę. Albo do mnie dołączyć.

– Dziękuję ci. Nauczona doświadczeniem, wolę nie.

– Co masz na myśli? – zapytał, jakby nie kapował, w czym rzecz.

Zająknęłam się, tamto wyrwało mi się niepotrzebnie. Dla mnie i tak było to bez znaczenia, polubiłam swoją samotność. Coś jednak musiałam powiedzieć.

– Po prostu nie nadążam za twoimi nastrojami. Proponuję wywieszanie tabliczki „dzisiaj można się odzywać” albo innej, z napisem „święty spokój”. Przynajmniej będę na bieżąco!

Pomyślałam nawet, że się roześmieje. Nic z tego, zhardział i przyciął mi:

– Zdaje się, że za długo żyjesz za granicą. Polska dusza to nie automat.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Właśnie o tym. Nic nie rozumiesz. Nie wyczuwasz niuansów w relacjach międzyludzkich.

Całkiem spokojnie podniósł się z krzesła, dziękując mi za towarzystwo. Wyniósł swoje brudne nakrycie i wstawił je do zlewu, po czym zszedł schodami na dół. Kotek, który biegł za nim aż do tego miejsca, zamiauczał żałośnie. Tak, jak w paru susach potrafił dostać się na wyższe piętro, tak nie wiedzieć czemu, najniższej kondygnacji unikał.

Miałam żal do Armina. Pozostawił mnie z przekonaniem, iż nie warto ze

mną gadać. Czułam się odrzucona, choć to nie ja zabiegałam o jego towarzystwo. W jednym Armin miał rację – nic z tego nie rozumiałam.

Nie znosiłam nieprzejrzystych sytuacji. A stawiano mnie w nich od młodości. Tajemnice, przemilczenia, wykręty – albo miałam do nich wyjątkowego pecha, albo po prostu nie wzbudzałam w ludziach zaufania. Wiedziałam, iż czas niekoniecznie działa tutaj na korzyść. Najpewniej była w tym i moja wina, gdyż natykając się na mur milczenia, wznosiłam jeszcze wyższy. Tym razem zapowiadało się podobnie.

Nigdy nie miałam przyjaciółki, takiej od serca, której wyjawiałabym sekrety. Na brak koleżanek nie narzekałam, lecz chociażby relacje z Danutą czy z Regimą potwierdzały, iż nie potrafię stworzyć całkowicie szczerego kontaktu. Poza jednym wyjątkiem – istniał kiedyś przyjaciel. Marek. To był kolejny element przeszłości, do którego nie chciałam wracać.

Armin poważnie zabierał się do roboty, a przynajmniej na takie zamiary wskazywał jego strój: ogrodniczki, rękawice i jakiś stary kapelusz. Wietrząc pomieszczenie, zauważyłam go z balkonu. Zmagał się z gałęziami zwalonego drzewa, targając je spod ogrodzenia; zupełnie, jakby się na nich wyżywał. Porozumienie z facetami w moim wypadku nigdy nie należało do łatwych, więc tylko westchnęłam. Gdy uprzątnęłam po śniadaniu, wróciłam do siebie, na górę. Na moim łóżku leżał zwinięty w kłębuszek kot, zwał tu, gdy odkurzałam. Najchętniej położyłabym się obok niego i odespała zarwaną noc, ale wtedy znowu wieczorem pojawiłyby się problemy. Miałam zresztą coś do załatwienia.

Być może, gdyby nie to, że Armin został dziś w domu, nie zdecydowałabym się na wyjście. Spędziłabym dzień pod kocem na leżaku, delektując się promieniami jesiennego słońca i jakąś lekturą. Postanowiłam udać się do uzdrowiska – chociażby po to, by kupić wreszcie kartę magnetyczną do publicznych telefonów. Dotychczas budki z nimi skrzętnie omijałam.

Wyszłam, nie żegnając się z Arminem. Nie było powodu, każda kolejna próba zbliżenia kończyła się jeszcze większym dystansem. Schodząc dróżką wzdłuż ogrodzenia, dostrzegłam nagle, że trochę niżej, pomiędzy choinami, coś się porusza. Zdumiało mnie, że Armin pracuje po zewnętrznej stronie posiadłości. Odgłos moich kroków sprawił, że postać spod płotu obróciła się ku mnie. To nie był on.

Od razu poznałam Łucję Luty; robiła zdjęcia. Zanim zdążyłam o to zapytać, zasypała mnie gradem słów:

– Witam, witam! Nie ma pani nic przeciwko temu, że zrobiłam kilka fotek, prawda? Ten dom wprost mnie zauroczył, musiałam tu jeszcze wrócić! A dokąd to? Do wioski czy dalej? Dobrze mi pani wtedy poradziła, znalazłam w uzdrowisku pokój, niedrogi. Zaplanowałam dzisiaj przejść się czarnym szlakiem, podeszłam tu tylko z powodu tego domu. Ma pani szczęście, że mieszka w tak pięknym miejscu!

– Życzę udanej wędrówki – odezwałam się niechętnie i dodałam: – Przepraszam, ale trochę się śpieszę.

– Naturalnie, rozumiem. – Chyba mi nie dowierzała. – Widzę, że ma pani ogrodnika...

– Znajomy, czasami tu pomaga. – Nie miałam zamiaru wtajemniczać jej w swoje sprawy. – Do widzenia pani!

– Do widzenia! – W głosie Łucji wyczułam kpinę.

Dochodząc do traktu, odwróciłam się, lecz na dróżce nikogo już nie było. Kobieta musiała pójść wyżej lub skryła się wśród choin. Mówiła, że wędruje od wioski do wioski, a nagle zaszyła się tu na dłużej? Dom na pewno był niebrzydki, lecz w okolicach spotykało się ładniejsze, dlatego wyjaśnienia Łucji wydały mi się podejrzane.

Do uzdrowiska dojechałam autobusem, wysiadłam przy poczcie. Odstąpiłam kwadrans w kolejce, by dowiedzieć się, że zabrakło kart magnetycznych. Doradzono, bym spytała w pobliskim kiosku.

Były, i to nawet trzy do wyboru, według wartości. Budka telefoniczna stała tuż obok. Najpierw chciałam się skontaktować z Reginą i od tego uzależniałam, czy dojdzie do rozmowy z Timem. Zastałam ją w domu, po wymianie powitania od razu przeszła do sedna:

– Tim ciągle męczy mnie o twój zamiar!

Sytuacja była gorsza, niż myślałam. Nie mając prywatnego numeru telefonu Reginy, Tim dzwonił do firmy, więc jej irytacja absolutnie mnie nie dziwiła. Niby nie miała do mnie pretensji, lecz dało się wyczuć, że ma tego dosyć.

Wyjawiła mi, że Tim detalicznie sprawdził moją wersję wyjazdu, jakby nie wierzył, iż propozycja wyszła od mojego lekarza, a skorzystanie z domu – od niej. Zdumiałam się, nigdy mnie nie kontrolował, wręcz wyśmiewał zazdrośników. Mówił, że związek tylko wtedy ma rację bytu, jeżeli pozostawi się w nim margines wolności.

– Karolo, wyjaśnij mi, jak się rzeczy mają!

– Masz rację, przepraszam za to zamieszanie. Porozmawiam z nim, masz moje słowo. Nie znałam go z takiej strony!

– Ile razy wyjeżdżałaś gdzieś sama? – Pytanie Reginy nie wymagało odpowiedzi, więc zaraz dodała: – Zresztą, co innego kogoś porzucić, a co innego zostać porzuconym.

– Powiedział ci, że go porzuciłam?!

– Może nie wprost, ale on chyba tak czuje. Wyraził się... zaraz... już mam! ...że uciekłaś, nie patrząc na nic.

– Dramatyzuje! – Westchnęłam ciężko. – Doskonale wie, że nie jestem tu dla kaprysu!

– Odniosłam inne wrażenie, ale dosyć o nim. Powiedz, Karolo, jak się

czujesz?

Pytanie Reginy uświadomiło mi, że w ostatnich dwóch tygodniach miewałam najwyżej bóle głowy typowe dla zmian pogodowych, dające się wytrzymać. O kłopotach ze snem wolałam nie wspominać. Byłam dobrej myśli, że jeśli tylko dogadam się z Timem, miną samoistnie.

Powiedziałam jej o moim współlokatorze. Nie mówiłam, że byłam zszokowana jego pojawieniem się ani że mieszka nam się nie najprzyjemniej. Niemniej nawet już mocno załagodzona wersja poruszyła Reginę.

– Coś takiego! Wiktor nie skontaktował się ze mną! Karolo, bardzo mi przykro, naprawdę nie miałam o niczym pojęcia... Nieładnie wyszło!

– E, tam! Doszliśmy do porozumienia, jedno drugiemu nie wchodzi w drogę, więc jest w porządku.

Nie знаła nikogo o takim imieniu, jednakże jej brat miał podobno mnóstwo znajomych. Poprosiłam Reginę, aby, jeśli nadarzy się sposobność, wypytała brata o Armina.

Potem zadzwoniłam do Tima. Utrzymanie emocji na wodzy okazało się trudne. Pomimo południa obudziłam go, gdyż niby akurat miał nocki. Powiedział, że znam system jego pracy i mogłam sprawdzić to w kalendarzu. Mogłam, moje niedopatrzenie, więc go przeprosiłam. Na nic się to zdało, bowiem nie zmienił tonu. Pomyślałam, że da upust złości, a potem się dogadamy.

Nic z tego. Nie usłyszałam niczego, co mogłoby chociaż nieśmiało wskazywać na troskę o mnie. Czym dłużej rozmawialiśmy, tym bardziej byłam przekonana, że porozumienia dzisiaj nie będzie. Tim nie omieszkał mi przypomnieć, że złamałam warunek, jaki postawił mi przed wyjazdem do Polski. Nie przyjmował tłumaczenia.

– Nie obiecywałam, że wrócę po miesiącu, lecz wtedy, kiedy będę na to gotowa! Powiedziałam: może po miesiącu. Teraz jednak widzę, że miesiąc to za mało.

– Nic takiego nie pamiętam! Miesiąc to miesiąc, a ten już minął. Nie będę tego dłużej tolerował! I jeszcze jakieś gierki z ukrywaniem swojego numeru!

– Przez komórkowy byłoby za drogo. Dzwonię z automatu.

– Kolejny wykręt!

W tym wypadku miał rację, lecz zamiast mu ją przyznać, szybko podchwyciłam temat telefonów, czyniąc mu wyrzuty za te do Reginy. Niestety, kontratak nie podziałał, wręcz rozjuszył Tima. Strzelał salwami zarzutów, by ostatecznie sprowadzić wszystko do jednego: mam wracać.

– I to nie za tydzień czy dwa, ale już! Jutro, najdalej pojutrze masz być z powrotem! – wrzasnął. – Albo koniec z nami!

– Tim, uspokój się, spróbujemy porozmawiać rzeczowo! Przecież gdybym nie wyjechała do Polski, wylądowałabym na kolejnej terapii albo nawet w szpitalu...

Nie wiem, czy dosłyszał moje argumenty, gdyż zamiast odpowiedzi, usłyszałam głuchy sygnał. Rzucił słuchawką!

Rozzłościło mnie to. Cóż on sobie wyobrażał? Sztorcował mnie jak jakąś smarkulę! Oczywiście, znowu myślał wyłącznie o sobie, a moje potrzeby miał gdzieś! Cały Tim, długo nie chciałam widzieć jego prawdziwego oblicza. Wszystko było dobrze, póki milczałam, ustępowałam...

Kiedyś zachowywał się inaczej, nie zawsze stawiał na swoim. Na początku naszej znajomości umiał o mnie zabiegać. Kokietował męskim czarem, zapraszał do restauracji, dawał prezenty. Z czasem przestał się starać i jako nową taktykę przyjął szantaż emocjonalny. Dzisiejszy popis był tego przykładem, a zarazem wybiegał poza znane mi dotąd schematy. Tim nieraz sprzeczał się ze mną, jednakże nigdy nie darł się na mnie ani nie rzucał słuchawką! Mój upór odkrył jego skrajności. Zaczęłam powątpiewać, czy naprawdę znam tego człowieka. I co więcej, jakimi uczuciami go darzę.

Tak naprawdę ani razu nie zatęskniłam za nim. Owszem, bywało, że krążyłam myślami wokół niego, lecz nie były takimi, jakie śle się ukochanej osobie. Bardzo szybko zdecydowaliśmy się na wspólne mieszkanie, jeszcze na etapie wzajemnej fascynacji sobą i popełniliśmy błąd. Nie każde zakochanie przeradza się w miłość, nierzadko, gdy spadną różowe okulary, wzajemna prawda o sobie jest trudna do zaakceptowania. W naszym wypadku nie było może całkiem tragicznie, ale to tylko dlatego, że sentymenty pozostawiliśmy za drzwiami. Przekalkulowaliśmy na trzeźwo plusy i minusy bycia ze sobą i wyszło, że co nieco zyskamy, a nic nie tracimy.

Dzisiaj nie byłam pewna, czy to na pozór rozsądne podejście nie pozbawiło nas innych, ważniejszych szans. Idąc na wygodę, odgradziliśmy się od okazji, jakie niósł ze sobą żywot singla i zaprzestaliśmy dalszych poszukiwań. Niekiedy ubolewałam nad tym, choć na ogół robiłam dobrą minę do złej gry. Timowi nasz układ pasował, stałam się jego mamuszką, kochanką i opiekunką jego psa.

Los chciał, że zadzwoniłam w momencie, kiedy Tim nie panował nad nerwami. Gdyby zagrał inaczej, rozważnie, dyplomatycznie, kto wie, może zastanowiłabym się nad jakimś kompromisem. Po takiej rozmowie nie miałam chęci pójść na żadne ustępstwo. Nie byliśmy małżeństwem, nie składałam mu żadnych obietnic. Nie miał prawa mną dyrygować. Miesiąc rozłąki uwypuklił to wszystko, na co przymykałam oczy. Tim był egoistą. Ten telefon coś jeszcze mi uprzytomnił. Nie tylko, że jeszcze nie byłam gotowa na powrót. W ogóle nie chciałam wracać do Tima.

Mogłam przypuszczać, że emocje minionych dni zemszczą się na mnie katuszami migreny. Cwanie przyczajona za słabymi bólami głowy, naskoczyła na mnie ze wzmożoną siłą. Poległam, i to nie tylko fizycznie; atak podłamał też ducha. Można by powiedzieć, iż sama prosiłam się o to, wywołując burzę. Nie

skończyło się bowiem na jednej rozmowie z Timem.

Zrozumiałam, że bez względu na jego decyzję uczciwość wymaga, aby poinformować go o mojej. Zwlekałam jeszcze, przerabiając punkt po punkcie wszystko, co należało do naszej relacji. Przeanalizowałam zarówno jej początek, jak i niefortunny pomysł pozostania ze sobą wyłącznie na bazie rozsądku. Wybiegałam również w przyszłość, starając się odkryć szanse na ponowne rozpalenie ognia. Niestety, im bardziej wgłębiałam się w nasz związek, tym wyraźniej docierało do mnie, że to już tylko farsa.

Nie kochałam Tima i nie czułam się przez niego kochana. Zostałam z nim z wygody, z lęku przed samotnością, a także z niewiary, że można inaczej. O mężczyznach ogólnie nie miałam dobrego zdania, jaka więc różnica, czy ten czy inny? Spełniał podstawowe warunki, tak pod względem aparycji, jak i społecznie, a zresztą również nie odbiegał od normy. Układ z nim był praktyczny, ustrzegął mnie przed niespodziankami i zapewniał komfortową stagnację. Przed miesiącem broniłabym się jeszcze, wymieniała zalety związku. Teraz wiedziałam, że chowałam głowę w piasek. Zrozumiałam, że w ten sposób można zakładać spółki i robić interesy, lecz w żadnym razie budować związek na życie. Uświadomiłam sobie, że jeśli dzisiaj tego nie przerwiemy, to kiedyś się znienawidzimy. Za stracony czas, za to, co uczyniliśmy sobie wzajemnie, a przede wszystkim zlekceważyliśmy miłość.

Prawda mnie przerażała. Staliśmy się sobie obcy i powinnam była już dawno odejść. Nasza wspólna przyszłość nie istniała, ale prawdziwie zrozumiałam to dopiero z dala od Tima. Podjęłam nareszcie decyzję, należało go o tym powiadomić.

Minął tydzień od naszej ostatniej rozmowy, siedem nocy z zaburzonym snem i siedem dni pełnych rozterek.

Liczyłam, że także Tim w tym czasie zastanawiał się nad nami i że doszedł do podobnych konkluzji, więc obejdzie się bez scen. Wszystko było przecież jasne.

Zaskoczył mnie, był mistrzem samokontroli. W żaden sposób nie zdradzał, czy moja decyzja poruszyła go bądź zasmuciła. Nie przerywał mi, gdy wyliczałam powody, dla których muszę pozostać w Polsce. Dopiero, gdy delikatnie weszłam w temat nas dwojga, oznajmił mi sucho, nie owijając niczego w bawełnę:

– To nie ma znaczenia. Jestem już z kimś innym.

– Co?!

Na taką ewentualność nie byłam przygotowana. W pierwszym momencie poczułam się oszukana, nawet poniżona. Tim argumentował, że to ja go opuściłam. Prawie roześmiałam się; perfidnie próbował rzucić winę na mnie. Nie dał mi dojść do słowa. Dziwił mnie też jego powściągliwy ton. W pewnym momencie zrozumiałam – Tim nie był sam. Dlatego starał się tak dobrze wypaść. Zapytałam wprost:

– Ona tam jest, prawda? Znam ją?

Tym razem ja go zaskoczyłam. Chrząknął, jak zawsze, gdy czuł się zmieszany. Potwierdził i wymówił jej imię.

– Chyba nie ta Doris? – upewniłam się.

Uświadomił mnie, że owszem, to jest ta Doris, a ja parsknęłam śmiechem. Oczywiście, nie było to ani grzeczne, ani przemyślane. Wiedziałam, że Tim ruszył się z miejsca. Po drugiej stronie słuchawki słyszałam jego kroki, a także odgłos zamykanych drzwi.

Kiedy zabrakło świadka naszej rozmowy, tonacja głosu Tima zmieniła się radykalnie. Wcześniejszą rezerwę, zastąpiły złość i jadowite docinki. Hamując emocje, przeszłam do konkretów. Jak się okazało, Tim podziałął w ekspresowym tempie nie tylko przy zmianie partnerki. Pozbył się moich rzeczy, wywożąc je do znajomych – tych samych, u których składowałam już inne. Właściwie, sama chciałam mu to zlecić, więc przynajmniej ten punkt miałam z głowy.

Pomimo to pośpiech Tima, uzasadniony wprowadzeniem się Doris („ktoś musi wreszcie zająć się Yodą!”), niemile mnie zaskoczył. Znaczyłam dla niego mniej, niż myślałam. Dopóki byłam przydatna, najpewniej niczego by nie zmieniał. To nie tęsknota za mną kierowała jego histerią. Myślał wyłącznie o sobie i dlatego wymienił mnie na nową kobietę, nie szukając nawet daleko.

Doris była sąsiadką z naszej ulicy, powierzaliśmy jej psa, wyjeżdżając na urlop. Yoda wyczyniała cuda, gdy oddawaliśmy ją do psiego hotelu, ale nie wyrażała żadnych obiekcji, przeprowadzając się dwa domy dalej. Po naszym powrocie Doris godzinami zanudzała opowieściami o opiece nad Yodą, a ta lizła ją po rękach i twarzy, na co nie mogłam patrzeć bez obrzydzenia. Nasza sąsiadka była dziwaczką i traktowaliśmy ją z przymrużeniem oka. Nigdy nie brałam jej pod uwagę jako potencjalnej rywalki, choć w kanonie urody tego kraju mogła uchodzić za niebrzydką. Tim stroił sobie z niej żarty, śmieszyła go jej ekologiczna poprawność, żeby nie powiedzieć: zakręcenie. O ile go dobrze znałam, w co teraz wątpiłam, nie gustował w kobietach tego typu. Trudno uwierzyć, ale chyba przeważał jej stosunek do Yody.

Zakończyłam rozmowę z Timem, powstrzymując się od złośliwości. Każde następne zdanie byłoby zbędne, on również o nic nie pytał. Chociaż powinnam cieszyć się z takiego obrotu sprawy, byłam zdeprymowana. Dotarło do mnie, że zmarnowałam kawał czasu.

Zdawałam sobie sprawę, że tak szybko nie wymażę Tima z pamięci. Nawet jego psisko w pewien irracjonalny sposób miało miejsce w moim życiu. Naszego mieszkania nie żałowałam, bo chociaż z wielkim zapałem wprowadziłam zmiany wystroju, nigdy nie poczułam się tam u siebie. Przeprowadzki były dla mnie rutyną, nie znosiłam jednak poszukiwań nowego mieszkania, dziesiątek rozmów telefonicznych, jazd z jednego końca miasta na drugi, latania po urzędach.

Powtarzający się koszmar znowu mnie czekał!

Byłam na powrót sama i bezdomna, również moja posada stała pod znakiem zapytania. Regina poprzednim razem bąknęła coś o planowanych zwolnieniach, ja chorowałam częściej od innych, a teraz jeszcze bezpłatny urlop. Staralam się nie martwić na zapas, lecz czarne wizje same pchały mi się przed oczy. Miałam, co prawda, zaprzyjaźnioną parę rodaków, na których pomoc mogłam awaryjnie liczyć, ale była to ostateczność. Zadzwoiłam do nich, przeprasząc, że Tim zwiózł im moje rzeczy bez uprzedzenia. Nie mieli pretensji, wręcz mi serdecznie współczuli, co jednak też mnie przygnębiło. Wracałam do domu przybita.

Do nocy walczyłam z ponurymi myślami, miałam wątpliwości, czy dobrze zrobiłam, przyjeżdżając do Polski. Zdawałam sobie sprawę, iż najgorsze dopiero przede mną. Nic dziwnego, że organizm nie wytrzymał i nazajutrz unieruchomił mnie migreną.

Dzisiaj jednak było już lepiej. Nawet nieprzychylna aura za oknem nie zmieniła u mnie pozytywnego nastroju. Cieszyło mnie, że jestem wolna od bólu, ulżyło mi też wyjaśnienie sytuacji z Timem. Nie miałam wyrzutów sumienia, żałowałam jedynie własnego niezdecydowania, ponieważ miałam wystarczająco dużo powodów, aby rozwiązać to dużo wcześniej. Przyzwyczajenie nie jest dobrym doradcą. Obiecałam sobie to zapamiętać.

Wracając ze sklepu, wstąpiłam do Garbarkowej. Nie zawsze miałam ochotę na wysłuchiwanie miejscowych plotek, jednak dzisiaj nowinki wioskowe pozwalały zapomnieć o własnych problemach. Przyjemne ciepło kuchni nasuwało skojarzenia z domem babci Naty. Także z tego powodu chętnie odwiedzałam Garbarkową. Jak zwykle, kręciła się pomiędzy stołem a piecem, na którym gotowała obiad. Mówiąc do mnie, raz po raz obracała w garnku mięso i polewała je marynatą. Nie byłam głodna, lecz nęcąca woń pieczeni sprawiała, że bezwiednie przełykałam ślinę. Straciłam apetyt, gdy gospodyni z dumą się pochwaliła:

– Dzisiaj będzie sarnina! Dla paniusi także starczy!

Zanim zdążyłam zareagować, już wyjaśniła:

– Szwagier potracił sarnę. Wracał po ciemku, a ona raptem wskoczyła mu pod koła. Jeszcze żyła, trzeba było zawołać leśnika, żeby ją dobił. Potem razem z moim przewieźli ją do szwagra i u niego sprawili. Mięsa nie tak dużo, bo to młódka. Leśnik też wziął, ale niech paniusia nikomu o tym nie powie...

W jednej chwili wyobraziłam sobie ranną sarenkę leżącą na skraju drogi i jej smutne oczy. Za nic nie wzięłabym do ust sarniny, a już na pewno nie po usłyszeniu tej historii! Powstrzymałam się jednak ze swoją szczerością, będąc pewna, że ta wiejska kobieta nie zrozumie moich uprzedzeń. Dla mnie było niepojęte, że można hodować zwierzęta, własnoręcznie je karmić, a potem przeznaczyć na ubój. I nie miało znaczenia, czy chodziło o głupie kury, czy o cielaki. Nie byłam wegetarianką, więc moje podejście zakrawało na hipokryzję.

Nie miałam jakoś zahamowań, by kupować mięso w supermarkecie; zgrabnie podane na tackach, opakowane folią, w niczym już nie przypomina żywego zwierzęcia.

– Nigdy dotąd nie dostrzegłam w okolicy saren – zauważyłam. – Kiedyś przemknął lis, a na łące niekiedy harczą króliki.

– Są, tylko kryją się głębiej w lesie – powiedziała Garbarkowa. – Zimą schodzą głodne pod wioskę. Leśnik nie pozwala ich tu dokarmiać, żeby psy nie pogryzły. A na polanę paniusi to sarny przychodzą tylko płakać...

– Płakać?!

– No! Starzy ludzie tak powiadają. Leśniczy śmieje się, że to bajanie, ale świętej pamięci Witomscy też je tam słyszeli. Lepiej jednak, żeby panusia ich nie usłyszała... – Przeżegnała się naprędce.

– Dlaczego?

– Bo to zły znak! – Mimowolnie przyciszyła głos. – Potem zawsze ktoś umiera.

– Witomscy zginęli przecież na autostradzie...

– To ja opowiem paniusi, jak to było. Starsi państwo przyjechali tu na całe lato. Gdy wracali do miasta, przyszedli zostawić klucze. Gadali wtedy, że w nocy coś nie dawało im spać, ucichło dopiero, kiedy zaczęło świtać. Witomska zobaczyła wtedy sarny. Nigdy wcześniej nie podchodziły tak blisko domu, to się zdziwili. I one tam beczą. A potem nagle ta wiadomość, że starsi państwo mieli po drodze wypadek! – Westchnęła ciężko i dodała: – Mnie się dopiero potem przypomniało, że sarny tam beczą, gdy komuś ma się zemrzeć. Sama panusia widzi, że to zły znak!

– No, nie wiem... Kierowca mógł być zmęczony, mówiła pani, że źle spał przed podróżą.

– Może i tak. A może to były błędne siostry! – Zaśmiała się trochę nerwowo.

– Błędne siostry?!

– Te skałki przy szlaku. Nie wiedziała panusia, że tak je nazywają? Bo niby kiedyś siostry wygnano z doliny i błękały się po górach, aż znalazły tam kryjówkę.

– Jakie siostry? Rodzone czy zakonnice?

– Chyba czarownice czy z jakiejś innej wiary. Potem jednak je znaleźli i wszyscy je pozabijali. I że niby ich duszyczki weszły w sarny i odtąd błękają się po okolicy. Skądś przecie musiało się to wziąć! Ponoć w starych książkach idzie o tym poczytać.

– W nowych też, akurat czytałam o tej legendzie, wspominała ją stara Niemka – wtrąciłam. – Tyle że bez konkretnej nazwy skałek...

– Widać, nie spamiętała. O tej polanie ludziska różne rzeczy plotą. Ja tam nie we wszystko wierzę. Ale jeśli panusia kiedyś usłyszy te sarny, to mi zaraz powie, tak?

– Dobrze – obiecałam, nie przyczepiając się do jej niekonsekwencji.

W sionce rozległy się kroki i w drzwiach stanęła Zuzia, w kurtce z kapturem i tornistrem na plecach. Minkę miała markotną, nawet witając się ze mną, uśmiechnęła się tylko nieznacznie. Babcia wyczuła, że coś jest nie tak, ale zamiast dać się dziecku wypowiedzieć, sama zaczęła zgadywać:

– Dostałaś zły stopień? A może łapie cię jakaś choroba? Pokaż no mi czoło!

– Babciu! – Mała odsunęła jej rękę. – Nic mi nie jest!

– Nic, nic, a potem trzeba będzie jeździć do przychodni! – zamruczała Garbarkowa, jednak zostawiła dziewczynkę w spokoju.

Zuzia wyszła się przebrać. Wróciła w stroju domowym, usiadła za stołem i w milczeniu przygryzała dolną wargę. Korzystając, że babcia robiła coś w spiżarni, zapytałam, najdelikatniej jak umiałam:

– Powiesz mi, co się stało?

Po chwili milczenia wyrzuciła z siebie:

– To przez takiego chłopaka z klasy! Wyśmiewa się ze mnie, że jestem eurosierota! Nie cierpię go!

Od słowa do słowa i dowiedziałam się, że nie po raz pierwszy dokuczał dziewczynce.

– Może tylko się popisuje? – pocieszałam małą.

Nie przekonał ją taki argument, przytoczyła mi inne przykłady na złośliwość tego kolegi, także wobec innych dzieci. Uznałam więc, że nie ma co owijać w bawełnę, iż człowiek bywa człowiekowi wilkiem.

– Wiesz, Zuziu, ja nie wierzę, że ludzie są z gruntu dobrzy. Owszem, są ludzie z zamiłowaniem do dobra, ale są też z zamiłowaniem do zła. Spotkasz w życiu jednych i drugich.

– I nie można na to nic poradzić? – spytała ze smutkiem.

– Trzeba się nauczyć odróżniać ich od siebie. I w miarę możliwości, chronić się przed złymi. Ignoruj tego chłopca. Może da ci spokój, kiedy zobaczy, że nie reagujesz na jego zaczepki.

– Dobrze, spróbuję. Niech pani tylko nic nie mówi babci! – zdążyła mi szepnąć.

Garbarkowa właśnie przyniosła zupę. Była to moja ulubiona pomidorowa, więc nie odmówiłam poczęstunku. Zjadłam zupę do ostatniej łyżki, przy okazji mając wymówkę, iż drugiego dania już nie zmieszczę. A kiedy do domu wrócił Garbarek, wykorzystałam dogodny moment, aby zebrać się do wyjścia. Aż do drzwi odprowadzał mnie zapach pieczonej sarniny.

Podchodziłam w stronę lasu szczęśliwa, że zdecydowałam się pozostać w otoczeniu polskiej natury i prostych ludzi, na powrót zżyta z ziemią swojego pochodzenia. Na odcinku drogi przez buczynę znowu minęłam się z gazikiem leśniczego. Tym razem się uśmiechnął. Mój współlokator z pewnością musiał mu o

mnie wspomnieć. Udałam, że nie zauważyłam jego przychylności. Za tę dobitą sarenkę, usprawiedliwiłam się w duchu.

Na polanie rozglądałam się za zwierzętami, ale nie było ich tutaj. Choć opowieści Garbarkowej traktowałam z przymrużeniem oka, jednak wsłuchiwałam się w szum niesfornego wiatru, czy nie niesie ze sobą osobliwych odgłosów. Jego porywy zapowiadały raczej zmianę pogody, ledwo wyraźna linia horyzontu już teraz zlewała się z pociemniałym niebem. Przyśpieszyłam kroku, zanosilo się na deszcz.

Przypomniałam sobie o zarysie saren na obrazie w antykwariacie. Przypadkiem malarz umieścił je w cieniu lasu? Dlaczego właśnie tam, a nie na soczystych łąkach? Może tylko wybrańcy mieli je odkryć? Zaśmiałam się w duchu ze swoich skłonności detektywistycznych. Sarny jak sarny, polana jak polana. Wkrótce miałam się przekonać, że są historie, które nas wybierają i nie sposób przed nimi uciec. Ta, ku której w swojej niewiedzy zmierzałam, od dawna zdawała się mnie oczekiwać.

Obudziła mnie muzyka deszczu. Wiatr kierował krople ku oknom, to bębniąc nimi o szyby, to pozwalając spłynąć im ledwo dosłyszalnym szmerem. Tę harmonię zakłóciły dopiero krople spadające z drzew. Wstałam niechętnie, do wychłodzonego pokoju wkradła się wilgoć. Ołowiane niebo pozbawiło poranek optymistycznej jasności, tak na zewnątrz, jak w środku domu. Do mojej głowy wpraszaly się niedobre myśli, Tim z ekspresową zmianą partnerki, lęk o własną egzystencję. Blokowałam im dostęp, wiedząc jednak, że prędzej czy później znajdą sobie jakąś szczelinę.

Żadna siła nie zmusiłaby mnie dzisiaj do wyjścia. Lodówka była pełna, nic mnie nie goniło, uwolniłam się nawet od wyrzutów sumienia – optymalne warunki na zagłębienie się w książkę. Włożyłam wygodny dres, włosy ściągnęłam frotką. Zjadłam śniadanie i rozpaliałam w kominku. Otulona kocem i z kubkiem kawy pod ręką zabrałam się do lektury.

Dowiedziałam się o innych zdarzeniach na polanie, które budziły w ludziach strach. Jedno z nich narratorka przeżyła osobiście. Była tam tylko jeden raz, jako trzynastoletnia dziewczynka, podczas wycieczki z klasą. Zapamiętała tamten dzień nie tylko dlatego, że był wyjątkowo gorący. Chociaż to z powodu upału nauczyciel zdecydował się wrócić w dolinę krótszą trasą, przez polanę. Tam, w cieniu skałek, zarządził odpoczynek. Autorka wspominała, że poczuła się nagle dziwnie, niby sennie, ale nie do końca. I to właśnie wtedy dostała swojej pierwszej miesiączki, co ją bardzo zawstydziło. Zapamiętała też i przytoczyła inną wstrząsającą opowieść. Szlak koło skałek istniał już wtedy i pewnej zimy wybrało się nim w góry trzech przyjezdnych mężczyzn. Dwaj młodzieńcy oraz ich wuj, też niestary, ponadtrzydziestoletni. Gdy w oznaczonym czasie nie wrócili z wędrowki, wszczęto poszukiwania. Na próżno, wszelki ślad po nich zaginął. Dopiero na przedwiośniu,

kiedy stopniały śniegi, odnaleziono szczątki zabłąkanych mężczyzn. Ciała ich wuja nigdy nie znaleziono. Wędrowcy skryli się pośród skałek, zapewne chroniąc się tam przed zawieją śnieżną, jednak nocą zamarli. Podobne wypadki zdarzały się w górach, w tym jednak było coś dziwnego. Ratownicy szukający zaginionych dokładnie przeszukali miejsce przy skałach. Dziwne, że wędrowcy się rozdzielili. Po tym wypadku odżyły mity dotyczące polany, jakoby czarownice zwodziły tam mężczyzn, nie pozwalając im znaleźć drogi. Miejscowi twierdzili, że idąc tamtędy, trzeba brać wodę święconą, gdyż bez niej przy skałkach traci się siły i zapada w sen.

Gdy śledziłam wątek zaginionych mężczyzn, przeszły mi ciarki po plecach. Jak to się stało, że podczas poszukiwań nie znaleziono ich wśród skałek? Być może wędrowcy błędzili dłużej, niż myślano, i gdzie indziej przeczekali noc, a do skałek na polanie dotarli później niż ratownicy? Dlaczego jednak nie schronili się w pobliskim domu? A zaginiony wuj? Czy można zniknąć bez śladu? Frapowało mnie to, lecz zdawałam sobie sprawę, że skoro na świeżo po tamtych wypadkach nie zdołano dotrzeć do prawdy, moje szanse na to równają się zeru.

Zawiodłam się trochę brakiem informacji o domu. Czemu w książce nie było o nim ani słowa, mimo że opublikowano w niej zdjęcie polany? W przypisach podano tylko, że fotografie pochodzą z prywatnego zbioru rodziny, co niczego mi nie wyjaśniło.

Czytałam cały dzień, najpierw przy oknie, potem już na fotelu pod lampą stojącą. Wstawałam tylko, by zaparzyć świeżą herbatę, a do niej byle co podgryzałam. Czasem dorzucałam drewna do ognia w kominku. Lekturę zakończyłam niemal jednocześnie z powrotem Armina do domu. Że też nawet w taką pogodę chciało mu się wędrować!

W ostatnich dniach odwołam tezę o naszym podobieństwie. Może byłam mrukiem, ale Arminowi nie dorastałam do pięt! Chyba wciąż żywił do mnie urazę, lecz teraz skrywał ją za obojętnością, co tylko powiększało dystans między nami. Moim zdaniem, jego zachowanie było niewspółmierne do zajścia – zwykłej wymiany drobnych uszczypliwości, co zresztą nie ja zaczęłam. Dzisiaj rzucił mi tylko z dala „dzień dobry” i zszedł na dół. Myślałam, że zniknie tam na dłużej, ale pomyliłam się. Wkrótce wrócił na górę i zaczął szykować sobie posiłek. Rozszedł się zapach smażonej ryby, co uprzytomniło mi, że jestem głodna. W przyływie rzadkiej u mnie spontaniczności poszłam do kuchni i zagadnęłam Armina:

– Wiesz, nie jadłam dzisiaj nic ciepłego. Może wspólnie przygotujemy kolację? Zrobię jakąś sałatkę...

– Bardzo proszę.

Chłodny ton nie brzmiał zachęcająco, lecz mnie nie zraził. Podzieliliśmy się czynnościami tak naturalnie, jakbyśmy robili to co dzień. Chciałam przerwać milczenie i spytać, jak minął mu dzień, lecz pomna uwagi o wścibianiu nosa, dałam

spokój. Wreszcie usiedliśmy naprzeciw siebie. Jedzonko było pyszne, więc pochwalałam umiejętności kulinarne Armina, a on przytaknął. Też miałam w tym udział, ale nie padły słowa uznania pod moim adresem. Nie wytrzymałam pełnej napięcia ciszy i zapytałam:

- Jesteś na mnie zły?
- Nie. Wszystko jest w najlepszym porządku.
- To czemu nie odzywasz się do mnie?
- Ty także milczysz.
- Bo nie wiedzieć czemu, każde moje pytanie wzbudza twoją podejrzliwość!
- Przezornie siliłam się na łagodny ton.
- Rozmowa niekoniecznie musi składać się z pytań.
- Teoretycznie tak – przyznałam i zamilkłam.

Skupiliśmy się na posiłku. Czułam się niezręcznie, więc pomyślałam, że wspomnę o legendzie na temat polany, lecz nagle Armin się odezwał:

- Możemy pogadać o pogodzie.
- To żart?
- Nie. Zastanawiałaś się nad tym, że dni będą coraz krótsze, a zimowa aura nie zawsze nam przyjazna?

Przygwoździł mnie wzrokiem. Nie wierzyłam własnym uszom. Udałam, że nie wiem, o co chodzi.

- Nad czym się zastanawiać? To chyba logiczne.
- Zdajesz sobie chyba sprawę, że tutaj to nie to samo co w mieście?
- Owszem, mam na tyle wyobraźni – odparłam i dodałam z ironią: – Nie przesadzaj z tą troską, nie mieszkamy w dziczy.
- Bagatelizujesz, a ktoś na pewno zamartwia się o ciebie.
- Niepotrzebnie zawracasz sobie tym głowę. Nikt za mną nie tęskni, a mnie jest tu dobrze. Nie planuję wyjazdu, bo chyba do tego zmierzasz! – Nie wytrzymałam i wyrzuciłam to z siebie.
- Lepiej być na bieżąco – rzucił beznamiętnie.
- Nie odpuszczasz, jak widzę... – Westchnęłam ciężko. – Jeśli w ten sposób mamy ze sobą rozmawiać, to lepiej wcale.

Skończyłam nie tylko mówić, ale również kolację, więc podniosłam się z krzesła. Zrobił to samo i skierował się ku schodom na dół. Kusilo mnie, by na pożegnanie coś mu dociąć, może choć sprzeczka stałaby się wentylem dla naszych cichych pretensji. Przeważył szacunek do samej siebie. Wracałam do siebie syta, lecz zde gustowana naszą rozmową.

Późnym wieczorem Armin rozgościł się przed kominkiem. Może bym o tym nie wiedziała, gdyby nie silne pragnienie, które nie pozwoliło mi zasnąć. Butelka wody mineralnej przy moim łóżku, niestety, była pusta. Zapaliłam lampkę nocną, narzuciłam płaszcz kąpielowy i zesłam na dół po wodę. Armin obrzucił mnie

obojętnym spojrzeniem, po czym odwrócił się do kominka. Wody w zapasie nie było, a miałam stuprocentową pewność, że powinna być jeszcze jedna butelka. Wcześniej się zdarzało, że Armin brał coś z moich produktów, lecz nigdy bez pytania. Sprawa była dla mnie jednoznaczna, toteż rzuciłam w jego stronę:

– Jeżeli już dobierasz się do mojej wody, to pomyśl, żeby ją potem odkupić!

Spojrzał na mnie, lecz nic nie odpowiedział. Na stole przed nim stała butelka wina; dolał sobie trunku. Mnie nie zaproponował. Byłam wkurzona. Wyjęłam z szafki czyste szkło, podeszłam do stolika i bez słowa napełniłam swoją lampkę winem. Skwitował to kpiącym uśmiechem i takim też tonem:

– Bardzo proszę, zapraszam!

– Nie oczekuj wdzięczności! – odcięłam się. – Jesteśmy tu na równych prawach.

– A już myślałem, że przyszłaś na nauki wczuwania się w moje nastroje...

– Analizować twoją gburowatość? Nie, dziękuję!

– Niekiedy potrafię być miły.

– Jasne, w jakimś konkretnym celu. To już wolę cię w wersji nieprzystępnej.

– Dobrze, na tym więc poprzestańmy. Jak winko? – spytał fałszywie słodkim głosem.

Wzruszyłam ramionami. Zamilkliśmy; wpatrywałam się w trzaskające polana, Armin wrócił do przeglądania gazety. Kiedy w mojej lampce ukazało się dno, rzuciłam „dobranoc” i wróciłam do siebie na górę.

Zanim się położyłam do łóżka, odkryłam drugą butelkę wody. Stała na podłodze przy biurku beczelnie pełna. Dopiero teraz przypomniałam sobie, że poprzednim razem wniosłam tutaj obydwie butle. Poczułam się głupio, ale bez sensu byłoby schodzić na dół i przeproszać. Armin mógłby to odebrać jako kolejną próbę nawiązania przyjaznych stosunków, a takiej satysfakcji nie zamierzałam mu dawać.

Jednak musiałam przyznać, że moje zachowanie nie jest w porządku. Kiedyś mówiłam Irze o dawaniu ludziom drugiej szansy, tymczasem sama postępowałam odwrotnie. Tak naprawdę nie tylko Armin był winny, że nie możemy się porozumieć. Kiedy uchylał drzwi, ja dopatrywałam się w tym podstępny i reagowałam z przewrażliwieniem. Nie widziałam już możliwości, aby nasze stosunki się poprawiły. I to mnie zasmuciło.

Pomogłam Irze zdjąć z tacy dzbanek z herbatą, filiżanki i paterę z ciastem. Rozpoznałam sernik polecany mi przez sprzedawczynię w sklepiku. Gdybym nie zaszła tam dzisiaj, nie doszłoby do spotkania z Irą. Zauważyła mnie zza okna swojego domu, przywołała i tym razem nie pozwoliła się zbyć. Miała dzisiaj wolne, jej mąż był w pracy, a córeczka w szkole. Dzieci z wioski wracały do domu autobusem, chyba że rodzice przyjeżdżali po nie autem. Irena podwoziła też koleżankę córki, Zuzię.

– Na pewno wiesz, że jej rodzice są w Irlandii... – Westchnęła.
– Tak, Garbarkowa wspomniała. Zuzia nigdy o nich nie mówi.
– Siedzą tam już trzeci rok i jakoś ciągle nie mogą małej sprowadzić do siebie!

– Za granicą różnie się układa – wtrąciłam.
– Im chyba nie najgorzej, skoro stać ich na urlopy w Grecji. Tylko do Polski jakoś się nie śpieszą, a Zuzia nigdy u nich nie była.

– Naprawdę? – zdziwiłam się. – Przysyłają chociaż pieniądze na jej utrzymanie?

– Tak, czasami jakąś paczkę, ale to przecież nie zastąpi rodziców! Wiesz, kiedyś Zuzia ciągle opowiadała Oli, że do nich pojedzie, cieszyła się na to! Ale czym więcej czasu upływało, a oni tylko przesuwali terminy, chyba przestała im wierzyć. Co gorsza, takich dzieci jak ona jest więcej, też w naszym rejonie. Tu nie ma pracy, więc młodzi często szukają jej za granicą. I niestety zdarza się, że dzieci zostają u kogoś, niby tylko na jakiś czas, ale nierzadko na całe lata!

– Nie sądziłam, że to problem na większą skalę. Smutne, nieodpowiedzialne... A co na to państwo?

– Niewiele da się zrobić, u nas są inne przepisy, w tamtych krajach inne. Europa się zjednoczyła, ale rodziny się rozpadają. Pozbawić kogoś opieki rodzicielskiej nie jest łatwo; dramaty rodzinne najczęściej ukrywane są w czterech ścianach. Nikt tak naprawdę nie wie, ile takich dzieci wychowuje jakaś babcia, ciocia czy nawet sąsiadka.

Zamyśliła się, widać było, że jest wyczulona na krzywdę dzieci. Aby zmienić temat, wstałam i podeszłam do regału z książkami. Od słowa do słowa, wyszło na jaw, że książki są naszą wspólną pasją. Zaczęłyśmy rozmawiać o ulubionych autorach, wymieniać tytuły. Drugą miłością Iry było kółko teatralne dla dzieci, które prowadziła w Domu Kultury; mogła mówić o tym bez końca. Właśnie przygotowywała jakiś nowy spektakl.

– Co sądzisz o książce, którą kupiłaś na spotkaniu autorskim? – spytała.

– Bardzo ciekawa.

– A mnie przygnębiła. Czytając o losach tej rodziny, poczułam się, jakby nasze prawo do tej ziemi było wynikiem nieszczęścia. Gdyby nie wojna, może nigdy nie stanęłaby tu moja stopa. Miałam potem wyrzuty sumienia, że zabraliśmy tej kobiecie kraj jej dzieciństwa.

– No, co ty? – zdumiałam się, mnie takie myśli w ogóle nie przyszłyby do głowy.

– Poważnie, byłam przybita. Pomogła mi dopiero rozmowa z mężem, poznałam historię tego rejonu już z perspektywy wieków, dowiedziałam się, że koloniści niemieccy osiedlili się tutaj późno, zajmując ziemię uprzednio słowiańskie. A rodzina tej pani przybyła jakieś dwieście lat temu...

– Hm... – zastanowiłam się. – Nie odkryłam tam żadnych wątków roszczeniowych. Może coś mi umknęło, bo nie czytałam pod tym kątem. Myślę, że zawsze jest się trochę przeczulonym, gdy coś dotyka nas bezpośrednio. Ja nie jestem stąd, ty jesteś miejscowa, więc odebrałaś tę książkę osobiście.

– Karola, to nie są moje rodzinne strony! – Roześmiała się. – Pochodzę z Wrocławia. Tutaj urodził się mój mąż, także jego rodzice. Jego dziadkowie to repatrianci ze wschodu.

– O! To zmienia postać rzeczy. I jak żyje ci się tutaj jako przyjezdnej?

– Wbrew temu, co wcześniej słyszałam o tutejszych ludziach, ci zaakceptowali mnie nad podziw szybko. Po ślubie najpierw mieszkaliśmy we Wrocławiu, tam poznaliśmy się z mężem, tam urodziła się Ola. Ale to był horror, ciągle przeprowadzki z jednej klatki do drugiej, za wynajem płaciło się majątek. A tu stała pusta połowa domu, niby do remontu, ale jednak. Poza tym męża ciągnęło do swoich. Miałam opory, by osiąść w takiej dziurze, za to teraz nie zamieniłabym tego miejsca na żadne inne. Polubiłam nasz dom, wioskę, uzdrowisko. Ola przestała chorować, a w mieście wiecznie były z nią problemy.

– Podjęliście słuszną decyzję – wtrąciłam.

– Są też minusy. Mąż nie znalazł tutaj pracy i teraz sporo czasu traci na dojazdy. Wiesz, co? Dobrze trafiłaś z tym określeniem, że jestem miejscowa. Uświadomiłaś mi, że tak właśnie tutaj się czuję. – Obdarzyła mnie szczerym uśmiechem i dostrzegłam też w jej oku łezkę wzruszenia.

Nie wiedzieć kiedy, upłynęły nam dwie godziny. Kiedy zorientowałam się, że już trzynasta, wpadłam w panikę, że nie zdążę zrobić tego, co zaplanowałam. Idąc w stronę polany, uświadomiłam sobie, że nie zapytałam Irę o Błędne Siostry. Ona zresztą też nie nawiązała do wątku z legendami. Nie byłam pewna, czy w ogóle orientowała się, iż mieszka tak blisko tajemniczych miejsc?

Myślałam często o Zuzi. Co czuje dziecko odrzucone przez rodziców? Dziewczynka była wrażliwa, a to w zaistniałej sytuacji mogło potęgować jej ból i żal. Dziadkowie obdarzali ją miłością, lecz czy zaspokajali wszystkie jej potrzeby? I tak była poszkodowana przez los, że urodziła się w maleńkiej wiosce. A może nie? Irena chwaliła sobie tutejsze życie.

Minęłam buczynę i znalazłam się na polanie. Wiedziałam z całą pewnością, że mojego współlokatora nie zastanę w domu. Znałam godzinę jego powrotu, i choć trudno w to uwierzyć, wyjawiał mi ją sam Armin.

Wyczuwałam w nim dążenie do zgody. Doszło do niej stopniowo, bez wyraźnego pojednania. Zdania rzucane w moją stronę były coraz dłuższe, ton złagodniał. Ja też się kontrolowałam, aby nie dopatrywać się w nich ironicznym bądź zaczepnym podtekstów, odpowiadałam spokojnie, rzeczowo. Być może było to kwestią dobrej woli, a tę oboje w sobie odkryliśmy.

Minionego wieczoru Armin zapukał do mojego pokoju i zaprosił mnie na

kolację. Jadłam późny obiad, nie byłam głodna, lecz wyczułam, że moja odmowa rozczarowałaby go. Podziękowałam więc i obiecałam zejść na dół. Czekala tam na mnie kolejna niespodzianka. Zadał sobie sporo trudu, odświętnie nakrywając do stołu, znalazł nawet obrus i świece. Przygotował leczo, do tego podał wino. Najbardziej jednak zaskoczył mnie rozmownością. To nie było zwykłe wyrzucanie z siebie informacji, lecz dzielenie się przemyśleniami, a zarazem zachęta do otwartości z mojej strony. Z tego, co mówił, nie mogłam wysnuć żadnych wniosków dotyczących jego życia. Był skryty. I inteligentny. Nie złapałam go na żadnej niekonsekwencji, ani nie dał mi szansy, by dowiedzieć się o nim więcej, niż chciał.

Mimo że czasem mówił zagadkowo, to dziwne, ale zaczęłam go lepiej rozumieć. Nie było łatwo sprostać poziomowi tej rozmowy. Armin nie dałby się zwieść frazesami. W tym, co mówił, był sens, był szczery gniew, i była nawet poezja. I właśnie w tej mgłę niedomowień znalazłam z nim wspólny język, może dlatego, że sama również buntowałam się przeciw presji otoczenia.

Oparci o balustradę balkonu, z narzuconymi na plecy kurtkami, dopijaliśmy wino, które Armin otworzył do kolacji. Wieczór był zaskakująco ciepły, z granatem nieboskłonu nieszczędzącym nam bezmiaru gwiazd. Jaśniejsza linia na horyzoncie, będąca śladem minionego dnia, zadrgała po raz ostatni i zniknęła na dobre. W powietrzu unosił się zapach choin, może szedł od pobliskich drzew, a może od lasów wokół polany. Nic nie mąciło idealnej ciszy, zdawało się, że cały świat zasnął, tylko nie my. Wreszcie ośmieliłam się ją przerwać:

– Spokój dobrze na mnie wpływa... Tutaj wszystko wydaje mi się łatwiejsze. I takie normalne...

– Co dla ciebie znaczy „normalne”? – zapytał.

– Takie, jakie być powinno. Nie umiem tego trafniej określić. Smaki, zapachy i barwy natury... twarze ludzi i język, jakim mówią swoje proste prawdy.

– To siła wzorców. Masz je zakodowane z lat młodości i chcąc nie chcąc, zawsze porównujesz.

– Może i tak. Ale jest w tym coś jeszcze. Jakaś metafizyka... – Ostatnie słowo dodałam ciszej, bo wydało mi się, że w ogrodzie przed nami coś się poruszyło.

Armin również musiał to dostrzec, gdyż tam spojrział.

– Przywołujesz duchy – zażartował.

– Te miejscowe mi niestraszne – odpaliłam z udawaną odwagą, nie opowiadając jednak o swoich własnych demonach.

– Tym razem to tylko lis. – Armin zaśmiał się, rozpoznawszy w mroku zwierzę. – Przydałoby się zmienić ogrodzenie, siatka jest stara, miejscami powalona.

Milczeliśmy. Nad doliną zajaśniała żółtawa luna. Zdążyłam już

zaobserwować, że przy dobrej pogodzie, czym później, tym blask nad uzdrowiskiem jest silniejszy. Tam życie nie zamierało po zmierzchu, choć nie toczyło się w wielkomięjskim tempie. Miasteczko było blisko, ale odnosiłam wrażenie, że spoglądam na nie z perspektywy innej planety. I to nie tylko ze względu na położenie polany względem uzdrowiska w dole. Odkąd zamieszkałam w tym domu, z tamtym, cywilizowanym światem, miałam coraz mniej wspólnego.

– Dla mnie nic nie jest tutaj normalne – odezwał się Armin.

– Nie wychowałeś się w Polsce?

– Nie chodzi o to.

– A o co?

Nie odpowiedział. Wszedł do pokoju, przyniósł butelkę wina i dolał nam do lampek. Sączyliśmy trunek, zachłystując się raczej ciszą.

– Być może to ja jestem nienormalny. Odrzucam rzeczy, o których inni marzą.

– Może nie wiesz, czego chcesz?

– Wiem, czego chcę, ale jest we mnie coraz mniej wiary, że mi się uda. To jak droga pod wiatr.

Nie odezwałam się, bojąc, że zakłócę tok jego myśli. Po chwili milczenia mówił dalej:

– O ile wygodniej jest nie myśleć, nie musieć decydować, okłamywać siebie, że dobrze jest, jak jest! I jeszcze to komfortowe poczucie wspólnoty ze stadem! Tak mają szczęśliwcy nieświadomi faktu, na ile natura ich oszczędziła... Nie myślę się raczej, że ty też do nich nie należysz.

– Skąd ta pewność?

– Nie byłabyś tu dzisiaj. Nie sama i nie na takim odludziu. A przede wszystkim, nie zaakceptowałabyś towarzystwa kogoś takiego jak ja...

– Z desperacji robi się różne rzeczy – zażartowałam.

– Musiała więc być niemała – dokończył, nie wchodząc jednakże w mój lekki ton.

– Twoja chyba też, ale lepiej nie porównujmy... Przecież nie powiesz mi, co ciebie tutaj rzuciło?

– Nie powiem, bo i po co? Jesteśmy uciekinierami i tyle.

– Mylisz się, ja nie! – zaoponowałam.

– Czyżby? Są ludzie, którzy nie wiedząc o tym, uciekają całe życie...

Wyczułam, że mi się przygląda. Jego słowa przeraziły mnie, miały w sobie coś proroczego, dotykały znanej mi rzeczywistości.

– A może to nie ucieczka tylko brak zgody na świat, jaki jest? Większość ludzi buntuje się za młodu, ale potem poddaje się, przywyka. Niektórzy jednak zostają przy swoich ideałach.

– Masz się za rebeliantkę? – W mroku trudno było coś wyczytać z jego

twarzy. Drwił ze mnie?

– Niestety, nie – odparłam szczerze. – Dostosowałam się... tak myślę.

– I jesteś szczęśliwa?

– Bardzo trudne pytanie – wykręciłam się. – Nie każdy ma w sobie tyle siły, by wojować z całym światem.

– Gorzej, gdy walczymy sami z sobą.

Znowu mnie speszył. Poczułam się, jakby czytał w moich myślach.

– A ty stałeś się buntownikiem? – Skierowałam uwagę na niego.

– Sądzę, że nie można nim się stać, buntownikiem się rodzisz. – Też wywinął się od odpowiedzi. – Nie ma im jednak czego zazdrościć. Może są napędem tego świata, a może od początku byli przeklęci.

– Albo wybrani.

– Jeżeli wybrani, to nie do przywilejów. Jak z narodem wybranym, na którym objawia się Boża wola, lecz samemu ludowi wcale nie żyje się przez to łatwiej.

– Ciekawa myśl. Nie postrzegałam tego w ten sposób. Ale ja za takie wybranie dziękuję.

– A jeżeli byłoby twoją szansą? – spytał trochę zaczepnie.

– Szansą? Na co?

– Powiedzmy, że na coś niepowtarzalnego, jedyne w swoim rodzaju. Albo zwyczajnie przyzwoitego. Na życie takie, jakie było ci w zamyśle pisane. Na ciebie samą taką, jaką mogłabyś być, a nie jesteś. To jednak wymaga odwagi. Większość buntowników albo, jak powiedziałaś, wybranych rezygnuje gdzieś po drodze.

– Świat nie lubi odmieńców.

Chyba tego nie dosłyszał, mówił coraz głośniejszym, niczym aktor w dramatycznym monologu, lecz bez maniery:

– Tylko nieliczni wytrwają do końca. Niejeden raz rzuci się w nich kamieniem, bo są jak wątpliwość, która zjawia się nieproszona, natrętna. Drwi się z nich, bo nazywają dobro dobrem, a zło – złem, mając to zapisane w sumieniach jak na kamiennych tablicach. Boi się ich, gdyż rozpoznają bez trudu, co złotem, a co tylko marną podróbką i nie dają posłuchu mętnym ideom! Unika się ich, bo patrzą ludziom prosto w oczy, nie tłumacząc się z braku pośpiechu...

– Więc... czeka ich samotność?

– Chyba tak. Choć niekoniecznie... jeżeli ma się ochotę na szukanie igły w stogu siana, gdyż tym będzie znalezienie podobnych sobie.

– To smutne życie.

– Nie. To istnienie wyższe. Ich życie jest drogą, lecz ich droga nie urywa się przy końcu życia...

– A ty, Arminie? – spytałam dopiero po chwili.

– Ja? Pomyliły mi się kierunki! – Zaśmiał się smutno, po czym obejmując

mnie ramieniem, powiedział: – Wracajmy do środka.

Zręcznie wykręciłam się spod jego objęcia.

– Zostanę tu jeszcze chwilę. Rzadko trafia się tak pogodna noc...

Oddalił się bez słowa, pozwalając mi na samotność. Chciałam zastanowić się nad tym, co usłyszałam. Jego słowa zdały mi się pierwszym pęknięciem w pancerzu, jaki nosił, zapowiedzią rozstępu, przez który mogłabym zobaczyć więcej.

Idealistyczna natura Armina jakoś nie pasowała do jego zachowania, nastrojów. To poeta, to gbur z dużym dystansem do innych. Jeżeli skrywał się tutaj przed światem, skąd ta nieufność do mnie, skoro uważał, że też uciekam? Czyż jego zdaniem nie siedzieliśmy w jednej łodzi? Na razie wyglądało tak, że każdy z nas wiosłował w inną stronę, przy czym musiałam się mieć na baczności, aby nie zostać wyrzucona za burtę.

Postanowiłam wrócić do pokoju. Kiedy weszłam, Armin uśmiechnął się do mnie i wskazał mi miejsce na kanapie, obok siebie, ale usadowiłam się w fotelu naprzeciw. Pod moją nieobecność otworzył drugą butelkę wina, włączył też muzykę; im więcej czasu upływało, tym mocniej zatapiał się w jednym i drugim. Rozmowa się nie kleiła. Spróbowałam nawiązać do wcześniejszych tematów, lecz otoczył się murem. Przypuszczałam, że coś, co go dręczyło, chciał zagłuszyć alkoholem. To skutkuje tylko na początku, powiedziałam mu w myślach, wystrzegając się niechętnie słyszanych rad, choćby i popartych własnym doświadczeniem. Tej lekcji nigdy nie nauczy drugi człowiek.

– Pójdę już spać. – Nie podnosiłam się jeszcze z miejsca, łudząc się, że poprosi, bym została.

Spojrzał na mnie, ale nic nie powiedział. Wstałam, życząc mu dobrej nocy. Byłam już w połowie drogi do schodów, gdy usłyszałam:

– Kilerka nastroju.

– Co powiedziałaś? – Odwróciłam się.

– Tytuł utworu. Zaraz się zacznie.

Nie wiedziałam, czy nie kpił. Trzymał w ręku okładkę jakiegoś kompaktu, ale w półmroku trudno było wyczytać coś z twarzy Armina. Wzruszyłam ramionami i rzuciłam za siebie:

– Miłego słuchania!

Stłumiłam w sobie rozczarowanie zakończeniem wieczoru. Wciąż byłam pod wrażeniem naszej rozmowy, a do humorzastości Armina zaczynałam powoli przywykać. Pytałam siebie, czy jego wywód na balkonie był naprawdę szczery, a jeśli tak, co się za nim kryło? Tęsknota za lepszym życiem? Rozczarowanie czymś? Wyrzuty sumienia? A może miał naturę romantyka? Kogoś, kto ma w sobie tyle sprzeczności, nie sposób rozszyfrować.

Dzisiaj spał dłużej niż zwykle, najpewniej zarwał noc. Rankiem spotkałam go na dole. Był już w butach i kurtce. Na mój widok uśmiechnął się przepaszająco

i powiedział:

– Wybacz ten mój wczorajszy nastrój. Zawsze tak mam... w swoje urodziny. Nie lubię takich rocznic.

– Ojej, czemu nic nie powiedziałaś?! To chociaż teraz, spóźnione, ale szczerze...

– Daj spokój! – Roześmiał się. – Za życzeniami też nie przepadam.

– Głupio mi jakoś...

Naprawdę tak się poczułam, zwłaszcza na wspomnienie przygotowanej przez niego kolacji. Dlaczego nie domyśliłam się, że okazja musi być szczególna?

– Niepotrzebnie. – Znów się uśmiechnął i już przy drzwiach dodał: – Nie pójde dzisiaj w góry. Koło piętnastej będę z powrotem.

– Tak? To może dzisiaj ja coś ugotuję! – Wpadłam nagle na pomysł rewanzu.

– Dobrze. Do zobaczenia! – I już go nie było.

Teraz dochodziłam nareszcie do domu. Na przygotowanie posiłku zostało mi półtorej godziny, powinnam dać radę. Nie zamierzałam się tym stresować, nie to było ważne. Cieszył mnie przełom w stosunkach z Arminem, a rozmowa z poprzedniego wieczoru dała mi przedsmak tego, jak mogłyby wyglądać inne. Niestety, moja radość kolejny raz okazała się przedwczesna.

Zaplanowałam, że zrobię zapiekankę z warzywami i kawałkami fileta z kurczaka. Taki pomysł nasunęło mi znalezienie naczynia żaroodpornego. Nie należałam do osób, które chętnie eksperymentują w kuchni, ale od czasu do czasu podchodziłam do gotowania niemal jak do pracy twórczej. Dzisiaj nie, danie było sprawdzone, działałam rutynowo.

Zaraz po powrocie do domu włączyłam radio na jedną z nielicznych stacji, które tutaj odbierały. Trafiłam na dyskusję polityczną, lecz nie byłam dostatecznie zorientowana w poruszanej kwestii, by przyjąć jakieś stanowisko. Przestałam skupiać się na rozmowie, jednakże ona sprawiła, że przypomniałam sobie, iż moja siostra, jak twierdziła Danuta, pracuje w biurze jakiegoś posła. Podobno nawet coś ich łączy prywatnie. Nie odniosłam się do tego, gdyż prawdę mówiąc, mało znałam Kingę jako dorosłą kobietę.

Nasze drogi rozeszły się na studiach, jeszcze nie na dobre, jeszcze z pozorem rodzinnej więzi, ale już w przeczuciu, że dorosłość nie zrodzi między nami przyjaźni. Potem wyjechałam za granicę. Owszem, coś niecoś docierało do mnie, głównie poprzez Danutę. Z wcześniejszych przekazów wynikało, że siostra preferowała środowisko artystyczne, w które weszła po sukcesie pierwszej książki. Nie czytałam jej, nie postarałam się też o nabycie następnych, powstrzymała mnie przed tym recenzja, na którą przypadkiem trafiłam w Internecie. Pomijając odniesienia do stylu, wspomniano, że powieść bazuje na wątkach autobiograficznych i to zdecydowało, że nie kupiłam książki Kingi. Nie chciałam

wracać do przeszłości, a zapoznając się z wersją siostry, nie potrafiłabym jej zignorować. Kinga zawsze wykazywała niezwykłą zręczność w naciąganiu faktów pod kątem swoich potrzeb, mogłam więc się spodziewać, że i w jej książkach nie było inaczej.

Nie zazdrościłam jej kariery pisarskiej, raczej mnie zdumiała. Wcześniej siostra nie wykazywała takich zdolności, miałam nawet wrażenie, że jest umysłem ścisłym. Najpewniej późno odkryła swój talent. Był czas, kiedy ja dużo pisałam; opowiadania, poezję, zapełniałam zeszyty zapiskami pamiętnikarskimi. Ten etap zamknęłam, kiedy zrozumiałam bezsens zajmowania się czymś tak ulotnym, nietrwałym i pewnie też zbędnym. Natomiast Kinga weszła w niego później, i życie udowodniło, że w jej wypadku okazało się to zasadne.

Od lat nie zabiegała o kontakt ze mną, podobnie jak ja z nią, nie widziałam więc powodu, żeby przypominać o sobie w czasach jej powodzenia. Czy nadal nim się cieszyła? Zdaniem Danuty, nie wydała ostatnio żadnej nowej książki. Co było tego powodem? I czy można dowolnie zmieniać swoje światy, raz obracać się w kręgu twórców, a raz polityków? Chociaż tak naprawdę czymże różniły się sceny tych światków? Bywalcy tak jednej, jak i drugiej pchali się na świecznik, żądni najlepszych ról, sławy lub pieniędzy, po drodze nierzadko gubiąc swoje ideały, jeśli nie samych siebie.

Zapiekanka roztaczała z piekarnika smakowity zapach. Skracałam sobie czekanie na Armina, z grubsza sprzątając środkowy poziom domu. Kotek zmykał przed odkurzaczem, a gdy myłam podłogi, dla odmiany udawał chojraka, prowokując mnie przelatywaniem po mokrym. Skończyłam porządki, jednak Armin się nie pojawił. Pół godziny później nałożyłam sobie porcję zapiekanki i usiadłam samotnie przy stole. Było mi przykro. Po co w ogóle mówił, że wróci dzisiaj wcześniej, jeżeli nie miał pewności? Nie znosiłam słów rzucanych na wiatr, z dwojga złego wolałam już milczenie. Z ostatniego można było wybrnąć z twarzą, zaś niedotrzymane przyrzeczenia pozostawiały po sobie niesmak.

Czułam zawód, ale uświadomiłam sobie, że gdyby Arminowi coś się stało, nikt by mnie nie powiadomił.

Byłam tylko przypadkową współlokatorką, nieznającą nawet jego nazwiska.

Do tego wszystkiego rozboleła mnie głowa. Wiedziałam, że jeśli od razu nie zażyję tabletki, później może nie zadziałać. Popędziłam na górę. Schodziłam z powrotem, gdy wszedł Armin. Powitałam go uśmiechem. Nie odwzajemnił go, spojrzął na mnie spode łba, marszcząc czoło.

– Miałaś być wcześniej... Stało się coś?
– Czy coś się stało?! – Podniósł głos. – Owszem, moja miła! Stało się, stało!
– Co to za ton? – obruszyłam się. – Rzucasz się od samych drzwi... Tak nie można!

– Nie można?! I ty mi to mówisz?!

Zatkało mnie, lecz duma przypomniła o sobie i odparowałam:

– Zamiast przeprosić za spóźnienie, zachowujesz się jak choleryk! Uspokój się i powiedz wreszcie, o co chodzi? Proszę!

– Ja też prosiłem cię o coś! Ale ty oczywiście nie umiałaś utrzymać języka za zębami!

Skierował się ku schodom na dół. Nic z tego nie pojmowałam.

– Armin, nie wiem, o czym mówisz! Usiądźmy i pogadajmy! Zrobiłam zapiekankę, podgrzeję ci...

Przystanął i odwrócił się w moją stronę. W jego oczach była nie tylko wściekłość, zorientowałam się, że jest parawanem dla czegoś dużo gorszego. Armin był mną rozczarowany. Na potwierdzenie tego rzucił już ciszej:

– Wygrałaś, Karola. Zostawiam ci dom, tego przecież chciałaś. Wynoszę się stąd!

– Ale... Armin...!

Nie chciał ze mną rozmawiać, zniknął na dole. Znieruchomiałam na schodach, nie mogłam pozbierać myśli. To jakieś nieporozumienie! Nic nie przychodziło mi do głowy.

Powoli zaczął wzrastać we mnie gniew; jakim prawem traktował mnie w ten sposób?! Czy jestem pieskiem, któremu raz poluzowuje się smycz, a raz skraca?

Ruszyłam do kuchni po wodę, by popić tabletkę i przynajmniej trochę ostudzić wewnętrzne wrzenie. Stałam jeszcze przy lodówce, kiedy na dole rozległy się ciężkie kroki. Tuż potem mignęła mi sylwetka Armina i usłyszałam trzaśnięcie drzwi. Gdy podeszłam do okna, zdążyłam dostrzec czerwone światła samochodu. Domyśliłam się, że to gazik leśniczego.

Pozostałam w domu sama, zastanawiając się, o co tym razem miał pretensje Armin. Nie miałam sobie nic do zarzucenia, a mój współlokator i tym razem nie pozwolił na wyjaśnienia, wychodząc w pół słowa. Nie dałam wiary słowom Armina o wyprowadzce. Znając jego temperament, przypuszczałam, że wyładuje swoją złość, może popije z leśniczym i wróci. Zapiekankę wstawiłam do lodówki tak, aby po otwarciu od razu ją dostrzegł. Resztę wieczoru, innego niż ten z moich wyobrażeń, spędziłam w towarzystwie kotka. O dziwo, zasnęłam dość szybko, najpewniej pomogło w tym zażyte wcześniej lekarstwo.

Obudziłam się o siódmej rano, wypoczęta, i od razu wstałam z łóżka. W domu panowała idealna cisza, również chłód dawał się we znaki. Zaparzyłam kawę i usiadłszy z kubkiem przy stole, dobudzałam zmysły, zarazem nasłuchując jakichkolwiek odgłosów życia.

Silniejszy powiew wiatru niekiedy niegroźnie stuknął okiennicą lub gałąź zastukała o fasadę. Ptaki fruwały nad balustradą balkonu. Najedzony kotek sapał i mruczał, umościwszy sobie legowisko na fotelu. Wychwytywałam to wszystko z pewnym zniecierpliwieniem, gdyż nie na takie dźwięki czekałam. Dopiłam kawę i

zdecydowałam, że sprawdzę, czy Armin wrócił.

Wejście do jego mieszkanie stało otworem. W pierwszym pomieszczeniu nie zastałam nikogo, więc ostrożnie uchyliłam drzwi do drugiego pokoju, nie tyle ze strachu, że zbudzę Armina, ile przed tym, co tam zastanę. Moje niedobre przeczucia potwierdziły się. Nie było go tam, zabrał też swoje rzeczy.

Wróciłam piętro wyżej. Powoli zaczęło docierać do mnie, że nie tylko teraz jestem, ale też w przyszłości będę w tym domu sama. Co gorsza, przypomniały mi się argumenty Armina o minusach pozostania w tym miejscu. Coraz krótsze dni, nieprzewidywalna, jesienna pogoda, a zimą być może zasy. Musiałam zastanowić się, co zrobić, może poradzić się kogoś. Zajdę do Iry, przyszło mi na myśl, i poczułam się odrobinę lepiej.

Nie doszłam do wioski. Tuż po wyjściu z lasu zadzwieczał telefon komórkowy. Znalazłam na nim dwie wiadomości od Danuty, prosiła o szybki kontakt. Przy drodze leżał powalony pień drzewa, usiadłam na nim i wybiłam numer koleżanki.

– No, nareszcie oddzwoniłaś! Jestem przerażona tym wszystkim!

– Danka, co się stało?!

– Afera z Kingą, huczy całe miasto, a kto wie, może poszło to już dalej! Opisano ją w brukowcu, Kingę to powaliło, podobno chciała sobie coś zrobić... Nie powiedziałam ci jeszcze najważniejszego! Zadzwoniła do mnie i pytała o ciebie! Ze szpitala dzwoniła! Mówię ci, Karola, z wrażenia aż usiadłam!

– Jaka afera?! I co z tym szpitalem?! Danka, skup się proszę i spróbuj po kolei!

O precyzji wypowiedzi mojej koleżanki mogłam zapomnieć, jednakże za pomocą pytań z grubsza dowiedziałam się czegoś. Pan poseł, u którego pracowała moja siostra, dbał o wizerunek przykładowego męża i ojca, był zwolennikiem prawicowych, konserwatywnych poglądów. Oficjalnie chętnie pokazywał się w wianuszkach swojej rodziny, co nie przeszkadzało mu jednak mieć romans z Kingą. Zapewne by się nie wydało, gdyby para przebywała wyłącznie w stolicy. W naszym rodzinnym mieście nie zdołało to umknąć uwadze postronnych. Intymny związek pary stał się tajemnicą poliszynela. Jakiś nadgorliwy dziennikarz miejscowej gazety wysmarował artykuł pełen niedwuznacznych aluzji do moralności pana posła. W następstwie tego tenże nie tylko prywatnie rozstał się z Kingą, ale też zwolnił ją z pracy. Moja siostra przeżyła załamanie nerwowe. Znalazła się w szpitalu.

Podobno na razie nie chce go opuścić, a jeśli, to by uciec na koniec świata. Czy tylko z tego powodu dopytywała się o mnie? Przypuszczałam, że tak, ale pewności nie miałam. Na szczęście, Danka zachowała przytomność umysłu i nie podała jej numeru mojej komórki. Wyjawiała jednak, że przebywam w Polsce.

– Obiecałam, że ciebie powiadomię, to chyba nic złego, prawda? Karola, nie

można jej zostawić, wszyscy teraz huzia na nią, każdy by się załamał! Przyjeźdź! Kinga cię potrzebuje, przecież jesteś jej siostrą...

Po zakończeniu rozmowy jeszcze długo siedziałam na pniu, rozmyślając. Nie dalej, jak poprzedniego dnia moje myśli krążyły wokół Kingi, a dzisiaj te sensacje! Nie zaprzeczałam skuteczności telepatii, jednakże z moją siostrą nigdy nie łączyły mnie silne więzy.

Nie chciałam wracać do mojego miasta, nie chciałam jej widzieć. Miałam dosyć problemów. Nie, nie pojedę, powtarzałam sobie.

Słońce przyjemnie ogrzewało, rozpięłam nawet kurtkę. Jesień tańczyła przede mną w starej, poszarzałej już sukience z łatanami brązów i zgniłej zieleni. Wiatr tylko muskał pola i korony drzew, a te chichocząc lekkim szumem, pozbywały się resztek liści. Z kominów domostw wioski szły w niebo smużki jasnego dymu. Były śladem toczącego się tam życia, z którym powolutku zaczynałam czuć się już związana, mimo że wciąż jako przyjezdna. Łudziłam się, iż właśnie w takim sielankowym otoczeniu odzyskam spokój i pozbędę się migreny, tymczasem wszystko się komplikowało.

Porzuciłam rzeczywistość za granicą, którą do tej pory uważałam za stabilną, nie miałam dokąd wrócić, nikt też na mnie nie czekał. Tutaj stworzyłam sobie kolejną ułudę, której kruchość obnażyło zniknięcie Armina. A przecież nie musiałam pozostawać w tym zawieszeniu. Mogłam w każdej chwili opuścić ten dom, choćby na jakiś czas. Kinga. Znów myślałam wrócić do niej. Siostra, choć nie rodzona. Koleżanki nieorientowane w naszym układzie rodzinnym, pytały mnie o nią. Wyjaśniałam, iż jesteśmy siostrami ciotecznymi. Złościła się wtedy na mnie, jakby ubliżały jej te określenia. Nie rozumiałam jej, przecież mówiłam prawdę.

Nasze rozstanie przed laty odbyło się w okolicznościach tragicznych dla nas obydwu. Zatarłam rzucone wtedy słowa, jak miałam nadzieję zatrzeć wszystko inne. Nie przeprosiłyśmy się z Kingą za tamto, nawet wówczas, gdy emocje już opadły. Udawałyśmy, że nie zależy nam na zgodzie. Potem wyjechałam za granicę i nie było już ku temu okazji.

Uciekałam przed wszystkim, co łączyło mnie z minionym, a w moim nowym życiu nie było miejsca dla Kingi. Uwolniwszy się od niej, poczułam się lekka, jakbym pozbyła się ciężaru. Nie mogłam uwierzyć, że ona prosiła, bym przyjechała! To do niej niepodobne; może szukała kontaktu dlatego, że znalazła się w szczególnie trudnej sytuacji. Uzmysłowiłam sobie, iż nasze położenie jest podobne: obie odrzucone i na progu niepewnego jutra.

Przypadek Kingi był bardziej drastyczny, lekkomyślnie wystawiła się na celownik. W odróżnieniu od niej, ja mogłam pozbierać się w iście komfortowych warunkach, co zrodziło już pierwsze owoce. Nie byłam już tak słaba jak przed miesiącem. Codziennymi spacerami poprawiałam kondycję, budziłam się

wypoczęta, bez podkrążonych oczu. Miałam poczucie, że wszystko nareszcie idzie ku dobremu.

Czyż w takim razie moim obowiązkiem nie było podzielić się swoją siłą z siostrą? Słowo „obowiązek” czym prędzej odrzuciłam, miało ironiczny podtekst. Na próżno jednak szukałam innego, gdyż w grę nie wchodziła też siostrzana miłość. Zdecydowałam, że pojedę. I aby nie rozmyślić się, wystukałam numer Danuty.

– To znowu ja. Czy propozycja zatrzymania się u ciebie jest aktualna?

Róża jerychońska

Do pewnego stopnia kształtujemy swój świat, ten wewnętrzny i ten nas otaczający. Rozróżniamy, decydujemy, dokonujemy wyborów. To dużo na miarę ludzką, a tak niewiele, gdy napotyka się rzeczy od nas większe. Zachwycamy się bezmiarem szczęścia, które zawsze jest darem, lub stajemy bezsilni wobec paradoksu niezasłużonych krzywd i tragedii. Są takie dni, że nawet wiatr nadziei nie poruszy naszą duszą, ktoś odchodzi, coś na zawsze się kończy. Odwieczny splót losu dobrego ze złem zdaje się wtedy jak odwrotna strona haftu z chaosem różnobarwnych kordonków i supłów. Przekonanie, że każdy ruch igły na tkaninie życia zależy wyłącznie od nas, jest już tylko warte śmiechu. Nie domyślamy się wzoru, żadnej nawet podpowiedzi, po którą nitkę sięgnąć. Wybieramy na oślep, kłując się przy tym boleśnie w opuszki palców, i jeszcze ten żal, że już niczego nie da się zmienić...

Stałam w zadumie nad grobem mamy. Nie lubiłam cmentarzy, gdy przychodziły tam tłumy, a wokoło unosiła się kadzidlana woń setek kolorowych zniczy. Tym, którzy odeszli, było już obojętne, ile wiązanek złoży się na ich grobach. Jeżeli za życia nie doświadczyli gestów szacunku i miłości, symbole pamięci może służyły uspokojeniu wyrzutów sumień ich bliskich.

Nie przyszedłbym dzisiaj na cmentarz, gdyby nie nalegania Danuty. Parę lat temu zmarła nasza szkolna koleżanka, przegrywając walkę z białaczką. Wiadomość o jej śmierci bardzo mnie zasmuciła. Dziewczyny z naszej klasy rokrocznie pierwszego listopada spotykały się przy jej grobie, zawsze o tej samej godzinie.

Wtopiłyśmy się w rzekę ludzi, która wiła się wokół sektorów kolorowych mogił. Przy grobie naszej koleżanki stały trzy kobiety, nie od razu rozpoznałam w nich dawne kumpelki. Moje pojawienie się było dla nich zaskoczeniem. Przyglądały mi się uważnie, zanim ośmieliły się zadać kilka pytań. Odpowiedziałam zdawkowo, z grzeczności zapytałam, co u nich. Potem rozgadały się, opowiadały ploteczki, o zmarłej koleżance nie padło ani jedno słowo. Pożegnałam się z nimi pod pretekstem, że muszę jeszcze pójść na inne groby. Danka dała mi klucze do swojego domu, ponieważ planowała popołudniową wizytę u teściów.

Grób mamy zastałam takim, jakim go zapamiętałam. Jediną ozdobą pomnika były połączone litery imienia i nazwiska oraz cyfry dat. Ktoś musiał być tu przede mną, na płycie stały znicze. Zapaliłam swoje od ich płomienia i mimowolnie ustawiłam je w pewnej odległości od tamtych. Jak zahipnotyzowana wpatrywałam się w ogniki – przy bezwietrznej pogodzie równo sunęły w górę.

Patrząc na nagrobek mamy, uzmysłowiłam sobie, że jej nie było dane dożyć nawet tylu lat, ile ja miałam obecnie.

Odeszłam stamtąd, żeby poszukać grobu ojca. Krążyłam zatłoczonymi

alejkami, by wreszcie ze wstydem przyznać, że go nie znajdę. Odwiedziłam to miejsce tylko dwukrotnie, na pogrzebie i tuż przed wyjazdem z Polski. Minęły lata, przybyło grobów, wszystko wyglądało jakoś inaczej. Postanowiłam, że wrócę tutaj innego dnia, a wiązanek kwiatów położyłam na grobie babci Miry, matki mojej mamy i jej siostry. Paliły się na nim znicze; kto mógł jeszcze o niej pamiętać?

Stosunki w naszej rodzinie były nietypowe. Babcia Mira mieszkała w naszym mieście, lecz nigdy się nie odwiedzaliśmy. Ojciec i ciocia Genia byli z nią o coś skłóceni, ona też nieprzejednana i dla wnuczek niedostępna. Kiedy mijaliśmy ją na ulicy, udawała, że nas nie widzi. Cioci Geni musiało być przykro, że jej matka traktuje ją w ten sposób, lecz nie pozwalała nam na żadne komentarze. Dziwaczne zachowanie babci Miry było tematem tabu, podobnie zresztą, jak parę innych kwestii. Dopiero teraz zadałam sobie pytanie, dlaczego nie buntowałam się przeciw temu? Być może, nawet będąc dzieckiem, wyczuwałam niepisane prawa panujące w naszej rodzinie.

Miałam może szesnaście lat, gdy odważyłam się zajść do babci Miry. Chciałam dowiedzieć się od niej czegoś o swojej mamie, lecz odprawiła mnie spod drzwi. Jakiś rok później ktoś nas powiadomił, że znalazła się w szpitalu. Odszukałam ją tam, znów w tajemnicy przed resztą rodziny. Babcia ledwo kontaktowała, lecz na mój widok zaczęła wyrzucać z siebie chaotyczne słowa, zdaje się, że wzięła mnie za moją zmarłą mamę. To było koszarne, uciekłam stamtąd. Nie wróciłam tam więcej, aby nie spotkać cioci Geni, która mimo zatargu codziennie do niej chodziła. Babcia Mira wkrótce zmarła.

Spojrzałam na dopalające się znicze; Kinga nie mogła tu być. Tuż po przyjeździe zadzwoniłam do niej. Jej głos brzmiał nienaturalnie, odpowiadała wolno i beznamytnie. Dopiero od Danki dowiedziałam się, że obecnie przebywa w klinice psychiatrycznej. Podobno na własne życzenie. Obiecałam wkrótce ją odwiedzić.

Tymczasem na nowo poznawałam miasto. Dzisiaj, w odświeżonej szacie, prezentowało się korzystniej. Słońce wesoło odbijało się od świeżo wymytych szyb, a na drzewach siedziały hałasujące ptaki. Wśród przechadzających się osób, które tradycja wyciągnęła z domu, niektóre mgliście mi kogoś przypominały, ale nie rozpoznałam żadnego znajomego.

Danuta mieszkała na nowym osiedlu domów jednorodzinnych; dotarłam tam trochę zmęczona. Gospodarzy nie było, od razu poszłam do pokoju gościnnego. Wystrój wielkiego domu oscylował pomiędzy nowoczesnym wyposażeniem a kiczowatymi dodatkami. Wszystko było tutaj drogie, co jednak nie znaczyło, że gustownie dobrane. Pierwszego dnia, po obowiązkowym zwiedzeniu całego domostwa, pochwaliłam to, co zasługiwało na uznanie, resztę przemilczałam. Zdumiewało mnie, iż można dojść do dużych pieniędzy na handlu starymi ciuchami. Dość szybko zorientowałam się jednak, że sporo z tego, co Danka

opowiadała mi o swojej rodzinie, to bardziej pobożne życzenia niż rzeczywistość.

Słyszając, że gospodarze wrócili, zamierzałam zejść do salonu, ale zatrzymałam się na schodach. Małżonkowie sprzeczali się ze sobą. Chłopcy, mijając mnie w pośpiechu, jak zwykle nie poświęcili mi nawet spojrzenia. Z dołu dochodził głos chyba nietrzeźwej Danki, która ubliżała mężowi. On zaklął ostro, a potem szkło trzasnęło o posadzkę. Wycofałam się do pokoju.

Zasypiałam głodna i zirytowana sytuacją. Przyjeżdżając tutaj, miałam nadzieję, że bliskość koleżanki pomoże mi sprostać zadaniu, jakie sobie postawiłam. Wszystko było jednak nie tak. Danka wcale nie miała pogodnego usposobienia, jak mogłabym sądzić po naszych rozmowach telefonicznych. Zrzuciła maskę beztroski. Całymi dniami gadała o sobie – przez jakiś czas było mi to na rękę, potem męczyło. Spotkałam już paru wampirów emocjonalnych, by wiedzieć, że nie mam co liczyć na ich umiar. Postanowiłam, iż pozostanę w mieście tak długo, jak będzie to konieczne.

Rankiem moja koleżanka powitała mnie szerokim uśmiechem. Ubrana w szlafrok, dobudzała się w kuchni przy kawie. Przeprosiła mnie za awanturę z poprzedniego wieczoru.

– Przesadziłam z wódeczką! No i stało się, powiedziałam mężowi o zdanie za dużo... a on się wściekł, że przy jego rodzicach. Dla nich to chodzący ideał! Ale nie martw się, doszliśmy już do zgody. Obiecał nawet przyjechać na obiad. Spójrz...

Odchyliła połą szlafroka i nie bez dumy pokazała mi ślad po namiętym pocałunku na szyi. Przerwałam jednak jej wywód o kondycyjnych możliwościach męża, żartując, by miała wzgląd na starą pannę. Na dalszą część dnia zaplanowała dla nas przejażdżkę do najbliższego centrum handlowego. Niespecjalnie miałam na to ochotę.

– Nie musisz do pracy? – spytałam.

– Niekoniecznie. Moje pracownice doskonale dają sobie radę, ale oczywiście, muszę się tam czasem pokazać. Myszy harczą, gdy kota nie czują... – Zaśmiała się.

– Myślałam, że się zaharowujesz!

– Przy pierwszym sklepie zasuwalam od rana po noc. Teraz luzik. Obsadziłam filie dziewczynami, a one cenią sobie, że dałam im pracę. Ja pijam śmietankę. – Znow się roześmiała, ale jakby sztucznie.

– No tak, masz dzieci, więc nawet lepiej, że możesz być w domu – zauważyłam.

Wzruszyła ramionami, jakby ten temat niewiele ją obchodził. Zauważyłam, że ktoś z sąsiedztwa zawoził i przywoził chłopców ze szkoły, a w domu niemal wcale nie opuszczali swoich pokoi. Nie słuchali matki, czuli respekt tylko przed ojcem. Z pewnością nie do końca było to ich winą, lecz nie potrafiąc nawiązać z

nimi kontaktu, nie umiałam ich też polubić.

– Pochwalę ci się czymś! – Dance nagle coś się przypomniało. – Najpierw jednak ciebie o coś zapytam. Kupujesz jeszcze notesy z okuciami?

– Pamiętasz je?! – zdumiałam się. – Nie, to już przeszłość.

Moje notesy... zawsze te same, w skórkowej oprawie. Zapisywałam w nich wszystko, co wydawało mi się ważne, od własnych przemyśleń po poruszające mnie cytaty innych. Dance spodobał się ten pomysł i zaczęła mnie naśladować. Notowała teksty piosenek i wiersze, pomiędzy wklejała zasuszone kwiatki, pocztówki i wycięte z kolorowych pism zdjęcia swoich idoli.

– Zachowałaś może swoje? – Zainteresowałam się.

– Nie, dawno je wyrzuciłam. Ha, ale miałybyśmy ubaw, dorywając się dzisiaj do tych naszych zapisków! Chociaż... z twoich to może nie. Powiem ci, że gdy czasami czytałaś mi coś na głos, nie wszystko rozumiałam. Bałam się do tego przyznać, byś mnie nie uznała za głupią!

– Może lepiej, że już ich nie ma... A czym chciałaś się pochwalić?

– Założyłam bloga! Należy iść z duchem czasu, no, nie? – Zachichotała.

Wybiegła z kuchni, po chwili wracając z laptopem. W wirtualnym świecie poruszałam się dość sprawnie, fenomen blogowania i mnie nie był obcy. Miałam nawet ulubione blogi, na które zaglądałam regularnie, czasami coś nawet komentowałam. Bywało, że przeskakiwałam od jednego do drugiego, zafascynowana różnorodnością postrzegania rzeczy. Przeważały jednak beznadziejne, pełne rażących błędów w pisowni, o miálkiej treści, przy czym kobiety przeważnie użalały się nad sobą, a faceci psioczyli na polityków, pracę i kogo tylko się dało.

Byłam ciekawa bloga Danuty, a zarazem obawiałam się, że będzie infantylny, ozdabiany migoczącymi aniołkami. Wystrój jej domu zdradzał, iż ciągoty do przesłodkich dekoracji jej nie minęły. Nie myliłam się. Wygląd jej bloga pasowałby bardziej do nastolatki, miałam jednak nadzieję, że zawartość okaże się lepsza. Nie chciałam w pośpiechu go oceniać, wpisów było dużo, toteż przyrzekłam, że zrobię to później. Danką ciągnęła mnie zresztą na shopping.

Centrum handlowe zbudowano z rozmachem. Ceny w butikach odstraszały masową klientelę. Danką była w swoim żywiole, natomiast ja, pomimo jej namów, na nic się nie skusiłam. Rzeczy w tych ekskluzywnych sklepach nawet po obniżce były drogie, co jednak Danki nie zniechęcało. Kupowała dużo, nieprzemyślanie, bez przymierzania ubrań. Ponieważ jej mąż zapowiedział się na obiad, nie wstąpiłyśmy już do miejsc, w których ewentualnie ja mogłabym coś wybrać. Zabrakło też czasu, by spokojnie przysiąść gdzieś na herbatę. Eskapada zmęczyła mnie nie tylko fizycznie. Pierwszy i ostatni raz, przyrzekłam sobie.

Ku mojemu zdumieniu, obiad zamówiła w restauracji, do czego przyznała się, przekładając przy mnie dostarczone dania na domowe półmiski.

– Rzadko gotuję – usprawiedliwiała się. – Chłopcy jedzą w szkole, a mąż przeważnie wraca późno.

– Nie ma więc potrzeby, abyś robiła sobie kłopot z mojego powodu! Od jutra będę jeść na mieście! – zapewniłam ją, co jak zauważyłam, przyjęła z ulgą.

Odnosiłam wrażenie, że Danucie wszystko wymyka się z rąk, choć nadrabiała miną. Na pozór sprawiała wrażenie zadowolonej, wyglądała nawet lepiej niż dawniej; widać było, że regularnie korzysta z usług fryzjerskich i kosmetycznych. Coś jednak było nie tak. Moje przeczucia potwierdziły się nazajutrz wieczorem, podczas kolacji.

Zjadłyśmy ją przy stole zbyt dużym jak na dwie osoby. Chłopcy, po kilkakrotnym wydzwanianiu na telefony zainstalowane w ich pokojach, zesзли wreszcie łaskawie, ale tylko po to, by naładować sobie talerze kanapkami i zniknąć.

– Nie poczekamy na twojego męża? – spytałam Danutę.

– A kto go tam wie, kiedy raczy się pojawić! – odparła, uciekając przede mną wzrokiem.

– Takie czasy, że pracuje się do późna. – Pokiwałam głową.

– Chyba tak. Może to praca, a może... kochanka? – Zaśmiała się trochę za głośno.

– Żartujesz!

– Nie psujmy sobie apetytu, proszę, częstuj się, Karolo! – Podsunęła mi półmisek z wędliną.

Chętnie się poczęstowałam, gdyż od obiadu minęło już wiele godzin, a pomiędzy Danką proponowała mi jedynie piwo. Czułam się niezręcznie. Z jednej strony jej gościnność na pewno była szczerą, a z drugiej, gospodyni nie zrobiła wszystkiego, abym pod jej dachem poczuła się swobodnie. Dała mi do dyspozycji pokój, lecz nie było klucza do drzwi. Nie wyraziła się też jasno, czy mogę skorzystać z lodówki, gdy poczuję się głodna, a gdy sama chciałam kupić jedzenie, zabroniła mi tego grożąc, że się obrazi.

Podobnie jak przy innych wspólnych posiłkach, prawie nic nie jadła. Pierwszego dnia tłumaczyła się, że jest zbyt podekscytowana moim przybyciem. Tak samo argumentowała swoje częste sięganie po piwo. Co dziwniejsze, funkcjonowała po nim normalnie, może jedynie mówiła głośniej.

Po kolacji usiadłyśmy w salonie pod rozłożystą palmą podświetloną od dołu zamaskowanymi reflektorkami. Danką zrobiła nam po drinku, mój był bardzo mocny. I tym razem potrzebowała nie tyle rozmowy, ile wygadania się przed kimś. Do tej pory przedstawiała swoje życie jako niekończące się pasmo atrakcji towarzyskich. Wspólne urlopy w egzotycznych miejscach, weekendowe imprezy, członkostwo w różnych klubach, w których dbało się o swoją sprawność fizyczną, a bardziej o interesowne kontakty. Znając dawną Danukę, zastanawiałam się, czy ta nowobogacka kopia życia na poziomie wyższych sfer naprawdę ją uszczęśliwia?

– Nie masz pojęcia, jak czasami mam tego dosyć! – powiedziała nagle. – Kasa to nie wszystko! Mój kalendarz wypełniony jest na tygodnie do przodu i to samymi bzdurami, maseczki, pazurki i takie tam. A pomiędzy wiecznie jakieś zaproszenia, i co gorsza, muszę też zapraszać tę bandę do nas. Na początku mnie to bawiło, ale gdy poznałam ich wszystkich bliżej, to wiesz co? Na sam ich widok chce mi się rzygać!

– Czym ci tak podpadli?

– Czym? Swoją obłudą! Co innego w oczy, a co innego za plecami! Liczysz się, póki nadążasz za resztą. Dopóki stać cię na nówki w garażu, podróże, prywatne szkoły dla dzieci... Ale biada, jeśli wpadniesz w kłopoty!

– Nie przesadzasz? Przecież mówiłaś, że od lat trzymacie się razem.

– Dam ci przykład. Do firmy znajomego dorwał się urząd skarbowy. I mężczyzna wylądował na parę miesięcy w areszcie. Rodzina została bez środków do życia, bo do czasu wyjaśnienia zablokowano im działalność. Potem go wypuścili, lecz jego firma splajtowała. A liczni przyjaciele? Nikt nie kwapił się do pomocy, choć mogli, mój kochany mężuś także odmówił!

– Przykre...

– Faceci zdradzają, zamieniają żony na młodsze roczniki, ale babki też nie lepsze, na dodatek intrygują, obgadują, mówię ci, żadnej lojalności!

– Danka, czemu obracasz się w tym towarzystwie, jeżeli tak cię razi?

Roześmiała się gorzko. Wstała i podeszła do barku. Wracając z kolejnym drinkiem, wciąż się uśmiechała, lecz jej długie milczenie stało się wymowne.

– Ja wiem, że on ma inną – odezwała się pozornie lekkim tonem.

– Skąd ta pewność?

– Najpierw tylko coś przeczuwałam. Ciągłe nie miał czasu, no i zaczął więcej dbać o siebie... Przedtem miał to gdzieś! W łóżku też nie był taki jak wcześniej.

– Rozmawiałaś z nim o tym?

– Wyparł się wszystkiego, powiedział, że jestem szurnięta! Potem więcej przebywał w domu, więc przestałam go podejrzewać. Teraz myślę, że to była jakaś krótka przygoda. – Jednym haustem dopiła drinka. – Później jednak znowu to samo, ale zmienił taktykę! Kiedy coś mu zarzucam, nabiera wody w usta. I po prostu dalej robi, co chce!

– Nie wiem, co mam na to powiedzieć. Może jednak się mylisz?

– Nie. Kobieta czuje takie rzeczy – stwierdziła beznamiętnie.

– I co zamierzasz z tym zrobić?

– Nic. Przeczekać to. – Wzruszyła ramionami.

– Przeczekaasz?

– Nie mam innego wyjścia. Dopóki będę udawać, że wszystko w porządku, on mnie nie zostawi. Jest dumny z tego domu, kocha naszych chłopców, mnie na

swój sposób także. Wiem, że taki układ mu odpowiada, jakaś dziwka na boku, a w domu żoneczka.

– Czy ty siebie słyszysz?! – Nie dowierzałam. – Godzisz się na to?!

– Nie znasz chyba życia, Karola! – Spojrzała na mnie ironicznie. – Wiesz, najwięcej tracą kobiety, które unoszą się dumą! Może i wychodzą z takich sytuacji z twarzą, za to bez grosza. Nie pozwolę się stąd wyrzucić, zaznałam w życiu dość biedy. Dlatego przestałam robić mu wymówki, a on teraz trzyma się pewnych reguł. Tamtą może wkrótce zastąpi inna, ale to ze mną chodzi na przyjęcia i wyjeżdża na wakacje. Czasami sypiamy nawet ze sobą, więc tak całkiem tragicznie chyba nie jest, co?

Kiedy użyła argumentu, że jest zależna od niego, przypomniałam jej o sklepach z używaną odzieżą.

– Nie bądź naiwna! Nie sądzisz chyba, że mamy to wszystko dzięki ciucholandom? To tylko moje hobby i przykrywka! A naprawdę, to żyjemy jedną nogą w kryminale, nasi znajomi podobnie. Nie pytaj o więcej, bo nic ci nie powiem.

– Danka, ty się nie boisz tak żyć?

– Pewnie, że się boję, bardziej jednak boję się nędzy! Moi rodzice przez całe życie pracowali uczciwie i co z tego mają? Klitkę w bloku z awanturnikiem pijakiem za ścianą! I jeszcze to wieczne kalkulowanie, czy jak wykupi się wszystkie recepty, to wystarczy do następnej emerytury? Karola, gdybyś widziała niektóre nasze dawne koleżanki, zaniedbane, zawsze objuczone siatami... Myślisz, że one są szczęśliwe? Nie, za takie życie dziękuję!

Prawie do północy wysłuchiwałam jej zwierzeń. Nie potrzebowała rad czy pociechy, tak jak też nie była chętna jakimkolwiek przemianom. Niestety, dotyczyło to również alkoholu. Może był jej niezbędny, by przetrwać piekielko, na które dobrowolnie się godziła? Tego wieczoru Danuta upiła się na smutno.

W nocy przyśniła mi się moja siostra. Może dlatego, że rozmyślałam o niej; na dzisiaj zaplanowałam wizytę w klinice. Nie chcąc wracać do zdarzeń przed naszym rozstaniem, przywołałam dalsze wspomnienia. Kinga była dzieckiem trudnym i płaczącym, absorbującym otoczenie. Nie tylko łyży łały się na zawołanie, potrafiła też kłamać jak najęta i robiła to przekonująco; nie dorównywałam jej sprytem. Z biegiem czasu doprowadzało to między nami do coraz częstszych kłótni, zwłaszcza, że chodziłyśmy do tej samej klasy. Nieco wytchnienia od niej miałam latem, wakacje w dużej części spędzałam u babci Naty, matki mojego ojca. Tylko mnie zapraszała na wieś; przeżywałam tam najpiękniejsze chwile dzieciństwa. Byłam w piątej klasie, gdy nadeszła wiadomość o jej śmierci, bardzo mocno to przeżyłam. Potem wakacje spędzałam w uciążliwym dla mnie towarzystwie siostry.

W okresie dojrzewania Kinga popadła w niepokojące skrajności. Pyskowała

i uciekała z domu, obracała się w podejrzanym towarzystwie, albo przeciwnie, zamykała się na ludzi i całymi dniami spała. Rodzice robili, co mogli, lecz nie obeszło się bez fachowej pomocy. Siostra poddała się leczeniu, okresowo także w szpitalu, skąd wracała przyciszona i obca. W domu nie rozmawiało się o jej chorobie, a na potrzeby szkoły mówiło się, że Kinga ma słabe płuca. Nie byłaby jednak sobą, gdyby tego nie wykorzystała i w rezultacie rodzice zezwalali jej na dużo więcej niż mnie. Nie poprawiło to naszych stosunków.

Moje dzieciństwo na pewno nie było koszmarem krzywdzonej sierotki. Rodzice dbali o moje potrzeby, a spory z siostrą niczym nie różniły się od podobnych konfliktów rodzeństwa w domach moich koleżanek. Nie pamiętając swojej mamy, nie czułam jej braku, a obecność cioci Geni sprawiała, że wzrastałam w poczuciu posiadania pełnej rodziny. Ciocia troszczyła się o mnie, nawet rozpieszczała. Ojciec dużo pracował, lecz zawsze mieliśmy swoje stałe rytuały, czułam się przez niego kochana. Niestety, kiedy byliśmy w ostatniej klasie liceum, poważnie się rozchorował...

W tym momencie zawsze stawiałam barierę wspomnieniom, tym razem nie inaczej. Przeskoczyłam kilkanaście lat i znalazłam się w teraźniejszości. Nie miałam pojęcia, czego siostra spodziewała się po mnie i czy będę umiała jej pomóc. Nasza krótka rozmowa telefoniczna potwierdziła mi jednak, że Kinga nie jest w najlepszej formie. Co gorsza, zaczęłam też wątpić we własne siły, gdyż położenie siostry było gorsze, niż myślałam. O tym dowiedziałam się już na miejscu, z opowieści Danuty.

Po szoku spowodowanym ujawnieniem romansu oraz zdradziecką postawą posła przeszła do kontrataku. Postanowiła, że nie będzie jedyną przegraną. Długo obracała się w światku politycznym, zdobyła pewne poufne informacje i postanowiła je ujawnić. Demaskowanie hipokryzji dotyczyło jednej konkretnej partii, z której wyłuskała sobie na początek trzech polityków, w tym i owego posła. Niestety, postawiła chyba na złego dziennikarza. Wywiad z nią ukazał się w lokalnej prasie, przeczytałam go, gdyż Danuta zachowała gazetę dla mnie. Był stroniczy, prowadzony w tonie ośmieszającym Kingę, z komentarzem tłumaczącym jej działania urażoną dumą odrzuconej kochanki. Pomimo to zareagowali prawnicy zaatakowanych polityków, oskarżając ją o pomówienia. Kinga nie wytrzymała presji i załamała się.

– Trudno się temu dziwić. Wszyscy potępiali ją za brak lojalności. W mieście też się mówi, że dostała za swoje. Szczęście odwróciło się od niej i nagle została sama – podsumowała Danką, bacznie obserwując moją reakcję.

Nie zdradziłam, co o tym myślę. Prawdę powiedziawszy, wystraszyłam się trochę, nie sądziłam, że sprawy zaszły tak daleko. Co innego, wesprzeć kogoś po zawodzie miłosnym, a co innego wyciągać z bagna. Zastanawiało mnie, dlaczego Kinga nie zwróciła się o pomoc do swojej matki? Ciocia Genia też wyjechała za

granicę, od lat nie utrzymywałyśmy kontaktu. Z rodzoną córką najpewniej go miała, nie wyobrażałam sobie, żeby nie przybyła na jej zawołanie. A jednak Kinga mnie chciała zobaczyć.

Pojechałam do niej z samego rana. Główny, najstarszy budynek był z czerwonej cegły i przypominał neogotyckie klasztory. Przylegało do niego kilka niższych, otynkowanych obiektów, powstałych później. Całość otaczał park starodrzewny odgradzony od świata wysokim murem. Latem musiało być tu bardzo przyjemnie, teraz park był opustoszały.

Patrząc na drzewa, przypominałam sobie kryjówkę w koronie przydomowego drzewa. Będąc dzieckiem, wdrapywałam się na nie, by poczytać tam książkę, ale częściej, by stwarzać własne wizje. Szumiące listowie dawało mi ułudę lasu, którego byłam niepodzielną władczynią. Puszczając wodze fantazji i obsadzałam w różnych rolach nieświadomych niczego sąsiadów. Jak było do przewidzenia, Kinga wyniuchwała moje schronienie i potem to miejsce straciło już dla mnie urok.

Ciekawe, że przypominałam sobie o tym właśnie teraz. Być może podświadomie uzbrajam się w czujność przed konfrontacją z siostrą? – pomyślałam, wchodząc do kliniki.

– Nic się nie zmieniłaś! – Siostra musnęła mój policzek, obrzucając mnie pobieżnym spojrzeniem.

Uśmiechnęłam się gorzko i podziękowałam. Nie dostrzegła przemian, które skryły się pod moją skórą. Nie byłam już taka sama jak wtedy, kiedy nie wiedząc o tym, rozstawałyśmy się na wiele lat. W obecną postać uformowały mnie dwa doświadczenia. Emigracja i migrena. „Emigrantka!”, drwiłam z siebie samej w chwilach lepszego samopoczucia. W gorszych nie było mi do śmiechu. Uwięziona w kraju, który sama sobie wybrałam i już mniej dobrowolnie – w dręczącym mnie ciełe.

Na widok Kingi nasunęło mi się tylko jedno określenie: matowa. Spod spłowiej grzywki spoglądały na mnie zgaszone oczy; wyglądała na bardzo zmęczoną. Może pod wpływem leków, a może miała za sobą bezsenną noc.

– Długo będziesz tak się gapić? – przycięła kąśliwie, i aby nie przyszło mi na myśl wyjeżdżać z troską, dodała: – Wiem, źle wyglądam! Zaskoczyłaś mnie, przyjeżdżając tak wcześnie...

– Przepraszam. No tak, skowronkiem nigdy nie byłaś – rzuciłam pojednawczo.

– Chodźmy stąd – powiedziała.

W milczeniu zeszyliśmy piętro niżej. Poprowadziła mnie długim, zupełnie pustym korytarzem, zatrzymując się przy drzwiach na jego końcu. Ku mojemu zdumieniu, znajdowała się za nimi kaplica szpitalna.

– Zapowiada się bardzo poważnie – próbowałam zażartować.

– Tutaj nikt nam nie przeszkodzi, a na oddział zabrać cię nie mogę – odparła ze zniecierpliwieniem.

W mrocznej kaplicy panował chłód. Kinga puściła mnie przodem, po czym zasiadła okrakiem na krześle przede mną, plecami do ołtarza. Przyglądała mi się uważnie, lecz nie zobaczyła chyba za wiele, było dość ciemno. Światło usiłowało się prześliznąć przez wąskie witraże w podłużnych oknach, ale pomieszczenie niewiele na tym zyskiwało.

– Świetnie wyczułaś czas swojego powrotu do Polski! – stwierdziła kpiąco. – Pierwszy raz po tylu latach, tak?

– Zgadza się. Ale jeśli sądzisz, że wróciłam z powodu tęsknoty, to muszę cię rozczarować.

– Nawet nie przyszło mi to do głowy! – Zaśmiała się diabolicznie.

– Chyba nie myślisz, że wróciłam w związku z tobą? – Zaczynałam rozumieć jej aluzje.

– A nie?! Możesz wreszcie się zemścić!

Wstrzymałam oddech, aż poczułam klucie w sercu. Moja siostra była teraz zaprzeczeniem osowiałości, jaką wyczułam u niej podczas naszej rozmowy telefonicznej. Zdawałam sobie sprawę, że nasze spotkanie nie będzie łatwe, jednakże takiego obrotu sprawy się nie spodziewałam. Kinga atakowała mnie dalej, dyplomacja wciąż była jej obca.

– Dziwi mnie tylko, że zwlekąłeś z tym tyle czasu! Teraz to żadna sztuka rzucić mnie z piedestału, przed tobą byli już inni. Widzisz, trzeba było wcześniej wrócić! Powalić mnie u szczytu kariery, to by było dopiero coś!

– Wybacz, ale nie wiem, o czym mówisz. – Próbowałam przytrzymać jej rozbiegany wzrok.

– Zaraz... A może jesteś tak perfidna, że chcesz odgrywać siostrę miłosierdzia? Być dla mnie wyrozumiałą i opiekuńczą, mimo że na to nie zasłużyłam! To byłoby w twoim stylu...

– Przypominam ci, moja droga, że przyjechałam tutaj na twoje życzenie – odparłam, siląc się na spokój. – Już jakiś czas jestem w Polsce i wcale nie planowałam odwiedzin naszego miasta.

– Jasne, tylko gdy usłyszałaś o aferze, jakoś wyjątkowo łatwo zgodziłaś się tu przybyć! Oczywiście, jestem ci niezmiernie wdzięczna... – dodała ironicznie.

– Czego ty właściwie chcesz ode mnie? – zapytałam wprost.

– Powoli... Skoro już jesteś, to chyba poświęcisz mi trochę czasu?

– To zależy od ciebie, bo szkoda mi go na kłótnie. Przejdiesz do rzeczy?

Mimowolnie okręcała pasemko włosów o palec. Zawsze tak robiła, gdy zastanawiała się nad czymś.

– Jak ci się w ogóle powodzi, siostrzyczko? – zagadnęła nieoczekiwanie.

– Tak sobie. Dlaczego pytasz? – Przeczynałam, że nie bezinteresownie.

– No i po co od razu warczeć? – Przeszła na łagodny ton. – Pytam z czystej ciekawości. Miło byłoby się dowiedzieć, czy wyszłaś za mąż, urodziłaś dzieci? A może wspinasz się wysoko po drabince zawodowej? To chyba żadna tajemnica?

– Powiedzmy, że nic z tego mnie nie dotyczy.

– To co, nadziany kochanek? – Badała moją reakcję.

– Skończ z tym, dobrze?

– Nie bądź przewrażliwiona! Jestem daleka od wpychania się w twoje życie. Nie chcesz mówić o sobie, to nie. Mój mały sondaż potwierdził jednak, że jest tak, jak myślałam.

– To znaczy?

– Że nie osiągnęłaś nic na tyle wielkiego, aby zadzierać nosa! Nadąsane miny też sobie daruj. Chciałaś, żebym przeszła do rzeczy? Dobrze. Wysłuchaj więc, co mam ci do zaproponowania.

– Ty... mnie?!

– Owszem. Ja tobie. Moja sytuacja tylko na pozór jest beznadziejna, wszystko sobie dokładnie przemyślałam. Będziesz jednak musiała mi pomóc. Nie patrz na mnie takim wystraszonym wzrokiem! Niczego nie chcę od ciebie za darmo! – powiedziała z naciskiem.

Umilkła i zmierzyła mnie ostrym spojrzeniem. Jej twarz zmieniała się tak gwałtownie, że nie nadążałam z odczytywaniem jej intencji. To egzaltowana, to znów łagodna, jakby dopiero szukała optymalnego sposobu dotarcia do mnie. Odczekawszy chwilę, przeszła do natarcia.

– Masz mnie za wariatkę, tak?!

Nie zdążyłam odpowiedzieć, mówiła nieprzerwanie.

– A więc, do twojej wiadomości, siostrzyczko, jestem tutaj z własnej, nieprzymuszonej woli. To taka sprytna zagrywka z mojej strony.

– Nie powiesz mi chyba, że symulujesz?

– Powiedzmy, że zyskuję na czasie. Ci lekarze tutaj... Ech, szkoda gadać. Dla mnie nie stanowią żadnego wyzwania, nie takim dawałam radę! Wystarczy poczytać parę podręczników, z których wkuwali na studiach i zagrać pod jakiś typowy przypadek, a zakwalifikują cię tam, gdzie zechcesz. I jeszcze będą z siebie dumni! – Zaśmiała się sardonicznie.

– A twoje... załamanie nerwowe?

– Tak, nie wytrzymałam... – przyznała niechętnie. – Dlatego ten szpital miejski i moja bezradność. Ale szybko się pozbierałam, przeniosłam gdzie trzeba i teraz jestem gotowa... Wiesz, ja tylko na pozór się wycofałam! Niech oni na razie sobie myślą, że już mnie załatwili! To należy do mojej strategii!

Wyglądało, że w jej umyśle rodzą się jakieś chore idee. Powinnam chyba porozmawiać z jej lekarzem, pomyślałam.

– Żaden nie będzie się tego spodziewać! – mówiła z podnieceniem. – Trzeba

pozwoić sprawom ucichnąć, a im wszystkim poczuć się bezpiecznie! A potem rzucę bombę! Ha! Wyliczyłam wszystko i nawet wiem, kto udzieli mi swojego poparcia. Karolo, mamy trochę mniej niż rok czasu, ale powinno tyle wystarczyć!

– Powoli, Kinga! W co ty chcesz mnie wplątać?

– Tamten mój wywiad to był durny pomysł, poniosły mnie emocje! No to nasłali na mnie swoich prawników, postraszyli rozprawą. Kiedy wylądowałam u czubków, dali sobie spokój. Przyznaj, że twoja siostra jest cwana!

– Założyli ci sprawę?!

– Zamierzali, ale gdy dowiedzieli się, gdzie jestem, wycofali się z tego. Taki niby akt łaski z ich strony! Może mam im jeszcze podziękować... Niedoczekanie! Karola, nie masz pojęcia, jakie rzeczy ja wiem, wszystko ci opowiem! Moim największym atutem jest, że mnie nie doceniają. Tamta afera to pikus w porównaniu do tej, która dopiero wybuchnie!

Gromki śmiech Kingi odbił się echem od ścian, a po moich plecach przebiegły zimne dreszcze.

– Dobra. Rozumiem, że nie zamierzasz złożyć broni. Ale czemu zakładasz, że mnie zainteresują jakieś ciemne sprawy z waszego lokalnego podwórka?

– Z lokalnego? – Zachichotała. – O, nie, Karola, to większy format! Ale może i lepiej, że nie jesteś zorientowana we wszystkich powiązaniach. Potrzebny mi ktoś taki jak ty, z dystansem. Poprzednio było w afekcie, teraz będzie z rozważą. Szkopuł w tym, że sama sobie nie do końca ufam! Boję się, że znowu mnie poniesie i cały misterny plan szlag trafi!

Nachyliła się ku mnie i łapiąc za ramię, obwieściła:

– Napiszemy książkę! To znaczy, ty ją napiszesz na bazie moich zwierzeń. Karola, to musi być arcydziełko! Nikt inny nie zrobi tego lepiej niż ty, zawsze miałaś lekkie pióro! A ja dobrze ci zapłacę!

– Jesteś szalona! – Nie udało mi się zapanować nad słowami.

Byłam wściekła na nią, że ośmieliła się wyjść z czymś takim. Lekkie pióro! Zarzuciłam pisanie jeszcze na studiach i choć odniosłam jakieś sukcesy – opublikowano opowiadanko, wygrałam konkurs – to nigdy do tego nie wróciłam. Tamta Karola już nie istniała.

– Przypuszczałam, że zareagujesz w ten sposób! – odparowała Kinga. – Ale wiesz, w życiu wszystko ma swoją cenę.

– Nie ma takich pieniędzy, które zmusiłyby mnie do pisania dla ciebie!

– Ejże, aż tak świetnie to chyba ci się nie powodzi? Naturalnie, przewidziałam też twoją dumę. I to nie forszą zamierzam ci płacić.

Od korytarza doszedł odgłos zbliżających się kroków. Kinga odwróciła się w stronę ołtarza i pochyliła głowę, jakby w modlitewnym skupieniu. Aktorka! Kątem oka dostrzegłam sylwetkę mężczyzny w drzwiach kaplicy. Po chwili odszedł.

– Kinga? – Delikatnie dotknęłam jej pleców.

Kiedy obróciła się ku mnie twarzą, była zdumiewająco zrelaksowana. Uśmiechnęła się i konspiracyjnie puściła oko.

– Damy radę, zobaczysz! – zapewniła, jakbym to ja zwróciła się do niej o pomoc.

– Nic z tego. Będziesz musiała znaleźć sobie inną sekretarkę. Przyjechałam tu tylko na kilka dni i wracam. Od lat nie pisałam, poza tym, nie chcę się w to mieszać. Wybacz...

– Zostaniesz! I napiszemy tę książkę wspólnie!

– Nie.

– Tak! Nikomu innemu nie ufam i nikt nie zrobi tego tak dobrze, jak ty!

– Po pierwsze, to nie ja zostałam pisarką, a po drugie, nie kupuję tego tekstu z zaufaniem. Kinga, nie znasz mnie! Minęły lata od naszego ostatniego spotkania.

Przykro mi, ale muszę cię zawieść. Lepiej teraz niż później. Jestem pewna, że i beze mnie dobrze sobie poradzisz!

– Źle mnie zrozumiałaś. – Nie przejęła się moimi słowami. – Wiem, czym ci zapłacić i ta waluta będzie dla ciebie atrakcyjna!

– Przestań, proszę...

– Przekonasz się sama! – Jej pewność siebie była zdumiewająca. – Popracujemy razem, a potem możesz sobie jechać, gdzie tylko chcesz. Książkę oczywiście wydamy pod moim nazwiskiem. Jej treść jednych załamię, innych bardzo ucieszy! Zwłaszcza, gdy książka ukaże się tuż przed wyborami!

– O jakiej walucie mówisz? – Zaintrygowała mnie przynęta, którą chciała mnie skusić.

– Będiesz pisać pod moje komando, a w zamian ja opowiem ci całą prawdę. Po troszeczkę, rzecz jasna.

– Nie wiem, co masz na myśli...

– Akurat ci wierzę! Był czas, że nie chciałaś mnie słuchać. Ale jestem pewna, że dzisiaj chętnie dowiedziałabyś się tego, co wtedy miałam ci do powiedzenia! Tylko, że dzisiaj, moja kochana, jestem mądrzejsza o wiedzę, że prawda kosztuje! Ty mi coś, ja tobie coś. Prosto i sprawiedliwie.

– Obyś się nie przeliczyła! Skąd wiesz, że będę zainteresowana? – Narastał we mnie gniew.

– Ejże! Znam cię, na pewno do dzisiaj miewasz koszmary!

– Teraz to naprawdę przesadziłaś! Chyba będzie lepiej, jeśli już pójdę.

Podniosłam się z miejsca, dziwiąc się trochę, że Kinga nie próbuje mnie zatrzymać. Wpatrywała się zgaszonymi oczami w jakiś punkt za mną, jakby moja obecność przestała być dla niej ważna. Podążyłam tam wzrokiem, lecz nie zobaczyłam nic szczególnego.

– Odprowadzisz mnie? – zapytałam.

– Nie. – Ocknęła się. – Posiedzę tu jeszcze. Kiedy znowu mnie odwiedzisz?

– Nie wiem, ale postaram się zajrzeć przed wyjazdem. Zastanów się w tym czasie, czy mogłabym ci jakoś inaczej pomóc...

– Głupia jesteś! – odburknęła z irytacją. – Pomogłabyś sobie!

Odchodząc, wiedziałam, że wrócę tu jeszcze tylko jeden raz. Tylko po to, by pożegnać się z moją chorą siostrą.

Lekarz nie miał czasu, a ja nie nalegałam na rozmowę. Wizyta u siostry wyczerpała mnie. Przysiadłam na ławce w parku, żeby ochłoniąć, uspokoić się.

Rozmyślałam o Kindze. Dlaczego sama nie napisze książki? Był w tym jakiś paradoks, jakby moja siostra zdawała sobie sprawę ze swojego stanu, a zarazem go negowała. Musiała czuć, że sama temu nie podoła. Lepiej, gdyby dała sobie spokój z odwetem. Jej słowa sugerowały, że planowała dobrać się do skóry ważnym personom. To nie było ani mądre, ani bezpieczne. Straciła zdrową ocenę sytuacji i swoją prywatną wojnę przenieść chciała tam, gdzie nie miała żadnych szans na wygraną. Jedynie w chorym umyśle mogła zrodzić się pewność, iż uda się to, co za pierwszym razem doprowadziło ją do załamania. Moja siostra pogmatwała sobie życie bardziej niż ja.

Pobyt w mieście rodzinnym nie wpływał na mnie dobrze. Czułam się, jakby uchodziła ze mnie energia. Niby wróciłam do znajomych miejsc, oswojonych przeżytych tu czasem, lecz moje próby wtopienia się w zastałą rzeczywistość nie wypadały najlepiej. To miasto nie było już moim, cóż, kiedy na razie nie mogłam wyjechać. Miałam jeszcze coś do załatwienia.

Poszłam na cmentarz. W biurze administracji poinformowano mnie, gdzie znajdę grób ojca i trafiłam bez trudu. Przykryty czarną, marmurową płytą w niczym nie przypominał mogiły, którą zapamiętałam. Zniknął też dąb rosnący w pobliżu. Przyniosłam żółte chryzantemy, lecz nie było wazonu. Przypomniałam sobie o studziencie w centralnym punkcie cmentarza. Ludzie odkładali tam niepotrzebne pojemniki; wzięłam jeden i napełniłam wodą.

Dzisiaj na cmentarzu też było sporo ludzi, jedni porządkowali nagrobki po niedawnym świącie, inni dopiero teraz zapalali na nich znicze. Listopad zdumiewał łagodną pogodą, a podszywając się pod wiosnę, zarazem trochę zatrzymał. Przypatrywałam się twarzom mijanych osób, lecz nie było znajomych. Natomiast wiele nazwisk umieszczonych na nagrobkach wywoływało we mnie jakieś niewyraźne skojarzenia.

Skręcając w docelową alejkę, zamarłam. Nad grobem ojca pochylała się jakaś szatynka i brała właśnie do ręki pozostawione tam przeze mnie kwiaty. Kobieta wyczuła mój wzrok i odwróciła się. To była ciocia Genia! Trochę postarzała, ale wciąż wysoka, wyprostowana, z niezmienną fryzurą w loki. Dawniej nie nosiła okularów.

– Karola!

Stałyśmy naprzeciw siebie w milczeniu, aż ciocia przerwała je, mówiąc:

– Daj już ten słoik, bo chcę cię wreszcie uścisnąć!

Gardło miałam jak zasznurowane. Nie przypuszczałam, że jej widok tak mnie wzruszy. Z Kingą nie widziałam się przecież tyle samo lat, a gdy zobaczyłam siostrę, moje serce nawet nie drgnęło. Moment później ciocia przyciskała mnie do siebie, a ja odwzajemniałam się w tym trochę niezdarnie. Przed laty rozstawałyśmy się w udawanym chłodzie, teraz gra już nie była nam potrzebna.

– Pokaż się! – Odsunęła mnie od siebie i przyglądała mi się życzliwie. – Wyglądasz naprawdę dobrze! Jakże się cieszę!

Przytuliła mnie. Czułam, jak i we mnie narasta nieśmiała na razie radość. Wymamrotałam jakieś nieudolne słowa powitania. Ciocia nagrodziła je szerokim uśmiechem, po czym oznajmiła:

– Miałam nadzieję, że spotkam cię tutaj na Wszystkich Świętych! Dwa razy przyszedłam na cmentarz, rano i po południu. Czekałam...

Nie mówiła z wyrzutem, mimo to poczułam się w obowiązku wyjaśnić:

– Nie mogłam znaleźć grobu! Gdzie to duże drzewo, które tu rośnie?

– Ścięte. Musisz wiedzieć, że toczyła się o nie prawdziwa wojna, bo rozpychało korzeniami pobliskie groby, pękały płyty nagrobkowe. Dąb był pod ochroną i nic nie dało się z tym zrobić. A potem nagle sam zaczął usychać... Myślę, że ktoś podlał go jakąś trucizną.

– Szkoda drzewa. – Pokręciłam głową, zirytowana brakiem szacunku dla życia. – Wiedziałaś, że jestem w mieście?

– Tak... Kinga mówiła mi, że przyjdiesz.

– Byłam u niej. Ale ani słowem nie wspomniała o tobie.

– Nie? – Ciocia uniosła brwi. – Ona przyjmuje silne leki! Zauważyłaś chyba, jaka jest rozkojarzona! Wiem, że ją odwiedziłaś. Powiedziała, że na razie zatrzymałaś się u koleżanki, ale przeprowadzisz się do niej. Nie masz pojęcia, jak mnie to uradowało! Przygotowałam ci już nawet łóżko...

– Nie trzeba było! – wymawiałam się. – Pojutrze już wyjeżdżam.

– Ależ, co ty, Karolo?! Nie pozwolę ci na to! – Zaśmiała się.

Przekonywała mnie tak jeszcze przez chwilę, aż uznałam, że mogę pozostać dzień lub dwa dłużej. Nie zamierzałam jednak przenieść się do mieszkania Kingi. Domyślałam się, że powiązała to ze swoim planem. Miałaby nade mną większą kontrolę, a obecność matki by to ułatwiła. Ciocia nieświadomie już teraz działała na korzyść córki, wstawiając się za nią:

– Karolo, musimy jej pomóc! Mamy już tylko siebie, a zamiast trzymać się razem, uciekałyśmy przed sobą! Zmarnowałyśmy tyle czasu!

– Od kiedy jesteś w Polsce? – zaciekawiałam się.

– Przyleciałam zaraz po telefonie Kingi, była wtedy jeszcze w szpitalu miejskim. Nie masz pojęcia, jak się przeraziłam! Oczywiście, Kinga nie jest bez winy, ale sama powiedz, czy to nam ją osądzać? Dobrze, że przyjechałaś, jesteście

przecież siostrami. Minęło tyle lat, najwyższa pora zapomnieć o tym, co było. Ojciec miałby takie samo zdanie...

Przypomnienie ojca zirytowało mnie, choć starałam się to ukryć. Nie chciałam myśleć o tym, jak on widziałby dzisiaj nasze wzajemne stosunki.

– Miałam zamiar wypytać Kingę o ciebie... – Szybko zmieniałam temat.

– To jednak myślałaś o mnie czasem? – Ciocia obdarzyła mnie ciepłym spojrzeniem. – Wiesz, co? Pójdźmy już stąd! Nogi mnie bolą od tego stania. Zapraszam cię na obiad! Porozmawiamy po drodze. Nie wiesz, czy ta restauracja przy parku jest czynna?

– Sprawdzimy.

– Chcesz się może jeszcze pomodlić?

– Nie. Chodźmy!

Ciocia podała mi rękę, a ja bez wahania ujęłam ją pod ramię. Ptasie śpiewy zakłócały powagę tego miejsca, przypominając o życiu.

Po drodze ciocia Genia wyjaśniła, że nie może długo zostać w Polsce, gdyż za granicą prowadzi dom pewnemu wdowcowi, z którym się zaprzyjaźniła. Nie wnikałam, jak dalece sięgała ich przyjaźń, jednak było widać, że ciocia jest zadowolona z tego układu. Wciąż była kobietą pełną energii, a że szło to do pary z dbałością o siebie, mogła podobać się starszym panom. Dowiedziałam się również, że regularnie przyjeżdża, zatrzymując się u Kingi lub do sanatorium. Po tej informacji zreflektowała się chyba, że może być mi przykro. Przeprosiła, że nie kontaktowała się ze mną.

– To był dla nas wszystkich koszmary okres! Praca w Holandii spadła mi wtedy jak z nieba, a decydować musiałam od razu. Potem wyrzucałam sobie, że wyjechałam tak na wariata...

– Tyle lat jesteś u tego pana?

– Nie, najpierw pracowałam u żydowskiej rodziny w Amsterdamie. Odnosili się do mnie serdecznie, ale miałam kłopot z zapamiętaniem tych ich reguł, oni byli z tych ortodoksyjnych. Wyobraź sobie, nawet talerze i sztuce mieli oddzielne na dni powszednie i na szabat! To oni namówili mnie na pracę u profesora, akurat wtedy owdowiał. Jest ich dobrym znajomym, zawsze ich odwiedzał, kiedy przyjeżdżał z Londynu. Chyba mu się spodobałam! – Zachichotała. – Mnie było obojętne, gdzie pracuję, pomyślałam sobie, że nawet lepiej w domu z jedną osobą, nie całą rodziną. Nie przewidziałam jedynie, że tak długo tam zostanę!

– O! To ty mieszkasz w Londynie?! Jaki jest ten profesor?

– Pod Londynem, w małej miejscowości. Jaki jest profesor? Jakby ci to powiedzieć... Spokojny, kulturalny, pedant. Przyzwyczał się, że jestem na każde zawołanie. Zawsze, kiedy wyjeżdżam na urlop, dramatyzuje, jakby miał nadejść koniec świata! – Zaśmiała się, nie bez dumy. – Też wzięłaś urlop, Karolo?

– Tak.

– Opowiedz mi, jak żyjesz? Kinga mówiła, że nie wyszłaś za męża. Masz chociaż dobrą pracę? Takie teraz czasy, że kobiety wolą niezależność i nie są tak chętne do zakładania rodziny... – Westchnęła.

– Niekiedy nie ma z kim jej założyć! – rzuciłam, na pozór żartując.

– Przepraszam, nie powinnam była tak mówić. A zresztą, kto wie, może zrobicie mnie jeszcze babcią? Jesteś chyba z kimś związana, Karolo? – spytała z troską.

Nie miałam wyjścia, musiałam coś odpowiedzieć. Trudność sprawiało mi lawirowanie między prawdą a tym, co nadawało się do zrelacjonowania. Na szczęście informacja, że zakończyłam związek z Timem, uchroniła mnie poniekąd przed dalszym wypytywaniem.

Doszliśmy do restauracji. Kiedyś prawie każdej niedzieli przychodziliśmy tutaj na obiad, wtedy jeszcze kompletną rodziną. Wystrój wnętrza lokalu od tamtego czasu bardzo się zmienił, mimo to układ pomieszczeń był mile znajomy.

Dopiero gdy zajęliśmy miejsca przy stoliku pod oknem, uprzytomniłam sobie, iż to właśnie tutaj doszło do ostrej scysji rodzinnej. Wstyd, ale podczas stypy po pogrzebie ojca. Ciocia Genia też musiała to sobie przypomnieć, gdyż powiedziała:

– Nie wracajmy do tamtego, dobrze?

Wiedząc, co ma na myśli, szybko przytaknęłam. Niemile dotknęło mnie, że wymusiła zamknięcie przeszłości, chociaż nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć. Od zarzutów Kingi i naszej sprzeczki? Czy od wściekłości cioci na nas obydwie? Wtedy uważałam, że najwięcej pretensji ma do mnie. Puściły nam nerwy, padło dużo niepotrzebnych słów. Co gorsza, nie byliśmy tu same, a siedzący przy stole przyjaciele rodziny byli zażenowani zajściem.

Od śmierci ojca do stypy działałam jak automat. Ceremonię pogrzebową pamiętam mgliście, choć podobno to ja załatwiałam większość formalności. Nie wiem, jak siostra i ciocia, lecz jakbym trwała w letargu, nic nie czułam. O tyleż boleśniejszym stało się dla mnie gwałtowne ocknięcie, właśnie tutaj, w restauracji.

Ten moment zapamiętałam dokładnie i też uporczywie powracał w moich snach. Oskarżenia Kingi, rzucone mi prosto w twarz, oraz spojrzenia obecnych, z których odczytałam to samo. Tak, to ja byłam winna. I odtąd musiałam z tą winą żyć.

Wpadłam w apatię i znowu źle sypiałam, nocami dręczyły mnie koszmary. Przeliczyłam się myśląc, że starczy mi jeszcze sił na pomoc Kindze. Moja siostra wyobrażała ją sobie zresztą zupełnie inaczej, miałam też dosyć towarzystwa Danki. Miasto wysysało ze mnie witalność, w lustrze przeszłości odbiły się dni, których wolałabym nie pamiętać. Musiałam jak najszybciej wrócić w góry. Dopiero teraz doceniłam ich dobroczynny wpływ.

Ciocia Genia i Danuta nakłaniały mnie do pozostania. Żadna nie dostrzegła,

co dzieje się ze mną, liczyła się tylko wyznaczona mi rola. Kiedy ciocia delikatnie wymuszała na mnie dozór nad Kingą, dla koleżanki miałam być tu chyba kimś w rodzaju domorosłego terapeuty. Instrumentalne traktowanie drażniło mnie. Dusiałam się, brakowało mi przestrzeni i cichego kąta, w którym mogłabym się zaszyć; tęskniłam za domem na polanie.

Przejrzałam wreszcie bloga Danuty. Nie wiedziałam, czy się śmiać, czy płakać. Wypisywała tam podobne bajeczki, jakimi mnie raczyła podczas rozmów telefonicznych. W wersji pisemnej były jednak mocniej przesadzone. Zapytałam ją wprost, dlaczego pisze nieprawdę? Broniła się, zasłaniając kobiecym prawem do zmienności nastrojów. Nie uwierzyłam jej. Przypuszczałam raczej, że chodziło o wzmocnienie swojego poczucia wartości. Chwaliła się na blogu wspaniałym życiem, a ja odnosiłam wrażenie, że cieszy ją ludzka zazdrość, i dobrze się czuje w gronie podobnych do niej mitomanek. To było żalosne. Mogłam mieć tylko nadzieję, że Danką opamięta się, nim całkowicie pochłonie ją bagno życiowych pozorów.

W przeddzień wyjazdu po raz ostatni wybrałam się do Kingi. Kiedy oznajmiłam jej, że jestem gotowa jej pomóc, lecz nie tak, jak myśli, zdrwiła:

– Zabierzesz mnie za granicę, do swojego życia? A może jakaś jednorazowa jałmużna? Dziewczyno, wypchaj się! Nie jest ze mną jeszcze tak źle, a wszystkiego, czego chcę od ciebie, to trochę czasu! I nie za darmo!

– Chętnie ci go poświęcę, ale nie dla takiego celu – tłumaczyłam łagodnie. – Uważam, że powinnaś zamknąć tamten rozdział i zacząć od nowa. Napisać kolejną książkę... dla swoich fanów, a nie po to, by kogoś nią zniszczyć! Wypoczniesz, na pewno ci się uda. Talent tak szybko nie wygasa...

– Kpisz sobie?!

Drażniło ją moje opanowanie, wciąż mnie prowokowała. Nie wiedziałam, jak mam ją uspokoić, w każdym razie, ustępstwo z mojej strony nie wchodziło w rachubę.

– Twoja mama martwi się o ciebie – ucięłam drażliwy dla niej temat. – A propos, czemu mi nie powiedziałaś, że ona jest w mieście?

Nie umiała wyjaśnić, przypuszczałam, iż było to zamierzone. Dowiedziawszy się, że rozmawiałam z Genią, zaczęła na nią narzekać.

– Kinga, o co ci chodzi? – przerwałam jej. – Że ona musi wracać? Nie może siedzieć tu w nieskończoność, przecież ma tam pracę...

– Pracę! – Wykrzywiła się. – Nie zauważyłaś jeszcze, że moja mama zawsze spada na cztery łapy? Założę się, że tego profesorka owinęła sobie wokół palca, zresztą, jak kiedyś tatę. Nie zdziwię się, gdy nagle usłyszymy, że wychodzi za mąż!

– Nawet gdyby, to co z tego? – zaoponowałam. – Ma prawo. Jest wdową, on wdowcem, nic nie stoi na przeszkodzie.

– Pewnie, że ma prawo! Tylko niech mi nie gada o matczynej miłości!

Pamiętasz jeszcze jej dewizę, że każdy jest kowalem swojego losu? Nic się w tym względzie nie zmieniła, ale ty oczywiście byłaś i jesteś ślepa!

– Zachowujesz się jak mała, zazdrosna córeczka! – przycięłam jej. – Jesteśmy dorosłe, ona nie musi żyć naszym życiem. Co do mnie, to po prostu cieszę się, że mogłam ją zobaczyć. Porozmawialiśmy sobie serdecznie i szczerze.

– Serdecznie i szczerze?! – Roześmiała mi się w twarz. – Szczerze to najwyżej ja ci coś opowiem! Powiedzmy, że będzie to zaliczką a konto naszej umowy...

– Nie ma i nie będzie żadnej umowy!

– Okej, okej! – Uniosła ręce. – To zabawimy się inaczej. Przypominasz sobie rosyjskie matrioszki? Drewniane lalki...

– Jedna w drugiej i coraz mniejsze?

– Tak. Otóż wyobraź sobie, Karolo, że dzisiaj dam ci jedną matrioszkę. Na dobry początek. Ale jest też mały haczyk. Tylko ja wiem, ile jest następnych!

Powinłam była wtedy pożegnać się z Kingą. Nie istniał żaden powód, aby przedłużać rozmowę. Miałam świadomość, że pozostając, mogę zostać uwikłana w jej pajęczynę, a jednak zdecydowałam się ponieść ryzyko. Bez względu na to, jak chore pomysły rodziły się w umyśle mojej siostry, ona była w posiadaniu czegoś, czego i ja pożądałam. Tak, przed laty mogłam od niej dostać prawdę w prezencie. Dzisiaj miała już swoją cenę.

Patrząc teraz na Kingę, domyśliłam się, iż przygotowuje się do pierwszej rundy. Przsunęła się bliżej i trzymała oparcia krzesła z taką siłą, że aż zbieleły jej kostki na dłoniach. Nachylając się ku mnie, zaczęła hardo:

– Byłam bękartem. Zostałam nim w głowach ludzi nawet wtedy, kiedy ojciec ożenił się z moją matką i mnie adoptował. Ty, córeczka z prawego łóża, biedna dziecina, której umarła mamusia, budziłaś współczucie. Wszyscy byli dla ciebie tacy mili i dobrzy! Ja natomiast urodziłam się z grzechu, a ojciec tylko z łaski dał mi swoje nazwisko. I też odpowiednio do tego mnie traktowano.

– Nic takiego nie pamiętam...

– Nie przerywaj mi! Naturalnie, że nie pamiętasz, bo cóż cię mogły obchodzić docinki pod moim adresem i obgadywanie za plecami! Nawet gdybyś coś usłyszała, i tak nie stanęłabyś w mojej obronie! Jak myślisz, dlaczego nigdy mnie nie lubiano?!

– Przesadzasz! W naszych czasach nie wytyka się nikomu, że jest nieślubnym dzieckiem!

– Nie? Cała nasza ulica wiedziała, wszyscy znajomi rodziców! Co za cyrk! Zresztą, ty nigdy nie miałaś o niczym pojęcia, bo zawsze bujałaś w obłokach. Podobno twoja mama też taka była. Moja za to doskonale wiedziała, o co w życiu chodzi i nie pozwoliła zrobić z siebie ofiary! Mówiłaś, że pogadałyście sobie szczerze, tak? A wyznała ci wreszcie, jak to wtedy było z nią i naszym ojcem?

Powiedziała ci, dlaczego się pobrali?

– Miałaby tłumaczyć się przede mną? Zresztą, cóż w tym dziwnego, że wdowiec żeni się z niezamężną szwagierką? Moim zdaniem, postąpili rozsądnie, potwierdziły to późniejsze lata. Byli przecież zgodnym małżeństwem...

– Jasne, byli zgodni – potwierdziła z przekąsem. – I to nawet jeszcze za czasów pierwszego małżeństwa ojca!

– Co? Co ty insynuujesz?!

Przygryzła wargi i uważnie mnie obserwowała. To był właśnie moment, w którym zdecydowała się zmienić jednym zdaniem całą moją przeszłość.

– Karola, oto twoja pierwsza matroszka! – Wzięła głęboki oddech, by następne zdanie wypowiedzieć bardzo powoli, dobitnie. – Twój ojciec jest również moim prawdziwym ojcem! Kapujesz wreszcie?

Kiedy zrozumiałam sens jej słów, zapiekło mnie w sercu i w oczach. Kinga odczekała chwilę, nie ukrywając satysfakcji. Oczywiście, mogłam jej nie uwierzyć. Często kłamała, ponadto była pisarką, więc cóż to dla niej za problem na szybko stworzyć intrygę? Jakimś szóstym zmysłem przeczuwałam jednak, iż tym razem mówi prawdę. Niedobrą prawdę.

Ujawniły się nowe części układanki z przeszłości. Było jeszcze za wcześnie, by podjąć się próby dopasowania elementów do reszty obrazu, ale miałam pierwsze przeczucie, gdzie będzie ich miejsce.

– Oboje oszukiwali! – kontynuowała Kinga, nie doczekawszy się mojej odpowiedzi. – Ludzie nie wybaczyliby im, gdyby przyznali się do romansu! Nie była to tylko pospolita zdrada, bo na dodatek dwoje dzieci w tak krótkim odstępie czasu! Nieźle sobie używał nasz kochany ojczulek, to z jedną siostrą, to z drugą...

– Dosyć! – Czułam, jak płoną mi policzki. – Nie wyrażaj się o nim w ten sposób!

– Przykro mi, Karola, ale muszę zburzyć ci mit o twoim świętym tatusiu, bo mój ojciec, pomimo że jest tą samą osobą, był normalnym, jurnym facetem. Nie wiem, którą z nich kochał, może obydwie, a może żadnej? Faktem jest, że najpierw ożenił się z twoją mamą, a niedługo później zdradzał ją z moją.

– Co ty wygadujesz? Skąd wiesz o tym wszystkim?! Może to tylko jakieś ploty?

– Skąd wiem? Koniecznie chciałam się dowiedzieć, kto jest moim ojcem. Gdy pytałam mamę, nabierała wody w usta. Albo mówiła, że mam tatę i jego nazwisko, więc powinnam być szczęśliwa. No to kiedyś dobrałam się do szuflady mamy, tej w komodzie, w której trzymała różne dokumenty. Znalazłam tam wreszcie swój akt urodzenia. Niestety, w rubryce o ojcu było, że jest nieznany. Wybuchła potem afera, bo zepsułam nożem zamek, przypominasz sobie? Byłyśmy wtedy w ósmej klasie.

– Jak miałabym nie pamiętać, skoro przysięgałaś z płaczem, że to nie ty i

padło na mnie...

– Tak? No, może. Nieważne. Jakoś tak niedługo potem odwiedziłam babcię Mirę.

– Babcię Mirę?! – Zdumiałam się, że obydwie niezależnie od siebie szukałyśmy u niej odpowiedzi.

– Myślałam, że od niej dowiem się czegoś. Znosiłam jej słodycze, udawałam stęsknioną wnuczkę. Na początku babsko było nieprzejednane, ale któregoś dnia wreszcie zmiękła. Dowiedziałam się wtedy, o co poróżniła się z moją mamą. Poszło właśnie o tatę. Babcia wyniuchała jakoś, że ona zadaje się ze swoim szwagrem. Oczywiście, kazała jej z tym skończyć, ale mama ani myślała. No i potem obydwie siostry zaszły z nim w ciążę. Niezły numer, no nie?

– Urodziłaś się trzy miesiące po mnie... – wymówiłam bezwiednie.

– Właśnie. Kiedy u mojej mamy pojawił się brzuch, to babcia Mira wyrzuciła ją z domu. To dlatego pierwsze lata życia spędziłyśmy na jakiejś kwaterze za miastem.

Stara bała się ludzkiego gadania. Niby potem chciała nas przyjąć, ale mama była uparta. Myślę zresztą, że chodziło jej bardziej o ojca, bo mogli dalej romansować, przychodził tam do niej. W mieszkaniu babci Miry by to nie przeszło. A potem zmarła twoja mama i dalej już wiesz.

– A co, jeśli babcia kłamała? – Podjęłam ostatnią próbę obrony dobrego imienia ojca.

– Tak twierdziła mama, gdy któregoś dnia wykrzyczałam jej to wszystko. Dała mi nawet w twarz! Nie wzięła tylko jednej rzeczy pod uwagę. Że zapytam tatę. A on mi wszystko potwierdził...

– Przyznał się?! – Nie dowierzałam.

– Tak. Rozplakał się jak dziecko! Mój własny ojciec mnie adoptował, co za farsa! – Zaśmiała się sztucznie. – Przez tyle lat grał przyzwoitego gościa, który wziął sobie pannę z cudzym bachorem. Cóż z tego, że dał mi nazwisko? W gruncie rzeczy, nadal mnie się wypierał.

– Kiedy z nim rozmawiałaś? I dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Jak na pierwszy raz, to i tak za dużo ci zdradziłam! – Zerknęła na mnie z cwany uśmieszkiem. – Ale nie martw się, następna matryoszka już czeka. Dostaniesz ją, gdy zabierzemy się do pracy nad książką!

Nie uwierzyła mi, że wyjeżdżam z miasta, pożegnała mnie słowami, iż zgłoszę się do niej szybciej, niż myślę. Co gorsza, obawiałam się, że Kinga może mieć rację, gdyż zasiane ziarna mają to do siebie, że zaczynają kiełkować. Na razie byłam jednak zbyt wstrząśnięta, by pragnąć więcej informacji.

Akurat tego popołudnia obiecałam spotkać się z ciocią Genią. Na domiar złego, czekała na mnie w mieszkaniu Kingi, nie miałam wyjścia. Nazajutrz planowałam opuścić miasto, a nie mogłam wyjechać bez pożegnania.

Rozczarowała ją moja decyzja. Zapewne, gdybym pozostała, złagodziłoby to jej rozstanie z córką. „To twoja siostra!”, podkreśliła dwukrotnie, a ja po raz pierwszy odbierałam te słowa inaczej. Kinga z siostry ciotecznej stała się moją siostrą przyrodnią. Musiałam do tego przywyknąć.

Rozmowa z cicią nie toczyła się już tak gładko, jak podczas poprzedniego spotkania. Moje nieśmiałe pytania, niedopowiedzenia, a pomiędzy niezręczna cisza i uciekanie wzrokiem w bok. Jednego dowiedziałam się z całą pewnością. Kinga nie skłamała mówiąc, że nie byłam jedyną córką swojego taty. Nieudolnym usprawiedliwianiem się cicia zburzyła ostatnie z moich wątpliwości.

Nie wyszłam z mieszkania tylko ze względu na pamięć o tych wszystkich dobrych latach, które spędziłam pod jej opieką. W pewnym momencie rozpląkałyśmy się nawet, lecz choć łzy były szczere, nie koily. Jako jedyna w rodzinie trzymana z dala od prawdy czułam się oszukana. Starłam się oddalać myśli o ojcu, ponieważ on zawiódł mnie najbardziej. Czy wymusił na Kinge obietnicę, aby nie wyjawiała mi sekretu? Całkiem prawdopodobne. A może ona go szantażowała? Zaczęłam kojarzyć pewne fakty, stopniowy dystans ojca do mnie, który później tłumaczyłam jego chorobą.

Poczerwieniałe oczy cici Geni spoglądały na mnie z niemą prośbą o wybaczenie. Nie potrafiłam zapewnić, że wszystko jest w porządku – nic nie było w porządku. W głowie miałam chaos. Przyrzekłam jej, że od czasu do czasu dowiem się, co u Kingi. Telefonicznie, gdyż na więcej nie czułam się na siłach. Obiecałyśmy sobie, że pozostaniemy w kontakcie. Chcąc nie chcąc, wyjawiałam, że zostanę w Polsce może nawet do wiosny. Podałam nazwę uzdrowiska, zarazem prosząc o zachowanie tego tylko dla siebie.

– Jeśli nie będę się zgłaszać, zostaw mi wiadomość. Oddzwonię, kiedy tylko wrócę w zasięg pola. – Wołałam to wyjaśnić.

Ciocia Genia nie dopytywała się o więcej, co z jednej strony ucieszyło mnie, z drugiej ubodło. Kinga pozostała dla niej dzieckiem bez względu na wiek, jej opiekuńczość w stosunku do mnie dawno znikła. Siła biologii, skwitowałam w duchu, starając się nie pokazać po sobie zawodu.

Kiedy zaczęłam zbierać się do wyjścia, ciocia wręczyła mi jakiś pakunek.

– Nudziło mi się trochę, więc robiłam tu porządki. Znalazłam te rzeczy... Nie wiem, skąd się tutaj wzięły, ale na pewno należą do ciebie.

– Moje rzeczy?! To chyba jakaś pomyłka.

– Na pewno twoje, Karolo. Nie miej jej tego za złe. Twoja siostra jest bardzo chora...

Niewielka paczka w dotyku przypominała książki. Opakowana szarym papierem sklejonym taśmą, jakby przygotowana do wysyłki pocztą, brakowało jedynie nadawcy i adresata. Nie było czasu na dopytywanie się o jej zawartość, gdyż pod dom podjechała taksówka.

Uścisnęłyśmy się z cicią, w oczach znowu pojawiły się łzy. Opuszczałam cicię Genię ze smutkiem, lecz zarazem cieszyło mnie, iż udało nam się porozmawiać bez gniewu. Pomimo wszystko...

W domu Danki wahałam się, czy otworzyć paczkę. Była solidnie zapakowana, a z samego rana czekała mnie podróż. Zwyciężyła ciekawość. Usiadłam na brzegu łóżka i rozerwałam papier. Nie dowierzałam swoim zmysłom, a jednak dotykałam i przyglądałam się rzeczom, które nie miały prawa leżeć przede mną. Mało tego, nie nosiły najmniejszego śladu zniszczenia, pozostał nawet ich zapach. Byłam wstrząśnięta. Czyż kiedyś nie powiedziano mi, że nic nie ocalało?!

Najpierw wyznanie Kingi, potem rozmowa z cicią, a teraz jeszcze i to. Czulałam się, jakbym kroczyła przez życie w niewłaściwych okularach, nie zdając sobie nawet sprawy, jak względna jest moja rzeczywistość! Co było w niej prawdą, a co nie?

Przyjechałam do Polski nastawiona sceptycznie, bez wiary w sens retrospekcji. Teraz po raz pierwszy dotarło do mnie, że będzie konieczna. Nie zastanawiałam się jeszcze, w jaki sposób mam się do tego zabrać i czy chodzi tylko o migrenę. Natomiast jedno wiedziałam na pewno. Powroty w przeszłość bolały.

Polana promieniowała delikatną poświatą odbijającą się od pierwszej warstwy śniegu, a nad nią zwiślały ciężkie chmury, obiecując więcej bieli. W powietrzu czuło się zapowiedź przemiany i była w tym jakaś mistyka. Idealną ciszę przerywały jedynie gwizdy wiatru, nawet ptaki się pochowały. W zasięgu mojego wzroku nie było żywej duszy, a jednak odnosiłam wrażenie, że jestem obserwowana. Nie czulałam lęku. Ten kawałek natury tylko niekiedy należał do człowieka, przez większość czasu władaly tutaj inne stworzenia. Nauczyłam się już żyć z nimi w symbiozie, chociaż rzadko się ujawniały. Domyślałam się ich obecności w poruszeniu traw lub z pojedynczych trzasków na skraju lasu. Miałam szacunek do wszystkich mieszkańców polany, kimkolwiek byli.

Rodzinne miasto opuściłam z samego rana, teraz zapadał już zmierzch. Podróż przeszła mi w smętnym nastroju, ale ledwo zobaczyłam góry, poczułam się lepiej.

Dom witał mnie z dala jak stary przyjaciel. Otwierając drzwi wejściowe, poczułam znajomy zapach. Zmysły już na zawsze przyswoiły go sobie, łącząc z tym miejscem. I wywołał dobre skojarzenia.

Ledwo uczyniłam parę kroków w głąb holu, podbiegł do mnie kotek. Łasił się, owijał wokół moich nóg, zaś jego mruczenie wyrażało i radość, i pretensję.

– A ty tutaj skąd?! – Zdebiałam.

Przed wyjazdem zaniósłam go do Garbarków. Gospodyni zgodziła się nim zaopiekować, zlecając obowiązek Zuzi. Planowałam odebrać go nazajutrz, tymczasem kot powitał mnie w domu.

Ale to nie jedyna niespodzianka. W zlewie kuchennym na umycie czekały

brudne naczynia. Kominek został wygaszony, lecz w domu nie było zimno, jakby ktoś go systematycznie ogrzewał. Armin wrócił? Zeszłam piętro niżej. Zapukałam do mieszkania na dole, a nie doczekawszy się odpowiedzi, nacisnęłam klamkę. Drzwi się otworzyły, zaś pomieszczenia za nimi zastałam w takim stanie, w jakim widziałam je ostatnio. Hm... a więc jednak nie Armin. Może Garbarek od czasu do czasu pojawiał się tutaj? Rozczarowaniu towarzyszyło westchnienie ulgi.

Wracając do domu na polanie, nastawiłam się na samotność. Wytłumaczyłam sobie nawet, że więcej będzie z tego korzyści. Może było to rodzajem samoobrony, a może naprawdę nie chciałam widzieć Armina. Wypierałam go z myśli i wcale nie tylko dlatego, że musiałam skupić się na innych rzeczach. Stał się dla mnie symbolem kolejnej porażki na linii moich relacji międzyludzkich. Przypominanie go sobie graniczyłoby z masochizmem.

W kociej eskorcie poszłam piętro wyżej, do swojego pokoju. Rozebrałam się wreszcie, wyrzuciłam zawartość plecaka na fotel i dopiero wtedy poczułam, jak bardzo jestem zmęczona. Chciałam się odświeżyć, jednak wchodząc do łazienki, stanęłam jak wryta. Na półeczce panoszyły się cudze kosmetyki, ręcznik kąpielowy na wieszaku także nie należał do mnie. Czyżby znowu jakiś niespodziewany gość, ktoś ze znajomych brata Reginy?! Wróciłam na korytarz i nacisnęłam klamkę w drzwiach drugiego pokoju na piętrze. Były zamknięte na klucz. Dziwne. Przynajmniej jednak ten ktoś podgrzał wodę w bojlerze i mogłam się wykąpać. Wylegiwałam się jeszcze w wannie, mówiąc sobie, że co ma być, to będzie, kiedy usłyszałam kroki na schodach. Wpadłam w panikę, lecz przypomniałam sobie, że zaryglowałam drzwi.

Tymczasem ten ktoś otworzył kluczem drzwi drugiego pokoju, a minutę później za ścianą rozległa się muzyka. Relaks miałam już z głowy, wyjęłam korek z wanny i opłukałam się prysznicem. Nie starałam się zachowywać cicho, toteż nie zdumiało mnie, że najpierw zamilkło radio za ścianą, a potem ktoś zapukał do łazienki.

– Karola, to ty?

Armin. Mimowolnie uśmiechnęłam się, zanim percepcja połączyła go z okolicznościami, w jakich widzieliśmy się ostatnio. Z tonu jego głosu trudno było się zorientować, w jakim dzisiaj jest humorze.

– Chwileczkę! – krzyknęłam, otulając się płaszczem kąpielowym.

Czułam przedziwne podekscytowanie, może wskutek niepewności, co znaczy powrót Armina. Przez chwilę wyrównywałam oddech, zanim odemknęłam zasuwkę. Armin stał na korytarzu oparty o ścianę. Moje próby wydedukowania czegoś z jego miny nie przyniosły skutku. Zrobiłam krok do przodu i kryjąc skrępowanie, rzuciłam:

– Cześć! Przeniosłeś się znowu na górę?

Chciałam go wyminąć, ale zatrzymał mnie, dotykając mojego ramienia.

– Przepraszam cię, Karolo! – powiedział. – Zachowałem się wtedy jak głupiec.

Zaskoczył mnie swoją skruchą. Paradoksalnie, akurat teraz powrócił żal, taki sam czułam po tamtym incydencie.

– To przeze mnie stąd wyjechałaś, tak?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Ale ułatwiłeś mi podjęcie decyzji.

– Najważniejsze, że wróciłaś! Bałem się, że wypłoszyłem cię stąd na dobre.

– Zostawiłam przecież swoje rzeczy.

– I to mnie uspokoiło. Na trochę – dodał. – Potem zrobiło się ciemno, a ty nie wracałaś. Wystraszyłem się wtedy, że może pobłądziłaś gdzieś w górach! Dopiero, gdy zaszedłem do Garbarków...

– Chodziłeś tam po nocy?! – spytałam z niedowierzaniem.

– No, tak. I ciesz się, że na to wpadłem, bo właściwie już zamierzałam zgłosić twoje zaginięcie! Swoją drogą, czemu ja nie mam numeru twojej komórki?

– Swojego też mi nie dałeś...

– I to błąd.

Nie wiedzieć kiedy, pomiędzy naszymi nogami pojawił się kotek. Tak długo miauczał, dopraszając się o zainteresowanie, aż nareszcie dopiął swego.

– Ty go tutaj przyniosłeś.

– Tak. Może się zdziwisz, ale brakowało mi towarzystwa. Bez was ten dom nie był już taki jak wcześniej. Tylko czemu twoja pani kazała nam na siebie tak długo czekać?! – powiedział do kota, podnosząc go z podłogi.

Starłam się docenić te próby poprawienia naszych stosunków. Co innego pamiętać, a co innego być pamiętliwym. Armin przeprosił, jak na niego, to bardzo dużo.

– Chyba najwyższa pora cię nazwać, co? – Głaskał kociaka po grzbiecie.

– Znając nasz upór, wybór imienia stanie się kolejnym powodem do zwady – zauważyłam.

– To twój kotek, Karolo, więc ty nadaj mu imię! Poddaję się bez walki. – Armin nareszcie wszedł w smugę światła, w oczach miał łagodność.

– Kot nie jest mój, on tylko na razie zamieszkał tu ze mną. Z nami – poprawiłam się. – Więc i ja się poddam! Wynik nierozstrzygnięty.

– Albo pierwszy remis... – Armin się zaśmiał.

– O! Remis? To może tak?

– Właściwie... czemu nie? – Podniósł kota wysoko w górę. – Byłby nam przypomnieniem, że zawsze warto szukać kompromisu!

Malec, nieświadomy uroczystego momentu, wiercił się niecierpliwie. Armin opuścił go na podłogę, po czym zwrócił się do mnie.

– Nie sądzisz, że należałoby uczcić taką okazję? Czy ma pani jakieś plany na dzisiejszy wieczór? – zapytał szarmancko.

– Absolutnie żadnych! – Uśmiechnęłam się. – Padam na nos, pół dnia spędziłam w podróży...

– Za wcześnie na sen! To jak, spotkamy się przy kominku?

Zgodziłam się. Poszedł zająć się ogniem; pasowało mi to, miałam trochę czasu, by przywyknąć do myśli, że nie jestem w domu sama. Prawdę mówiąc, wciąż byłam w szoku, Armin szukał mnie i martwił się o mnie, co dziwniejsze, mówił o tym otwarciu. A gdybym wówczas pod wpływem emocji spakowała się i na zawsze stąd wyjechała? Najprawdopodobniej nasze drogi nie skrzyżowałyby się nigdy więcej. Siła słów, tych dobrych i tych złych, była stokroć mocniejsza, niż uprzytamniałam to sobie na co dzień.

Mimo wszystko nie powinnam mieć zaufania do Armina. Nie mogłam wykluczyć, że kolejny raz mnie zwiedzie. Pomimo to spędzenie wieczoru przy kominku uznałam za miłe zakończenie dnia. W gruncie rzeczy żałowałam teraz, że w ogóle stąd się ruszyłam.

Kiedy zesłam na dół, w kominku buchał ogień, a na stoliku stała butelka wina i kieliszki. Usiadłam w fotelu, bez zniecierpliwienia oczekując na współlokatora. Zszedł parę minut później, niosąc owiniętego w ręcznik kota.

– Wykąpałem go.

– To przeszedł prawdziwe chrzciny! – Zaśmiałam się.

Kotek czmychnął na dywan i tam zawzięcie lizał futerko, jakby nie dowierzał efektom kąpieli w szamponie. Armin tymczasem napełnił lampki winem.

– Za Remisa! – Podniósł szkło. – Hm... Przy odmianie brzmi jakoś dziwnie, co?

– To może skróćmy do Remi? I nie odmieniamy.

Bez względu na nadane kotu imię wiedziałam, że będzie mi teraz trudniej z nim się rozstać. Remi przypasowało nam obojgu i dokończyliśmy rytuał wzniesieniem tostu. Armin usiadł naprzeciw mnie, zaczęliśmy swobodną pogawędkę, testując zarazem swoją gotowość na dialog. Wreszcie ośmieliłam się zapytać:

– Dlaczego przeniosłeś się z powrotem na górę?

Upił wina, zanim odpowiedział.

– Po pierwsze, bo idzie zima, a na piętrze jednak cieplej niż na dole. A po drugie, źle tam sypiałem, rankami budziłem się bez sił. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, jakby nie było, złamałem nasze ustalenia...

– Nie mam. Te wszystkie nasze zasady i tak są warte śmiechu.

– A przynajmniej większość, bo nie wyobrażam sobie, że rąbiesz drewno na opał...

Oboje nastawieni na zgodę uśmiechaliśmy się do siebie, było przyjemnie. Pomimo to w powietrzu wisało jeszcze jedno pytanie, które musiałam zadać.

– Arminie... dlaczego wtedy wkurzyłeś się na mnie?

Pokiwał głową, jakby oczekiwał, że do tego wróczę. Zanim odpowiedział, dolał nam wina. Podając mi lampkę, spojrział mi prosto w oczy.

– Obiecałaś mi kiedyś z nikim o mnie nie rozmawiać, przypominasz sobie?

– Owszem, przypominam – odparłam, błyskawicznie przelatując w pamięci, czy nie złamałam przyrzeczenia. – Jednak niektórzy w wiosce wiedzieli, że nie mieszkam tu sama. Garbarkowa, Ira...

– Garbarkowie, wiadomo, a Ira... co to za jedna?

– Irena Janowicz. Mieszka naprzeciw sklepiku, pracuje w uzdrowisku w Domu Kultury, kiedyś tam ją poznałam. Zaciekała się, czy przyjechałam tu z mężem. Odpowiedziałam wymijająco, z całą pewnością żadnych szczegółów o tobie. O co właściwie chodzi?

– Już mówię. Ostrzegalem cię kiedyś, że ktoś może o mnie wypytywać. Po okolicy kręciła się obca kobieta, niewysoka, szczupła, jasne włosy. Ciągnęła ludzi za język. Dotarła też do leśniczego i wypytywała go o nasz dom. On udawał, że nie wie, o który jej chodzi i wtedy pokazała mu zdjęcia. Powiedział mi, że obfotografowała dom ze wszystkich stron, ja też na nich byłem.

Na szczęście, słabo rozpoznawalny, gdyż miałem na głowie stary kapelusz, porządkowałem wtedy ogród. Leśniczy powiedział mi jednak, że ona miała też zdjęcia z wnętrza domu. I że na jednym byłaś ty...

– Znam to babsko! – przyznałam się od razu. – Zaszła tu kiedyś, niby zmęczona wędrownką, poprosiła o wodę. Ulitowałam się nad nią i zaprosiłam do środka. Przedstawiła mi się nawet... poczekaj... tak, Łucja Luty. A fotkę zrobiła mi z zaskoczenia! Nie wiedziałam, że w domu popstrykała więcej! Jakoś tak niedługo potem nakryłam ją, gdy z kolei robiła je zza płotu!

– Przypomnij sobie, czy nie mówiłaś jej czegoś na mój temat? To ważne.

– A co niby miałam jej mówić, skoro nic o tobie nie wiem! – Wzruszyłam ramionami.

– Nie dziwiła się, że mieszkasz tu sama? – Zignorował moją uwagę.

– Hm. Jeśli nawet, to nie pokazała tego po sobie. Ale, gdy znowu przylazła, widziała ciebie przy pracy! Powiedziałam jej, że czasem biorę kogoś do pomocy w ogrodzie, ani słowa więcej! Już za pierwszym razem podpadła mi nachalnością! Kim ona właściwie jest? Dlaczego ciebie szuka?

Nachylił się ku mnie i przyglądał mi się uważnie, z powagą.

– Nie mam pewności. Grunt, że zniknęła z okolicy. Na szczęście, chyba niczego nie wyniuchała.

– Czy ty aby przypadkiem nie zbaczasz z tematu?

– Absolutnie. Właśnie z powodu tych zdjęć wtedy się wpieniłem! Byłem pewien, że dałaś się podejść...

Brzmiało logicznie, lecz nie usprawiedliwiało jego napaści na mnie.

– Co w takim razie sprawiło, że zmieniłeś zdanie?

– Głównie czas... Przytłumił moje emocje. – Westchnął. – Ale po kolei. Domyślasz się chyba, że przeniosłem się do leśniczego. Kiedy wieczorem zasiedliśmy przy piwku, wypytałem go o wszystko, tym razem już na spokojnie. Zrozumiałem wtedy, że ta kobieta nie mogła wiedzieć nic pewnego, bo po co zaczepiałaby jeszcze leśnika? Tym samym dotarło do mnie, że ty nic jej nie powiedziałaś, a przynajmniej nic konkretnego. Nazajutrz wróciłem do domu, chciałem ci wszystko wyjaśnić... Wybacz mi ten niepotrzebny wybuch, niekiedy wyłazi ze mnie choleryk!

– Zdążyłam zauważyć! – Nie oszczędzałam go.

– Ale gdy nie mam racji, potrafię przyznać się do winy.

– Piszę ci to na plus. Prawdę mówiąc, wciąż nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi? Z jakiego powodu ta baba interesuje się tobą? – zapytałam bez nadziei, że dowiem się więcej.

Nie myliłam się, Armin zamilkł. Na jego twarzy odbijała się wewnętrzna walka; wahał się, zanim odpowiedział:

– Są sytuacje, w których lepiej jest nie wiedzieć za dużo.

– Hm... – Nie byłam przekonana.

– Rozumiem, że dla ciebie to trudna sytuacja. Sama na tym odludziu z jakimś poszukiwanym, kto wie, może nawet gangsterem...

– A jesteś nim? – Kułam żelazo póki gorące; mojemu pytaniu towarzyszył niewinny uśmiech.

– Czasami nim bywam. – Puścił oko.

– Jak zwykle się wykręcasz!

– Taka już moja natura, że mówię o sobie albo z własnej, nieprzymuszonej woli, albo wcale.

– Przecież nie nalegam. – Wzruszyłam ramionami. – Niekiedy tylko... dosyć trudno trzymać się wyłącznie tego, co tu i teraz, a skrupulatnie omijać przeszłość.

– Możemy pogadać o przyszłości! – Znowu żartował.

– Armin... Wiedząc coś o innej osobie, o jej życiu, łatwiej jest zaufać.

– Niekoniecznie. Bo co, jeżeli nie masz się czym pochwalić, a wręcz przeciwnie? Już na starcie jesteś przegrana, w najlepszym razie – zaszufadkowana.

– Aż tak dużo masz na sumieniu?

– To był przykład czysto teoretyczny. – Zaśmiał się. – Na to, że totalna otwartość nie zawsze popłaca.

– Prędzej czy później prawda i tak wychodzi na jaw – odparowałam.

– Możliwe. Liczę jednak na to „później”. Ale jeżeli chcesz, opowiadaj o sobie! Chętnie cię wysłucham. – Patrzył mi w oczy.

– Źle mnie zrozumiałaś, nie potrzeba mi spowiednika. Myślałam po prostu o szczerzej rozmowie. Takiej bez uważania na to, co wolno mówić, a co absolutnie zakazane.

– Przykro mi. Pewnych tematów na razie wołałbym nie poruszać.
– Masz na myśli temat Armina – stwierdziłam z przekąsem.
– Owszem.
– Pozwól, że jednak o coś zapytam i proszę, odpowiedz mi szczerze... To chodzi o mnie?

– W jakim sensie?
– Tylko mnie nie ufasz, czy nie ufasz nikomu?
– To nie ma z tobą nic wspólnego. Zadowolona?

Wzruszyłam ramionami. Armin zjednywał mnie łagodnym tonem:

– Karolo, już kiedyś ci mówiłem, że trafiłaś na nieciekawy okres w moim życiu. Sam jeszcze nie wiem, jak potoczą się moje sprawy, po co więc ciebie w to wciągać? Wszystko w swoim czasie, nie bądź niecierpliwa.

– Niecierpliwa?! – zachnęłam się. – Chyba żartujesz. Długo o nic nie pytałam...

– I jestem ci wdzięczny, ale nic się nie zmieniło, to nadal dla mnie ważne. Dlatego uznałem, że najlepszym wyjściem będzie samotność. Nie mam łatwego charakteru, krąży o mnie opinia aroganta, sam z sobą niekiedy się męczę. Przypuszczam, że gdybyś znała mnie lepiej, uciekłabyś przede mną gdzie pieprz rośnie...

– Coś w tym jest, skoro związałam stąd, tylko troszeczkę cię znając – zakpiłam.

– Sama widzisz! – Roześmiał się. – Tym razem jednak wróciłaś i co dziwniejsze, brakowało mi tu ciebie. A gdzie właściwie byłaś?

– Odwiedziłam szkolną koleżankę.

– Tak bez szczególnego powodu?

– Niezupełnie. – Westchnęłam. – Nie chcę o tym mówić. Jak sam powiedziałaś, na wszystko musi przyjść odpowiednia pora. Może właśnie szczególnie na słowa.

Czułam się zmęczona. Wiedziałam, że jeśli dłużej zostanę, później godzinami będę przewracać się w pościeli. Podziękowałam więc za wieczór, pożegnałam Armina i wyszłam. O dziwo – z beztroskim uśmiechem na ustach. W mieście musiałam go wymuszać, a tutaj pojawił się naturalnie. Uradowała mnie pozytywna przemiana. Nie miałam jedynie pewności, czy wywołał ją powrót do domu na polanie, czy może... Armin?

Wirujące, białe płatki spadały z nieba to wolniej, to szybciej. Wiatr zabawiał się nimi, kręcił nimi, a gdy już prawie dotykały ziemi, nagle je rozdmuchiwał. Przyglądałam się temu widowisku zza szyb, dziwiąc się zmianom, które powstały nocą. Polanę pokrył jednolity dywan czystej bieli. Złagodniały wszystkie kontury, oprószone drzewa zadziwiała nową szatą, a krzaczki całkowicie schowały się pod śniegiem. Preludium zimy czy już ona sama?

Obudził mnie kot; podniósł się z miejsca w zagięciu moich kolan i wyskoczył z łóżka. Chwilę potem w przedpokoju stałam się świadkiem pieszczotliwego powitania Armina z Remi.

– Dzień dobry! – Współlokator przywitał i mnie. – Odespałaś wczorajsze zmęczenie?

– Nie wiem. – Przeciągnęłam się leniwie. – Może jeszcze trochę pośpię...

– Szkoda dnia, wcześniej robi się ciemno. Spadło sporo śniegu, spodoba ci się!

– Słaba zachęta...

– Zostawiłem ci kawę w ekspresie. – Uśmiechnął się. – Muszę już iść, umówiłem się z leśnikiem. Odśnieżyłem przed domem, ale dróżki na dół prawie nie widać. Zamierzasz dzisiaj wychodzić?

– Tak, do sklepu. Może wstąpię do Garbarkowej, zameldować się, że wróciłam.

– Proponuję drogą do traktu, tak, jak wjeżdża tu gazik. Trochę dalej, za to dużo łatwiej!

– Zobaczę. Mam przecież wysokie kozaki.

– Jak chcesz. Ale nie targaj ze sklepu nic ciężkiego, każ odłożyć. Powiedz sprzedawczyni, że to do domu na polanie, ktoś potem dostarczy. Okej, lecę. Miłego dnia, Karolo!

– Tobie też! – odkrzyknęłam, gdy schodził już po schodach. Nie przywykłam jeszcze do jego uprzejmości.

W domu było ciepło, jakby w kominku paliło się całą noc. Czyżby Armin spał na kanapie? Ogień płonął równomierną czerwienią, dopalały się niedawno dorzucone szczapy. Zanim usiadłam z kubkiem kawy w dłoniach, chciałam włączyć radio, ale zrezygnowałam. Moje ciało było już dobudzone, lecz umysł jeszcze nie, potrzebowałam na to trochę czasu. Poranny spokój stał się dla mnie bezcennym luksusem. Brakowało mi go w domu Danuty. Tutaj mogłam znów delectować się ciszą!

Wolałam nie wybiegać myślą do dni, w których przyjdzie mi pogodzić się na powrót z porannym stresem, chociaż wiedziałam, że nadejdą. Będąc jeszcze w rodzinnym mieście, zadzwoniłam do Reginy, między innymi pytając, co w naszej firmie. Niestety, działo się źle, wyszły na jaw jakieś malwersacje zarządu. Mówiło się o przejęciu jej, a w najlepszym razie o reorganizacji, co zapowiadało zwolnienia. Zmartwiłam się, gdyż nie byłam firmie niezbędna.

– Może powinnam przerwać urlop i wrócić? – spytałam Reginę.

– Nic to nie da – stwierdziła. – Mają zastępstwo, więc narobisz tylko zamieszania. Myśl o swoim zdrowiu, ono jest najważniejsze. Wypoczywaj! A ja tutaj trzymam rękę na pulsie.

Zapobiegliwie rozglądała się za nową pracą, była już nawet umówiona na

rozmowę kwalifikacyjną w jakiejś niedawno powstałej spółce. Przyrzekła zorientować się, czy nie potrzebują tam osób z moim wykształceniem, a jej wrodzona trzeźwość podziałała na mnie uspokajająco. Najczęściej niepotrzebnie zamartwiałam się na zapas, a przecież zawsze jakoś się układało.

Tim nie odezwał się więcej do Reginy. Prawdę mówiąc, gdyby nie wymieniła jego imienia, nie przyszłoby mi do głowy, aby o niego zapytać. Związek z nim zdawał się istnieć bardzo dawno temu, a kraj, w którym przeżyłam tyle lat, stawał się coraz bardziej odległy. Tymczasem miałam przed sobą parę spokojnych miesięcy, więc nie zamierzałam zatruwać się czymś, co musiało nastąpić.

Wpatrując się w ogień, łapałam się na tym, że odtwarzam dialogi z Kingą, z ciotką Genią, a nawet z Danutą. To, co w mieście skleiło się w jedną całość, w atmosferze domu, który odgradzał mnie od świata, powracało fragmentami.

– Żałuję, że dawniej nie byliśmy ze sobą szczerze

– powiedziała ciotka podczas ostatniego spotkania. – Nie umiem mówić o trudnych sprawach. Tak mnie wychowano. Jednak nie jestem tak zimna jak moja matka; twoja babcia Mira nigdy mi nie wybaczyła. Zresztą sama też nie była bez winy. Karolo, dużo rozmyślałam o tym, co się stało i mam sobie niejedno do zarzucenia... Wiem, że po śmierci ojca nie zareagowałam właściwie. Na pewno masz do mnie żal.

– Nie. Nie byłam przecież lepsza – przyznałam. – Obydwie uniosłyśmy się dumą. Kinga histeryzowała, my też powinnyśmy wtedy dać ujście żalowi. Jej wyszło to na dobre, oczyściła się i szybko pozbierała. Nie wiem jak ty, ale ja do dzisiaj mam problem z tamtą tragedią.

– Brakuje ci ojca, tak? – Ciotka patrzyła na mnie ze współczuciem.

– To też. Ale przede wszystkim czuję się winna jego śmierci.

– Co ty mówisz, dziewczyno?! Zdarzył się wypadek, nawet nie było cię wtedy w mieście!

– W tym właśnie rzecz. Stało się tak dlatego, że mnie przy nim nie było. Nie wróciłam na czas. Złamałam obietnicę dla głupiej, krótkotrwałej przyjemności...

– Karolo, zakazuję ci tak myśleć, a co dopiero mówić! Nie masz z tym nic wspólnego! Jeżeli ktoś miał być wtedy przy ojcu, to właśnie ja! Ty i Kinga nie miałyście doświadczenia, żeby nim się zajmować. Byłam już taka zmęczona... To miał być tylko tydzień... Ojciec przekonał mnie do tego wyjazdu. Ale co się stało, to się nie odstanie! Minęły lata, dajmy już temu spokój. Ojcu życia nic nie wróci. A zresztą, on nie chciał żyć... – Westchnęła ciężko.

– Nie wierzę. – Pokręciłam głową.

– Nie było dla niego żadnej nadziei! Każdy kolejny specjalista potwierdzał pierwszą diagnozę. Myślisz, że ojciec nie zdawał sobie sprawy z tego, co go czeka? Chciał znać prawdę. Jeździł do biblioteki przy Akademii Medycznej. Najpierw szukał informacji o skutecznych metodach leczenia. Potem zrozumiał, że takich nie

ma... To choroba nieuleczalna, Karolo. Na dodatek w jego wypadku postępowała szybko, lekarze byli bezradni. Kiedy znalazł się na wózku, całkiem się poddał...

– Na mnie sprawiał inne wrażenie! – zaprotestowałam.

– Bo przy was brał się w garść! A ledwo wracałyście do akademika, znów się załamywał. Ciągłe powtarzał, że nie chce czekać na powolną śmierć. Napatrzył się w szpitalu na ludzi z tą chorobą, poczytał w podręcznikach...

– Ale śmierć w płomieniach była stokroć okrutniejsza!

– Strażacy mówili, że on na pewno wcześniej się zatrzał. Mógł nie przebudzić się wcale! Była noc, brał silne lekarstwa, otumaniały go nawet za dnia! Nie zadręczaj się, Karolo! On też by tego nie chciał.

Przez lata, które minęły od pożaru domu, przerobiłam już wszystkie możliwe scenariusze śmierci ojca, co jeden, to gorszy. Nie mając pewności, jak było naprawdę, moja wyobraźnia podsuwała mi okrutne obrazy. Z każdego spoglądały na mnie oczy ojca, które zmieniała złość na mnie, były zimne jak stal. Zawiodłam go! Ciocia Genia mogła mówić, co chciała, gdyż bez względu na to, czy ojciec miał wolę życia czy nie, nie on zdecydował o takim momencie śmierci. I nie doszłoby do niej, gdybym powróciła wtedy na czas. Tamtej tragicznej nocy ojciec był całkiem sam...

Przy takich wspomnieniach wpatrywanie się w kominek było niepotrzebną torturą. Musiałam wyjść. Naciągnęłam na nogi skórzane kozaczki, włożyłam ciepłą kurtkę, czapkę i rękawice. Remi odprowadził mnie do drzwi, lecz gdy powiało chłodem, zwał do domu.

Wciąż sypało, ale jakby mniej; niebo zaczęło się przejaśniać. Do furki dotarłam bez trudu, z drugiej strony płotu Armin również odśnieżył. Skręciłam na dróżkę prowadzącą w dolinę. Nikt dzisiaj tędy nie szedł, moje ślady były jedynymi na połaci bieli, nie licząc ptasich.

Wiatr dmuchał mi w oczy płatkami śniegu, które osiadały na rzęsach i powoli topniały, spływając niczym łzy. Polana jakby powiększyła się optycznie, przysypana białym puchem. Las zlewał się z niebem albo ono zatracalo się dzisiaj w lesie, bliźniacza jasność nie zezwalała mi tego dociec. Schodziło mi się niełatwo i po pokonaniu krótkiego odcinka wiedziałam, że na dotarcie do wioski będę potrzebować więcej czasu niż zwykle.

Na trakcie minęłam się z pługiem śnieżnym, który wypluwał na bok białą chmurę. Domyśliłam się, że przeciera szlak do schroniska. Śnieg kleił mi się do butów, potykałam się o zakryte przeszkody. Dopiero od miejsca, gdzie zaczynał się asfalt, powierzchnia drogi stała się bardziej przewidywalna. Zdecydowałam, że najpierw zajdę do sklepu, a potem do Garbarków.

W wiosce panował spokój, ludzie siedzieli w domach, jedynie dym z kominów świadczył o toczącym się tu życiu. Potok płynący przy ulicy był dziś zaledwie strużką, resztę pokrywała warstwa przyprószonego lodu. Zgrzana

wędrówką nie czułam zimna. Sprzedawczyni w sklepiku włożyła na biały fartuch ciepłą kamizelę z kożuszką, a na głowę moherowy beret. Moje wejście odciągnęło ją od żeliwnego piecyka.

– Tylem, co odśnieżyła schody i drogę do bramy – tłumaczyła się, błyskając złotym zębem. – Mój pojechał po towar, a sypie dzisiaj, że ho, ho!

– Rzeczywiście, jakby teraz znowu mocniej – przyznałam, rozglądając się po półkach.

– A paniusi dawno tu nie było! Zaniemogła może?

– Nie, nie. Wyjechałam i dopiero wczoraj wróciłam. Ta opiekana ryba... to jaka?

– Halibut. Zważyć? Niech paniusia spokojnie się rozejrzy, żeby nie potrzebowała dwa razy chodzić. Chlebek mamy świeży, ciasto też. Polecam z serem, palce lizać, całkiem jak domowe!

– Wiem, wiem, jadłam je kiedyś. Ale tym razem może tylko pieczywo.

Dałam sobie dzisiaj wyjątkowo dużo czasu na dokonanie sprawunków. Przy takiej pogodzie rozsądnie było pomyśleć także o zrobieniu zapasów. Nazbierało się tego sporo, aż sprzedawczyni się dziwiła. Wzięłam jeszcze skrzynkę wody mineralnej i wyjaśniłam, że to do domu na polanie.

– Teraz nareszcie rozumiem! – Klasnęła w ręce. – Bo już chciałam doradzić paniusi, aby wróciła się po sanki.

– Niezły pomysł, ale nie mam sanek. Część rzeczy wezmę do plecaka, a resztę, to już pani wie, zostawię do odbioru.

– Tak, tak. Że też się nie domyśliłam, że paniusia jest z tego domu za buczyną! No jakże, taki przystojny mężczyzna nie może być przecież sam! Gdy nasz leśniczy podjedzie tu czasem z tym od paniusi, to choć jestem niemłoda, nie mogę się na niego napatrzeć! Aż grzeszne myśli przychodzą do głowy! Pani to także śliczna jak artystka, nie powiem, od razu widać, że ze stolicy. Ale kobietom to niechaj już chłopcy słodzą! – Zachichotała.

– Dziękuję.

– Takiego, jak ten od paniusi, to tutaj się nieczęsto увидzi. Tylko niech mu pani nic nie powie, bo bym się ze wstydu pod ziemię zapadła!

– Nie powiem! – Śmiałam się razem z nią, nie bardzo wiedząc, czy powinnam prostować niektóre informacje.

– I jaki uprzejmy! Zawsze o zdrowie i utarg zapyta! Przejeżdża tu od trzech років, to już trochę jakby nasz. A my na swoich nic nie damy powiedzieć! Przed obcymi też na próżno gęby nie otwieramy. Może mu to paniusia powiedzieć.

– Dobrze – odparłam, choć niezupełnie zrozumiałam, co ma na myśli.

– Na długo tu zostanieie? – dopytywała.

– Chyba tutaj przezimujemy – odpowiedziałam, bez pewności, czy tak będzie.

Kusiło mnie, aby wyciągnąć od sprzedawczynie, co jeszcze wie o Arminie, lecz obawiałam się, że wzbudzę jej nieufność. Pojawiła się zresztą inna klientka, więc upchałam w plecaku, co się dało i wyszłam.

Dużo myślałam o Arminie. Frapowało mnie, czy nawiązanie do stolicy miało pokrycie w faktach czy to tylko domysły kobiety. I jaki był powód, by traktować przyjeźdnego z taką atencją? Tutejsi ludzie wiedzieli o nim coś, o czym ja nie miałam pojęcia? Nagle w mojej głowie pojawił się logiczny wniosek, że przecież musiał tutaj jakoś dojeżdżać. Czemu wcześniej na to nie wpadłam?

Garbarkowa pojechała na targ do uzdrowiska. Jej mąż był na podwórzu. Zabawiłam się w detektywa.

– Panie Garbarek, a gdzie właściwie jest samochód mojego znajomego? No wie pan, tego, który mieszka ze mną?

– A gdzie miałyby być? Tam, gdzie zawsze go trzyma, w stodole mojego brata. O, tam! – Wskazał ręką gospodarstwo po przeciwnej stronie drogi.

Udało się! Wymyśliłam pretekst, że chcę coś przetransportować, a nie mam pewności, czy zmieści się do bagażnika. Kiedy brat Garbarka wprowadził mnie do stodoły, na widok samochodu osłupiałam.

Stał tam czarny, sportowy wóz, wypisz wymaluj, bryka gangstera. Dwudrzwiowe cacko lśniło nowym lakierem i stało pewnie na szerokich oponach, a wielkie, podwójne rury wydechowe sugerowały ogromną moc silnika. Niskie zawieszenie auta z pewnością nie było odpowiednie do jazdy po terenie, a tutaj Armin urwałby je, nie dojeżdżając nawet do lasku. Dopiero po kilku sekundach uzmysłowiłam sobie, po co dokładnie tu przyszłam. Jedno spojrzenie na rejestrację samochodu potwierdziło mi, że sprzedawczynie ze sklepiku miała rację. Przyjechał z Warszawy.

Moje rozpalone policzki ostygły dopiero na mrozie. Kim jest mój współlokator, że stać go na taki wóz?

O sobie mówił oględnie. Nigdy nie podawał żadnych konkretnych nazw, miejsc czy innych danych.

Z drugiej strony, ujawniał cechy, których nie umiałabym połączyć z czarnym charakterem. Miał klasę, inteligentne poczucie humoru i ponadprzeciętną wrażliwość. Można być złym człowiekiem, a zarazem mieć w sobie tyle zachwyty dla piękna przyrody i muzyki?

Tak rozmyślając, dotarłam do domu. Zmagałam się właśnie z otwarciem zamka w drzwiach, gdy otworzyły się i stanął w nich współlokator. Powitał mnie tak cudownie szczerym uśmiechem, że moje wcześniejsze rozterki stopniały szybciej niż śnieg, który naniosłam butami do środka. To był kolejny, osobliwy rys natury Armina – nikt przed nim nie wpływał na mnie tak łatwo. O takich ludziach mówi się, że są charyzmatyczni. Dałabym wiele, by móc przewidzieć tego skutki dla siebie.

Armin mówił o lesie, jakby ten był żywym organizmem, który od wieków towarzyszy ludziom, tak wiele dając od siebie, a w zamian żąda jedynie poszanowania. Nie postrzegałam go dotąd w ten sposób. Lasy były dla mnie oczywistością, są i już. Żeby cieszyć nasze oczy, dostarczać płodów i tlenu, być miejscem dla spacerowiczów. Armin nie tylko czerpał z ich bogactwa, ale i troszczył się o lasy.

Z powodu śniegu wrócił do domu wcześniej i zaczął nawet pitrasić obiad. Dokończyliśmy go wspólnymi siłami, a po zjedzeniu usiedliśmy przy kominku. Jak nigdy, zaczął opowiadać, co robi poza domem – przede wszystkim pomaga leśnikowi. Doglądali odległych zakątków rejonu nadleśnictwa, należących jednocześnie do parku krajobrazowego. Sprawdzali przed zimą miejsca dokarmiania zwierzyny, określali kondycję drzewostanu, znakując te pod wyręb. Jesienne wichury rokrocznie przynosiły straty, ale Armin zżymał się na ludzką bezmyślność szkodzącą naturze w coraz bardziej wyrafinowany sposób. Zajmował go problem równowagi ekologicznej, również pod kątem naszych spadkobierców. Należał do ludzi, którzy gdy interesują się czymś, robią to z pasją.

Słuchając wycia wiatru za oknem, lepiej rozumiałam jego słowa. Żyjąc w dużym mieście, inaczej odbierało się żywioły, traktowało się je jako złośliwość nieproszonego gościa-natury, który dla kaprysu utrudnił dojazd do pracy czy wyjście z domu. Przeczekuje się ich ataki, licząc na to, że odpowiednie służby poradzą sobie ze skutkami najścia. W miejscu, w którym obecnie przebywałam, to natura była niepodzielną władczynią, a ja zdana na jej łaskę. W ścianach solidnego domu czułam się bezpiecznie, jednakże każde wyjście na dwór graniczyło z ryzykiem. Dopiero na tym odludziu pojęłam, w jakiej iluzji trwa człowiek, łudząc się, że jest panem świata. Wystarczyłaby przecież jedna większa awaria pozbawiająca miasto prądu, a rządziłyby w nim chaos i bezprawie. Jeżeli z takich czy innych powodów przyszłoby ludzkości powrócić do pierwotnej symbiozy z naturą, to... biada nam.

Armin chciał uciąć sobie drzemkę i poszedł do siebie. Ja przemogłam zmęczenie po sutym obiedzie, zaparząc sobie mocną herbatę. Za oknami wzmógł się wiatr, ale przynajmniej już nie sypało. Przysunęłam fotel jak najbliżej kominka, a kot ułożył się na moich kolanach i zasnął. Żałowałam, że wcześniej nie przyniosłam sobie jakiejś lektury – gdybym teraz wstała, obudziłabym kociaka.

Dopijałam herbatę, wpatrując się w ogień, urzeczona tańcem płomieni i iskier. W tym domu czas tracił na znaczeniu, choć minęło wiele dni, zanim zlikwidowałam w sobie nawyk pośpiechu. Od lat w rytmie wymierzonym pracą i planami po niej zapomniałam już, jak to jest nic nie musieć. Na początku pobytu wymyślałam sobie stałe punkty dnia, które stawały się namiastką dawnych obowiązków. Bałam się, że dopadnie mnie nuda i wyrabiałam w sobie nowe nawyki. Codziennie, czy było to konieczne czy nie, schodziłam do wioski, a mniej

więcej co trzeci dzień zajeżdżałam do uzdrowiska.

W domu prawie zawsze towarzyszyło mi radio, ponieważ odkryłam też drugie, które wstawiłam u siebie na górze. W zależności od pory dnia słuchałam stacji z inną muzyką; do południa była klasyczna, później godziłam się już na mieszankę żywszej, by około zmierzchu poszukać spokojnego, nocnego jazzu. Tym razem nie włączyłam radia, zezwalając żywiołowi na popis jego brzmienia. Narastający niepokój za oknami kontrastował z atmosferą wnętrza domu, z jego przytulnym, drewnianym wystrojem, trzaskami ognia w kominku, pomrukiwaniem kota. Nie miałam żadnych planów na resztę dnia, a mimo to nie obchodziło mnie, że może go zmarnuję. Osiągnęłam wreszcie bez wyrzutów sumienia, że to czy tamto powinnam, etap wyciszenia się.

Teraz powoli stapałam się z otoczeniem, popadając w leniwe trwanie oraz jakby w czarną dziurę czasu, lecz na pewno nie w senność. Nadal bowiem zachowałam poczucie realnego miejsca, a zarazem odbierałam swoje istnienie przez pryzmat nieznanymi mi dotąd wymiarów. Przymknęłam powieki i nieoczekiwanie zobaczyłam siebie w barwnym kalejdoskopie minionych lat. W szaleńczym, lecz świetnie rejestrowanym przeze mnie tempie przelatywały moje liczne, bezsensowne wysiłki, które doprowadziły mnie donikąd. Zamiast iść do przodu, kręciłam się w kółko, nie łapałam wiatru w skrzydła, nie liczyły się moje marzenia. Pracowałam ponad siły, lecz czas zbierania płodów jakoś nie nadchodził. A jeśli nawet pojawiały się owoce, to były zmarniałe i kwaśne. Zrozumiałam, że w jakimś momencie pogubiłam się na swoim szlaku, ale machinalnie szłam dalej i dalej. Teraz nareszcie przystanąłam...

Wróciłam nagle do rzeczywistości. Byłam zszokowana. Samym przeżyciem, a również jego przekazem.

Nagle odniosłam wrażenie, że ktoś mi się przygląda. Rozejrzałam się wokół – nikogo. Jednakże wyraźnie odbierałam ciepłą życzliwość otaczającą mnie niemal fizycznie, a jednocześnie delikatną jak mgła. Uśmiechnęłam się do siebie. To chyba mój umysł oszczędzał mnie w ten sposób, łagodząc przykrą prawdę imaginacjami.

Armin spał prawie dwie godziny, i nie tylko on. Remi ziewał synchronicznie do ziewania swojego pana. Dorzucając dREW do ognia, Armin powiedział:

– Napiłbym się kawy. A ty?

– Nie, dziękuję.

– Prawdę mówiąc, liczyłem, że ją zrobisz. Jakoś nie umiem się dobudzić...

Zawsze tak mam, gdy się zdrzemnę.

– Nie ma sprawy. Może być neska?

Gdy podnosiłam się z miejsca, zakręciło mi się w głowie i opadłam na fotel.

– Co ci jest, Karola? Chyba nie łapie cię jakieś choróbko?

Nie czułam się najlepiej. Z przedpołudniowej przechadzki wróciłam

wymarznięta, nie doceniłam siły przenikającego do kości wiatru.

– To tylko lekki zawrót głowy. Kawa ma być ze śmietanką?

– Tak, proszę, nie żałuj jej!

Zerknęłam za okno. Zaczynało już zmierzchać, dni stawały się coraz krótsze. Wzięłam się do zamykania żaluzji, gdyż nie umiałam pozbyć się poczucia, że przy zapalonych lampach ktoś mógłby obserwować pokój z zewnątrz. Dlatego nie lubiłam parterowych mieszkań.

Armin włączył radio, wszystkie stacje uciekały, więc wrócił do gazety. Niekiedy rozregulowywało się bez wyraźnej przyczyny, a potem samoistnie się naprawiało. Pił kawę w milczeniu, a jeżeli czuł się choć po części tak, jak ja każdego poranka, lepiej mu nie przeszkadzać. Spojrzał na mnie uważnie.

– Naprawdę jesteś zmieniona – powiedział. – Zmierz sobie temperaturę...

– Być może zbliża się migrena. – Westchnęłam. – Położę się wcześniej, ale na razie posiedzę tu jeszcze. Jeśli pozwolisz...

Musiałam wyglądać nieszczęśliwie, skoro się zaniepokoił.

– Nie umiałbym codziennie tak leniuchować. – Odłożył gazetę.

– Przecież o tej porze i tak byłbyś z powrotem – zauważyłam.

– Owszem, ale wtedy wracam zmęczony. Dzisiaj mało co zrobiłem i niepotrzebnie się przespałem. Trudno będzie potem zasnąć. A tobie nie dłuży się tutaj?

– Nie. Przez pierwsze dni było trochę trudno zwolnić, ale potem przywykłam. Ty chyba należysz do osób, które nawet wypoczywać muszą aktywnie.

– Zgadza się.

– Ja odkryłam w sobie potrzebę całkowitego spokoju, chociaż moje dawne urlopy wyglądały zupełnie inaczej.

– Zmęczona życiem w dużym mieście?

– Poniekąd tak. Skąd wiesz, gdzie żyję?!

Nigdy mu o tym nie mówiłam. Nawet nadmieniając o swojej pracy, unikałam podania jakichkolwiek nazw, a mój adres w paszporcie nie widniał.

– Wiem niejedno.

– I oczywiście, nie zdradzisz mi źródła swojej wiedzy. Może jednak i ja coś wiem o tobie...

– Na przykład co?

– Na przykład, że mieszkasz w Warszawie! – Nie mogłam się powstrzymać.

Twarz Armina ściągnęła się, nic jednak nie powiedział, tylko wstał z miejsca. Podszedł do kominka i zajął się dorzucaniem do ognia. Kiedy odwrócił się do mnie, zapytał beznamiętnie:

– Co jeszcze wiesz?

– Nic, tylko tyle, ile powiedziała sprzedawczyni w sklepie. Że jesteś z

Warszawy i przyjeżdżasz tu od paru lat. Kiedy zostawiłam zakupy do odbioru, zorientowała się, że jesteśmy tu razem. Nie wypytywałam jej...

– Dobrze, dajmy temu spokój! – rzucił z irytacją, marszcząc brwi.

– Ja niczego nie ukrywam. – Poczułam się urażona. – Wypadałoby zrewanżować się tym samym...

– Konwenanse mnie nie interesują.

– To może z dobrej woli?

– Dobra wola nie popłaca. Ten dzień też jest tego przykładem.

– A ja mam wrażenie, że cierpisz na jakąś paranoję! Przeginasz, Armin. Idę do siebie.

Nie zatrzymał mnie, może i lepiej, gdyż ledwo trzymałam nerwy na wodzy. Cóż on sobie wyobrażał?! Znów poczułam się jak piesek, któremu to wydłuża się smycz, to ją skraca. Armin w każdym moim pytaniu doszukiwał się podstępów, sobie samemu dając nieograniczoną wolność zarówno w szperaniu w moich rzeczach, jak i zdobywaniu informacji o mnie inną drogą. Kto mu powiedział, gdzie mieszkam? Mógł dowiedzieć się tego od Garbarków. Nie miało to dla mnie żadnego znaczenia, nie trzymałam tego w sekrecie. Armin przeciwnie, jego reakcja miała w sobie coś chorobliwego, był przewrażliwiony. Z tego powodu raz po raz dochodziło między nami do spięć, lecz nie czułam się winna; tym bardziej było mi przykro.

Nie będę o nim myśleć, postanowiłam. W swoim pokoju zajęłam się paczką z notesami; nareszcie się ośmieliłam. Rozerwałam papier i rozłożyłam je na biurku.

W niewytłumaczalny dla mnie sposób pamiętniki znalezione u Kingi wzbudzały we mnie krańcowe odczucia. Przez lata prowadziłam zapiski w grubych notesach, zmieniał się jedynie odcień skórzanej okładki. Kartki wypełnione drobnym, pochyłym pismem. Zajrzałam do jednego z zeszytów i szybko go zamknęłam.

Powinno cieszyć się z odzyskanej własności? Czułam podekscytowanie Alladyna, który stał przed wyborem wypuszczenia dzina na wolność, zdając sobie sprawę z ryzyka. Karty moich pamiętników mogły przynieść ducha pokoju lub też obudzić demony. Po długim wahaniu odważyłam się sięgnąć po najnowszy notes. Otworzył się na miejscu ostatniego wpisu. Pomiędzy zapisaną kartką a kolejną, dziewiczo białą, włożona była jakaś fotografia. Odwróciłam ją i zadrzałam.

Trzymałam w dłoni znaną mi dobrze fotografię mamy, tę z mosiężnej ramki. Byłam wstrząśnięta, myślałam, że te wszystkie rzeczy są bezpowrotnie stracone. Kiedy dla istnienia ramki miałam jeszcze wyjaśnienie, że swego czasu mogło takich powstać dużo, to nie pojmowałam, skąd wzięły się moje pamiętniki, a w jednym z nich to właśnie zdjęcie?

Nic przecież nie pozostało... Czyż nie przekonałam się o tym naocznie? Nawet karkołomna wspinaczka na piętro spalonego domu nie przyniosła mi żadnej nagrody w postaci choćby jednej pamiątki. Czego nie zniszczył ogień, zalała woda

z gaśnic strażaków, a to, co zastałam w swoim pokoju, było już tylko jednolitą, brudną mazią czegoś stopionego i sklejonego w nierozpoznawalne kształty.

To wtedy swoją przeszłość zamknęłam na cztery spusty, a klucz wyrzuciłam w niepamięć. Odtąd zaczęłam żyć inaczej, bez sentymentów. Teraz klucz sam się napatoczył, bez mojej woli i na pewno nie na moje życzenie.

Wyrachowana szczerosc Kingi, moje dawne zapiski oraz zdjęcie mamy, która melancholijnie patrzyła gdzieś w dal – to wszystko mną wstrząsnęło do głębi. Schowałam notesy do szuflady biurka. Zdjęcie włożyłam do mosiężnej ramki i postawiłam ją na nocnym stoliku, jak kiedyś, w moim dawnym pokoju.

Zanim zgasiałam światło, długo wpatrywałam się w twarz mamy. Odeszła tak młodo, a jednak zdążyła doznać najważniejszych i krańcowych stanów życia, od miłości poprzez macierzyństwo do zdrady. Zrozumiałam chyba, dlaczego łagodny uśmiech mamy nie zdołał ukryć smutku w jej oczach. A potem pomyślałam, że ze swoich fotografii patrzę w taki sam sposób.

– Karola! – usłyszałam wołanie.

Odwróciwszy się, zobaczyłam Irenę przy bramie jej domu. Stała tam tylko w samym sweterku i machała do mnie ręką.

– Zauważyłam cię z okna! Gdzie ty byłeś tyle czasu? Od Zuzi dowiedziałam się, że wyjechałaś. Brr, ale ziąb! Chodźmy do mnie, zapraszam na herbatę!

Chętnie skorzystałam, też zmarzłam i bolały mnie nogi; wracałam pieszo z uzdrowiska. Za radą pani z apteki nareszcie zapisałam się do lekarza. Przyjął mnie prywatnie, a wystawiając rachunek, poinformował, że w ramach porozumień unijnych będę mogła starać się w swojej ubezpieczalni o zwrot kosztów. Tymczasem cieszyła mnie wystawiona recepta na mój sprawdzony środek przeciw migrenie, mniejsza, że bez zniżki. Ostatnie opakowanie prawie w całości zużyłam podczas pobytu w rodzinnym mieście. W góry wróciłam z jedną tabletką w zapasie. Zużyłam ją nazajutrz po dniu, w którym organizm dawał znaki o zbliżaniu się migreny. Świadomość braku lekarstwa gnębiła mnie, więc gdy tylko wypogodziło się trochę, ruszyłam do uzdrowiska. Mając lek, czułam się bezpieczniej.

– Nie jesteś dzisiaj w Domu Kultury? – zapytałam Irenę.

– Wybieram się tam po południu. Tylko na godzinkę. Za to jutro pracuję od rana do wieczora, muszę zastąpić chorą bibliotekarkę, a potem jeszcze mam zajęcia. Jeśli Ola się nie rozchoruje! Wyobraź sobie, że wracając dzisiaj ze szkoły, wpadła na pomysł, aby sprawdzić grubość lodu w strumieniu! No i smarkuła wpadła do wody! Dotarła do domu, trzęsąc się jak osika! Wykąpałam ją, dałam aspirynę i teraz śpi.

Ostatnie słowa mówiła już ciszej, ponieważ przechodziłyśmy obok pokoju małej. Irena wprowadziła mnie do stołowego, nakazała się rozgościć, a sama zniknęła w kuchni. Wróciła z herbatą i talerzem pełnym czekoladowych wafelków.

– Proszę, częstuj się! – Usadowiła się w fotelu. – I mów, gdzie byłaś!

Powiedziałam jej o pobycie w rodzinnym mieście, uciekając się do ogólników. Nadmieniłam o spotkaniach z ciocią i koleżanką, jak też o tym, że odwiedziłam siostrę w szpitalu. Trochę więcej odsłoniłam się, mówiąc o pobycie na cmentarzu w Dniu Wszystkich Świętych i związanych z tym odczuciach. Irena wydawała się mnie rozumieć, a przynajmniej nie negowała moich racji. Pierwszego listopada wraz ze swoim mężem wybrała się do Wrocławia, po drodze na długo utknęli w korku, więc podróż okrutnie ich wymęczyła. Zarzekała się, że następnego roku odwiedzi groby w innym czasie, ale po chwili ze śmiechem przyznała, iż znając siebie, znów dopasuje się do tradycji.

Potem mówiła o przygotowaniach jej grupki teatralnej do nowego spektaklu. Oryginalna wydała mi się koncepcja rekwizytów i strojów młodych aktorów. Zamierzała wszystko utrzymać w czerni i bieli, dopiero przy ostatniej scenie wprowadzić do spektaklu kolor.

– Ustaliłaś już obsadę?

– Waham się jeszcze co do odtwórczyni głównej roli. Myślałam o mojej Oli, jednak obawiam się, że zostanę posądzona o wyróżnianie własnego dziecka. Chyba zdecyduję się na inną dziewczynkę, trochę od niej starszą. Gorsza sprawa, że Ola będzie zawiedziona, świetnie opanowała rolę, uczyła się jej razem z Zuzią.

– Oj, to rzeczywiście problem! Ale jeśli twoja córka jest lepsza...

– Wiesz, boję się, że mogę być nieobiektywna. Może przyszyłabyś na próbę i przyjrzała się obu dziewczynkom? Chciałabym usłyszeć twoje zdanie.

Miałam wątpliwości, czy powinnam się zgodzić, lecz Ira zapewniała mnie, że byłabym jej pomocna. Zresztą nie tylko do mnie zwróciła się w tej sprawie.

– Zaproszę jeszcze naszego plastyka i wysłucham waszych opinii. Co trzy głowy, to nie jedna! – Zaśmiała się. – Przy okazji oprowadzę cię po Domu Kultury, poznam z ludźmi. To jak, może w poniedziałek?

Przebudziła się Ola. Kąpiel w lodowatym potoku naprawdę jej zaszkodziła, miała temperaturę. Zaczęłam zbierać się do wyjścia.

W domu Garbarków, do których wstąpiłam już tylko po to, żeby przywitać się z gospodynią, zastałam podobną scenkę. Ola nie wyznała swojej mamie całej prawdy, ponieważ lód zapadł się nie tylko pod nią, ale też pod Zuzią. Na szczęście, nie było tam głęboko, jednakże nim dziewczynki dotarły do domu, zdążyły porządnie zmarznąć. Nad piecem kuchennym suszyły się ubrania małej, a obok stały przemoczone buty. Garbarkowa natarła plecy wnuczki jakąś własnoręcznie zrobioną maścią, do tego poila ją ziołową herbatą i wmuszała zjedzenie chleba z czosnkiem. Stawiała na stare, sprawdzone metody. Nie omieszkała przy tym utyskiwać na Zuzię i wypominać jej głupotę, ale więcej w tym było troski niż nagany. Zatrzymała mnie na obiad, lecz wycofałam się, nim swoim zwyczajem zagadałaby mnie i nie byłoby już odwrotu.

Byłam już na odchodnym, kiedy jej mąż zapowiedział, że zmieni się pogoda. Strzykało go w kościach, co ponoć było tego sprawdzonym zwiastunem. Na razie słońce świeciło, gdzieś tam roztopiając śnieg. Kiedy doszłam na polanę, biel wręcz poraziła mnie w oczy.

Śnieg lepił się do kozaków, dodając im wagi. Wreszcie jednak dotarłam do domu.

Po obiedzie poszłam do suszarni, aby zabrać wyprane rzeczy. Zapaliłam światło i gdy schodziłam na dół, nagle stało się coś, co możliwe jest jedynie w snach; to przypominało ekspresjonistyczne obrazy lub zdjęcia. Przestrzeń przede mną wydłużyła się w nieskończoność, a skrzywiona perspektywa powielala ściany niczym w odbiciach wielu lusterek. Nie byłam w stanie objąć umysłem tego, co dzieje się wokół mnie, nie miałam nawet pewności, czy idę, czy stoję w miejscu.

Miałam wrażenie, że znalazłam się w innym wymiarze, zniknęło poczucie powiązania z własnym ciałem bądź z czymkolwiek fizycznym. Istniałam jakby gdzieś poza tym wszystkim, a niebawem uzmysłowiłam sobie coś jeszcze. Ktoś czy coś było blisko mnie i chyba szukało ze mną kontaktu. Nie czułam strachu, rejestrowałam płynność nowej rzeczywistości z beznamiętnością widza, a nie uczestnika. To nie było moje królestwo, zostałam tu zaproszona na chwilę, która mogła być ułamkiem sekundy albo wiecznością. Nie umiałabym tego opisać, a istniejące określenia mgliście oddawały prawdę towarzyszących temu odczuć.

Osłupienie. Ciekawość. Komunikacja. Akceptacja. Żal?

Tak samo nagle, jak znalazłam się w innym świecie, wróciłam do mojego. Zakręciło mi się w głowie i by nie utracić równowagi, przytrzymałam się ściany. Była lodowato zimna, lekko wilgotna, zetknięcie z murem ocuciło mnie. Miałam halucynacje? Pytałam siebie, wiedząc, że nie poznam odpowiedzi. Wyrównałam oddech, ale serce nie chciało się uspokoić, tak, jakby zamrożone na chwilę teraz musiało nadążyć za czasem. Jednocześnie pojawił się lęk, lecz nie zawierał w sobie poczucia zagrożenia, bardziej respekt wobec nieznanego. Bezbronna, a zarazem bezpieczna, przedziwna mieszanka, zważywszy siłę przeżytych doznań, a jednak tak oceniłabym swoje położenie. Mimo wszystko nie zdecydowałam się zejść całkiem na dół, byłam oszołomiona. Wróciwszy na górę, usiadłam przed kominkiem. Fenomen, który spotkałam w domu na polanie, nie mieścił się w żadnych znanych mi kategoriach i nie dało się go już zbyć. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam czegoś choćby w małym stopniu zbliżonego do tego. To był moment, w którym uznałam, że coś w tym domu daje mi znaki.

Z odrętwienia wyrwał mnie odgłos gazika pod domem. Armin wrócił, przywitał się ze mną z daleka i poszedł na wyższe piętro. Kiedy pół godziny później zszedł do kuchni, odniosłam wrażenie, że jest zdenerwowany. Trzaskał drzwiczkami szafek, garnkami, raz po raz coś mu spadało. Pomyślałam nagle, iż może jest wszystko w porządku, tylko ja z przewrażliwieniem odbieram dźwięki.

Coś działo się ze mną, lecz wołałam nic o tym nie mówić, nie będąc pewna reakcji Armina. Może uznałby mnie za wariatkę albo posądził, iż wymyśliłam pretekst, żeby go sobą zaciekawić.

Nasza ostatnia rozmowa znów stworzyła między nami dystans. W sytuacjach konfliktowych nie potrafiliśmy dojść do zgody. Regułą było, iż potrzebowałam czasu na zawarcie rozejmu i przemyślenie racji drugiej strony.

W tym momencie nie miałam na to ani sił, ani chęci, wybrałam więc milczenie.

Zarazem miałam niejasne przeczucie, że mimo wszystko mój sekret z kimś dzielę. Pojawiła się absurdalna myśl, że to coś, czego obecności doświadczyłam na schodach, pozostało ze mną w kontakcie. Przywołałam się do porządku i znów zapanował we mnie spokój.

W nocy obudziłam się z symptomami migreny. Cała przyroda jej sprzyjała, płacząc deszczem ze śniegiem, wiatr zawodził. Sosny za oknami trzeszczały, targane siłą podmuchów. Prognozy Garbarka okazały się trafne.

Zbudził mnie jakiś miarowy stukot za oknem. O ścianę domu uderzała nadmiernie wyrosła gałąź, co już wcześniej się zdarzało, ale nigdy z taką siłą. Wichura nie zelżała, wyła jak jakiś wygłodzony potwór. Ja też byłam głodna, po zażytych w nocy tabletkach przespałam pół dnia. Walczyłam z sobą, ponieważ kołdra otulała mnie ciepłutko, a w pokoju było zimno. Podniosłam się jednak z łóżka, a gdy szłam do łazienki, uderzyła mnie intensywna woń gotowanej kapusty i czegoś pieczonego. Usłyszałam także dolatującą z dołu muzykę i jeszcze coś, co wprowadziło mnie w osłupienie. Odgłosy rozmowy! Doprowadziłam się trochę do ładu i postanowiłam sprawdzić, co się dzieje.

– O, to jest właśnie Karola, o której ci mówiłem! – Nie zeszedłam jeszcze ze schodów, kiedy Armin mnie zauważył.

– Dzień dobry! – rzuciłam z daleka.

– Pozwól proszę, że przedstawię ci mojego znajomego.

Przy drzwiach wejściowych dostrzegłam człowieka słusznej postury i twarzy ledwo widocznej spod czapki z daszkiem. Po chwili rozpoznałam w nim leśniczego, którego dotąd widywałam tylko we wnętrzu gazika. Mężczyźni zbierali się do drogi.

– Wichura przewróciła drzewo na trasie do schroniska – mówił Armin. – Spróbujemy coś z tym zrobić, aby dało się tamtędy przejechać. Mogłabyś w tym czasie dopatrzeć mięsa? Wyłączyłem, ale z jakąś godzinką musiałoby jeszcze się popiec. Będzie do bigosu. Można by usmażyć jeszcze parę cebul.

– Dobrze, skoro znowu wspólnie gotujemy... – Nie zdołałam powstrzymać się od sarkazmu.

– Możemy pokłócić się później? – odparował. – Muszę już iść.

Leśniczy pożegnał się ze mną skinieniem głowy. Chyba był jeszcze

większym mrukiem niż Armin, może dlatego znosili swoje towarzystwo. Wiatr wścibskim podmuchem usiłował wtargnąć do środka przez otwarte drzwi. Wkrótce mężczyźni zniknęli w ciemnościach i tylko snop światła z latarek wskazywał, w którą stronę poszli. Nie chciałam być w ich skórze. Domykając za nimi drzwi, zauważyłam, że deszcz przestał padać, lecz zrobiło się bardzo zimno i smagały lodowate uderzenia wichury.

W kuchni panował trudny do ogarnięcia bałagan. Nie tylko zlewozmywak został zablokowany brudnymi naczyniami, na blacie kuchennym zalegały resztki produktów, torebki przypraw, noże i deski do krojenia.

Usmażyć cebulę, dobre sobie, najpierw trzeba mieć gdzie i na czym! W ogromnym garncu odkryłam pokrojoną już wcześniej, ugotowaną kapustę. W drugim, już mniejszym, spory kawał pieczeni, a patelnię wypełniały kawałki podsmażonej kielbasy. Musiałam przyznać, że Armin zabrał się do tego fachowo. Przygotowanie stanowiska pracy zabrało mi chyba kwadrans, dopiero potem wzięłam się do krojenia, nie tylko zresztą cebuli, ponieważ w torbie znalazłam marchew i grzyby. Nastawiłam do gotowania kiszoną kapustę, a że z woreczka, w którym była, wyciekała woda, musiałam jeszcze zmyć lepiącą się podłogę. Kroiłam, smażyłam, odcedzałam i kolejne produkty łądowały w garncu. Mięso nie było jeszcze miękkie, więc na razie zrobiłam sobie przerwę. Zaparzyłam herbatę i usiadłam z nią przy kominku.

Od wyjścia mężczyźni minęło półtorej godziny. A co, jeśli Armin wymyślił historię z powalonym drzewem i z premedytacją zostawił mi dokończenie bigosu? Może po prostu poszli gdzieś z leśniczym na piwo? Odsunęłam tę myśl; przy takiej pogodzie gra nie byłaby warta świeczki. Po co mu tyle jedzenia? Spodziewał się gości? Ustalone kiedyś zasady to wykluczały, lecz nie mogłam być niczego pewna, Armin potrafił zaskakiwać.

Całe lata nie robiłam bigosu. Tim wybrzydzał na polską kuchnię, że jest za ciężka i za tłusta, w rezultacie dostosowałam się do jego zwyczajów kulinarnych. Nie pretendowałam do miana dobrej kucharki, jednakże bigos robiłam niegorszy.

Wzmocniona herbatą wróciłam do kuchni. Mięso było gotowe, przed krojeniem odstawiłam je do ostygnięcia i zajęłam się przecierem pomidorowym. Niestety, nie znalazłam nigdzie otwieracza do konserw, choć przejrzałam wszystkie szuflady. Bez koncentratu nie wyobrażałam sobie bigosu, mimo że ten tradycyjny, myśliwski, go nie zawierał. W desperacji sięgnęłam po nóż i jakoś udało mi się odchylić wieczko pierwszej puszki. Z drugą poszło łatwiej, więc do trzeciej podeszłam rutynowo. I to był błąd.

Wystarczył moment nieostrożności i ostrze noża zjechało po blaszanej powierzchni prosto do wnętrza dłoni, którą przytrzymałam puszkę. Najpierw nie poczułam zupełnie nic i pomyślałam nawet, że miałam dużo szczęścia. Sekundę później przeszył mnie ostry ból, a potem obficie pociekła krew. Zrobiło mi się

słabo. Instynktownie podstawiłam dłoń pod strumień bieżącej wody, jej chłód uśmierzał ból. Kiedy jednak odsunęłam rękę spod kranu, znów leciała krew. Rana musiała być głęboka, jej linia biegła niebezpiecznie blisko przegubu, nie miałam pewności, czy nóż nie naruszył jakiejś żyły. Wzbierała we mnie panika.

Wtem usłyszałam odgłos otwieranych drzwi i kroki w holu. Armin wyglądał na zziębniętego i zmęczonego, ale chyba był też głodny, ponieważ od razu zajrzał do kuchni. Jednym spojrzeniem ocenił sytuację. Błyskawicznie znalazł się przy mnie, sięgnął do szuflady po czystą ściereczkę, po czym mocno owinął nią dłoń.

– Nie było mnie dość długo, ale to jeszcze nie powód, żeby podcinać sobie żyły! – Bladość mojej twarzy uświadomiła mu chyba, że nie jest mi do żartów, gdyż dodał: – Chodź, usiądziesz!

Podprowadził mnie do kanapy; kolana miałam miękkie, a czoło pokrył zimny pot. Położyłam się, Armin podłożył poduchę pod moje stopy, przykrył mnie kocem, a potem przyniósł szklankę wody. Kiedy piłam, usiadł obok, przyglądając mi się z troską.

– Lepiej już? – spytał po chwili.

Kiwnęłam głową z wymuszonym uśmiechem. Spróbowałam nawet się podnieść, lecz mnie powstrzymał.

– Trzeba zdezynfekować ranę – powiedział i szybko wyszedł z pokoju.

Było mi wstyd. Tak głupio się skaleczyć!

Wrócił Armin, w ręku trzymał apteczkę, pozwoliłam mu zająć się raną. Krew już nie ciekła z niej, ale dopiero teraz uwidoczniła się jej rozległość. Czym prędzej odwróciłam wzrok.

– Poruszaj palcami!

Spróbowałam, przeszył mnie ból aż do łokcia, ale palce reagowały jak należy.

– Teraz trochę zapieczę... – Nalał jakiegoś płynu z ciemnej buteleczki na gazę.

Zdecydowanym ruchem przyłożył ją do dłoni. Zasyczałam, zapiekło jak cholera! Zanim zrobił mi porządny opatrunek, przyjrzał się ranie i orzekł, że jest wprawdzie głęboka, lecz miałam szczęście, ponieważ nie uszkodziłam sobie żyły ani nerwów.

– Do wesela się zagoi! – Puścił do mnie oko.

– Czyli na świętego nigdy – odpowiedziałam też głupim powiedzonkiem.

– Skąd ta pewność?

– Cyganka mi to wywróżyła. I jeszcze, że będę bogata!

– Jeżeli wróżyła ci z tej dłoni, to nic z tego.

– Dlaczego?

– Bo poleciałaś nożem po wszystkich liniach, tym samym przekreśliłaś całą swoją przyszłość.

– Myślisz...? – Zrobiłam podkówkę.
– Nie martw się! Rana się zasklepi, a nowy rysunek linii wyznaczy ci inny los! – Zabrzmiało to tajemniczo.
– Tylko, gdzie ja tu znajdę wróżkę?
– Nie ma takiej potrzeby. Przypomnij sobie, co tamta ci wywróżyła i weź sobie wszystko odwrotnie.
– Też mi coś! Znaczy, że będzie weselisko, ale za to dożywotnie klepanie biedy?!

– Bogaty czy biedak, to bez znaczenia, grunt, że będzie miał na ciebie oko! Ten numer z otwieraniem puszek nożem najlepiej dowodzi, że sama sobie zagrażasz!

Wiedziałałam, że prędzej czy później wróci do przyczyny wypadku, lecz uczynił to w taki sposób, że musiałam się roześmiać. Sprawnie obandażował moją dłoń i zapytał:

– Bardzo boli?
– Nie, już mniej. Dziękuję ci, super mnie opatrzyłeś, nie zrobiłabym tego lepiej! A skąd apteczka?

Wyjaśnił, że zawsze była w łazience na dole i skarcił mnie – takie rzeczy powinno się wiedzieć. Odpowiedziałam, że gdyby otwieracz do puszek był na swoim miejscu, posiadanie takiej wiedzy byłoby zbędne.

– Jak widzę, twój temperament ma się na powrót dobrze. Jeżeli czujesz się na siłach, to chodź, pokażę ci coś! – Pomógł mi wstać.

Otwieracz wisiał na haku obok innych utensyliów kuchennych, czyli miałam go przed oczami. Przy okazji tej prezentacji zauważyłam, że Armin zdążył już uprzątnąć ślady mojego wypadku. Teraz planował zająć się dokończeniem bigosu, mnie natomiast grzecznie wyprosił z kuchni:

– Już dużo zrobiłaś, wracaj na kanapę!
– Dlaczego gotujesz taki wielki gar bigosu? – Wybrałam jednak miejsce z drugiej strony lady. – Wystarczy dla pułku wojska!
– Lepiej zrobić więcej! Nie zapominaj, Karolo, gdzie jesteśmy. Wichura może jeszcze przybrać na sile, takie są prognozy.

– Śniegi chyba topnieją.
– Tak, na razie jest powyżej zera, ale temperatura może raptownie się zmienić, w górach to normalne. Mogą być zawieje, nawet dwa, trzy dni nie da się ruszyć z domu. Bigos jest w tym względzie optymalny, nawet czym starszy, tym lepiej smakuje. Z głodu nie zginiemy, a co zostanie, można zamrozić.

– Racja!
– Robiłem sukcesywnie zapasy, wszystko na dole, w komórce. Tutaj zima wygląda inaczej niż w mieście. Trzeba przygotować się na różne ewentualności.

– Zdziwiasz mnie.

– Jak wiesz, nie jestem tu po raz pierwszy – przypomniał.

– Zawsze samotnie? – Wykorzystywałam jego otwartość.

Zbył mnie uśmiechem, przypominając mi o granicach swojej prywatności. Gdy zapytałam o zatarasowaną drogę do schroniska, był już bardziej rozmowny. Krojąc na małe kawałki mięso do bigosu, jednocześnie opowiadał, co robili z leśniczym.

– Przesunęliśmy choinę, ale trzeba będzie tam wrócić z końmi lub traktorem i tym się zająć, kiedy minie wichura. Kto wie, czy nie wyrządzi w okolicy jeszcze większych szkód? Były ostrzeżenia w telewizji i radiu, mówiono nawet o sile porównywalnej z orkanem.

– Naprawdę?! – Wystraszyłam się.

– Nie obawiaj się, dom jest solidny, ma nowy dach i mocne okiennice. Pozamykałam wszystkie, gdy spałaś.

Nie zapytałam, skąd wiedział, że spałam. Domyśliłam się, że zajrzał do mojego pokoju; nie miał zahamowań. Pomimo świadomości wad Armina patrzyłam na niego życzliwym okiem. Jego zaradność i okazana troskliwość dodała mu punktów, a wobec tego, co działo się na zewnątrz, doceniałam, że nie jestem w domu sama. Postanowiłam trzymać język na wodzy i nie prowokować Armina. Na razie zachowywaliśmy się znów tak, jakby dawne niesnaski poszły w zapomnienie. Wypadek z nożem dodał mi pokory, a w moim współlokatorze wzbudził chyba instynkt opiekuńczy.

– Skosztuj! – Nabrał na widelec bigosu i podsunął mi pod usta.

Machinalnie je otworzyłam. Bigos był smaczny, lecz czegoś w nim brakowało. Armin patrzył na mnie.

– Dodałeś wina?

– Tak.

– Może jeszcze trochę koncentratu pomidorowego?

– Dobra. I suszonych ziół?

– Śmiało! Lubię, gdy jest ich dużo, jakiś czas byłam z Grekiem... – Urwałam w pół zdania, zorientowawszy się, że znowu wyjawiam coś ze swojej przeszłości bez szansy na rewanż ze strony Armina.

Zerknął na mnie, ale z twarzy nie dało się wyczytać, czy ta informacja zrobiła na nim jakiegokolwiek wrażenie. Zresztą, czemu by miała zrobić?

Skosztowałam bigosu, tym razem już sama. Naprawdę mi smakował, doprawiony akurat pod moje podniebienie bądź też mieliśmy z Arminem zbliżone wyczucie smaku.

– Pycha! I nic już nie dodawaj, bo przedobrzysz. No, no, moje uznanie!

– Dzięki, ale pochwała należy się nam obojgu, to nasze wspólne dzieło. Więc jak, może od razu zjedlibyśmy po porcji? Dokroję chlebka...

Podobno kucharz syci się samymi zapachami, ale my nie poprzestaliśmy na

tym; byliśmy porządnie wygłodniali. Armin nałożył bigos na talerze, ja doniosłam koszyczek z chlebem. Zapaliłam świecznik na stole i przystąpiliśmy wreszcie do degustacji. Zajadaliśmy w milczeniu łapczywie, ale nasyciwszy się trochę, zaczęliśmy rozmawiać. Gdyby nie to, że skaleczona dłoń przypominała o sobie pieczeniem, czułabym się świetnie. Byliśmy dla siebie wyjątkowo mili, jakby świadomość tego, że może przyjdzie nam pobyc z sobą dłużej, wprowadziła między nami niepisane zawieszenie broni. Wieczór dopiero się zaczynał...

Zjedliśmy kolację, dopijaliśmy wolno wino, w milczeniu przysłuchując się muzyce. Wichura tymczasem wyżywała się na okiennicach, które miarowo stuknęły.

Ogień w kominku niekiedy wzbijał się gwałtowniej, wysypując iskry na zewnątrz. Patrzyłam to na obrzydliwą ochronną blachę, którą z czasem zaakceptowałam jako konieczność, to na Armina, który wyglądał na zmęczonego.

– Może przesiądziemy się bliżej ognia? – zaproponowałam.

– Chętnie. Ale przedtem jeszcze przyniosę butelkę.

Nie czekając na moją odpowiedź, poszedł na dół. Uprzątnęłam talerze i włożyłam je do zlewu.

Wychodziłam właśnie z kuchni, kiedy najpierw zamilkło radio, a potem zaczęły migotać żarówki. Trwało to kilkanaście sekund, zanim światło zgasło. Gdyby nie ogień w palenisku i świece na stole, w domu zaległaby ciemność. Zatrzymałam się w pół kroku, mając nadzieję, że lampy zaraz rozbłyszczą, jednakże nic takiego nie nastąpiło.

– Armin? – zawołałam.

– Już idę! – Jego głos dobiegł od schodów.

Ale wyłonił się stamtąd dopiero po paru minutach.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – To chyba nie twoja sprawka?

Oświetlał sobie drogę latarką, jak zorientowałam się wkrótce po chybotliwym snopie światła.

– Nie żartuj sobie! – odparłam trochę za ostro, więc dodałam łagodniej: – Wiesz, gdzie tutaj są korki?

– Niestety, to nie korki. – Postawił butelkę na blacie. – Sprawdziłem już. Oby tylko nie zerwało gdzieś linii napięcia...

Nie dokończył, koncentrując się na otwieraniu butelki. Usiadł w fotelu, a na drugim rozłożył się Remi, spokojnie czyszcząc sobie futerko.

– Radziłbym oszczędzać świece, nie mamy chyba więcej.

– Masz rację, możemy posiedzieć tylko przy ogniu.

Zdmuchnęłam płomień i zajęłam miejsce na kanapie. Armin tymczasem napełnił lampki winem, a podając mi jedną, powiedział:

– Kto by przypuszczał, że dzisiejszy wieczór zrobi się taki romantyczny?

Zerknęłam na niego, nie będąc pewna, czy nie kpi. Jeśli nawet, to półmrok był mu sprzymierzeńcem.

– Doceniam, że chcesz mi ująć obaw, ale naprawdę nie musisz. Jestem, co prawda, mieszcuchem, ale do paniki mi daleko! – Nadrabiałam lekkością tonu.

– Mylnie odczytujesz moje intencje. Nie pierwszy raz!

– Możliwe. Ale nie lubię wielkich słów.

– A takie padły? – Jakby się zdumiał.

– Romantyzm to coś więcej niż tylko wino i zapalony kominek – broniłam się trochę niezręcznie.

– Podaj więc swoją definicję.

– Okej, wycofuję się z tego! Znając nas, za chwilę powiemy słowo za dużo i nastrój zrobi się do bani. – Dla równowagi uraczyłam go słodkim uśmiechem.

– Niech tak będzie! – Wzruszył ramionami i nachylając się z kieliszkiem w moją stronę, wznosił toast: – Twoje zdrowie, Karolo!

– Za najlepszego kucharza w obrębie kilometra! – odwzajemniłam się.

Rozpogodził się. Muszę być czujna, nakazałam sobie. Łatwo go urazić, jest przewrażliwiony. I to mnie rozbawiło; uzmysłowiłam sobie, że reaguję tak samo.

– Z czego się śmiejesz?

– Wyobraź sobie, że z nas! Jesteśmy tu poniekąd skazani na siebie, a wystarczy lada drobnostka i już skaczymy sobie do oczu. To jakiś nonsens, nie uważasz?

– Ludziom ogólnie jakby coraz trudniej wytrzymać ze sobą. – Zamyślił się.

– To prawda, ale dlaczego tak się dzieje?

– Hm... Dużo pracujemy i zdaje się nam, że jesteśmy samowystarczalni, że nikt nie jest nam potrzebny do szczęścia. A świat oferuje całą paletę rozrywek, którymi zabijamy te resztki wolnego czasu, jakie są nam dane.

– Żyjemy szybko, wszystko robimy powierzchownie – zauważyłam.

– Właśnie. Odwykamy od siebie, nie potrafimy ze sobą rozmawiać, robimy się wygodni. Nasza sytuacja, gdy dwoje obcych sobie ludzi zmuszonych jest nagle koegzystować, to potwierdza. Mijamy się w komunikacji. I chyba nawet już niespecjalnie nam zależy, aby cokolwiek w sobie zmienić.

– Coś w tym jest, żadne z nas nie było zachwycone, że będziemy współlokatorami!

– Nic dziwnego, nastawiliśmy się przecież na samotność. Poza tym mamy swoje nawyki, z latami ich przybywa.

– Dobrze nam w naszej zamkniętej kapsule...

– Wszystko inne zobowiązuje do kompromisów. – Westchnął przesadnie.

– Myślę, że najgorsze za nami! – rzuciłam mu na pociechę. – Wiem, że czasami bywałam wredna...

– Brawo! Godna pochwały samokrytyka! – Roześmiał się.

– Zachęcam do rewanzu!

– Kiedy ja jestem bez wad... – brał mnie pod włos.

- Akurat! Mam ci je wyliczyć?
- Uprzedzałem cię, jaki jestem. – Niby przekomarzał się ze mną, lecz jakby spoważniał.
- Owszem, uprzedzałeś. Ale przyznam, że się w tym gubię. Jesteś taki... zmienny.
- Masz na myśli – humorzasty?
- To ty powiedziałaś! – zaznaczyłam z niewinną miną. – Dlatego lepiej będzie, jeśli sam dokonasz autoanalizy! Zobaczymy, czy twoje wnioski pokryją się z moimi?
- O! Widzę, że wzięłaś mnie pod lupę. Od jak dawna służę ci jako obiekt badań?
- To chyba normalne, że wzajemnie się obserwujemy...
- Niby tak, ale...
- Ale?
- Mam wrażenie, że za dużo pracujesz umysłem, a za mało czytasz sercem!
- Nie rozumiem...
- Ciekawe, bo jako kobieta powinnaś dobrze rozumieć różnicę pomiędzy jednym a drugim! – oświadczył prowokująco.
- Insynuujesz, że nie jestem kobieca?
- Daj spokój, Karola! Jesteś atrakcyjną kobietą i doskonale o tym wiesz. Tylko...
- Co?
- Nieważne, dajmy temu spokój!
- Skoro zacząłeś, dokończ!
- Nie spodoba ci się to, co powiem... – uprzedził.
- Zaryzykuję – odpaliłam.
- No, dobrze. Otóż, ja też coś zauważyłem. Że w twoich oczach często nie ma blasku. Jak u kogoś, kto nie ma żadnych marzeń i już niczego nie oczekuje od życia.
- Dziwne spostrzeżenia jak na faceta! – Tym razem ja mu przycięłam, choć z poślizgiem czasowym.
- Może nie jestem typowym facetem.
- A ja może nie jestem typową kobietą.
- Chyba nie. Jesteś taka... zasadnicza. Oceniasz tak, jakby wszystko było czarne lub białe, a twoje opinie są ostateczne i jedynie słuszne. Wkurzam cię... bo masz tak mało danych o mnie i nie umiesz mnie zasufladkować. A lubisz mieć wokół siebie porządek. Chyba nie bardzo się pomyliłem?
- To prawda, w chaosie się gubię. Być może brakuje mi twojej spontaniczności albo to kwestia temperamentu. Twój też ma swoje minusy...
- Oczywiście.

– To naturalne, że każdą nowo poznaną osobę staramy się gdzieś zaszeregować – tłumaczyłam się, urażona jego opinią. – Nie jestem naiwna, by sądzić, że wszyscy ludzie są dobrzy. Świat to dżungla, dla słabych nie ma litości. Muszę się chronić.

– Do jakiej doszłaś konkluzji? Jestem drapieżnikiem czy barankiem? – zażartował.

– Zapomniałeś o wilkach w owczej skórze! – podjęłam jego ton. – Nie wiem, Armin, kim jesteś...

– To miałem na myśli mówiąc, że za mało słuchasz serca. Wiesz, pięknie ujął to Miłosz: „Gdybyśmy lepiej i mądrzej patrzyli, jeszcze kwiat nowy i gwiazdę niejedną w ogrodzie świata byśmy zobaczyli”...

Nie odpowiedziałam. Wobec jego słów moje argumenty wydały mi się płytkie. Odgadł, że zarzuciłam marzenia. Nie robiłam też żadnych planów. Na pewno jednak nie byłam autorytatywna. Dlaczego więc w jego oczach sprawiałam takie wrażenie? Mądrzyłam się? Musiałam mieć ostatnie słowo? Nie zawsze. Często ja wycofywałam się z dyskusji, ustępowałam dla świętego spokoju. A co z wieczorami, kiedy to Armin pozostawiał mnie z poczuciem winy albo co gorsza, dawał mi odczuć, że nie warto ze mną gadać? Zrobiło mi się przykro. Po co w ogóle wyjeżdżałam z tą humorzastością? Dostałam po łapach, dowiadując się, co on myśli o mnie.

Nie miałam pomysłu, jak przywrócić beztroski nastrój, który towarzyszył nam przy kolacji. Ból w skaleczonej dłoni odzywał się pulsowaniem i przypominał, jaka ze mnie fajtłapa. Łudziłam się, iż w słabej poświacie ognia Armin nie zauważy, że posmutniałam. Coś chyba jednak wyczuł, bo odezwał się pojednawczym tonem:

– Wybacz, chyba przesadziłem z tą szczerością. Może już lepiej pomilczmy.

Ku mojemu zdumieniu, podniósł się z fotela i usiadł po mojej prawej stronie.

– Mogę? – zapytał i nie czekając na moją zgodę, otoczył mnie ramieniem.

Stężałam, chyba nawet wstrzymałam oddech. Intuicja podpowiadała mi, że Armin nie mógł zrobić lepiej, lecz moja wola się buntowała. Serce biło mi jak oszalałe i minęła wieczność, nim zaczęłam się rozluźniać. Tak, niekiedy lepiej zamilknąć. Ułomność słów nie dorówna naturalnym odruchom. Zrozumiał to wcześniej ode mnie i niemo wpatrywał się w ogień, cierpliwie pozwalając oswoić mi się z sytuacją. Jego ramię było mocne, lecz obejmował mnie bardzo delikatnie. Powoli się uspokajałam, minął też żal do Armina.

Odważyłam się wreszcie poruszyć i zmieniałam pozycję na wygodniejszą, podciągając nogi pod siebie. Mimowolnie oparłam głowę o jego ramię i poczułam lekki uścisk dłoni na przedramieniu, aprobaty lub nawet sympatii. Stało się coś nieprawdopodobnego, jeszcze parę minut wcześniej nie do pomyślenia. Nie widziałam twarzy Armina, lecz byłam przekonana, że nie doszukałabym się w jej

wyrazie ironii. Milczeliśmy, może bojąc się, że słowami zniszczymy czar tej wyjątkowej chwili. Pierwszej chwili naszej – bez względu na to, czy naszej jako kumpli, przyjaciół czy jako pary. Czułam tę bliskość nie tylko fizycznie, także psychicznie.

Milczenie trwało długo i zaczynało mnie krępować. Chciałam powiedzieć coś zwyczajnego, serdecznego, lecz tylko westchnęłam. Nie uszło to uwadze Armina. Pochylił ku mnie głowę.

– Nie martw się, do jutra przeżyjemy! – zażartował. – Jeśli rano nie będzie prądu, spróbuję się dowiedzieć, jak długo to potrwa.

Zaczęliśmy rozmawiać, najpierw ostrożnie, ważąc słowa, by wreszcie rzucać je swobodnie, jak na początku naszego wieczoru. Armin wiódł prym w dialogu, ale umiał też zgrabnie naprowadzać mnie na mówienie o sobie. Nie kryło się za tym cwaniactwo, raczej robił to nieświadomie, jego pytania wynikały z czystej ciekawości drugim człowiekiem. Kiedy wymknęło mi się zdanie o moim obecnym, niskim poczuciu wartości, nie dał mi spokoju, póki tego nie wyjaśniłam. W ten sposób dowiedział się o Timie. Wyjawiłam gorzką prawdę o moim związku, w tym również swoje błędy, na przykład moją niechęć do zmian. W pewnym momencie zagalopowałam się nawet i zaczęłam usprawiedliwiać Tima. Armin natychmiast to wyłapał.

– Czyżbyś czuła się winna?

– Nie. Mój wyjazd nie był żadną fanaberią, choć Tim tak właśnie uważał. Potrzebowałam tego, aby całkiem się nie rozsypać. Z drugiej strony, gdybym prawdziwie kochała Tima, może poszłabym na jakieś ustępstwa, powalczyłam o nas.

– Żałujesz, że nie wróciłaś do niego?

– Nie.

– To nie pojmuję, dlaczego rozstanie z nim odbiło się na twojej samoocenie...

– Zrozum, on natychmiast znalazł sobie nową kobietę! Wiesz, jak się wtedy poczułam?!

– Zaraz... czy nie mówiłaś, że już przedtem podjęłaś decyzję o zerwaniu z nim? – Nie zapomniał o logicznym ciągu zdarzeń.

– Ale on tego nie wiedział. Niemal z dnia na dzień związał się z kimś innym! Potraktował mnie jak rzecz do wymiany! Dotarło do mnie, jak niewiele dla niego znaczyłam...

– Tym samym potwierdził słuszność twojej decyzji.

– Niby tak.

– Zapomnij o nim. Fakty mówią same za siebie. Facet jest zwykłym egoistą.

– Też to sobie powtarzam, ale i tak czuję się poniżona. A może zasłużyłam sobie na to, że nie jestem warta szacunku?

Podsumował to krótko i dobitnie:

– Jesteś go warta. Każdy może się pomylić, najważniejsze, by umieć z tego wysnuć wnioski na przyszłość.

– Niestety, Tim jest kolejną pomyłką na mojej liście, a to już raczej nie zakrawa na przypadek. Coś jest zemną nie tak...

– Być może szukasz za daleko. To Grek, to jakaś inna nacja. Czas spróbować z rodakiem! – próbował mnie rozweselić.

– Nie po to przyjechałam do Polski, aby komplikować sobie życie na nowo! Mam zresztą wierną towarzyszkę... migrenę. Nie dalej, jak minionej nocy znów mnie nawiedziła...

– Od kiedy miewasz ataki?

Niechętnie mówiłam o swoich dolegliwościach, jednakże zainteresowanie Armina wydało mi się szczere. Czegoś podobnego dawno nie zaznałam, a już na pewno nie ze strony Tima czy mojego lekarza. Owszem, słuchali mnie, lecz bez zaangażowania. Nie miałam nawet o to żalu, przywykłam, że tak być musi. Moje oczekiwania sprowadzały się do konkretnej pomocy – podwiezienia do lekarza, wypisania recepty.

Armin był inny. Dociekał, czy istnieją jakieś alternatywne metody leczenia migreny, pytał, co zażywam i jak można złagodzić ataki. Od lat byłam zdana tylko na siebie, krępowała mnie jego troska. Dostyc uzalania się nad sobą, nakazałam sobie, i nawiązałam do pogody. To jednak nie zgasiło ducha opiekuńczości w Arminie.

Pomimo jego bliskości i popijania wina było mi chłodno, miałam dreszcze.

– Jakoś powoli tu się nagrzewa – zauważyłam.

– Zimno ci? – zdumiał się. – Mnie aż za gorąco.

– Trzęsie mnie... jakby od środka.

– Ręce masz ciepłe. – Dotknął mojej prawej dłoni. – Chyba podniosła ci się temperatura. Zakażenia nie będzie, ale rana jest dość głęboka. Boli?

– Tak, ale za głupotę się płaci, więc nie będę się nad sobą rozczulać. – Próbowałam się uśmiechnąć.

– Może przynieść ci koc?

– Byłabym wdzięczna... – odparłam, nieudolnie skrywając ziewanie.

– Hej, ty już prawie zasypiasz! A co powiedziałybyś, gdybym rozłożył kanapę? Tutaj będzie ci cieplej.

Jakby odgadł moje myśli! Trochę obawiałam się, że gałąź za oknem mojego pokoju przy silnej wichurze nie pozwoli mi zasnąć. Dlatego ociągałam się z pójściem do siebie, chociaż czułam się śpiąca. Miałam wątpliwości, czy mowa o noclegu przy kominku dotyczyła tylko mojej osoby. Rozwiązał je Armin, przyniósł na dół tylko moją pościel i dodatkowy koc. Pomagając mi urządzić legowisko na kanapie, stwierdził:

– Jest chyba dobrze. Pójdę do siebie, żeby ci nie przeszkadzać! Dobranoc!

Natomiast kotek bez zaproszenia ułożył się na kołdrze. I kiedy później swoim zwyczajem rozmyślałam o minionym dniu, towarzyszyło temu mruczenie podrosłego już malucha. Zanim zasnęłam, przyszło mi jeszcze do głowy, czy przypadkiem ja sama nie staję się ofiarą? Dobrowolną ofiarą Armina.

Nie mogłam oderwać się od pamiętnika, czytałam całe przedpołudnie. Postanowiłam robić to systematycznie, zaczynając od pierwszego notesu. Korciło mnie, aby przeskoczyć do czasu, w którym zakończyłam pisanie. Jakimś szóstym zmysłem wyczuwałam, że powinnam przygotować się do tego stopniowo, nie skakać po datach. Potrzebowałam wielu dni, aby pokonać zahamowania przed lekturą dawnych wpisów. Dotyczyły mojego życia, mojej codzienności i własnych przemyśleń, a mimo wszystko czułam się tak, jakbym wtargnęła w czyjąś prywatność. Czyżby tamta Karola stała się dla mnie obcą osobą?

Pierwszy pamiętnik zdawał się to potwierdzać. Z niemałym trudem doszukiwałam się wspólności z chłonną świata, wrażliwą dziewczyną. Zdumiewał jej głód wiedzy, ambicje i zapał. Poruszały jej spostrzeżenia oraz refleksje. Niekiedy szarogęsiła się jakby zjadła wszystkie rozumy, by w następnych notkach kpić z samej siebie. Poznawałam ją, jednak nie umiałam się z nią utożsamić. Przeszłam zadziwiającą metamorfozę. Co gorsza, nie tylko proza egzystencji przydusiła dawne zadatki na poezję. Niejako na własne życzenie stałam się tym, kim byłam. Powoli zaczynało docierać do mnie, co sugerował mi Armin.

Przysunęłam fotel bliżej okien, w przerwach pomiędzy czytaniem pozwalając oczom odpocząć, skupiałam wzrok na zieleni drzew. Nie miała dzisiaj w sobie nic radosnego, toteż i myśli były ciężkie, jak ołowianoszare chmury nad doliną. Raz po raz ciekło z nich deszczem i wciąż silnie wiało. W przeciwieństwie do Armina nie zdecydowałam się wyjść na zewnątrz; z chęcią pozostałam w swoim małym, zamkniętym świecie.

Wróciłam do dni opisanych w pamiętniku. Zdawały się podobne do siebie, szkoła, dom, wyjścia z koleżankami do kina lub do klubu. Wyłapywałam teraz momenty na pozór błahe, a jednak z perspektywy czasu ważne. Był w tym jakby przebłysk świadomości, że pewne chwile należy zakonserwować słowami. Przykład tego odkryłam we fragmencie napisanym nad rzeką:

Promienie muskają ją pieszczotliwie, bezboleśnie przenikając taflę wody, a ona wdzięczy się w powabnych falach niczym wyposzczona kochanka. Przyglądam się tym zalotom słońca z rzeką z dostatecznej odległości, by odbicia wody nie raziły mnie w oczy. Nikt inny jakby na to nie zważa; rowerzyści, rodziniki w komplecie, zakochane pary... pogodna niedziela zwabiła tu dużo ludzi. Dzisiaj nie popędza się czasu, uśmiechnięte twarze, pokrzykiwania maluchów, kosze piknikowe na kwadratach pledowej prywatności. Brzeg rzeki zaludnił się tymi wszystkimi, których na co dzień nigdy tu nie ma, bo uczą się i pracują. Ja mam przywilej bywania tu częściej od innych, lecz korzystam z tego rzadko. Tym razem niby tu jestem, a

zarazem mnie nie ma, i to nie tylko dlatego, że usiadłam w cieniu. Jakże często mam wrażenie, że prawdziwe życie dzieje się obok mnie, a ja w nim nie uczestniczę. Ja tylko obserwuję. Niekiedy zatrzymuję chwile w nieudolnych słowach, które czytane po raz wtóry tylko mnie frustrują. Nie pisać to jednak już całkiem nie istnieć. Dni odpłyną jak patyczek rzucony na rzekę, który za jej zakrętem zniknie na zawsze...

Byłam młoda, niedoświadczona, przeczuwałam jednakże, że ludzkiej pamięci daleko do doskonałości. Nie myliłam się. Gdyby tamte zapiski zaginęły, ten konkretny dzień i związane z nim odczucia poszłyby w zapomnienie. Przypatrywanie się wszystkiemu z boku łatwiej pozwalało mi zrozumieć reguły naszego świata.

Będąc nastolatką, zaczęłam dociekać sensu istnienia. Stawiało mnie to w konflikcie z młodzieńczą łapczywością na życie, toteż nie umiałam być beztroska jak moje rówieśniczki. Różniłam się od nich i wyczuwały to chyba, lecz los brzydkiego kaczątka został mi zaoszczędzony. Byłam lubiana, a dowodów na to miałam niemało. Kinga uzasadniała to litością z powodu śmierci mojej mamy, lecz nigdy nie dostrzegłam, by dla koleżanek fakt ten miał jakieś znaczenie. Skąd więc sympatia do mnie? Kiedy ostatnio zapytałam o to Danutę, pomyślała chwilę, zanim odpowiedziała:

– Byłaś subtelną dziewczyną, którą chciało się chronić. Chronić to, co było w tobie. Nie wiem, może nawet niewinność, twój spokój. A przy tym umiałaś wziąć kogoś w obronę, byłaś wyczulona na krzywdę innych. Przy tobie i my czułyśmy się lepsze. Miałaś na nas dobry wpływ, Karolo, i zdawałyśmy sobie z tego sprawę.

Naprawdę taka byłam? Możliwe, dopóki niewinności nie uznałam za naiwność. Teraz niewiele różniłam się od innych. Nauczyłam się maskować uczucia albo nawet dławić je w zarodku.

Opadły mnie ponure myśli, dopiero kotek, dopraszając się o zabawę, wyrwał mnie z zadumy. Uznałam, że na razie mam dość powrotów w przeszłość.

Armin przed porannym wyjściem zapowiedział, że postara się wrócić wcześniej niż zwykle. Złapałam się na tym, że ta wiadomość mnie ucieszyła. Jeszcze do niedawna jego obecność była mi obojętna. Wichura przewiała z doliny nie tylko objawy zimy w naturze, klimat we wnętrzu naszego domu także się ocieplił. Godziny spędzone ze sobą, nieważne, na ile przymusowo, odrodziły w nas zażyłość, zarzuconą po pierwszym konflikcie. Nie wykraczała poza gesty serdeczności, a jednak Armin stał mi się bliski na nowy sposób. Być może zapoczątkował to kontakt fizyczny, którego wcześniej nie było. Naturalność, z jaką Armin otoczył mnie ramieniem, a powtórzył to następnego wieczoru, sprawiła, że zniknęło moje skrępowanie. Mimo że nie iskrzyło między nami w sensie erotycznym, odbierałam te chwile jako przyjemne.

Również ten dom oddziaływał na mnie inaczej. Już nie czułam się w nim jak gość, a jak domownik. Nie miałam podstaw ku temu i było to taką samą iluzją jak wyobrażenie, że Armin pozostanie tu na dłużej. Górską siedzibą nie należała do nas, a my nie należeliśmy do siebie.

Dom żył, strzelając iskrami z kominka, trzaskiem drewnianych ścian, które reagowały w ten sposób na zmianę temperatury. Jak każda kobieta, byłam ciepłolubna, jednak tutaj ciepło wydawało się inne niż w moich dotychczasowych mieszkaniach. Nie objawiało się jedynie komfortem dla skóry, przenikało jakby do wnętrza, porami, oddechem oraz czymś niewymiernym. I co dziwniejsze, to ciepło istniało nawet wówczas, kiedy kominek dogasał. Być może tak, jak kumulowało swoją energię w drewnie i kamieniach, podobnie gromadziło ją we mnie.

Zorientowałam się, że niechętnie opuszczam to miejsce, a gdy przebywałam poza domem, tęskniłam za nim. Przedwczesna zima ustąpiła miejsca bardzo nieprzyjemnej fazie śloty i wichur. Kto nie musiał, nie poddawał się temu dobrowolnie. Jedynie najbardziej zatwardziali miłośnicy natury, jak Armin, nic sobie nie robili z kapryśnej listopadowej aury. Na szczęście, w ekstremalnych warunkach pogodowych i u niego zwyciężał rozsądek.

Wrócił do domu zgodnie z zapowiedzią. Zanim się spostrzegłam, zabrał się do przygotowania obiadu. Kiedy pojawiałam się w kuchni, był w trakcie obierania ziemniaków, filety rybne czekały na usmażenie, a na blacie leżały warzywa. Domyśliłam się, że do sałatki.

– Pomogę ci – zaoferowałam się, sięgając po pomidory i nóż.

– O, nie! Ty na razie od noża daleko! – Wyjął mi go z dłoni. – Możesz nakryć do stołu, bo zaczynam się gubić w tym wszystkim.

Zauważyłam to, ledwo rzuciłam okiem. Pozmywałam brudne naczynia, by przynajmniej zrobić w zlewie miejsce na następne. Nakryłam do stołu i czekałam na dalsze zadania, ale Armin powiedział:

– Na razie nie jesteś mi potrzebna. Zawołam cię, w razie potrzeby.

Za parę minut zaprosił mnie na obiad. Jedzonko było proste i smaczne, rozmawialiśmy swobodnie i to mnie się podobało.

Po posiłku już tradycyjnie zasiedliśmy w fotelach i piliśmy herbatę. Udało nam się złapać w radiu stację z małymi zakłóceniami i trafiliśmy na prognozę pogody. Zapowiadano kolejną zmianę, niby pozytywną, gdyż nadchodził wyż, jednakże i taką mogłam przypłacić migreną.

– Dla pewności zapytam jeszcze pana Garbarka, czy strzyka mu w kościach – zażartowałam.

– Wybierasz się do wioski?

– Może jutro. A pojutrze do uzdrowiska, na próbę teatrzyku. Wspominałam ci o Irze z Domu Kultury, przypominasz sobie? Przygotowuje nowy spektakl i

poprosiła mnie o pomoc. – Wyjaśniłam, czego miałyby dotyczyć.

– Masz pojęcie o teatrze?

– Niewiele, tylko z pozycji widza. A ty?

Stacja uciekła, więc Armin wstał, by wyregulować radio. Kiedy wrócił na miejsce, to albo zapomniał o moim pytaniu, albo je zignorował, ponieważ milczał. Kontynuowałam więc:

– Zastanawiam się jeszcze nad czymś. W bibliotece zwolni się etat. To tylko zastępstwo, do wiosny, za panią, która idzie ma macierzyński. Co o tym myślisz? Poznałabym nowych ludzi, miałabym dostęp do książek, prasy. I do Internetu...

– To nie jest dobry pomysł! – przerwał mi zaskakująco szorstkim tonem. – Po co ci ten stres, obowiązki? Nie po to tu przyjechałaś!

– Odrobina pozytywnego stresu mi nie zaszkodzi!

– Masz problemy finansowe? – spytał już łagodniej, przygważdżając mnie wzrokiem. – Chodzi ci o pieniądze, tak?

– Nie ukrywam, nie mam ich wiele, ale nie w tym rzecz. Nęci mnie to wyzwanie.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem, potarł brodę w namyśle i odparł zdecydowanie:

– Od dzisiaj wszystkie rachunki idą na moje konto! Uprzedzę w sklepiu. Ty po prostu bierz stamtąd, co potrzebujesz! O rozliczeniu za energię i wodę również zapomnij.

– Oszalałeś chyba! Mam być twoją utrzymanką?! Dobre sobie! – zdenerwowałam się. – Nie przyjechałam tu przecież bez grosza, koszty za dom także wkalkulowałam! Na skromne życie na pewno mi wystarczy!

– Nie unos się, proszę! Źle mnie zrozumiałaś. – Podniósł się z fotela, zajął miejsce na kanapie, przy mnie, i ująwszy moją dłoń, zaczął od przeprosin: – Wybacz, Karolo, byłem nietaktowny. Forsa to delikatny temat... Dla mnie akurat nie. Musisz jednak wiedzieć, że kwoty, o jakich tu mówimy, są dla mnie... no, może nie śmieszne, ale na pewno nie są znaczące.

W ostatnim momencie ugryzłam się w język, że domyślałam się, jak dobrze mu się powodzi. Nie powiedziałam, że wiem, jakim samochodem jeździ.

– Zwykle wydaję dużo więcej – mówił. – Dlatego obojętnie, czy płacimy rachunki oddzielnie, czy tylko ja sam, i tak sporo tu zaoszczędzę. Nie powinnaś mieć najmniejszych oporów! I jeszcze jedno. Warunków nie ma i nie będzie, jasne?

– Nie, Armin! Doceniam twoje intencje, ale nie umiałabym w ten sposób. – Pokręciłam głową.

– Robisz problem z niczego! – skarcił mnie, po czym dodał: – Ja w takiej sytuacji nie miałbym żadnych zahamowań.

– Akurat!

– A jednak. Nieraz korzystałem z czyjejś gościnności czy wsparcia.

– Nie lubię mieć długu wdzięczności...
– A kto powiedział, że trzeba od razu go mieć? Oni mieli wtedy więcej ode mnie, więc mi pomogli, a kiedy mnie leci lepiej, z kolei ja mogę im pomóc. Albo komuś innemu.

– Czy ty aby zbytnio nie upraszczasz? – Pozwoliłam sobie na lekką ironię.

– No, dobrze, dam ci przykład. Dwa lata temu byłem w Kenii...

– Na safari?

– Tak. Nie.

– Więc byłeś czy nie byłeś?

– Powiedzmy, że uczestniczyłem w safari... ale do zwierząt nie strzelałem!

Też mi precyzja wypowiedzi! Być na polowaniu i nie strzelać do zwierząt? Bez sensu. Chyba, że strzelał do... Odgoniłam tę myśl.

– Odłączyliśmy się naszym jeepem od grupy i pomyliliśmy kierunki. Długo krążyliśmy po okolicy, aż zabrakło nam paliwa. I kiedy wydawało się już, że przyjdzie nam tam nocować, pojawiły się światła innego samochodu. Na szczęście, jego właściciel miał dodatkowy karnister benzyny. Wlał ją nam do baku, ale zapłaty nie przyjął. Powiedział, że jeśli spotkamy kogoś w podobnej potrzebie, niekoniecznie zresztą w Afryce, to mamy zrobić to samo. Wtedy będziemy z nim kwita.

– I co, miałaś ku temu sposobność?

– Wielokrotnie! – Roześmiał się. – Musiałabyś widzieć miny kierowców, gdy mówię im, że zamiast dawać mi kasę, niech przystaną i podzielą się benzyną, gdy ktoś inny będzie w potrzebie.

– Mają cię chyba za wyjątkowego naiwniaka!

– Możliwe. Robię to dla zasady, gdyż spodobało mi się takie podejście, tak do udzielania pomocy, jak i przyjmowania. A może przy okazji zaszczepię ją jakiemuś kierowcy, a przynajmniej dam tym do myślenia.

– Kultura na polskich drogach nie jest najlepsza... – zauważyłam.

– Nie najlepsza? To dramat! Drogi też są fatalne. – Skrzywił się, a ja pomyślałam, że jeżdżąc luksusowym wozem, odczuwa się to szczególnie drastycznie.

Jego argumentacja w kwestii niesienia i akceptowania pomocy przemawiała do mnie. Podany przykład sztafety wielkoduszności wydawał się może utopijny, lecz czy ludzkość nie czyniła tak od pokoleń, wychowując dzieci, które następnie wychowują swoje dzieci, i tak bez końca? Pomimo to nie potrafiłabym skorzystać z propozycji Armina, przynajmniej dopóki miałam własne pieniądze. Tym bardziej, że nie wiedziałam, jaką drogą dochodził do swoich, jak sam przyznał – niemałych.

– Wracając jeszcze do tej posady w bibliotece... – odezwał się po chwili. – Wkrótce nadejdzie zima, na razie mieliśmy tu tylko jej przedsmak, a do przystanku w wiosce szmat drogi! Co innego, gdybyś mieszkała w uzdrowisku... Ejże, ja

naprawdę niczego nie insynuuję!

Ostatnie słowa sprowokowały moje spłoszone spojrzenie. Wyobraziłam sobie, jak zapadam się po pas w śniegu i to ostudziło moje zamysły. Naprawdę tęskniłam już za ludźmi i pracą? Doszłam do wniosku, że nie. Pobyt w rodzinnym mieście również dowiódł, że samotnia jest mi potrzebna, nawet za cenę momentów nudy. W istocie wcale nie było ich wiele lub też przywykłam do spowolnionego rytmu codzienności.

Przypomniałam sobie nagle o safari. Patrząc na Armina, nie umiałam wyobrazić go sobie jako gangstera, płatnego mordercy czy innego zbira. Jego duże, ciepłe oczy nie miały w sobie nic złego ani podstępного. Owszem, potrafił się wściekać, co innego jednak gniew, a co innego zimne wyrachowanie. Zakładałam, że prawdziwi złoczyńcy mają emocje pod kontrolą, zaś o moim współlokatorze nie dało się tego powiedzieć.

– Na warunki zimowe znajdzie się jakaś rada! Może narty? Szlak leci łagodnie... biegówki będą chyba dobre, co? – Trochę się z nim droczyłam.

– A jak wrócisz z powrotem? Mam ci tu na szybko wybudować orczyk?

– Dzisiaj ty dla mnie wybudujesz, a potem ja komuś... Nie tak jest z twoją zasadą?

– Na trochę mniejszą skalę, ale owszem, koncepcję załapałaś! – Zaśmiał się.

Naszą uwagę przykuł stukot w okno od strony balkonu. To tylko wiatr zabawiał się obluzowaną okiennicą. Kiedy Armin ją domykał, poczułam zimno na plecach, chociaż byłam nimi zwrócona w stronę, z której chłodne powietrze nie miało prawa tu dotrzeć. Dziwne, ale od mojego powrotu z miasta coraz częściej miałam wrażenie, że oprócz mnie i Armina ktoś tu jeszcze jest. Gdybym wierzyła w duchy, pomyślałabym, że jakiś zamieszkał w tym domu. Zdumiewało mnie też czasem zachowanie kota, który potrafił nagle stężeć w bezruchu i wystraszony śledził ruch czegoś, co moim zmysłom było niedostępne.

Będąc dzieckiem, doświadczałam niekiedy poczucia, że nawet w samotności nie jestem całkiem sama. Znikło ono we mnie dawno temu. Teraz powróciło wraz z fragmentem kołysanki, którą śpiewała mi babcia Nata: „Idzie księżyc ciemną nocą, ma w fartuszkach tysiąc gwiazd...”. Pragnęłam wtedy dostać chociaż jedną, ale nie do zabawy, a po to, by świeciła nocą nad moim łóżkiem. Moja dziecięca prośba została wreszcie spełniona, przestałam się lękać zasypiania w ciemnościach. Ilekroć prosiłam o gwiazdkę, pojawiała się coś niewidzialnego i otulało mnie jak dodatkowy koc; było mi ciepło i czułam się pewnie. Nie wyjawiałam nikomu sekretu, podświadomie wiedząc, że nie powinnam. Fantazja czy nie, ale wyobrażenie gwiazdki nade mną wtedy mi bardzo pomogło. Mijały jednak lata i coraz rzadziej prosiłam o nią, aż w którymś momencie przestała mi być potrzebna. W dorosłym życiu nieraz tęskniłam za tamtym poczuciem... bezpiecznej jedności? Być może czegoś zblizonego doznawały rozdzielone bliźniaki, nieświadome utraty

tego kogoś, kto rósł z nimi w jednym łonie.

Trwałam w zamyśleniu, kiedy Armin, uporawszy się z okiennicą, wrócił nucąc coś pod nosem. Wychwyciłam znajomą melodię, a wtedy już naprawdę przeszły mi zimne ciarki po plecach. Gdy dorzucał drzew do ognia i podśpiewywał: „Gwiazdki nie są do zabawy, toć by nocka była zła. Hej, usłyszysz kot kulawy, cicho bądźcie, cicho sza...”.

Przebijałyśmy się przez ścianę białych płatków. Koła auta ślizgały się na zwodniczo przyprószonej powierzchni drogi; nie zazdrościłam Irze roli kierowcy. Pomimo szarego nieba świat miał dzisiaj w sobie wesołość. Świeżo spadły śnieg uczynił go jasnym i wyłagodził kontury, a wiatr się uspokoił.

Na granicy uzdrowiska jakiś samochód ugrzązł w rowie i nie mógł się stamtąd wydostać. Irena zwolniła, lecz kierowca pokazał jej ręką, że mamy jechać dalej. Skomentowała to sarkastycznym tonem:

- Nie chciał, bo zobaczył, że w środku dwie baby...
- Może już wezwał pomoc – wzięłam go w obronę i szybko zmieniłam temat: – Cieszę się, że poznam twoje dzieciaki!
- Zjawia się po lekcjach, starczy czasu na wypicie herbaty.
- Często macie próby?
- Raz w tygodniu, ale przed premierą trzeba będzie popracować intensywniej. Przeceniłam swoje siły i chyba też możliwości naszych młodych aktorów! Słuchaj, a może mogłabyś czasem do nas dołączyć?
- No, nie wiem... Nie mam doświadczenia w pracy w dzieci. Najpierw wam się przyjrzę. A z czym macie trudności?
- Z całokształtem! – Roześmiała się. – Brakuje mi czasu na indywidualne ćwiczenia ról. Okazuje się, że trzeba jednak z każdym osobno. Dzieciaki są wspaniałe, mają dużo entuzjazmu, szkoda byłoby go nie wykorzystać! Problem w tym, że gdy zajmuję się jednym dzieckiem, inne się nudzą...
- Sama prowadzisz teatrzyk? – zdziwiłam się.
- Na to wychodzi! – Pokiwała głową. – Co prawda, nasz plastyk zobowiązał się mnie wspierać, ale powiem ci na ucho, że wprowadza tylko zamęt.
- Co masz na myśli?
- Gada tak zawiłym językiem, że dzieciaki kompletnie nie kapują, o co chodzi. Ale jest niezastąpiony, jeżeli chodzi o dekoracje, istny czarodziej! O stroje dla aktorów nie muszę się kłopotać, szyją nam je w tutejszej szkole krawieckiej. Jedynie doraźnie nie mam nikogo do pomocy. – Zerknęła na mnie.
- A co na to kierownictwo Domu Kultury? – Szukałam alternatyw.
- Nic. Nowego etatu się nie stworzy, a ochotników brak, gdyż to nieodpłatnie. Wiesz, zajęłam się teatrzykiem dodatkowo, w przeciwnym razie kółko teatralne by nie istniało. Z jednej strony narzeka się, że dzieci trudno oderwać od komputerów, z drugiej na nic nie ma funduszy. Kiedyś było inaczej,

Dom Kultury proponował młodym różne zajęcia, ale cóż, te czasy już nie wrócą. Pozostaje dostosować się do nowych!

Pomyślałam, że mogłabym jej czasem pomóc. Próby odbywały się zaraz po lekcjach i kończyły o przyzwoitej porze, nie wracałabym do domu po ciemku.

Irena zaparkowała pod Domem Kultury i strzepując z butów śnieg, weszłyśmy do środka. Szatniarz na nasz widok zażartował:

– Witam piękne białogłowy!

Istotnie, nawet tak krótka trasa od parkingu do budynku wystarczyła, że białe płatki gęsto osiadły na rozpuszczonych włosach Iry i na mojej czapce. Kiedy ją zdjęłam, szatniarz mnie rozpoznał i rzucił nawet jakiś komplement, za który Irena na niby go zbeształa:

– Oj, bo się pogniewam! Zwykle to mnie pan słodzi!

– I zawsze mi się za to obrywa!

Widać było, że są w dobrej komitywie, a potwierdziła to jeszcze wypowiedziana cicho uwaga mężczyzny.

– Szefowa coś dzisiaj nie w humorze, chyba znowu mężulek pograł w kasynie... – szepnęła, gdy odbierał ode mnie kurtkę.

W kawiarni klubowej zastałyśmy dwie młode blondynki również pracujące w Domu Kultury, które naradzały się nad czymś przy kawie. Jedna z nich zajmowała się koordynacją imprez i okresowych warsztatów, a druga miała pieczę nad finansami. Irena wytłumaczyła mi, że właściwie wszyscy zatrudnieni, oprócz bibliotekarek, mają niezupełnie sprecyzowany zakres obowiązków i muszą być elastyczni. Ona sama udzielała się przy organizacji wernisaży, wieczorków autorskich, koncertów kameralnych, a też obchodów różnych rocznic. Przeglądając program na nowy miesiąc, byłam pełna podziwu, że znalazła jeszcze czas na kółko teatralne.

– A to jest właśnie nasz plastik, o którym ci wspominałam!

Zamarłam. Marek...?! Mężczyzna z cienia holu wkroczył właśnie do jaśniejszego pomieszczenia kawiarni. To był ktoś inny, lecz jego wzrost, kształt głowy, a przede wszystkim sposób poruszania się przypominał mojego przyjaciela. Podając mu dłoń, usłyszałam:

– Sylwester Spyra. Dla znajomych po prostu Sylwek.

– Nie licząc szatniarza, jedyny mężczyzna w naszej ekipie! – wtrąciła moja koleżanka.

– Co też nasze panie wykorzystują bez umiaru! – dodał żartobliwie.

– Nie przesadzaj! Kto jak kto, ale ty się najmniej przemęczasz! Á propos, zrobiłeś już plakat, o który cię prosiłam?

– Jutro będzie gotowy – obiecał, obdarzając Irenę szarmanckim uśmiechem.

– Akurat ci wierzę! Zawsze robisz wszystko na ostatnią minutę... – nie uległa jego czarowi.

– Moja droga, proszę nie mówić takich rzeczy, bo pani Karola będzie mieć o mnie nie najlepsze zdanie! Żadnego szacunku do twórców! – poskarżył się, patrząc na mnie.

Sylwester Spyra zdawał się mało czym przejmować, co już zupełnie wymazało z mojej głowy jakiegokolwiek paralele z Markiem. Niemniej emocje, które wzbudził we mnie pierwszymi skojarzeniami, sprawiały, że nie potrafiłam być naturalna. Musiał to dostrzec, lecz odczytał opacznie. Kiedy Irena odeszła do baru odebrać naszą herbatę, powiedział:

– Pani jest chyba bardzo nieśmiała...

– Nie, skądże! – I na potwierdzenie tego dodałam: – Proszę mówić mi po imieniu. Karola.

– Świetnie. Irena nadmieniała, że przyjdiesz na próbę. Nie spodziewałem się jednak, że poznam tak uroczą dziewczynę!

– Dziękuję, choć dziewczyną dawno już nie jestem.

– W moich oczach owszem. Musisz wiedzieć, że bez względu na wiek dzielę kobiety na dziewczyny i baby. – Popatrzył na mnie, jakby badając moją reakcję.

– A siebie umieściłeś w kategorii chłopców czy chłopów?

– To już ty musisz osądzić! – Zaśmiał się.

Przypuszczałam, że pomimo dobijania do czterdziestki, miał się za młodzieniaszka. Nie wyglądał źle, nosił się nonszalancko i ładnie pachniał. Za mało go znałam, by wiedzieć, czy jego luzackie zachowanie świadczyło o młodości ducha, czy o niedojrzałości. Do stolika wróciła Irena i nakierowała rozmowę na grupę teatralną, co chyba nie było po myśli Sylwestra. Odpowiadał jej zdawkowo, by wreszcie zaprotestować:

– Ty ciągle o jednym, a ja chętnie dowiedziałbym się czegoś o Karoli! Dopuszczaj ją wreszcie do głosu!

– Nie zapominaj, że jesteśmy w pracy! – zauważyła.

– Przy tobie nie sposób o tym zapomnieć! – odparował trochę złośliwie, a zwracając się do mnie, zapytał: – Może więc spotkamy się prywatnie? Po pracy, skoro Irena podchodzi do niej tak sztywno...

– A to cwaniak! – skomentowała moja koleżanka.

Jako że oboje spoglądali na mnie pytająco, musiałam zareagować.

– Zaraz po próbie wracam do wioski. Z Ireną.

– Mogę cię odwieźć. – Plastik nie ustępował.

– Może innym razem – odparłam z uśmiechem.

Chyba zrozumiał, że nic więcej nie wskóra, gdyż pod jakimś pretekstem przesiadł się do stolika blondynek. Odetchnęłam z ulgą, czułam się przy nim dziwnie skrzępowana. Nie ukrywał, że mu się podobam. Patrzył na mnie i rozbierał wzrokiem, niedwuznacznie się uśmiechał. Usiłowałam to ignorować, w czym pomagała mi obecność Iry, ale ku mojemu zdumieniu nagle poczułam w sobie

dawno zapomniane gorąco. Coś działo się z moim ciałem!

Tylko dwa, trzy razy w życiu spotkałam mężczyzn, którzy mieli na mnie podobny wpływ, równie gwałtowny i ograniczony do fizyczności. Z żadnym nie weszłam w bliższą relację, przeczuwając, że ten rodzaj ognia szybko się wypala. Niemniej pokusa była duża i niekiedy nawet żałowałam, iż nie poszłam na żywioł bez względu na konsekwencje. Zachowanie Sylwestra uzmysłowiło mi, że moje życie erotyczne przestało istnieć i czas to zmienić. Wysyłane przez niego sygnały świadczyły, że chętnie miałby w tym udział.

– Miej się przed nim na baczności! – powiedziała Irena, jakby czytając w moich myślach.

– Dlaczego? – zapytałam na pozór obojętnie.

– Widziałam, jak gapił się na ciebie.

– I tylko dlatego przestrzegasz mnie przed nim?

– Może nie powinnam... – Zawahała się.

– Śmiało.

– No dobrze. Na pewno wydałam ci się trochę za ostra w stosunku do niego, ma to jednak swoją przyczynę. Sylwek to wesoły gość, ale w pracy jest mało rzetelny, szefowa go faworyzuje, a inne koleżanki też mu pobłażają. Uprzedzam, on wie, jak tańczyć z kobietkami. Bardzo szybko zrozumiałam, że trzeba pokazać mu jego granice. Nie tylko zawodowo, też w sensie damsko-męskim.

– Startował do ciebie?

– Próbował, gdy zaczynałam tu pracę. Obsztorcowałam go raz a porządnie i czuje przede mną respekt.

– Byłaś już przecież mężatką!

– To akurat mu nie przeszkadza, sam zresztą też jest żonaty.

– Obrączki nie nosi...

– Nie. Twierdzi, że jego małżeństwo jest tylko na papierze, ale do rozwodu jakoś mu nie spieszno. Jego żona ma u nas prywatną praktykę ginekologiczną, umożliwia mu życie na dobrym poziomie, bo jako plastyk mało zarabia.

– Mają dzieci?

– Z żoną nie, ale kto go tam wie, czy nie ma nieślubnych, kręcił w mieście z niejedną.

– Lowelas, jakich wielu. – Kątem oka zerkałam na plastyka żartującego teraz z blondynkami.

– No, nawet tu wybuchały afery, romansował z praktykantką, też z jedną bibliotekarką. Szefowa pozbyła się ich pod byle pretekstem! Spyra pozostał. – Zaśmiała się gorzko.

– Mnie to nie grozi! – zawtórowałam jej śmiechem, lecz już z innym wydźwiękiem.

– Zwolnienie nie, ale co do Sylwka nie bądź taka pewna. Kiedy weźmie

sobie jakąś na cel, niełatwo mu się oprzeć. Czasami mam nawet wrażenie, że kobiety same pchają mu się do łóżka, wiem nawet o kilku. Dla niektórych taki kochanek z doskoku jest idealnym wyjściem!

– No, to warto się zastanowić! – zażartowałam.

– Straszne! Wyszłam na plotkarę!

– Jestem ci wdzięczna! – Roześmiałam się. – Takie informacje są przydatne.

– Uraczę cię jeszcze niejedną, taką nie dla turystów. Ale to dopiero, gdy awansujesz na krzoka!

– Na co?!

– Nie spotkałaś się nigdy z podziałem ludzi na ptoki, krzoki i pnioki?

– Nie.

– Znam to z Podhala, mam tam rodzinę, ale tutaj też można usłyszeć. Pnioki to tacy, którzy mieszkają w danym miejscu z dziada pradziada. Krzoki zapuścili tam korzenie dopiero za swojego życia. A ptoki przylatują tam na krótko. Na przykład turyści.

– Ze mnie nie dosyć, że ptok, to na dodatek taki bez własnego gniazda... – Zrobiłam płaczliwą minę.

– Przyjdzie czas i na to! – rzuciła Irena dziarsko. – A teraz chodźmy na próbę, bo słyszę już w holu dzieci.

Odnosząc szklanki do baru, po drodze poinformowała Spyrę, dokąd idziemy. Odwrócił się, rzucając mi uwodzicielskie spojrzenie i zapewnił, że zaraz do nas dołączy. Jego sposób bycia mnie drażnił, a nawet śmieszył, ale towarzyszące mu dziewczyny z pewnością były pod urokiem plastyka.

Doliczyłam się tuzina młodziutkich adeptów sztuki teatralnej, z dużą przewagą dziewczynek. Były trochę speszone moją osobą, ale gdy zaczęła się próba, zapomniały o mnie. Usiadłam zresztą na krześle pod ścianą, starając się nie czynić na dzieciach wrażenia egzaminatorki. Ze szczególną uwagą obserwowałam Olę i drugą dziewczynkę, najwyższą z grupy, o urodzie cyganczki. Czarnulka знаła swój tekst bezbłędnie, lecz miałam wrażenie, że się popisuje. Jej gesty były przesadne, a tonacja głosu nazbyt krzykliwa, przy tym uwagi Iry puszczała mimo uszu. Kiedy przysła kolej na Olę, byłam pewna, że to ona powinna dostać tę rolę. Swój tekst intonowała odpowiednio do sytuacji, wyczuwając nastroje zamierzone przez autora sztuki. Brała sobie do serca podpowiedzi mamy i bez zniecierpliwienia zaczynała raz jeszcze, w myśl wskazówek. Ta mała bez wątpienia kochała teatr i musiałam przyznać, że córeczka Iry zaskoczyła mnie pozytywnie. Znałam ją słabiej od Zuzi, i prawdę mówiąc, darzyłam mniejszą sympatią. Zachowywała się czasem jak rozkapryszona jedynaczka, dyrygowała też swoją koleżanką. Tymczasem teraz była zdyscyplinowana i przejęta tym, co robi. Dla pewności zapytałam jeszcze szeptem siedzącego obok Sylwestra:

– Co o niej myślisz?

Nadszedł pod koniec próby z pierwszą obsadą, jednak miałam nadzieję, że wyłapał zasadniczą różnicę pomiędzy grą obu dziewczynek. Niestety, skupił się na czymś innym, ponieważ odparł:

– Niby podobna do swojej mamy, ale urodą raczej jej nie dorówna. W tej roli lepiej będzie prezentować się czarnulka.

W pierwszym momencie pomyślałam, że żartuje, ale jedno spojrzenie w jego stronę upewniło mnie, iż tak nie jest.

– Nie o to przecież chodzi! – syknęłam.

– Aparycja sceniczna jest bardzo ważna – odparował.

– Daj spokój! To są dzieci! Należy raczej wyłapać załączki talentu...

Wzruszył ramionami, wstał z miejsca i dołączył do Iry. Po chwili zrozumiałam, co miała na myśli, mówiąc o wprowadzaniu przez niego zamętu. Zaczął perorować o swojej wizji sztuki i pokrętnie instruował dzieci, jak powinny ją zagrać. Widać było, że nie nadażały za jego słowami, jedynie czarnulka, która w jakiś sposób wyłapała, że ją faworyzuje, przymilnie się uśmiechała. Wreszcie zniecierpliwiona Irena przerwała jego wywody, ogłaszając przerwę.

Dzieci rozpierzchły się po Domu Kultury. Irena wykorzystując ich nieobecność, zapytała mnie i Sylwka, co sądzimy o odtwórczyniach głównej roli. Optowałam za Olą. Ku mojemu zdumieniu plastyk mnie poparł, po czym natychmiast się zmył. Po tym, co mówił wcześniej, nie miałam pewności, czy jego słowa są szczerze, lecz udałam, że tamte nie padły. Ira wydawała się zadowolona, przeciwnie czarnulka, kiedy po pauzie został ogłoszony ostateczny podział ról. Nareszcie można było ruszyć z tekstem dalej. Podziwiłam Irenę za jej podejście do dzieci. Potrafiła zaangażować je i odpowiednio zmotywować, toteż pod koniec próby wszystkie cieszyły się na kolejną, za tydzień.

Ira podwiozła mnie pod dom Garbarków, wysiadłam tam razem z Zuzią i dalej poszłam sama. Mijając buczynę, przyglądałam się zmianom po ostatniej wichurze. Tu i ówdzie spod śniegu wychylały się połamane konary, z dala kojarzyły mi się z postaciami znieruchomiałych zwierząt, a nawet fantastycznych potworów. Dopóki było jasno, mocniej dziwiły niż straszyły. Pejzaż, w którym nie brakowało pni, krzewów i ptasiego śpiewu, przypomniiał mi porównanie Iry. Pomyślałam, że to trafna klasyfikacja, a zaraz potem, uświadamiając sobie swoje położenie, poczułam smutek.

Na razie miałam dach nad głową, jednakże najdalej na wiosnę czekała mnie kolejna przeprowadzka. Zmiana adresu w ostatnich latach była dla mnie normą i choć zwykłam mówić, że przyzwyczaiałam się do tego, w istocie mogło to być samoobroną. Stałam się ptakiem, wybierając obce niebo, a gdy dotarło do mnie, co to znaczy, zaprzestałam snucia marzeń o założeniu pod nim gniazda. Zmieniałam jedynie dziuple, czasami tylko dzieląc je z innym latającym stworem. Kurczowo trzymałam się teraźniejszości, wmawiałam sobie, że jest to najlepszy sposób

przejścia przez życie bez rozczarowań. Ale w głębi ducha wiedziałam, że to tylko iluzja.

I nagle przyszła mi na myśl zdumiewająca roślina, którą przed laty miałam z pewnego klasztoru. Róża jerychońska. W naturze spotyka się ją na terenach pustynnych, gdzie podczas suszy przybiera formę kuli i popędzana wiatrem, toczy się na pozór martwa. Wystarczy jednak, iż natrafi na sprzyjające warunki lub też zmoczy ją ulewa, a już po kilku godzinach rozprostowuje gałązki, zazielenia się, wypuszcza korzeń. Tym sposobem potrafi przetrwać długie lata, więc popularnie nazywa się ją zmartwychwstanką.

Przypomnienie sobie o niej nastroiło mnie refleksyjnie. Miło pomyśleć, że jestem może różą jerychońską i że wiatr losu zawieje mnie kiedyś do miejsca, w którym przeszłość splatać się będzie z przyszłością. Obecnie, gdziekolwiek bym się znalazła, żyłam tylko dniem dzisiejszym i tułałam się po moich pustyniach. Kiedyś i ja zmartwychwstanę, spróbowałam dodać sobie otuchy, kiedyś także i na mnie spadnie ożywczy deszcz i zapuszczę korzenie. Wychodząc z lasu na rozległą polanę, zamarzyłam nagle, aby nastąpiło to tutaj. Na polskiej ziemi.

– Pani siostra opuściła klinikę na własne życzenie. – Lekarz nie krył poirytowania.

– Niemożliwe, miała być do końca roku!

– Zgłosiła się do nas dobrowolnie. W takim wypadku nie zmuszamy nikogo do leczenia. Żałuję, ale nie mogę pomóc. Przepraszam, pacjenci czekają...

Wpatrywałam się w telefon, jakbym spodziewała się, że lekarz zaraz oddzwoni i powie, że to pomyłka. Wahałam się, czy nie wybić numeru telefonu Danuty, rozmyślałam się jednak. Zasypywała mnie teraz sensacyjkami ze swojego pozerskiego życia, jakby chciała wymazać nimi chwile szczeroci. Cóż, na angażowanie się w jej stany emocjonalnie nie miałam ochoty, a słała mi esemesy o późnych godzinach wieczornych. W nich dla odmiany roztkliwiała się nad sobą, przypuszczałam, że pod wpływem alkoholu. Jeśli nawet było to wołaniem o pomoc, to nazajutrz zmieniała zdanie, wysyłając mi kolejną euforyczną wiadomość. Odczytywałam je hurtem i odpowiadałam lakonicznie, bez próżnego moralizowania. Może kiedyś, gdy będę silniejsza... Nie kończyłam w myślach obietnicy zajęcia się jej problemami.

Miałam jednak w pamięci przyrzeczenie, które złożyłam matce. Przebiegłam numery w komórce, zatrzymując się na domowym Kingi. Postanowiłam sprawdzić, czy zastanę ją w mieszkaniu. Nie byłam pewna, czy zechce ze mną rozmawiać. O czym zresztą miałybyśmy rozmawiać? Od lat krążyłyśmy po innych orbitach, nasze światy nie miały już punktów stykowych.

Odpowiedział mi głuchy sygnał, co powitałam z ulgą. Rodzinne miasto oraz problemy siostry i koleżanki mimowolnie kojarzyły mi się z minioną apatią. Tutaj, w górach, na powrót nabierałam energii, której miasto mnie pozbawiło. Codzienne

spacery, zdrowe odżywianie i spokój przynosiły efekty. Nawet cera nabrała świeżości, więc niemal całkiem zrezygnowałam z makijażu. Kiedyś byłoby to nie do pomyślenia.

Wracałam dziś ze sklepiku z dodatkową reklamówką w ręce. Zakupy nie zmieściły się w plecaczku, gdyż skusiłam się na pudło ciasteczek. Pozostawiwszy za sobą buczynę, odruchowo przymrużyłam oczy, oślepiiona słońcem. Warstwa śniegu pokrywająca polanę zmieniała się w miliardy skrzących diamentów. Zachwycała baśniowa sceneria polany. W dali dostrzegłam parę wędrowców, którzy wkrótce zniknęli mi z widoku. Postanowiłam wykorzystać ładną pogodę i wrócić do domu traktem.

Skałki przy nim, częściowo przyprószone śniegiem nabrały obłości, nasuwającej skojarzenie z monstrualnej wielkości chłopkami, które ciasno zasiały w półkolu. Miały nawet jakby chusty na plecach, bowiem słońce nierówno stopiło czubki skał, odsłaniając niektóre fragmenty. Czym bliżej, tym mocniej zdumiewała mnie ich wielkość. Z perspektywy domu fałszywie oceniałam ich masę i było ich tam więcej, niż zakładałam; przez pochyłość polany nie dostrzegłam tych przykucniętych z tyłu. Geolodzy najpewniej potrafiliby wyjaśnić ich pochodzenie, jednak nie byłam żadną takiej wiedzy. Bardziej intrygowały mnie historie przeczytane w książce, nadające temu miejscu tajemniczość.

W jasności dnia nie wyczułam tu grozy, skałki miały w sobie raczej coś magnetycznego, co chciało się dotknąć i poznać. A jednak, stanąwszy przy nich, nie od razu odważyłam się zboczyć ze szlaku. Odwróciłam się i przebiegłam wzrokiem polanę, wbrew swoim odczuciom nikogo nie dostrzegając. Moment później stadko wron poderwało się do lotu. Nie potraktowałam tego jako zły omen i nie namyślając się, okrążałam skałki. Najpierw musiałam pokonać nasyp śniegu odgarniętego z drogi, ale i za nim nie było lepiej, wpadłam głęboko w miękki puch. Od strony traktu skałki ściśle przylegały do siebie i nic nie zdradzało, że chronią coś w swoim wnętrzu. W przeciwieństwie do wędrujących tędy turystów wiedziałam o tym, toteż z uporem szukałam przejścia. Do okrążania skałek zabrałam się jednak z niewłaściwej strony, o czym przekonałam się dopiero po czasie i w mokrych po kolana spodniach.

Natura sprytnie zamaskowała niewąski rozstęp uskokiem ściany, przez co od strony szlaku był niewidoczny. Ruszyłam do przodu, niezupełnie swobodnie, gdyż miejsca było dosyć, ale przesmyk raz po raz skręcał, a jego dno ujawniało nierówności, zdradziecko przykryte puchem. Wreszcie jednak wyprowadził mnie na szerszą przestrzeń. Znalazłam się w miejscu, które odpowiadało opisowi z książki.

Nieduży owal terenu zewsząd otaczały skałki, dając ochronę przed wiatrem, a tam, gdzie ściany wznosiły się ukosem, również przed deszczem i śniegiem. Wypustka u ich podnóża tworzyła długi ciąg, upodabniając go do kamiennych łąw.

Gdzieś leżały porzucane głązy; nie dopatryłam się w nich okręgu, możliwe, że celowo go zburzono. Kiedy oczy przywykły już do kontrastów i półcieni, odkryłam spory otwór na granicy styku dwóch skałek. Wejście do groty? Nie ośmieliłam się tego zbadać, i to nie tylko dlatego, że nie miałam przy sobie latarki. Zdecydowałam się usiąść na pierwszym lepszym kamieniu, wcześniej otrzepując go ze śniegu.

Trudno uwierzyć, aby chciano tu zamieszkać, lecz w razie konieczności to miejsce istotnie mogło służyć jako kryjówka. Z przytoczonych w książce przekazów wiadomo, że chroniły się tutaj kobiety... Jak wielka musiała być ich desperacja! Mogłam tylko się cieszyć, że nie przyszło mi żyć w tamtych okrutnych czasach.

Czułam zmęczenie, moje siły vitalne wyraźnie zmalowały, być może z głodu. Od rana przeszłam szmat drogi, a śniadanie zjadłam wyjątkowo wcześnie. Sięgnęłam do reklamówki po bułki i ułamałam kawałek kielbasy. Posiliłam się, lecz wcale lepiej nie poczułam, wręcz przeciwnie. Powieki mi opadały, w głowie się kręciło. Powinnam wstać i wyjść spomiędzy skał na drogę, lecz nogi miałam jak z ołowiu. Najchętniej położyłabym się na ziemi i spała. Czując suchość w gardle, sięgnęłam po śnieg. Kiedy nabrałam go w usta, przyjemna, zimna wilgoć trochę mnie otrzeźwiła. Wykorzystałam ten moment, by podnieść się z kamienia i skierować w stronę przesmyku. Tym razem wydał mi się dłuższy, niż gdy szłam nim wcześniej, i musiałam podtrzymywać się ścianek. Wreszcie wyszłam poza skałki.

Szlakiem w dolinę zmierzała kilkuosobowa grupa; dosłyszałam fragmenty rozmów ze wschodnim, przeciągłym akcentem. Moje nagłe pojawienie się chyba zdumiało turystów, lecz nikt mnie nie zagadnął. Miałam lekkie zawroty głowy, a na jasność słońca reagowałam w sposób, który kojarzył mi się z migreną. To mogły być jej pierwsze symptomy. Musiałam jak najszybciej wrócić do domu i zażyć tabletkę.

Zorientowałam się nagle, że pomiędzy skałkami została moja reklamówka, jednakże nie wróciłam po nią. Podświadomie czułam, że nie powinnam i udałam się w stronę domu. Niebawem zobaczyłam smużkę jasnego dymu z komina, wyglądało, że Armin już wrócił. Zrobiło mi się cieplej wokół serca. Zaraz potem przypominałam sobie o zajściu z poprzedniego dnia i dla odmiany poczułam się trochę nieswojo.

Bez dwóch zdań, coraz mocniej do siebie przywykaliśmy. Chociaż nie powtórzyła się atmosfera wieczoru po moim wypadku z nożem, momentami czułam między nami iskrzenie. Poiskrzyło, poiskrzyło i zgasło. Nasza przeszłość była niczym wieloczęściowe puzzle, a my rzucaliśmy na stół to jedną, to inną nic niemówiącą część. Zresztą gadaliśmy głównie o sprawach znanych z przekazów medialnych bądź historycznych. Często zgadzaliśmy się w ocenie rzeczy, zdarzały

się też wyjątki, jak choćby nasza dyskusja o wojnie i użyciu siły. Byłam zdecydowaną pacyfistką, odrzucałam każdą formę przemocy, wierząc w sprawiedliwość prawa i potęgę miłości. Jako swoich bohaterów wymieniłam postacie Gandhiego i Martina Lutra Kinga. Armin mnie wyśmiał, twierdząc, że hołduję nierealnym ideałom. Jego zdaniem, bez mocarnej, budzącej respekt władzy nie sposób kontrolować dzisiejszego świata. Wytknął mi, że zapomniałam o czymś takim, jak obrona przed obcą agresją i terroryzmem.

– Gdyby alianci nie przystąpili do walki z nazistami, żylibyśmy dzisiaj w dyktaturze albo może i wcale! – powiedział.

– To również pochłonęło masę ofiar!

– Nie było innego wyjścia. Zło jest jak rak, którego nie wyleczy się miłością! Konieczne jest jego wycięcie i dalsza, radykalna terapia!

Nasze małe pole bitwy słownej zakończyło się jednak rozejmem. Poszliśmy na kompromis, uznając, że użycie broni, zabijanie to ostateczność, po wyczerpaniu wszystkich innych sposobów na utrzymanie pokoju.

Nie brakowało nam tematów, często jednak testowaliśmy się to w tym, to w tamtym, tylko prześlizgując się po ich powierzchni. Armin był wymagającym partnerem, a że już dawno nie prowadziłam takich dysput, to by mu dorównać, musiałam się sprężyć. Nie miałam jednak nic przeciwko temu, że stanowił dla mnie intelektualne wyzwanie. Imponował mi, a zarazem motywował do ewentualnej korekty własnych przekonań. Jednocześnie poprawiała się moja polszczyzna, wracając do poziomu sprzed lat.

Nie zabierał niepotrzebnie głosu, lecz kiedy angażował się w dyskusję, to całym sobą. Nie przepadałam za gadułami, które od rana do wieczora zamęczają otoczenie, plotąc, co im ślina na język przyniesie. Sama na pewno taka nie byłam, a Armin najwyraźniej miał podobną do mojej naturę. Z tej przyczyny żadnemu z nas nie przeszkadzało, gdy milczeliśmy.

Wczorajszego dnia zobaczyliśmy się dopiero w porze kolacji. Zjadłam ją sama, on podobno jadł coś poza domem. Natomiast otworzył wino. Kiedy usiadłam na fotelu przy kominku, napełnił też moje szkło i poszedł na dół po drugą butelkę. Miał spory zapas. Rozkręcaliśmy się powoli, rzucając pojedyncze zdania, bez ochoty na więcej. Wieczór przedziwnie się włókł, być może dlatego pomyślałam o czasie. Nie ma chyba człowieka, aby w którymś momencie życia nie rozmyślał o przemijaniu. Wielu też intryguje pojęcie czasu w sensie fizycznym bądź filozoficznym. Być może pod wpływem tychże, niezbyt głębokich refleksji, zareagowałam na słowa Armina:

– Wszystko jest relatywne!

Dotyczyło to jego stwierdzenia, że w pokoju jest bardzo ciepło. Dla mnie temperatura była w sam raz, domyślałam się, że odczuwamy ją różnie. Nie spodziewałam się, że ta mimochodem rzucona uwaga zainicjuje naszą rozmowę.

– Dlatego dobrze mieć coś stałego i pewnego, na czym można się wzorować.

Dalsze jego słowa wyjaśniły mi, do czego zmierzał, choć też trochę rozczarowały. Spodziewałam się jakichś osobistych odniesień. Tymczasem nawiązał do wzorca kilograma, był nawet w miejscu przechowywania go, gdzieś pod Paryżem. Uzasadniał jego przydatność tym, że nawet minimalne odchylenie odważników może spowodować ogromne straty w gospodarce państw.

– Szkoda więc, że nie istnieje taki wzorzec dla godziny czy roku! – zauważyłam. – Nie odnosisz wrażenia, że czas upływa nam szybciej niż dawniej?

– To subiektywne odczucie. Jeżeli żyjemy szybko, czas zdaje się pędzić. Tutaj, w górach, odbieram go inaczej, wolniej. Ty zapewne także.

– To prawda. Ale jaką mamy pewność, że dzisiejszy dzień trwa dokładnie tyle samo, ile dzień przed wiekami?

– O ile wiem, Ziemia wciąż krąży wokół Słońca całą dobę. – Uśmiechnął się.

– A co, jeśli cały znany nam wszechświat wiruje szybciej niż kiedyś? Nie zorientowalibyśmy się wtedy, że doba jest krótsza...

– Istnieje czuły zegar atomowy, który gwarantuje sekundową dokładność w przeciągu trzystu lat – uspokoił mnie; bawiły go moje dywagacje.

– Skąd wiesz takie rzeczy? – dziwiłam się.

– Po prostu wiem...

Uciał z typowym dla siebie uśmiechem, którym skutecznie hamował moje dalsze dopytywania. Coś mnie jednak pokusiło, aby na tym nie poprzestać.

– Jesteś wykształcony. Chyba jednak nie zgadnę, co studiowałeś...

– Wiedza nie bierze się tylko z wykształcenia. I nie należy jej mylić z mądrością.

– Uważasz siebie za mądrego? – podpuszczałam go.

– W żadnym razie! Mam sobie wiele do zarzucenia i jeszcze wiele pracy przede mną. Nie klasyfikuj ludzi po słowach, można być erudytą, a jednocześnie głupcem.

– To czym się kierować? Zachowanie także nie powie całej prawdy, tyle mamy kompleksów i masek, jesteśmy stale poddawani różnym wpływom...

– Dlatego ja patrzę na owoce życia. One dają mi prawdziwy obraz człowieka.

– Dobiłeś mnie... – Zrobiłam podkówkę.

– A to dlaczego?

– Dobrze wiesz! Nie za wiele w życiu osiągnęłam, nawet rodziny nie mam.

– Niekoniecznie o takie owoce mi chodzi, a zresztą, to akurat może świadczyć o twojej uczciwości...

– ...raczej o naiwności.

– Karolo, skąd ten pesymizm? Jesteś młoda, jeszcze dużo może się wydarzyć. Nie ciekawi ciebie, jakie niespodzianki szykuje ci przyszłość? –

Uśmiechał się prowokująco.

– Tylko nie to! – jęknęłam. – Nienawidzę niespodzianek. Niech już lepiej pozostanie, jak jest!

– Łatwo się poddajesz. Nie nęciło cię nigdy zmierzenie się z niewiadomym? Nieprzewidywalność własnych reakcji, możliwość wygranej...

– Względnie klęski.

– Z takim nastawieniem przegrasz, nim cokolwiek zaczniesz.

– Tym samym wracamy do punktu wyjścia. Musiałabym najpierw mieć pewność, że warto zadziałać.

– Zadziałałaś. Przyjechałaś tutaj...

– Wypchnięta na siłę! – przyznałam ze śmiechem. – Boję się zmian!

– Może dlatego, że widzisz siebie w skrzywionym lustrze? Dziwne, że nie dostrzegasz swoich walorów. – Spojrzał mi w oczy.

– Jest ich za mało, by wierzyć w siebie.

– Chętnie podbuduję twoją wiarę...

Wyliczanie moich plusów rozbawiło mnie, potraktowałam to z przymrużeniem oka. Po chwili zrozumiałam, że Armin mówił, co naprawdę myśli. Nadrabiałam miną, maskując zażenowanie, i przy pierwszej okazji zmieniałam temat. Zrodziła się między nami poufałość, której od bardzo dawna z nikim nie zaznałam, a co zapewne utrudniał też obcy język. Żartowaliśmy, przekomarzając się czasem, jak już niejednego wieczoru. Tym razem jednak, nie wiedzieć kiedy, wkradły się w to wielomówne spojrzenia i sztuczki, jakie stosują ludzie... flirtujący ze sobą! Armin odkrywał przede mną swoją szarmancką stronę. Nie byłam mu dłużna i bez zahamowań weszłam w rolę czarującej kokietki, też bawiąc się słówkami.

Wypiłam trochę za dużo, traciłam nad sobą kontrolę. Ciepło, jakie było od ognia, i muzyka rozgrzewająca zmysły również miały w tym swój udział. Jeżeli nawet odpychały mnie dziwactwa Armina, nie chciałam o nich pamiętać. Wzrastało między nami napięcie, będące oczekiwaniem na coś, co było tuż-tuż. Zadawał mi pytania pozornie banalne w treści, dotyczące tego, co lubię, od muzyki po kuchnię, i cokolwiek odpowiadałam, zgrabnie wyłuskiwał słowa, które dało się rozumieć wielorako, a potem do nich nawiązywał. Rewanżowałam mu się tym samym, zyskując jako nagrodę błyski uznania w jego oczach, a czasem gromki śmiech.

Nie wiedziałam, czy to pod wpływem alkoholu, czy naszych dwuznacznych przekomarzań, ale oczy mojego rozmówcy nabrały szczególnego blasku. Jego przeciągłe spojrzenia wywoływały w moim ciele przyjemne mrowienie. Zdawały się coś zapowiadać. Kiedy znów poprosiłam o wino, dolewając je do mojej lampki, przytrzymał moją dłoń. Niskim głosem zapytał:

– Czy szanowna pani ma jeszcze jakieś życzenie?

– Hm...

Opuszkami palców delikatnie dotknęłam jego ust. Mój wzrok zapewne ujawnił mu więcej. Tak, pragnęłam tego mężczyzny i czułam, że z wzajemnością. Moja intuicja mnie zawiodła.

Armin zareagował, jakby wziął to za żart z mojej strony. Jego śmiech, jeżeli nawet skrywał zmieszanie, to po mistrzowsku. A jednak mnie nie zmylił. Wychwyciłam w nim pojedynczą, fałszywą nutę i tuż przedtem nieznaczny ruch warg, mimowolne opadnięcie kącików, pół sekundy później poderwanych już w górę.

Topografia ludzkich twarzy pociągała mnie, inspirowała do odgadywania kryjących się za nimi sekretów. Mojego towarzysza z przeciwka znałam krótko i dopiero uczyłam się jego reakcji. Nieraz zaskakiwały mnie nagłe przemiany wyrazu jego twarzy – od marsowej miny po promienną radość. Nie nadażałam za nimi, nie umiałam ich uporządkować w schematy. Gdzie kończyła się prawda, a zaczynała gra? O tym wiedział chyba tylko on. Jeżeli wiedział.

Odsunął się na bezpieczną odległość i nie patrząc mi w oczy, zaczął mówić o swoich planach na jutrzejszy dzień. Słuchałam, starałam się nie pokazać po sobie, jak podle czułam się w tym momencie. W moim wnętrzu przelewały się rzeki emocji, przy tym najwięcej zarzucałam samej sobie. Owszem, Armin uwodził mnie, lecz niepotrzebnie przyspieszyłam tempo, zapominając o podstawowej regule: faceci lubią zdobywać. Najbardziej ponętna rzecz podana na tacy traci na atrakcyjności. Stek z supermarketu nigdy nie będzie tym samym, co własnoręcznie upolowana dziczyzna. Były naturalnie wyjątki, wszystko wskazywało jednak, że Armin do nich nie należy.

Nie ulegało wątpliwości – spłoszyłam go. Porozmawialiśmy jeszcze chwilę, świadomi, że na tym zakończymy. Kiedy dopił wino, wstał i pożegnał się ze mną. Na odległość.

– Dziękuję ci za towarzystwo. – Lekko skłonił głowę w moją stronę. – Na mnie już czas. Jutro planuję wczesną pobudkę. Dobrej nocy, Karolo!

Pomimo uprzejmości wylapałam jego niecierpliwość, owo przyspieszenie z wydechem ulgi przy ostatnich słowach. Jak widać, chciał być już sam i zamykał się szczelnie na inne opcje. Nie musiał się niczego obawiać, gdyż teraz i ja nie pragnęłam nic innego. Poszedł do siebie, wyzwalając nas z niezręcznej sytuacji.

Gra skończona i to nie ja w niej zwyciężyłam. W którejś sekundzie bądź nawet ułamku sekundy minęliśmy się i potem było już tylko oddalanie. Bezpieczny brzeg zapraszał do skupienia się na własnym życiu. Czyż nie po to przyjechałam do Polski? Tymczasem, miast wyciszać się i walczyć z migreną spokojem, ryzykowałam dodatkowe komplikacje, godząc się na coś, czego następstw nie mogłam przewidzieć.

Nie poznawałam siebie samej. Ja i przygody? Niewiele brakowało, bym

wylądowała w łóżku z obcym mężczyzną. Prawdę mówiąc, nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby tak się stało. W tamtej chwili zdało mi się to oczywistym następstwem godzin we dwoje, nie liczyły się moje zasady. Co się ze mną działo?! Nie wszystko można usprawiedliwić alkoholem, zresztą, nie byłam pijana, może tylko lekko zamroczona.

Dochodząc do domu, zastanawiałam się, czy uda nam się powrócić do dawnej swobody? Towarzyszył temu dreszczyk przeczucia, że to, co zaczęło się minionego wieczoru, mimo wszystko doczeka się dalszego ciągu. Moje obawy, że wpłynie to niekorzystnie na nasze stosunki, okazały się bezpodstawne. Armina zastałam w kuchni, a on niczym nie pokazał po sobie, że wczorajszy incydent miał jakieś znaczenie. Powitał mnie naturalnie, jak gdyby nic między nami nie zaszło.

– Wróciłeś nietypowo wcześniej! – zauważyłam.

– Miałem okazję podjechać z leśniczym – wyjaśnił, a widząc moje przemoczone spodnie, dodał z sarkazmem: – Za to ty wędrowałaś chyba dzisiaj na przełaj!

– Okrążyłam skałki przy trakcie! – wyjawiałam, ściągając z nóg kozaki.

– Nie powinnaś tam chodzić! – powiedział twardo.

– Dlaczego?

– Miejscowi mówią, że tam jest niebezpiecznie. Wydarzają się dziwne rzeczy...

– Coś niecoś czytałam. Wierzysz w takie legendy?!

– Przekazy ludowe mają swoją wartość, a nierzadko zawierają część prawdy. Byłaś w sklepiku?! Po co? Trzeba było dopisać do listy, co potrzebujesz! – Spojrzał na mnie z naganą, gdy wyjmowałam rzeczy z plecaka.

– Bez przesady! – Wzruszyłam ramionami. – Czasami nagle mam na coś ochotę. Kupiłam też kielbasę i ciasteczka do kawy. Niestety, trzeba obejść się smakiem. Zgubiłam je!

– Zgubiłaś? Jak to możliwe?

– Właściwie to zapomniałam o nich. Przy skałkach... – zająknęłam się. – Weszłam między nie takim przesmykiem... a wracając, nie pamiętałam, że miałam z sobą reklamówkę. Odpoczywałam tam chwilę i chyba wtedy ją odłożyłam. Teraz jestem bez sił, przejdę się po nią po obiedzie...

– Jeżeli przypilnujesz pieczeni, to ja się wybiorę – zaproponował.

Nie miałam nic przeciwko temu, żal mi było smakowitych ciasteczek, a na dworze szybko robiło się ciemno. Armin niebawem wyszedł z domu i w niespełna dwa kwadranse wrócił z reklamówką. Rozpakowując ją, powiedziałam:

– Aż dziw, że jakieś zwierzęta nie wyczuły wędliny i nie dobrały się do niej!

– Zwierzęta unikają tego miejsca. Ty też lepiej tam nie chodź!

– Bo co? Ktoś rzuci na mnie klątwę?

– Wystarczy, żebyś tam zaśląbla... – Przygwoździł mnie wzrokiem.

Zmieszałam się lekko, gdyż jego słowa nie były bez racji. Dziwnie tam się poczułam, przypomniałam sobie również relację narratorki książki.

Zasiedliśmy do obiadu, naprzeciw siebie, a mnie przypomniał się nasz pierwszy wspólny posiłek. Obcy facet nastawiony do mnie niezyczliwie oraz mój skrywany przestach. Jego obcesowe narzucanie mi wyprowadzki.

Dobrze zrobiłam, nie ustępując wtedy, pomyślałam. Obecność mężczyzny w domu, nawet tak tajemniczego jak on, sprawiała, że czułam się różniej.

– Armin? – Postanowiłam zrobić mu mały test. – A gdybym rzeczywiście potrzebowała tu pomocy... ?

– Sprowadziłbym ją – odparł spokojnie.

– Jak?

– Telefonicznie, schodząc do wioski.

– Pogotowie przecież nie wjedzie na polanę.

– Lekarz mógłby tu podjechać gazikiem leśniczego.

– A jeśli byłoby to coś poważnego i musiałabym jechać do szpitala?

– To ciebie zwiozłoby się gazikiem na dół – odparł beznamiętnie. – Ewentualnie transport drogą powietrzną. Śmigłowiec ratunkowy dałby radę wylądować na polanie, może tylko trochę niżej, przy szlaku, bo tutaj łąka za stroma.

– No, tak. Tyle że przy takiej akcji ktoś mógłby cię rozpoznać i nici z twojej kryjówki.

Zerknął na mnie. Domyślił się zapewne, że próbuję go podejść, ale odpowiedział poważnie:

– Zgadza się. Musiałbym ją potem opuścić.

– I mimo wszystko wezwałbyś dla mnie pomoc?

– Karola, o co ty w ogóle pytasz?! Masz jakieś wątpliwości? – Patrzył mi prosto w oczy.

– Lepiej się upewnić. Zresztą i ty możesz potrzebować pomocy. – Nie spuściłam oczu.

– Racja. Wypadki chodzą po ludziach, czego jesteś najlepszym przykładem.

Podziękował za obiad i odniósł talerz do zlewu. Wracając, dodał:

– Gdyby zaszła potrzeba, powiadom leśnika. Będzie wiedział, co zrobić. Dam ci jego numer telefonu.

Nęciło mnie, żeby nawiązać do auta w stodole gospodarza, lecz nie bardzo wiedziałam jak. Na razie zarzuciłam ten pomysł. Sportowy samochód niezbyt nadawał się do przewozu chorych, musiałam wymyślić jakąś inną intrygę.

– A gdybym nie zastała leśnika? Przecież może być w terenie, a tutaj nie wszędzie jest zasięg.

– To wtedy mój pech! – Roześmiał się.

– Nie żartuj sobie...

– Karolo, nigdzie na świecie nie znajdziesz całkowicie bezpiecznego miejsca, nie mówiąc o tym, że jesteśmy wszyscy śmiertelni.

– Niby tak, ale po co niepotrzebnie się narażać, kiedy możliwa jest pomoc?

– Ejże! Nie kłopotcz się na zapas!

– Po prostu nie chcę cię mieć na sumieniu. Hipotetycznie, ma się rozumieć.

– To powiem ci inaczej. Zrobisz, co będziesz musiała. Zadowolona? I nie gdybaj tak dużo, podobno negatywne myślenie przyciąga nieszczęścia!

– W to akurat nie wierzę! W pozytywne myślenie także nie. – Pokręciłam głową.

– Dlaczego? Są tacy, którzy mówią, że to działa.

– Czy ktokolwiek życzyłby sobie awarii samolotu, którym leci? A jednak samoloty spadają, wydarzają się też inne tragedie, czy tego chcemy, czy nie. To nie ma nic wspólnego z naszymi pobożnymi życzeniami. Można myśleć pozytywnie i znaleźć się w środku katastrofy, a można być malkontentem, którego nieszczęście zawsze omija.

– Jedno jest pewne, życie całkowicie przewidywalne byłoby cholernie nudne! – skonstatował Armin.

Nie do końca byłam przekonana, ale powstrzymałam się od wyjawienia swoich poglądów. Wolałam mieć czas na przygotowanie się do nowych sytuacji. Nasza rozmowa miała jednakże ten plus, że potwierdziła mi nieważkość epizodu z poprzedniego wieczoru. Armina dotyczyło to z całą pewnością.

Słowa samosiejki, jeszcze niedojrzałe, głodne soków życia, słowa spiętrzone w wyobraźni znajdujące wreszcie uwolnienie, słowa dziewicze jak wszystko, co było wtedy nowe i pierwsze. Długie szeregi zdań z niespokojnymi pytajnikami na końcu lub krzyżącym wykrzyknikiem, granulki zdarzeń zbierane w całość i na powrót kruszone. Szukanie, odkrywanie, negocjowanie. Z jaką łatwością przychodziło mi wtedy przelewanie myśli na papier! Ileż było w nich odwagi, osądów i autorytatywnych stwierdzeń! Przywilej zielonej młodości mającej za nic zachowawczość i więzi. Młodości egoistycznej i zbuntowanej, gdyż inaczej nie sposób odnaleźć swojego miejsca w świecie reguł ustalonych przez innych.

Z którejś kartki pamiętnika wyłonił się Marek, stając się głównym bohaterem prawie wszystkich następnych wpisów. Co trzecie zdanie zaczynało się od „Marek myśli” lub „Marek powiedział” i mój krytyczny stosunek do tego. Poznaliśmy się na obozie i chociaż przyjechaliśmy z tego samego miasta, to właśnie tam, na Mazurach, los zechciał skrzyżować nasze drogi. Nie od razu zaprzyjaźniliśmy się ze sobą. Z mojej strony było zaciekawienie nietuzinkowo rozumującym chłopakiem, on jakby najpierw się wahał, czy warto zacieśniać naszą znajomość, zbliżał się i oddalał, a pomiędzy uważnie mnie obserwował. Pewnego wieczoru, przy obozowym ognisku, wziął się na mnie, podważając każdą moją wypowiedź. Potem, kiedy wszyscy już się rozeszli, wciąż się spieraliśmy o swoje racje, a

zawarty grubo po północy rozejm utrzymał się do końca obozu.

Ku mojemu zaskoczeniu, Marek odszukał mnie w mieście i zaczęliśmy się spotykać. Mieliśmy podobne poczucie humoru, ekscytowaliśmy się tą samą muzyką, sztuką i kinem. Drażnił mnie swoim stylem bycia, prowokująco-luzackim, przez co zresztą niezbyt był lubiany. Dzisiaj wiedziałam, że w tym wieku niekoniecznie stoi za tym arogancja, a nadrabia się w ten sposób niską samoocenę, niepewność.

Widywaliśmy się prawie każdego dnia, więc musiał mieć na mnie niemały wpływ. Nawet decydując się na studia, wybraliśmy tę samą uczelnię. Przy mnie Marek potrafił być naturalny, wystarczało jednakże, że pojawił się ktoś trzeci, a przemieniał się w cynicznego przemądrzalca, któremu lepiej nie podpaść. Najgorzej miały dziewczyny, niejedną doprowadził do łez. Błyskawicznie testując ich intelekt, drwił potem z odkrytej miernoty, za nic mając ich wdzięki, których wpływu wcześniej były pewne. Kolegów również umiał zagiąć słownie, respektem darzył tylko bystrzaków. Pozowaliśmy na egzystencjalistów.

A jacy byliśmy naprawdę? Niedoświadczeni, wrażliwi, myślący. Trzymaliśmy się ze sobą na zasadzie my kontra reszta świata, motywując wzajemnie do weryfikowania dotychczasowych wartości. Szukaliśmy własnej drogi, lecz nam się wydawało, że najłatwiej ją znaleźć, gdy się zapomni o sercu. Determinacja biologiczna miała nas nie dotyczyć, ustaliliśmy to jednogłośnie. I przez długi czas wydawało się, że istotnie tak będzie. Moje zapiski nie wskazywały, aby Marek rozbudził we mnie pierwsze, kobiece pragnienia. Pojawiły się, lecz bohaterem marzeń był ktoś nierzeczywisty, wymyślony, o zmieniających się twarzach. Tego sekretu nie zdradzałam nawet Markowi.

Mimowolnie się uśmiechałam. Dziewczyna i chłopak, którzy objawiali mi się z kart pamiętnika, w swoim postrzeganiu świata ujmowali mnie młodzieńczą przekorą. Nic nie było dla nich oczywiste, podważali i analizowali, ażeby później nierzadko się przekonać, że przed nimi już inni doszli do podobnych wniosków. Dzisiaj nie byłam już taka. Chociaż dostrzegałam niejedno, to z istniejącym porządkiem rzeczy na ogół się godziłam. Czy na tym polega dorosłość? Być może.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziła czternasta, pora zabrać się do przygotowania jedzenia. Wciąż jeszcze nosiłam opatrunek na dłoni, zdejmowałam go jedynie biorąc natrysk. Rana zasklepiła się zewnątrz, lecz przy nieuważnym ruchu czułam ból. Musiała być głęboka. Tym razem nie zamierzałam otwierać żadnych puszek, a już na pewno nie nożem. Miałam przygotowany wywar z kości i zastanawiałam się, jaką zupę zrobić. W lodówce znalazłam śmietanę, więc zdecydowałam się na ogórkową. Garbarkowa sprezentowała mi słoje zakiszonych przez siebie ogórków, zaś Armin kupił u kogoś z wioski worek smacznych kartofli. Nasza spiżarka pęczniała od zapasów na zimę. Jeden regał zapełniały butelki.

Prawdę mówiąc, nie umiałam ocenić, czy Armin jest tylko miłośnikiem wina

czy też jest niebezpiecznie blisko alkoholizmu. Linia pomiędzy nawykiem a uzależnieniem jest bardzo cienka, lecz czy powinnam się wtrącać? Nikt nie przepada za takimi radami, a znając Armina, odebrałby je jako krytykę. Pił chyba każdego wieczoru, natomiast nigdy w dzień. Bez względu na zarwaną noc, rankiem wstawał i wychodził w góry lub jechał z leśniczym do pracy. Jeżeli nawet nie był nałogowcem, chyba istniał jakiś powód, oprócz samego rozprężenia, dla którego Armin niekiedy przesadzał z winem. Godzinami wsłuchiwał się przy tym w muzykę, ciałem obecny, ale duchem daleko.

Właśnie w takim stanie zastałam go minionej nocy, gdy nie mogąc zasnąć, zeszłam na dół zaparzyć ziółka. Zignorował mnie, ja też nie zamierzałam mu się narzucać. Puszczal muzykę z kompaktu, rozpoznałam smętnego wokalistę z Kanady. Przy innej okazji wyznałam, że nie lubię poezji śpiewanej i wtedy skwitował, półzartem, że spodziewał się tego. Czy dlatego podczas swoich melancholijnych wieczorów wolał być sam? Być może sądził, że nie byłam w stanie odczuwać tego samego co on. Kilerka nastroju... Tak mnie postrzegał?

A co z wieczorem, kiedy flirtowaliśmy? Tylko ja byłam winna?! Po czasie tamto moje niedwuznaczne zachowanie zbagatelizowałam. Oboje byliśmy dorośli i w pewnych sprawach wypadało pójść na skróty. A że nie wyszło? W dotychczasowych kontaktach z facetami to ja decydowałam, wykręcałam się, odrzucałam. Znaleźć się w skórze tego drugiego było doświadczeniem może niewartym powtórki, ale też żadną tragedią.

Przywołałam się do porządku. Wyliczyłam powody, dla których przyjechałam do Polski, a te w żadnym razie nie dopuszczały romansów. Nie bez bólu przypominałam sobie, że miłość to nie tylko szalone chwile ekstazy we dwoje, ale związane z tym obnażanie swojej psychiki. Zakochanie wiązało się z dobrowolnym wystawianiem się na odstrzał, z kolei układ, jaki miałam z Timem, również okazał się ryzykowny.

Amory nie dla mnie, stwierdziłam pewnie, kosztując ogórkową. Owoce moich dotychczasowych związków z mężczyznami były tak samo kwaśne, jak gotowana przeze mnie zupa. Dołałam do niej śmietany; załagodzenie następstw życiowych wyborów było już dużo trudniejsze.

Chwilę później do domu wrócił Armin. Nie odwzajemnił mojego uśmiechu przy powitaniu, wyglądał na zmęczonego bądź czymś przytłoczonego.

– Zjesz coś?

– Dziękuję, może później...

– Miałaś ciężki dzień?

– Raczej ciężką noc – rzucił, kierując się ku schodom.

– Na własne życzenie... – powiedziałam cicho, bardziej do siebie niż do niego.

Niestety, dosłyszał to i zatrzymał się. Jego spojrzenie manifestowało

nadejście ciętych słów:

- Nawet jeśli, to nie twoja sprawa.
- Samoudręka nic nie przynosi – odparowałam z butą.
- Doprawdy? – spytał z nutą drwiny.
- Kiedyś trzeba sobie powiedzieć: dość! I zamknąć rozdział za sobą – teoretyzowałam.
- Ty zdajesz się mieć to świetnie opanowane – rzucił w podobnym tonie, jak wcześniej.
- Idiotyczna uwaga. – Wzruszyłam ramionami.
- A nie jest tak? W twoim perfekcyjnym życiu nie ma miejsca na żale!
- Co ty wiesz! – zachnęłam się.
- Wiem, co widzę. Jesteś z tych, co w ekspresowym tempie stają na nogi i udają, że nic się nie stało!
- Pijesz do Tima? Żałuję, że opowiedziałam ci o nim!
- Może rzeczywiście wy kobiety jesteście od nas silniejsze! – Armin zdawał się mnie nie słuchać.
- Nie zawsze jest czego żałować! – Przeszłam wreszcie do kontrataku. – Mam odgrywać przed tobą nieszczęśliwą, gdy w rzeczywistości czuję ulgę? Nonsens! Owszem, nie myślę już o Timie. Zgadza się, szybko zamknęłam ten rozdział. Ale to jeszcze nie daje ci prawa robić ze mnie plastikowego człowieka! Ja udaję?! W odróżnieniu od ciebie, nie muszę! Ty uciekasz, w góry, w samotność, w alkohol! Uciekasz przed sobą, a nawet przede mną...

Wzięłam trzy głębokie oddechy dla odzyskania równowagi. Byłam zdenerwowana, nie spodziewałam się takiego rozwoju sytuacji. Przypatrywał mi się w milczeniu, ale jego oczy płonęły zarem. Nieoczekiwanie zbliżył się do mnie i zniżonym głosem, z lekko kpiącym uśmiechem oświadczył:

- Nie musisz mnie ciągle prowokować. Wystarczy poprosić. Możesz nawet teraz...

Uderzyłam go w twarz. Bezcelna propozycja była dla mnie aż nadto czytelna. Oblicze Armina na sekundy stężało, ale opanował się i odszedł. Stałam nieruchomo, patrząc za nim, jak wchodzi na górę, bez pośpiechu, jakby nic się nie wydarzyło. Doszedłszy do połowy schodów, odwrócił się nagle i krótko na mnie spojrzał. Dopiero wtedy ruszyłam się z miejsca, czując, jak płonie mi twarz, choć to nie mnie spoliczkowano.

Nie tknęłam ogórkowej, minął mi apetyt, byłam nazbyt wzburzona. Nasunęłam na nogi buty, włożyłam kurtkę, zarzuciłam plecak i złapałam za klucze. Musiałam wyjść z domu, chociażby na krótki spacer, potrzebowałam ostudzenia emocji. We mnie wrzało.

Jak on śmiał?! Naprawdę sprawiałam wrażenie napalonej samiczki? Nikczemnik! Ja miałabym go prosić?! Niedoczekanie...! Wkurzona jak diabli

szłam przed siebie, nie dostrzegając tego, co wokół. Ostre powietrze oziębiło mi twarz, lecz wewnątrz gorzałam od gniewu. Niepotrzebnie zwierzałam się Arminowi, a już karygodne było zezwolić sobie i jemu na flirty! Tamto żenujące zajście nałożyło się z ostatnim, a moje poirytowanie zmieszało się z wstydem.

Zeszłam do traktu. Mogłam pójść na prawo w dolinę lub zrobić sobie krótszy spacer pod górkę i kółkiem wrócić do domu. Pierwsze oznaki zmierzchu przemawiały za tym ostatnim, pomimo to skierowałam się ku wiosce.

Drogę znałam na pamięć, w plecaczku miałam latarkę, a odkąd spadł śnieg, nawet po zmroku nie panowały tu całkowite ciemności. Najmocniejszym argumentem był jednak Armin. Nie chciałam go widzieć, najlepiej już nigdy, a przynajmniej dopóki nie wezmę się w garść.

Minęłam buczynę i niebawem weszłam między zabudowania. Rzut oka na rozkład jazdy potwierdził to, co przewidywałam wcześniej – autobus do uzdrowiska niedawno odjechał. Może wstąpić do Iry? Swoje trzy czwarte etatu rozbijała sobie dowolnie, dopasowując go pod taką czy inną aktywność. Mogła być w domu, więc postanowiłam tam pójść.

Byłam daleka od wcielenia się w wampira emocjonalnego, nie miałam chęci na zwierzenia. Zatęskniłam po prostu za towarzystwem kogoś pogodnego i nieskomplikowanego, przy kim poprawiłby się mój nastrój. W żadnym razie nie spodziewałam się jednak, iż moje życzenie spełni się w stopniu zwielokrotnionym.

Zanim otworzono mi drzwi, poczułam upajający zapach pieczonego ciasta. Irena na mój widok zaklaskała.

– Wiesz, chyba ściągnęłam cię telepatycznie! Myślałam o tobie, próbowałam nawet dodzwonić się do ciebie. Wejdz, proszę! Nie mogłaś lepiej trafić!

Dopiero teraz zorientowałam się, że opuszczając dom w pośpiechu, zapomniałam o telefonie.

– Świętujecie coś dzisiaj? – spytałam, gdy wprowadziła mnie do pokoju.

Stół na środku był rozsunięty i przykryty jasnym obrusem. Zastałam tam Olę układającą widelczyki na trójkątach serwetek obok talerzyków deserowych.

– Dzień dobry pani! – powitała mnie i uprzedziła w wyjaśnieniach mamę: – Dziś są imieniny tatusia!

– Naprawdę? W takim razie nie będę przeszkadzać!

– Jeżeli myślisz, że cię wypuszczę, grubo się mylisz! Julian byłby zły, gdybym cię nie zatrzymała, od dawna chce cię poznać! Zaraz powinien wrócić z pracy. Usiądziesz tutaj czy pójdiesz ze mną? Właśnie wyjęłam ciasto z piekarnika...

Miałam opory, aby uczestniczyć w rodzinnej imprezie, lecz Ira nie chciała tego słuchać. Zapewniała, że będzie wesoło i z całą pewnością bez szpanu. Ustąpiłam widząc, że się przydam. Była w trakcie przygotowywania dwóch różnych sałatek, a tort biszkoptowy czekał na udekorowanie kremem. Wokół

bioder owinęłam fartuszek i zabrałam się do roboty, co Ola uznała za zwolnienie ją z obowiązku pomocy. Kiedy poszła do swojego pokoju, Ira powiedziała:

– Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, typując ją do głównej roli... Mam nadzieję, że nie przewróci jej to w głowie!

– Była najlepsza! – zaprotestowałam.

– To prawda, ale musiałabyś ją słyszeć, jak przechwalała się przed babcią! Powiedziałam jej, że jeśli to samo będzie robić przed koleżankami, niech się potem nie zdziwi, że nie będzie lubiana. Wiesz, co smarkuła odpowiedziała? Że nie zależy jej na tym! I że nie wolno być skromnym, bo nic się nie osiągnie! A jaka potrafi być kapryśna!

– Może Ola ma zadatki na gwiazdę? – zażartowałam.

– To raczej syndrom jedynaczki. Dodatkowo rozpieszczanej przez babcię i dziadka, bo jest jedyną wnuczką.

– Nie myślałaś o drugim dziecku? – spytałam, upewniając się wzrokiem, czy nie wchodzę w jakiś bolesny dla niej temat.

– Szczerze? Niemowlęta są słodkie, ale te pieluchy, papinki, zarywane noce... Nie, chyba już nie chcę! Olę rozpuściłam jak dziadowski bicz, wobec obcych dzieci umiem być bardziej konsekwentna. Mam lepsze podejście do starszych.

– Kiedy macie następną próbę?

– A co, przyszłabyś? – Ucieszyła się.

Jakby przewidując moją zgodę, wyznaczyła już nawet dzieci, które chciała mi powierzyć. Pomiędzy wybranymi była też Zuzia, to nawet dobrze; inne dzieci trochę mnie onieśmiały. Opowiadanie Iry o podopiecznych, przerwał powrót jej męża.

Julian Janowicz był niewysokim okularnikiem z początkami łysiny. Czego natura poskąpiła w walorach zewnętrznych, wynagrodziła mu podwójnym przydziałem dobrego humoru. Od razu poczułam do niego sympatię; ujął mnie niewątpliwie szczery uśmiech oraz sposób bycia, może za głośny, lecz spontaniczny. Mojej uwadze również nie uszło jego ciepłe przywitanie się z żoną i córką.

– Przepraszam, że nie mam prezentu, nie wiedziałam... – tłumaczyłam się, składając mu życzenia.

– Zrobiła mi go pani swoim przyjściem! Usłyszałem od żony wiele dobrego o pani!

Irena zaproponowała, abyśmy przeszli na ty i podała nam po kieliszku wódki. Rytuał bruderszaftu, który zazwyczaj mnie peszył, tym razem odbył się bez bólu, może dlatego, że nie miałam sekundy na zastanowienie. Kiedy Julian poszedł do łazienki, aby odświeżyć się po pracy, powiedziałam Irze:

– Masz fajnego męża!

– Wiem – potwierdziła nieskromnie. – Nie zamieniłabym go na żadnego innego! Jest nie tylko moim mężem, ale i najlepszym przyjacielem!

– Szczęściara!

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Rodzice Juliana też są wspaniali, zawsze skorzy do pomocy, serdeczni. Zresztą, sama zobaczysz, bo teściowie zaraz tu będą. Jak ich znam, to punktualnie co do minuty! Poznasz też mojego szwagra, Józka.

– Chętnie. Mieszka w wiosce?

– Nie, w schronisku, prowadzi je. Byłaś tam kiedyś? Szlak do niego prowadzi przez twoją polanę.

– Niestety – przyznałam ze wstydem.

– Wybierz się kiedyś! Chociaż powiem ci, że ja też prawie wcale nie wędruję po górach. A tyle sobie obiecywałam, gdy tutaj zamieszkaliśmy!

Punkt siedemnasta dzwonek u drzwi zapowiedział pierwszych gości. Nietrudno było odgadnąć, że to rodzice Juliana; ludzie o wschodnich rysach twarzy, czego śladów doszukałam się też u Oli. Jak Julian, mieli radosne usposobienie. Ich starszy syn, który dołączył kwadrans później, Józef Janowicz, był roślejszy od brata, lecz borsukowaty i nierozmowny. Nie podejmował żartów, najwyżej słabo się uśmiechał, a pytany odpowiadał półsłówkami. W odróżnieniu od innych gości, a zjechały jeszcze dwie pary i jakaś kobieta, brat Juliana siedział przy stole jakby za karę. Staralam się powstrzymać od oceny tego człowieka i słusznie zrobiłam. Kiedy wyszłam z Iry do kuchni, wyjawiała powód jego małomówności:

– Niespełna dwa lata temu Józek stracił żonę, do dzisiaj nie umie się z tego otrząsnąć. Długo chorowała, raz było lepiej, raz gorzej, ale nikt nie spodziewał się jej śmierci. Nie znam drugiego faceta, który opiekowałby się żoną z takim poświęceniem, jak mój szwagier! Wiesz, dawniej to on byłby duszą towarzystwa! Teraz cieszymy się, jeśli w ogóle się pojawi...

– Przykre...

– Bardzo. Gdyby nie schronisko, byłoby jeszcze gorzej, tam przynajmniej stale ma zajęcie. Ale tak długa żałoba już nas niepokoi... – Westchnęła ciężko.

– Myślę, że na żałobę nie ma normy. – Nie chciałam rozwijać tego tematu, więc zapytałam: – Słuchaj, a czym on przyjechał? Będzie dzisiaj wracać do schroniska?

– Ma terenówkę. Mógłby cię podrzucić... Pogadam z nim. Na pewno jednak zostanie do kolacji, więc wracaj do stołu! Weź, proszę, po drodze ciasto! – Podała mi talerz sernika, którego zapach powitał mnie przy wejściu.

W pokoju zastałam rozbawione towarzystwo, solenizant rzucał kawał za kawałem. Kiedy wyczerpał mu się repertuar, przypomniał sobie o akordeonie. Pomimo protestów Iry przyniósł ze strychu wielgachny, skurzony futerał, z którego wyjął imponujący instrument. Potrzebował paru minut, by palce przywykły do

guziczków, a ja w tym czasie dyskretnie przyglądałam się gościom.

Siedziałam obok teściowej Iry i najczęściej z nią rozmawiałam. Była prostą kobietą, ale na swój sposób mądrą i bardzo taktowną. Inni goście również mnie zagadywali bądź zwyczajnie uśmiechali się do mnie. Wyjątkiem byli Józef Janowicz i samotnie przybyła kobieta, rozwódka, jak mi szeptęła Ira.

Teraz, korzystając z małego zamieszania, przesiadła się obok niego i usiłowała zwrócić na siebie uwagę. Podsuwała Józefowi paterę z ciastem, kokietowała wzrokiem i pozami, a gdy nie poskutkowało, perorowała w stylu, który określałam jako odpowiadanie na niezadane pytania. Musieliśmy wysłuchać jej przechwałek dotyczących tak pola zawodowego, jak i zaradności na własnym podwórku. Nie trzeba dobrej znajomości ludzi, by domyślić się celu autoreklamy. Cóż, kiedy ze strony Józefa nie było żadnego rezonansu.

Julian opanował akordeon i wyczarowywał na nim różne melodie. Do niektórych przyłączano się śpiewem, toteż zrobiło się biesiadnie i głośno. Nie znałam słów, więc rzadko się włączałam. Rzewną pieśń zaśpiewała Ola, a u akompaniującego jej taty dostrzegłam nawet łzy wzruszenia. Dziewczynka miała głos przyjemny dla ucha i czysty, dokładnie trafiała w tonację. Może istotnie zrobi kiedyś karierę, pomyślałam. Siłę przebicia zdawała się posiadać.

Julian miał dosyć grania i nastawiwszy muzykę, poprosił żonę do tańca. Patrzyłam na nich z przyjemnością, zwłaszcza na Irenę, która wyglądała dziś ślicznie. Nie widać było po niej godzin spędzonych w kuchni, zdążyła zresztą się przebrać w szykowną sukienkę. Gęste rude włosy, będące jej atutem, związała w koński ogon; ja nosiłabym je zawsze rozpuszczone.

Do wirujących na parkiecie gospodarzy przyłączyli się inni, a przy następnym utworze Julian mnie poprosił do tańca. Przypuszczałam, że Ira mu to podszeptęła, ale solenizantowi nie mogłam odmówić. Złapałam rytm, liczyła się tylko świetna zabawa! Dopiero widząc, że Irena sprząta ze stołu, by podać inne dania, podziękowałam Julianowi i zaczęłam jej pomagać.

– Twój mąż jest pierwszorzędnym tancerzem! – pochwaliłam go głośno.

– Na twoim miejscu byłabym zazdrosna! – podchwyciła rozwódka, niby żartem, ale zezując na mnie podejrzliwie.

Julian tylko się zaśmiał i jednym ramieniem objął żonę, a drugim mnie, czego Ira nie omieszkała skomentować:

– Jak widzisz, ja mu nie żałuję!

Już w kuchni, sam na sam ze mną, powiedziała mi więcej o tej kobiecie:

– Zawsze musi coś dociąć, byłaby chora, gdyby tego nie zrobiła! Znamy się długo, poza tym chce załatwić Julianowi pracę w swojej firmie, więc trzeba ją znosić. Czasami jednak tracę cierpliwość. Wszędzie węszy zdradę, ma fioła na tym punkcie!

– Tak bez powodu? – dziwiłam się.

– Chyba dlatego, że mąż rzucił ją dla innej. Z następnym facetem też jej nie wyszło. Teraz na siłę próbuje kogoś sobie znaleźć... Widziałaś, jak uwodziła Józka?! – Irena zaśmiała się trochę złośliwie.

– A może akurat nowa kobieta przywróciłaby mu radość życia...?

– Na pewno, ale nie tak przedsiębiorcza i pewna siebie jak ona. Józef to typ obrońcy i pielęgniarza. Myślę, że szybciej ty byłabyś w jego guście... – Puściła do mnie oko.

Zbeształam ją samym spojrzeniem, gdyż do kuchni akurat weszła jej teściowa.

Kolacja rozleniwiała gości i na razie nikt nie miał ochoty na tańce. Zaczęły się rozmowy, o aktualnych wydarzeniach lokalnych i krajowych, trochę narzekań na polityków, a pomiędzy na temat ludzi, których nazwiska nic mi nie mówiły. Przysłuchiwałam się temu, nie zabierając głosu, natomiast obserwowałam zebrane grono. Ola wycofała się do swojego pokoju, jakby urażona, że dorośli skupili się wyłącznie na sobie. Julian dbał, aby kieliszki panów nie stały puste, paniom robił drinki; nie pili tylko jego brat i ich matka.

Przedziwna rzecz, chociaż uczestniczyłam w imprezie, momentami miałam wrażenie, że podglądam tę scenkę zza wiedeńskiego lustra. Byłam tutaj i nie do końca byłam, nie jako jedna ze wspólnoty. Zazdrościłam tym ludziom ich wartkich, niewymuszonych rozmów i stanu lekkości, w który nie potrafiłam wejść pomimo alkoholu. Już wcześniej przekonałam się, że mam trudności w rzucaniu truizmów czy żartobliwych komentarzy i gadki-szmatki mnie męczą. Dlatego nieczęsto decydowałam się na takie rozrywki, choć też nie mogłabym powiedzieć, że biorąc w nich udział, czułam się źle. Tym razem również przeważały plusy i ani trochę nie żałowałam, iż Ira przekonała mnie do pozostania. Zabawiłam się, najadłam pyszności, poznałam nowych ludzi.

To wszystko sprawiło, że incydent, z powodu którego wyszłam z domu, stał się daleki i nieważny.

Józef Janowicz pierwszy zaczął się zbierać do wyjścia. I ja poderwałam się z krzesła, chociaż Irena zaproponowała mi alternatywę – nocleg w jej domu. Nie przystałam na to, nie chcąc robić kłopotu, a ponadto nigdy dotąd nie podjeżdżałam pod dom na polanie autem i nowe doświadczenie mnie kusilo. Podziękowałam gospodarzom za świetne przyjęcie, pożegnałam się z gośćmi i podążyłam za panem Józefem.

Jego terenówka okazała się masywnym pojazdem na szerokich oponach. Nie bez trudności wdrapałam się do samochodu – ostatni drink przyrządzony przez Juliana był mocniejszy od poprzednich. We wnętrzu pojazdu przyjemnie pachniało wanilią. Zapięłam pasy, Janowicz zapuścił silnik i włączył silne reflektory, po czym ruszyliśmy asfaltem w górę. Nawet nie trzymając kierownicy, odczuwało się moc tego auta o napędzie na cztery koła. Mój towarzysz milczał, względnie

odpowiadał krótko na moje uwagi. Ucichłam, by nie przeszkadzać mu w koncentracji, gdyż czym wyżej, tym droga była gorsza. Za buczyną trakt wydawał się lepiej ubity i jechało się łatwiej. Janowicz podwiózł mnie pod samą furtkę. Podziękowałam mu, co przyjął skinieniem głowy i jakimś nie całkiem dla mnie zrozumiałym mamrotem. Nie miał możliwości zakręcenia wozem, z rykiem silnika wycofał się więc na wstecznym.

Nie zdążyłam dotrzeć do drzwi, gdy te się otworzyły, stał w nich Armin. Wypełniona pozytywnymi impulsami o mało nie uśmiechnęłam się do niego, a zanim pamięć przypomniała mi, w jaki sposób się rozstaliśmy, powstrzymała mnie jego mina. Był zły i nie zamierzał tego ukrywać. Ledwo go minęłam, zaczęły się wyrzuty.

– Gdzie ty byłaś?! Dlaczego nie zabrałaś telefonu ani nie zostawiłaś żadnej wiadomości?! Nie tak się umawialiśmy!

Zdejmo wałam kurtkę w milczeniu, próbując go zignorować. Cóż go obchodzi, dokąd chodziłam! Nie mówiąc o tym, że wypadałoby mnie przeprosić. Pieklił się, zarzucając mi głupotę i lekkomyślność, co akurat tym razem mijało się z prawdą, gdyż zakładał, że powędrowałam do schroniska. Oświeciłam go zdawkową informacją:

– Nie poszłam w góry.

– Nie?! Przecież to wóz Janowicza. Nie on cię odwoził? – Jego głos stracił na pewności.

– Tak, zabrałam się z panem Józefem. Ale nie w tę stronę, co myślisz. Podwiózł mnie tutaj z wioski.

Rzuciwszy Arminowi wyniosłe spojrzenie, poszłam w stronę schodów. Podążył za mną, gadając wzburzoną tonem:

– Mamy zimę, wcześniej robi się ciemno, a pogoda może nagle się zmienić! Skąd miałem wiedzieć, gdzie jesteś?!

– Sama za siebie odpowiadam!

– Tak ci się tylko wydaje. Przez swój brak wyobraźni narażasz innych!

– Niby dlaczego?! – Zatrzymałam się na stopniu i odwróciłam do Armina.

– Dlaczego?! Ponieważ z powodu różnych lekkoduchów i straceńców zginął już nie jeden ratownik! Nigdy nie słyszałaś o akcjach poszukiwawczych, o ratownictwie górskim?

– Owszem, ale nie w tym rejonie. Co innego w Tatrach czy Alpach...

– Wychodzi na jaw twoja ignorancja. Wszystkie góry są niebezpieczne, te okoliczne również! Parę lat temu zimą zabłądziła w nich szkolna wycieczka. Przyszła śnieżycą, nie byli na to przygotowani. Zanim ich znaleziono, kilkoro dzieci zamarzło na śmierć. Rozumiesz wreszcie, o czym mówię?! – Piorunował mnie wzrokiem.

– Przyjęłam do wiadomości! – Westchnęłam i na odczepnego wyjaśniłam: –

Byłam u Iry na imieninach jej męża, zasiedziałam się trochę. Janowicz ze schroniska to jego brat. Jak widzisz, nie było powodu do zmartwienia. Chyba nie wysłałeś już za mną ekipy ratowniczej?

– Nie, ale właśnie miałem zamiar zejść do leśniczego. Twoje szczęście, że przespałem się po południu, a potem myślałem, że siedzisz w swoim pokoju. Dopiero przed jakimś kwadransiem zapukałem do ciebie...

– Po co? – Miałam cichą nadzieję, że z przeprosinami.

– Zauważyłem, że miski kota są puste. Remi domagał się kolacji, a zwykle ty mu dajesz.

– Racja – potwierdziłam trochę zawiedziona, że chodziło o kota. – Dałeś mu jeść?

– Tak.

– To mogę pójść spać. – Ruszyłam po schodach.

– Karola! – Głos Armina znów mnie zatrzymał.

Spojrzałam na niego ze zniecierpliwieniem, chciałam być już sama. Patrzył na mnie wyczekująco.

– Co jest?

– Nie zapomniałaś o czymś?

Jego spojrzenie nic mi nie podpowiedziało, wzruszyłam ramionami.

– Nie sądzisz, że należą mi się przeprosiny? – powiedział całkiem poważnie.

– Ale masz tupet! – Zaśmiałam się nerwowo. – Jeśli już komuś się należą, to mnie! Przez ciebie wyszłam z domu!

– Niepokoilem się!

– Raptem jakiś kwadrans, jak łatwo policzyć! – zakpiłam.

– To nie ma nic do rzeczy. Dużo gorsze jest, że zrobiłaś to celowo! – Znów mnie zaatakował.

– Celowo? Nie wiedziałam, że mąż Iry ma imieniny.

– Masz mnie za bezmózgowca?! – Był wściekły. – Nie dalej jak wczoraj wciągasz mnie w rozmowę o wypadkach, dopytujesz, jak ściągnąć tu pomoc, a dzisiaj niby przypadkiem znikasz?! Oczywiście, zapominasz telefonu i o niczym mnie nie informujesz! Karola, to jest szyte bardzo grubymi nićmi, więc przynajmniej się nie wypieraj! Prowokujesz, próbujesz zaangażować mnie w siebie, ale daj sobie z tym na razie spokój! Mam teraz inne sprawy na głowie!

Odwrócił się i zszedł na dół, pozostawiając mnie na zakręcie schodów. To był jakiś absurd!

Jak było do przewidzenia, nie mogłam zasnąć, aż drżałam ze zdenerwowania. Jeśli częściowo mogłam się zgodzić z zarzutami Armina co do wyjścia z domu, to już na pewno nie z tym, że chcę go sobą zainteresować! Owszem, podobał mi się jako mężczyzna, lecz nie byłam w nim zakochana ani też nie miałam ambicji, żeby go zdobyć. Niekiedy wyczuwało się iskrzenie między

nami, jednakże poza jedną nieudaną próbą flirtu, niesprawiedliwie tylko mnie wytykanej, ani myślałam wszczynać następnych!

Spoliczkowanie Armina, jak widać, nie było dla niego żadną lekcją, nawet wysnuł z tego fałszywe wnioski. Wyglądało, że mam do czynienia z paranoikiem lub narcyzem. Zaakceptowałam już, że jest skoncentrowany na swoich bardzo ważnych sprawach i trzyma je w tajemnicy. W gruncie rzeczy chyba wciąż postrzegał mnie jako intruza – jeśli nie w tym domu, to na pewno w swoim życiu.

Każde z nas przybyło tutaj w sobie wiadomym celu, ale tylko dla Armina pozostał on nadrzędny. Trzeba wziąć z niego przykład i skupić się wyłącznie na własnych dążeniach, napomniałam się w duchu. Świetnie dam sobie radę bez wszystkich napuszonych dupków tego świata, w domyśle, rzecz jasna, bez tego konkretnego. Sekundę później przypomniałam sobie o migrenie i moja pewność siebie zmaląła.

Ograniczyłam przestrzeń do swojego pokoju, zamykając się w nim od środka. Kotu niezbyt to się spodobało i drapał o drzwi, żałośnie miaucząc, lecz byłam nieprzejednana. Wreszcie zrezygnował i przeniósł się chyba na dół, gdzie rządził dzisiaj Armin. Nieprzyjemna, wietrzna pogoda powstrzymała go przed wyjściem z domu, ja również tego nie planowałam. Niedziela miała być pielęgnacyjno-czytelniczo-leniwa.

Po śniadaniu, które udało mi się przygotować, nie natykając się na współlokatora, spędziłam godzinę na kąpeli w pianie i zabiegach poprawiających wygląd i samopoczucie. W pokoju przekręciłam w zamku klucz, by pozwolić sobie na pełne nieskrępowanie. Nie chciało mi się ubierać, pozostałam we frotowym szlafrocuku z kapturem, pod którym dosychały włosy. Włączyłam grzejnik, lecz temperatura w pokoju podnosiła się wolno, wskoczyłam więc pod kołdrę. Sięgnęłam po pamiętnik.

Pochyłe rzędy literek stały się pomostem na drugi brzeg, a tam czekała na mnie dawna Karola. Inna od tej, którą znałam dzisiaj, momentami całkiem obca, jednak pomaleńku ją sobie przypominałam. Wpisy w pierwszym notesie zakończyły się w połowie lata, ostatni przeczytałam nawet dwukrotnie. Zamykał etap moich egzystencjonalnych dociekań:

Myślę, więc jestem, pocieszam się kartezjańskim stwierdzeniem przy porannej herbacie, popijanej nareszcie w ogrodzie. W mojej głowie roi się od pytań, na które nie umiem znaleźć prostych odpowiedzi. Czy zgoda na niedobre uczy nas doceniać dobro czy też czyni je bardziej gorzkim? Co kształtuje nas mocniej, duch czy biologiczny instynkt przeżycia? Jaki wpływ na nasze wybory mają doświadczenia, a jaki nasz umysł i nasze zmysły? Czy można w ogóle tak ograniczyć zewnętrzne aspekty życia, aby nic nas nie dotykało, a jeśli, to tylko muskając po powierzchni, nie wchodząc w głębię? Co jest lepsze?

Istnieć, pogodzonym z naszym niedoskonałym światem, czy żyć niczym

pustelnik i być tak ponad dobro jak też ponad zło? Co jest esencją bytu?

Tymczasem... w sąsiednim ogrodzie starsza sąsiadka oprowadza wnuczka między grządkami, opowiada mu o roślinkach, gdy w tym samym czasie jej małżonek majstruje coś przy domu. Od drugiej strony już nikogo, tylko płachty prania załopoczą czasem przy silniejszych podmuchach wiatru. Jest jeszcze piesek wygrzewający się leniwie w słońcu, najpewniej jak ja spragniony jego promieni. Niewidoczne zza listowia starego orzecha ptaki świergoczą sobie ostatnie nowiny, zupełnie tak samo, jak dwie kobiety w dali na drodze, obydwie z siatkami pełnymi zakupów. Spokój...

Opieram się o krzesło, przyglądając się strojnej parze motyli tańczącej zalotnie nad kwiatami, by wreszcie na jednym z nich spocząć. Mój wzrok przesuwa się teraz bliżej, na kubek z nadrukiem obrazu van Gogha, na talerzyk czereśni i nowo zakupiony notes, w którym kontynuować będę zapiski. I nagle już wiem, co napiszę na jego pierwszej stronie. Jest dobrze. Żyję....

Zamknęłam pamiętnik i odłożyłam na nocny stolik. Odczytywanie starych zapisków zmęczyło nie tylko oczy i na razie nie otwierałam kolejnego notesu. Szczególnie końcowy fragment mnie poruszył, odświeżając w pamięci tamten letni dzień, jakby wydarzył się wczoraj. Niemal czułam w nozdrzach woń kwitnących wokół roślin, ale też wilgotną nutę świeżości, jaka niosła się z wiatrem od suszącego się prania. Pamiętałam ten kubek z nadrukiem i smak czereśni z naszego drzewa. Odtworzyłam twarze sąsiadów. Trudno mi było tylko utożsamić się z osiemnastoletnią Karolą.

Czy dzisiejsza Karola umiałaby napisać: „jest dobrze”? Z moim nieudanym życiem prywatnym, niepewnym statusem zawodowym i migrenami? Zaśmiałam się gorzko. Kimże się stałam, dokąd zaprowadziła mnie moja tułaczka i próby wtopienia się w szarą masę? Jedynym słowem, jakie mi się nasuwało na określenie mojej osoby, było „emigrantka”. Wyemigrowałam nie tylko geograficznie, odeszłam od dawnych marzeń, przekonań i cech łączących mnie z tamtą dziewczyną. Uświadomiłam sobie, ile straciłam z siebie samej.

Zaschło mi w ustach, więc podniosłam się z łóżka, by przynieść nową butelkę wody. Zapas stawiałam przy biurku i tam leżała papeteria. Zamierzałam napisać do Danuty, wstrząsnąć nią prawdą, zmusić do zmierzenia się z jej problemami. Teraz zrozumiałam, że nie mam do tego prawa. Jak to było w genialnym stwierdzeniu Jezusa? Kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamieniem...

Napiszę do samej siebie, zdecydowałam łapiąc za długopis, jednak nie wiedziałam nawet jak zacząć. Droga Karolo? Witaj Zagubiona? Przyszło mi na myśl inne określenie, „emigrantka”, pojedyncze słowo z jakże różnorodnym wydźwiękiem. Dla jednych było błogosławieństwem, dla innych stało się przekleństwem, zaś dla całej masy zwyczajną egzystencją, tyle że poza ojczyzną.

Słowo będące obietnicą, utratą złudzeń, losem. Pograżona w refleksjach, trochę bezwiednie napisałam je na czystej kartce.

Wpatrując się w nie, w pewnej chwili zaczęłam rozkładać je na części składowe. *Emigrantka*. Policzyłam litery, potem sylaby i nie wiedzieć czemu, zachciało mi się je poprzestawiać. Powstał pierwszy logiczny wyraz, potem drugi i trzeci. Pobudzona małym sukcesem, wyteżyłam umysł, doszukując się dalszych. Nie mogłam się nadziwić, jak dużo nowych słów można zbudować z tak niewielu literek. Wreszcie przerwałam, lecz rezultat i tak mnie zadowalał:

krata, magia, atak, ikra, karma, aria, garnek, agent, krem, trema, kareta, termin, nikt, kant, amant, matka, targi, magik, mit, trik, magnat, enigma, maniera, gram, Niemka, rana, gram, kran, Grek, materia, kat, maki, tak, nie, gitara, katar, nitka, granit, akt, migrena, gra, metr, gratka, kara, granat, arena, kraina, matnia, rak, namiar, ramka, kret, grat, mig, tran, renta, karta, tarka, remik, arak, taran, mantra, grat, era, mania, natka, gama, tank, ganek, kania, ranek, arka, meta, granie, mat, kamera, narta, miarka, nagi, gem, gen, marnie, anemia, akta, mirt, armia, kra, mina, tama.

Chociaż nie znalazłam dokładnego anagramu określenia emigrantka, nie to było ważne, lecz mnogość pojęć, które ono w sobie zawierało. Wybrałam te, które w jakiś sposób mnie dotyczyły, a było ich sporo. Z wieloma miałam jakieś skojarzenia, ale były i takie, które znałam tylko z definicji i nie łączyły się z niczym dla mnie ważnym. Wyłuskałam słowa pasujące wzajemnie do siebie, a zarazem jakoś sprzężone ze mną.

Matka, anemia, ramka.

Migrena, atak, matnia.

Kraina, enigma, mit.

Nikt, amant, agent, gra.

Hm... To wszystko miało jakiś sens? Miało być dla mnie wskazówką lub może potwierdzeniem, że podążam właściwą drogą? Dopatrzyłam się też słowa „nitka” i idąc tym śladem, próbowałam chronologicznie nanizac wyrazy pasujące do moich życiowych doświadczeń. Wyszły z tego nedorzeczności. Co prawda, Grek miał gitarę, a wierząc w *karmę migrena* mogła być *karą* za jakieś przeszłe uchybienia, lecz w ten sposób można by spekulować bez końca. Z tym dałam sobie spokój, jednak cztery rzędkie wypisanych słów prowokowały, aby nimi się zająć. Zastanowiłam się.

Matka, anemia, ramka. Podobno moja mama od młodości walczyła z anemią. Z kolei ramka z jej fotografią była niemal jedynym namacalnym łącznikiem pomiędzy nami. Jakkolwiek by na to patrzeć, dziwne, iż odzyskałam to zdjęcie, gdy udało mi się zdobyć dokładnie tę samą ramkę, w jakiej widniało przez całe lata. Czy musiałam najpierw stać się emigrantką, aby los powtórnie obdarował mnie pamiątką po mamie?

Migrena, atak, matnia. Ataki migreny bardzo często wywoływały we mnie przekonanie, że znalazłam się w matni. W żadnym innym położeniu nie czułam się tak marnie, zniewolona i bezsilna. Moje udręki z migreną zaczęły się na emigracji...

Kraina, enigma, mit. Gdyby nie inna emigrantka poznana za granicą, nigdy nie znalazłabym się w tej okolicy. Ha! Kraina z polaną, o której krążyły mity, pełna tajemnic, odludna. Enigmatyczny dom.

Nikt, amant, agent, gra. Spotkałam tu kogoś, kto przedstawił się jako nobody, więc jako nikt. Garbarkowa nazwała go amantem, moim zdaniem miał coś z tajnego agenta. I jeszcze osobliwa gra, którą ze mną prowadził, to zyskiwał moją sympatię, to mnie do siebie zrażał. Istniało jakieś powiązanie ze mną jako emigrantką? Tak? Nie? Dwa ostatnie słowa również znalazłam na liście.

Odłożyłam pokreśloną kartkę na bok, kiedy przypomniało mi się jeszcze jedno pojęcie. Pasowało do mojej listy, jednakże miałam pewne wahania, czy czegoś nie pokręciłam. W regale na niższym piętrze widziałam słowniki, był też wyrazów obcych, chyba jakieś starsze wydanie. Postanowiłam sprawdzić, czy takie słowo naprawdę istnieje i co dokładnie oznacza.

Zamieniłam szlafroczek na dres, ciepłe skarpety dopełniły reszty. Po drodze wstąpiłam do łazienki i rozczesałam włosy. Podrosły parę centymetrów i udało się zapleść je w warkoczyk. Wklepałam w skórę twarzy warstwę kremu, wcześniej zrobiony peeling podejrzanie ją zarumienił. Na niektóre kosmetyki reagowałam alergicznie, miałam nadzieję, że dołożony mi w aptecce jako próbka, do nich nie należał.

Armin kręcił się po części kuchennej, a nieporządek, jakiego tam narobił, wskazywał, że przymierza się do gotowania.

– Dzień dobry! – powitałam go cierpko i nie czekając na reakcję, udałam się w głąb pokoju.

Dogoniło mnie echo tak samo zdawkowej odpowiedzi. Kotek śpiący na kanapie zignorował mnie, być może był obrażony. Wyszukałam potrzebny mi słownik i usiadłam z nim przy oknie. Engram... Istniał taki termin. Co dziwniejsze, jego definicja zgrała się nawet z celem, jaki obecnie sobie wyznaczyłam.

Słowo to wywodziło się z greckiego *en* (wewnątrz) i *grámma* (zapis). To ślad pamięciowy, podstawa późniejszego odtwarzania zdarzeń; zmiana pozostawiona w korze mózgowej przez konkretne przeżycia i bodźce. Od razu zobaczyłam swój mózg jako labirynt, po którym przemieszczają się kolorowe punkciki, ciągnąc za sobą tej samej barwy ogon. Bezustannie krążyły, przecinały sobie drogę, wpadały w ślepe zaułki. Czy można było zapanować nad tym rozgardiaszem i prześledzić trasę chociażby jednego śladu? Zadanie wydało mi się niewykonalne. A jednak pojawiła się nadzieja, że nic z tego, co dotąd przeżyłam, całkiem nie zniknęło.

Moja obsesyjna niechęć do zmierzenia się z minionym stopniowo ustępowała ciekawości. Spotkania z Kingą i ciocią Genią, a teraz z pamiętnikami, wyznaczały moją nową trasę – drogę powrotu z emigracji, na którą skazałam się dobrowolnie, emigracji od siebie samej. W szufladzie biurka czekały kolejne notesy, a w moim umyśle zapisane niczym na twardym dysku – niezliczone engramy. Pierwsze miały siłę ożywienia drugich, a że było to możliwe, potwierdzały mi coraz częściej napływające wspomnienia.

Teraz jednakże nie było mi dane do nich powrócić. Odkładałam słownik na regał, kiedy usłyszałam zbliżającego się Armina. Przystanął kilka kroków ode mnie. Odwróciłam się i nie patrząc na niego, skierowałam się z powrotem ku schodom.

– Pogadajmy. – Zatrzymał mnie, wyciągając rękę.

– O czym? – Westchnęłam ciężko. – Znowu masz jakieś pretensje?

Nasze spojrzenia po raz pierwszy tego dnia się skrzyżowały i w jego oczach zobaczyłam łagodność. Zachwiało to moją koncepcją potraktowania go z góry.

– Wiem, przesadziłem... – przyznał ze skruchą. – Czasami palnę coś w nerwach, ale wcale tak nie myślę.

– W porządku. To wszystko? – spytałam chłodno.

– Niezupełnie. Usiądźmy proszę na moment. Może herbaty?

– Nie, dziękuję. Powiedz, w czym rzecz, i wracam do siebie. – Nie zamierzałam się z nim spoufalać.

Delikatnie pokierował mnie na fotel przy kominku. Wyglądał na zmęczonego, może czymś strapionego. Kiedy usiedliśmy, w milczeniu pocierał dłonią podbródek.

– Muszę wyjechać – oznajmił wreszcie. – Ruszam jutro z rana, nie będzie mnie dwa, może trzy dni.

– Do Warszawy? – zapytałam wprost.

– Tak. – Ku mojemu zaskoczeniu, potwierdził. – Muszę coś załatwić.

– Dobrze. – Wzruszyłam ramionami.

Zamilkliśmy. Wahałam się, czy wstać z miejsca, ponieważ on jakby jeszcze nie skończył. Patrzył na mnie życzliwie, lecz przy jego zmiennych humorach mogłam spodziewać się nagłego zwrotu. Tym razem pozostał na pokojowym biegunie, znów zdumiał mnie samokrytyką:

– Karolo, chodziłem ostatnio podminowany, reagowałem zbyt nerwowo. To ma związek ze sprawą, z powodu której wyjeżdżam. Wiem, że czasami trudno ze mną wytrzymać, ale liczę na twoją wyrozumiałość.

Wyraźne przeprosiny nie padły, lecz doceniłam samo przyznanie się do winy.

– Nie wyczerpałeś jeszcze całego limitu, ale wiedz, że niewiele już do tego brakuje.

– Będę miał to na uwadze! – Ośmielił się na uśmiech. – Dzięki.
– Pozostaje życzyć ci powodzenia, bo bycie piorunochronem dla twoich emocji i mnie sporo kosztuje! Powiesz mi, po co wyjeżdżasz?
– Misja specjalna! – uciał półzartem z tajemniczą miną.
– Cały ty. Unosisz kurtynę na parę centymetrów i zaraz ją spuszczasz!
– Tak będzie lepiej – odpowiedział spokojnie. – Zresztą, rozmawialiśmy już o tym. Polegaj na własnych, niczym nieskażonych obserwacjach!
– Nieskażonych?! Chyba żartujesz, złośniku!
– Nie zawsze nim jestem! A jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, mam nadzieję, że ciemna strona mojej natury rzadziej będzie dochodzić do głosu!
– Obiecanki cacanki.
– Czasami udaje ci się mnie poskromić...
– Ale jakim kosztem! Wolę nie ryzykować.
– A szkoda! – rzucił z tajemniczym uśmiechem.
– Chyba jednak napiłabym się herbaty. Siedz, ja zrobię! – Wyjściem do kuchni przerwałam dziwny rozwój rozmowy.

Niełatwo było znaleźć wolne miejsce na ladzie kuchennej, zalegały na niej produkty, garnki i inne utensylia. Czekaając na zagotowanie wody, z grubsza ogarnęłam bałagan. Przyniosłam dzbanek z herbatą i zapytałam Armina:

– Co gotujesz?
– Zupę gulaszową. – Odłożył na bok gazetę i wziął ode mnie szklankę. – Najlepiej smakuje z kluseczkami, ale najczęściej nie chce mi się ich robić, dorzucam ziemniaki w kostkę.
– Mogę zrobić kluseczki. Byle nie dla kompanii wojska!
– Nieczęsto gotuję, ale gdy już zabieram się do czegoś, wolę zrobić więcej!
– Powinieneś chyba mieć dużą rodzinę!
– Wystarczy pojemny zamrażalnik, jak ten na dole! Zupę też poporcjuję.
– Jest tam jeszcze bigos. I sporo innych zapasów. Nawet, jeśli mnie tu zasypie, z głodu nie umrę.

Zerknął na mnie i wstał, żeby dorzucić do ognia. Wracając na fotel, głośno rozważał:

– Nie wiem, czy nie byłoby lepiej, abyś na czas mojej nieobecności zamieszkała gdzie indziej. Może u Iry? Zresztą, to żaden problem wynająć pokój u kogoś w wiosce albo w uzdrowisku...

– Nie chcę – odparłam krótko. – Nie będę tu całkiem sama, jest jeszcze Remi.

– Też mi obrońca! Ale, wiesz co? Leśniczy codziennie tędy przejeżdża. Powiedzieć mu, aby zaglądał do ciebie?

– Nie widzę takiej konieczności. Może mnie zresztą nie zastać, na przykład pojutrze wybieram się do Domu Kultury. Jakby coś się działo, to mam jego numer

telefonu. Twój także.

– Ja będę daleko – zauważył. – I dość zajęty. Postaram się jednak ograniczyć pobyt w mieście do minimum. Załatwię, co mam załatwić i wracam. Przypuszczalnie w środę wieczorem. Przywieźć ci coś z Warszawy?

– Nie, dziękuję. – Nagrodziłam jego troskę uśmiechem, po sekundach jednak dodałam: – Chyba, że byłbyś w księgarni...

– Tak?

– Zapytaj proszę o jakąś pozycję na temat pamięci. Dokładnie chodzi mi o engramy, to takie...

– Wiem, co to są engramy. Ogólnie mówiąc, kody pamięciowe. Między innymi to dzięki nim działamy instynktownie. Zwierzęta również je mają.

– Zadziewiasz mnie! – Pokręciłam głową.

– To ty mnie zadziewiasz. Myślałem, że będzie to jakaś typowo kobieca potrzeba. Że poprosisz o jakiś kosmetyk, ciuszek albo przynajmniej o pączki od Bliklego.

– Mogą być i pączki! Wszystko inne jest tutaj bezkonkurencyjne. Próbowałaś kielbasę, którą ostatnio kupiłam? Nadzwyczajna! A szyneczka wiejska? Palce lizać!

– Przestań, bo robię się głodny! Dostyc odpoczynku, kuchnia wzywa!

Do degustacji zupy gulaszowej przystąpiliśmy dopiero o zmroku. Mój skromny wkład w postaci kluseczek łagodził ją oraz pozwalał mi delektować się nią bez wyrzutów sumienia. Natomiast nie trzeba było amortyzować żadnych napięć, ponieważ tak ja, jak i Armin byliśmy dzisiaj ucieleśnieniem zrównoważenia. Życząc mu dobrej nocy, dodałam:

– Załatw wszystko korzystnie i szybko wracaj!

Dwa dni później pożałowałam tych słów. Tymczasem odchodziłam na górę w nieświadomości ich wymowy oraz w przeczuciu, że będę chyba trochę tęsknić za Arminem.

Wiatr dawał upust złości biczami lodowatego deszczu ze śniegiem. Chodnikami uzdrowiska przemykali skuleni ludzie; dzisiaj wyszedł z domu tylko ten, kto musiał. Należał do nich ksiądz o nabrzmiałej, czerwonej twarzy, który mijając mnie, zmarszczył brwi, jakbym była czarną owieczką z powierzonych mu trzódki. Jeżeli odgadłam jego myśli, nie mylił się. Tak, odłączyłam się od jego stada, świadomie, z całą tego odpowiedzialnością i po to, by nie utracić resztek wiary w wyższego od tych, którzy mnie jej pozbawiali.

Ołowiane niebo nad miastem uczyniło je ponurym i opustoszałym, po raz pierwszy nie dostrzegłam żadnych turystów. Gdyby nie to, że zapowiedziałam się na próbę kółka Iry, nie przyjechałabym tu dzisiaj. Dotarłam do głównej ulicy, też niezwykajnie wyludnionej. Starsza pani idąca przede mną szarpała się z dużym psem na smyczy, przeszłam więc na drugą stronę. W niezamierzony sposób

znalazłam się przed sklepem z antykami. Podczas poprzednich wizyt w uzdrowisku parokrotnie zerkałam do środka, lecz niestety zawsze kręcili się po nim obaj sprzedawcy. Dzisiaj żaluzje w oknach były opuszczone, na drzwiach zobaczyłam kartkę z informacją, iż sklep będzie nieczynny cały miesiąc. Niespecjalnie tym się zmartwiłam, ponieważ absorbowwały mnie wydarzenia z mojej własnej przeszłości. Tajemnice wokół polany zeszły na dalszy plan.

Stałam jeszcze przed antykwariatem, kiedy zadzwieczał telefon. Wyświetlił mi się numer Danuty, więc odebrałam. Moja koleżanka wyrzucała z siebie chaotycznymi salwami:

– Przynajmniej raz zgłosiłaś się od razu! Bo ona tu była i pogadałyśmy sobie przy piwku! Wiesz, wcale nie jest taka zła, jak sądziłam, czasami ludzie zmieniają się na lepsze! Obydwie żałowałyśmy, że wyjechałaś tak szybko! A on mi zarzucił, że to przeze mnie, ale sam przecież ani razu z nami nie posiedział! Na pewno korzystał i latał wtedy do tamtej! Za to dzisiaj, kiedy zobaczył nas razem, to był taki przymilny i nawet przed chwilą odwiózł ją do domu. Właśnie z jej powodu dzwonię do ciebie! Karola, ty musisz wrócić! Trzeba z tym coś zrobić!

– Danka, przystopuj! Kochanka twojego męża była u was w domu?!

– Oszalałaś! Jaka kochanka?! Kinga przecież! Jesteś jej siostrą, powinnaś ją wspierać! Wiem, że między wami różnie bywało, nawet w najlepszych rodzinach to się zdarza! Kinga przyznała zresztą, że winę za to widzi także u siebie. Ale teraz nie jest tak silna jak dawniej, te ostatnie wypadki mocno ją podłamały. Ona potrzebuje twojej pomocy!

– Dosyć! – przerwałam Danucie. – Kinga miała fachową pomoc w klinice, ale jej nie chciała. Wypisała się stamtąd na własne życzenie!

– Wiem, wiem, mówiła mi! To przez tego lekarza, ciągle wypytywał ją o tamtego posła, chciał wiedzieć, jakie ma plany... Wcale jej się nie dziwię, że stała się podejrzliwa! Karola, przyjeżdż, nie odwracaj się od niej!

– Nie przyjadę! – odparłam stanowczo. – I nie podoba mi się, że Kinga posługuje się tobą, aby mnie do tego przekonać. Skontaktuję się z nią telefonicznie.

– Tylko nie zapomnij! Przyjemnie gawędziło nam się dzisiaj, brakuje mi szczerzej przyjaciółki...

W ostatnich słowach wyczułam przytyk do mnie, ale puściłam mimo uszu. Zakończyłyśmy rozmowę w tonie udawanej obojętności, chyba wzajemnie sobą zawiedzione. Danuta była spragniona towarzystwa kogoś, kto jej nie krytykuje. Moja siostra szybko pojęła, jak wkupić się w jej łaski. Opcja naglej przyjaźni nie wchodziła w rachubę, miałam powody, by nie wierzyć w metamorfozę Kingi. Zadzwoiłam pod jej numer domowy, lecz znowu nikt nie podniósł słuchawki.

Do próby były jeszcze trzy kwadransy, więc postanowiłam wstąpić gdzieś na obiad. Wybrałam znaną mi już restaurację o wnętrzu w stylu góralskim. Usiadłam przy tym samym stoliku, co podczas poprzedniej wizyty, przy oknie. Dzisiaj byłam

jedynym gościem, więc nie czekałam na danie.

Nie wiem, czy to miejsce, w którym poprzednim razem nieoczekiwanie spotkałam matkę Hani, czy też rozmowa o siostrze nakierowały moje myśli na przeszłość. Być może obydwie epizody, ponieważ odświeżyło mi się wspomnienie mające związek tak z jedną, jak i z drugą. W wypadku Kingi chodziło o pierwszą „matrioszkę”, jaką mnie uraczyła. Właściwie dopiero teraz połączyłam ją z historią, której doświadczyłam przed laty, w mieszkaniu Hani oraz jej matki.

Odwiedziłam je parę razy, podczas przyjazdów do rodzinnego miasta, gdy okazało się, że Hanna również z niego pochodzi. Koleżanka ze studiów uprzedziła mnie o odlotach swojej matki i już wkrótce miałam okazję przekonać się o tym. Ledwo ją poznałam, oznajmiła mi, że miewa sny prorocze i wizje. Pokazała mi kartki zapisane nieczytelnymi znakami, które tylko ona umiała odszyfrować. Twierdziła, że teksty powstały automatycznie, w natchnieniu danym jej z innego wymiaru. Potraktowałam to wszystko z przymrużeniem oka, lecz następnym razem zaskoczyła mnie mówiąc, że otrzymała przekaz dla mnie. Pod jakimś pretekstem ściągnęła mnie do kuchni i poczęła prawić rzeczy, od których włosy stanęły mi dęba.

Przypominałam sobie, że mowa była o podwójnej parze siostr, a w każdej z tych par jedna siostra nienawidziła drugiej. Może nawet nie same słowa mnie zatrzymały, gdyż ich treść była zbyt fantastyczna, ale głos tej kobiety i jej przenikliwy wzrok. Ten swoisty monodram przerwało wejście Hani, która szybko połapała się, w czym rzecz i zaczęła krzyczeć na matkę. Stałam się świadkiem awantury.

Opuściłam ich mieszkanie, lecz kobieta dogoniła mnie na klatce schodowej. Próbowała przekonać, że istnieje ściśle powiązanie otrzymanego przekazu ze mną i z moją rodziną.

– Twoja matka miała siostrę, która młodo umarła, ty też masz siostrę! Możesz jeszcze odmienić swój los! Posłuchaj mnie!

Nie chciałam jej słuchać, udało mi się wreszcie odejść. Hania przeprosiła mnie potem za zajście w jej domu. Jakiż czas później spotkałam jej matkę na ulicy i zachowywała się, jakby nic się nie stało. Uznałam, że albo jest chora, albo tamtym proroctwem chciała wyrzucić na mnie wrażenie. Miałam zresztą mocny atut, by jej nie wierzyć. Wbrew temu, co ona myślała, Kinga nie była moją siostrą, lecz jedynie moją kuzynką. Obecnie wiedziałam, że jednak jesteśmy siostrami, tak, jak i nasze matki.

Z sideł wspomnień ostatecznie uwolniło mnie wyjście na ulicę. Wietrzysko przybrało na sile i niełatwo było stawić mu opór. Dojście do Domu Kultury pozbawiło mnie sił, zaś powitanie szatniarza – złudzeń.

– Że też wybrała się pani w taką pogodę! Nie słyszała pani zapowiedzi? Od zachodu nadciąga potężna nawałnica! Będzie wiać coraz mocniej!

– Przyszedł do Ireny? – usłyszałam za sobą.

Kroki mężczyzny stłumiła wykładzina. Sylwester Spyra również nie miał dla mnie dobrych wieści:

– Próba odwołana. Irena pojechała odebrać córkę ze szkoły, już tu dzisiaj nie wróci. Nie dzwoniła do ciebie?

– Nie... czekaj, sprawdzę!

Wyjawszy z plecaka telefon, stwierdziłam, że jest wyłączony, wyczerpała się bateria. Sylwek wykazał się polotem i uprzejmością, oferując mi swój zgrabny aparacik, z którego połączyłam się z Irą. Była już w domu.

Dowiedziawszy się, gdzie jestem, zaproponowała, że po mnie przyjedzie. Uspokoiliam ją, że dam sobie radę, po czym się rozłączyłam. Trochę za wcześnie, gdyż Sylwester dopiero teraz powiedział:

– Zapomnij o autobusie, nie pojedzie! Spójrz na drzewa przed budynkiem, jestem pewien, że odwołano wszystkie kursy! Nikt nie będzie ryzykować!

– Przesadzasz, jakoś się dostanę! – bagatelizowałam, choć zaczynałam mieć pietra.

– Za taką niefrasobliwość płaci się dużą cenę... – Sylwester nie ustępował. – Karolo, będziesz musiała przeczekać wicherę w uzdrowisku! Nocleg to nie problem.

– Pan Spyra ma rację. Lepiej, żeby pani została w miasteczku – wtrącił szatniarz.

– Chodźmy, mamy tutaj telewizor! – Plastyk złapał mnie za łokieć. – Zaraz będą wiadomości, może to cię przekona.

Po ich obejrzeniu przeważył u mnie rozsądek. W krajach, gdzie przeszła bądź wciąż szalała wichura, odnotowano dużo wypadków, zatrwały obrazy zniszczeń. Nawałnica zbliżała się. Prognozy dla tego rejonu zakładały, że uspokoi się dopiero nazajutrz. Nawoływano do rozwagi i ostrożności.

– Wygląda, że muszę szybko poszukać sobie kwatery – stwierdziłam z ciężkim westchnieniem.

– Zajmę się tym! – obiecał Sylwester.

Zadzwoił do kogoś, uprzedzając, że wkrótce zjawi się z gościem. Zaraz potem wyjaśnił:

– To nieduży pensjonat na obrzeżach miasteczka, podrzucę cię tam. Prowadzą go moi znajomi, mają bardzo przystępne ceny. I są bardzo dyskretni.

Zignorowałam ostatnią uwagę, pytając:

– Jest tu gdzieś w pobliżu bankomat? Mam przy sobie niecałą stówkę. A musiałabym jeszcze kupić szczoteczkę i pastę do zębów, no i coś do jedzenia.

– Nie ma sprawy, załatwimy i to! – usłyszałam odpowiedź wspaniałomyślnie okraszoną uśmiechem, po czym wyszliśmy.

Na zewnątrz dmuchało jak cholera. Sylwester nie bez dumy podprowadził

mnie do swojego samochodu i przytrzymał drzwiczki, aż wsiądę. Potem przeszedł na swoją stronę i usiadł za kierownicą. Domyśliłam się, iż oczekuje pochwalenia wozu, więc uczyniłam to, w zamian otrzymując popis brawurowego startu z parkingu. Będąc ze mną sam na sam i we wnętrzu własnego pojazdu, ośmielał się na żenującą mnie zażyłość, na szczęście, tylko w słowach. Ni stąd, ni zowąd, zaczął mówić o swoim małżeństwie, lecz przerwałam wywód, prosząc, aby tego zaniechał.

– Irena na pewno niejedno mówiła ci o mnie – tłumaczył się. – Wiem, jaką mam u niej opinię, dlatego chcę, byś poznała fakty także z mojej strony.

– To nie ma dla mnie znaczenia. Jesteśmy tylko znajomymi, więc co ci tak na tym zależy?

– Może nie pozostaniemy tylko znajomymi... – rzucił, spoglądając w moją stronę.

Po moim ciele przebiegły podejrzone mrówki. Ten mężczyzna wywoływał u mnie ambiwalentne reakcje, których nie rozumiałam. Byłam skonsternowana, gdy zdawał się nie rozróżniać, co jeszcze wypada powiedzieć, a gdzie przekracza już granicę taktu. Jeżyłam się na bezpośrednie odzywki, kiedy asystował mi przy zakupach, o co wcale go nie prosiłam, ale nie potrafiłam mu tego zakazać. Zachowywał się, jakbyśmy byli parą planującą wspólne spędzenie weekendu. Bez pytania dorzucał rzeczy do koszyka, a gdy protestowałam, twierdził, że niepotrzebnie, gdyż za nie zapłaci. Sylwester irytował mnie i zaraz potem błyskawicznie rozśmieszał, i jak na ironię, w jego obecności czułam się dziwnie pobudzona. Mogłam naigrawać się w duchu z jego pyszałkowatości, mogłam przycinkami temperować jego podjazdy, lecz jednego już nie potrafiłam – zapomnieć, że jestem kobietą.

Pensjonat stał w szeregu sobie podobnych i na tle konkurencji wypadł trochę blade. Jego właściciele bez zbędnego gadania wręczyli mi klucz od pokoju na piętrze, po czym wycofali się do swojego mieszkania. Na moje pytanie, czy nie powinnam od razu uiścić za kwaterę, Sylwester stwierdził, że nie ma pośpiechu. Poprowadził mnie na górę, przy okazji wnosząc zakupy. Nie spodziewałam się zastać luksusów, stąd po otwarciu drzwi mile zaskoczył mnie widok telewizora. Do pokoju przylegała maciupka łazienka z kabiną natryskową, co podwyższało poziom ogólnie nieciekawej kwatery i jednocześnie mnie uspokoiło, że nie będę zmuszona latać nocą po obcym domu.

Wyraziłam Sylwkowi swoją wdzięczność; mogło być dużo gorzej. On tymczasem zerknął na zegarek, a potem za okno i stwierdził, że musi jechać. Przyjęłam to z ulgą, bowiem po tym, jak się zachowywał i co o nim słyszałam, miałam obawy, że będzie przedłużać swoją wizytę.

W sukurs przyszedł mi chyba żywioł, który dawał upust wściekłości, zacinając deszczem o szyby. Skorzystałam raz jeszcze z jego telefonu i

powiadomiłam Irenę, że zostanę na noc w uzdrowisku. Pochwaliła moją przezorność, nie pytając o więcej, choć dobrze wiedziała, z czyjej komórki dzwonię.

– Wynudzisz się tutaj sama – prorokował Sylwester na odchodnym.

– Skądże! Pooglądam telewizję, mam też gazetki – odparłam z uśmiechem.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, właściciele pozwalają korzystać z kuchni.

Tutaj są tylko szklanki na zimne napoje, znajdziesz je na półce w szafie.

– W zupełności mi wystarczą – zapewniłam, nie dociekając, skąd on to wszystko wie. – Dziękuję ci, Sylwku.

– Nie ma za co! – odpowiedział przeciwnie do satysfakcji w oczach, a gdy już przymykałam drzwi, rzucił: – Do zobaczenia!

– Bywaj!

Nęciło mnie rzucić się na łóżko, lecz najpierw musiałam rozpakować reklamówkę. Oprócz niezbędnych rzeczy do higieny osobistej kupiłam trochę łakoci, kartonik napoju i trochę jedzenia. Ze zdumieniem odkryłam w torbie dwie butelki wina, za które zapłacił Sylwester. Chyba zapomniał je zabrać, co znaczyło, że będę zmuszona jakoś mu je dostarczyć. Na razie nie zaprzętałam sobie tym głowy.

Włączyłam telewizor. Bez usterek odbierał tylko dwa publiczne kanały i jakiś lokalny. Ucieszyłam się, gdyż na polanie nie miałam nawet tego. Zdecydowałam, że wezmę natrysk i położę się do łóżka. Kwadrans później przykryta dwiema kołdrami podgryzałam batoniki, przeglądając stronicę kolorowych czytadeł.

O siedemnastej skupiłam się na wiadomościach. Odnotowano pierwsze ofiary wichury i przestrzegano przed najbliższą nocą. Moją uwagę przyciągnęła kolejna informacja; dopiero po chwili skojarzyłam fakty i w okamgnieniu połączyłam je... z wyjazdem Armina! Warszawa, porachunki gangsterskie, zabójstwo w biały dzień. Człowiek, który został zabity jednym celnym strzałem, był zamożnym biznesmenem znanym policji z kontaktów z kręgami przestępczymi. Błyskawiczna akcja organów ścigania nie przyniosła na razie żadnych rezultatów, utrudniała ją również fatalna pogoda. Rzecznik prasowy policji oznajmił, że zuchwały zamach musiał być dobrze zaplanowany, gdyż wszystko odbyło się błyskawicznie i właściwie bez świadków.

Moje serce zamieniło się w histeryczną piłeczkę pingpongową. Nakazywałam sobie spokój, wmawiałam, że mogę mylić się w swoich przypuszczeniach, jednak przeczucie podpowiadało mi, że znalazłam się niebezpiecznie blisko prawdy o Arminie. Czyżby był człowiekiem do „misji specjalnych”, jak określił sprawę, którą zamierzał szybko załatwić i znów skryć się na odludziu? A co z jego pobytem w Kenii, czy wtedy także otrzymał specjalne zlecenie? Nie miałam żadnych dowodów, jedynie poszlaki, lecz styl jego życia, w

którym mógł sobie pozwolić na miesiące beczynności, i kosztowny samochód sugerowały nieuczciwe metody zdobywania pieniędzy. Najmocniej jednak obciążało go robienie tajemnicy z nazwiska oraz z miejsca swojego obecnego pobytu. Tylko człowiek mający coś na sumieniu mógł tak się zachowywać.

Podniosłam się z łóżka, musiałam czegoś się napić. Na półce w szafce odkryłam lampki do wina i korkociąg. Postanowiłam otworzyć butelkę kupioną przez Sylwestra. Mogłam mu ją później odkupić, a moje nerwy potrzebowały ukojenia. Sprawnie poradziłam sobie z wyjęciem korka i chwilę później sączyłam wytrawny, bordowy trunek. Nie liczyłam na to, że dojdę do jakiejś sensownej konkluzji, lecz przynajmniej opanowałam wewnętrzny niepokój.

Tymczasem nie miałam żadnego powodu do obaw, nie zagrażała mi ani wichura, ani równie nieprzewidywalny współlokator. Światło nocnej lampki skrywało niedoskonałości pokoju, włączony telewizor przydawał mu życia. Patrzyłam na ekran, lecz myślami biegłam w stronę Armina; rozpamiętywałam zdarzenia minionych, wspólnych tygodni, jego zmienne nastroje, wyciszenie się alkoholem. Przypomniałam sobie, że ostatnie humory tłumaczył podenerwowaniem przed sprawą, którą musiał załatwić. Nie znosiłam takich niedopowiedzeń i eufemizmów. Zakrywały prawdę woalką politycznej poprawności, wprowadzały w błąd. Z terrorystów czyniły wojowników o wolność, ze złodzieiów spryciarzy. Pobyt z Arminem pod jednym dachem wydał mi się tak samo ryzykowny, jak dobrowolne wystawienie się na żywioł.

Ktoś jednak go zlekceważył; przez wycie wichury przebił się do mnie odgłos auta podjeżdżającego pod pensjonat. Potem usłyszałam kroki na korytarzu, które ucichły przed drzwiami mojego pokoju. Zanim Sylwester zastukał, domyśliłam się, że to może być tylko on.

– Karola?

Zawahałam się, czy nie udawać, że śpię, lecz godzina była wczesna, w pokoju paliło się światło. Silniejsze już pukanie zmusiło mnie do wstania z łóżka.

– Chwileczkę! – Zaczęłam się pospiesznie ubierać.

Uchyliłam drzwi, zagradzając wejście ciałem. Sylwester z zuchwałym uśmiechem opierał się o framugę.

– Nie zaprosisz mnie do środka? – Patrzył uwodzicielsko.

– Po co przyjechałeś? – zapytałam wprost.

Mój ton zmieszał go lekko, jednak szybko nadrobił to miną i półszepem odpowiedział:

– Dokończyć zaczęte...

– Niby co?

– A chociażby... wino! – Wskazał podbródkiem na coś za mną.

Musiał dostrzec otwartą butelkę na nocnym stoliku, więc teraz ja trochę się spieszyłam. Wykorzystał ten moment, naciskając dłonią na drzwi, a na mnie

słowami:

- Zaczęłaś beze mnie... pozwól, że dołączę!
- Zwrócę ci za wino! – Udało mi się zapanować nad głosem i przeszkodzić mu wejść do pokoju. – Nie gniewaj się, ale wolę zostać sama. Wracaj do domu.
- Wracać? No, co ty?!
- Owszem, dobrze słyszałeś. Co to w ogóle za pomysł zjawiać się tu o tej porze! – Wzruszyłam ramionami.
- Nie stawiaj się tak, Karola! Może być miło! – Czarował mnie spojrzeniem.
- Nie wątpię. I zapewne mogę liczyć na twoją dyskrecję.
- Jak najbardziej. – Nie łapał mojego sarkazmu.
- Wybacz, ale pomimo to nie skorzystam.
- Rzykowałem dla ciebie, przyjeżdżając tutaj, a ty jesteś taka okrutna! Na dworze istny orkan!
- Właśnie, szkoda twojego pięknego wozu... powinien chyba stać w garażu!
- Drocysz się zemną! Zresztą wcale nie muszę cię prosić.
- Co masz na myśli? – Podejrzewałam, że zaraz rzuci coś obraźliwego.
- To jest mój pokój. Wynajmuję go na stałe, więc jesteś tutaj moim gościem – oświadczył, po czym zmienił tonację głosu na cieplejszą. – Karolo, wpuść mnie do środka! Sama podczas takiej wichury... na pewno się boisz... a ja z przyjemnością dotrzymam ci towarzystwa!
- Nic z tego! – Zaśmiałam mu się w nos. – O pokoju należało wcześniej mnie uprzedzić! Mogę zresztą poprosić o inny, jak sądzę, nie będzie z tym problemu!
- Dobrze, dobrze, żartowałem...
- Sylwester, idź już! – powiedziałam twardo. – Nie zaproszę cię do środka. To nie są żadne gierki z mojej strony. Mówię poważnie, wracaj do domu i zapomnijmy o wszystkim!
- Nieoczekiwanie nachylił się ku mnie w próbie pocałunku, ale zdążyłam w porę się odsunąć.
- Nie to nie! Nie zwykłem prosić, a jeśli lubisz być brana siłą, masz pecha, bo mnie to nie kręci!
- Jego stopa wstawiona za próg uniemożliwiła mi przymknięcie drzwi, mogłam tylko liczyć na jego dobrą wolę. Patrzyłam na Sylwka z niecierpliwym oczekiwaniem. Nie cofał nogi, jakby z nadzieją, że ulegnę jego zalotom i zmienię zdanie. Milczałam wymownie, więc on przemówił:
- Być może źle zinterpretowałem twoje zachowanie. Wydawało mi się, że chcesz, abym wrócił...
- W żadnym razie!
- A jeśli nie będzie drugiej szansy? – Jego wyniosły ton mógł mnie tylko rozśmieszyć.

– Jakoś to przeżyję. – Wzięłam głęboki oddech. – Rano zwolnię ci pokój pod inne podboje, a teraz, bardzo cię proszę, zostaw mnie już samą!

Nareszcie zrozumiał, że nic nie wskóra. Postawił kołnierz kurtki i zegnając mnie uwodzicielskim spojrzeniem, powiedział:

– Bardzo żałuję i wiem, że ty też będziesz żałować... zanim jeszcze osuszysz tę butelkę. Ale cóż, mówi się trudno. Dobrej nocy, Karolo!

Pajac! Domknęłam drzwi i przekręciłam w nich klucz. Sylwester odszedł, a ja nie umiałam się przemóc, aby się rozebrać. Na myśl o przeznaczeniu tej garsoniery, a zwłaszcza znajdującego się w niej łoża poczułam mdłości. Zza okna doleciał do mnie odgłos zapuszczanego silnika, lecz prawdziwie odetchnęłam z ulgą dopiero, kiedy samochód odjechał.

Oglądałam telewizję, siedząc na fotelu, jednak było mi niewygodnie i zimno. Położyłam się do łóżka w ubraniu, ściągnęłam tylko buty. Mimochodem rozmyślałam o tym, co zaszło, czy przypadkiem nie sprowokowałam czymś Sylwka? Wydawało mi się, że choć starałam się być miła, czytelnie poskramiałam jego samcze zapędy. I na pewno nie żałowałam, że noc spędzałam samotnie. Nie po to rozstałam się z Timem, by wchodzić w desperackie amory z prowincjonalnym Romeo. Pomimo to w jakiś zagadkowy dla mnie sposób poruszył strunami mojej zmysłowości. Przed świtem zapadłam wreszcie w drzemkę, a przebudziwszy się, stwierdziłam ze zgrozą, że śniłam erotycznie... o sobie i Arminie. To przez te wiadomości w telewizji, usprawiedliwiłam w myślach absurdalność zapamiętanych scen, choć ich bohater nie miał w sobie nic z gangstera.

Rankiem byłam wyczerpana i zła. Doprowadziłam do ładu pokój i siebie, po czym zeszałam na dół. Właścicielce domu oddałam klucz, lecz nie chciała przyjąć pieniędzy. Oszacowując mnie rybimi oczami, wymamrotała, że rozlicza się z panem Spyry. Obstawałam przy swoim, by uregulować należność za nocleg, więc podała mi cenę. Potrzebowałam kawy, ale tutaj nie chciałam jej pić. Od pieca unosiła się nieprzyjemna woń gotujących się podrobów, przeznaczonych chyba dla dwóch brzuchatych kundli, które natrętnie obwąchiwały moje buty.

Wyszłam na zewnątrz. Jasność ujawniła całą szpetotę pensjonatu oraz niewspółmierną do niej nazwę „Perła”. Nie znałam tej dzielnicy uzdrowiska, więc do centrum skierowałam się na wycucie. Po kwadransie wędrówki rozpoznałam znajomy park. Skręciłam w alejkę; już od rana pracowała tu ekipa usuwająca szkody, a tych było niemało. Na drózkach zalegały konary i walały się połamane gałęzie.

Przed Domem Kultury nie dostrzegłam samochodu plastyka, natomiast stało groszkowe maleństwo Iry.

Postanowiłam wstąpić na kawę, potrzebowałam dobudzenia umysłu, wciąż nie całkiem skoordynowanego z ciałem. W szatni nikogo nie było, a kiedy weszłam

do pustawej kawiarni, ciśnienie podniosło mi się samoistnie. Przy narożnym stoliku zobaczyłam Irenę i Spyre! Podniósł się właśnie z miejsca i skierował ku wyjściu; mój widok go zaskoczył. Dochodząc, zapanował już nad mimiką i powitał mnie:

– Dzień dobry! Chyba nie najlepiej spałaś... – dorzucił trochę złośliwie. – Muszę lecieć, szefowa wzywa.

Było mi to bardzo na rękę. Moja koleżanka również mnie zauważyła; miałam wrażenie, że przygląda mi się uważniej niż zwykle.

– Cześć! Zamówię tylko kawę i wracam! – Cmoknęłam Ire w policzek.

Skinęła głową i uśmiechnęła się. Chwilę później gawędziłyśmy pochylone nad filiżankami. Opowiedziałam, jak doszło do tego, że znalazłam się w pensjonacie, pomijając informację o pokoju schadzek plastyka, gdyż ta była drugorzędna.

– Jak tam po wichurze droga do wioski? – zapytałam. – W parku obraz jak po bitwie.

– Droga w porządku, ale w ogrodzie teściów zwało się duże drzewo. Niewiele brakowało, by runęło na dach domu! Dawno mówiłam, że należy je ściąć!

Rozgadała się na ten temat, po czym z rozpędu streściła relacje z mediów. Nie podano żadnych nowych informacji dotyczących zabójstwa w Warszawie, więc wywnioskowałam, że sprawcy lub sprawców nadal nie ujęto. – Wracam na polanę! – odparłam na pytanie Iry o moje plany. – Jestem trochę niespokojna o dom, oby tylko wszystko było w porządku...

– To tam nikogo nie ma? – Spojrzała na mnie pytająco.

Szukałam usilnie odpowiednich słów, lecz działanie kawy było chyba za słabe, do głowy nie przychodził mi żaden wykręt. W zasadzie miałam dosyć lawirowania, uznałam więc, że powiem prawdę.

– Nie, mój towarzysz wyjechał.

– Towarzysz? – Roześmiała się. – A co to za określenie?!

– Zwał jak zwał, dzisiaj powinien wrócić. Do twojej wiadomości, Irena... My tylko przypadkiem jesteśmy tam razem. Dostaliśmy klucze niezależnie od siebie, jakoś się dogadaliśmy i ma to swoje korzyści. Prosił, aby nie rozmawiać na jego temat, więc rozumiesz...

– Jasne! – Pokiwała głową, śmiejąc się głośno: – To mi wiele tłumaczy! Wiesz, dziewczynki ubzdurały sobie, że jesteś jego narzeczoną!

Lekko mnie ubodło, że taka wizja była dla niej zbyt fantastyczna, ale cieszyłam się, że zostało to wyjaśnione. Naszą rozmowę przerywał sygnał komórki Iry. Musiała wracać do pracy. Pożegnałam się z nią, obiecując, że spotkamy się najdalej za tydzień, na kolejnej próbie spektaklu. Gdy wychodziłam, zatrzymał mnie szatniarz.

– Mam tu coś dla pani!

Z porozumiewawczym mrugnięciem oka wręczył mi kopertę. Nie była

zaadresowana, nie miała też nadawcy; rozerwałam ją po wyjściu na zewnątrz. Znalazłam w niej kartkę z reprodukcją obrazu Jana Vermeera „Dziewczyna z perłą”, zaś na odwrocie widniało tylko jedno słowo:

„Przepraszam”. Byłam pewna, że stał za tym Spyra. Nikt inny nie miał powodu prosić o wybaczenie, ponadto alegoria do nazwy pensjonatu była klarowna. Ten symboliczny wyraz skruchy zaliczyłam mu na plus.

Na polanę szłam z duszą na ramieniu, ponieważ po drodze widziałam ślady zniszczeń. Gdy wreszcie dotarłam wyżej i zobaczyłam ogród, wyglądał, jakby przeszła po nim mała trąba powietrzna. Dom wydawał się cały, tylko jedna z naderwanych okiennic zwisała w żalonym bezruchu. Coś stało się też z zadaszeniem, pod którym magazynowało się drwa: jakby się zapadło. Z drugiej strony domu nie dostrzegłam żadnej zmiany, jedynie furtka była otwarta na oścież. To upewniło mnie, że Armin jeszcze nie wrócił, na pewno by ją przymknął.

Za drzwiami oczekiwał mnie tylko Remi. Miauczał i ocierał się o moje nogi.

– Biedaczkę! – pogłaskałam go. – Wyobrażam sobie, co tutaj przeżyłeś!

Przypuszczałam, że w górach wichura szalała mocniej niż w dolinie i że ja również najadłabym się strachu.

Do końca dnia trwałam w podskórnym oczekiwaniu na odgłos klucza w drzwiach. Armin nie wrócił. Może policja wpadła na jego trop i zaszył się gdzie indziej?! Zakiełkowana myśl wyrosła w mojej głowie chwastami niedobrych wizji. Gdy wrywałam jedno, natychmiast pojawiały się nowe, jeszcze bardziej zatruwające mój spokój. Uzmysłowiłam sobie nagle, że mogę już nigdy więcej go nie zobaczyć.

Brakowało mi go, być może miało to jakiś związek z moim snem, gdyż jego fragmenty wciąż wracały. Przede wszystkim tęskniłam jednak za zwykłą obecnością Armina, za jego spojrzeniami, barwą głosu, pichceniem w kuchni, a nawet za jego melancholią. Było to o tyle dziwniejsze, że – jak rzeczowo wyjaśniłam Irze – łączyły nas tylko ściany tego domu. Skąd więc ta nagła zmiana? Umiałabym wyliczyć całą listę rzeczy, które drażniły mnie u niego, a jednak teraz, gdy przebywał daleko, stały się nagle nieistotne. Gdzieś w głębi ducha wierzyłam, iż z jego strony nic mi nie zagraża. Nic? Najwyżej kolejne rozczarowanie.

– Nie było mnie raptem jedną noc dłużej, a ty już robisz mi wymówki! Mówiłem przecież, że załatwię coś i wrócę!

– To nie wymówki. Niepokoiłam się... ta nawałnica. – Przemilczałam wichry spekulacji we mnie. – Dzisiaj nawet specjalnie poszłam za lasem, żeby sprawdzić, czy nie wysłałeś mi wiadomości.

– Niepotrzebnie – mruknął, ściągając buty.

– Przepraszam, zapamiętam na przyszłość! Fajnie, że znów jesteś... sobą! – dorzuciłam złośliwie.

Ganiłam siebie w myślach, że niepotrzebnie od drzwi wyskoczyłam ze swoją

troską. Zauważyłam, że wrócił w podłym nastroju. Jak głupia dostarczyłam mu jeszcze pretekstu, by mógł wyżyć się na mnie. Sama też byłam podminowana, jak zawsze przed miesiączką. Chyba dlatego, zamiast pozwolić mu odejść, nadal jątrzyłam:

- Czyżby w Warszawie nie wszystko poszło po twojej myśli?
- O czym ty mówisz?
- Sam sobie odpowiedz! – rzuciłam, patrząc mu hardo w oczy.
- Co wiesz? – Stężał.
- Mam w nosie twoje sprawy, chodzi mi tylko o twoje zachowanie!
- Nic nie rozumiesz.
- Oczywiście, że nie, bo i skąd? – Zaśmiałam się kpiąco.

Przyszywał mnie spojrzeniem, jakby ważył następne kroki. Nagle miałam już dosyć porywek i łagodniejszym tonem zaproponowałam:

- Armin, dajmy już temu spokój! Nie jestem twoim wrogiem.

Nie spuszczał ze mnie wzroku, i kiedy myślałam, że nie powie nic więcej, nagle oświadczył:

- Masz rację, niepotrzebnie się czepiam.
- Naprawdę się martwiłam.
- Nie pomyślałam, zajmowało mnie coś innego. Odpocznę trochę, jeśli pozwolisz, jestem skonany.

Odwrócił się i poszedł na górę. Zaparzyłam sobie rumianek. Wcześniejsza konfrontacja, choć niebezpiecznie bliska konfliktu, tylko na krótko wytrąciła mnie z równowagi. Teraz byłam na powrót opanowana i wcale nie urażona. Chyba rzeczywiście przywykałam do zmiennych nastrojów Armina. Oboje mieliśmy w sobie dużo przewrażliwienia i dumy, więc o pokój między nami należało stale zabiegać. Pomimo obopólnych chęci i zawartych kompromisów nic w naszych stosunkach nie było oczywiste.

Po godzinie Armin zszedł na dół i zapowiedział, że uporządkuje trochę ogród. Jak dostrzegłam przez szybę, zajął się tym z godnym uznania zapałem. Sprzyjała mu bezwietrzna aura, lecz śniegu w ogrodzie wciąż było dużo, utrudniał poruszanie się. Potem zaczęły dochodzić stamtąd tępe, regularne odgłosy, reperował chyba daszek. Wyszłam na balkon.

Moją uwagę przykuła niecodzienna ostrość barw na niebie. Żółtoczerwony zachód rzucał się łuną na białą połąć polany, podświetlając kontury skałek w oddali. Zdawały się mnie przywoływać, nie mogłam oderwać od nich wzroku. Ucichła przed zmierzchem przyroda spotęgowała mój niepokój, będący zarazem przecuciem, że natura szykuje nam kolejne niespodzianki. Przebiegły mi po karku dreszcze. Wychyliłam się poza balustradę. W dole dostrzegłam Armina z młotkiem w ręku.

- Chyba wystarczy na dzisiaj? – zawołałam. – Nie jesteś głodny?

– Zaraz przyjdę! – Uśmiechnął się do mnie.

Sprawdzona metoda pozbywania się złych emocji przez wysiłek poskutkowała w jego wypadku. Wróciłam do środka. Radiowa prognoza pogody potwierdziła moje domysły. Na najbliższą noc zapowiadano dla tego rejonu nawałnice i burze. Jak to?! Przecież wichura już przeszła! Zaraz jednak skarciłam się w duchu, nikt mi przecież nie kazał mieszkać na takim odludziu. Przypomniałam sobie o naderwanej okiennicy w moim pokoju, podczas wiatru mogła dawać się we znaki.

Przygotowana przeze mnie potrawa zyskała uznanie współlokatora, poprosił nawet o dokładkę. Prowadziliśmy ogólnikową rozmowę i trochę tęskniłam za Arminem sprzed wyjazdu do Warszawy. Miałam poczucie, że na nowo musi do mnie przywyknąć, a ja znów zdobyć jego zaufanie.

Po obiedzie ośmieliłam się wspomnieć o uszkodzonej okiennicy.

– Zauważyłem z ogrodu, że trzeba ją naprawić. Odsapnę chwilę i zejdę po skrzynkę z narzędziami.

– Zrobisz to jeszcze dzisiaj? Świetnie, nie mogłabym w nocy zasnąć!

Podzieliłam się informacją o pogodzie. Wcale go to nie poruszyło, strach przed burzą był mu nieznany. Poszłam na górę i naprędce uporządkowałam pokój, który pozostawiłam w pewnym nieładzie. Drzwi zostawiłam uchylone, mimo to Armin zapukał. Rozejrzał się, jakby był tutaj po raz pierwszy.

– Nie chciałabyś trochę przemeblować pokoju? Przecież biurko stoi w takim miejscu, że chyba wcale z niego nie korzystasz?

– To prawda – przyznałam. – Wolałabym je mieć pod oknem, byłoby jaśniej. A wersalkę i stolik chyba pod ścianą ze skosem. Pomożesz mi?

– No pewnie. Najpierw jednak okiennica.

Po otwarciu okna w pomieszczeniu zrobiło się zimno, włożyłam gruby sweter. Moja obecność okazała się niezbędna, ponieważ musiałam przytrzymać skrzydło okiennicy, kiedy Armin przytwierdzał zawiasy. Nie dało się tego zrobić inaczej, jak w zbliżeniu do siebie, co jednak miało ten plus, że wróciła dawna swoboda. Armin pozwalał sobie nawet na żarciki, na przykład niby pilnując, abym nie wypadła za okno. Nie byłam dłużna i odpowiadałam w tym samym, nieco trywialnym stylu.

– Nie gadaj, tylko dokręcaj, bo nie chcę tu sterczeć do nocy! – stękałam.

– Właśnie skończyłem! – oznajmił z dumą, odkładając śrubokręt.

Wzięliśmy się do przemeblowania pokoju. Przesuwanie sprzętu wspólnymi siłami poszło nam sprawnie. Zadyszana, rozglądnęłam się po pokoju, efekt mnie zadowolił, zatem inicjatora obdarzyłam uśmiechem.

– Będzie jakaś nagroda?

– Hej, pomysł wprowadź swój, ale pociliśmy się razem!

– Masz rację. W takim razie wspólnie zrekompensujmy sobie trudy!

Proponuję odpoczynek przy kominku. Ale najpierw kąpiel! – Uraczył mnie nagle zagadkowym spojrzeniem, które rozszyfrowałam, gdy dodał: – Też możemy razem...

- Nie, dziękuję! – Zaśmiałam się, kryjąc zmieszanie.
- Mogłem się spodziewać, że stchórzysz! – Bawił się sytuacją.
- Jestem po prostu przewidująca!
- Nic ci z mojej strony nie grozi! To jak? Lubisz z pianą? – Nie ustępował.
- Nie zgrywaj się, wiem, że znowu mnie tylko testujesz! – zarzuciłam mu, nadrabiając miną, jakbym przyłapała go na podstępnie.
- Ależ skąd! Potrzebuję odprężenia...
- ...po misji specjalnej? – wysnęło mi się.
- Dobra, skończmy na tym. – Jego opanowany ton był zaprzeczeniem tego, co dostrzegłam w spojrzeniu.
- Jasne, bo przecież to zawsze ty decydujesz, kiedy koniec! – przycięłam mu jeszcze.

Wbrew moim przewidywaniom, nie odezwał się więcej.

- Dziękuję za pomoc! – rzuciłam, gdy zniknął za drzwiami.

Na to również nie zareagował. Kiedy po jakimś czasie zeszłam na dół, zastałam go w ponurym nastroju i już przy winie. Ostentacyjność jego postawy wywołała we mnie bunt, ale zdusiłam w sobie chęć prowokowania go docinkami. Bolała mnie głowa, chyba spadało ciśnienie. To ostatecznie przekonało mnie, że nie ma sensu męczyć się w towarzystwie naburmuszonego faceta. Zresztą, Armin w żaden sposób nie zachęcił mnie do tego. O kąpeli też chyba zapomniał, więc to ja zajęłam łazienkę, po czym wcześniej położyłam się do łóżka. Remi lojalnie udał się tam ze mną.

Obudziłam się w środku nocy, wiedząc, że coś musiało być tego powodem. Chwilę później pokój rozświetliła błyskawica, po której walnął ciężki grzmot; wkrótce dogoniły go następne. Burza. Po niebie z rumorem toczyły się ogromne głązy, a echo powtarzało odgłosy, bez końca odbijając je od gór. Nakryłam głowę jaśkiem i próbowałam zasnąć, niestety, szaleństwo za oknem nie pozwoliło na to.

Byłam tu bezpieczna?! Znajdowaliśmy się na wysokiej, górskiej polanie, dom był w dużej części drewniany i niejako dobrowolnie wystawiał się na cel uderzeń. Nie wiedziałam nawet, czy jest tutaj piorunochron.

Zapaliłam lampkę przy łóżku; kot podniósł zaspany łeb i zerknął na mnie z urazą. Burza nie zrobiła na nim wrażenia, zmienił pozycję i spał dalej. Ja mogłam zapomnieć o spaniu. Na stoliku nocnym leżał mój stary notes; otworzyłam go w miejscu, gdzie przerwałam czytanie.

Wpisy z tego okresu odróżniały się od wcześniejszych. Konsekwentnie trzymałam się założenia, aby dopasować się do świata i nie stawiać za dużo pytań. Skupiłam się na opisach codzienności, na moich relacjach z innymi, w tym również

z Kingą. Być może był to zwiastun nowego stylu życia. Wybierałam się na studia, miałam opuścić dom rodzinny, bliskich mi ludzi.

Za oknami wałęsało gdzieś całkiem blisko. Remi zamruczał z pretensją, ja nie miałam komu się poskarżyć. Chciało mi się pić, ale błyski piorunów powstrzymywały mnie przed wstaniem z łóżka. Niestety, minęła też moja senność, więc zaczęłam czytać. Ciemność nastąpiła nagle, bez żadnego uprzedzenia wcześniejszym migotaniem żarówki. Miałam nadzieję, że poszły korki, niekiedy wybijały bez wyraźnej przyczyny. Zapytany o to Garbarek uraczył mnie mądrością, że korki po to są, żeby wybijać.

Wiedziałam, że znajdują się w skrzynce z licznikami, gdzieś na dole. Obudzić Armina? Nie byłby zachwycony, i mógłby to znowu odebrać opacznie. Wahałam się, czy może poczekać z tym do rana, lecz przypomniałam sobie o pełnym zamrażalniku. Postanowiłam sprawdzić korki. Zapaliłam latarkę i wyszłam na korytarz.

Stąpałam ostrożnie, krok za krokiem, jedynie skrzywienie schodów było nie do opanowania. Armin spał twardo, natomiast zbudził się kotek i cicho miaucząc, szedł za mną. Dla pewności zajrzałam do kuchni, tutaj też nie było światła.

Przy okazji napiłam się wody i skierowałam w stronę schodów prowadzących na najniższy poziom domu. Dotarłam na dół bez szwanku. Ale gdzie są liczniki? Snopem latarki przebiegłam po ścianach, jednak nie umiałam znaleźć niczego, co wyglądałoby na ich obudowę. Może w mieszkaniu obok? Tam również ich nie było, podobnie w łazience. Pozostała tylko piwnica.

Gdy uchyliłam ciężkie drzwi, powiało lodowatym, stęchłym powietrzem. Na zejście starymi kamiennymi schodami zabrakło mi odwagi, nie byłam tam nawet za dnia. Wtem odkryłam skrzynkę z licznikami. Znajdowała się jednak w holu, powyżej wejścia do piwnicy. Wisiała niestety wysoko, nawet wspinając się na palcach, nie zdołałam otworzyć drzwiczek. Chcąc nie chcąc, udałam się do mieszkania naprzeciw, by poszukać czegoś, na czym mogłabym stanąć. Znalazłam taboret. Jedną dłonią przytrzymując się framugi, bo w drugiej miałam latarkę, weszłam na niego. Nagle stółek zachybotał i w ułamku sekundy straciłam równowagę. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałam, było to, że spadam.

Mijanki

Czas kpił sobie ze mnie. Wodził mnie labiryntem według swojego widzimisię, ujawniał nowe przejścia lub popychał w ślepy zaułek. W przebłyskach świadomości docierało do mnie, że to wszystko nie może dziać się naprawdę. Byłam uwięziona w koszmarze lub w jakimś innym omamie i coś tylko posługiwało się moimi zmysłami. Jak bowiem inaczej mogłam znaleźć się w epicentrum wydarzeń, które nie miały ze mną nic wspólnego?

Pozbawiona odczuć stałam się bezwolnym świadkiem akcji, dziejącej się jakby za dźwiękoszczelną szybą. Widziane przeze mnie obrazy porównałabym do kadrów filmu, przypadkowo z niego wyciętych i zmontowanych na chybił trafił.

Kobieta w sukni do połowy łydek, smukła, z długimi włosami, nerwowo chodzi po pokoju, od okna do drzwi i z powrotem. Przystaje, rzuca się na łóżko, drży jakby płacząc. Kiedy podnosi twarz, nie ma na niej śladu łez, obraca się i patrzy nieruchomo w sufit.

Ogród, w tle dom. Ta sama długowłosa kobieta ścina kwiaty do bukietu. Mówi coś do mężczyzny, on zrywa biały kwiat, chyba lilię i dodaje do bukietu. Kiedy odchodzi, kobieta wyjmuje lilię z bukietu i wyrzuca.

Teraz czerwony kwiat. Nie, to krew, dużo krwi. Owalna kałuża wsiąka między deski i podłużny, zamazany ślad znika za progiem drzwi.

Wnętrze domu, staromodnie umeblowany salon. Dwóch mężczyzn tego samego wzrostu. Młodszy podaje drugiemu jakieś pismo, tamten czyta je, zaczynają się klócić. Starszy mężczyzna wychodzi, w drzwiach trafia na kobietę. Podśluchiwała.

Księżyc obwiedziony jasną mgłą. Ogród, a w nim niewyraźna postać samotnie siedząca na ławce pod domem. Znowu ta sama kobieta, otulona wełnianą chustą. Jej ramionami wstrząsa szloch.

Szeroko otwarte okna, promienie słońca tańczą po podłodze. Kobieta rozczesuje włosy i przygląda się sobie w lustrze toaletki. Odkłada szczotkę i dotyka piersi. Robi to bardzo powoli, w przymknięciu powiek; jej druga dłoń wędruje ku szyi. Coś ją płoszy i pośpiesznie poprawia bluzkę. Zaplata włosy w warkocz.

Noc. Ogień. Pożar opanował cały dom, palą się także pobliskie choiny. Strzelające igły łączą się w powietrzu z iskrami ognia, tworząc na tle ciemnego nieba niepowtarzalne widowisko. Wieje silny wiatr...

Ocuciłam się. Nie wiedziałam, jak długo byłam nieprzytomna, ale moje ciało zdążyło się wyziębic. Spróbowałam się podnieść, poczułam silny ból, musiałam nieźle się poobijać. Najmocniej bolała mnie głowa, machinalnie sprawdziłam, czy aby jest cała; nie wyczułam rany. Mój wzrok powoli przywykał do ciemności.

Latarka została gdzieś wyżej, smuga światła dochodziła z korytarza na parterze. Zorientowałam się, że byłam na kamiennych schodach do piwnicy i wcale

mi się to nie podobało. Musiałam dostać się wyżej. Jednak, gdy spróbowałam wstać, przeszył mnie ból w prawym kolanie i nadgarstku.

Gdzieś z góry dobiegło żalosne miauczenie, po chwili ucichło. W pewnym sensie zmobilizowało mnie to do działania, uzmysłowiło, że jestem zdana tylko na siebie. Zaczęłam się podnosić. Schody do piwnicy nie miały poręczy, musiałam trzymać się ściany. Była nieprzyjemnie zimna, zbudowana z ostrych kamieni; szczęście, że podczas upadku nie przejechałam po niej twarzą.

Wzięłam głęboki oddech i stopień po stopniu posuwałam się w górę. Kolano rwało jak cholera, kręciło mi się w głowie. Zanim dotarłam do korytarza, zdążyłam spocić się jak mysz. Czekają mnie jeszcze dojście na wyższe piętro, lecz przedtem musiałam chwilę odpocząć. Podniosłam z ziemi latarkę i spenetrowałam otoczenie, próbując zrekonstruować wypadek. Przewrócony taboret, ale nie połamany, czyli ja coś sknociłam. Miejsce było zdradliwe, wygładzony próg przy drzwiach do piwnicy niemal służył ku stopniom na dół. No, tak. Nie tylko, że postawiłam stół na nierównej powierzchni, to jeszcze nie domknęłam drzwi do piwnicy. Mogłam skrócić kark.

Każdy ruch sprawiał mi ból, dokuczają też zimno. Zebrałam się w sobie i skierowałam ku górze. Pokonałam kilka stopni, gdy usłyszałam kroki.

– Karola? – dobiegło mnie wołanie.

Głos oddalił się, Armin szukał mnie chyba w okolicach kominka. Wchodziłam powolutku, schodek po schodku. Gdy pokonałam ostatni, oślepił mnie nagle snop światła latarki.

– A, tutaj jesteś! Nie ma prądu – powiedział Armin.

– No właśnie. Próbowałam znaleźć korki...

– Na to bym nie wpadł. Szukałem ciebie... – Zawahał się i znów mnie oświetlił. – Wszystko z tobą w porządku?

– Mniej więcej. Zleciałam ze stołka... trochę się potłukłam.

– Co takiego?! – Już był przy mnie. – Jesteś cała? Zaczekaj, pomogę ci!

– Ałć! – jęknęłam, gdy dotknął mojej ręki.

– Boli? Nie chciałem... Czemu tam sama schodziłaś?! A gdybyś złamała nogę albo jeszcze gorzej, wyrznęła gdzieś głowę?!

– Zdaje się, że wyrznęłam, bo łomocze mi pod czaszką.

– Karola, brak mi słów... siadaj! – Podsunął mi fotel, gdy doszliśmy na miejsce.

Spoczęłam w nim z ulgą, byłam dziwnie słaba. Tymczasem Armin pozapalał świece, po czym zszedł na dół, by sprawdzić, co z prądem. Okazało się, że korki są w porządku, znowu jakaś awaria sieci.

Nie krył oburzenia z powodu mojej niefrasobliwości. Nie miałam nic na swoją obronę, zresztą, brakowało mi na to sił. Staralam się zbagatelizować sprawę, lecz i to mnie przerosło. Głowa bolała coraz mocniej, było mi niedobrze.

– Chyba powinnam się położyć – powiedziałam. – Wolalabym tutaj...
Mógłbyś mi pomóc rozłożyć kanapę?

– Jasne. Jesteś pewna, że nie potrzebujesz pomocy lekarskiej?

– Nic mi nie będzie. Potłukłam się trochę, to wszystko. – Nie ujawniłam, że straciłam przytomność.

Armin błyskawicznie zaścielił kanapę.

– I jak? – zapytał, gdy nieporadnie się na niej ułożyłam.

– Zamieniono mi ciało na inne. Stuletniej staruszki. A głowę na baniak.

– Zrobię ci zimny okład.

– Jeżeli nie sprawi ci to kłopotu... – Spojrzałam na niego wdzięcznością. – Przydałyby się nawet dwa, rwie mnie kolano.

– Coś mi się widzi, że w przebywanie z tobą pod jednym dachem wpisana jest mi rola pielęgniarza – odparł półzartobliwym tonem. – Grunt, że kości masz całe.

Bał się o mnie czy raczej obawiał następstw mojego wypadku dla siebie? Gdyby stało się coś poważnego, musiałby wezwać pomoc. Powinnam dziękować losowi, że nie jestem w domu sama. W moim stanie powrót do łóżka na górze kosztowałby mnie sporo bólu. Zanim Armin się oddalił, zdążyłam zapytać:

– Jakim cudem zszedłeś na dół? Przebudził cię hałas?

– Nie. Remi drapał do moich drzwi i uparcie miauczał, aż wstałem.

– Remi?

– Tak. Zorientowałem się, że nie ma światła, wziąłem latarkę i wyszedłem na korytarz. Drzwi do twojego pokoju zastałem szeroko otwarte, nie było cię tam, w łazience także nie. Kot wciąż miauczał, nie wiedziałem, co chce. Dziwne, prawda? Myślałem, że tylko psy tak reagują.

Remi, jakby wiedząc, że o nim mowa, wynurzył się z mroku. Ocenivszy bystrym wzrokiem sytuację, wskoczył na kanapę, po czym ułożył się na niej i zasnął.

Okłady przynosiły ulgę, dopóki woda była lodowata. Potem głowa i kolano znowu się odzywały, tabletki przeciwbólowe nie przynosiły ulgi. Poturbowana ze wszystkich stron nie umiałam znaleźć wygodnej pozycji, wciąż było mi zimno.

Armin rozpałił w kominku, przytomnie powynosił niektóre rzeczy z lodówki na balkon. Wiele wskazywało, że przywykł do samodzielności.

Stopniowo mijał szok, w jakim musiałam znajdować się po upadku. Dotarło do mnie, że karkołomny wyczyn mógł zakończyć się tragedią. Wyobrażenie siebie samej leżącej w piwnicy z połamanymi kończynami lub z rozwaloną głową przyprawiło mnie o dreszcze.

Zaczęłam rozczulać się nad sobą. Pragnęłam, by ktoś mnie pożałował, pocieszył, nie chciałam spędzić tej nocy samotnie. Byłam nawet gotowa poprosić Armina, aby został tu ze mną – wbrew wcześniejszemu przekonaniu, że lepiej

trzymać dystans. W moim obecnym stanie widziałam tylko zalety Armina. W razie potrzeby potrafił stanąć na wysokości zadania.

– Armin...

– Tak? – Usiadł na brzegu kanapy.

– Nie położysz się spać? Do świtu jeszcze kilka godzin...

– Wiem, przeszkadzam ci tutaj. Zaraz pójdę na górę.

– To nie dlatego. Cała się trzęsę... – żaliłam się. – Jak mogłam być tak bezmyślna?

– Nie myśl już o tym, postaraj się zasnąć. Przynieść dodatkowy koc?

– Nie... – Zamilkłam, nie umiając zdobyć się na szczerść.

– Chcesz, abym został przy tobie? – odgadł.

Jego twarz zniknęła w półmroku, nic nie dało się z niej wyczytać.

– Tak, proszę.

Niecały kwadrans później Armin zdmuchnął świecę. Myślałam, że usiądzie na pobliskim fotelu, ale on, jak gdyby nigdy nic, ułożył się obok mnie. Zadrzałam, co nie uszło jego uwadze.

– Wciąż ci zimno? – zapytał, po czym wsunął się pod moją koldrę. – Wspólnie się ogrzejemy!

Nie zaprotestowałam, ale zamarłam. Otoczył mnie ramieniem, a ja przytuliłam się do niego. Od razu poczułam się lepiej, trochę jak dziecko, które nabroilo, lecz ma już pewność, że mu wybaczone.

Otaczał nas mrok, jedynym źródłem światła był żar ognia w kominku. Przylgnęłam do Armina niczym pasożyt, całą sobą korzystałam z bijącego od niego gorąca, a jego równomierny oddech przedziwnie mnie uspokajał. Sen jednak nie nadchodził. Nurtowała mnie myśl, że powinnam przypomnieć sobie coś ważnego, lecz nie bardzo wiedziałam, co? Ostatnie emocje mieszały mi się ze scenami, które były jakby z innej rzeczywistości. Pojawiały się w nich nieznanne mi twarze, obce wnętrza oraz silne przecucie wiszące nad tym zagrożenia.

Co takiego spotkało mnie po upadku, wpadłam w beczas lub w inny wymiar? Zapamiętane fragmenty nie miały żadnego związku z moim życiem, nie mogły więc być wytworem podświadomości. A jeśli tak? Może były to części dawno zapomnianego filmu albo książki? Kiedyś słyszałam o zapisie pamięciowym przodków przekazywanym nam genetycznie. Czym właściwie były nasze sny, wizje, fenomen déja vu? Któż zgłębi nieskończone rejony wszechświatów naszych umysłów?

Byłam daleka od uzyskania odpowiedzi, natomiast jak nigdy dotąd blisko Armina. Trwaliśmy tak złączeni już dobrych kilka chwil, kiedy on, wyczuwając że nie śpię, zaczął mówić. Niegłośno, ważył słowa, robił dłuższe przerwy. Myślałam, że streszcza mi jakąś fikcyjną opowieść, dopiero po chwili pojęłam, że to zawoalowana forma zwierzeń.

Rzecz dotyczyła spraw starych jak świat, powiedziałabym, że elementarnych – miłości, zaufania, zdrady. Nie wiem, co skłoniło go, aby właśnie teraz to poruszyć? Ciemność, moja bezbronność? Czekał na tę sposobność od dawna? Chyba nie. Musiało to być tak samo spontaniczne, jak moja potrzeba bycia przy nim. Niesamowite, jak słowa Armina, było dla mnie to, że spędzaliśmy tę noc obok siebie. Stało się tak, jak gdyby ktoś za nas zdecydował, byśmy posunęli się wreszcie krok dalej.

To ten dom! Moje odkrycie było niewiarygodne, najpierw je wyśmiałam. Czułam jednak, że jest w tym jakaś część prawdy. Na bliżej nieokreślony czas dom na polanie stał się naszą planetą, a my, jej jedyni mieszkańcy, mogliśmy być tu wolni od tego, co trzeba i wypada. Chyba w żadnym innym miejscu nie zrodziłaby się nasza bliskość. Nawet tutaj raz za razem popadaliśmy ze sobą w konflikty, a nasze rozejmy były tak nietrwałe jak górską pogodą.

Skłamałabym twierdząc, że zrozumiałam opowieść Armina, operował symboliką i metaforami, do których nie dał mi klucza. Odnosiłam wrażenie, że uwalnia się w ten sposób od czegoś, co tamuje jego swobodę. Nic nie było dla mnie jasne, ale wszystko między nami stało się nareszcie proste. W zupełności mi to wystarczało.

Ciszę przerywały tylko pojedyncze trzaski płonących polan w kominku, coraz rzadsze. Równomierny oddech Armina i posapywanie kota, ułożonego gdzieś przy naszych stopach sprawiły, że wreszcie i ja poddałam się temu rytmowi. Oddalałam się już od jawy, kiedy zarejestrowałam cicho wypowiedziane słowa. To było tylko jedno zdanie, właściwie pytanie:

– I jak tu wytrwać?

Armin wymówił je chyba przez sen. Nie byłam już w stanie zastanowić się nad jego znaczeniem. Ostatnią moją świadomą myślą było: „Co za noc!”

Rankiem obudził nas natarczywy dzwonek do drzwi, to leśniczy podjechał po Armina. Porozmawiali chwilę w holu, po czym, ku mojej uldze, zaczęli się żegnać. Niedwuznaczność sytuacji krępowала mnie, najpewniej też wyglądałam jak półtora nieszczęścia. W jasności poranka wstydziłam się też trochę Armina, on nie miał zahamowań, zziębnięty wskoczył pod moją kołdrę.

– Burza zerwała linię za uzdrowiskiem, we wsi też nie ma elektryczności – podzielił się ze mną wieściami, opierając się na łokciu. – Niestety, to nie jedyna awaria w okolicach. Leśniczy mówił, że może dzisiaj naprawią, a może dopiero jutro. Prawdę mówiąc, wcale mi to nie przeszkadza...

Zniżonej tonacji głosu towarzyszyło kocie zwężenie oczu. Roześmiałam się, twarz Armina pozostała jednak poważna. Kiedy dotknął gołą stopą mojej stopy, przebiegł po mnie zdradliwy ciąg dreszczy. Teraz i on się uśmiechnął, jakby z satysfakcją.

– Nie chciałeś z nim jechać? – spytałam naprędce, by przywołać nas do

porządku.

– Nie. Ktoś przecież musi zatroszczyć się o ciebie...

Spoglądał prowokująco, więc uciekłam wzrokiem, lecz siła tej swoistej hipnozy przyciągała mnie. Bawił się teraz moimi włosami, koniuszkami palców muskając też moją szyję. Szelma, wiedział, co robi, rozgrzewałam się coraz bardziej. Pragnęłam wtulić się w Armina, a zarazem miałam świadomość, że wówczas nie skończy się tylko na tym.

– Przestań, dobrze? – upomniałam go.

Gdybyśmy obudzili się przed świtem, najpewniej nie miałabym nic przeciwko pieścizotom, stan zamglonej świadomości zawsze im sprzyjał. Teraz przypomniały o sobie wszystkie moje niedoskonałości, poza tym znajdowałam się w groźnej dla otoczenia fazie braku kofeiny. Sądząc po nienasyconym wzroku leżącego przy mnie mężczyzny, chętnie spałaszowałby mnie zamiast śniadania.

Poruszyłam się, spróbowałam podnieść, lecz ciało natychmiast zareagowało bólem. Miałam poczucie, że cała moja prawa strona jest jednym rozległym siniakiem. Jęknęłam. Sygnał był czytelny, Armin odsunął się, wtórując mi ciężkim westchnieniem.

– Jak się czujesz? – Przypomniał sobie, że ma do czynienia z inwalidką.

– Jakbym... zleciała z kamiennych schodów. – Wysiłałam się, aby to zabrzmiało żartobliwie.

– Poleż jeszcze! – zalecił. – Rozpalę w kominku, a potem w piecu na dole. Na kawę będziemy musieli trochę poczekać. Chcesz wody?

– Jesteś aniołem! – Obdarzyłam go wdzięcznym uśmiechem.

– Czasami nim bywam... – rzucił zagadkowo, wstając z kanapy.

Skojarzyłam, że wyraził się tak samo, gdy zasugerowałam kiedyś, iż może jest gangsterem. Teraz wyobrażenie sobie Armina jako przestępcy było dla mnie totalną abstrakcją. Nie po naszym nocnym przytulaniu i po słowach, które z siebie wyrzucił, dotyczących niby kogoś innego, lecz bez wątpienia mówił o sobie. Czy zbrodniarz może mieć w sobie wrażliwość, jaką obserwowałam u Armina? Zawsze pozostawała jeszcze opcja mojej naiwności.

W piecu węglowym na parterze od biedy można było też palić drewnem. Dzięki temu pół godziny później otrzymałam do rąk upragniony kubek z gorącą kawą. Przedtem, przy okazji mycia pod zaledwie letnim natryskiem, zlustrowałam swoje ciało. Nie zdziwiły mnie siniaki i zaczerwienienia. Mój prawy nadgarstek było lekko spuchnięty, wyczułam też guza na głowie. Przed zejściem na dół przebrałam się w wygodny dres z beżowego polaru i poćwiczyłam dzielną minę. Każdy ruch ujawniał nowe ognisko bólu, wyraźnie utykałam.

Armin nie pokazał po sobie rozczarowania, że nie miałam chęci na amory. Zrobił śniadanie i z grubsza ogarnął kuchnię, co najpewniej kosztowało go więcej wysiłku niż pierwsza czynność. Otrzymałam polecenie nieruszania się z kanapy,

już złożonej, natomiast z przygotowanymi jaškami pod plecy i kocem do przykrycia. Nie wiedziałam, jak długo potrwa troska Armina, ale na razie delektowałam się nią niczym darem niespodzianym i rzadkim.

Mój współlokator był mężczyzną pod wieloma względami nietypowym. Zdumiewał mnie, intrygował, a teraz jeszcze niechcący podniecał. Znałam już zapach jego skóry i chemia między nami bezsprzecznie działała. Przyglądałam mu się, snując myśli, których nie odważyłabym się wypowiedzieć. W pewnym momencie złapał mnie na tym i zagroził:

- Przestań śledzić każdy mój ruch, bo wyproszę cię do pokoju na górze!
- Miej litość, tam jest zimno... – Zrobiłam niewinną minkę.
- Zostałbym tam z tobą...
- Lepiej nie! – Zaśmiałam się, wyłapując, co insynuuje.
- Pozostaje mi więc zniknąć ci z widoku... – Zerkał na mnie z udawaną naganą. – Masz szczęście, że chcę popracować dzisiaj wokół domu!
- Popieram!
- A ty oszczędzaj kolano!

Przyrzekłam mu to z potulnym uśmiechem. Obserwowałam potem zza okna, jak zręcznie radzi sobie z porządkowaniem pozostałości po wichurze i burzy. Jego uda naprężyły się pod dzinsami, objawiając siłę mięśni, a ramiona w ocieplonej kurtce wydawały się nawet przesadnie barczyste. Przymusiłam się, by odwrócić wzrok. Zza chmur nieśmiało przebijało się słońce i pokrywa śniegu w jego promieniach połyskiwała jak drogocenna szata. Przyglądałam się kuszącej biały panoramie i trochę było mi żal, że tak ładny dzień przyjdzie mi spędzić w domu. Akurat, kiedy miałam chęć na wędrowkę, nie wchodziła w rachubę. Byłam unieruchomiona w domu odcięty od świata w stopniu jeszcze większym niż normalnie. Bez prądu nie działało tu nawet radio.

Dotarło do mnie, że ponosimy tu odpowiedzialność za siebie, tak Armin za mnie, jak ja za niego. Bez troska któregoś z nas mogła mieć dla drugiego przykre konsekwencje. Skończyło się na potłuczeniach, ale mogłam się zabić. Co wtedy? Uwierzono by Arminowi, że zdarzył się wypadek? Przyrzekłam sobie nie prowokować losu, nie do końca mając pewność, czy mi się to uda. Przewidywalność nie była moją mocną stroną. Polak mądry po szkodzie?

Przypomniałam sobie o pamiętniku, którego czytanie przerwał mi minionego wieczoru nagły brak światła. Udałam się na górę, powoli, stopień po stopniu, uważając na kolano. Notes leżał na nocnym stoliku, tuż obok stała ramka ze zdjęciem mamy. Prawie tak, jak kiedyś, pomyślałam, tłumiąc rozrzewnienie. Wróciwszy na dół, złapałam po drodze butelkę mineralnej i przesunęłam fotel w pobliże okna, co zemściło się bólem w nadgarstku. Wkrótce wgłębiłam się w pamiętnik i niemal całkowicie zapomniałam o następstwach wypadku.

W najnowszych notkach najczęściej przewijała się postać Marka. Moje

rozterki dotyczyły spraw, o których wtedy dyskutowaliśmy. Musiały być dla nas ważne, że poświęcałam im tyle miejsca; dzisiaj wywoływały już tylko uśmiechy. Pomędzy opisywałam zwykłą, domową codzienność. Odświeżanie tamtych dni było porównywalne do przeglądania starych, rodzinnych albumów. Dziwne, iż to wszystko wciąż we mnie tkwiło i tylko czekało na impuls, aby móc się ujawnić.

Zabawne epizody potwierdziły mi, jaką dobrą i beztroską miałam młodość. Nawet u Kingi odkrywałam cechy, później zatarte przez gorsze wspomnienia. Byłyśmy obydwie w klasie maturalnej, łączył nas strach przed egzaminem dojrzałości, przygotowowałyśmy się do niego solidarnie jak mało kiedy. Zbliżył nas także do siebie niepokój o ojca, pierwsze oznaki jego choroby. Zdziwiłam się, gdy znalazłam zapis, iż zawsze będę pamiętać, że jest moją siostrą i odpowiednio do tego ją traktować. Nie dotrzymałam tamtej obietnicy, zresztą, nie tylko tej...

Zamyśliłam się nad starymi notatkami. Obraz mojej rodziny wylaniał się z nich niczym restaurowany pejzaż w oleju. Na razie przetałam zaledwie mały fragmencik. Dziwnie było przeżywać na nowo dni, wiedząc, jaką po nich się stanę. Prawdę powiedziawszy, bałam się czytać dalej.

Miałam ku temu powody, gdyż doszłam do okresu, w którym zaczęły się problemy ze zdrowiem ojca. Zdawkowo wspomniane zaburzenia równowagi, obracanie ich w żarty, że tata chyba po kryjomu popija, teraz wywoływały we mnie irytację. To był początek końca, lecz wtedy nikt z nas nie był tego świadomy. Jacy umiemy być arogancy w swojej ignorancji! Ponieważ ojciec nigdy nie chorował, jego niedomagania bardziej zdumiewały, niż martwiły. Najpierw ujawniły się w pogorszeniu wzroku, stopniowo pojawiały się inne zaburzenia, drętwienie kończyn, nieznośne swędzenie skóry, co naturalnie go drażniło. I nagle wszystko minęło jak ręką odjął, byliśmy pewni, że z ojcem jest już dobrze. Zbiegło się to z latem, ostatnim beztroskim, a potem ja i Kinga wyjechałyśmy na studia.

W niektóre weekendy wracałam do domu, lecz dopiero podczas dłuższego, świątecznego pobytu uprzytomniłam sobie, że z ojcem jest coś nie w porządku. Jego oczy były często rozbiegane, rzeczy wypadały mu z rąk, inaczej też mówił, jakby skandował zdania. Tuż po świętach stan ojca się pogorszył, później znów poczuł się lepiej. Przed moim powrotem do akademika dał mi słowo, że podda się szczegółowym badaniom.

O diagnozie dowiedziałam się przez telefon. Matka była załamana, ja również w szoku, ponieważ nazwa choroby kojarzyła mi się z czymś nieuleczalnym, jeśli nie śmiertelnym. Wątpliwości nie było, badanie rezonansem magnetycznym, a także inne metody rozpoznania wroga potwierdziły podejrzenie. Na jakiś czas zaprzestałam wtedy pisania, chyba nie umiejąc znaleźć odpowiednich słów, by wyrazić to, co wtedy czułam. Kiedy moja siostra histerycznie wyzywała niebu i w emocjach chciała nawet przerwać studia, ja ubolewałam nad losem w milczeniu.

Zapoznałam się z wszystkimi dostępnymi materiałami na temat choroby ojca. Nie wiedząc o tym, postępowałam dokładnie jak on, chyba podświadomie przygotowywałam się na najgorszą z ewentualności. Przerazały mnie informacje, w których mowa była o paraliżu bądź o nieodwracalnych zmianach w psychice. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że ojciec miałby tego doświadczyć.

Odłożyłam notes, musiałam zrobić sobie pauzę. Ochłodziłam emocje wodą mineralną, jednakże wciąż tkwiłam w przeszłości. Usłyszałam tupanie przy drzwiach, to Armin strząsał z butów śnieg. Próbując wstać, zrobiłam zbyt nagły ruch i nogę smagnął bicz bólu. Znieruchomiałam z grymasem na twarzy i akurat wtedy wszedł Armin.

– Co jest? Tak bardzo boli?

– To tylko moja nieuwaga – usprawiedliwiłam się, gdy mogłam odetchnąć. – Już dobrze.

– Karolo, a może jednak powinien cię zbadać lekarz? Niektóre kontuzje odzywają się dopiero po czasie. To może być coś z kręgosłupem, lepiej tego nie lekceważyć.

– Nie. Jestem tylko trochę potłuczona.

Stałam już wyprostowana i na dowód, że nic mi nie jest, ruszyłam do kuchni.

– Prądu wciąż nie ma? – spytałam.

– Niestety.

Dorzucił kilka szczap do ognia. Potem zniknął na piętrze, a gdy zszedł na dół, miał ze sobą plecak. Zdumiałam się.

– Dokąd się wybierasz?

– Wrócę za jakieś dwie godziny – odparł ogólnikowo. – Mam nadzieję, że będziesz grzeczna...

– Myślałam, że faceci wołają niegrzeczne dziewczynki? – rzuciłam, dziwiąc się swojej śmiałości.

– To zależy kiedy. – Zaśmiał się. – Będę spokojniejszy, jeśli obiecasz mi zastosować się do moich zaleceń. Postaram się szybko obrócić i później...

– Tak?

– Później zastanowię się, jak wydobyć z ciebie tę niegrzeczną dziewczynkę!

Zapowiedzi towarzyszyło jednoznacznie wymowne spojrzenie, a ja poczułam znajomy dreszcz. Roześmiałam się, tając zmieszanie, on uśmiechnął się także, pewnie a zarazem zagadkowo, po czym wyszedł.

Nie wróciłam do czytania pamiętników. Poświęciłam uwagę kotu; wycesałam mu futro, skróciłam pazury, a potem uraczyłam pieszczotkami. Jego przymilne mruczenie przywróciło mi dobry nastrój i pozwoliło oddalić niechciane wspomnienia. Zdawałam sobie sprawę, że nie ucieknę przed nimi, a nawet już tego nie chciałam. Na dodatek, przybyło nowych wrażeń, które wymagały

uporządkowania. Zważywszy na to, co zaczynało dziać się pomiędzy mną a Arminem, wkrótce czekały mnie następne.

– Jestem! – zawołał Armin, zamykając drzwi.

Zdjął kurtkę i w kuchni zaczął wyładowywać z plecaka na ladę przyniesione rzeczy.

– Kupiłem świeżutki chleb, w piekarni był jeszcze ciepły. Będzie akurat do bigosu, zaraz podgrzeję, bo zgłodniałem jak wilk. Dla ciebie mam maść na kolano...

– Dziękuję, myślisz o wszystkim! – pochwaliłam go. – Byłeś w uzdrowisku?

– Tak, podjechałem tam na chwilę.

– Nie boisz się, że zostaniesz rozpoznany?

– Czapka, zarost... nie sądzę. Zresztą, byłem z leśniczym i jeszcze z takim jednym pracownikiem lasu. Z nimi nie podpadam – skwitował.

– Ile za tę maść?

– Karola... – Spojrzał na mnie z wyrzutem i dodał: – To jest też w moim interesie, abyś jak najszybciej była sprawna.

– A dlaczego?

Nie doczekałam się odpowiedzi. Nad stołem zapaliło się światło, z charakterystycznym bzyčeniem włączyła się też lodówka. I po awarii! Taki obrót rzeczy musiał być Arminowi na rękę.

– Super! Akurat zaczyna zmierzchać. Zejdę najpierw po bigos, resztą zajmę się później.

Podczas, gdy pilnowałam, aby danie się nie przypaliło, Armin prznosił rzeczy z balkonu do lodówki. Chodząc tam i z powrotem, mamrotał sarkastycznym tonem o urokach życia z dala od zgiełku; jego nastrój był chyba efektem ubocznym pustego żołądka.

Potwierdziło się to, ponieważ po zaspokojeniu pierwszego głodu rozpogodził się i chwilowy brak prądu postrzegał nawet jako sprawdzenie się w nietypowych sytuacjach. Opowiadał o nowym trendzie organizowania swoistych obozów przetrwania bez tego wszystkiego, co dla mieszczuchów jest normalne i oczywiste. Niektóre szkoły posuwały się dalej, przygotowując ludzi na klęski żywiołów, katastrofy, a nawet na globalne wyniszczenie, czy to przez wojnę, czy przez totalne załamanie gospodarki. Zaciekawiałam się, to nie była już tylko zabawa w harcerstwo, wręcz nowy styl życia, efektywny, odpowiedzialny i odważny w każdej jego dziedzinie. Armin mówił o tym z zaangażowaniem, jakby dotyczyło go bezpośrednio, a po moim dociekaniu przyznał, że zaliczył już warsztaty przetrwania oraz planuje dalsze.

W moim umyśle zapaliła się czerwona lampka. Po co mu takie umiejętności? Bierze pod uwagę przymus ukrywania się na jeszcze większym odludziu niż tutaj? Jego zdawkowe wyjaśnienia mnie nie zadowolily, argumenty byly w rodzaju, że

nigdy nie wiadomo, co kiedyś może się przydać.

Równy ze zmięchem zaproponował wino i postawił na stole butelkę czerwonego. Z radia dolatywały jazzowe, nocne standardy, romantyczną otoczkę wzbogacał ogień w kominku. Rozmowa toczyła się swobodnie, przeskakiwaliśmy z tematu na temat, a te dotyczyły błahych spraw. Dzień spowalniał, a my wraz z nim, w atmosferze wolnej od jakiegokolwiek nacisku. I wówczas padło pytanie Armina:

– Kim jest kobieta ze zdjęcia w twoim pokoju?

Przedziwne, że zapytał o nie akurat teraz, gdyż tuż przedtem pomyślałam o mamie. Zrodziła się we mnie brzydka myśl, że jeśli opowiem mu o moich bliskich, może on zrewanżuje się tym samym. Zgasiłam ją w zarodku.

Kalkulacja w takich chwilach byłaby fałszem, a znając Armina, szybko by mnie przejrzał.

– To moja mama. Nie żyje.

– Przykro mi. A reszta rodziny...?

– Mam tylko siostrę. Wychowała nas jej matka, moja ciocia.

– Wychowała? Musiałaś więc wcześniej stracić mamę.

– Miałam niecałe cztery lata.

Przysunął się bliżej i objął mnie ramieniem. Nie wypytywał mnie więcej, może czekał na zwierzenia, lecz zamilkłam. Wzruszenie zaschnuowało mi gardło, rzadko wspominałam przy kimś mamę. Co o niej wiedziałam? Prawie nic. Wyświechtane skrawki wspomnień, na dodatek nie własnych.

Dolewając wina do lampek, zauważył:

– Masz mokre oczy... Przepraszam, nie chciałem.

– To nic. – Zawstydziałam się. – Od tego wypadku rozklejam się z byle powodu.

Wino stało się nieważne. Armin odstawił szkła, po czym ostrożnie ujął dłońmi moją twarz i scałowywał z niej ślady łez. Nie wiedziałam, które z nas zainicjowało ciąg dalszy, czy to Armin zszedł ustami niżej, czy ja nadstawiłam moje. Jego były słone, lecz niebawem poznałam ich prawdziwy smak. Nie broniłam się przed tym i nasz pocałunek z delikatnego przeradzał się w coraz bardziej namiętny. Armin potrafił całować, robił to z wyczuciem, potęgując moją ekstazę. Zatraciliśmy się w tym zresztą oboje, a nasze ciała ściśle dopasowały się do siebie. Dopiero, gdy na sekundę przerwał całowanie, zorientowałam się, że leżę, a pod głową mam poduszkę.

Jednym szybkim ruchem ściągnął z siebie sweter, ujawniając goły tors. Przytulił mnie i poczułam podniecające gorąco, bijące od jego ciała oraz... jego twardość.

To mnie otrzeźwiło. Z ogromnym trudem, na przekór wyposzczonego ciała, spróbowałam się trochę odsunąć. Armin spojrzał mi w oczy, wzrok miał zamglony i był lekko zdezorientowany. Znowu nachylił się ku mnie, a wówczas sprężyłam

się i powstrzymując go także dłońmi, zdołałam powiedzieć:

- Nie, Armin.
- Karola... – wyszeptał.
- Proszę cię, nie!
- Dlaczego?

Nie umiałam odpowiedzieć, dla mnie samej było to zagadką. Pragnęłam go przecież, wyobrażenia o nim nie opuszczały mnie od rana, a ich spełnienie nareszcie stało się możliwe. Nie rozumiałam swojego oporu i jeżeli istniał ku temu jakiś powód, to tylko w mojej podświadomości. Na razie na próżno szukałam słów, po których Armin nie poczułby się odrzucony. Czy w tej sytuacji takie istniały? Westchnęłam ciężko i poprosiłam o wino.

Potrwało chwilę, nim usiadł na kanapie, ale nawet i wtedy nie od razu spełnił moje życzenie. Objął dłońmi głowę i trwał w tej pozycji, nie patrząc więcej w moją stronę. Zaczęłam się podnosić, lecz tak nieszczęśliwie, że przeszył mnie ostry ból w kolanie i gdzieś pod żebrami. Mimowolnie jęknęłam. Dopiero na to zareagował i spojrzawszy na mnie, zapytał:

- Byłem nieostrożny?
- Nie. To przez moje zapominalstwo. Zrobiłam zbyt nagły ruch.
- Proszę, twoje wino. – Podał mi je, nie komentując moich wyjaśnień.

W kominku ogień już ledwie się żarzył, Armin wstał i dorzucił kilka szczap. Kontury jego męskiej sylwetki na tle paleniska, a zwłaszcza muskularna klatka piersiowa podniecały mnie. Z trudem oderwałam od niego wzrok. Sądziłam, że wstał po to, by wracając wykorzystać sposobność i usiąść z dala ode mnie. Pomyliłam się, gdyż zajął jednak to samo miejsce, włożył tylko sweter. Wypił wino jednym haustem i znów nalał do kielicha.

- Jesteś na mnie zły? – spytałam.

– Nie jestem. – Objął mnie ramieniem. Po momencie dodał: – Przepraszam, zagalopowałam się.

Wtuliłam się w niego ostrożnie, pamiętna naszej łąpczywości. Wpatrywaliśmy się milcząco w ogień, który powoli nabierał znów mocy i skupiał naszą uwagę na równi z muzyką. Remi, który pojawił się nie wiadomo skąd, po nieudanej próbie wepchnięcia się między nas ułożył się na drugim fotelu. Było mi błogo, mogłabym tak trwać przez całą wieczność, lecz Armin zaczął ziewać. Jak było do przewidzenia, wkrótce poszedł spać – do siebie, a ja nie miałam odwagi zaproponować mu, by został ze mną. Połowę nocy walczyłam ze sobą, czy pójść albo nie pójść do niego, jednak zwyciężył strach przed odrzuceniem. Pomimo wszystko nie zasypiałam smutna, stałam się bogatsza o nasze pocałunki.

Szarość i lodowate podmuchy wiatru zniechęcały mnie do wyjścia z domu. Nie Armina, każdego poranka wypuszczał się z plecakiem, by wrócić o zmierzchu. W przeciwieństwie do czasu sprzed mojego wypadku, teraz nie omieszkał pytać

mnie, jak minął dzień i nie robił tego tylko obligatoryjnie. Jego stosunek do mnie przeistaczał się w coraz bardziej opiekuńczy, lecz skłamałabym mówiąc, że troskliwość Armina mi przeszkadzała. W swoim dorosłym życiu nie zaznałam wielu okazji, by pobyć małą kobietką, a z całą pewnością miało to swoje plusy. No cóż, ruch feministyczny słusznie domagał się równouprawnienia, jednak niekiedy słaba płeć była zwyczajnie słabsza, a męskie ramię mocniejsze.

Żyliśmy tutaj z dnia na dzień. Doceniałam każdy kolejny, nie obiecując sobie za wiele po tych, które nadejdą. Słyszałam zbyt dużo słów rzucanych na wiatr, nie ufałam też samej sobie, zdarzało się bowiem, że to ja wycofywałam się z czegoś w ostatniej chwili. Ani ja, ani tym bardziej Armin nie mieliśmy tendencji do strzępiania języka w temacie przyszłości. Zdaje się, że oboje doświadczyliśmy zmienności losu, a to hamowało snucie planów i podcinało skrzydła marzeniom. Nie wypowiadaliśmy wielkich słów, lecz lepiej niż one dogadałyby się nasze ciała. Po tamtych pierwszych pieścizotach nie miałam co do tego wątpliwości. Na razie byłam ja i był Armin, nas jeszcze nie było. Może to tylko przedsmak jedności.

Zauważyłam, że powstrzymuje się teraz, by mnie przytulić i nie próbuje flirtować. Nie zdziwiłabym się, gdyby miał do mnie żal. Skoro nie byłam gotowa na więcej, mogłam zostawić go w spokoju. Był mężczyzną, działał i rozumował jak facet, więc nie musiał wiedzieć, że kobiecie czasami wystarcza tylko czułość. Nie potrafiąc mu tego otwarcie wyjaśnić, czułam się jak kusicielka, która najpierw podnieca, a potem porzuca.

Jakkolwiek wydarzyło się coś, po czym moje wyrzuty sumienia zniknęły. Tym razem to ja miałam wrażenie, że Armin prowokuje mnie i bawi się władzą nad mną. W najlepszym razie zgrabnie się asekurował.

Minionego wieczoru po kolacji przenieśliśmy się na kanapę i znów zaczęły się słowne gierki. Byliśmy w odpowiednim nastroju do tego, a wino pobudziło nie tylko nasz krwiobieg. Tym razem to Armin okazał się zdobywcą i w swojej przemyślnej strategii coraz mocniej zacieśniał pole moich manewrów. Wiedziałam, że wystarczy jeden wyraźny sygnał z mojej strony, a zabawa zostanie przerwana, lecz na razie dopuszczałam go coraz bliżej. Wydawało mi się, że mam nad wszystkim kontrolę, ale jak złudne było to odczucie, przekonałam się, gdy mnie przytulił. Jego oczy spoważniały i to, co przed momentem było tylko żartobliwą zapowiedzią, stało się wreszcie spełnieniem. Pocałowaliśmy się. Najpierw delikatnie, by nagle zatopić się w sobie z żarliwością równą płomieniom w kominku. Mój opór osłabł, moje pragnienie Armina wprost przeciwnie. Nie wiem, jak długo się całowaliśmy, lecz gdy nasze usta się rozłączyły, usłyszałam jego gorący szept:

– Powiedz mi to...

Pieścił moją szyję, bardzo powoli wędrując po niej ustami. Zadrzałam. Jeżeli z takim namaszczeniem poświęci czas wszystkim miejscom mojego ciała, nie

wytrzymam, nim dotrze tam, gdzie pragnęłam go najmocniej. Zaraz, co on chciał usłyszeć? Nie umiałam zebrać myśli, ale jedno wiedziałam na pewno i cichutko to zwerbalizowałam:

- Dobrze mi z tobą.
- Wiem – odparł nieskromnie, a wycelowując sobie ścieżkę piesszczot, dodał:
– I będzie ci jeszcze lepiej, ale... musisz mi powiedzieć, że tego chcesz.
- Może powinnam cię jeszcze poprosić? – spytałam przekornie, myśląc, iż żartuje.
- Nie byłoby źle – podchwycił, zsuwając mi ramiączko stanika. – Mówiłem, że nie zrobię nic wbrew twojej woli.
- Armin... – zająknęłam się i westchnęłam. – Nie wystarczy ci, co widzisz?
- Nie. Powiedz mi to... – Oderwał się od mojego ciała i spojrział mi w oczy.

W jego wzroku nie było rozbawienia, wypowiedział to poważnie. Czar chwili prysnął. Poczułam się nieswojo; zaczęła krępować mnie rozpięta bluzka, naprędce zapinałam guziczki. Nie nalegał, ale nie zrobił nic, by temu przeszkodzić. We mnie złość mieszała się z dumą; zwyciężyła ta druga, tłumiąc ochotę wykrzyczenia mu w twarz, co czułam. Przed momentem jeszcze rozgrzani grą wstępną do czegoś, czego pragnęliśmy oboje, przeszliśmy nad tym do porządku, jakby nic się nie stało.

Tej nocy długo nie mogłam zasnąć. Czułam się okropnie. Jego pytanie było niepotrzebne, głupie, poniżające mnie. Ani myślałam skamlać o seks, nie, to nie! I znowu wszystko zepsuły słowa, rozdzieliły nasze ciała, które nie potrzebowały wskazówek, ponaglenia czy zapewnień. Co gorsza, dyskusja w tej kwestii miała raczej słabe szanse na powodzenie. Z doświadczenia wiedziałam, że akurat w tej dziedzinie faceci z przeczuleniem odbierają krytykę. Ich reakcje oscylowały wtedy pomiędzy urazą a podejrzliwością o ich zdominowanie. Mając na koncie parę takich nieporozumień, dalszych wołałam unikać. Mogłam jedynie żywić nadzieję, iż wreszcie dotrze do Armina, że nie tędy droga. Tymczasem jednak i ja miałam ją zamkniętą.

Nazajutrz powróciłam do swoich zapisków. Doszłam do miejsca, w którym przypominałam sobie różne piękne chwile, jakie dane było mi przeżyć z tatą. Nasze wyjazdy na wieś do babci Natalii, grzybobranie, wycieczki rowerem, spacer na cmentarz. Rozmowy w ogrodzie, gdy przysiadaliśmy pod gruszą w ciepły, letni wieczór, wygłupy. Przedziwne, gdyż nawet po latach tamte epizody dodawały mi teraz sił. Zrozumiałam, że niepotrzebnie żyłam jak wyrodne dziecko czasu, które przenigdy nie ogląda się wstecz. Pozbawiając się wspomnień, wyrzekłam się korzeni, ważnego źródła mocy. Tamtych chwil nikt nie zdoła mi zabrać, myślałam teraz.

Dalej pisałam o Marku. Nie było wiadomo, kim właściwie jesteśmy dla siebie, on się nie określał, ja go nie popędzałam. W oczach innych uchodziliśmy za

dobrych kumpli z tego samego miasteczka, studiujących teraz w innym, większym. Każde nawiązało nowe kontakty, jednakże nasza znajomość zachowała priorytet i jeszcze się pogłębiła. Liczyłam się z jego zdaniem, czego jednak wtedy nie widziałam, a teraz rzucało mi się w oczy, zatraciałam własne.

Wertowałam kartki pamiętnika, wracając do starszych notek, potem czytałam znów dalsze. Wreszcie odkryłam prawdziwą przyczynę zmiany. Ojciec, jego choroba. Utraciłam wiarę w bezpieczny świat, a poniekąd też wiarę we własne siły. Mocno niepewna jutra rozważałam nawet rezygnację ze studiów. To wtedy uwierzyłam albo raczej wmówiłam sobie, że Marek będzie dla mnie mocnym drogowskazem. Nie wyjawiałam mu jeszcze, że wybór padł na niego, lecz zapewne sam czegoś się domyślił. Tekst nie zdradzał, co do niego czuję, Marek nie stał się moim kotkiem, skarbem ani miśkiem. Nie pisałam o nim w ochach i achach, nie uciekałam w fantazje o nas dwojgu. A jednak stopniowo uzależniałam się od niego i pozwalałam mu sobą kierować.

Jedynie z nim szczerze rozmawiałam o chorobie taty, pozwalając sobie na łzy. Przy matce i Kindze trzymałam fason, zaś ojciec uczynił ze swojego stanu tabu, więc w jego obecności przeobrażałam się w aktorkę. Marek nie tylko mnie pocieszał, pomagał mi też konkretnie. Wiedział, jak przyspieszyć wizytę u specjalisty lub zdobyć potrzebne ojcu leki. Miałam znowu kogoś, na kim mogłam się oprzeć i ufałam mu, jak nikomu innemu...

Remi pierwszy usłyszał szmery przy drzwiach, potem i do mnie dotarł chrobot klucza w zamku. Spojrzałam na stary zegar, ledwo minęło południe.

– Co tak wcześniej dzisiaj? – powitałam Armina.

– Zbiera się na śnieżycę, zawróciłem z trasy.

Jego twarz była zaczerwieniona od chłostania zimnego wiatru. Zapropoноваłam mu herbatę, zaparzyłam też dla siebie. Kiedy ogrzewał się przy kominku, wróciłam do czytania. Nie przeszkadzał mi, sam również coś przeglądał. Dobrze jest, jak jest, pomyślałam. Nie trzeba roztrząsać tego, co zaszło, dajmy sobie trochę czasu.

Przeniosłam się w przeszłość. Przelatywałam dni kolejnych tygodni, aż dotarłam do lata. Powróciwszy wtedy do domu, pojęłam, że ojcu potrzebny jest wózek inwalidzki. I tutaj niezastąpiony okazał się Marek. Dzięki jego zabiegom zdobyliśmy wózek, co prawda używany, lecz bardzo dobrej jakości, sprowadzony z Zachodu. Odbieraliśmy go razem na dworcu kolejowym, a potem pchaliśmy przez miasto, rejestrując zaciekawione spojrzenia ludzi. W pamiętniku ani słowem nie wspominałam o reakcji ojca. Dobrze ją jednak zapamiętałam, jego udawaną, żenującą mnie radość z wózka, a w smutnym spojrzeniu była wiedza o nieuniknionym. Kiedy teraz ta scena stanęła mi przed oczami, samoistnie poleciały z nich łzy.

– Co ci jest?

Pytanie Armina wyrwało mnie z zamyślenia. Nie zauważyłam, kiedy podszedł tak blisko, przed momentem był przy kominku. Patrzył z troską, co mnie zmieszało.

– To tylko głowa – skłamałam, ale połowicznie, gdyż istotnie czułam ból w skroniach. – Wezmę tabletkę i się położę.

– Współczuję...

Wolno szłam w stronę schodów, czując na sobie uważny wzrok Armina. Czasami miałam wrażenie, że wyłapuje każdy najmniejszy fałsz niczym reżyser śledzący grę aktorów. Pozornie zezwalał im na to, lecz oni i tak zdawali sobie sprawę, że ich sztuczki zostały przejrane. Na ile Armin wychwytywał moje, pozostało jego tajemnicą.

Nie myślałam, że zasnę, a jednak zapadałam chyba w dłuższą drzemkę. Powoli z niej wychodząc, poczułam zapach pieczonego mięsa, na tyle silny, że aż przełknęłam ślinę. Niewiele później schodziłam już na dół.

Zajrzałam pod przykrywkę, w garnku były ziemniaki, na patelni kawał mięsa w sosie własnym. Jedyne pan kucharz gdzieś zniknął, lecz po chwili usłyszałam kroki na schodach i wszedł Armin.

– Nie wiedziałem, czy cię budzić. Prawie wszystko gotowe. Wypałaś się?

– A długo spałam? – Byłam jeszcze nie całkiem przytomna.

– Z półtorej godziny? – Spojrzał na zegarek. – Mniej więcej. Przypomniało mi się, że na dole widziałem słoiczek z żurawiną. Idealna do mięsa! – Zademonstrował mi swoją zdobycz. – Poczekaj jeszcze minutkę!

– Może pomogę?

– Nie trzeba. Nie psuj mi satysfakcji, że wszystko od początku do końca jest moim dziełem!

– No, dobrze. Ale potem pozmywam.

– Nie widzę przeciwwskazań! – Roześmiał się.

Obróciłam się na pięcie i znów przełykając ślinę, powstrzymywałam się przed popędzaniem Armina. Woń pieczeni była dla mnie katorgą, burczało mi już w brzuchu. Przypuszczając, że na posiłek przyjdzie mi poczekać dłużej niż minutkę, postanowiłam zająć czymś myśli. Na regale były jakieś stare magazyny, kiedyś przejrane przeze mnie, ale nie zaszkodziło sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyłam. Idąc w tamtą stronę, nagle stanęłam jak wryta. Mój pamiętnik! Leżał na stoliku.

Armin czytał mój pamiętnik? Z całą pewnością miał go w rękach, gdyż ja go tam nie kładłam. Narastał we mnie gniew. Nikt nie miał prawa ruszać tego notesu, to były moje osobiste zapiski, prywatne sprawy! Mało tego, że czytała je siostra, ciocia Genia, to jeszcze i on?! Byłam zdruzgotana i wściekła, krew uderzyła mi do głowy.

Pobiegłam na górę, nie bacząc ani na ból w kolanie, ani na

zdezorientowanego Armina. Znajdując tam, co chciałam, w tym samym tempie wróciłam na dół. W moich rękach były notesy, po drodze złapałam też ten ze stolika, po czym wszystkie wrzuciłam do ognia.

– Co się dzieje, Karolo?! – Spoglądał na mnie ze zdumieniem.

– Co?! Nikt, rozumiesz?, nikt więcej nie przeczyta moich pamiętników! I nie powstaną następne!

Nie zdołałam dłużej tamować łez, odwróciłam się i uciekłam na górę. Tam ze szlochem rzuciłam się na łóżko, a płakałam nie tylko z powodu spalonych pamiętników. Wylewałam z siebie całą tę żalność, która latami zbierała we mnie, a ja nie dawałam jej ujścia. Łkałam na wspomnienie dzieciństwa, młodości, moich nieudanych związków z mężczyznami. Rozrywał mnie smutek z powodu przedwczesnej śmierci mamy i tragicznego końca ojca. Opłakiwałam tamtą dziewczynę, którą dzisiaj już nie byłam i miałam z nią tak niewiele wspólnego. Moja rozpacz zdawała się nie mieć końca, jednak wreszcie ucisk na piersiach zelżał i powoli się uspokajałam. Gdy usłyszałam, że ktoś nadchodzi, zakryłam głowę mokrą od łez poduszką, lecz nie stłumiła głosu Armina.

– Karola... – Dotknął mojego ramienia, siadając na brzegu łóżka. – No, już dobrze... nie płacz! To nieporozumienie.

Nie odpowiadałam, zawstydzona sytuacją, ale także z powodu zatkanego nosa, co nie uszło uwadze Armina, gdyż podał mi chusteczki. Uspokoiliłam się trochę i usiadłam na łóżku, starając się nie patrzeć na świadka mojego załamania.

– Nie czytałem twojego pamiętnika – tłumaczył spokojnie. – Podniosłem go z podłogi, bo spadł, gdy przenosiłem fotel spod okna na miejsce. Nawet nie zajrzałem do środka!

– Wcześniej jakoś bez skrupołów grzebałeś w moich rzeczach!

– Kiedy? Myślisz o pierwszej nocy? To było coś innego. Zaskoczyła mnie twoja obecność, musiałem sprawdzić, kim jesteś!

– Mnie jakoś nie dajesz ku temu okazji... – rzuciłam z wyrzutem.

– Karolo... – Westchnął ciężko. – Bardzo cenię swoją prywatność i szanuję prywatność innych. Nie zwykłem czytać osobistych zapisków czy cudzej korespondencji. Zapamiętaj to, proszę, na przyszłość. Wszystko jasne?

Uciekłam wzrokiem. Nie byłam przekonana, czy nie przejrzał moich wpisów, ale przyznanie się do błędu znaczyłoby zarazem, że popełniłam straszne głupstwo.

Impulsywnie wrzucając notesy w płomienie, na zawsze pozbawiłam się pamiętek. Wciąż walczyłam, by odgrodzić się od przeszłości i dopiero tutaj pojęłam, ile bezsensu było w moim poczynaniu. W rzece wspomnień płynęły nie tylko trucizny i brudy, lecz przecież także grudki szczerego złota!

Moje oczy znów się zaszklily.

– Te notesy... Powyjmowałem je z ognia – powiedział Armin, jakby

czytając w moich myślach.

– Naprawdę?!

– Tak. Okładki są lekko nadpalone, a w środku już sama sprawdzisz.

Porywcza z ciebie dziewczyna!

– Rzadko kiedy. I już tego żałowałam. Dziękuję ci.

– Nie musisz. Zejdiesz na obiad?

Wzruszona, przytaknęłam. Podniósł się z miejsca i wyciągnął rękę w moją stronę.

– Chodźmy! Zapewniam, że gdy skosztujesz mojej pieczeni, spojrzysz na wszystko innymi oczami. Na głodnego małe dramaty urastają do wielkich.

Miał rację. Uśmiechnęłam się przez łzy i podałam mu dłoń.

Przewidywania Armina potwierdziły się, początkowe płąsy wiatru z puchem przeszły w wichurę, w taką pogodę lepiej nie chodzić po górach. Zmęczeni posiłkiem z ochotą przenieśliśmy się w pobliże kominka, tym razem jednak zasiedliśmy na przeciwległych fotelach.

Armin nie nawiązał ani słowem do epizodu, choć dowód mojego wybuchu – stosik osmalonych pamiętników – mieliśmy na widoku.

Kiedy nieudolnie próbowałam wytłumaczyć swoje łzy, wszedł mi w słowo:

– To nie powód do wstydu. Niekiedy zazdrozczę kobietom łatwości płaczu.

Gdyby faceci mieli taki wentyl, historia świata potoczyłoby się całkiem inaczej.

Na tym uciał temat i zgrabnie wszedł w inny. Będąc w stolicy, udało mu się przez skypa porozmawiać z Wiktorem Witomskim. Brat Reginy przebywał na jeszcze większym odludziu niż nasze, gdzieś na kontynencie północnoamerykańskim.

– Wyjaśniłeś sprawę z kluczami? – spytałam na pozór beznamiętnie, mając w pamięci jego pierwszą reakcję na mnie w tym domu.

– Zrobiłem to dużo wcześniej – przyznał bez żenady. – Kontaktowałem się z Wiktorem z innego powodu.

– A więc mi nie uwierzyłeś! Kogo o mnie pytałeś? Garbarków? Bo chyba nie policję?

– Nieważne... – Zaśmiał się i dodał poważniej: – Karola, wiesz przecież, że muszę być czujny.

– Ale chyba ten czas spędzony tu ze mną ma dla ciebie jakieś znaczenie?

– Powiem tak. Bezgraniczne zaufanie mają tylko małe dzieci. Nasz świat już taki jest, że ostrożności w nim nigdy za wiele. Tego się trzymam.

Nie bez racji, a jednak zrobiło mi się przykro. Nie pokazałam tego po sobie i lekko się z nim droczyłam:

– Zawsze?

– Reguły dostosowuje się do okoliczności.

– Jak wtedy z tym punktem o świętym spokoju? – zakpiłam.

– Owszem. Myślałem, że to docenisz!
– Że przyznałeś się do przesady? Tak, doceniałam to. To był mały krokczek ku poprawie naszej relacji.

– Sugerujesz, że nie jest najlepsza?

– Sam przecież wiesz... – rzuciłam, speszona obrotem rozmowy. – Wystarczy drobiazg i atmosfera gęstnieje.

– Bo nie potrafisz się powstrzymać, aby nie wkładać kija w mrowisko...

– Ja?! Gdyby nie twoja ciągła podejrzliwość, nie byłoby tematu! Od niej należałoby zacząć. Masz chyba krótką pamięć!

Każda moja wzmianka o braku zaufania ustawiała go w pozycji obronnej, tym razem też.

– Przeciwnie, ale nie wszystkie wspomnienia są warte zapamiętania – odparł chłodnym tonem.

Coś o tym wiedziałam.

– Na ogół pamiętamy, co chcemy pamiętać.

– I raczej tylko szczątkowo. Po czasie okazuje się, że nie ma winnych. Albo winni są wszyscy, tylko nie ja.

– Armin... Każdy z nas ma swoje racje. Ty masz powody, aby nikomu nie ufać, a ja dziwnie się czuję w towarzystwie kogoś, o kim nic nie wiem.

– Nic?

Popatrzył na mnie w taki sposób, że zawstydziłam się, przypominając sobie jego nocną opowieść.

– Zgadzam się, nasza pamięć jest zawodna – łagodziłam sytuację.

Przypomniałam sobie, że przed wyjazdem Armina prosiłam go o zajrzenie do księgarni.

– Wybacz, zabrakło mi czasu! – usprawiedliwiał się. – Ale ściągnąłem jakieś artykuły z Internetu, niestety, nie zdążyłem ich wydrukować. Jeżeli chcesz, to poczytaj je sobie bezpośrednio z mojego laptopa.

– Chętnie! Kiedy?

– Możesz od razu.

Zniósł na dół laptop i włączył go w mojej obecności. Następnie otworzył folder, w którym zachował wspomniane artykuły. Były trzy, w tym specjalistyczne opracowanie profesora uniwersytetu, nic dla laików. Od tego zaczęłam, jeszcze w towarzystwie Armina, czytając mu pewne fragmenty, lecz kiedy raz i drugi ziewnęła, zaproponowałam:

– Chyba teraz ty masz ochotę na drzemkę... Idź! Samej będzie mi łatwiej się skupić!

Przystąpił na to, jakby już tylko czekał na okazję, by iść do siebie. Zostawił mi laptop, instruując, jak go wyłączyć i poszedł na górę.

W następnym artykule mnogość pojęć i różnorodne klasyfikowanie pamięci

utrudniały zrozumienie. Nie odkryłam w nim nic przydatnego. Czego właściwie szukałam? Odpowiedź na to znalazłam w ostatnim tekście, pochodzącym ze strony o alternatywnych metodach leczenia. Autorka wyszła od tego, że niektóre dolegliwości psychosomatyczne informują o istnieniu tajemnych, bliżej niewyjaśnionych blokad. Jej zdaniem, dzieje się tak z powodu obciążeń, które – zapomniane – wymknęły się nam spod kontroli. Mogły to być przeżyty szok czy bolesne, dramatyczne lub pozornie błahe doświadczenia. Czas ich nie usuwa, są tylko zepchnięte w głąb podświadomości. Tam stanowią negatywne programy gotowe ujawnić się jako dolegliwości cielesne, nerwobóle, i tym podobne. Nie mamy świadomości, że jesteśmy ich nosicielami. Tajemne obciążenia, które mają wpływ na nasze zdrowie i zachowanie, tutaj również określano jako engramy.

Na koniec autorka zacytowała myśl wschodniego mędrca – „Czego sobie nie przypomnimy, zmuszeni jesteśmy przeżyć ponownie”. Zinterpretowała ją tak: Przypomnienie, najlepiej przez hipnozę, a następnie dogłębne zrozumienie i przerobienie dawnego problemu usuwa go z dnia dzisiejszego. Dzięki temu możemy wziąć los w swoje ręce i ukształtować go, jak tylko chcemy. Zabrzmiało mi to zbyt fantastycznie. Ponadto, czy przypomnienie musiało dokonać się wyłącznie poprzez proponowaną przez nią hipnozę? Moim zdaniem, istniały też inne, bezpieczniejsze sposoby skonfrontowania się z własną przeszłością.

Cokolwiek by o tym myśleć, zgadzałam się, iż engramy mogą wywoływać negatywne skutki dla organizmu. Starając się uchronić przed bolesnymi wspomnieniami, zbudowałam blokady pamięci. Byłam jak dziecko, które w instynktownej samoobronie wypiera bolesne fakty, ale przez to staje się strachliwe i zmienia się jego osobowość. Minione lata z całą pewnością pozostawiły we mnie ślady, uwydatniły mi to pamiętniki. Migrena również była dowodem, iż niedobre obrazy i związane z nimi toksyczne uczucia domagają się uwolnienia.

Po przeczytaniu artykułów zamknęłam folder, kiedy nasunęła mi się pewna nieścisłość. Chcąc ją wyjaśnić, musiałam raz jeszcze otworzyć drugi artykuł. Przez nieuwagę otworzyłam plik w innym folderze, a ten zawierał wyłącznie zdjęcia. Nie umiałam poskromić ciekawości, aby im się nie przyjrzeć.

Były tam profesjonalne ujęcia tej samej kobiety, efektownej blondynki. Pod niektórymi fotkami obok daty wpisano też „Ludmiła”, wywnioskowałam, że to jej imię. Oglądałam zdjęcia, podziwiając ich estetykę, a również urodę kobiety o regularnych rysach słowiańskiej twarzy i lekko skośnych oczach. Nigdy nie miałam tak dobrze zrobionych fotografii, więc te oglądałam nie bez zazdrości. Odnosiłam wrażenie, że podobnie jak pozy blondynki, jej uśmiechy też były doskonale wystudiowane.

Wróciłam do artykułu, jednak nie umiałam już skoncentrować się na nim. Zlikwidowałam pokusę zajrzenia do innych folderów i wyłączyłam laptop. Kim była ta kobieta dla Armina? Liczba fotek wskazywała, że mógł znać ją osobiście.

Kobieta prezentowała swoje wdzięki z szykiem modelki, chyba parała się tym zawodowo. Szczupła sylwetka, perfekcyjny makijaż i proste, długie włosy mogły ujmować jej lat, więc trudno było określić jej wiek. Poczułam się stara, zaniedbana i niezdarna.

Jak mogłam w ogóle pomyśleć, że podobam się Arminowi? Otoczenie natury, to i ja naturalna, usprawiedliwiałam swoje wygodnictwo. Na ogół chodziłam w dzinsach na zmianę z innymi spodniami, do których wkładałam gruby, włóczkowy golf lub szetland. W domu zadowalał mnie dres. Był nie tylko wygodny, lecz także znakomicie tuszował mankamenty mojej figury, a ostatnio tu i ówdzie pokazał się tłuszcz.

Po niespełna godzinie usłyszałam kroki na schodach. Armin, podchodząc ku mnie, ukrywał ziewanie; zaspany i wymiętoszony wyglądał rozbajajaco.

– Artykuły przydały się na coś? – zapytał, zerkając na laptop.

– Tak... nie wiem. A ty je czytałeś?

– Przeleciałem pobieżnie.

– Nie ciekawi cię temat pamięci?

– Powiedzmy, nie teoretycznie. Pamięć to jedno z narzędzi mojej pracy...

Ćwiczę ją tak samo jak ciało – rzucił zagadkowo i zerkając wciąż lekko zamglonym wzrokiem, zagadnął: – Napiałabyś się herbaty?

– Wiem, wiem, ty też. – Zaśmiałam się i podniosłam z miejsca.

Podziękował mi wdzięcznym spojrzeniem. Znałam to uczucie niedobudzenia, gdy sprostanie każdej czynności wymagało trzykrotnie więcej czasu niż normalnie. Przy herbacie nawiązałam do treści artykułów. Na świeżo po przeczytaniu pamiętałam jeszcze dużo szczegółów, przy okazji utrwalalam je sobie. Przynajmniej raz i ja mogłam zabłysnąć wiedzą.

– Czemu właściwie interesujesz się tym tematem? – zapytał.

– Hm... – Zastanowiłam się. – Próbuję sobie pomóc. Mój lekarz mi to zasugerował, z powodu migreny. Zalecał retrospekcję, ale chyba dopiero teraz zaczynam rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Przypadkiem wpadłam na określenie engramy, no i poszłam tym śladem. Na razie trochę na oślep.

– Z jakim skutkiem?

– Z różnym. Też takim, jaki miałaś okazję widzieć... Nie beczałam od lat, poważnie! Czuję, że powoli coś we mnie pęka. To boli, ale potem przynosi ulgę. – Westchnęłam.

– A migrena?

– Jakby lepiej. Wiem, że nie powinnam robić sobie fałszywych nadziei, może to tylko wpływ gór albo tutejszego jedzenia.

– Być może nie zaszkodziłoby przebadać się u specjalisty? Znam dobrego neurologa, praktykuje w Warszawie. Mogę dać ci jego telefon.

– Zaryzykujesz utratę swojej anonimowości? – Uśmiechnęłam się.

– Nie. Zostawię ci jego wizytówkę dopiero przed swoim wyjazdem.

Poczułam ukłucie w sercu. Czyżby chciał mnie na to przygotować? Zdawałam sobie sprawę, że nasze rozstanie musi nastąpić, lecz zakładałam, że nie przed wiosną.

– Ustaliłeś już datę?

Spotkaliśmy się wzrokiem. Minęła wieczność, nim wreszcie usłyszałam:

– Nie, Karolo, niczego nie ustaliłem. Ale mój wyjazd może nastąpić każdego dnia.

– Dlaczego? – Nie bardzo liczyłam na szczerą odpowiedź.

– To skomplikowane – wykręcał się, chyba nie chcąc mnie urazić.

– E, tam, jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze! – podbierałam go komunałem.

– Nie trafiłaś, ale nie zgaduj więcej! – Powstrzymał mnie uśmiechem.

– Pozostaje więc kobieta!

Spowaźniał, skierował wzrok na laptop i lodowatym tonem zapytał:

– Przeglądałaś moje prywatne pliki?

Czułam, jak gorąco pełźnie w górę szyi do głowy, najpewniej zabarwiając je purpurą. Armin przyglądał mi się w milczeniu, by wreszcie znów się odezwać:

– Przyznaj się! Potrafię to sprawdzić, ale wolałbym usłyszeć od ciebie.

Być może blefował, niestety, nie mogłam wykluczyć, iż istnieje taka możliwość. Zdecydowałam się wyjawić prawdę.

– Wiem, że trudno będzie ci w to uwierzyć... – jąkałam się. – Zamknęłam już artykuły, potem chciałam coś jeszcze porównać i przypadkowo kliknęłam na inny folder...

– Co w nim było? – Przygwaźdżał mnie wzrokiem śledczego.

– Zdjęcia. Jakiejś kobiety, blondynki. Arminie, przepraszam! Nie zrobiłam tego celowo i zaraz potem wyłączyłam laptop. Niczego więcej nie przeglądałam, naprawdę!

– Mogłem się tego spodziewać...

Podniósł się z miejsca, zabrał laptop i nie poświęcając mi więcej ani jednego spojrzenia, poszedł w stronę schodów. Herbaty nie dopił.

Zdawałam sobie sprawę, że moje wyjaśnienia są zbędne. Byłam winna i tak się czułam. Rozżalała mnie psota losu; dając mi sposobność, bym udowodniła Arminowi, że można mi ufać, zniszczył ją moim jednym nierozważnym ruchem.

W starym domu strzelało w ścianach, a skrzywienie podłogi przywodziło na myśl utyskiwanie zrzedzającej staruszki. Ofuknięta świstem z komina uspokajała się na trochę, by przypomnieć o sobie niecierpliwym stukiem okiennicy. Wsłuchiwałam się w te odgłosy, wyczekując powrotu Armina, on jednak się nie pojawiał. Wreszcie poszłam na górę, lecz mijając jego pokój, nie odważyłam się zapukać. Zza drzwi dochodziła głośna muzyka, żywa, wręcz agresywna, a jeśli

oddawała obecny nastrój mojego współlokatora, to lepiej było nie wchodzić mu w drogę. Nie wiedząc, co z sobą począć, zrobiłam sobie kąpiel. Pomimo to do końca dnia czułam się podle, nie zmyłam z siebie poczucia winy.

Nocą posunęłam się do czegoś niewybaczalnego. Udałam się do Armina.

– Naprawdę tego chcesz? Możesz jeszcze się wycofać...

Nie miałam pojęcia, że przygnało mnie do niego pożądanie. Wydawało mi się, że przyszłam, by porozmawiać z Arminem; podjąć się próby przekonania go, iż niechcący zajrzałam do pliku z fotkami. Ani myślał wchodzić ze mną w dysputy, a moje pojawienie się odebrał jednoznacznie. Kiedy doznawałam czegoś w rodzaju rozdwojenia jaźni, bowiem co innego podpowiadał mi umysł, a czego innego domagało się ciało, on zdawał się nie mieć żadnych wątpliwości. Ciekawe, że jedno spojrzenie na Armina od razu pogodziło we mnie obydwie fronty. Odtąd chciałam już tylko jednego. Tego samego, co on.

Przedwcześnie zakończony wieczór nie pozwolił mi zasnąć. Bałam się, że teraz Armin już na dobre oddali się ode mnie, ostrzegając o swoim przeczuleniu na punkcie zaufania. Też miałam swoje słabe strony, a największą było wahanie. Leżąc w pościeli, walczyłam na przemian to z dumą, to z wyrzutami sumienia. Wygrały drugie, a może cwana natura przewrotnie wskazała mi furtkę, która otwierała mi drogę do Armina. Jest wina, musi być kara, więc nie ma co udawać wyniosłą, przyznałam pokornie.

Poszłam, a właściwie przebiegłam do jego pokoju truchcikiem, z nadzieją, że mnie nie odrzuci. Czy to możliwe, że wiedział lepiej ode mnie, po co naprawdę przyszłam? Jeżeli tak było, to zrobił co należało, ponieważ mocniej niż słów pojednania pragnęłam odnowy innego rodzaju bliskości.

Nie spał, na moje delikatne pukanie do drzwi od razu zareagował. Weszłam do środka w chwili, gdy zapalił nocną lampkę. Zatrzymałam się w milczącym niezdecydowaniu; chociaż spodziewałam się zastać go w łóżku, światło mnie zmieszało. W ułamkach sekundy zarejestrowałam męski bałagan w pokoju oraz znajomy zapach wody kolońskiej. Potem napotkałam wzrok Armina i otoczenie stało się nieważne. On tymczasem oparł się na łokciu, po czym lekko odchylił kołdrę i zaprosił mnie pod nią:

– No, chodź, bo zmarzniesz!

W spojrzeniu Armina nie było pretensji i to pozbawiło mnie ostatnich zahamowań. Jego ramiona powitały mnie mocnym objęciem i znajomą już wonią. Otoczyło mnie bezpieczne ciepło. Przyłgnęliśmy do siebie, spoglądając sobie w oczy, z zaciekawieniem, badawczo, jakbyśmy widzieli się po raz pierwszy. Uśmiechnęłam się, Armin to odwzajemnił, ale kiedy chciałam coś powiedzieć, uciszył mnie, kładąc na ustach palce. Przeczynałam, że wyjaśnień nie będzie, a na pewno nie takie, jakie układałam, nie mogąc zasnąć.

W bliskości Armina moje wyziębione ciało wkrótce stało się tak gorące jak

jego. Na moment wysunęłam ramię spod kołdry i wymacałam wyłącznik lampki. Ciemność pomagała mi się rozluźnić, usuwała resztki wstydu, pobudzała wyobraźnię. Armin, jakby tylko na to czekał, zabrał się do rozpinania guziczków u mojej piżamy. Nie spieszył się; niebawem zrozumiałam, że należał do tych wędrowców, których cieszy już sama podróż, a nie tylko zdobycie celu. To ja byłam bardziej niecierpliwa, oddychałam niespokojnie, chcąc również spenetrować nieznane obszary. Na razie byłam obiektem umiejętności poczyznań Armina.

Mój plan dogadania się z nim stał się nieaktualny, podobnie jak incydent z laptopem. Liczyło się tylko moje pragnienie, on, ja, my dwoje. Rozkoszowałam się jego dotykiem, drżałam i wzdychałam, nie mając nad tym kontroli, a każda kolejna sekunda zbliżała mnie do błogostanu. Ściągnął ze mnie spodnie od piżamy, nie stawiałam oporu, wręcz mu w tym pomogłam. Pozbawiona ostatniej bariery między nami, scałowywałam smak jego warg, wyczuwając i jego podniecenie. Wtedy padło znajome pytanie, a że za nic nie chciałam, by teraz przerywał, od razu wyszeptałam:

– Tak, chcę tego.

Przekroczywszy granicę znanego, zaufaliśmy swoim instynktom. Kompatybilni w oczekiwaniach, nie mieliśmy obaw, że któreś zawróci. Pragnęliśmy tego samego i poruszaliśmy się w stronę celu trochę na wycucie, jednakże bezustannie do przodu. Najpierw ostrożnie, bez ponagłania, potem już w rytm kodu wpisanego nam przez naturę, po raz pierwszy w jedno i po raz pierwszy doświadczając tego wspólnie. Armin nie musiał być mi przewodnikiem, a ja nie potrzebowałam go hamować. Chwytałam w lot istotę każdego z jego ruchów, poddawałam się im dobrowolnie, wyrzekając się walki. Wyczuwaliśmy siebie, wyprzedzając szept, a te były nam potwierdzeniem, iż w dżungli zmysłowości w żadnym razie nie błądzimy.

Tej nocy przebyliśmy swoją podróż dwukrotnie. I każdorazowo docierając do finiszu, wykrzykiwaliśmy z siebie nadmiar emocji, a było w tym coś pierwotnie dzikiego, jak i my sami byliśmy nadzy i dzicy. Aż wreszcie nasyciliśmy się sobą na tyle, by móc leżeć przy sobie spokojnie, już bez podskórnych drgawek, w całkowitym bezruchu.

Była w nas harmonia, jaką widuje się niekiedy na styku nieba z oceanem. Idealnie dopasowani, stapialiśmy się w sobie, zatracając granicę pomiędzy jednym a drugim błękitem, równo dzieląc się światłem. Co było moje, było teraz jego, i wzajemnie, jego stało się moim. Stanowiliśmy wspólnotę nie tylko w sensie naszych połączonych ciał. Odkryliśmy właśnie swój nowy świat i weszliśmy w niego niczym pionierzy na terranova, pełni fascynacji, ekstazy, a nawet wzruszenia.

– Czulaś to samo? – zapytał nagle Armin, nie precyzując, co ma na myśli.

– Nie wiem – odparłam cicho. – Powiedz mi, co czuleś?

Odezwał się dopiero po dłuższej chwili milczenia:

– Byłem głębiej niż w najgłębszych miejscach podwodnych i byłem wyżej, niż unosi się wiatr...

Moje oczy zwilgotniały. Nie mógł tego trafniej wyrazić, byłam tam przecież wraz z nim. Jego słowa brzmiały lekko i prawdziwie, jakby mówienie poezją należało do najzwyczajniejszych rzeczy na świecie. Nie potrafiłam wyrazić siebie w ten sposób, choć wyczuwałam, że Armin czeka na to, co powiem. Nie usłyszał moich słów, po prostu wtuliłam się w niego milcząc, z nadzieją, że to mu wystarczy. Chyba jednak był zawiedziony, gdyż powiedział z westchnieniem:

– Niepotrzebnie się boisz.

– Wiem. To tylko...

– Tak?

– Zaszło mi w ustach – wykręciłam się, wracając do przyziemności.

Zaśmiał się, podniósł trochę i przechyliwszy się nade mną, podał mi butelkę wody mineralnej. Ukołam pragnienie i oddałam mu ją, a sądząc po odgłosach, dopił resztę. Ułożyliśmy się blisko, wygodnie, lecz duchowo już rozdzieleni, osobno udając się w sen. Nasza skóra wydzielala tę samą, teraz wspólną woń, tylko serca były inaczej, jedno do drugiego w synkopach. Pomyślałam wówczas, że tak musiało być w Edenie, zanim pierwsi ludzie sprowadzili na siebie gniew.

Przebudziło mnie drapanie o drzwi, Remi zatęsknił za swoją panią. Jakimś kocim zmysłem musiał wyczuć, że nie śpię i zaczął żałośnie miauczeć. Trzeba było coś zrobić, wiedziałam, iż nie da nam spokoju. Ostrożnie wysunęłam się z objęć Armina, nie wywołując u niego żadnej reakcji; spał twardo, posapując w rytm równomiernego oddechu. Dookoła panowała ciemność, lecz bez trudu dotarłam do drzwi i wyszłam, cicho zamykając je za sobą. Kotek na mój widok zmienił tonację na radosną i zatańczył, ocierając mi się o nogi. Zbeształam go stłumionym głosem, podniosłam z podłogi i udałam się z nim do mojego pokoju. Tam od razu wskoczył na łóżko, po czym spoglądając ku mnie, raz i drugi wyczekująco miauknął. Zdecydowałam, że w takim razie dokończę snu u siebie i błyskawicznie znalazłam się pod swoją kołdrą. Mogłabym zwalić to na kotka, ale to jednak nie on był winny. Po prostu uciekłam.

W jasności ranka musiały paść słowa, a mnie zabrakło pewności, czy będę umiała rozmawiać o tym, co zaszło.

Co gorsza, z boku patrząc mogło to wyglądać tak, że niczym typowa baba wzięłam się do urabiania chłopca przez łóżko. Sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej. Zabrnęłam w zaułek bez wyjścia, bowiem udawać, że nic się nie stało, również nie potrafiłam. Tymczasem schowałam głowę w piach, a uściślając, pod poduchę i mimo burzy myśli udało mi się jednak zasnąć.

Pospałam nieprzyzwoicie długo i dopiero znów kot, domagając się śniadania, przywrócił mnie jawie. Otworzyłam okno na oścież. Do pokoju wpadła finezyjna mieszanka igliwia i świeżej wilgoci, nie dorównywał jej żaden najdroższy

odświeżacz powietrza. Przez chwilę delektowałam się promieniami słońca na twarzy i radosnym świergotem ptaków. Błękit nieba wyostrzył szczyty przeciwległego pasma górskiego, natomiast pobliskie połacie lasów utoczyła puszysta biel. Myśl o kawie stała się impulsem do zejścia na dół. Zamknęłam okno i wyszłam z pokoju. W domu panowała idealna cisza i chłód; kominek nocą wygasł. Zaparzywszy kawę, dobudzałam się przy niej, rozmyślając o tym, co zaszło.

Targały mną ambiwalentne uczucia, z jednej strony jakaś nieopisana szczęśliwość na wspomnienie chwil, które nocą dzieliłam z Arminem, z drugiej spekulacje co do następstw w jego stosunku do mnie. Dla mnie ta noc stała się swoistym przełomem i to nie tylko w naszej relacji, lecz także zmianą w moim przeżywaniu seksu. Nie przypominałam sobie, czy w ogóle, a jeśli tak, to kiedy ostatnio, doznawałam go tak swobodnie, wreszcie uwolniona od krytycznej obserwarki z boku, którą byłam ja sama. A czym była dla Armina? Dlaczego tak bardzo zależało mu na potwierdzeniu, że chcę, aby posunął się dalej? Wystawiał sobie w ten sposób bilet na jednorazowy, niezobowiązujący numer? Miałam nadzieję, że nie; wyzwolona namiętność domagała się ciągu dalszego.

Armin nigdy tak długo nie spał, więc zaczęło mnie to niepokoić. Udałam się na piętro, raz i drugi zapukałam do jego pokoju. Nikt nie odpowiadał, więc nacisnęłam klamkę, drzwi nie były zamknięte. W środku nikogo, nie dostrzegłam też plecaka ani laptopa. Armin nie zabierał go w góry, więc być może nie tylko wyszedł, ale nawet wyjechał! Bez uprzedzenia i nie żegnając się ze mną?!

Poczułam, jak miękną mi kolana. Musiałam usiąść, zrobiłam to na jego łóżku, niewiele brakowało, abym z płaczem rzuciła się na poduszkę. Odszedł bez słowa, wyraźniejszego znaku nie mógł mi pozostawić. Czy należało to do jego planu, aby oddzielić seks od reszty? Zanim zdążyła wezbrać we mnie złość, przypomniałam sobie, że pierwsza zwiłam stąd przed świtem. Zrozumiałam, że był to błąd i karciałam się w duchu. Co poczułabyś na jego miejscu, po tak wyjątkowej nocy budząc się w łóżku sama? I uważasz, że zostałam odrzucona?!

Nowe wnioski totalnie mnie przygnębiły. Musiałam wyjść z domu, rozproszyć myśli; z powodu kolana przez wiele dni byłam uwięziona w czterech ścianach, dłużej nie mogłam. Zmuszając się do każdej czynności, włożyłam buty i kurtkę, narzuciłam na ramię plecak, po czym wyszłam na zewnątrz.

Za laskiem zasygnalizowała się moja komórka. Najnowsza wiadomość była sprzed trzech godzin, wysłał ją

Armin. Jej lakoniczna treść informowała mnie o nagłym przymusie wyjazdu, ale też prosił, abym pozostała w górach. Nic osobistego, nawet podpisał się tylko pierwszą literką imienia. Zrobiło mi się przykro, ale przymusiłam się, by wiadomość potraktować pozytywnie. Armin się odezwał, to dobrze, mógł przecież pozostawić mnie w zupełnej nieświadomości. Ponadto jego prośba znaczyła, że

zamierza tu wrócić. To mi wystarczyło. Poczułam prawie fizycznie, jak spada mi ciężar z serca. W zamian wypełniła je nadzieja, że otrzymam szansę na wyjaśnienie nieporozumień. I na noc, po której tym razem przebudzimy się wtuleni w siebie.

Zeszłam do wioski, a widząc, że autobus stoi na końcowym przystanku, zajęłam w nim miejsce. Para siedząca przede mną przeglądała jakąś reklamę centrum handlowego, z rozmowy wynikało, że planowali świąteczne zakupy. Po raz pierwszy od przybycia do Polski uprzytomniłam sobie, że mój pobyt zahaczy o Boże Narodzenie. Prawdę powiedziawszy, wolałabym zapomnieć o świątach. Całe to zamieszanie z dopełnieniem tradycji oraz sileniem się na stworzenie ckliwego nastroju uważałam za przeżytek, podsycany tylko do celów marketingowych. W moim otoczeniu – ludzi zapracowanych i bezdziejnych – w gruncie rzeczy sprowadzało się to do chaotycznego poszukiwania prezentów i oddechu ulgi, gdy święta wreszcie minęły.

Być może dlatego, że uznawano je za rodzinne, mimowolnie pomyślałam o Kindze. Przypomniałam sobie, że powinnam do niej zadzwonić i to nie tylko dlatego, aby wywiązać się z przyrzeczenia danego matce. Chciałam zapytać ją o moje notesy i zdjęcie mamy, skąd te rzeczy wzięły się u niej? W żaden sposób nie umiałam sobie wytłumaczyć, jakim cudem ocalały z pożaru. Nie znajdowałam żadnego wyjaśnienia, a mogłaby to zrobić tylko moja siostra.

Zadzwoniłam już po wyjściu z autobusu, niestety, znowu jej nie zastałam. Mogła być teraz wszędzie, nic nie wiedziałam o jej życiu, a to, co planowała, zakrawało na szaleństwo. Może zrozumiała, że jej dalsze działania nie mają sensu? Wydawało się to o tyle logicznie, że wówczas pobyt w klinice stałby się dla niej bezcelowy. Podbudowana tą myślą ruszyłam w stronę głównej ulicy uzdrowiska.

Posypane solą chodniki zamieniły się w ohydny maź, miejscami ranił uszy dźwięk tarcia butów po ostrym żwirku. Większość wystaw udekorowano już świątecznie i sądząc po ludziach objuczonych siatkami, lokalny handel miał się bardzo dobrze. Jedyne antykwariat był zamknięty, a chętnie zerknęłabym na obraz z polaną. Szkoda, że nie zapytałam o jego wartość, z drugiej strony, moje topniejące oszczędności nie zezwalały mi na zbytki.

Znowu zaczęło mi dokuczać kolano, więc skróciłam trasę, skręcając do parku. Szłam do Domu Kultury.

– Karola! A to niespodzianka! – powitała mnie Irena, gdy pan z szatni wezwał ją telefonicznie. – Gdzie podziewałaś się tyle czasu?!

Uścisnęła mnie, ucałowała w zimne policzki. Zdejmując kurtkę, wyjaśniałam:

– Siedziałam w domu, dopiero od wczoraj znowu wychodzę. Miałam mały wypadek.

– Co takiego?! – Przebiegła wzrokiem po mojej sylwetce, a uspokojona brakiem widocznych uszkodzeń, zaproponowała: – Chodźmy do kawiarni,

opowiesz mi o tym!

Nie opisałam Irze wszystkich okoliczności mojej kontuzji, pominęłam, że z krzesła spadłam nocą. Uznałam, że nie ma potrzeby ujawniać dowodów na swoją, tak jawną lekkomyślność, tym bardziej, iż podpadłam już deficytem słowności. Kornie za to przepraszałam:

– Wybacz, że nie pojawiłam się na próbie! Nie miałam jak cię zawiadomić... Zawiodłam ciebie i dzieci!

– Ależ nie! Próby zostały wstrzymane. Do nowego roku... być może.

– Jak to?!

– Hm... siła wyższa. Większość moich dzieci bierze udział w innym spektaklu, świątecznym, a ich rodzice stwierdzili, że tamten ma priorytet. Ksiądz Filip na dodatek tak ustawił swoje próby, że kolidują z moimi. Niestety, z nim się nie wygra, musiałam ustąpić.

– Ksiądz?

– Tak, chodzi o jasełka w tutejszym kościele. Organizuje je młody wikary, jest u nas od niedawna, chyba chce się wykazać. Nie mam nic przeciwko temu, ale... poróżniłam się z nim o moje dzieciaki! Nic mi nie mówiąc, zaczął je namawiać na swoje próby, kusić głównymi rolami. Dobrze wiedział, że z moimi pójdzie mu łatwiej, są już trochę obyte z graniem i kochają to robić.

– Tłumaczył się jakoś?

– W tym sęk, że nie. To przemądrzały arogant, nie sposób dyskutować z nim merytorycznie. Przycięłam mu więc, że nieładnie łowić ryby w czyimś stawie i na tym zakończyłam rozmowę.

– Oj, Irena, tak mi przykro! – Wiedziałam, z jakim zaangażowaniem podchodzi do kółka teatralnego. – A nie mogłabyś spotykać się z dziećmi w jakiejś innej formie?

– Nie, ponieważ one mają jeszcze różne dodatkowe zajęcia. Teraz już nawet nie wiem, czy w ogóle do mnie wrócą? Ksiądz Filip uczy w tutejszej szkole religii...

– Jest nowy? Na pewno ma jakiegoś zwierzchnika? Może z nim łatwiej byłoby się dogadać?

– Coś ty?! Proboszcz jeszcze bardziej nadęty od niego, niektórzy są nawet zdania, że on rządzi miastem nie burmistrz. Cholerny konkordat, podpisano go nie pytając narodu o zgodę, a potem zdziwienie, że klechy się panoszą! Ale nie mówmy już o tym, szkoda nerwów!

Irena była zdenerwowana. Na twarzy miała wypieki, a kawę piła dużymi łykami, choć zwykle lubiła się delektować. Musiała zresztą wracać do pracy, więc nie pogadałyśmy długo; umówiłyśmy się na spotkanie w jej domu.

Nie od razu ruszyłam w drogę, przeceniłam swoje siły, chciałam jeszcze odpocząć. Rozmyślałam o Irenie. Jej bezinteresowna gorliwość przestała się liczyć,

a szczerą pasją dzieciaków też, jak widać, nic nie znaczyła. Ktoś chciał postawić na swoim i zapewne postawi, pod presją; nie pierwszy i nie ostatni raz, gdy służbę mylono z władzą. Zdumiewała mnie ta polska, wszechobecna czołobitność przed klerem. I na pewno nie chciałabym być w kościele, w którym trzeba spodziewać się represji, jeśli bezkrytycznie się nie dostosuję.

Żyjąc z dala od ojczyzny, być może nie miałam prawa tu nikogo osądzać, natomiast miałam prawo przyglądać się i stawiać pytania. A to, co widziałam, to ewenement w cywilizowanym świecie, rzecz dla mnie kompletnie niezrozumiała, nieusprawiedliwiona ani tradycją, ani niczym innym. Nie w kraju, który umiał sprzeciwiać się zaborcom, doprowadził do obalenia komunizmu, a za demokrację zapłacił wyższą cenę od innych. Zdziwiło mnie, że ten dzielny, dumny naród poradził sobie z wójtem i panem, a jedynie z plebanem nie chciał czy nie umiał...

– Ładnej buzi nie przystoi tak się zasępiąć!

Wyrwana z zamyślenia spieszyłam się, zwłaszcza, że Sylwester nachylił się ku mnie zbyt blisko. W jego oczach błyskały figlarne ogniki, co pomogło mi zatuszować zmieszanie uśmiechem. Może i dobrze, że plastik zaszedł do kawiarni, gdyż jego obecność pomogła mi oddalić mroczne refleksje.

– Mogę się dosiąść? – Usiadł, zanim zdążyłam przytaknąć.

– Masz przerwę? – zagadnęłam.

– Robię je sobie, kiedy zechcę – odparł nie bez dumy.

– Uprzywilejowany pracownik?

– Pozwolisz, że zapalę? – Tym razem poczekał na moją reakcję, po czym odpowiedział: – Po prostu wiem, jak żyć z ludźmi.

– Z ludźmi czy z kobietami?

– Przejrzałaś mnie! – Zachichotał i zaciągnął się dymem z papierosa. – Zgadza się, mam do was słabość.

– W większości wypadków, jak sędzę, z wzajemnością?

– No, ty na pewno jesteś wyjątkiem! Zresztą nie wiem nawet, czym zawiniłem! – Udawał niewiniątko.

– Nie? W takim razie co miała znaczyć ta kartka z przeprosinami?

– To za moją późną wizytę. Przyznam, że byłem trochę zły na ciebie, ale mi przeszło. Widać, nie chcesz tak szybko iść na całość... Dobrze, poczekam.

– Sylwester, przecież ledwo cię znam!

– A ja mam wrażenie, jakbyśmy znali się nie od dzisiaj. Wiesz, kiedy tylko zobaczyłem cię po raz pierwszy, poczułem, że jesteś moją bratnią duszą – mówił z cikliwą nutą w głosie.

– Proszę cię... – jęknęłam. – Zaraz pewnie jeszcze usłyszę, że twoje małżeństwo to tylko fikcja, czujesz się nierozumiany, niespełniony i czekałeś na kogoś takiego jak ja?!

Papieros w dłoni pozwalał mu zachować fason, jednak ułamek sekundy

niepewności w jego wzroku potwierdził, że miałam rację. Też mi się trafił uwodziciel! Na dodatek, ani myślał ustąpić i tym razem brał mnie na litość.

– Niedobra dziewczyna! Ja do ciebie z sercem na dłoni, a ty kpisz sobie ze mnie! Uwierz, moje małżeństwo to farsa! Żona całymi dniami...

– ...ciężko pracuje i ty dobrze na tym wychodzisz! – weszłam mu w słowo.

– Ależ ty jesteś przyziemna!

– Próbuję ci tylko uprzytomnić, że nie piszę się na schadzki w pensjonacie „Perła”. Zresztą, o czym my w ogóle gadamy?! – Pokręciłam głową, dziwiąc się samej sobie, że wpuściłam się w głupią rozmowę.

Drażnił mnie swoim sposobem bycia i w przeciwieństwie do poprzednich spotkań, nie wzbudzał u mnie żadnych skojarzeń erotycznych. Plastyk w żadnym razie się nie zmienił, więc wychodziło na to, iż transformacja dotyczyła mojej osoby, a ściśle, jej fizyczności. Nie musiałam jednakże mieć powodów do obaw, że zagraża mi oziębłość seksualna. Jedno krótkie wspomnienie nocy z Arminem, a natychmiast poczułam znajome dreszcze na plecach.

Sylwester wreszcie dał sobie spokój z umizgami i rozgadał się o wernisazu jego pierwszej wystawy. Brzmiało ciekawie, więc kiedy zaprosił mnie na tę imprezę, nie wykluczyłam, iż się pojawię.

Tymczasem chciałam jak najszybciej znaleźć się na polanie. Myliłam się myśląc, że pobyt w uzdrowisku uwolni mnie od tęsknoty za Arminem. Była ukryta we mnie jak pajaczek w cieniu, którego misterne dzieło nieoczekiwanie ujawni promień słońca. Teraz nastąpił ten moment, a mnie oświeciło, że nasze nocne złączenie się w jedność wykraczało poza wymiar fizyczny. Armin stał się częścią mojego życia.

– Karola... mój wyjazd... musiałem. W przeciwnym razie nie ruszyłbym się stąd dzisiaj! Nie tak nagle.

Zdumiał mnie. Właśnie na takie słowa czekałam, do późnego wieczoru oczekując powrotu Armina. Nie zdjął nawet kurtki, ściągnął tylko plecak i od razu mnie przytulił.

– Tęskniłaś? – Jego słowa były ciepłym szeptem.

– Tak – odparłam bez wahania, by zaraz samej zapytać: – A ty?

– Bardzo. Pędziłem tu jak wariat.

– Widziałam twój wóz... – Uznałam, że pora przyznać się do tego. – Kiedyś, w wiosce. Nie gniewasz się, że to przemilczałam?

– Każde z nas ma swoje sekrety. – Zbagatelizował moje słowa uśmiechem. – I niech na razie tak pozostanie.

Tym samym zamknął mi możliwość zapytania, gdzie był i dlaczego tak niespodzianie wyjechał. Później raczyliśmy się winem. Wtuleni w siebie, on ze swobodą ludzi przywykłych do tego, ja trochę zawstydzona. Nasza rozmowa przyływała falami, a pomiędzy było milczenie, które nie miało w sobie nic z

niezręcznej ciszy. Trzaski kłód w palenisku przynależały do niej tak samo naturalnie, jak posapywanie kota, czy też inne odgłosy domu.

Czułam wokół siebie przyjazne fluidy, nie do końca wiedząc, czy idą tylko od Armina. Gdzieś we mnie wciąż tliła się niepewność, lecz nie dotyczyła chwil obecnych, a tych przyszłych. Staralam się oddalić ją od siebie, zwłaszcza, że nie poskładałam nawet tego, co zostawiłam już za sobą. Czytanie pamiętników stało się powrotem potrzebnym, lecz możliwe, że złudnym. Fakty widziane z mojej perspektywy miały tyle wspólnego z prawdą, ile wachanie kwiatów przy katarze. Bałam się kolejnych matriszek Kingi, a zarazem wiedziałam, iż nie zdołam do końca życia udawać, że one nie istnieją.

- Nie mówiłaś jeszcze, jak spędziłaś dzień... – zagadnął Armin.
- Wybrałam się do uzdrowiska. Nie mogłam tu wytrzymać, po głowie chodziło mi tysiące myśli...
- Bałaś się o mnie?
- Bałam się, że wyjechałeś z mojego powodu. Nie pożegnałeś się ze mną.
- Smacznie spałaś, nie chciałem cię budzić.
- Trzeba było. Sądziłam, że jesteś na mnie zły... bo wróciłam do swojego łóżka.
- Chyba żartujesz. Zresztą, gdyby nie wczesna pobudka leśniczego, zakradłbym się do ciebie. Rozbudziłaś moje żądze! – wyznał bez zahamowań.
- A ja myślałam...
- Za dużo myślisz – wszedł mi w słowo.
- Dziwisz się? Co stworzę sobie jakiś obraz ciebie, ty go burzysz. Jak więc nie analizować? Na szczęście, przy całej twojej zmienności masz też kilka zalet. – Uśmiechnęłam się.
- I to nimi przekonałem cię do siebie? – Uniósł znacząco brwi.
- Może jeszcze nie przekonałeś? Nie mam do dyspozycji zbyt wielu pewników.

Wstał, by dorzucić szczap do kominka. Czyżbym znowu posunęła się za daleko? Tak łatwo można było go spłoszyć. Sekundy później zrewidowałam swój pogląd, gdyż na twarzy Armina nie pojawił się najmniejszy cień urazy. Siadając przy mnie, ujął moją dłoń i patrząc mi w oczy, powiedział:

- Karolo, przyjechałaś tutaj odpocząć, leczyć się z migreny. Ja muszę się uporać z moimi problemami. Jeżeli jest nam pisany jakiś ciąg dalszy, to chyba dopiero wtedy, gdy pozamykamy to, co za nami.
- Każdy z osobna? – zapytałam po namyśle.
- Nie chcę cię mieszać w moje sprawy. Potrafisz to zaakceptować?
- Mam inny wybór?
- Zawsze jest wybór.
- Czy kiedykolwiek dowiem się prawdy o tobie?

– Z pewnością.

– A co, jeśli prawda okaże się dla mnie za trudna? Pozwolisz mi wtedy tak po prostu odejść? – ośmieliłam się zapytać.

– Chcąc być konsekwentny, będę musiał ci na to pozwolić. Mam jednak nadzieję, że tego nie zrobisz.

Ostatnie zdanie wypowiedział już ciszej, łagodnie patrząc mi w oczy. Jego odpowiedzi zamiast coś rozjaśniać, przerażały mnie wielością opcji. Pewne było tylko to, co działo się teraz. Złapałam się tej chwili jak tonący brzytwy.

Zamilkliśmy. Przytulił mnie do siebie i bezwiednie bawił się moimi włosami, które wieczorem umyłam. Naturalny zapach idący od niego mieszał się z wonią mojego szamponu... Bliskość Armina pobudzała moją kobiecość. Jeżeli on zawsze miałby tak na mnie działać, biada mi, pomyślałam w przypływie trzeźwości.

Jeśli nawet sama nie miałam hamulców, to zaciągnął je mój organizm. Najpierw odczułam uciskiem z tyłu głowy, a potem równomiernym kołataniem w lewej skroni. Wiedziałam, co to znaczy, jednak łudziłam się jeszcze, że wkrótce samo minie. Niestety, picie wina nie było dobrym pomysłem, ból wzrósł. Na dodatek Armin teraz już świadomie zaczął mnie pieścić, nie ograniczając się tylko do włosów.

– Przepraszam cię, muszę wstać po wodę – wymamrotałam.

– Nie ma już wina? – zdziwił się.

– Nie chcę wina, muszę popić tabletkę.

– Co się dzieje?

– Zapowiada się chyba migrena.

– Miewasz doskonałe wycucie chwili. – Nie krył sarkazmu.

– To, niestety, nie jest ode mnie zależne... – usprawiedliwiałam się.

– I to na pewno żadna babska sztuczka? Nie musisz ich ze mną stosować, nie chcesz, to nie, nic na siłę... – Nie dowierzał mi chyba.

– Daj spokój, mówię, jak jest.

– No to zwiewaj waćpanna, pókim ci łaskaw! – Uśmiechnął się tylko ustami, bo w jego spojrzeniu było rozczarowanie.

Ja również czułam zawód, gdyż nie tak wyobrażałam sobie nadchodzącą noc. Nie udało mi się powstrzymać ataku. Trwał parę godzin. Straciłam przy tym rachubę czasu, wreszcie jednak zasnęłam.

Z letargu, w którym chętnie zostałabym na dłużej, wyrwało mnie skrzypienie podłogi w moim pokoju. Niewiele później ktoś usiadł na moim łóżku.

– Karola... śpisz? – szepnął Armin.

Niechętnie podniosłam powieki, zza okiennic wpadała poświata poranka, jasność raziła mnie w oczy. Podniosłam się na łokciach, z ulgą stwierdzając, że nie miało to dla mnie żadnych następstw. Atak minął.

- Która godzina? – spytałam.
- Dochodzi dziesiąta, leniuszku! Jak się czujesz? – Uśmiechał się ciepło, bez śladu żalu do mnie.
- Dziękuję, całkiem dobrze. Nie poszedłeś dziś w góry?
- Nie, popracuję trochę przy domu. Zjesz ze mną śniadanie czy mam ciebie schrupać?

Widząc, że miałby chyba większą ochotę na to drugie, wyskoczyłam z łóżka i pobiegłam do łazienki. Po natrysku, rozczesując włosy, zaskoczyłam się swoim odbiciem w lustrze. Wielokrotnie zauważyłam, że atak migreny jakby oczyszczał mój organizm z toksyn i dotyczyło to również urody. Tym razem również tak było. Cera stała się gładsza, oczy lśniły świeżym blaskiem i chyba poprawiało się też krążenie, gdyż usta czerwieńły się jak ponętne maliny. Całkiem jednak możliwe, że dzisiaj spowodowała to nie tylko migrena. Aluzje Armina podświadomie i mnie rozpałyły.

W odróżnieniu od niego, nie miałam jeszcze śmiałości, by ujawniać przed nim ochotę na seks. A przynajmniej nie w jasności dnia, toteż starałam się ją skrywać i nie podejmowałam zaczepek Armina. Poszedł wyżyć się przy pracy w ogrodzie, a ja zajęłam się porządkami w domu. Robiłam je automatycznie, jakbym mieszkała tu od zawsze. Tym samym, moje myśli biegły swobodnie, aż wreszcie stały się refleksyjne, niemal filozoficzne.

Rozmyślałam nad ładem innego rodzaju, pod kątem tego, co nazywamy naszym światem. Określały go czas i przestrzeń. To one regulują rzeczywistość, nadają kształt zdarzeniom i ustawiają je na podziałce dni. Dzięki temu mamy choć częściowe rozeznanie w chaosie przeżyć własnych, splatających się z życiem innych ludzi i prawami natury. Ów porządek jest jednak niepewny i złudny, raz po raz burzą go nieprzewidywalne przypadki. Czy istnieje ich definicja? Czy są tożsame ze zbiegiem okoliczności bądź raczej zbiegiem z okoliczności... typowych, ujarzmionych planami i dających się przewidzieć? Wielokrotność tych samych przypadków nazywamy już bowiem zasadą, regułą, prawem.

Niektórzy uważają, że nie ma czegoś takiego jak przypadki, dla innych przypadkiem jest wszystko, włącznie z naszym zaistnieniem jako gatunku. Myśliciele od tysiącleci łamali sobie nad tym głowy, to przechylając ją w stronę predestynacji, to ku ślepemu losowi. Ja wiedziałam jedynie, jak duży wpływ może mieć przypadek na przebieg ludzkiego życia czy wręcz na bieg całej historii. Potrafił wywołać lawinę wydarzeń, których potem nie sposób powstrzymać.

Pomyślałam, że bywają przypadki, o których mówiło się „prawdziwy pech” lub „łut szczęścia”. Były też zdumiewające, tragiczne, zabawne, niektóre otwierały nowe szanse, inne na dobre je zamykały. Nie brakowało zdarzeń, którymi pokierować zdawał się traf, chyba że wszystkiemu nada się miarę przeznaczenia. Czym w takim razie był nasz przyjazd do tego odludnego domu?

Nawiązałam do tego dopiero po zmierzchu, kiedy nastrój kończącego się dnia sprzyjał takiej rozmowie. Armin twierdził, że zamierzał spędzić tu lato, lecz z powodu pewnych komplikacji dotarł dopiero jesienią. Z kolei ja parę miesięcy temu nawet nie brałam pod uwagę pobytu w tych stronach. Armin i ja, dwa odrębne żywoty, a wokół nich mnóstwo odmiennych okoliczności.

I nagle to wszystko nakłada się na siebie w dniu naszego spotkania.

– Ludzie zwykli powiadać, że widocznie tak być musiało – podsumował Armin.

– Może mówimy tak z bezradności? – spytałam o to również siebie.

– Możliwe, ponieważ jest to dla nas nie do objęcia – zgodził się ze mną.

– Przyznam się, że próbowałam to jakoś uporządkować. – Zerknęłam na niego, a uspokojona brakiem ironii w jego oczach, kontynuowałam: – Na mój prywatny użytek stworzyłam sobie teorię połączenia obydwu pojęć, predestynacji i przypadku. Duże wydarzenia podciągając pod przeznaczenie, a do pomniejszych dopuszczam przypadki i własne wybory.

– Ciekawe. Byłbym w stanie uznać twoją koncepcję, ale jak określisz, które zdarzenie jest ważne, a które mniej ważne? – podważał moje słowa.

– To prawda, jedynie Bóg to wie! – Ustąpiłam.

– Zaskakujesz mnie... Jesteś wierząca? – W spojrzeniu Armina była nie tylko zwykła ciekawość.

– Lepiej nie dociekaj! – Roześmiałam się. – Prawdę mówiąc, z tymi swoimi teoriami chyba nigdzie nie pasuję, ani do wierzących, ani do agnostyków. Dawniej za takie przekonania spalono by mnie na stosie.

– Na czymś jednak musiałaś je oprzeć.

– No, dobrze. Mam za sobą dość intensywną fazę poszukiwań. Czytałam trochę myślicieli różnych religii, Biblię, a nawet nowszych, już samozwańczych proroków. Ostatecznie odrzuciłam wschodnie idee, a także te różne przemieszane na nowo i doprawione na potrzeby współczesnych, jak na przykład sprytnie robi się to w ruchu New Age.

– I wróciłaś do źródeł?

– Owszem, chrześcijaństwo jest mi najbliższe. Jednak nie to kościelne, od święta, lecz praktykowane w codziennym życiu. Jego beczasowe wartości. Jestem na swój sposób wierząca, ale na pewno nie jestem religijna. A ty jak? Chodzisz do kościoła?

– Tak, czasami. Ale do pustych kościołów, nie na msze. Raczej z potrzeby wyciszenia, choć częściej z podziwu dla architektury. Obrządki nie dla mnie, nie potrafię w tym uczestniczyć, nie umiem skupić się w masie ludzi. Bożą świątynię odnajduję w naturze. Na przykład tutaj, w górach.

– Modlisz się?

– Nie wyuczonymi formułkami. Niekiedy nawet nie słowami. To bardzo

trudno opisać. Nachodzą mnie jakby momenty ogromnego pokoju... wdzięczności i zachwytu... że... pozostaje tylko skłonić głowę w pokorze.

Zamilkłam. Wbrew pozorom, mieliśmy wiele wspólnego, gdyż moje modlitwy wyglądały podobnie. Nie pamiętałam już tych wykutych w dzieciństwie i potem bezmyślnie klepanych, zresztą, czy będąc rodzicem chciałabym, aby dzieci zwracały się do mnie w ten sposób? Nieczęsto rozmawiałam z Bogiem, a wówczas była w tym krańcowa szczerść, jak też skrajne były chwile, w których to czyniałam. Zdarzało się jednakże, że podobnie jak Armin, umiałam jedynie zadumać się, westchnąć.

Od dyskusji nad stanami naszego ducha, przeszliśmy do formy fizycznej. Zgodnie uznaliśmy, że przesada w żadnej dziedzinie nie jest pożyteczna, łatwo wtedy popaść w fanatyzm. Rozsądny umiar nie dotyczył nas jednak w stu procentach. Im bliżej nocy, tym rzucane sobie spojrzenia były coraz dłuższe i gorętsze.

Zima zaatakowała na nowo, odświeżając szczyty idealną bielą. Choiny uginały się pod ciężkimi czapami śniegu, a promienie słońca przeglądały się w jego kryształkach, rażąc w oczy odbitym światłem. Na polanie zrobiło się cudnie i niewiele brakowało do pocztówkowego kiczu. Dom również stał się bajkowy, jakby przyprószony cukrem pudrem. Opuściliśmy go, udając się w górę, w stronę szlaku. Po jakimś czasie odwróciłam się, po raz pierwszy widząc naszą siedzibę z takiej perspektywy. Od tej strony nieochroniona drzewami, bezbronne wystawiała się na ataki wiatru. A jednak położenie domu, niżej i za zakrętem drogi, wybrane zostało tak, że i stąd nie można go było dostrzec. Ucieszyło mnie, że nikt obcy nie domyśla się go w tym miejscu.

Poprzedniego dnia ustaliliśmy z Arminem, że jeśli dopisze pogoda, wybierzemy się wreszcie w góry. Co prawda, potem posprzeczaaliśmy się o głupstwo i we wzburzeniu zapowiedziałam, że nigdzie nie pójde. Armin ani myślał przyznać mi racji, lecz życząc mi dobrej nocy, zaskoczył mnie nagle całusem w usta. Drań. Doskonale wiedział, że kobieca woła przedziwnie wtedy słabnie. Tak samo zachęcająco zbudził mnie wczesnym rankiem; nie miałam wymówki, a zresztą, wizja wspólnej wędrówki mnie nęciła.

W lesie zesliśmy z głównego, dobrze ubitego szlaku pomiędzy drzewa. Dróżka ujawniała się tylko fragmentarycznie, w większości pokrywał ją śnieg, lecz mój przewodnik szedł pewnie, jakby chodził nią często. Ucichły nasze rozmowy wcześniej wplecione w rytm kroków. Zgrzałam się, lecz nie ośmieliłam rozpiąć kurtki, temperatura była minusowa. Niekiedy z gałęzi sypał się biały puch, osiadając na naszych czapkach, a bywało, że i na rzęsach. Podeszliśmy już dość wysoko, kiedy Armin przystanął, drożyna pięła się tutaj stromo, wybrzuszona przez jakieś podziemne korzenie. Jeszcze przy domu przydzielił nam po kijku, co początkowo uznałam za zbyteczne, lecz szybko doceniłam możliwość podpory.

Teraz Armin podał mi dłoń i pomógł wdrapać się wyżej.

– Mróz ładnie zaróżowił ci policzki! – zauważył, a wraz ze słowami wyleciał mu z ust obłoczek pary.

– I szczypie w nos. Jeżeli pobłędzimy, czeka nas zamrożenie...

– Nie bądź taką pesymistką! Dobrze znam te okolice, niebawem dojdziemy do skarpy z widokiem na wąwóz. Ruszajmy!

Poszedł przodem, równym krokiem, do którego starałam się dostosować tempo. Nasycona obrazami zimowego lasu patrzyłam już tylko pod nogi. Wędrowaliśmy około dwóch godzin i spadała mi kondycja, a podejście stawało się coraz trudniejsze. Armin kilkakrotnie musiał przystanąć, by pomóc mi przy stromiznie; zawstydziłam się, że jestem niezdarna. Drzewa zaczęły się przeredzać, a do moich uszu doleciał jednostajny szum. Autostrada, przyszło mi na myśl, nim zaśmiałam się ze skojarzenia mieszcza. Gdzieś blisko musiał płynąć potok. Wyszliśmy z lasu na niedużą powierzchnię, która obniżała się i kończyła zaśnieżoną krawędzią. Armin ostrzegł mnie, aby do niej nie podchodzić, bo teren zdradliwy, przed laty spadła tu turystka. Poszliśmy wzdłuż linii lasu. Wreszcie dotarliśmy do szerszego pasa skarpy z zabudowaną na jej skraju drewnianą barierką.

– Idzie tędy szlak, dojdziemy nim do schroniska. Przed nami jeszcze trochę drogi, bo obeszlśmy górę bokiem. Odpoczniemy tu chwilę – zdecydował Armin.

Nie bez powodu urządzono tu punkt widokowy, bowiem natura nie tylko imponowała rozległą scenerią, popisywał się również potok, prawie pionowo spadając na dno wąwozu. Niestety, wiatr wiał w naszą stronę, a rozpędzając się w długiej przełęczy, po drodze zdążył nabrać mocy. Od jego lodowatego siekania oczy zaczęły mi łzawić, raz po raz ocierałam je wełnianą rękawicą. Tutaj panował cień, lecz zbocze naprzeciw wyglądało cudownie opromienione słońcem. Nigdzie nie wypatrzyłam śladów ludzkiej bytności, a pasmo gór zdawało się tu dopiero zaczynać. Było coś pocieszającego w ich nieruchomym widoku, gwarancja stałości w świecie, który pędził przed siebie i stale się przeobrażał. Zdziwiła gęstość tutejszych lasów, w śnieżnej oprawie otulających góry niczym futrzaki. Niebo było jednolite, jakby ktoś rozciągnął nad światem błękitne płótno. I muzyka potoku, wcale nie jednostajna, jak zauważyłam, wsłuchując się w jej rytm.

Pomimo bezsprzecznego piękna tego miejsca zimny wiatr stał się nie do zniesienia. Wymroził mi nie tylko twarz, przenikał przez kurtkę, wciskał się pod kaptur. To miejsce nie zapewniało żadnego schronienia, poprosiłam Armina, aby pójść dalej, na co przystał. Dróżkę szlaku przemierzano już dzisiaj, pozostały na śniegu świeże ślady butów. Na razie szło się nadzwyczaj łatwo, wzniesienie było łagodne, nawet zażartowałam, że teraz to niemal przechadzka. Jak było do przywidzenia, zaczęło się znów strome podejście. Spociłam się i nie było mi już do śmiechu, lecz nie chciałam wyjść na marudę. Szliśmy i szliśmy, wreszcie nie

wytrzymałam i zapytałam Armina o odległość do schroniska. Pocieszył mnie, że jest niedaleko, kiedy jednak po kolejnym kwadransie nie doszliśmy do zapowiadanej polany, uznałam, że w genach mojego przewodnika musi płynąć góralska krew.

Straciłam dobry humor. Wyczerpanie zobojętniło mnie na uroki zimowej natury, a w przyjemności katowania się trudną wędrówką postrzegałam teraz jakąś perwersję. Nie wyrażałam swoich myśli na głos, lecz wątpiałam, abym dała się skusić na powtórny wyprawę w stronę szczytów. Co innego jakaś włóczęga po bardziej przychylnym terenie, ale na ekstremalne sporty się nie pisałam. Armin najpewniej wyśmiałby mnie za takie określenie; dla niego, przywykłego do górskich tras, nasza była chyba tylko rozgrzewką.

Szedł swoim miarowym tempem, kiedy ja ledwo się wlokłam. Czekał, aż podejść, patrzył na mnie, jak mi się wydawało, ze zniecierpliwieniem. Nietrudno było odgadnąć, że mam już dosyć i kiedy ciężko dysząc, dobiłam do niego, spróbował podnieść mnie na duchu:

- Wierz mi, teraz to już naprawdę blisko. Dasz radę!
- Jasne, że dam – odparłam bez entuzjazmu, z trudem łapiąc oddech.
- Co z twoją formą? Przyjdzie nam chyba częściej potrenować...

Rzuciłam mu spojrzenie mogące konkurować z bazyliżkowym. Chyba zrozumiał, gdyż nie powiedział nic więcej i po krótkim wytchnieniu ruszyliśmy dalej. Doszliśmy do rozwidlenia, gdzie stał drewniany drogowskaz z ochronnym daszkiem nad strzałkami. Do schroniska było jeszcze pół kilometra, w normalnych warunkach niedużo, lecz w tych znaczyło dla mnie tysiąc żmudnych kroków. Drugi szlak wiódł w dół i Armin, przypatrując mi się uważnie, zostawił mi wybór, czy chcę od razu wracać w dolinę, czy podejść tych pięćset metrów pod górę. Zdecydowałam, że skierujemy się do schroniska. Zmęczenie, zmęceniem, ale później nie darowałabym sobie, że byłam tak blisko i zrezygnowałam. Tym samym sama na siebie ukręciłam bicz.

Polana okazała się nieduża, a budynek schroniska był niezbyt okazały. Armin objaśnił mi, że postawiono go poniżej wierzchołka góry, lecz nie wzbudziłam w sobie ambicji, aby dzisiaj zaliczyć jeszcze szczyt. Szlak połączył się z szerszą drogą, zdaniem Armina leciała okrężnie i nie opłacało się nią wędrować, ale był to łagodniejszy sposób dotarcia na górę. Zbliżyliśmy się do schroniska.

Przypominało trochę nasz dom na polanie. Kamienna podbudówka i nowe elementy, w tym odnowiony dach, pozbawiały schronisko jednorodnego stylu. Solidne, co w tych warunkach było tu koniecznością, jawiło się jako bezpieczna siedziba. Pod ścianą, stał pokryty śniegiem, bliżej nieokreślony sprzęt. Masywne, drewniane drzwi wprowadziły nas do środka. W holu zdjęłam kurtkę, czekając, aż Armin strząśnie z butów śnieg i skierowaliśmy się do głównego pomieszczenia. W progu buchnęło ciepłym powietrzem, dochodziły spokojne dźwięki muzyki z

głośników. Wystrój wnętrza, chociaż przeważało w nim drewno, był surowy, ale przytulności dodawały akcenty folklorystyczne, a także kominek. Turystów było mało.

Mężczyzna za kontuarem baru powitał nas szerokim uśmiechem. Zaproponował miejsca w pobliżu okna, lecz Armin udał się w głąb sali i wybrał stolik za ażurową, ludowo rzeźbioną ścianką. Dopiero wtedy zsunął z głowy kaptur i ściągnął kurtkę. Ostrożny jesteś, pomyślałam.

Podszedł do nas człowiek z obsługi. Odniosłam wrażenie, że panowie chyba się znają, gdyż mężczyzna zachowywał się bardziej poufale niż przystoi wobec obcych. Armin odwzajemniał się grzecznie, lecz mniej zażyłe. Tymczasem grzaliśmy się przy herbacie, na obiad z reklamowanej kuchni domowej trzeba było trochę poczekać. Rozgrzana, wkrótce poczułam się lepiej i humor mi się poprawił. Mój towarzysz rozgadał się na temat rejonu, gdzie znajdowało się schronisko, podobno był długo niedostępny dla osób cywilnych. Na szczycie po drugiej stronie wąwozu znajdował się bliźniaczy, lecz podupadły budynek i od lat szukano dla niego inwestora.

Armin stwierdził, że gdyby nie miał innych planów na życie, marzyłoby mu się osiąść tam na stałe.

– Masz zadatki na pustelnika – zażartowałam.

– Chyba tak. – Nie podjął mojego tonu. – Czym więcej przebywam w naturze, tym trudniej wracać mi do miasta, między ludzi.

Nie dał się jednak wciągnąć w szczegóły, co powstrzymuje go przed pójściem za głosem serca. Dla mnie już nasza polana zdawała się być końcem świata, więc nie pojmowałam, że można pragnąć jeszcze większej głuszy.

Wreszcie podano nam obiad, smaczny, warto było poczekać. Co jakiś czas do sali wchodzili nowi turyści. Zauważyłam szwagra Ireny, któremu towarzyszyła kobieta objuczona niemałym plecakiem. Józef Janowicz coś jej objaśniał, a gdy ona na moment się odwróciła, udało mi się dojrzeć jej twarz. Jedzenie stanęło mi w gardle. Chociaż wiedziałam, że z za przepierzenia nie jestem widoczna, stężałam w bezruchu. Tuż potem Janowicz otworzył drzwi do holu, przepuścił ją przodem i oboje wyszli. Skąd ona tu się wzięła?!!

– Karola... – Armin dotknął mojej dłoni. – Stało się coś?

Odsunęłam od siebie talerz i z ciężkim westchnieniem odparłam:

– Chyba tak, niestety.

– Chodzi o tę kobietę? Wpatrywałaś się w nią jak urzeczona...

A więc nie uszło to jego uwadze, jak zawsze był czujny. Postanowiłam, że powiem mu prawdę:

– Tak... to moja siostra. Wierz mi, nie mam pojęcia, co ona robi w tym miejscu?!

– Janowicz brał klucze od człowieka za barem. Pokoje są na górze. Wygląda,

że twoja siostra zatrzyma się tutaj – powiedział Armin.

– Trzeba więc natychmiast stąd się wynieść!

– Proszę, proszę... ukrywasz się? – zauważył z ironią.

– Może myślę o tobie? – Spojrzałam mu zadziornie w oczy.

– Zdradzisz mi, czemu nie chcesz przywitać się z siostrą? – dopytywał się, spokojnie kończąc posiłek.

– Po pierwsze, nie znoszę niespodzianek, a po drugie, lepiej, by nie dowiedziała się, gdzie mieszkam. Znając moją siostrę, nie zostawi mnie w spokoju, będzie nas nachodzić. Musisz wiedzieć, że nigdy nie byliśmy sobie zbyt bliskie, a ostatnio to już w ogóle jej nie poznaję. Narobiła sobie kłopotów...

– Jakiego rodzaju?

– Nie chcę o tym mówić. Uwiń się trochę z tym jedzeniem! – Niecierpliwiłam się.

– Niezdrowo się spieszyć. Zapłacę rachunek i zaraz wyjdziemy. Wyjdę pierwszy i spotkamy się potem na zewnątrz.

– To dobry plan – przyznałam, by nie wdawać się z nim w dyskusję.

Wychylił się zza ścianki i gestem ręki przywołał człowieka z obsługi. Uregulował należność; nienaturalnego uśmiechu mężczyzny nie uzasadniał nawet napiwek.

– Co on taki przymilny? – spytałam. – Mówiłeś, że nie jesteś tu stałym bywalcem...

Wzruszył tylko ramionami. Zakładając kurtkę, poinformował mnie, że będzie się kręcić w pobliżu schroniska. Zanim przeszedł przez salę, włożył kaptur. Oczekałam może trzy minuty i też podniosłam się z miejsca. Wchodząc do holu, usłyszałam za drzwiami jakieś głosy. Łudziłam się jeszcze, że to kolejni turyści, jednak moment później stanęłam oko w oko z Kingą. Była bez kurtki oraz bez bagażu, co potwierdzało, że Armin nie mylił się w swoim przypuszczeniu. Kierowała się do restauracji, po drodze dziękując za coś Janowiczowi. Pan Józef na szczęście już odchodził i chyba mnie nie dostrzegł. Natomiast Kinga nie mogła mnie nie zauważyć, stałyśmy metr od siebie.

Moja obecność tutaj też musiała być dla niej równie wielkim zaskoczeniem. A jednak, w przeciwieństwie do mnie, z twarzy mojej siostry nie dało się odczytać zdziwienia. Zamarła na ułamek sekundy, po czym podeszła do mnie.

– Cześć, Karola! – rzuciła.

– Co ty tutaj robisz?! – wydusiłam z siebie.

– Stęskniłam się za tobą... – Chyba celowo mnie irytowała.

– Jak mnie znalazłaś? – Ton mojego głosu z pewnością nie był miły.

– Czy to ważne, jak? Powiedzmy, że miałam dużo szczęścia – wykręcała się.

– Zapytaj raczej, po co tu przyjechałam?

– Jeśli na odpoczynek w górach... to bardzo proszę, życzę ci udanego

pobytu! – zakpiłam.

– Nie cierpię zimy! – Skrzywiła się. – Jestem tutaj z twojego powodu. Musimy dokończyć to, co zaczęłyśmy w klinice. Nie mów, że też zatrzymałaś się w tym schronisku?!

Przypatrywała mi się z nieodgadnionym wyrazem oczu. We mnie kotłowały się emocje, wysiliłam się jednak na spokojną odpowiedź:

– Nie, wędrowałam w pobliżu. Kinga, przybyłaś tu nadaremno. Uprowadziłam cię, że ani myślę w to wchodzić.

– Zgrywasz twardą, ale wiem, że dasz się przekonać! Zapomniałaś już o matrioszkach?

– Dosyć! Nie będę angażować się w twoje sprawy! – Nie wytrzymałam i podniosłam głos.

– To nie są tylko moje sprawy!

– Nie chcę kłócić się z tobą. Daj mi wreszcie spokój i zarzuć te plany, bo nie są ani mądre, ani bezpieczne! Lepiej wylecz nerwy i ułóż sobie życie na nowo!

– Przykro, że nie chcesz mi pomóc...

– Nie w taki sposób, jaki sobie umyśliłaś! A inną pomoc odrzucasz! – przypomniałam.

– Przecież jeszcze nie wyjeżdżasz – ciągnęła, jakby wcale mnie nie słuchała.

– Co ci szkodzi poświęcić mi trochę czasu?! Obydwie na tym zyskamy!

Drzwi sali restauracyjnej otworzyły się i wyszła stamtąd grupka ludzi. Ewidentnie wybierali się w drogę. Wykorzystałam, że przechodząca kobieta uśmiechnęła się do mnie, i powiedziałam siostrze:

– Na mnie już pora! Jestem z nimi, wracamy w dolinę.

– Zaczekaj, umówmy się chociaż! – Kinga zmieniła ton z rozkazującego na błagalny. – Na jedną rozmowę, potem zrobisz, co chcesz! Karola, tylko tobie ufam! To jak?

Miała w oczach panikę. Wiedziałam, że nie powinnam się zgodzić, ale Armin czekał na mrozie.

– No, dobrze – sapnęłam. – Spotkajmy się jutro w uzdrowisku.

Podaliśmy nazwę restauracji i godzinę, o której tam będę, po czym pożegnałam się. Dochodząc do wyjścia, usłyszałam jeszcze słowa siostry:

– Gdyby coś się zmieniło, zadzwonię do ciebie na komórkę!

Miała mój numer, wiedziała też, gdzie przebywam. Od razu pomyślałam o cici Geni i Dance. Pierwszej zdradziłam nazwę uzdrowiska, natomiast obydwie uprzedziłam, że na ogół jestem poza zasięgiem pola sieci komórkowej. Dlatego Kinga szukała mnie w schronisku? Na jej miejscu chyba też bym tak zrobiła.

Towarzysz mojej wędrowki rozmawiał z parą młodych ludzi i cała trójka wyglądała na rozbawionych. Na mój widok pożegnał się z nimi; mijając mnie, rzucili zaciekawione spojrzenia.

– Sądziłem, że wyjdiesz zaraz za mną... – powitał mnie przyganą.
– I wyszłam. Niestety, w holu natknęłam się na siostrę. – Przy ostatnim słowie westchnęłam. – Pójdźmy już stąd!

– Dobra, ale coś niecoś musisz mi wyjaśnić – powiedział, gdy ruszyliśmy w drogę. – To chyba nie przypadek, że przyjechała akurat tutaj?

Do tematu wróciłam, kiedy opuściliśmy polanę.

– Nie, to nie przypadek. Moja siostra wyniuchała, że przebywam w tej okolicy, na szczęście nie wie, gdzie mieszkam. Jutro spotkam się z nią w miasteczku.

– Karolo... Chodzi może o pieniądze? Jeśli tak, to chętnie ci pomogę...

– Nie, nic z tych rzeczy! – weszłam mu od razu w słowo. – Kinga... bo tak ma na imię... usiłuje mnie wciągnąć w swoją prywatną wojnę.

– Wojnę?! Z kim?

– Ech, szkoda słów, to kompletna paranoja! Jestem zła, że mnie tutaj znalazła. Postaram się przekonać ją do wyjazdu.

– Unikasz kontaktu z siostrą? – drążył.

– Niewiele nas łączy, jej zresztą nie chodzi o poprawę naszych stosunków. Chce, żebym była na jej usługi. Nie tyle prosi mnie o pomoc, ile jej wymaga...

Zająknęłam się. Znowu za dużo zdradzałam o swoim życiu, kiedy o Arminie prawie nic nie wiedziałam. O mało nie wyjawiałam mu kłopotów z psychiką Kingi, a takie sprawy poniekąd rzutują na całą rodzinę. Siostra rodzona czy przyrodnia... to chyba bez znaczenia, jakaś tam wspólna spuścizna genetyczna przecież istniała. Nie, nie powiem mu o tym, podjęłam błyskawiczną decyzję. Za to zadałam pytanie:

– Masz rodzeństwo?

– Nie.

Chyba po raz pierwszy odpowiedział na prywatne pytanie i to od razu. Nie miałam powodu, aby mu nie wierzyć, mógł po prostu przemilczeć prawdę.

– A twoi rodzice... żyją? – spróbowałam.

Tym razem zignorował moje dociekania. Zerknęłam na niego; albo się zamyślił, albo celowo przybrał maskę obojętności.

– Czemu to robisz? – wypaliłam.

– Co?

– Stawiasz barierę! Przecież ja o mojej rodzinie ci opowiedziałam...

– Widocznie chciałaś.

Zatkało mnie. Nie tylko na wydźwięk jego słów, ale i na chłodną tonację. Doszliśmy do rozwidlenia i zarzuciłam swój zamiar, by zrewanżować mu się tym samym. Poczulałam się jednak urażona.

Do wyboru mieliśmy teraz dwa szlaki, obydwa kierowały się bezpośrednio na naszą polanę. Byłam za krótszym, co równało się zejściu z wygodnej dotąd drogi dojazdowej na węższą, wydeptaną w śniegu ścieżynę. Wkrótce zejście

zrobiło się bardziej strome, pośliznęłam się nawet i wylądowałam na pupie, kijek niewiele mi pomógł. Armin szedł przede mną, niekiedy się zatrzymując, aby w trudniejszym miejscu podać mi rękę. Pomiedzy starał się też słownie dodać mi otuchy, na co odwzajemniałam się najwyżej słabym uśmiechem. Kiedy jego nastroje zmieniały się w tempie barw kameleona, ja potrzebowałam więcej czasu, by się rozchmurzyć.

Myślałam o Kindze. Po kiego licha tutaj przyjechała? Nie pojmowałam jej niezdrowego uporu, a zaufanie siostry do mnie wydało mi się podejrzanym. Przez tyle lat skrywała przede mną sekrety rodzinne, a teraz stały się dla niej wyłącznie towarem wymiennym. Z jednej strony miałam uzasadnione obawy, żeby wchodzić w konszachty z Kingą, z drugiej, ona zdawała się wiedzieć o czymś, co mogło być dla mnie ważne.

Ciocia Genia nie była chętna wracać do przeszłości. Owszem, potwierdziła słowa swojej córki, ale tylko przyciśnięta do muru i nie zdradzając mi nic więcej.

Zabolało mnie, że pomimo mojej prośby o dyskrecję wyjawiała Kindze, gdzie przebywam. Mogłam tylko się cieszyć, że ani cioci, ani Danucie nie podałam adresu. Dotychczas byłam przekonana, że dom na polanie jest świetną kryjówką dla Armina, obecnie ten atrybut stał się ważny i dla mnie.

Niebawem dróżka rozszerzyła się i odtąd mogliśmy iść obok siebie. Nie wiedzieć kiedy, minął mi żal do Armina, a czym bliżej domu, tym w naszych spojrzeniach i słowach pojawiała się więcej ciepła. Przebyte kilometry, oprócz trudów i niewątpliwej satysfakcji, przyniosły mi dawno zapomniane uczucie polegania na mężczyźnie. Przez krótką chwilę zamarzyło mi się, aby Armin był moim przewodnikiem nie tylko podczas tej wędrowki. Najwidoczniej nadmiar tlenu uderzył mi do głowy.

Szła nieśpiesznie, prowokująco kołysząc biodrami i przeglądała się w szybach wystawowych. Dogoniłabym ją bez trudu, lecz nie zrobiłam tego, w podglądaniu jej czując wstyd, jak i nieprzyzwoitą przyjemność. Chwilowa przewaga nad siostrą dała mi komfort przygotowania się na spotkanie. Zwolniłam kroku. Było mroźno, lecz południowe słońce wywabiło ludzi z domów i centrum uzdrowiska się zapełniło. Zza pleców przechodniów obserwowałam każdy ruch siostry, doszukując się wskazówek jej dzisiejszego nastroju. Można było pomyśleć, że znudzona turystka zabija czas powolną przechadzką; zawahała się przed drzwiami księgarni, nie weszła jednak do środka. Mijając salon fryzjerski, chyba bezwiednie poprawiła włosy, dopiero teraz dostrzegłam, że ufarbowała je na kasztan. Prezentowała się dużo lepiej niż w klinice, co nie uszło mojej uwadze już w schronisku, lecz przede wszystkim odzyskała swoją dawną pewność siebie.

Miałam uzasadnione przecucie, iż w stosunku do mnie będzie kierować się przekalkulowaną taktyką. Nie pomyliła się w swoim założeniu, że raz rozbudzona ciekawość zażąda zaspokożenia. Przeżywałam rozterki pierwszej pary ludzi: poznać

prawdę czy raczej pozostać w błogiej i bezpiecznej niewiedzy? Zrozumiałam, że burząc mity o swoich bliskich, dobrowolnie pozbawiamy się własnej niewinności. Odkrywanie sekretów rodzinnych to jak spacer po skraju urwiska. Byłam gotowa pójść na takie ryzyko?

Powiało się, że prawda wyzwala, lecz trzeba też mieć odwagę, aby zmierzyć się z nią, na domiar złego bez gwarancji, do czego nas wyzwoli. A jeśli wyłącznie do usprawiedliwienia swoich słabości? I gdy oczyści, to jedynie z win i sumienia? Odnosiłam wrażenie, że to właśnie prawda uczyniła z Kingą. Mogłam zawrócić, jednak szłam dalej, z oczami wlepionymi w jej plecy.

Do miejsca spotkania dotarła kilka minut przed czasem. Na schodach do restauracji odwróciła się nagle i wówczas mnie zauważyła. Spojrzała z przyganą, która jednak zniknęła z jej twarzy, kiedy podeszłam bliżej.

– Spodziewałam się, że mnie nie zawiedziesz!

– Cześć! – powitałam ją. – Wejdźmy do środka, bo zimno!

Posłuchała mnie, lecz już w lokalu zaczęła grymasić:

– No, nie wiem... Pusto tutaj i jeszcze ten wystrój! Może poszukamy czegoś innego?

– Co za różnica? – Wzruszyłam ramionami i zajęłam miejsce przy moim stałym stoliku.

– Niech ci będzie, ale następnym razem ja wybiorę! – Dołączyła do mnie.

– To miała być jedna rozmowa – powiedziałam twardo.

– Dobrze, dobrze, może jeszcze zmienisz zdanie! – Łagodziła uśmiechem napiętą sytuację. – Właściwie, to z chęcią usiądę, miałam dzisiaj wczesną pobudkę. Wykorzystałam okazję, by wydostać się ze schroniska. Spartańskie warunki to nie dla mnie.

– Gdzie twoje bagaże?

– Na razie wzięłam pokój w hotelu... taki sobie. Może polecisz mi coś lepszego? – Nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnęła, zerkając za okno: – Myślałam, że ta miejscowość będzie ciekawsza! A tu raptem jedna ulica handlowa, oprócz kasyna żadnych atrakcji...

– Turyści przybywają tu dla gór – odparłam, przeglądając kartę dań.

– Góry! – prychnęła. – Ale nie powiem, zaimponowałaś mi wczoraj! Dużo wędrujesz? Podobno mieszkasz gdzieś w okolicy...

Jak było do przewidzenia, nie odpuściła prób wybadania miejsca mojego pobytu. Zagadywała mnie również o moich tutejszych znajomych, nie wierząc, że wytrzymuję w samotności. Nie zaprzeczyłam, ale też nic jej nie zdradziłam. Potem rozmawiałyśmy o cioci Geni. Z tonacji głosu i mimiki Kingi dało się odczytać, że nie aprobuje związku matki i denerwowało ją, że mam odmienne zdanie. Zagadnęłam ją o Danutę.

– Co u niej? – powtórzyła moje pytanie. – Wszystko w porządku! Zobacz,

ani z niej żadna piękność, ani pod czaszką nie ma za wiele, a ustawiła się lepiej od nas!

– Polubiła cię! – przypomniałam w tonie nagany.

– No, pewnie, bo uświadomiłam jej, jaka z niej farciara! Po twojej wizycie była trochę zdołowana, ale dogadałyśmy się, że życie to walka i trzeba umieć kalkulować. Jej mąż to prostak, ale zna się na robieniu forsy. Może mi się przydać, on ma różne dojścia...

Rozkręciła się, rzucając nazwiskami ponoć znaczących obywateli naszego miasta, które nic mi nie mówiły. To oczywiste, że Kinga nie tylko znalazła wspólny język z moją koleżanką; dzięki niej mogła wejść w kręgi, na których jej zależało.

– Danka powiedziała ci, gdzie przebywam? – zapytałam wprost.

– Po części ona, po części matka; resztę sama wydedukowałam – dodała z dumą. – Nie wiem tylko, po co zawsze robisz taką tajemnicę z miejsca swojego pobytu?! Zastanawiałyśmy się z Danką, czy ty przypadkiem nie prowadzisz podwójnego życia? Chyba nawet bym się nie zdziwiła...

– Raczej zaczęłam nowe, opuszczając Polskę – odpaliłam.

– Ale jednak wróciłaś! – Zabrzmiało to trochę jak zarzut.

– Tylko z przyczyn zdrowotnych, za radą mojego lekarza.

– Wzięłaś półroczny urlop, prawda?

– Tak, ale może wrócę szybciej – asekurowałam się, irytując w duchu na ciocię Genię, że i to jej wyjawiała.

– Najważniejsze, że pobyt ci służy. Fajnie mieć tyle wolnego czasu... – Przechodziła do celu spotkania.

– Zapomnij! – rzuciłam ostrzegawczo w jej stronę.

Roześmiała się, zaraz jednak zmarszczyła czoło. Zaczęła testować moją skłonność do miłosierdzia.

– Karola, wiem, że wiele razy zaszłam ci za skórę, ale przyznaj, że ty też mnie nie oszczędzałaś... – Zmieniła ton głosu na przyjazny i łagodny.

Zajęłam się właśnie daniem, które przyniosła kelnerka, więc moje milczenie było usprawiedliwione. Kinga kontynuowała:

– Rozumiem, że masz do mnie żal, ja na twoim miejscu też bym miała. Nie będę się teraz tłumaczyć, zresztą, sama widzisz, że szczęścia mi to nie przyniosło.

Nie bardzo wiedziałam, w czym rzecz, więc pozwoliłam jej mówić dalej.

– Teraz na dodatek wszyscy odwrócili się ode mnie... – Ni stąd, ni zowąd wpadła w płacziwą nutę. – Wiesz, jak żyje się ze świadomością, że cały świat uważa cię za śmiecia? Mówiłaś Dance, że ze mnie aktorka... To nieprawda... moje załamanie nie było udawane!

– Wcale tego nie negowałam – wtrąciłam, niekoniecznie zmieniając zdanie o siostrze.

– Nie masz pojęcia, przez co wtedy przechodziłam! A potem zrozumiałam, że nie mogę się poddać i tak naprawdę to można liczyć tylko na rodzinę. Zostałyśmy tylko we trzy, ja, ty i matka... Musimy wreszcie się pozbyć starych pretensji do siebie!

– Wzruszająca mowa, ale nie sądzisz, że najpierw powinnyśmy sobie coś wyjaśnić?

– Nie, bo wtedy znów zaczniemy wszystko roztrząsać i będzie jeszcze gorzej! – wymawiała się. – Uznajmy tamto za przedawnione!

Westchnęłam ciężko. Chciałabym jej wierzyć, ponieważ miała rację, czasami lepiej uznać minione niebyłym. Niestety, przeczył temu szantaż, jakiego użyła, chcąc mnie nagiąć do swoich celów.

– A co z matroszkami i pisaniem książki? – spytałam. – To też przedawnione?

– Mieszasz dwie sprawy. Jedno nie ma z drugim nic wspólnego!

– Nie? W takim razie nic nie pojmuję. Niby proponujesz raz na zawsze zamknąć przeszłość, ale sama nie chcesz się do tego stosować? Jak to sobie wyobrażasz?

– Karola! – jęknęła. – Musisz pastwić się nade mną?

– Ja się pastwię? Która z nas ukrywa prawdę?

– Niektóre rzeczy tałam dla twojego dobra. Może kiedyś to zrozumiesz.

– Aha, i nagle uznałaś, że dojrzałam do ich przyjęcia? Akurat! Zostawiłaś je sobie jako walutę przetargową, sama tak mówiłaś! – Denerwowała mnie jej niekonsekwencja.

– Zmusiłaś mnie do tego! Skoro nie chcesz mi pomóc z własnej woli...

– Uszanuj proszę mój intelekt!

– A co ty zrobiłabyś na moim miejscu, mając siostrę, która cię nienawidzi? – Patrzyła na mnie z wyrzutem.

Zatkało mnie. Na jakiej podstawie tak sądziła? Wzięłam parę głębokich wdechów, po czym z przekonaniem oświadczyłam:

– Mylisz się! Nie czuję do ciebie nienawiści. Pretensji także nie mam. Wtedy, po pogrzebie ojca, żadna z nas nie była sobą. Stawiałyśmy sobie nawzajem zarzuty, które w ogóle nie powinny paść. Przepraszam cię za tamte moje słowa.

Kinga patrzyła na mnie, jakbym mówiła jakimś nieznanym jej językiem, a potem zaczęła się śmiać i długo nie umiała się uspokoić. Byłam skonsternowana. Wreszcie, ocierając łzy, wykrztusiła:

– Nie doceniałam cię, siostrzyczko! Jesteś jeszcze bardziej perfidna ode mnie!

– Może jaśniej? – Przykrywałam złość maską spokoju.

– Jaśniej? Co ty mi nagle wyjeżdżasz z tą stypą?! Stare dzieje, nawet nie pamiętam, o co tam poszło! Mało razy skakałyśmy sobie do oczu? – Znów się

zaśmiała.

Przed momentem jeszcze skruszona, teraz stała się cyniczna. Być może nie kontrolowała swojego zachowania, tak jak, chyba bezmyślnie, wyłamywała sobie palce.

– Przestań! – strofowałam Kingę, wskazując wzrokiem na jej dłonie. – I powiedz mi wreszcie, za co to niby miałabym cię nienawidzić?

– Nie udawaj! – Spojrzała na mnie kpiąco. – Jesteś sprytna, ale ja też jestem niegłupia! Przyjechałaś do Polski, aby się na mnie zemścić. To oczywiste.

– Już raz słyszałam ten absurd. Wiesz co? Skończmy z tym! Żałuję, że zgodziłam się na spotkanie! – Czułam, że nie dojdę z nią do porozumienia.

– Ha! I mam wierzyć, że nie jesteś ciekawa moich matriszek? Przykro mi... za darmo umarło!

– Zachowaj je więc dla siebie! – Odłożyłam sztucę i utkwiałam w niej spojrzenie. – Natomiast czekam na wyjaśnienie, skąd wzięły się u ciebie moje pamiętniki? I zdjęcie mojej mamy.

Jeśli sądziłam, że zaszokuję ją pytaniem, byłam w błędzie. Popatrzyła na mnie z ironią.

– A co, nie cieszysz się, że je odzyskałaś?

– Kiedy zabrałaś je z mojego pokoju? I po co?

– Po co? Naturalnie z powodu Marka – wyznała z grymasem.

– Z powodu Marka?!

– Nie wierzyłam, że nic was nie łączy. Oficjalnie nie chodziliście ze sobą, a jednak stale wszędzie razem. Musiałam się dowiedzieć, co ukrywacie przede mną.

– Kinga... ale dlaczego? – Kręciłam z niedowierzaniem głową.

– Byłam o ciebie zazdrosna – przyznała bez żenady. – Kochałam się w Marku. Nie powiesz mi, że nic nie zauważyłaś?

– Absolutnie! – Nie mogłam wyjść ze zdumienia.

– Już ci wierzę! Chociaż... kto wie? Wiecznie marzyłaś o niebieskich migdałach i gadałaś górnolotne bzdety. Myślałaś, że jesteś lepsza, ale w gruncie rzeczy byłaś głupia! – podsumowała z wyższością.

Miałam w głowie chaos. Nie dostałam odpowiedzi na swoje pytania, a to, co usłyszałam, rodziło dziesiątki następnych. Ona kochała się w moim przyjacielu?

W pamiętnikach nie znalazłam o tym żadnej wzmianki, znaczy że niczego nie podejrzewałam.

– Marek o tym wiedział? – Przygwaźdżałam ją wzrokiem.

– No, pewnie, że wiedział, bawił się ze mną w kotka i myszkę! Ale przecież opisałam to wszystko, Makary z mojej ostatniej książki to naturalnie Marek. Nie w mówisz mi, że nie połączyłaś sobie tych faktów! – odparowała z oburzeniem.

– Przykro mi... nie czytałam twoich książek – wyznałam lekko zakłopotana.

– Teraz to już przesadziłaś! – zachnęła się. – Nie wierzę ci!

– Kiedy to prawda – potwierdziłam spokojnie.
– Żadnej nie czytałaś?
– Chciałam, ale...
– Ale? – Poganiała mnie, marszcząc brwi ni to w gniewie, ni w zaskoczeniu.
– Nie gniewaj się, Kinga! Nie zrobiłam tego, bo podobno należysz do tych autorek, które pisząc, bazują na własnym życiu. Bałam się twoich książek... że będzie w nich o naszym ojcu, o pożarze domu... Nie potrafiłabym o tym czytać! Wolałam o wszystkim zapomnieć.

Patrzyła na mnie nieufnie, więc poczułam się w obowiązku, aby ją zapewnić:
– Zdobędę twoje powieści i przeczytam je. Przysięgam. Myślę, że teraz jestem już na to gotowa.

– Ty chyba rzeczywiście nie blagujesz...
Z oczu mojej siostry wyzierało zdumienie, a potem znów wybuchła śmiechem, nieopanowanie, niemal histerycznie. Wreszcie uspokoiła się na tyle, żeby z siebie wyrzucić:

– Karola, nawet nie wiesz, jak namieszałaś mi teraz w głowie! To zmienia całą postać rzeczy!

– Co masz na myśli?
– To skomplikowane, muszę sobie wszystko przemyśleć. Spotkajmy się jutro!

– Nie, Kinga! Zgodziłam się na jedną rozmowę, a ty znowu chcesz dalszych. Tobie chodzi o pisanie książki, ale to bez sensu, bo i tak się nie zgodzę! Niepotrzebnie przyjechałaś.

– Nie wiesz wszystkiego! – syknęła z nadąsaną miną.
– Pozostaje pytanie, czy te informacje są mi do czegoś potrzebne? – Podważyłam jej argument. – Sensacje o naszych rodzicach raczej nie przyczyniły się do mojego spokoju. Śmiem przypuszczać, że następne będą podobne.

– A co z twoimi wyrzutami sumienia? Może mogłabym ci pomóc pozbyć się ich?

– Nie za cenę nowych wyrzutów sumienia. Nie zrobię nic na niekorzyść innych ludzi, a taki jest twój plan! – Odbiłam piłeczkę.

– Nigdy nie byłaś wobec mnie lojalna! – poskarżyła się z urazą. – To ma być siostra...

– Kinga, koniec dyskusji! – przerwałam jej. – Jeśli nie chcesz bezinteresownie wyjawić mi swoich sekretów, trudno, jakoś to przeżyję. Mam jednak prawo wiedzieć, jakim cudem moje pamiętniki przetrwały pożar i znalazły się u ciebie?

– To proste. Zabrałam je rankiem tego dnia, gdy wyjechałaś z Markiem na wycieczkę. Podczytywałam sobie, miałam je w plecaku. Powinnaś mi podziękować, gdyż inaczej spaliłyby się ze wszystkim innym! – rzuciła mi

bezcelnie.

– Dlaczego później mi ich nie zwróciłaś? – Nie pozwoliłam jej na manipulacje.

– Miałam się przyznać, że ci je wykradłam? – Wzruszyła ramionami. – Chciałam odłożyć je na miejsce, nim wrócisz do domu.

To trzymało się kupy, poza jedną nieścisłością, którą należało wyjaśnić:

– Skąd w jednym z notesów znalazła się fotografia mojej mamy?

– Głupi przypadek! Szukając pamiętników, niechcący zrzuciłam ramkę. Stłukło się szkło, więc ramkę też zabrałam, aby później dopasować nową szybkę. A zdjęcie musiałam chyba włożyć między kartki notesu. Niestety, nie pamiętam już, czy zreperowałam ramkę... sama wiesz, jak potem było.

– Mniejsza o to! – sapnęłam.

Zdumiewałam się w duchu nad osobliwym splotem przypadków. Kradzież to zły czyn, ale przyczyniła się do uratowania przed ogniem jedynej fotografii mojej mamy i pamiętników.

Uregulowałyśmy z Kingą rachunek za obiad. Ona właściwie nic nie zjadła, lecz pozwoliła kelnerce zabrać talerz. Kiedy zaczęłam wkładać kurtkę, jeszcze mnie namawiała:

– Karola, nie bądź taka pryncypialna! Jestem przekonana, że chciałabyś dowiedzieć się pewnych rzeczy! Spotkajmy się jeszcze!

– To teraz mi je powiedz! – zaproponowałam, z góry wiedząc, że tego nie zrobi.

– Nie mogę, nie tak. Znasz moją sytuację... potrzebuję twojej pomocy. Nie będziesz żałować! – Nie ustępowała.

– Nie pójdę na to, Kinga. Zaoszczędź sobie kosztów i wracaj do domu!

Opuściłyśmy restaurację w milczeniu. Po wyjściu zatrzymałyśmy się na chodniku. Mroźny powiew wiatru momentalnie ochłodził mi policzki, lecz nie moje emocje. Mijali nas jacyś ludzie, jednak w ogóle ich nie rejestrowałam. Chciałam już tylko wracać do domu, do Armina.

– W którą stronę idziesz? – Niewinność w pytaniu siostry była pozorna.

– W przeciwną! – Uśmiechnęłam się, przejrzawszy jej zamiary.

– Nie bój się, nie będę cię śledzić! – odparła z urazą. – Twoja strata, nie moja, że nie chcesz poznać prawdy! Ja i tak sobie poradzę, ale czy ty, wątpię! Myślisz, że nie zauważyłam tej świeżej blizny na twojej ręce?

Dopiero po momencie dotarło do mnie, co insynuuje, i zaśmiałam się w duchu.

– Kinga... – Nie mogłam tak odejść bez słowa. – Nigdy nie byłyśmy sobie bardzo bliskie, ale to nie powód, aby rozstawać się w gniewie. Od czasu do czasu możemy zatelefonować do siebie, ale na razie nie jestem chętna na dalsze spotkania. W każdym razie, zapewniam cię raz jeszcze, że nigdy cię nie

nienawidziłam. Wręcz przeciwnie, dobrze ci życzę. Uważaj na siebie! I nie rób żadnych głupstw! Bywaj!

Była niezadowolona, nie odwzajemniła też mojego uśmiechu. Zanim odwróciła się na pięcie i odeszła, nie omieszkała jeszcze rzucić:

– Jeśli dotąd mnie nie znienawidziłaś, to wkrótce to zrobisz! I spodziewam się, że potem spotkamy się w sądzie!

Odchodziła, jak przyszła, pewnie, lecz bez pośpiechu. Spoglądałam za nią, na próżno starając się pojąć sens tego, co powiedziała. Nie przypuszczałam, że już wkrótce zrozumie więcej.

Gdy Armin wrócił do domu, od razu zorientował się, że zaszło coś szczególnego. W odróżnieniu ode mnie – bowiem wciąż miałam trudności w odczytywaniu przyczyn jego złego nastroju – bezbłędnie powiązał mój stan ducha ze spotkaniem z siostrą.

– Opowiedz mi o tym. – Usiadł przy mnie.

Nie powiedziałam jeszcze nawet zdania, a już poczułam coś na kształt ulgi. Jakie to szczęście móc podzielić się tym, co leży na sercu, bez potrzeby wazenia słów i kamuflowania emocji! A te ujawniły się w chaotycznym potoku mojej mowy, Armin jednak jakimś cudem wychwycił w czym rzecz.

– Jeśli jest tak, jak przypuszczasz, to byłoby ogromne draństwo...

– Nie tylko przypuszczam... mam dowody. Pokażę ci!

Rozłożywszy przed nim notesy i książki, zachęciłam do porównania fragmentów, które wcześniej zaznaczyłam zakładkami.

– Naprawdę mogę? – Zawahał się.

– Czytaj! – zezwoliłam, a on z uwagą włączył się w teksty.

Od czasu do czasu spotykaliśmy się spojrzeniami i jego wzrok odzwierciedlał moje odczucia sprzed paru godzin. Potrzebował kilkunastu minut, podczas których naprzemiennie studiował moje pamiętniki i książki Kingi, by wreszcie z sapaniem skonstatować:

– Jestem w szoku!

– Ja też...

– I co teraz?

– Nie mam pojęcia. – Westchnęłam ciężko.

– Można by to śmiało podciągnąć pod plagiat. – Wziął do ręki pierwszą powieść Kingi. – Odpisane są zdanie w zdanie całe długie fragmenty, pomiędzy, jak widzę, trochę dorobionej historii, ale najważniejsze przemyślenia są twoje.

Odnosiło się to do obydwu książek. Czerpać było z czego, sześć grubych notesów przez lata zapełnianych moimi obserwacjami i refleksjami. Zapiski dotyczyły spraw ogólnych i tych bardzo intymnych, których nikt nie miał prawa czytać. Nie wiedziałam teraz, czy bardziej mnie bolało, że zostały ujawnione, czy sama ich kradzież. Co gorsza, stała za tym moja siostra.

Odkrycie, iż Kinga opublikowała te teksty i na dodatek pod własnym imieniem i nazwiskiem, wstrząsnęło mną. Na co liczyła i w jaki sposób myślała to ze mną załatwić?! W razie czego może planowała wszystkiego się wyprzeć? Ukrywała notesy i gdyby nie ciocia, która wydała mi je chyba bez wiedzy Kingi, ta mogłaby mi się śmiać prosto w twarz. Teraz sytuacja wyglądała inaczej. Pojęłam, co znaczyły słowa o spotkaniu się w sądzie.

Kiedy w księgarni zapytałam o książki autorstwa mojej siostry, chudy jak strach na wróble księgarz odesłał mnie do swojej koleżanki. Nie umknął mi grymas kpiny, jaki na ułamek sekundy pojawił się wokół jego wąskich ust. Najprawdopodobniej powieści kobiece były dla niego podgatunkiem literatury, z podobną reakcją mężczyzn już się spotkałam. Natomiast młoda sprzedawczyni od razu zainteresowała się moim wyborem. Odszukała dwie z pozycji, o które pytałam, a podając mi je, nie szczędziła pochwał:

– Są świetne, zwłaszcza ta debiutancka! – Wskazała na zieloną okładkę z zarysem dziewczęcej twarzy. – Druga też jest dobra, ale miała już trochę gorsze recenzje, chyba dlatego, że po pierwszej były duże oczekiwania. Moim zdaniem, uzupełniają się. Polecam pani obie!

Zdecydowałam, że kupię książki, byłam też ciekawa ostatniego dzieła Kingi. Po moim pytaniu o nie sprzedawczyni się zmieszała:

– Nie mamy jej. Zeszła dopiero po dużej obniżce, więc już nie zamówiliśmy więcej egzemplarzy.

– Aż tak zła? – dociekałam.

– Hm... powiedziałabym, że różni się od poprzednich. Tak, jakby pisał ją ktoś inny – wyjaśniała ostrożnie. – Ja byłam zawiedziona. Nie przekreślam jeszcze autorki i czekam na kolejną książkę. Niestety, na razie nie ma nic w zapowiedziach.

– A czy można zamówić tę ostatnią?

– Zaraz sprawdzę. Proszę za mną!

Sprzedawczyni podeszła do komputera i objaśniła, że może ją ściągnąć, lecz będzie dopiero za tydzień. Czas nie miał dla mnie znaczenia, więc przystałam na to. Zapłaciłam za wszystkie, a czekając na wydanie reszty, otwarłam książkę. Na chybił trafił przebiegając wzrokiem jakąś stronę, zorientowałam się, że tekst jest mi jakby znajomy. Chyba już nawet wtedy domyślałam się prawdy, lecz nie miałam odwagi jej przyjąć. Była zbyt niewiarygodna, powalająca, aby pozwolić sobie na spekulacje, nie mając w ręku pewnych dowodów.

Znalazłam je później, po powrocie do domu. Nie miałam żadnych wątpliwości. Kinga w swoich książkach w bardzo dużej części posiłkowała się moimi tekstami. Umiejętnie wykorzystwała zarówno opisy codzienności, jak też moje przemyślenia. Zwłaszcza te ostatnie sprawiły, że pomimo iż bohaterka była młoda, powieść niekoniecznie trafiała do młodzieży. Potwierdził to urywek

recenzji zacytowanej na obwolucie drugiej książki, w którym podkreślono popularność debutantki wśród czytelniczek różnych pokoleń.

Moje myśli w wydaniu książkowym były wygładzone stylistycznie, co mogło być wynikiem pracy redaktora. Pomimo to zgodność z oryginałem była tak wielka, że podczas czytania swoich własnych słów w druku targały mną sprzeczne uczucia: wściekłość i duma. Gniew na Kingę, która je skradła i wykorzystała, ale zarazem była w tym też odrobina próżnego zadowolenia, iż jakiś wydawca uznał je za godne opublikowania, a też że spotkały się z pozytywnym odbiorem.

Armin nie krył oburzenia:

– Trzeba jej wytoczyć proces, należy ci się rekompensata, finansowa i moralna. Wydawca, czytelnicy... wszyscy powinni się dowiedzieć, że zostałaś perfidnie oszukana! Prawda musi ujrzeć światło dzienne!

– Nie wiem tylko, czy ja chcę takiego zamieszania... – zająknęłam się. – Może wygrana dałaby mi satysfakcję, lecz dla Kingi będzie oznaczać koniec. Ona pozostanie w Polsce, ja przecież stąd wyjadę...

Urwałam, Armin zerknął na mnie, lecz nie nawiązał do wyjazdu. Powrócił do przeglądania książki, teraz już jednak bez analizowania zbieżności. Nie patrząc na mnie, rzucił:

– Dziwię ci się, że po tym, co ci zrobiła, masz jakieś opory.

– Arminie, moja siostra jest chora. – Zdobyłam się wreszcie na całkowitą szczerłość. – Od dawna, zaczęło się, gdy była jeszcze nastolatką. Leczyła się... psychiatrycznie.

Spodziewałam się, że zrobi to na nim wrażenie. Podniósł głowę, wyraz jego twarzy zmienił się z poirytowanego na zaskoczony. Ciągnęłam:

– Myślałam, że to już przeszłość, ale widać, nie. Ostatnio, będąc w rodzinnych stronach, odwiedziłam ją w klinice.

– Zwolniono ją?

– Sama się wypisała. Była tam na własne życzenie, więc mogła. Obawiam się, że gdyby nawet doszło do procesu, wezmą pod uwagę historię jej choroby i wyjdzie na to samo, jakby go nie było. A może także stać się coś dużo gorszego, Kinga jest nieźrównoważona, już raz targnęła się na życie.

– Nie przeszkadza jej to być wyrachowaną – zauważył Armin.

– Tak, między innymi dlatego nie chciałam, aby wiedziała, gdzie przebywam.

– A co z tym? – Wskazał wzrokiem na dowody szwindlu Kingi. – Na pewno istnieje sposób, aby załatwić to, nie upubliczniając sprawy. Zamknij jej przynajmniej możliwość wznawiania tych książek, pozbaw ją praw autorskich!

Armin miał wiele pytań, zdecydowałam się więc opowiedzieć mu o swoich latach sprzed emigracji. Bez tego nie byłby w stanie zrozumieć skomplikowanych stosunków między mną a Kingą, do których przyczyniły się także poplątane dzieje

mojej rodziny. Nie umiałam jedynie odsłonić ostatniej karty przeszłości. Tej z tragedią, która nas spotkała, ojca pozbawiając życia, a nas rodzinnego domu. To wciąż jest dla mnie zbyt bolesne, a z pozoru neutralne, rzeczowe słowa również nie są wielką pomocą. Tym samym Armin nie poznał prawdziwej przyczyny, dla której opuściłam Polskę. Dowiedział się tylko, że Kinga jest moją jedyną żyjącą tu krewną, a to w jakimś stopniu uzasadniało mój opór, aby podjąć przeciwko niej radykalne kroki.

W sposób typowy dla mojej natury informacja o oszustwie eksplodowała we mnie po czasie. Najpierw emocje trzymały się w granicach, oscylowały pomiędzy obojętnością a gniewem. Pod skórą jednak czaiła się wściekłość, jeszcze tłumiona naganami i powoływaniem się na rozsądek. Nic z tego. Chora czy nie, wszystko we mnie buntowało się przeciwko nieuczciwości Kingi, temu co zrobiła wcześniej i co planowała. Czułam się okradziona, uboższa nie tylko o słowa, lecz o swoje wspomnienia, które przypisała sobie, nieważne, że w narracji jakiejś bohaterki. Osobiste pamiętniki stały mi się obce, jakby to one były imitacją prawdy, a nie odwrotnie. Bolała świadomość, że obcy ludzie, czytając moje skryte myśli, nie mają pojęcia, kto naprawdę jest ich autorem, być może widzą nawet twarz Kingi. Brak przeprosin z jej strony dobitnie podkreślał, w jakim stanie znajdował się jej umysł, lecz nie pomniejszało to mojej irytacji. Ta zaś w miarę upływu godzin miast cichnąć, jątrzyła się, nabierała mocy, przeobrażała w złość.

Armin robił, co mógł, aby przegonić moje natrętne myśli, jednak daremnie. Moja siostra, chociaż fizycznie nieobecna, wciąż absorbowwała moją uwagę, trzymała się mnie jak matczynej spódnicy, krępując ruchy, wymagała ciągłej uwagi. Coraz wyraźniej uzmysławiałam sobie wymiar kradzieży. Gdzie poszanowanie cudzej własności, gdzie zwykła ludzka przyzwoitość? Kinga niewątpliwie czerpała z tego korzyści i choć finansowe mnie najmniej obchodziły, raziły i one, gdyż jakby część mojej duszy wystawiono na sprzedaż. Zapiski w pamiętnikach wypływały wprost z serca, obnażałam w nich siebie, wyjawiałam swoje sekrety. Czułam się naga i skalana.

Tego wieczoru wyjątkowo to ja pozostałam dłużej na dole. Zrobiłam sobie drugiego drinka i rozsiadłam się przy kominku. Nie dorzuciłam więcej do ognia, pozwalając, aby przemienił się w żar. Wpatrywałam się w niego jak zahipnotyzowana i powoli wypalały się też moje emocje. Nareszcie przestałam myśleć o Kindze i kradzieży.

Po pewnym czasie w moim umyśle zagościły sceny, niby przeżyte, a jednak memu doświadczeniu obce. Tę pozorną sprzeczność wyjaśniło przypomnienie sobie, że pojawiły się w wizji po moim upadku z piwnicznych schodów.

Tamta kobieta... jej bezsilność i strach poprzedzone momentami szczęśliwości, które zdawała się wykradać losowi. Przedziwnie z nią współodczuwałam, ale kim była i co też mogła mieć ze mną wspólnego? Nie

rozumiałam, skąd te skrawki cudzego życia w mojej pamięci i czemu teraz dawały o sobie znać? Jedynym podobieństwem z moim życiem zdawał się ogień... Prześladował mnie w koszmarach. Chyba najstraszniejszy z żywiołów, a zarazem ludzkości niezbędny. Miałam niewyraźne przeczucie, że jest kluczem do mojego uwolnienia.

Mój rodzinny dom już nie istniał, jakiś czas po pożarze zburzono go i działka została wystawiona na sprzedaż. Miasto awaryjnie przydzieliło nam lokal zastępczy, pomogli również sąsiedzi, zaopatrzyli nas w podstawowe rzeczy, lecz będąc wciąż w szoku, nie ogarniałyśmy sytuacji. Prawda wyglądała tak, że nie udało się nam stworzyć nawet namiastki domu, zabrakło woli ku temu, a również dlatego, że ja i Kinga byłyśmy śmiertelnie skłócone, a ciocia Genia wyjechała. Ognisko domowe naszej rodziny paradoksalnie wygasło przez pożar.

W moich wizjach dom na polanie również się palił. Nawet, gdybym mogła polegać na czymś tak niepewnym, to nie wiedziałam, co ów pożar spowodowało i po cóż miałyby mnie to zajmować? Czy dało mi coś ustalenie, że przyczyną spłonięcia rodzinnego domu była wadliwa instalacja elektryczna? W tym wypadku prawda nie przyniosła mi ulgi, gdyż mogłam zapobiec nieszczęściu. Wprawdzie obserwacje świata pozwalały mi wysnuć tezę, że nawet przewidzenie nieprzewidywalnego nie zawsze uchroni przed losem, nie usprawiedliwiało to jednak moich zaniedbań. Nie wróciłam na czas.

Wycieczka miała być jednodniowa, na biwak wybraliśmy odludne miejsce w zakolu Dunajca. Udaliśmy się tam z Markiem jego starą skodą, nad której kaprysami na ogół panował, ale niestety, nie tym razem. Kiedy o zachodzie słońca zdecydowaliśmy wracać do miasta, wszelkie próby zapuszczenia silnika spełzały na niczym. Pora zrobiła się późna i nie pozostało nic innego, jak tam przenocować.

Był cudownie ciepły wieczór. Nie potrzebowaliśmy nawet dachu nad głową, zastąpił go rozgwieżdżony firmament. Marek robił, co mógł, by skompensować mi niemiłą przygodę, lecz ja nie do końca umiałam oddać się romantycznym nastrojom. Martwiłam się trochę o ojca, który był w domu sam. Ciocia Genia za jego namową wyjechała na tygodniowy wypoczynek, z kolei Kinga dorabiała tego lata w dyskotecie. Przypuszczałam, że wyszła do pracy, licząc, iż dotrę do domu z małym opóźnieniem. Tymczasem tkwiliśmy z dala od ludzkich siedzib, bez możliwości, by kogokolwiek o tym powiadomić.

Dzień w towarzystwie Marka minął mi bardzo przyjemnie. Ta wycieczka różniła się od naszych wcześniejszych. Wrócił z obozu i dość długa rozłąka sprawiła, że spoglądałam na niego innym okiem, on chyba podobnie. Nietypowe dla nas momenty nagłego skrępowania przykrywaliśmy żartami, lecz wyraźnie między nami iskrzyło. Kiedy więc mieliśmy już wracać do miasta, poczułam nawet coś w rodzaju zawodu. Wtem okazało się, że samochód nie chce zapalić, co mylnie odebrałam jako przychyłność losu.

Atmosferze intymności sprzyjała aura nocy z jej nieprzeniknioną ciemnością i jednostajnym szumem rzeki. Nie zaprotestowałam, gdy przyjaciel przytulił mnie do siebie. Rozmawialiśmy długo, aż słowa stały się niepotrzebne i zastąpiły je pocałunki. Owi zwiadowcy w krainie zmysłowości u żadnego z nas nie napotkali oporu, toteż posunęliśmy się dalej. Wydawało się, że oboje od dawna na to czekaliśmy, tak samo pozbawieni hamulców, bez pośpiechu dążący do nieuniknionego, tak samo podnieceni i zaciekawieni. Tej nocy przekroczyliśmy granicę przyjaźni, zdając sobie sprawę, co tracimy, jednak ważne były wyłącznie zyski. Przeczynałam, że podobna okazja może się nie powtórzyć i nie pomyliłam się, ale nie odgadłam wtedy wszystkiego. Kochankami mieliśmy być tylko raz i nigdy więcej.

Jeszcze przed świtem przenieśliśmy się do wnętrza skody, chłód nad wodą zrobił się nie do zniesienia.

Pomimo niewygody udało mi się zasnąć, obudził mnie dopiero warkot silnika, który wreszcie zapalił. Ranek nosił wszelkie znamiona przeistoczenia się w piękny, sierpniowy dzień, lecz ja nie chciałam przedłużać pobytu, a Marek przeciwnie; wynikła między nami sprzeczka, w rezultacie wracaliśmy do miasta milczący i nadęsani. Żadne z nas nie nawiązało do tego, co stało się nocą. Było mi to na rękę, potrzebowałam czasu, by przywyknąć do zmiany relacji między mną a Markiem. I do tego, że przestałam być wreszcie dziewczycą, chyba ostatnia z grona koleżanek.

Niewyspanie i brak klimatyzacji w starym samochodzie sprawiły, iż podczas jazdy zapadłam w drzemkę. Doznałam szoku, kiedy wjeżdżając w naszą uliczkę, Marek, który nigdy nie przeklinał, dosadnie zaklął, a tuż potem, po otwarciu oczu, przeniosłam się żywcem w jakiś koszmar. Najpierw dostrzegłam trudny do ogarnięcia chaos, rozwalone ogrodzenie przed domem, sporą grupę ciekawskich, wóz policyjny. Później – zmieniony dom z wypalonymi oczodołami okien i okopconym tynkiem. Mój rodzinny dom.

Nie wiem, jak znalazłam się w ogrodzie. Chyba krzyczałam, ktoś mnie zatrzymał i nie pozwolił pójść dalej. Wszędzie wałały się jakieś poniszczone graty, zdeptana roślinność miejscami zmieniona w błoto, ale najgorszy był swąd zmieszany z wilgocią i smrodem spalonych plastików. Nikt nie chciał odpowiedzieć na moje histeryczne pytania, co z ojcem. Potem zobaczyłam jego wózek przy schodach, wywrócony do góry kołami, brudny, pokryty sadzą. Wtedy musiałam zemdleć, gdyż następne wspomnienie mam już z wnętrza karetki pogotowia, gdzie wbijano mi jakiś zastrzyk na uspokojenie. Marek czuwał przy mnie.

Przez następne dni byłam jak w transie, jakkolwiek z pozoru bardziej opanowana niż matka i siostra. Trzymałam się do samego pogrzebu ojca, nie uroniłam nawet jednej łzy, ani tam, ani w trakcie stypy. Rozkleiłam się dużo

później, chyba po dwóch tygodniach, kiedy na próżno przeszukiwałam dom z nadzieją na znalezienie jakichś pamiątek. Nigdy więcej tam nie wróciłam, nie musiałam – zgliszcza domu samoistnie pojawiały się w moich snach i nie sposób było o nich zapomnieć. Ojciec również mnie w nich odwiedzał. Nic dziwnego, to przecież przeze mnie zginął.

Niepotrzebna wycieczka nad wodę otworzyła furtkę nieszczęściu, a zły los z chichotem to wykorzystał. Awaria starej skody, praca Kingi, nieobecność cioci Geni... wszystko złożyło się na wzór tragedii, lecz jedyną prawdziwie winną byłam ja sama. Osobliwe, że dokładnie tej nocy, gdy mój ojciec przechodził w zaświaty, ja po raz pierwszy wkroczyłam w świat seksualności. Chociaż było to irracjonalne, gdyż czystość przedmażeńską uznawałam za fanatyczny wymóg religii, w pewnym sensie odebrałam to jako karę. I pokutowałam za to trzy kolejne lata, dobrowolnie narzucając sobie celibat, póki wreszcie nie pojęłam, jaki to absurd.

Niełatwo było żyć z piętnem winy, a już w żadnym razie w rodzinnych stronach. Z ulgą powitałam więc październik, miesiąc, w którym mogłam wrócić na studia. Niestety, pobyt z dala od swojego miasta wcale nie oznaczał końca żałoby. W istocie dopiero tam naprawdę uzmysłowiłam sobie, co się wydarzyło i jakie skutki ma to dla mojego życia. Pomimo swoich dwudziestu lat wciąż czułam się dzieckiem, zbyt niedojrzała, by odpowiadać za siebie. Rzeczywistość była jednak taka a nie inna, ojciec nie żył, a ciocia Genia nie oferowała żadnej pomocy. Po paromiesięcznym okresie chowania głowy w piasek realia zaczęły mnie przerastać. Aby kompletnie się nie podłamać, musiałam zaplanować swoje życie na nowo. Optymalnym wyjściem zdawał się wyjazd do innego kraju, ku czemu zachęcała mnie koleżanka.

To jednak Marek pomógł mi w podjęciu decyzji. Tak, jak był mi podporą podczas choroby ojca, tak i po jego śmierci stanął na wysokości zadania. Pomimo to nasze stosunki stały się inne, niezauważalnie odsuwałam się od niego, on też nie był już tak swobodny jak dawniej. Zmieniło się także moje podejście do studiów, wcześniejsze cele stały się nieważne, Marek natomiast do swoich podchodził ambitnie. Uczęszczałam jeszcze na wykłady, ale bez zaangażowania, mało co jadłam, za to chętnie sięgałam po alkohol. Zaczęliśmy się o to kłócić, nie chciałam zrezygnować z jedyne go środka dającego mi ukojenie. Marek nie tolerował tego, że piję. Postawił mi ultimatum, a gdy to również nie poskutkowało, przestał się ze mną widywać. Uznałam, że znalazł sobie pretekst, aby móc skupić się tylko na sobie, byłam zawiedziona. Uważałam, że daleko mi do alkoholiczki, nie opuszczałam zajęć, robiłam to co powinnam, więc uważałam, że moje wieczorne drinkowanie niczemu nie przeszkadza. Wkrótce, trochę Markowi na złość, znalazłam grono podobnych sobie, stałam się imprezowiczką, a zajęcia dopiero teraz zaczęłam zarywać. Efekty tego nie dały długo na siebie czekać, kolejna sesja

była porażką, popadłam też w niemałe długi. Jakby tego było mało, doszła do mnie plotka, że Marek nie jest już sam.

Podziałało to na mnie jak swoista terapia wstrząsowa i poprosiłam go o spotkanie. Przyszedł, chłodnym tonem potwierdził, że to prawda, jednak się nie usprawiedliwił. Próbowalam mu uświadomić, iż sobie nie radzę, lecz moje problemy przestały go obchodzić, nie chciał mnie nawet wysłuchać. Owszem, nie widywaliśmy się przez kilka miesięcy, lecz ja wierzyłam w naszą przyjaźń, a w cichości może nawet w coś więcej. Poczulałam się ponizona, żeby nie powiedzieć – zdradzona. Miałam sobie wiele do zarzucenia, lecz wydawało mi się, że Marek zaczeka, aż wyjdę na prostą i znowu będzie jak przedtem. Przeliczyłam się. To było nasze ostatnie spotkanie, niespełna miesiąc później opuściłam Polskę. Postawa Marka stała się kroplą przelewającą czarę goryczy.

Straciłam rodzinę oraz przyjaciela, zarwałam studia, nic w tym kraju mnie nie trzymało. Opuściłam Polskę z postanowieniem wymazania przeszłości i do pewnego czasu wydawało się, że doskonale mi się udaje. Znalazłam za granicą pracę, jednocześnie podnosiłam kwalifikacje. Długo byłam sama, ani szczęśliwa, ani nieszczęśliwa, a prawdę mówiąc, stanu tego nie zmieniły też późniejsze związki. Lata z dala od ojczyzny nie wywoływały u mnie żadnej tęsknoty, nie czulałam nawet potrzeby, aby oglądać polskie kanały telewizyjne czy czytać polską prasę. Nie czyniłam żadnych dalekosiężnych planów, grunt, że życie leciało do przodu, i potrafiłam je sobie umilać. A potem pojawiła się migrena...

Ogień wygasł, a ja od dawna okryta kocem nie umiałam się zmusić, żeby pójść na górę. Wspomnienia i tak nie pozwoliłyby mi zasnąć, połączone z sobą nierozłącznym warkoczem czasu ujawniały się jedne po drugim. Wszystkiemu winna Kinga, pomyślałam z gniewem, nie całkiem słusznie osądając, że to przez nią wchodzę w sploty minionego. Nie miałam już siły, aby zmierzyć się jeszcze z nowiną, iż moja siostra podkochiwała się w Marku. Może tylko trochę lepiej rozumiałam jej dawną zazdrość. Stare dzieje, westchnęłam ze znużeniem.

Skrzypienie schodów przerwało mój letarg. W słabym świetle lampki dostrzegłam Armina. Skręcił do kuchni, napił się tam wody prosto z butelki, po czym podszedł bliżej.

– Cały czas tutaj byłeś? – zdziwił się. – Mogłaś chociaż dorzucić do kominka. Nie zimno ci?

Wzruszyłam tylko ramionami. Wziął do ręki pogrzebacz i sprawdził pod warstwą popiołu, czy coś jeszcze tam się tli, ale ogień całkiem już wygasł.

– Wciąż dręczysz się tą historią z książkami?

– Nie.

– Co ci jest? Wyglądasz, jakby cię coś bolało...

– Boli mnie życie – odparłam enigmatycznie.

– Hej, zabrzmiało to, jakbyś była staruszką!

– Najlepsze lata już za mną – pożałowałam się, mimo wszystko prostując kręgosłup.

– To ciekawe, bo moje oczy widzą młodą i atrakcyjną kobietę! Co tam – kobietę? Dziewczynę! Karola, ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak wyglądasz! Ktoś mógłby mi śmiało zarzucić, że zadaję się z małolată!

Na taką przesadę musiałam się uśmiechnąć i też w żartobliwym tonie podjęłam:

– A co rozumiesz przez zadawanie się? Że mieszkamy pod jednym dachem?

– No, czasami też cię jeszcze nakarmię. A jeśli pozwolisz, to niekiedy i przytulę...

– Owszem, jeśli poproszę cię o to! – Nie zdążyłam ugryźć się w język.

Zignorował mój sarkazm i nie pytając o zgodę, przysiadł się do mnie, otoczył ramieniem. Niedługo potem lekko zmienił pozycję i zaczął całować moją szyję, poczułam drapanie jego zarostu. Lekkie pieczenie skóry łagodził dotykiem warg, pomiędzy szeptał sugestywne słowa, po których moja wola spadała do zera. Byłam jeszcze niezdecydowana, na ile już pragnę Armina, a na ile chcę, by na tym zakończył. Ledwie jednak usta Armina połączyły się z moimi ustami, wahania przysły.

Kochaliśmy się tej nocy namiętnie i długo, po pełne zatracenie się, jakby świat miał umrzeć przed świtem. Nasza jedność nabrała nowego wymiaru, oddalaliśmy się i zbliżaliśmy do siebie, lecz każdy z tych powrotów zamiast nas łączyć, ujawniał niedosyt. Po raz pierwszy drażniła mnie subtelność Armina, popędzałam go, niemal zmuszałam do bycia brutalnym. Miałam w sobie agresję, która dopraszała się o rozładowanie i zanim on odgadł moje potrzeby, nie umiając ich wypowiedzieć, bezwiednie drapałam go i gryzłam. Dopiero wówczas zmienił taktykę i gra miłosna stała się walką, a my w niej dobrowolnymi przeciwnikami i sprzymierzeńcami w jednym. Nie było zwycięzców ani zwyciężonych, a jeśli nawet, to nikt z nas nie wiedział, które jest kim, nasze role pomieszały się po zapomnienie. Nareszcie złączeni w tym samym rytmie, przemierzaliśmy bezkresne stopy zmysłowości, złani potem, dający się ponieść pierwotnym instynktom, wydani na pastwę natury. Gdzieś za horyzontem oczekiwało nas spotkanie ze słońcem, zapowiadającym się już łuną brzasku, lecz zgodni w zamiarach, przedłużaliśmy ten moment w nieskończoność. Kiedy nadszedł, nasza dzikość sięgnęła zenitu, a potem była już tylko cisza i bliskość, oraz zwalniające tam-tamy naszych serc...

Wtulona w ramiona Armina powoli się uspokajałam. Było mi zwyczajnie dobrze, umysłu nie zaśmiecały żadne posępne myśli, wygasły toksyczne emocje, a w ich miejsce pojawiły się błogość i obojętność na całe zewnętrzne zło. Czułam wdzięczność do Armina, że przyszedł do mnie i wyczuł, co mi najlepiej pomoże, ponieważ sama nie wpadłabym na to. Wtem odsunął mnie na taką odległość, aby

spojrzeć mi w oczy i nieoczekiwanie oświadczył:

– Hm... chyba zakochałem się w tobie.

– Naprawdę? – spytałam po sekundach wysiłania się na bardziej sensowną odpowiedź. – To dobrze czy źle?

Spojrzenie mojego kochanka pozostało nieodgadnione, zresztą, w półmroku pokoju słabo go widziałam.

Kiedy radość zaczęła u mnie dominować nad szokiem, definitywnie ją zgasił:

– Nie wiem, Karolo. Muszę ci coś wyznać.

Armin był żonaty. Twierdził, że od dawna jest w separacji z żoną, lecz to tylko minimalnie łagodziło gorzki smak informacji. Prawdę powiedziawszy, przybiła mnie.

– Tobie pozostawiam podjęcie decyzji, co dalej.

– Ach, tak? – zachnęłam się.

– Wiem, że to dla ciebie trudne. Mnie również niełatwo.

– Nie mam za wiele opcji do wyboru...

– W rzeczy samej. Albo mi zaufasz, albo nie – skwitował.

– Mógłbyś mi w tym pomóc. – Wpatrywałam się w niego, prosząc spojrzeniem. – Opowiedz mi o niej więcej!

– Nie, Karolo.

– Dlaczego?

– Bo jeśli nie jesteś mnie pewna, wyjaśnienia na nic się nie zdadzą. Skąd wiesz, że nie próbowałbym siebie wybielić? Wszyscy mamy ku temu skłonności.

Mógł mieć rację, ale to nie poprawiło mojego nastroju. Zresztą, domyślałam się, że jego tłumaczenia i tak by mnie nie uspokoiły. Spodziewałam się, że facet w jego wieku ma za sobą niejedno, więc nie wiedzieć czemu, nie wzięłam pod uwagę małżeństwa. To, że nie nosił obrączki, o niczym nie przesądzało, Spyra też ją zdejmował. Zmyliło mnie raczej, że Armin przyjechał w góry samotnie i zachowywał się, jakby wobec nikogo nie miał zobowiązań.

– Gdybym wiedziała, że masz żonę... – Zająknęłam się i urwałam. – Nigdy nie wchodzę w nierozwiązane układy.

– Jeszcze tylko formalnie jestem żonaty, ale tak, powinienem był ci o tym powiedzieć – przyznał. – Nie sądziłem jednak, że sprawy między nami tak się rozwiną.

– Czyli jak miało być? Krótka przygoda? – Mimo wszystko trudno mi było hamować emocje.

– Chyba tak... Przynajmniej do pewnego czasu tak to wyglądało – odparł szczerze do bólu. – Karolo... do niczego cię nie zmuszałem.

Chodziło mu o wspólny pobyt w jednym domu czy raczej o seks? Czy dlatego tak bardzo zależało mu, aby moją chęć na to drugie potwierdzić słowami?

Miałam rację, domyślając się, że on się zabezpieczał, ale dopiero teraz odgadłam tego powód.

- Nie, sama chciałam... – Zaśmiałam się sarkastycznie.
- Uprzedzałem, że w moim życiu są rzeczy, które mogą ci się nie spodobać.
- Przeszywał mnie wzrokiem. – Poszłaś na to ryzyko.
- Co chcesz właściwie usłyszeć? – spytałam go chłodno, nie spuszczać z niego oczu.
- Masz prawo mieć do mnie żal – przyznał. – Teraz jednak znasz prawdę, więc... co będzie z nami?

– I ty mnie o to pytasz? – Znów się zaśmiałam, trochę nerwowo. – Czego spodziewasz się po mnie? Mam może udawać, że twoja żona nie istnieje?

– Owszem, spróbuj na razie tak do tego podejść. A resztę rozwiąże przyszłość.

Z jego tonu przebijał gniew czy smutek? Nie potrafiłam wyczuć. Nie tylko dlatego odparłam:

– To nie takie proste, Arminie.

Nasza rozmowa odbywała się po upojnych chwilach, co tym mocniej pogłębiało moje rozterki. Był najczulszym kochankiem, jakiego znałam do tej pory i wcale nie miałam pewności, czy nawet w świetle nowych faktów umiałabym zdystansować się do niego. Na domiar złego, pociągał mnie nie tylko fizycznie, zwyczajnie lubiłam z nim być, rozmawiać, milczeć, trzymać się za ręce. Z upływem tygodni staliśmy się wobec siebie swobodni, wyczuwaliśmy swoje nastroje, zżyliśmy się z sobą. Nie przypominam sobie, aby w dorosłym bycie z kimkolwiek innym łączyły mnie podobne relacje, przy czym intrygowały nas tajemnice, które zachowywaliśmy tylko dla siebie. Być może jakieś znaczenie miała też świadomość, jak w gruncie rzeczy kruche były łączące nas więzi, dobrowolne, niezależne, pewne tylko na daną chwilę. To, co jeszcze wczoraj przydawało dreszczyku podniecenia, nagle okazało się realnym zagrożeniem.

- Potrzebuję czasu – stwierdziłam po namyśle.
- Dostaniesz go, ile zechcesz.
- Może przeniosę się na trochę do uzdrowiska...
- Nie ma takiej potrzeby – przerwał mi. – Muszę być w Warszawie. Planowałem obrócić w dwa dni, lecz w tej sytuacji poczekam na twoją wiadomość.
- Tak będzie lepiej. – Odetchnęłam z ulgą. – Obawiam się, że przy tobie nie umiem myśleć racjonalnie.

– I bardzo dobrze, wsłuchaj się raczej w swoje wnętrze. Nie każ mi zbyt długo czekać... – Ostatnie zdanie wymówił miękko.

– A jeśli nie będę umiała ci zaufać?

– Zrozumiem – odparł spokojnie, po dłuższej chwili.

Wolałabym usłyszeć inne słowa, odnoszące się bardziej do tych, które padły

wcześniej. Że będzie o mnie walczyć i nie pozwoli zniknąć ze swojego życia. Chciałam wierzyć, że jego wyznanie nie zostało rzucone pod wpływem chwili i nie będzie krótkotrwałe jak żywot motyla. Zakochanie nie jest jeszcze miłością, przypominałam sobie regułę, próbując postawić siebie do pionu.

Armin ułatwił mi to, gdyż z samego rana wybrał się w drogę. Rozstaliśmy się jak serdeczni znajomi, którzy mają nadzieję wkrótce się zobaczyć, tym samym bez zbędnych wzruszeń. Za przyjacielem zaczęłam tęsknić ledwie wyjechał, zaś ciemność wzbudziła we mnie pragnienie kochanka.

W dzień jakoś się trzymałam, często byłam tu sama, lecz pierwszego wieczoru przechodziłam męki. Do późna biłam się z myślami, co zrobić, a gdyby polana znajdowała się w zasięgu, najpewniej słałabym Arminowi esemesy o wzajemnie sprzecznych treściach. Ostatecznie, wobec paradoksu mojego położenia, naszło mnie jedynie przygnębienie. Dopiero w łóżku dałam ujście łzom, a wraz z nimi odpłynęłam wreszcie w zbawienny sen.

Nowy dzień nie ukoił smutku, miałam odczucie, że zagubiłam się w labiryncie. Dokądkolwiek bym się skierowała, prędzej czy później natrafiałam na ścianę i znów musiałam wracać. Czy był jakiś sens w tej mojej życiowej szamotaninie? Dlaczego nie umiałam jak inni, iść rutynowo drogą z punktualnym zaliczeniem jej wszystkich etapów? Moje rówieśniczki dawno pozakładały rodziny, spełniały się jako matki, żony, częstokroć też i zawodowo, a stabilizacja była ich kokonem bezpieczeństwa, chroniącym od samoudręki i pokus. Niekoniecznie chciałam takiego istnienia, bałam się zakleszczenia w układzie, który pozbawiłby mnie tożsamości i więcej nakazywał niż zezwalał. A jednak brakowało mi poczucia współlistnienia z kimś drugim, nawet za cenę pewnych ograniczeń, na które z wiekiem byłam coraz bardziej gotowa. Może nie kosztem całkowitego oddania się komuś, gdyż przed tym wzbraniało się moje, chyba przesadne poczucie wolności osobistej. Bez przymusu mogłam dać z siebie dużo więcej niż pod presją, cóż, kiedy najczęściej nie miałam po temu szans.

Armin i w tym względzie był inny od moich dotychczasowych partnerów, gdyż właściwie poza zaufaniem nie wyrażał żadnych oczekiwań pod moim adresem. Starcia uwidocznily wprawdzie spore różnice w naszych charakterach, lecz koegzystencja ostatnich tygodni udowodniła, że im byliśmy sobie bliżsi, tym dyferencje coraz mocniej odchodziły na dalszy plan. Czy miałyby to jednak rację bytu, gdybyśmy zostali parą? Na ile dochodzi wówczas do głosu zaborczość, zazdrość i chęć dominacji, a na ile udaje się uratować pierwotną bazę współżycia... dobrowolnego i zafascynowanego sobą wzajemnie?

Postawiłam tamę temu domniemywaniu, z tej przyczyny, że nie stanowiliśmy z Arminem pary, a nasza wspólna przyszłość stała pod dużym znakiem zapytania. Teraz, kiedy wiedziałam, że jest żonaty, nic nie usprawiedliwiłoby moich poczynań, a nie wszystko dało się podciągnąć pod

momenty kobiecej słabości. Byłam w kropce. Pragnęłam go całą sobą, lecz wiedziałam, że nie będę w stanie zapomnieć o istnieniu jego żony. Nie interesowały mnie nawet specjalnie powody izolacji, co raczej dalsze losy ich związku. A jeśli przeżywali tylko przejściowy kryzys małżeński? Istniała jeszcze możliwość, że chcieli, lecz z jakichś niejasnych przyczyn nie mogli być ze sobą. Odsunęłam czym prędzej tę wizję, dla mnie nie do zniesienia.

W jednej sekundzie Armin znalazł się po drugiej stronie muru, a ja w więzieniu swoich zasad. Wolność w tym wypadku byłaby dla mnie równoznaczna z życiem w kłamstwie, lecz i niewola mnie unieszczęśliwiała. Czy istniało jakieś wyjście?

Zegar kościelny wybijał dokładnie południe. Po krótkotrwałej odwilży mroźna noc uczyniła z nawierzchni ulic i chodników ślizgawkę. Ludzie dreptali małymi kroczkami, nietrudno było stracić równowagę. Skręciłam w stronę parku, mimo że nadrabiałam drogi. Istotnie, szło się tam lepiej, to znaczy poboczem oblodzonych alejek, gdzie leżały jeszcze pozostałości starego śniegu.

Z chrzęstem zapadałam się w niego, przebijając butami warstwę lodu, aż spłoszyłam odgłosami stado posepnych gawronów.

Idąc, miotałam się w sobie, a pewne myśli najchętniej bym wykrzyczała. Zbyt dobrze wychowana, by podnosić głos nawet w otoczeniu bezstronnej natury, ograniczyłam się do wymamrotania kilku dosadnych zdań. Przeważały jednak wewnętrzne, retoryczne pytania, na które nikt nie zdołałby dać mi odpowiedzi. Ostatecznie, jakkolwiek rozpatrywałam sytuację, wracałam do stwierdzenia Armina: „Tobie pozostawiam podjęcie decyzji, co dalej”.

Minęłam park, nie zauważając jego piękna. Nagły mróz otoczył mokre pnie drzew szklaną gładzią, a gałęzie ugięły się pod ciężarem krystalicznej bieli. Zza chmur przebijało się słońce, wybiórczo podświetlając fragmenty natury, które odbijały zwielokrotniony blask promieni rażąc w oczy. Niebawem, miast śniegu, pod butami zaskrzypiał żwirek, dla bezpieczeństwa wysypany na drodze przed Domem Kultury. To tutaj dzisiaj zmierzałam, z nadzieją na spotkanie z Ireną.

Pan szatniarz zaoferował się ją powiadomić, więc nie czekając na jej zejście, od razu udałam się do kawiarni. Świeciła pustkami, jak zwykle o tej porze dnia. Nie zdążyłam nawet wypić pierwszego łyku kawy, gdy w drzwiach pojawiła się Ira. Podchodziła do mnie z uśmiechem, lecz mojej uwadze nie uszły wypieki na jej twarzy.

– Miałaś jakieś spięcie z szefową? – zagadnęłam.

– Zgadłaś! – Westchnęła. – Zołza, umie dopiec do żywego, ale dosyć, szkoda na nią słów. Hej, podobno przedwczoraj kręciłaś się po schronisku? Sylwek widział cię z auta z jakąś kobietą. Znam ją?

– To moja siostra. – Nie potrafiłam jej okłamać.

– Jest tu twoja siostra?! Może wpadniesz z nią do mnie?

Wyjaśniłam, że nie zapraszałam Kingi do uzdrowiska, więc też nie czuję się w obowiązku nią zajmować. I że raczej na pewno opuściła już góry.

– Nasze stosunki nigdy nie należały do prostych, a po śmierci ojca jeszcze mocniej się skomplikowały... – Uciekłam się do uogólnień, aby nie mówić o szczegółach.

– To przykre, że tak tragiczne wydarzenie nie zbliżyło was. Ale... nigdy nie wolno tracić nadziei! – Irena obdarzyła mnie ciepłym uśmiechem.

Podziękowałam jej spojrzeniem, nie podejmując tego wątku. Niektórzy pracownicy Domu Kultury zaczęli schodzić na przerwę. Pojawił się także Spyra, a zauważając mnie, tylko z daleka skinął głową i dosiadł się do bibliotekarek. Odpowiadało mi to. Nie miałam chęci na jego gierki, a należał chyba do facetów, którym trzeba było stale o tym przypominać.

Irena relacjonowała mi teraz nowiny z własnego podwórka. Otóż, znajoma poznana na imieninach jej męża rzeczywiście załatwiła mu posadę w jej firmie. Na razie miał być tylko czymś pomocnikiem, jednak z możliwością późniejszego awansu. Propozycja była nęcąca, gdyż Julian tracił dużo czasu na dojazdy do pracy, a zarabiał niewiele. Ira miała jednak wahania względem znajomej, która już na tym etapie wymagała stałej wdzięczności za pośrednictwo.

– Wczoraj znowu wprosiła się do nas na kolację. Akurat też zajrzał szwagier, ale na jej widok szybko się zmył. Niestety, nie zraziła się tym i teraz się naprasza, abyśmy wspólnie odwiedzili go w schronisku! Nie wiem, jak z tego wybrnąć, Józek nie jest nią zainteresowany.

– No to macie dylemat – przyznałam.

– I to jaki! Naprawdę nie wiem, co zrobić. Zakład Juliana ledwo zipie, najwyższa pora, aby zmienić pracę. Z drugiej strony boimy się, aby nie wpadł z deszczu pod rynnę... Wiesz, ona łatwo się obraża, a Julian na razie byłby jej podwładnym.

Nie umiałam poradzić nic sensownego, każda z alternatyw posiadała i plusy, i minusy. Czy nigdy nie może być łatwo i idealnie, a zawsze coś za coś? To pytanie zadałam sobie już w duchu, trochę zawiedziona, że nie mogę zwierzyć się Irze ze swoich problemów. Najpewniej również nie byłaby w stanie nic mi podpowiedzieć, nie zawsze jednak czekało się na rady – niekiedy pomagało, iż ktoś nas wysłuchał.

Sylwester jednak nie wytrzymał i podszedł do nas, ale się nie przysiadł.

– Przywitam się tylko i wracam na górę! – zakomunikował. – Mam robotę z rozmieszczeniem moich prac, całkowicie zmieniłem koncepcję. Pamiętasz o jutrzejszym wernisażu, Karolo?

Otwarcie wystawy przewidywano na siedemnastą, jak dla mnie, za późno. Zaczęłam więc się wymawiać, lecz plastyk ani myślał mnie słuchać.

– Mam pomysł – wtrąciła Irena. – Przenocujesz potem u mnie!

– Świetnie! – Zamiast mnie odpowiedział Sylwester. – Liczę na was,

dziewczyny! Potrzeba mi życzliwych dusz!

– Będziemy, będziemy! – przyrzekła mu Ira, a kiedy się oddalił, dodała: – Sama jestem zdziwiona, że tak przeżywa tę swoją wystawę! A z tym noclegiem podeszłam cię nie tylko z tego powodu. Nareszcie pogadamy sobie u mnie bez zerkania na zegarek! To jak, zgoda?

Pokiwałam głową i uśmiechnęłam się. Być może wyczuła moją potrzebę rozmowy, a może była zwyczajnie praktyczna. Pomagała w organizacji wernisażu, umówiliśmy się więc, że dotrę tam sama, a do wioski wrócimy razem.

Po opuszczeniu Domu Kultury skierowałam się do centrum miasteczka. Zatrzymałam się przed antykwariatem, był czynny. Dzwoneczek przy drzwiach wywołał z zaplecza sprzedawcę – tym razem miałam szczęście, trafiłam na starszego pana. Powitał mnie szerokim uśmiechem.

– Miło panią znowu widzieć!

– Z wzajemnością! Pan tu dzisiaj sam?

– Tak, sam. Proszę sobie wyobrazić, że przez tę dzisiejszą gołodędź mój wspólnik idąc tu przewrócił się i mocno potłukł! Taki pech!

– Mam nadzieję, że to nic poważnego? – spytałam z grzeczności.

– Niczego nie zламаł, cóż, kiedy ledwo się rusza. Akurat teraz, gdy święta za pasem! Ale, ale... czy mogę pani w czymś pomóc?

Rozglądałam się po wnętrzu antykwariatu. Szukałam obrazu, który ostatnio tutaj widziałam, tego z domem na polanie. Niestety, zniknął. Zapytałam, czy został sprzedany.

– Mamy inne, dużo lepsze! – Sprzedawca zapalił zyrandole pod sufitem.

Nie wyczułam, czy przemawia przez niego natura handlowca, czy zwyczajnie wykręca się od odpowiedzi. Nie dałam się zbyć.

– Proszę mi wybaczyć, ale tylko tamten mnie interesował. Swoją drogą, przypomina pan sobie... gdy byłam tu poprzednim razem... dawał mi pan jakieś znaki!

Mężczyzna poprawił okulary i zerknął na mnie raz i drugi.

– Nie bardzo pamiętam... – Westchnął.

– Nie, tak nie można! – zaprotestowałam. – Miałam wrażenie, że chciał mi pan powiedzieć o czymś ważnym. To może dotyczy domu, w którym mieszkam? Albo polany i skałek na niej? Coś niecoś sama się dowiedziałam...

Pobudziłam jego sumienie bądź moje ostatnie zdanie zaintrygowało antykwariusza, gdyż poprosił, abym poszła za nim. Poprowadził mnie na zaplecze sklepu, też zagraconego, jak część dla klientów, po czym zaproponował mi zajęcie miejsce na staroświeckim szeslongu. Sam usiadł naprzeciw mnie, na zapadniętym fotelu o barokowo wykręconych nóżkach.

– Co pani wie o polanie?

– Podobno krążą o niej różne legendy, czytałam o kobietach zamienionych w

stado saren. I jeszcze o zaginionych mężczyznach. – Czułam, że szczerść może mi się opłacić.

– A o domu?

Tutaj miałam niewiele do powiedzenia. Prawdę mówiąc, liczyłam, że od antykwariusza dowiem się czegoś o dziejach odludnej siedziby. Wyznałam mu to. Znowu bezwiednie poprawił okulary, zamyślił się, zanim zapytał:

– Proszę mi powiedzieć, czy pani dobrze tam się czuje? Nie pogorszyło się pani zdrowie?

– Wręcz przeciwnie. – Policzyłam w myślach, kiedy miałam ostatni atak migreny.

– I żadnych wypadków? – dociekał.

– Owszem! Ale wyłącznie przez własną nieuwagę. – Zaśmiałam się. – Proszę powiedzieć, do czego pan zmierza, bo umieram z ciekawości!

– Dobrze, choć to dość zagadkowa historia – zaczął. – Ma związek z obrazem, który wpadł pani w oko. Ale po kolei. Jeden z naszych klientów odziedziczył po jakiejś krewnej mieszkanie wraz ze wszystkim, co w nim było. Kupiliśmy od niego kilka starych mebli i sprzętów, między innymi ten obraz. A także trochę starych, niemieckich książek.

– Tak? – ponagliłam go, gdy zaczerpnąwszy powietrza, umilkł na dłuższą chwilę.

– Dopiero dużo później w jednej z nich odkryłem listy. Pisane ręcznie, po niemiecku. Spadkobierca nie chciał ich z powrotem, nie zna tego języka, zresztą, nie należy do osób sentymentalnych, nie zależało mu na nich. Mnie zainteresowały i zacząłem je studiować, gdyż musi pani wiedzieć, że napisane zostały gotykiem. Po pewnym czasie zrozumiałem, że ich autorką była kobieta żyjąca przed laty w tamtym domu na polanie. Jeszcze przed jego pożarem...

– To on naprawdę się palił? – wyrwało mi się.

– Tak. Nie wspomniała pani wcześniej, że o tym słyszała. – Spojrzał na mnie badawczo.

– Nie miałam pewności – ucięłam. – Proszę opowiadać dalej! Ten klient był może potomkiem tej kobiety?

– Nie, i dość niejasne jest, skąd te rzeczy wzięły się w ich rodzinie. Chyba lepiej w to nie wnikać... Wie, pani, powojenna migracja, przymusowe wysiedlanie, szabrownicy.

– Rozumiem. A wracając do tych listów...

– Właśnie. Treść jest zatrważająca. Wynika z nich, że ta kobieta coraz gorzej czuła się w tym domu, raz po raz mdlała, raniła się. Miewała koszmary i jakieś straszne wizje. Niestety, pomimo jej skarg mąż kobiety nie chciał stamtąd wyjechać. Dopiero chyba ten pożar wpłynął na jego decyzję. Opuścili te strony jeszcze przed wojną.

– Do kogo pisała listy? – spytałam, opanowując drżenie na wzmiankę o pożarze.

– Wywnioskowałem, że adresatem był jakiś mężczyzna mieszkający w Berlinie. Nie rozumiem tylko, dlaczego listy pozostały tutaj, w miasteczku? Myślę, że albo kobieta nigdy ich nie wysłała, albo ktoś je przechwycił.

– Tak, to dziwne. Mówił pan, że miała męża... Kim więc był ten drugi, z Berlina?

– Hm... – Antykwariusz jakby się speszył. – Mnie to wyglądało na romans.

– Że niby pisała do kochanka? Oj, to miała pecha z tymi listami!

– Pecha? Zależy, po czyjej stronie się jest, zdradzających, czy zdradzonego. Ale tak to już bywa z trójkątami miłosnymi, że ktoś idzie w odstawkę...

– A co to wszystko ma wspólnego ze mną? – Teraz ja się zmieszałam.

– Wie pani, na ogół nie wierzę ludzkiemu bajaniu. Ale w tym domu nie tylko ta kobieta przeżywała osobliwe rzeczy. Później zdarzały się inne nieszczęścia, nikt nie mieszkał tam długo. Zresztą, cała polana nie cieszy się dobrą opinią. Zaniepokoiło mnie, że pani zatrzymała się w tym domu sama. Chciałem panią ostrzec.

– Dziękuję! – Uspokoiliam się, że chodziło tylko o to. – Sam pan jednak widzi, że miewam się dobrze. Najwidoczniej na mnie nic tam nie działa!

– Oby miała pani rację! – Nie zawtórował mi w lekkości tonu.

– Szkoda, że ten obraz został sprzedany... – przypominałam sobie nagle. – Był chyba jedynym dowodem, jak ten dom kiedyś wyglądał.

Bez słowa podniósł się z miejsca i odszedł w głąb pomieszczenia, za kotarę. Po chwili wrócił, niosąc obraz, o którym mówiłam.

– Proszę, niech go pani weźmie! – Oparł go o fotel. – U nas tylko się kurzy, a pani przynajmniej go doceni.

– Nie mogłabym! – zachnęłam się zaskoczona.

– Wycenialiśmy go bardzo nisko, ale i tak nie było nabywcy. Należało zrobić miejsce dla innego. Jeżeli ma pani opory, by go przyjąć, to proszę potraktować to jako prezent dla domu na polanie. Myślę, że tam było jego pierwotne miejsce i też tam powinien wrócić.

Wobec takich i innych kontrargumentów musiałam ulec i zrobiłam to z radością. Podziękowałam już bez oporów. Ustaliliśmy, że na razie pozostawię obraz w sklepie i któregoś dnia podjadę po niego z Ireną.

W drodze powrotnej rozmyślałam o autorce listów. Tliło się we mnie podejrzenie, że to ją widziałam w scenkach ze swoich wizji, zarazem odsuwałam tę myśl jako nazbyt niedorzeczną. Mój racjonalny umysł negował możliwość czegoś takiego! A jednak wiedziałam, że to mi się nie śniło.

Nie była też snem nieobecność Armina, choć tutaj teoretycznie mogłam zmienić bieg wypadków. Miałam tego świadomość podczas każdej minuty

spędzonej w zasięgu telefonii komórkowej. Całą siłą woli powstrzymywałam się wtedy, by nie zadzwonić do niego, lecz gdy wracałam na polanę, wkrótce żałowałam straconej okazji. Cóż, kiedy nie potrafiłam ignorować małżeństwa Armina, a do tego sprowadziłoby się przecież wezwanie go tutaj. Potrzebowałam jeszcze czasu. Żeby nabrać dystansu, uspokoić się, znieczulić. I miałam nadzieję, że potem moje serce przemówi, a ja zrozumie, czy moje „chcę” jest równorzędne z „mogę”.

Otworzyłam drewnianą szafę, jej drzwi zaskrzypiały. W przestronnym wnętrzu moje nieliczne ubrania prezentowały się skromnie, pomiędzy nimi tylko jedna sukienka. Chociaż stara, nie było tego po niej widać; inwestycja profitowała nawet po latach. W mojej pamięci tkwiło wspomnienie naszego pierwszego spotkania.

Mogłam śmiało powiedzieć, iż od razu ją pokochałam. Suknia była czarna, z owalnym dekoltem, rozszerzana poniżej piersi, przewiązana tam wstążką z szarej satyny, tej samej, z której był kołnierz i mankiety rękawków trzy czwarte. Nieczęsto ją wkładałam, ale wówczas odnosiłam wrażenie, jakby stapała się ze mną, doskonaląc moją urodę. Czułam się w niej bardzo kobieco, a spojrzenia, jakie mi wtedy rzucano, potwierdzały, że to nie tylko moje subiektywne wrażenie.

Szykowałam się na wernisaż. Sukienka była jedyną rzeczą w mojej garderobie nadającą się na taką okazję. Gorzej z butami, najlepiej pasowałyby klasyczne czółenka, ale nie miałam, musiałam zastąpić je kozakami. Wyjątkowo wiele czasu poświęciłam dzisiaj włosom, upinając je w oryginalny koczek. Zrobiłam dyskretny makijaż.

Do miasteczka przybyłam o nietypowej dla mnie porze. Zapadał już grudniowy, wczesny zmrok i powitały mnie włączone dekoracje świąteczne. Przeważały migoczące, kiczowate ozdóbki, przyciągające mniej wybrednych klientów ode mnie. Kolorowe centrum zyskało jednak optycznie, a z pomocą śniegu znacznie się wyciszyło. Wstąpiłam do księgarni, by odebrać zamówioną książkę. Poprosiłam też sprzedawczynię o podpowiedź w wyborze książki dla dziewczynek w wieku Oli, w zamyśle chcąc w ten symboliczny sposób zrewanżować się za nocleg pod dachem Janowiczów.

Gdy weszłam do Domu Kultury, przy szatni stał tłumek ludzi, parę osób przechadzało się po holu; z kawiarni również dochodził gwar głosów. Zgodnie z poleceniem

Iry od razu udałam się na piętro. Drzwi sali wystawowej były jeszcze zamknięte, skierowałam się do pomieszczeń biurowych.

– Jesteś! – Irena ucieszyła się na mój widok. – Podaj mi swoją kurtkę! No, no...

Jej wzrok wyrażał uznanie, natomiast u stojącej obok szefowej brwi samoistnie się zmarszczyły. Wszystkie pracownice Domu Kultury włożyły

spódnice i eleganckie bluzki, co potwierdziło mi, że ubrałam się właściwie. A jednak na sali wystawowej zniknęła moja pewność, ponieważ większość gości zjawiała się w strojach codziennych, nierzadko nawet w dżinsach. Częściowo przywrócił mi ją główny bohater uroczystości, witający przybyłych przy wejściu:

– Ogromnie się cieszę, że jednak dotarłaś! – rzucił z przesadnym zobowiązaniem, po czym nachylając się ku mnie, dodał ciszej: – Piękna i elegancka... zaraz widać, że bywasz na salonach!

Nie miałam możliwości, by to sprostować, gdyż z tyłu napierali już kolejni goście. Przeważnie od razu kierowali się w stronę pokrytego białym obrusem stołu. Był zastawiony butelkami i szkłem, nie brakowało urozmaiconych kolorystycznie zakąsek, od minikanapek po kosze owoców. Obowiązywała samoobsługa, jednak Ira, która dotarła tam przede mną, obsłużyła mnie, podając lampkę wina musującego na wyrost zwanego szampanem.

Kierowniczka Domu Kultury poprosiła wszystkich o uwagę i wernisaż rozpoczęło oficjalne przemówienie. Wygłosił je niestary, lecz jakby przedwcześnie posiwiał brodac, a jego barwny język dowodził znawstwa sztuki względnie terminów z nią związanych. Wkrótce chyba nie tylko ja zaczęłam odnosić wrażenie, iż mam zaszczyt uczestniczyć w wiekopomnym wydarzeniu. Prace Sylwestra Spyry brodac określał jako zaskakująco dojrzałe, wyjątkowe i ekspresyjne. Sam twórca podczas przemowy stał się ucieleśnieniem skromności, tak w wyrazie twarzy, jak i ruchach dłoni, składanych jakby do modlitwy. Gdy siwy mężczyzna dotarł do finału, nagrodzono go gromkimi oklaskami, do czego także się przyczyniłam, acz z wdzięczności, iż facet nareszcie skończył. Oznajmiono otwarcie wystawy.

Wędrowałam wolno wzdłuż ścian, trzymając się Iry, i słuchałam jej objaśnień. Obrazy były przeglądem twórczości Sylwestra z kilku ostatnich lat, większość w oleju i akrylu, było też kilka akwareli. Przeważała martwa natura i pejzaże oddane z niemal fotograficzną dokładnością, lecz odkryłam też kilka scenek pretendujących do impresjonizmu. Najmniej podobały mi próby wyrażenia się w abstrakcji, napaćkane byle jak farby nijak się miały do tytułów nadanych pracom, całość była chaotyczna i nieczytelna. Ostatecznie uznałam, że moimi faworytami są dwa naturalistycznie oddane akty, potwierdzające zarówno kunszt malarski Sylwka, jak i miłość do kobiecego ciała.

– Ciekawe, kto mu do nich pozował? – wyszeptałam do Iry.

– Mam pewne domysły – odparła z wymownym uśmiechem na twarzy. – Zaproszeń chyba jednak nie dostały, nie widzę ich tutaj. Raczej wolał nie ryzykować afery, jest tu jego żona!

Wskazała mi zadbaną, ale niewyróżniającą się urodą kobietę w średnim wieku. Przeszliśmy pod następny obraz, pejzaż, zachwycalo się nim dwóch mężczyzn. Jeden przymierzał się nawet do kupna i rozglądał po sali za autorem.

Machinalnie zrobiłam to samo i w jednej chwili zdrewniałam. Sylwester stał w otoczeniu grupki osób, a wśród nich była moja siostra! Myślałam, że już wróciła do siebie! Co gorsza, dostrzegła mnie i od razu ruszyła w moją stronę. Nie miałam szansy na ucieczkę.

– Co za spotkanie! – powitała mnie kpiąco. – Odkąd to interesujesz się sztuką?

Ira spojrzała na mnie pytająco, musiałam przedstawić Kingę. Pobyt w górach jej służył, wyglądała zdrowo i atrakcyjnie. Miała na sobie spodnium o barwie oberżyny, który podkreślał jej szczupłą sylwetkę, a liczne wisiory i srebrny, szeroki pas dodawały strojowi ekscentryczności.

– Gdzie się pani zatrzymała? – zaciekała się Ira.

– W pensjonacie, jest dużo taniej niż w hotelu. Urocze uzdrowisko, uwielbiam takie górskie miasteczka – słodziła moja siostra. – Świeże powietrze, spokojnie, jednym słowem sielanka! Mało kogo tu znam, ale cóż, Karola nie życzy sobie mojego towarzystwa... – Nie doczekawszy się reakcji, kontynuowała: – A pani jest stąd? Pytam, bo może pójde w ślady siostry i zostanę tutaj na dłużej.

– Przepraszam, szefowa mnie wzywa! – Irena taktownie wycofała się w tłumek.

Musiałam jak najszybciej uprzedzić ją, by nie zdradzała mojego miejsca pobytu. Tymczasem Kinga nie zamierzała ode mnie odstąpić.

– Ty siostrzyczko, jak widzę, już się wkręciłaś w ten zaściankowy światek! – Wróciła do ironicznej tonacji. – Zawsze łatwo zjednywałaś sobie ludzi.

– Co cię tu zatrzymało? – Zignorowałam jej uwagę. – Nie bardzo wierzę, że chodzi ci o górskie powietrze...

– Czemu nie? Może wpłynie na mnie inspirująco?

– Podobno nie znosisz zimy – przypomniałam.

– Tylko krowa nie zmienia zdania. – Kinga bawiła się sytuacją.

– Kupiłam twoje książki – zgasiłam jej tupet.

Chciała coś odpalić, lecz tylko wciągnęła powietrze, nie wydając głosu. Za to ja powiedziałam:

– Być może powinnam skontaktować się z twoim wydawcą.

– Wiedziałam, że będziesz chciała się zemścić!

– To od ciebie zależy, czy wyciągnę z tego konsekwencje. Dlatego dobrze ci radzę, lepiej mnie nie drażnij i nie wchodź mi w oczy!

– W tym grajdołku raczej nie będzie to możliwe. – Wzruszyła ramionami.

– Więc stąd wyjeżdż! – rzuciłam nieco głośniejszym głosem, gdyż przy mojej siostrze wyjątkowo szybko traciłam cierpliwość.

– Ależ, co ty mówisz, Karolo?! – dobiegło zza moich pleców. – Staram się zachęcić Kingę do przedłużenia pobytu, a ty psujesz moją robotę!

Nie zorientowałam się, kiedy Sylwester stanął za mną, toteż minę musiałam

mieć nietęgą. Przeciwnie moja siostra, wdzięczyła się spojrzeniem niekryjącym dla niego podziwu. Wyraziłam uznanie dla jego obrazów, co przyjął już bez skromności, jaką kokietował wcześniej. Stłumiłam w sobie ciekawość, by zapytać, jak poznał Kingę, z którą był już po imieniu. Musiał zadbać o gości zainteresowanych kupnem pejzażu, lecz jeszcze konspiracyjnym tonem wyjął:

– Prawdziwa impreza odbędzie się później, na dole w kawiarni. Już tylko dla zamkniętego grona, więc większy luzik. Naturalnie, serdecznie was zapraszam! Będziecie ozdobą mojego wieczoru!

W przeciwieństwie do mnie, Kingę ucieszyła propozycja Sylwestra. Po jego odejściu dała temu wyraz, dyskretnie zwracając się do mnie:

– To świetna okazja, aby rozeznac się w tutejszych układach. Oby tylko pozbył się żony, bo to babsko wygląda na zazdrosne!

Tym samym ujawniła, że interesuje ją również osoba plastyka. Na wernisażu pojawiła się z nieznanym mi mężczyzną. Nie uległam jej namowiem, aby go poznać, zdążyła się jednak pochwalić, iż to dziennikarz z jakiejś jeleniogórskiej gazety. Trochę mnie to zaniepokoiło. Czyżby przygotowała już pole pod kątem promocji swojej nowej książki? Albo może werbowwała go do pomocy przy niej? Miałam przecucie, iż jest na najlepszej drodze do wpakowania się w nowe kłopoty. Oczywiście, moje rady zostałyby odrzucone, więc sobie darowałam.

Irenę dojrzałam znów przy stole-bufecie, musiałam ją dopaść, zanim zrobiłaby to moja siostra. Przeprosiłam Kingę, że niby muszę do toalety, po czym łukiem opuściłam salę, rzucając w biegu do Iry, aby przysłała za mną do biura.

– Źle się czujesz? – spytała z troską, kiedy dołączyła do mnie.

– Nie, tylko nie chce mi się gadać z siostrą. Wolałabym nie wracać już na wystawę. – Westchnęłam. – A ty masz zamiar zostać na późniejszej imprezce Sylwestra?

– Niekoniecznie. Prawdę mówiąc, poszłabym tam tylko na twoje życzenie.

– Opuśćmy to sobie, co? Musisz być do końca wernisażu?

– Hm... Powinam jeszcze trochę pokręcić się wśród ludzi. Ale powoli się rozchodzą.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zaczekam tutaj. Aha... Gdybyś rozmawiała z Kingą, nie mów jej, proszę, nic na mój temat. Nie chcę, aby dowiedziała się, gdzie mieszkam.

Spojrzała na mnie lekko zaskoczona, lecz skinęła głową. Niespełna godzinę później, w drodze do wioski próbowałam się z tego wytłumaczyć. Przerwała mi, mówiąc:

– Daj spokój! Jestem daleka od tego, aby cię oceniać.

– No tak, ale to moja siostra... Trochę mi przed tobą głupio.

– Mogę być szczerą? – Zerknęła na mnie znad kierownicy. – Gdyby to ona zamiast ciebie przysłała wtedy na spotkanie autorskie, na pewno bym jej nie

zagadnęła...

– Nie? Dlaczego?

– Nie wiem, w czym rzecz, ponieważ jest miła i nie podpadła mi niczym szczególnym... A jednak ma w sobie coś takiego, co mnie peszy... może nawet nie peszy, raczej niepokoi.

– Mnie Kinga po prostu wnerwia – przyznałam bez ogródek. – Jakbym miała na nią alergię. I tak, niestety, było zawsze.

– Rodziny się nie wybiera! – Ira zaśmiała się. – Ona zresztą chyba też nie jest zachwycona, że ma ciebie za siostrę.

– A to niby czemu? – Zaintrygowało mnie, co może mieć na myśli.

– Przyjrzałam się wam – odparła po chwili. – Jest między wami pewne podobieństwo, jednak coś na zasadzie oryginału i podróbki. Jakby to ująć... ona z urody jest taką słabszą kopią ciebie, i coś mi się widzi, że zdaje sobie z tego sprawę. Wdałyście się chyba w jednego z rodziców.

– Mamy wspólnego ojca, ale różne matki.

– O! To twoja siostra przyrodnia?

– Tak – potwierdziłam, dodając już niemo: „co wiem od niedawna”.

– Tobie jednak geny były bardziej przychylnie – upierała się Irena. – Kinga musiała mieć kompleksy z twojego powodu. Nie dosyć, że jesteś młodsza, to na dodatek ładniejsza!

– Jesteśmy rówieśniczkami.

Od słowa do słowa i w skrócie nakreśliłam jej nieprostą historię naszej rodziny. Pomięłam jedynie fakty dotyczące podwójnego życia ojca. Przywykałam dopiero do prawdy o nim i nie potrafiłabym jeszcze mówić na ten temat.

Dotarliśmy do domu Janowiczów. Po kolacji spożytej w towarzystwie kompletnej rodziny zostałyśmy z Ireną same. Rozsiadłyśmy się wygodnie na kanapie w pokoju stołowym, sącząc czerwone wino pod ciche dźwięki muzyki z radia. Julian wycofał się do małego pomieszczenia za kuchnią, które zaadaptował pod kącik komputerowy. Ola zapowiedziała, że od razu zacznie czytać sprezentowaną jej książkę, lecz okazało się, że wkrótce zasnęła. Miałam cichą nadzieję, iż to wieczorna pora, a nie lektura stała się tego powodem.

Rozluźniłam się wreszcie i wyparowało ze mnie napięcie spowodowane spotkaniem z siostrą. Nareszcie mogłyśmy z Ireną pogadać sobie od serca, bez pośpiechu i w nastroju doskonale sprzyjającym wynurzeniom.

Tego wieczoru uzmysłowiłam sobie, że od lat ani nie spotkałam kogoś tak otwartego jak ona, ani też sama nie byłam zdolna do tego stopnia odsłonić się przed kimś, kogo znałam tak krótko. Nawet z Reginą czy Danką po latach kontaktów nie udało mi się stworzyć tak szczerej relacji, jak z tym prostolinijnym rudzielcem, którego bardzo polubiłam.

Irena zwierzyła mi się dzisiaj ze swojej pierwszej, zawiedzionej miłości.

Trudno mi było wyobrazić ją sobie jako załamana dziewczynę, potrzebującą aż dwóch lat, by uporać się ze smutkiem. Wspierał ją Julian, którego nie od razu pokochała, lecz dzięki samozaparcia zakochanego w niej mężczyzny, z czasem zaczęła mu ufać. Bynajmniej jednak nie wyszła za niego bez miłości, przyjęła oświadczenia, będąc już pewną swojego uczucia i pragnienia stworzenia z nim rodziny. Nie żałowała decyzji, a ja ani trochę nie wątpiłam, że byli ze sobą szczęśliwi. Naturalnie, jak to w życiu bywa, problemy również ich nie mijały, lecz Janowicze pokonywali je, tworząc wówczas wspólny mur, nie stawiali go między sobą. Patrząc na czułość Juliana, kiedy żegnał żonę na dobranoc, bezwiednie się uśmiechałam.

– Dla mnie jesteście doskonałym małżeństwem!

– Tak? Ktoś powiedział, że idealnego męża poznaje się po tym, że jest żonaty z inną kobietą! I to samo dotyczy idealnych żon! – Zaśmiała się, choć widać było, iż moje słowa sprawiły jej przyjemność. – Za to twojego przystojniaka zazdroszczą ci chyba wszyscy bez wyjątku!

Speszyłam się, gdyż dotychczas unikałam tematu Armina. I nagle nadszedł moment, w którym zapragnęłam opowiedzieć Irze o związanych z nim rozterkach. Na początek ostrożnie ją zapytałam:

– Mówisz o moim współlokatorze? Znasz go?

– Jakby nie! – zdziwiła się, wzruszając ramionami.

A potem rzuciła zdanie, które sprawiło, że wypity dotąd alkohol w sekundzie ulotnił się z mojej głowy. Zadawałam Irze pytanie za pytaniem, lecz w miarę jej odpowiedzi mój stan zaskoczenia zamiast maleć, wzrastał. Nie wierzyłam własnym uszom!

Musiałam chyba nadal sprawiać wrażenie nieprzekonanej, gdyż ostatecznie Ira nakazała mi ruszyć się z miejsca i pociągnęła mnie do pokoiku za kuchnią. Włączywszy komputer męża, połączyła się z Internetem, by następnie udowodnić mi, że mówiła prawdę.

W jednej chwili dowiedziałam się nazwiska Armina oraz tego, czym się zajmuje.

Do dalszych pogaduszek z Ireną nie doszło, wkrótce zostawiła mnie samą. Nic dziwnego, nie umiałam oderwać się od komputera, czytałam jedną informację po drugiej. Wiele rzeczy stało się nagle jasnych, a zarazem wszystko jeszcze mocniej się pogmatwało. Natomiast jedną rzecz pojęłam od razu: dlaczego ja i Armin możemy być parą tylko w odludnym domu na polanie.

Pragnęłam uciec. Od Armina, od Polski, w której życie nie było już tylko terażniejszością i stale przypominało mi o minionym. Nie chciałam też myśleć, co będzie, o problemach siostry, o swojej beznadziejnej sytuacji. Wszystko to wywoływało u mnie umysłową nadkwasotę, pojawiały się symptomy migreny. Poprzedniego dnia powstrzymałam atak, jednak nie zdołałam ochronić się przed

innym moim wrogiem, apatią. Dzisiaj również na niczym nie umiałam się skupić ani znaleźć sobie miejsca, więc dla poprawy samopoczucia zmusiłam się do wyjścia na spacer.

Na zewnątrz powitała mnie czysta, jednolita biel. Radosny świergot ptaków nie zakłócał panującego wokół spokoju. Wchodząc w obszar opromieniony słońcem, poczułam, jakby i mnie otuliło, próbowało dodać nadziei. Coś było na rzeczy, gdyż z każdym krokiem po skrzypiącym śniegu przybywało mi chęci do życia. Na polanie nie było żywej duszy, ale jakoś nigdy nie napawało mnie to lękiem. Wymyśliłam sobie, że dom na polanie nawet z oddali czuwa nade mną i sprawia, iż wracam do niego bezpiecznie. Na przekór temu, co opowiadało się o polanie, odnosiłam wrażenie, iż przyjęła mnie gościnnie.

Przypomniałam sobie o braku pieczywa. Ruszyłam do wioski i tam zrobiłam sobie małą przerwę na mostku. Potok pokrywała warstwa lodu, przy brzegach grubsza, a w środku cieńsza, niemal przezroczysta. Oparta o drewnianą balustradę patrzyłam w dół na koryto zmienione mrozem. Że strumień żyje, zdradzał przytłumiony szmer wody pod lodem. Pewne rzeczy były niezmiennie, niestety, mnie zdawały się omijać szerokim łukiem. Mogłam sobie tylko pomarzyć o stabilizacji, poleganie na prawach natury w moim wypadku znaczyło wystawianie się na strzał. Nie wiem, co robiłam źle w moim życiu, że w rachunku końcowym zawsze byłam ofiarą. A bodaj tak widziałam to teraz, niezdolna do optymizmu, zmarznięta jakby i od wewnątrz.

– Dobry, dobry! Ja żem się już zastanawiała, czy państwo nie wyjechali? – odpowiedziała sprzedawczyni na moje powitanie. – Będzie już z tydzień, jak nikt od was nic ode mnie nie brał!

– Miałam trochę zapasów – rzuciłam na odczepnego.

Kobiecinnie chyba się nudziło, gdyż oparła się łokciami o ladę i zaczęła obgadywać jakąś parę. A to, że nie wzięli ślubu kościelnego, a to, że kupili auto na kredyt i udają wielce bogatych. Zauważając, że nie łapię, o kogo chodzi, zmieniła obiekt zainteresowania:

– Ta mała od Janowiczów to rozpuszczona dziewczucha... Tak to jest, jak ma się jedną! A pyskata! Wszystko wie lepiej!

– Wie pani, dzisiaj dzieci inaczej się wychowuje.

Jeżeli będą zahukane, później sobie nie poradzą, świat nie jest dla nieśmiałych. – Wzięłam znajomych w obronę. – Przy mnie Ola zawsze jest grzeczna!

Sprzedawczyni spojrzała na mnie z niedowierzaniem, lecz chyba zabrakło jej argumentów, gdyż podnosząc się, wymamrotała:

– Ja tam wiem swoje, rude to fałszywe!

Pokręciłam głową i pożegnałam się, nie wdając się w dyskusję. Irytację po wysłuchaniu uprzedzeń łagodził zapach świeżego chlebka w bawełnianej torbie.

Nie oparłam się pokusie i ułamałam sobie kawałek chrupkiej piętki. Podgryzając ją, doszłam na wysokość domostwa Garbarków, ale nie zairzałabym do nich, gdyby przez podwórze akurat nie szła gospodyni.

– A wejdzie i ogrzeje się! – zawołała podchodząc. – Skąd to paniusia, ze sklepiku czy z miasta?

Skorzystałam z zaproszenia. Co prawda, mogłam się spodziewać nowej porcji plotek, lecz w porównaniu do złotozębnej sprzedawczyni Garbarkowa była złotousta. Tutaj wszyscy interesowali się wszystkimi i żyjąc w tak małej miejscowości, nie pozostawało nic innego, jak się z tym pogodzić.

Nie zawsze miało to tylko minusy. Niezmienne, niepisane reguły współżycia ułatwiały je i stanowiły swoisty mur obronny. Ludzie liczyli się z opinią innych, a wzajemne obgadywanie się było jej strażnikiem. W tej wiosce niczyje zwłoki nie leżałyby tygodniami nieodkryte i żaden noworodek nie zostałby wyrzucony na śmietnik. Wtrącanie się do czyjejs prywatności dowodziło ludzkich odruchów, zwyczajnej ciekawości, ale również troski i gotowości pomocy. Im dłużej tu przebywałam, tym lepiej rozumiałam, że anonimowość życia w dużych miastach tylko pozornie przynosiła same korzyści.

Weszłam za gospodynią do domu i usiadłam za stołem w nagrzonej kuchni. Pan domu, jak się wkrótce dowiedziałam, wraz ze swoim bratem sprzedawał na targu choinki.

– Jakoś sobie trza radzić – tłumaczyła. – Bo tych pieniążków to wiecznie mało, a przecie święta idą! Leśniczy każdej zimy zezwala wziąć drzewka z lasu, całkiem legalnie! Mój i szwagier zawsze trochę zarobią, a on też ma z tego zysk.

– Korzyść więc obopólna. A kiedy przyjeżdżają rodzice Zuzi? – zapytałam.

– No, właśnie. – Garbarkowa westchnęła ciężko. – Chyba jednak nie będą mogli! Ale może Zuzia poleci do nich.

Po tym, co kiedyś sugerowała mi Irena, nie miałam pewności, czy było to prawdą, ale nie zamierzałam się wtrącać. Gospodyni zresztą zakończyła ten niełatwy dla niej temat i teraz mnie zagadnęła:

– Ten paniusi na długo wyjechał? Nie przykrzy się tak ciągle w domu samej?

– A skąd pani wie, że jestem sama?

– No, jak to? Auto zabrał od szwagra, a nazad go jeszcze nie ma, bo bym wiedziała. – Spojrzała na mnie wzrokiem niepozostawiającym wątpliwości, iż ma na wszystko oko. – Ale do świąt to chyba wróci?

– Nie wiem, pani Garbarkowa...

– E, tam, na pewno prędko się stęskni! – Poczula się chyba w obowiązku, aby mnie pocieszyć. – Powiem paniusi, że z niego jest porządny człowiek. Nie trza wierzyć we wszystko, co wypisują w gazetach!

Wyglądało, że byłam jedyną niezorientowaną co do tożsamości Armina i jego życia. Gospodyni wykazała się taktem, nie nawiązując ani słowem do jego

żony. Pomimo to poczułam się niezręcznie, bo też kim byłam w jej oczach, a być może w oczach wszystkich w wiosce? Kochanką żonatego faceta, z którym ukrywałam się tutaj przed światem. Jak widać, nie wpłynęło to na stosunek Garbarkowej do mnie, ponieważ jak zwykle, zaproponowała mi obiad i też nie wyczułam żadnej próby osądu.

Nie udało mi się wymówić od jedzenia, gdyż do domu wróciła Zuzia; jej szczerzy uśmiech na mój widok powstrzymał mnie przed wyjściem. Nie zamykała się jej buzia, ale kilka razy zatrzymała się w pół zdania, zerkając na babcię. Po wspólnym zjedzeniu kaszy gryczanej z gulaszem, do której popijałyśmy pyszną maślanekę, Garbarkowa zostawiła nas same. Miała jakąś robotę w chlewie.

– Muszę pani coś powiedzieć! – zaczęła dziewczynka, ledwo drzwi zamknęły się za babcią. – O szkole. Była niezła afera!

– Mów, bo nie zgadnę – ponagliłam ją, gdyż wyczekująco zamilkła.

– Z księdzem Filipem! – wyznała z niewątpliwą satysfakcją. – Jeden taki chłopak z naszej klasy przeszkadzał na religii i ksiądz bardzo się zdenerwował. Podszedł do niego i go uderzył! Prosto w twarz! Mama Oli powiedziała, że to historyk.

– Historyk – poprawiłam ją, tamując śmiech, po czym spytałam poważnie: – I co dalej? Kolega poskarżył się komuś?

– No, rodzicom! Przyjechali do szkoły i bardzo krzyczeli. A wczoraj było jakieś ważne zebranie. Na razie mamy w zastępstwie taką fajną katechetkę. Mogłam z powrotem usiąść koło Oli, bo ksiądz Filip nas rozdzielił. Jak pani myśli, może on już wcale nie wróci? – Spojrzała na mnie z nadzieją, jakbym miała na to jakiś wpływ.

– Życzmy mu jak najlepiej! – Skarciłam Zuzię wzrokiem, choć w duchu byłam po jej stronie. – A czemu nie chciałaś powiedzieć o tym przy babci?

– Bo babcia zakazała mi źle na niego mówić, a ja tylko mówiłam, jak było, że na nas krzyczy, jak chcemy coś wiedzieć! Na mnie też nakrzyczał, gdy zapytałam, czemu modlimy się do Pana Jezusa na krzyżu? Jego przecież tam nie ma, dawno zmartwychwstał! – Zająknęła się. – I potem babcia skarżyła się mojej mamie, że nie słucham się księdza.

– Wyjaśnisz to rodzicom podczas świąt – załagadzałam jej emocje.

– Na pewno znów nie przyjadą! – odparła z gorzkim przekonaniem Zuzia.

– Wiesz, za granicą też nie jest lekko. Niekiedy łatwiej wyjechać niż wrócić – tłumaczyłam spokojnie. – Bądź dobrej myśli, Zuziu! Może akurat te święta spędzicie już razem?

– Kiedy ja nie chcę i wcale na nich nie czekam! A do tej Irlandii to ja nigdy z nimi nie pojedę, choćby nie wiem co!

Po ostatnim zdaniu w jej chabrowych, dużych oczach pojawiły się łzy. Przynęłam się bliżej ze swoim krzesłem i przytuliłam dziewczynkę do siebie.

Mogła być rozżalona na rodziców, ponieważ wielokrotnie ją rozczarowywali. Nie sądziłam natomiast, aby naprawdę nie chciała ich widzieć czy z nimi zamieszkać. Zaczęłam wypytywać ją o nową katechetkę i miała na powrót się ożywić.

Kiedy Garbarkowa wróciła do domu, zebrałam się do wyjścia. Do zmroku było niedaleko, a słońce skryły ciężkie, śniegowe chmury. Nie dotarłam jeszcze do skraju buczyny, a z nieba zaczęło sypać, na razie słabo i w zwolnionym tempie, bo wiatr ustał. Idąc pomiędzy drzewami, miałam wrażenie, że przyroda zastygła, wnikały w nią echem odgłosy skrzypienia moich butów. Dopiero u wylotu lasku, zza przeredzonych pni objawiła mi się gęsta już teraz kotara ruchomej bieli. Wkroczyłam na polanę. Z góry spadała śniegowa manna, osiadając soczystą warstwą na mojej twarzy, ubraniu i na wszystkim wokoło. Zanim doszłam do domu, przypominałam już bardziej bałwana niż człowieka.

– Tobie to dobrze, śpiochu! – Poglaskałam kota, gdy zaczął się łaścić.

Po długim leniuchowaniu rozciągał teraz łapki, podnosząc je w górę niczym żołnierz na defiladzie. Pozasłaniałam okna, włączyłam radio i wkrótce zniknęło poczucie, że jestem tu sama. W kominku wygasło, więc trzeba było rozpalić, za co zabrałam się od razu. Kosz tylko do połowy zapełniało drewno, ale nie chciałam już wychodzić na zewnątrz, zostawiłam to na jutro. Zaparzyłam sobie herbatę i z kubkiem w dłoni usiadłam w pobliżu ognia, a wkrótce weszłam w coś w rodzaju letargu.

Usprawiedliwiały mnie okoliczności, a także mój aktualny stan ducha. Świadomość przedwczesnego wieczoru za oknami i własnej izolacji. Domostwo, które ożywało trzaskami idącymi od paleniska lub od drewnianych ścian. Jednostajne tykanie zegara, a również coś niewymiernego, czego obecność zdawałam się wyczuwać – wszystko to zamykało mnie w kapsule swoistego nastroju. Spowolnione myśli snuły się po zaułkach umysłu, nie chcąc dotykać rzeczy, które mogły zboleć.

Na widoku miałam ogień, lecz to nie w niego się wpatrywałam. W zasięgu pobliskiej lampy stał obraz sprezentowany mi przez antykwariusza. Był tu już od paru dni, przetransportowany do wioski przez Irenę, a stamtąd dostarczony mi przez chłopaka. Jeszcze nie zdecydowałam, gdzie go powiesić. Lokalizacja optymalna za dnia przy sztucznym świetle okazywała się niekorzystna. Tymczasem obraz wciąż opierał się o ścianę, a że był na wysokości moich oczu, szczególnie mocno mnie przyciągał.

Miałam nieodparte wrażenie, iż chciał mi coś powiedzieć. Ale co? Żyjąca tu kiedyś kobieta, być może uwieczniona na płótnie, nie była szczęśliwa w tym domu. Albo może inaczej – nie była tu szczęśliwa z mężem, który zmuszał ją do mieszkania na odludnej polanie. Ledwo to pomyślałam, przez moje plecy przebiegły ciarki, i znowu, jak już kiedyś w tym samym miejscu, poczułam na karku powiew chłodnego powietrza. Odwróciłam nawet głowę, nadsluchując, czy

ktos nie domyka drzwi wejściowych, ale nie, nic na to nie wskazywało.

Czy moje imaginacje po upadku na schodach jakimś niewiarygodnym korytarzem czasu złączyły mnie z życiem tej kobiety? Czyżby te zdarzenia naprawdę tutaj zaszły, a ja mogłam je zaobserwować? Fragmentarycznie podawane mi sceny wyłaniały się i znikwały szybko, z trudem przypominałam je sobie. Co dziwniejsze, widziałam jakby z różnych perspektyw. Czyimi oczami, przecież nikogo innego oprócz tych trojga w domu nie było? Wtem naszła mnie idea tak fantastyczna, że niemal się nie roześmiałam, a dokładnie w tej samej sekundzie znów po moim karku powiało czymś zimnym. Przypadek?

Podniosłam się i dla pewności przeszłam do holu, upewniając się, że nikogo tam nie ma. Skręciłam do kuchni, decydując się na drinka o nietypowej dla mnie godzinie. Nie, żebym się bała, jednak było we mnie dziwne podniecenie, które miałam nadzieję zniwelować alkoholem. Istotnie, po kilku łykach soku jabłkowego z wódką niepokój minął i powróciłam do zarzuconych rozmyślań.

Dopuszczałam istnienie wymiaru niedostępnego nam ludziom, jednakże dotąd nie zwracałam sobie tym głowy. Do relacji o kontaktach między obydwoma światami czy z ich pogranicza podchodziłam sceptycznie. Seanse spirytystyczne były dla mnie zajęciem znudzonych staruszek względnie desperatów, zaś duchy traktowałam na równi z ufoludkami.

Istniało dla mnie namacalne i wykonalne, na cuda przestałam liczyć. A jednak w tym domu powolutku się zmieniałam, może to nawet on mnie zmieniał. Zazwyczaj byłam tu sama, najpierw jako gość, aż niezauważalnie zaczęłam czuć się domownikiem. Co dziwniejsze, otrzymałam też pewność, iż mogę się za niego uważać, choć daleka byłam od tego, by rościć sobie do domu jakieś prawa. Tym mocniej zdumiewały mnie moje odczucia oraz paranoiczny pomysł, że tutaj coś komunikuje się ze mną.

Uspokoiwszy emocje, postanowiłam podejść do tego racjonalnie. Zakładając, że równoległe do naszej rzeczywistości egzystowało coś niematerialnego, nie musiało to wcale być czymś osobowym. Przypomniałam sobie o falach radiowych, świetle, głosie oraz innych fenomenach, które dla naszych zmysłów trwają w znanym nam czasie i wymiarach, ale niekoniecznie ustają, gdy przekraczają nasz zasięg. Skoro materia nie ginie, a tylko się przeobraża, podobnie może dziać się z energią. Nie byłam fizykiem, rozumowałam jak laik, więc moje wnioski mogły być mylne, niemniej zdawało mi się, że idę słusznym tropem. Jeżeli w odległym kosmosie teoretycznie można odbierać fale radiowe wyemitowane od nas dużo wcześniej, to nie mogłam wykluczyć, że i do nas docierały sygnały z czegoś leżącego poza czasem. Czy wypadek z utratą przytomności sprawił, że stałam się odbiornikiem życia minionego, jakie toczyło się w tym domu?

Uzmysłowiłam sobie również, że odtąd mieszałam tu osobliwe przeczucia, zbliżone do podszeptów intuicji. Jednocześnie nie umiałam pozbyć się wrażenia, iż

próbuję się mną manipulować, narzucać mi, abym zrobiła to czy tamto. Więc jak? Odbiornik i narzędzie w jednym? Nie uśmiechało mi się zostać robotem, zwłaszcza nie znając intencji hipotetycznie kierujących mną sił. Gdzieś w głębi mnie, tej najczystszej, nieskażonej wpływami, zachowałam czujność i dar instynktownego rozpoznawania wrogów. Stamtąd słyszałam podpowiedź, że nie muszę się bać. Cokolwiek otaczało mnie tutaj, nie działało na moją szkodę.

Rzuciłam okiem na obraz, zatrzymując spojrzenie na zarysowanej sylwetce. I nagle odebrałam jeszcze jeden głos, ale już bez pewności, że przyszedł z mojego wnętrza. Kierował mnie w miejsce, do którego w żadnym razie nie chciałam iść, więc tam nie poszłam. Wstałam i odwróciłam obraz do ściany. Prośba kobiety ucichła.

– Zaufaj mi...

Usiadłam na łóżku wyrwana czymś prosto z koszmaru. Widziałam w nim Armina na rozległej, afrykańskiej sawannie w stroju myśliwego safari, z twarzą zacienioną rondem kapelusza. Półgłosem wymówione słowa skierował do mnie, nieśpiesznie schodząc z jeepa. Powoli podniósł karabin i zaczął celować do czegoś za mną. Odwróciłam się. Kilkanaście kroków ode mnie, cętkowana, rosła pantera szykowała się do ataku, a ja wiedziałam, kogo wybrała sobie za ofiarę. Paradoksalnie do sytuacji poczułam bardziej zdziwienie niż przestach. Drapieżnik ruszył już w moją stronę, kiedy padł głośny strzał, lecz nie zdążyłam przekonać się, czy zwierzę zostało trafione. Obudziłam się.

Otaczała mnie ciemność. Zanim zdołałam pomyśleć, co przerwało mój sen, gdzieś przy domu huknęło, nie potrafiłam tego odgłosu z niczym połączyć. Dopiero teraz się przeraziłam i serce przyspieszyło. Przez kilka minut nawet nie drgnęłam, wsłuchując się w ciszę, czy nie zakłóca jej znów obce odgłosy. Za oknami szalał wiatr, jednak do jego pogwizdywań przywykłam. Uznałam, że to on był sprawcą hałasu i w świetle ranka sprawdzę, czy nie wyrządził jakiejś szkody.

Nie umiałam na powrót zasnąć, choć, jak sprawdziłam na telefonie, ledwie minęła szósta. Inaczej niż kot, który sapał zwinięty w kłębuszek na kołdrze. Chłód w pokoju powstrzymywał mnie przed opuszczeniem ciepłej pościeli, a ciemność sprzyjała refleksji. Pamiętając ostatnie sceny z mojego snu, wracałam myślą do Armina. I do jedynych słów, które zawisły w powietrzu, jakby zostały wypowiedziane przed sekundami, w tym pokoju.

Przed swoim wyjazdem Armin wyraził się podobnie, iż oczekuje, że ja mu zaufam. Już na tamtą chwilę nie było to proste, a przecież wtedy nie znałam jeszcze wszystkich faktów. Im więcej dni upływało od naszego rozstania, tym większe rozterki mną targały, zwłaszcza wieczorem, bowiem za dnia było łatwiej uciec gdzieś myślami.

Brakowało mi Armina, jego powrotów, spojrzenia, jakie rzucał mi od drzwi, przytulenia. Pragnęłam jego bliskości, w każdym sensie, nie tylko w fizycznym, tej

zwyczajności bez silenia się na mądre teksty i ładny wygląd, obopólnego rozluźnienia i swobody. Kiedy wyznał, że zakochał się we mnie, byłam bliska przyznania, że czuję to samo. Dlaczego to popsuł, mówiąc mi o swojej żonie? Z jakiego powodu dopiero wtedy i czemu od razu nie wyjawiał mi wszystkiego? Co gorsza, rzeczy przeczytane w Internecie nie zmieniły moich uczuć do Armina. A przecież powinny.

Był aktorem. Przez lata związany z teatrem prawdziwą popularność zyskał dopiero dzięki filmom. Fani kochali go głównie za role bohaterów historycznych, acz ostatnio, przez udział w międzynarodowej produkcji i kontrowersyjną postać, którą odtwarzał, stracił część zwolenników. Nie miałam o tym wszystkim bladego pojęcia, ponieważ kariera Armina rozkwitła już po moim wyjeździe z ojczyzny, a ja z premedytacją odcięłam się od prawie wszystkiego, co polskie. Też od telewizji i kina.

Kiedy ustąpił szok wywołany odkryciem, zaczęłam sobie wszystko składać. Zrozumiałam wreszcie, dlaczego zachowywał się wobec mnie z tak przesadną ostrożnością. Tając swoją profesję, chronił jednocześnie ten skrawek pełnej prywatności, jaki mu pozostał – gdzieś w górskiej samotni. Prawie w każdym innym miejscu kraju Armin był rozpoznawalny z różnymi tego następstwami dla siebie. Z tego, co przeczytałam, ostatnio nie cieszył się sympatią prasy. Nie chciał dobrowolnie mówić o swoim życiu, mnożyły się więc spekulacje. Przynajmniej miałam nadzieję, że nimi były.

Próbując rozgryźć tożsamość Armina, brałam pod uwagę różne opcje, ale nie to, że jest osobą publiczną. Kolejny raz w życiu los zakpił sobie ze mnie, stawiając na mojej drodze niewłaściwego mężczyznę. Trzeźwo patrząc, nie istniały żadne przesłanki ku temu, aby czynić sobie względem Armina jakieś nadzieje. Nie tylko żonaty, ale obracający się w świecie, który dla mnie był inną planetą. Mało tego, gdyż nie chciałabym mieć z nią cokolwiek wspólnego, zupełnie do niej nie pasowałam. Oddzielały nas lata świetlne i tak miało pozostać.

Armin posiadał wszelkie predyspozycje, żeby być aktorem. A że okazał się wybitny w swojej profesji, świadczyły nie tylko zarabiane przez niego pieniądze. Zalew informacji na jego temat, faktycznych bądź zmyślonych, też na to wskazywał. Mnie przekonał o tym czas spędzony z nim pod jednym dachem. Nigdy nie domyśliłabym się, kim jest z zawodu. Skłamałabym mówiąc, iż jego popularność nie zrobiła na mnie wrażenia. Chcąc nie chcąc, postrzegałam go teraz inaczej, choć prawdziwie znałam tylko jednego Armina, tego z domu na polanie.

Nie dzwonił do mnie, nie wysłał żadnej wiadomości, a to znaczyło tylko jedno, czekał na sygnał ode mnie. Nie czułam się z tym komfortowo. Obawiałam się konfrontacji, nie umiałabym ukryć przed Arminem tego, co już o nim wiem. Poniekąd jeszcze mocniej wiążywało mi to ręce; moją zgodę na ustępstwa mógłby odczytać opacznie. Wcześniej miałam opory, a dowiadując się o jego rozgłosie, już

nie mam? Co gorsza, nie byłam nawet pewna, czy mogę ufać samej sobie. A jeśli rzeczywiście miało to dla mnie znaczenie? Zaimponował mi przecież.

Jeszcze o tym nie wiedział i mógł mną manipulować. Niejeden raz testował moją gotowość na kompromisy, więc być może odsuwanie się i zbliżanie należało do jego sprawdzonych metod. Czy ten obecny czas oddalenia również posłużyć miał temu samemu, stopniowemu zmiękczeniu mojej woli?

„Oczekuję, że mi zaufasz...”. Wspomnienie naszej ostatniej rozmowy zachwiało moimi domysłami. Zaufanie zawsze było ryzykiem, lecz nie odważywszy się na nie, można było zaprzepaścić coś bardzo ważnego, zgoła niepowtarzalnego. Pewne szanse konstelacja czasoprzestrzeni i ludzkich istnień otwierała tylko na krótko. Zdawałam sobie sprawę, że nie mogę w nieskończoność odwlekać wyznania mu prawdy. Powinnam wreszcie podjąć decyzję, co z nami. Jedno i drugie na razie mnie przerastało. „Jesteś taka zasadnicza...”. Te słowa brzmiały w mojej pamięci jak wyrzut. Może miał rację, że postrzegałam wszystko tylko w dwóch barwach, czarnej i białej? Teraz przyszłość rysowała się czarno. Samotność też nie była już tym samym, co dawniej.

Wbrew pewności, że wspólne jutro dla nas nie istnieje, nie umiałam ugasić tęsknoty za Arminem. Nielogicznie, na przekór swojej dumie, groteskowo, żalśnie. Każdy kąt domu rozbudzał we mnie skojarzenia z chwilami przeżytymi razem. Łapałam się nawet na tym, że wyczekuję powrotu Armina, choć to oczywiste, że bez mojego wezwania tutaj nie przybędzie.

Sytuacja zamiast nabierać klarowności, dodatkowo się skomplikowała. Problem leżał nie w Arminie, ani nawet nie we mnie. To po prostu okoliczności nie były nam przychylnie. Spotkaliśmy się za wcześnie bądź za późno, w każdym razie, w złym czasie. Zrozumiałam, że jedynie tutaj, na górskim odludziu, mogliśmy stworzyć naszą małą wyspę dla dwojga. W domyśle zawisło pytanie, jak długo da się żyć iluzją, iż reszty świata nie ma?

Po raz drugi podchodziłam do ostatniej powieści Kingi. Bez przyjemności, wręcz nawet na siłę, ponieważ, ogólnie mówiąc, książka była źle napisana i przygnębiająca. Nieprzejrzysta, ponura treść, urywane wątki i mnogość ledwie zarysowanych postaci czyniły zamęt w mojej głowie, zniechęcały do czytania. Roilo się w niej od paranoicznych pretensji do ludzi i świata, więc gdyby nie pisała tego moja siostra, odłożyłabym książkę po pięćdziesięciu stronach. Pojęłam, że ten mętny bełkot dobitnie dowodzi choroby psychicznej, i kto wie, czy nie mógłby posłużyć nauce jako studium schizofrenii. Nie rozumiałam też, jak można było wydać powieść w tak dyletanckiej formie, a przecież ktoś musiał ją redagować! Natomiast rozumiałam zawód czytelniczek poprzednich książek Kingi.

Brnęłam dalej jedynie z powodu wzmianki siostry, że zawarła w powieści jakieś informacje o Marku. Obawiałam się tego, zarazem ciekawił mnie punkt widzenia Kingi. W poprzednich książkach był bardziej mój niż jej, ponieważ

sprytnie lawirowała historią, dopasowując ją do notek z pamiętników. Tym razem wskazywały na to już tylko nieliczne miejsca, podejrzewałam jednak, iż czerpała też z innych źródeł. Słyszałam, że nierzadko kopiowano teksty i podkradano pomysły z blogów internetowych. Zakładałam, iż Kinga byłaby skłonna uciec się do takiej metody; wobec mnie też nie miała żadnych zahamowań.

W pewnym momencie uzmysłowiłam sobie, że i w tej powieści, choć już za jedną z marginalnych postaci, kryje się moja osoba. Nie wpadłabym na to, gdyby moja siostra w konkretnej sytuacji nie powiązała jej z Makarym. Tenże bohater pojawiał się często, ale nie umiałam doszukać się w nim zapowiedzianego Marka. Starania autorki, by wpoić czytelnikom jego doskonałe cechy, uczyniły z niego postać plastikową, nie miał nic wspólnego z chłopakiem, który był kiedyś moim przyjacielem. Pomijając miłosne starcia książkowego Makarego z protagonistką, w której domyślałam się samej Kingi, usiłowała przekonać o swojej władzy nad nim. Dobrze znając charakter Marka, czytałam to z półuśmiechem politowania na twarzy. Wtem jednak historia nabrała takiego biegu, że mój grymas zniknął, a zamiast współczucia pojawiło się niedowierzenie.

Przeczytałam ten fragment dwukrotnie. Za drugim razem poczułam się, jakby kolejny rozdział mojej przeszłości okazał się rozsypującym posągim z piachu. Może nawet fatamorganą. To nie może być prawda, przekonywałam siebie, jednak mój umysł podważał te wątpliwości. Zbyt wiele faktów zgadzało się z tym, co istotnie zaistniało. Najgorsze zaś, że znała rzeczy, o których nie powinna wiedzieć.

Musiałam ostudzić emocje, wylewały się już ze mnie lawą gniewu. Odłożyłam książkę i ubrawszy się odpowiednio do pogody, wzięłam się do odśnieżania przed domem. Sił starczyło mi jeszcze na drózkę za drewnianym płotem, dalej nie dałam rady. Wróciłam do domu, musiałam zatroszczyć się o opał. Zeszłam schodami i kiedy otworzyłam drzwi prowadzące do ogrodu, zobaczyłam przeszkodę. Nocna śnieżycą musiała szaleć, gdyż wiatr odłamał z drzewa duży konar. Spadł tak, że torował drogę pod zadaszenie z drewnem. Rozwikłałam zagadkę odgłosów sprzed świtu, ale miałam teraz nowy problem. Musiałam przepychać się między gałęziami, a kosz ciągnąć dołem, po śniegu. Plusem zmagania z następstwami żywiołu była zmiana w stanie mojego ducha. Wraz z wypoconymi toksynami opuścił mnie ponury nastrój po lekturze książki Kingi. Na razie nie chciałam myśleć o tym, co w niej odkryłam. Nie przywykłam nawet jeszcze do sensacji o Arminie, a tu następna niespodzianka, dotycząca mojej przeszłości.

Zgłodniałam. Przygotowując sobie posiłek, włączyłam radio na lokalną stację, aby przy okazji wysłuchać aktualnych prognoz pogody. Nie były najlepsze. Uspokoiła mnie myśl o zapasach w spizarni, natomiast zatrwożył jakiś odgłos na zewnątrz. Zanim zdążyłam go z czymkolwiek połączyć, zabrzmiał dzwonek u drzwi. Ku mojemu zdumieniu na zewnątrz stała Irena.

– Szwagier mnie podrzucił! – Wskazała głową na pojazd za furtką. – Józek, gdy będzie wracać z doliny, wpadnie tu po mnie. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

– No, co ty?! – Odsunęłam się, wpuszczając ją do środka. – Bardzo się cieszę!

Janowicz odjechał. Irena rozglądała się z ciekawością po wnętrzu, nigdy wcześniej tu nie była. Zaproponowałam jej fotel przy kominku, ale wolała asystować mi przy gotowaniu. Kiedy doprawiałam krupnik i szatkowałam natkę pietruszki, bawiła mnie rozmową.

– Przyjemnie tutaj, spodziewałam się większej prowizorki! Jedyne ta odległość do innych domów... Nie boisz się być tu sama? Umarłabym chyba ze strachu! – Widząc mój uśmiech, kontynuowała: – Nie powiem, że latem, ale teraz, gdy tak wcześnie ciemno? A tegoroczna zima podobno ma być ostra! Kiedy właściwie wraca twój... współlokator?

– Nie wiem, czy w ogóle... – Skupiłam się na mieszaniu zupy.

– Karolo... co się dzieje? Nie jestem ślepa, widziałam twoją reakcję na to, co czytałeś o nim w Internecie... a potem rano byłeś przybita. Mam wyrzuty sumienia, ale nie myślałam, że można go nie znać!

– Moja ignorancja zemściła się na mnie. – Nie udało mi się powstrzymać ciężkiego westchnienia.

– Nie łączy was tylko ten dom, nieprawdaż?

– Precyzyjniej byłoby: łączyło.

– Przeczuwałam, że coś jest nie tak. – Popatrzyła na mnie uważnie. – Chcesz o tym pogadać?

– To długa historia... Nie na pusty żołądek! – wykręciłam się. – Postaw, proszę, przyprawy na stole! Skosztujesz mojego krupniku!

Wyszedł mi całkiem niezłe. Zjadłyśmy ze smakiem. Irena dość długo milczała, aż wreszcie przeszła do sedna rzeczy:

– Karolo, przenieś się do nas! Pokoik na poddaszu, w którym nocowałeś, jest przecież nieużywany...

Zaraz potem zarzuciła mnie argumentami, znałam je, więc nie zrobiły na mnie wrażenia. Byłam świadoma ryzyka, jakie niesło ze sobą pogorszenie pogody.

W najgorszym razie mogło na jakiś czas zabraknąć prądu, ale na to również byłam przygotowana – zamarznąć w domu nie zamarzną, z głodu również nie umrę.

– A co ze świętami? Przecież nie spędzisz ich tutaj samotnie!

– Nie jestem sentymentalna – broniłam się. – Dziękuję ci, miło mi, ale raczej nie!

– Daruj sobie te frazesy, bo i tak nie dam ci spokoju. Wszyscy cię zapraszamy! Będzie tradycyjnie, domowo...

– ...i rodzinie! – powiedziałam z naciskiem. – Do świąt zostało jeszcze trochę czasu, więc na razie zostawmy ten temat. Opowiedz mi raczej, co nowego u ciebie?

Prawdziwie poplotkowałyśmy już przy kawie. Ira zrelacjonowała mi szkolne zebranie rodziców, była zadowolona z ustalonego tam rozwiązania. Ksiądz Filip, który też był obecny, zdawał się skruszony, co ośmieliło Irenę, by później z nim porozmawiać. Mówiła o tym nie bez emocji:

– Zdecydowałam, że schowam dumę do kieszeni, dzieci przecież ważniejsze. Zagadnęłam go, jak posuwają się przygotowania do jasełek bożonarodzeniowych i spytałam, czy mogłabym może w czymś pomóc? I wiesz, co ten arogant na to? Że z przedstawieniem radzą sobie świetnie, ale brakuje kobiet do gruntownego wysprzątania kościoła! Zakpił sobie ze mnie w żywe oczy!

– Co mu odpowiedziałas?

– Nic. Normalnie mnie zatkało!

– Może i lepiej... Słuchaj, a jak tam wystawa Sylwestra? – Celowo oderwałam myśli Iry od przykrego incydentu.

– Wyobraź sobie, sprzedał kilka obrazów! Dostał też dwie ciekawe recenzje, jedną w lokalnej gazecie, a drugą w takiej na całe województwo. Pośrednio ma to do zawdzięczenia twojej siostrze, ona sprowadziła redaktora z Jeleniej Góry. Podobno nieźle się wstawił na imprezie po wernisażu! Zresztą, wszyscy tam zdrowo popili, nawet nasza szefowa! Sylwek ma teraz jeszcze większy luz niż wcześniej. No i z plastyka zrobił się wielki artysta!

– Talent ma – zauważyłam.

– Zgadza się, tylko, że z niego okropny leń! Wystawił raptem jakieś trzy nowsze obrazy, reszta to starsze, pozbierane z wielu lat.

– Może zmotywują go pierwsze sukcesy? – podchwyciłam, nie wchodząc w kwestię różnicy pomiędzy pracowitością a natchnieniem twórczym.

– Może. A tymczasem próbuje zdobyć nową żonę... – Urwała, patrząc na mnie niepewnie.

– Kinga?

– Yhm. Przesiaduje w naszej kawiarni, gruchają ze sobą jak dwa gołąbki. Nie lubię plotek, ale to twoja siostra... – Irena wyglądała na trochę skonsternowaną. – Nie wiem, może uprzedziłabyś ją, z jakim typem ma do czynienia?

– Nie sądzę, aby trzeba było martwić się o nią. Jest sto razy sprytniejsza od Sylwka.

– Możesz mieć rację, bo wczoraj próbował pociągnąć mnie za język, gdzie ty mieszkasz. Oczywiście, nic mu nie powiedziałam.

– Dziękuję ci. Tak, to działanie mojej siostry. Lubi manipulować innymi.

– Nasze miasto żyje z turystów, ale.. no, wiesz... Spyrę wszyscy tu znają! –

ostrzegala.

– Mam nadzieję, że nie będzie tak głupia, by romansować z żonatym facetem!

Ostatnie zdanie zawisło w powietrzu, gdyż dopiero po jego wypowiedzeniu zdałam sobie sprawę, że sama nie jestem lepsza. Speszylam się, Irena uciekla wzrokiem w bok i zamilkła.

– Nie wiedziałam, że Armin ma żonę... – wyrzuciłam z siebie po chwili.

– Nie oceniam cię, Karolo.

– Jasne, ale chcę to wyjaśnić. Powiedział mi o niej w dniu, w którym stąd wyjechał.

– Ojej... dopiero wtedy?! Ja bym chyba się wściekla! – Kręciła głową. – Pokłóciliście się, tak?

– Nie było kłótni. – Westchnęłam. – Postawił mnie przed tym faktem i zostawił mi wybór.

– No, nie wiem... mnie to zakrawa na sprytną zagrywkę. To coś tak jak z wyjawieniem zdrady. Teraz i ty masz problem, a mnie ulżyło!

– Może masz rację. Głowa mi pęka od spekulacji, nie umiem podjąć żadnej decyzji.

– Obiecywał ci coś? Tłumaczył, jak to miałoby z wami wyglądać?

– Nie. Mam mu po prostu zaufać.

– Zaufać? Dobrze sobie! – zachnęła się, ale moment później zwróciła się do mnie już z troską w głosie: – Trudno mi coś doradzić, Karolo, znam go tylko z ekranu. A co podpowiada ci intuicja?

– Milczy, w przeciwieństwie do głosu sumienia! Cóż z tego, że chciałabym, żeby Armin był ze mną, ale to nie w porządku. Na dodatek nie jest takim sobie, pierwszym lepszym mężczyzną, jest sławny. Ja i on... Wyobrażasz to sobie?!

– Wyobrażam, czemu nie? – Skarciła mnie wzrokiem. – Nie przesadzaj z tą skromnością. On zresztą nie gwiazdorzy, tutejsi lubią go i szanują. Przyjaźni się z leśniczym, pomaga w lesie...

– Tak, wiem. Ale to tylko jedna strona prawdy. Opuszczając góry, staje się kimś zupełnie innym. Czytałam przecież niejedno... Nie wiem już, czemu wierzyć. Być może powinnam stąd wyjechać, spróbować zapomnieć o wszystkim? A czas uleczy rany... mam nadzieję... prędzej czy później.

– Powoli! Chyba coś źle zrozumiałam... Dotąd nie mówiłaś nic o uczuciach! To zmienia postać rzeczy. Chcesz o tym pogadać?

Przytaknęłam. Nie byłam zwolenniczką zwierzeń, dotąd nie potrzebowałam tego bądź tylko wmawiałam sobie, że nie są mi potrzebne. Kiedy sytuacja wymagała, by zdradzić coś ze swojego życia, uciekałam się do powierzchownych opisów, rzadko oddających prawdę o tym, co czułam. W towarzystwie Iry moje zahamowania topniały, odbierałam jej bezinteresowną życzliwość oraz inne

sygnały, że nie wykorzysta mojej szczerości. Wbrew temu, co sprzedawczyni sklepiku twierdziła o rudych, Irenie dwulicowość była obca.

Otworzyłam się przed nią i napełniło mnie to osobliwą radością. Wykraczanie poza swoje granice w tym wypadku otwierało też szansę, by spojrzeć na siebie i Armina z innej perspektywy. Ira umiejętnie nakierowywała mnie pytaniami, odpowiadałam jej zgodnie z prawdą, choć czasami musiałam się zastanowić. Nie ponaglała mnie.

Śmiałyśmy się do łez, kiedy wróciłam do okoliczności poznania Armina, naszej podejrzliwości względem siebie i wprowadzonych sztucznych zasad. Tamte dni zdawały się bardzo odległe, a ja w nich inna, spięta cieleśnie i duchowo. Nawet drażniącą mnie w nim rezerwę i zmienność traktowałam z przymrużeniem oka, choć znane mi fakty nie do końca go tłumaczyły.

– Co przełamało wasze stosunki? – Irena pilnowała, abym nie odbiegła od meritum.

– Hm... Chyba moje wypadki – odparłam po namyśle. – Odkryłam wtedy, że ten twardy, nieprzystępny facet posiada też inne strony. Umie być opiekuńczy, miły, po prostu ludzki. Później jeszcze niejedną raz dochodziło między nami do spięć, ale tamta, pierwsza bliskość nie poszła w zapomnienie.

– Wypadki?!

Opowiedziałam jej o tym, co mi się przydarzyło z własnej winy. Spoglądała na mnie z naganą, jak kiedyś mój współlokator, zatem czym prędzej zmieniałam temat.

Skupiając się na przemianach w relacji z Arminem, po raz pierwszy analizowałam je chronologicznie. Przedziwne, ale gdy wgłębiałam się w przeszłość, dotarło do mnie, jak naturalnie zbliżaliśmy się do siebie. Bez rozproszenia pośpiechem i zgiełkiem, w spowolnionym rytmie dni, nie poganiał czasu ani tego, co w nas już kiełkowało. Nikt z nas nie zaplanował takiego rozwoju zdarzeń, nie miałam nawet pewności, na ile świadomy w nich był nasz udział. Istniały jakieś inne opcje albo musieliśmy się tutaj w sobie zadurzyć? Prawdę mówiąc nawet nie wiem, kiedy u mnie to nastąpiło. Wiem tylko, że w momencie wyznania Armina odwzajemniałam jego uczucie.

– Musisz za nim bardzo tęsknić! – Ira bezwiednie pastwiła się nade mną.

– Ogromnie. Ale wytrzymam.

– Bo...?

– To chyba oczywiste. Nie wyobrażam sobie życia w trójkącie.

– Przecież jest z nią w separacji.

– Możliwe, ale skąd mam mieć pewność, czy to ostateczne rozstanie? Dopóki nie wiedziałam o niczym, wszystko było prostsze. Dwoje dorosłych, wolnych ludzi, którzy swoimi wyborami nikogo nie krzywdzą. Teraz nic mnie już nie usprawiedliwia. Może jemu jest to obojętne, ale mnie w żadnym razie. I

dlatego, chociaż pragnę go i źle mi bez niego, nie mogę zadzwonić, by tutaj wrócił.

– Nie lepiej byłoby go przekonać, że potrzebujesz danych, na których mogłabyś się oprzeć?

– To nie działa. Znow będzie mówić o zaufaniu, a ja w bliskości Armina mięknię. Dlatego te moje wątpliwości co do sensu pozostania w Polsce...

– Nie spiesz się z wyjazdem. Na pewno wszystko sobie wyjaśnicie, a gdyby nie, to pamiętaj o swojej migrenie! – przypomniała mi Irena.

Tyle musiało nam wystarczyć, ponieważ klakson auta oznajmił przybycie pana Józefa. Odprowadziłam Irenę do drzwi; żegnając się ze mną, mimochodem nazwała mnie przyjaciółką. Tak, stałyśmy się nimi i to wcale nie dzisiaj. Z szarego nieba śnieżyło gęsto dużymi płatkami, wiatr zakręcił nimi prosto w oczy. Zamrugałam, jednakże światła odjeżdżającego jeepa i tak widziałam jak przez łzy.

Wieczorem, przy samotnie wypijanej lampce czerwonego wina, poczułam już na ustach smak własnych, mokro słonych. Nieopatrznie zezwoliłam sobie na wspomnienia jakże innych chwil przy rozpalonym kominku. Mocniej niż jego ogień rozgorzała we mnie tęsknota za Arminem. A potem uprzytomniłam sobie, że być może nie zobaczę go więcej. Nie przy mnie.

Powrót saren

Nieraz czułam w tym domu obecność czegoś, co nie mieściło się w granicach mojego pojmowania świata. Odnosiłam wrażenie, że ktoś mi się przygląda, lecz gdy odwracałam się w tamtą stronę, rzecz jasna, nikogo nie było. Czasami bez żadnego powodu stawały mi włoski na skórze, jakby ktoś lub coś ocierało się o mnie. Takie odczucia nachodziły mnie tu dość często, a ostatnio jakby się nasiliły. Próbowalam sobie tłumaczyć, że to tylko nerwy, jednak miało się to nijak do mojego spokoju ducha. Ostatecznie zgodziłam się na jakąś złądzoną energię. Bywałam odbiornikiem zmian aury, mogłam więc łapać też coś innego.

Zapowiedzi pogodowe trafiły w dziesiątkę, ale tym razem nie przypłaciłam tego migreną. Od trzech dni wychodziłam z domu tylko po to, by donieść drewna i odśnieżyć dojście do furtki. To drugie zajęcie przypominało zmagania Syzyfa, gdyż właściwie można było robić to na okrągło. Obfite opady śniegu, momentami przechodzące w nawałnicę, niemal zupełnie odcięły mnie od świata; docierały z niego jedynie fale radiowe oraz elektryczność. Byłam wdzięczna i za to, ponieważ dni grudniowe wcześniej przechodziły w ciemność, a dzięki radiu nie czułam się całkiem sama. Dmuchało bez ustanku. Wichura napierała na okna i usiłowała nawet wśliznąć się przez komin. Nocą, gdy regularne poświstywania potrafiły przejść w groźny ryk, nakrywałam głowę jaśkiem.

Nadejście zawieruchy, o dziwo, przywróciło mi równowagę. Wreszcie nie targały mną pokusy, by skontaktować się z Arminem i też miałam stuprocentową pewność, że on, pod wpływem nagłego impulsu, nie wybierze się do mnie. W głębi ducha chyba wołałabym, aby przybył, nie czekając na moje wezwanie. Zwolniłoby to mnie od decydowania, a co za tym idzie – od odpowiedzialności; takie małe samooszustwo.

Skończyłam trzecią powieść Kingi. Pomijając zde gustowanie całą lekturą, nie umiałam zapomnieć o jednym z wątków, chodziło o dialog. Bohaterzy drwili z dziewczyny, za której portretem niby ja się kryłam. Z ich słów wynikała kuriozalna intryga, uzasadniona jedynie zabawą autorki z fikcją. Niestety, nie mogłam jej tak potraktować. Niewątpliwie dotyczyła mojej ostatniej wycieczki z Markiem oraz zdarzeń, które rzeczywiście wtedy nastąpiły. Awaria samochodu, noc spędzona nad rzeką, utrata dziewictwa dziewczyny. Kinga nie mogła dowiedzieć się tych rzeczy z mojego notesu, ostatni wpis zrobiłam na kilka dni przed wycieczką.

O tamtej nocy mógł jej powiedzieć tylko Marek. Ich wzajemne stosunki stały się dla mnie więcej niż zagadkowe. Jeszcze niedawno wyśmiewałam w duchu urojenia Kingi, za które brałam fragmenty książkowe mówiące o jej przewadze nad Markiem. Teraz wszystko nabrało realnych kształtów. Poczulałam się, jakby mój przyjaciel zawiódł mnie po raz drugi i nie miało większego znaczenia, że to wszystko wydarzyło się wiele lat temu. Okłamywał mnie, a przynajmniej zatajał

przede mną układ, jaki oni mieli ze sobą. Jego stopniowa rezerwa w stosunku do mnie stała się dla mnie klarowniejsza, co nie znaczyło, że ją rozumiałam.

Brakowało mi tutaj jakiegoś elementu łamigłówki. W jego posiadaniu, jak może też innych sekretów, była chyba tylko moja siostra. Matrioszki... Kinga liczyła na ustępstwa z mojej strony, a na te nie byłam gotowa. Coś za coś, wyraziła się jasno. Nie miałam już zresztą pewności, czy naprawdę chcę szukać prawdy, ostatecznie odkrycie znowu przyniosło mi ból. Dodatkowo zacięło mi radość z odzyskania pamiętników, gdyż uświadomiłam sobie swoją dawną naiwność.

Przez śnieżycę zmrok nadciągał jeszcze wcześniej niż zwykle. Zorientowałam się, że do wieczora może nie starczyć drewna na opał. Wyładowałam resztki i z pustym koszem skierowałam się ku schodom na dół. Biegający za mną Remi przystanął u ich szczytu i żałośnie zamiauczał.

– Gdzie twoje geny po drapieżnikach? – zadrwiłam. – Trusia z ciebie nie kocur!

Nie udało mi się wejść mu na ambicje, nie ruszył się dalej ani o centymetr. Z wyższego piętra pędził po schodach na złamanie karku, więc czemu nie tutaj? Nic tego nie tłumaczyło.

Mijając drzwi do piwnicy, poczułam chłodny powiew na policzku. Był w rodzaju tych, które nie tyle wyziębially skórę, ile powodowały dreszcze od wewnątrz. Wzdrygnęłam się, przypominając sobie upadek i związane z nim osobliwe wizje. I jeszcze tę wcześniejszą, podczas której schody zawirowały mi przed oczami. Tym razem mojemu zejściu nie towarzyszyły żadne imaginacje, jednakże skąd ten ciąg zimna? Powtórzyło się to w kilku równomiernych odstępach, niczym nienaturalny oddech czegoś żyjącego a niewidzialnego. Bez strachu, lecz z przekonaniem, że lepiej nie przebywać tu za długo, otworzyłam masywne drzwi do ogrodu.

Na posadzkę holu wpadła górka nawianego śniegu. Uprzątnęłam to z grubsza, policzkowana przez mroźny wiatr, a czekało mnie jeszcze przedostanie się ku zadaszeniu z drewnem. Pod złamanym konarem zahaczyłam kapturem o gałąź i szamotałam się chwilę, nim zdołałam się uwolnić.

Niemal w tym samym momencie je zobaczyłam.

Spłoszone sarny oddalały się w głąb ogrodu. Było ich sześć, może siedem, wszystkie podobnej wielkości, rosłe i smukłe. W zwinnych, zarazem majestatycznych susach omijały drzewa, kierując się dalej, gdzie siatkę powaliła jesienna wichura. Obserwowałam je, dopóki nie zniknęły mi z oczu w szarości śnieżnego schyłku dnia.

Nigdy wcześniej nie spotkałam saren ani w lesie, ani na polanie, dlatego ich widok w pobliżu domu mnie zdumiał. Czyżby szukały tu schronienia lub pożywienia? Zrobiło mi się ich żal; przebywanie na dworze w takich warunkach chyba nawet dla dzikiej zwierzyny nie było przyjemne.

Wróciłam do domu wyziębiona do kości. Niespełna godzinę później świat otuliła ciemność, od której odgrodziłam się, zamykając żaluzje. Posilona późnym obiadem słuchałam muzyki z radia, urywała się czasem na kilka sekund, być może wskutek wichury.

Patrzyłam na obraz, który zawisł wreszcie na ścianie, z lewej strony kominka, pomiędzy nim a żeliwnym kinkietem imitującym świecznik. Pełznące na boki światło rozjaśniało fragment malowidła z obrzeżem lasu. Przypomniałam sobie nagle sugestię antykwariusza, iż pośród drzew kryją się sarny.

Mogły tam być, choć ich zarysy najkorzystniej ujawniały się z pewnej odległości; z bliska zlewały się z plamą lasu. Podobnie działało się, gdy usiłowałam rozpoznać sylwetkę kobiety w oknie, dopiero gdy stanęłam jakiś metr przed obrazem, jej wizerunek nabierał ostrości. Nie wiedziałam, czy to celowy efekt twórcy bądź normalna malarska reguła, w każdym razie, choć może nie było to wielkie dzieło, obraz wciąż mnie intrygował i przyciągał.

Znałam go już prawie na pamięć, a wciąż męczyło mnie, że coś przeoczyłam. Teraz również szukałam nie wiadomo czego, zbliżyłam się do obrazu i skoncentrowałam na domu. I nagle rzeczywiście dostrzegłam coś nowego – rosnący tuż przy ścianie krzak częściowo skrywał małe, piwniczne okienko. Skupiwszy się na nim zamarłam, z niedowierzaniem patrząc na swoje odkrycie. W okienku dopatrzyłam się bowiem konturu męskiej głowy z trochę jaśniejszą plamką twarzy w półprofilu!

Dla uspokojenia wróciłam na fotel i zaczęłam rozmyślać o ludziach żyjących kiedyś w tym domu. Szkoda, że nie zapytałam antykwariusza o ich imiona, a na pewno były wymienione w listach. Dotyczyły dwóch mężczyzn i kobiety, dokładnie jak trójka osób w moich wizjach, Czyżby dom miał w sobie tajemnicę związaną właśnie z nimi?

Poruszyła mnie też informacja o pożarze domu, gdyż i tego zdarzenia niejako byłam świadkiem. Co właściwie tutaj wtedy zaszło? Był to wypadek? Świadome podpalenie? Dom nie spłonął do szczytu, pozostały fundamenty i parter. Nie zniknął na zawsze, jak mój rodzinny, w którym szkody były tak duże, iż nie opłacało się go remontować. A jednak tak moje życie, jak i los żyjącej tu kiedyś kobiety zmieniło podobne doświadczenie.

Ileż sekretów mnie otaczało! Moja rodzina, pierwszy przyjaciel, a obecnie Armin... Prawda o nich, jeśli uwalniała, to tylko od mojego łatwowiernego podejścia do ludzi. Oszukiwano mnie, zatajano przede mną ważne fakty, lekceważono. Przy tym wydawało mi się, że z latami wyzbyłam się idealistycznego postrzegania innych. Zakochanie w Arminie temu przeczyło. Może nadchodziła dla mnie godzina ostatecznego wyboru. Konsekwentne zamknięcie się w sobie lub – pomimo wszystko – zaufanie. Tego ostatniego spodziewał się po mnie Armin, nie przypuszczając raczej, że wymaga ode mnie najtrudniejszego.

I jeszcze dom z jego zagadkowym lokatorem, kto wie z jakiego świata, oraz tajemnicą z odległej przeszłości. Irracjonalnie do tego, co mi się przytrafiało, czułam się tutaj jak w swoistym kokonie, chroniona przed całym złem. Dom na polanie związał mnie ze sobą, ale nie więził, czułam się w nim silniejsza. Po raz pierwszy od lat nabrałam odwagi, by przyjrzeć się mojemu życiu takiemu, jakie naprawdę było. Zaczynałam rozumieć, że niemożliwe jest osiągnięcie pokoju bez walki. Taka była ludzka natura.

To naprowadziło mnie na pewną ideę. Może tylko ktoś, w czyich żyłach płynie krew, mógł rozwiązać sekret tego domu? Cokolwiek się kryło za tym czymś, co usiłowało tutaj skontaktować się ze mną, to jednak ja poruszałam się w wymiarach naszego świata. Oczekiwano ode mnie pomocy? Jakby na potwierdzenie, że zaczynam wreszcie coś łapać, najpierw wyczułam znajomy chłód przy karku, a potem wzdłuż kręgosłupa przeleciały mi dreszcze. Zarazem z ognia wyskoczyło na blachę kilkanaście samobójczych iskier.

– To tylko wichura! – uspokajałam nasrożonego kota.

Sama nie do końca byłam o tym przekonana, miałam wręcz odczucie, że to coś, co mnie obserwuje, zaczyna się niecierpliwić, że niczego się nie domyślam. Uśmiechnęłam się, uprzytamniając sobie, iż naprawdę zaczynam wierzyć w towarzyszące mi byty. Była to jedna z tych rzeczy, o których nauczyłam się milczeć, będąc jeszcze dzieckiem.

– Nie uwierzysz, jaką mój mąż zrobił nam niespodziankę! – ekscytowała się Danka. – Lecimy całą czwórką na Dominikanę! Przynajmniej raz minie mnie to przedświątne urwanie głowy z porządkami, pichceniem, zakupami!

Rozwodziła się nad wspaniałomyślnością małżonka, jakby nie pamiętając, co mi o nim wyjawiała. Zdusiłam więc w sobie pytanie, co też mogło poruszyć jego sumienie, przemilczałam również uwagę, iż ma sprzątaczkę i zamawia do domu gotowe dania.

– A ty pewnie spędzisz święta z Kingą...

Nie miałam pewności, czy tylko nie bada mnie w tym względzie, dlatego wywinęłam się od odpowiedzi, a wkrótce zakończyłam rozmowę. Od czasu mojej wizyty u Danki nie miałyśmy sobie wiele do powiedzenia, choć powinno być raczej odwrotnie. Jak widać, nie każda szczerza rozmowa zbliża.

Następnie wybiłam numer Reginy. Periodycznie wymienialiśmy się esemesami, lecz w ostatnim poprosiła, żeby do niej zadzwonić. Jak w starym porzekadle, że prawda jak oliwa, zawsze na wierzch wypływa, najpóźniej teraz dowiedziałabym się, kim jest Armin.

– Czy ty w ogóle wiesz, z kim tam mieszkasz? – zaczęła tajemniczo. – Rozmawiałam z bratem. Ma nareszcie dojście do Internetu i mogliśmy pogadać przez skypa. Wypytałam go o tego znajomego...

– Chyba niczym mnie nie zaskoczysz! Poznałam już nazwisko Armina. –

Podalam je Reginie. – Wbij je do wyszukiwarki, dowiesz się więcej.

– No, proszę, o tym nie pomyślałam! Zaraz to zrobię. Wiesz, Wiktor mówił, że to równy facet. Możesz być całkowicie spokojna!

– W sensie, że mnie nie zabije ani nie zgwałci? – Zaśmiałam się.

– Bratu dostało się za to, że mnie nie uprzedził o swoim gościu! Grunt, że doszliście do porozumienia! Nie zapominaj, że to artysta, a na nich trzeba brać poprawkę!

– To ostrzeżenie czy napomnienie o wyrozumiałość?

– Jedno i drugie!

Nie wtajemniczając Reginy w szczegóły naszej relacji, wyjaśniłam, że zostałam w domu sama. Aby się nie martwiła, iż prowadzę żywot pustelnicy, wspomniałam o Irze i Domu Kultury. Regina wydawała się tym trochę zdumiona, gdyż oprócz Garbarków, nie znała nikogo z miejscowych. Wiedziała też chyba, że z rezerwą odnoszę się do obcych.

– Powiedz, co w naszej firmie? – Musiałam przełamać się, by o to zapytać.

– Nieciekawie, ale nie tracimy nadziei. Na wszelki wypadek wysyłam CV...

Wyraziła też swoją opinię w temacie zmian na szczeblu politycznym, lecz nie podjęłam wątku, gdyż w gruncie rzeczy niewiele mnie to obeszło. Tamten świat był teraz dla mnie tak daleki, że niemal nierzeczywisty. Ze zgrozą myślałam o powrocie do niego. Z chowania głowy w piach rozgrzeszałam się powodem mojego wyjazdu, do czego Regina nawiązała na sam koniec:

– Jak twoja migrena?

– Czuję się dużo lepiej.

– Widzisz?! Tego było ci trzeba! – stwierdziła, nie precyzując, czego konkretnie.

Przypuszczalnie i ja miałabym trudność w określeniu, co tak naprawdę przyczyniło się do poprawy. Czy tylko czyste, górskie powietrze, nieskażona woda i żywność? Może nowy, bezstresowy rytm życia? Wyciszone otoczenie i brak smogu elektronicznego? Był jeszcze Armin. Dzięki niemu zaczęłam dopuszczać do siebie uczucia. Te dobre i te złe, podnosiły moją wiarę w siebie, a czasami dotkliwie raniły, jednak oczyszczały mnie z trucizn. Nie tylko ciało tu leczyłam.

Pożegnawszy się z Reginą, wybiłam ostatni z zaplanowanych numerów. Telefon odebrał mężczyzna. Mówił po angielsku, więc przedstawiłam się w tym samym języku i poprosiłam ciocię Genię. Musiała być niedaleko, gdyż zaraz usłyszałam jej głos.

– Karola! Co za niespodzianka! Wszystko w porządku? – Jej tonacja z radosnej przeszła w lekko zatroskaną.

Rozwiałam obawy cioci, pokrótce relacjonując, że nadal jestem w górach. Nie chodziło jej tylko o mnie, bo spytała:

– A co z Kingą? Też jest w tym uzdrowisku... Widujecie się?

– Sporadycznie. – Westchnęłam. – Niepotrzebnie jej zdradziłaś, gdzie jestem...

– To twoja siostra! – Bardziej mnie upomniała niż się usprawiedliwiła. – Obiecałaś mi coś przed wyjazdem.

– Że od czasu do czasu zadzwonię do niej... – skorygowałam jej oczekiwania. – Jest dorosła i doskonale radzi sobie beze mnie.

– Wiem, niekiedy trudno uwierzyć w jej chorobę... – Ciocia Genia sapnęła.

– Może więc dowiem się wreszcie, w jak poważnym jest stanie? – Uznałam, że czas zapytać wprost. – Zawsze mówisz tylko ogólnikowo.

– To nie jest rozmowa na telefon. – Zrobiła zręczny unik.

– Inaczej na razie się nie da. Ty jesteś daleko, a ja mam tu Kingę na karku – naciskałam. – Rozmawiałaś z lekarzem w klinice. Co powiedział?

– Coś tam o manii... Nie pamiętam. Zresztą, lekarze przeróżnie ją diagnozowali. – Ciocia zdecydowała się wreszcie mówić. – A to, że Kinga cierpi na schizofrenię, a to, że jej zaburzenia emocjonalne są z powodu nadczynności tarczycy. Sama już nie wiem, co o tym myśleć.

– Lekarz nie dawał ci żadnych rad? Przypomnij sobie! – zachęcałam już spokojniej.

– Poczekaj, niech się zastanowię... Mówił, że najważniejsze to dopilnować, aby regularnie brała leki. Bez nich może być bardzo zmieniona, pobudzona... jakby rozpierała ją energia. Ale może też nie mieć hamulców... no, wiesz, w tych sprawach – wypowiedziała z wyraźnym zmieszaniem.

– Seksualnych? – Zapytałam.

– Tak. Całymi latami wciąż te jej skoki, w górę lub w dół, nie wiesz nawet części! Ty byłaś zawsze zrównoważona. Nie zdajesz sobie sprawy, Karolo, jakie szczęście cię spotkało! – Ostatnie zdanie zabrzmiało trochę jak zarzut.

Kinga zrobiła w życiu dużo głupstw, potem z kolei popadała w depresję. Myślałam, że to problemy ją przerastały, mogło jednak być tak, że odstawiała leki. Chciałam zapytać ciocię, jak odebrała książki Kingi, niestety, ledwo o nich napomknęłam, pojawiło się ostrzeżenie, że karta magnetyczna jest prawie na wyczerpaniu. Zdażyłam jeszcze tylko usłyszeć prośbę cioci Geni o kontakt z siostrą.

Wyszłam z budki telefonicznej i podążyłam tam, dokąd kierowało się większość przechodniów, czyli ku głównej ulicy uzdrowiska. Słońce ledwo przenikało przez mglistą kalkę chmur, lecz po dniach uporczywych śnieżyc cieszyło, że powietrze jest suche i bezwietrzne. Na drzewach rozćwierkały się ptaki, nic sobie nie robiąc z mrozu, który ludziom sznurował usta.

Doszłam do centrum, mijałam wiele sklepów, ale zatrzymałam się dopiero przy antykwariacie. Dzwoneczek nad drzwiami zakomunikował moje wejście. Pośród staroci kręcili się klienci; wkrótce zorientowałam się, że wszyscy

przynależą do jednej grupy. Rozmawiali po niemiecku. Dostrzegłam też antykwariusza, który dwoił się i troił, chcąc dogodzić upodobaniom turystów. Jego wspólnika nie było, pewnie jeszcze nie wydobrzył.

Przyglądałam eksponaty wystawione na starych meblach, między innymi odkryłam jeszcze jedną mosiężną ramkę na zdjęcie, taką samą, jaką nabyłam wcześniej. Trzymałam właśnie w dłoniach srebrną paterę, kiedy za moimi plecami przystanął antykwariusz.

– Dzień dobry! Miło, że znów pani do nas zaszła! Mógłbym może w czymś pomóc? Z tego kompletu mamy jeszcze serwis do herbaty...

– Właściwie, chciałam tylko z panem porozmawiać... – Odstawiłam rzecz na miejsce.

– Chętnie, pójdźmy na zaplecze, póki nie ma nowych klientów!

Wpadając w miękki szezlong, usłyszałam pisk sprężyn i poczułam woń kurzu. Mężczyzna przyglądał mi się z ostrożnym zaciekawieniem i czekał cierpliwie, aż zacznę rozmowę. Pochwaliłam się, że obraz zawisł na ścianie i idealnie pasuje do wnętrza domu. Napomknęłam również o swoim odkryciu.

– Doprawdy? – Antykwariusz wydał się poruszony. – Jest pani pewna, że się nie myli? Przyglądałem się temu obrazowi i nigdy nie dostrzegłem tam żadnego mężczyzny! Nawiasem mówiąc, nawet ta kobieca postać za firanką zdawała się tylko cieniem...

– Najlepiej byłoby zapytać o to samego malarza! – zażartowałam.

– Dawno już nie żyje. – Nie podjął mojej tonacji. – Chwileczkę... jeżeli celowo umieścił tych ludzi na swoim obrazie, może to znaczyć...

– ...że zaobserwował, iż w tym domu dzieje się coś dziwnego! – dokończyłam.

– Prawdę mówiąc, czytając listy tamtej kobiety, uznałem, że mocno przesadza. – Chrząknął, nie patrząc mi w oczy.

– A jednak pan i pana wspólnik ostrzegaliście mnie przed tym domem – przypomniałam, ciesząc się w duchu, że sam wszedł na temat listów.

– To prawda, chociaż bardziej chodziło nam o polanę. Opowiada się o niej różne historie. Wie pani, dawniej wyśmiewałem takie sprawy, zresztą, do dzisiaj nie jestem przesądny. Z wiekiem jednak zrozumiałem, że w podaniach ludowych nierzadko znajdzie się jakieś ziarno prawdy. A kiedyś wpadł mi do rąk stary przewodnik niemiecki, w nim także wspomniano o zagadkowych zajściach na polanie! Nawet za mojego życia wydarzały się tam rzeczy, których nie dało się wytłumaczyć.

– Być może autorka listów tego właśnie się bała... – wtrąciłam.

– Moim zdaniem, prawdziwa przyczyna leżała w czymś innym.

– W czym?

– Hm... nie wiem, czy należy do tego wracać? Bądź co bądź, dotyczy to

prywatnych spraw tamtych ludzi... – Zawahał się.

– Proszę mówić dalej! – Spojrzałam na niego błagalnie. – Nie umiem tego wyjaśnić, ale czuję, że powinnam poznać tę historię. Często myślę o tej kobiecie. Ona nie była w tym domu szczęśliwa...

– Zgadza się, nie była. – Nareszcie zdecydował się mówić. – W takiej samotni, z niekochanym, samolubnym mężem u boku, czuła się jak w więzieniu. A jej kochanek z Berlina przestał się meldować.

– Może dla niego był to tylko krótki romans z mężatką? A potem wziął nogi za pas, gdy ona tymczasem odchodziła od zmysłów? – spekulowałam.

– Nie sędzę.

– Dlaczego nie mogło tak być? – broniłam swojej wersji.

– Bo według tego, co przeczytałam, oboje poważnie planowali swoją przyszłość, byli zdecydowani związać się z sobą. Kobieta poprosiła nawet męża o rozwód, lecz on się nie zgadzał. Wtedy jej kochanek postanowił uciec się do szantażu. Wiedział coś o jej mężu, to była jakaś niejasna sprawa z lat pierwszej wojny światowej. Z listów wydedukowałam, że berlińczyk miał zdobyć dowody i wrócić z nimi tutaj.

– Do tego jednak nie doszło... – odgadywałam.

– Przeciwnie, rozmówił się z mężem kobiety. Ale chyba nic nie wskórał, gdyż potem wyjechał.

– Dlaczego ona z nim nie pojechała? – ekscytowałam się mimowolnie.

– Tego, niestety, nie wiem, może mąż stanął na przeszkodzie. Przygotowywała jednak ucieczkę, liczyła na pomoc kochanka. On jednak nie pojawił się więcej. Jej dalsze listy do niego były pełne rozpacz, tylko biedna nie wiedziała, że one do niego nie dochodzą. To wtedy zaczęła podupadać na zdrowiu i miewać urojenia... Wszak nie musiało to wcale mieć związku z polaną.

– No, tak. Ciekawe, co stało się z listami? Może wysyłała je przez kogoś, a ten ktoś ją zdradził? Ale jeżeli jej kochanek nigdy nie otrzymał listów, to przecież mógł pomyśleć, że ona zmieniła zdanie!

– Możliwe, choć raczej w to wątpię. – Tylko po części zgodził się ze mną. – Oboje byli zbyt zdesperowani, ażeby nagle się wycofać. Co do listów... tak, chyba ktoś je przechwytywał, być może nawet mąż kobiety. W każdym razie, nigdy nie zostały wysłane. Frapująca intryga, obawiam się, niestety, że nie uda się jej rozwikłać.

– Szkoda. – Westchnęłam. – Niekiedy odnoszę wrażenie, że kobieta z obrazu chce mi coś przekazać...

– Co?! W jaki sposób? – Antykwariusz się ożywił.

– W żaden konkretny – wymówiłam się szybko. – Po prostu często przychodzi mi na myśl. Szczególnie, kiedy jestem w domu sama i spoglądam na obraz... Zaraz, a jak ona miała na imię?

– Ema.

Rozdygotany dzwonek u drzwi wejściowych zapowiedział klienta, więc zakończyliśmy rozmowę. Pokręciłam się jeszcze pośród staroci, lecz byłam rozkojarzona, bezwiednie brałam rzeczy do rąk i je odkładałam. Usłyszana historia splatała się z fragmentami z moich wizji, lecz czegoś w niej brakowało. Męczyło mnie to, jak słowo, które ma się na końcu języka, a które nie chce z powrotem przyjść na myśl. Miałam wrażenie, że wiem więcej, niż sędzę, jedynie nie umiem odpowiednio powiązać tych danych. Opuściłam sklep w zamyśleniu, ostatecznie nie nabywszy niczego.

Ema. Jak potoczyło się jej życie? Przetrwiała drugą wojnę światową? Była do końca ze swoim mężem? Szczególnie intrygował mnie ten wycinek jej życia, który spędziła w domu na polanie. Bez względu na to, czy później odnalazła szczęście czy nie, ta niewyjaśniona historia budziła we mnie niepokój. Jakimś szóstym zmysłem czułam, że jestem bliska jej rozwiązania, a zarazem bałam się uczynić coś w tym kierunku. Co gorsza, od szeregu dni towarzyszył mi domysł, którego nie podważyły zdobyte teraz dane. Był na tyle zatrwajający, że i tym razem stłumiłam go w sobie, napominając się o rozsądek. A jednak mogło to być prawdopodobne.

Wstąpiłam do restauracji. Siłą nawyku skierowałam się do ulubionego stolika przy oknie, by tuż za rogiem stanąć jak wryta. Dokładnie to samo miejsce wybrała przede mną Kinga. Musiała dostrzec mnie przez szybę, bowiem wyczekiwała mojego nadejścia.

– No, chodź! – Przywołała mnie gestem ręki.

Najchętniej wykonałabym zwrot w tył, lecz zakrawałoby to na dziecinadę. Opanowałam się więc i usiadłam naprzeciw Kingi. Niemal natychmiast podeszła kelnerka, więc złożyłam zamówienie, cały czas czując na sobie spojrzenie siostry. Wokół jej ust błąkał się lekko kpiący uśmieszek. Kiedy zostałyśmy same, oświadczyła:

– Rozmawiałaś dziś z matką.

– Skąd wiesz? – spytałam głupio, gdyż oczywiste było, że kontaktowały się ze sobą.

Pominięła to milczeniem i ciągnęła zblazowanym tonem:

– Ona oczywiście przesadza, więc odpuść sobie tę opiekę nade mną! Jak widzisz, nic mi nie jest, śmiem nawet przypuszczać, że bawię się tu lepiej od ciebie! Nie jestem taką samotniczką jak ty, potrzebuję towarzystwa, poznałam fajnych ludzi!

– To czemu zastałam cię tutaj samą? – zadrwiłam.

– Tylko chwilowo. Później ktoś do mnie dołączy.

– Chyba nie nasz playboy Sylwester?

– Nawet gdyby on, to nic ci do tego!

– Może usłyszę jeszcze, że zamieszkałaś w pensjonacie „Perła”? –

strzeliłam.

Moje słowa zachwiały pewnością Kingi. Zapewne rozzłościło ją moje drwiące spojrzenie, bo zaraz zaatakowała.

– A co, zazdrościsz? Trzeba było go do siebie nie zrażać! Z wernisażu też celowo zniknęłaś... Myślałaś, że będzie rozpaczać? Przykro mi, ale twoje gierki nie wyszły! On już nie jest tobą zainteresowany, siostrzyczko!

– Przestań! – przerwałam jej bezsensowny wywód. – Rób, co chcesz, masz rację, mnie nic do tego. Zaczynamy zachowywać się, jakbyśmy znowu miały po kilkanaście lat!

– Bo zawsze próbujesz się wywyższać! Masz się za lepszą, a w gruncie rzeczy, w czym różnisz się ode mnie? – Kinga nie ustępowała, ale chociaż trochę zniżyła głos.

Nie odpowiedziałam jej, gdyż kelnerka doniosła nasze dania. Swoje zamierzałam zjeść w tempie ekspresowym i opuścić lokal przed nadejściem plastyka. Obawiałam się, że ostatnią uwagą Kinga piła do Armina. Musiałam to wy badać. Zaczęłam od pytania:

– Wracasz na święta do siebie?

– Nie. Ale nie musisz się martwić, nie będę ci się wpychać!

– Jestem zaproszona do przyjaciół – oznajmiłam formalnie, wyczekując jej reakcji.

– To tak, jak ja! – pochwaliła się natychmiast.

Wzruszyłam ramionami, prawdę mówiąc, nie bardzo jej wierzyłam. Nie zapytała, w czym towarzystwie spędzę święta, co było dla mnie znakiem, iż brak jej ścisłych danych. Wiedząc coś konkretnego o mnie i Arminie, raczej nie powstrzymałaby się, aby mi nie dociąć. Na razie odetchnęłam z ulgą.

Skoncentrowana na jedzeniu, dopiero po chwili zauważyłam, że osobiwie mi się przygląda. Przerwała milczenie.

– Zakładam, że przeczytałaś wreszcie moje książki?

Przytrzymała mnie wzrokiem, lecz i bez tego odpowiedziałabym jej dobrowolnie.

– Tak. I możesz być spokojna, gdyż nie zamierzam ciągać cię po sądach.

– Nie?! To jak inaczej planujesz się zemścić? – Zaśmiała się niewspółmiernie wesoło do wymowy pytania.

– Kto powiedział, że w ogóle chcę się zemścić? – Nie spuszczałam z niej oczu. – Grzeczność jednak wymaga, abyś chociaż wytłumaczyła się przede mną, dlaczego to zrobiłaś? Mam też do ciebie kilka pytań odnośnie do treści ostatniej książki.

Ku mojemu zdumieniu, przez oblicze Kingi przebiegło coś w rodzaju przelotnej skruchy. Po chwili powiedziała nad wyraz łagodnie:

– Dobrze, jak chcesz, ale nie dzisiaj. Zaraz przyjdzie Sylwester, a przy nim

nie chcę o tym mówić. Umówmy się na inny dzień! Zadzwoń do ciebie.

Mnie również nie było na rękę rozmawiać o tym przy kimś, nie miałam jednak pewności, czy po czasie Kinga nie zmieni zdania. Zgodziłam się, przeważyła moja niechęć do spotkania ze Spyra.

Udało mi się wyjść, zanim się pojawił. Do końca obiadu wymienialiśmy się z Kingą zdawkowymi spostrzeżeniami z uzdrowiska, jakbyśmy obydwie usilnie się pilnowały, aby niczym nie zniszczyć chwilowego zawieszenia broni. Tym razem nie naciskała na mnie, abym pomogła jej przy nowej książce. Nie miałam jednak złudzeń, że odtąd już zawsze będzie między nami pokojowo. I to pomimo uśmiechu siostry, rzuconego mi jeszcze przez szybę, a który, ku własnemu zdumieniu, odwzajemniłam wcale nie na siłę.

Znowu tu były. Ślady kopyt tworzyły chaotyczny wzór, te świeże mieszały się ze starymi, przyprószonymi śniegiem. Tym razem nie spłoszyłam saren, ponieważ opuściły ogród, zanim tam się pojawiłam. Poza tym jednym, pierwszym spotkaniem, nie widziałam ich więcej i zdumiało mnie, że powróciły. Zadaszenie z tej strony domu nie było na tyle duże, ażeby zapewnić stadku schronienie, nie zachęcałam ich też dokarmianiem. Garbarkowa powtórzyła mi słowa leśnika, że niedobrze, kiedy zwierzęta oswajają się z ludzkimi siedzibami, gdyż zanika ich instynktowna ostrożność. W lesie istniały stanowiska, w których on i jego ludzie wykładali im zimą karmę. Trochę mnie to uspokoiło.

Wciąż mżyło, a zasnuty szarością horyzont nie ujawnił ani jednego górskiego szczytu. Dzień zapowiadał się nieciekawie. Nie było potrzeby, abym schodziła w dolinę, ale nie miałam pewności, czy zdołam dziś wytrzymać bez ludzkiego towarzystwa. Wracając do sionki, poczułam znowu zimny ciąg na karku, mimo że zamknęłam drzwi do ogrodu. Towarzyszył temu osobliwy głos, jakby wewnątrz mnie, nie z zewnątrz, poniekąd znajomy, ale nie na tyle bliski, żeby mu zaufać. Nie zawierał wyraźnych słów, raczej subtelne życzenie, przed którego spełnieniem wzbraniał się rozsądek. Mój wzrok padł na drzwi do piwnicy i ośmieliłam się, żeby tam zerknąć. Pstryczkiem zapaliłam lampę przy schodach, niestety zasięg światła kończył się przy zejściu. Nigdy dotąd nie schodziłam aż na dół, Armin zrobił to kiedyś i stwierdził, że nie ma tam nic ciekawego. Skąd więc brały się we mnie te natrętne myśli, aby samej przekonać się o tym?

– Emo, zostaw mnie w spokoju! – szepnęłam, a po plecach przebiegły mi dreszcze.

Nie było we mnie lęku. Miałam raczej respekt przed czymś, co istnieje gdzieś obok mnie, a czego możliwości nie jestem w stanie przewidzieć. Gdyby to coś chciało zrobić mi krzywdę, mogło uczynić to wcześniej, na dziesiątki sposobów, jednak moje odczucia mówiły wręcz o czymś odwrotnym. Byłam tu bezpieczna, może nawet w większym stopniu niż gdziekolwiek na świecie.

Wróciłam na górę. Jasność bijąca od okien na piętrze pozwoliła

zbagatelizować tamte doznania. Na pewno jednak nie wytarła ich z mojej pamięci. Zaparzyłam sobie herbatę i z parującym kubkiem w dłoni usiadłam przy oknie. Kotek natychmiast wskoczył mi na kolana. Widok na dolinę przysłaniały chmury, ale na zachodzie nieśmiało przebijał się błękit. Dwa nieduże ptaki balansowały na balustradzie balkonu, jeden zachowywał się zaczepnie, pchał się na swojego towarzysza, choć miejsca było tam dosyć. Dominująca natura odniosła zwycięstwo, drugi ptak odleciał. Jak w życiu, pomyślałam, chamstwo górą.

Przypomniała mi się nagle rozmowa z Arminem, prowadzona właśnie na tym balkonie. Jedną z pierwszych, a dokładnie jego urodzinowe otwarcie się przede mną. Łatwiej niż tamten nastrój było mi teraz odtworzyć słowa Armina, mówił o drodze pod wiatr, wolności ducha, wierności ideałom. Dzisiaj lepiej rozumiałam, przeciwko czemu buntował się wtedy i że nie była to tylko poza. Jak każdy człowiek, miał prawo do własnych wyborów, o czym w wielu opiniach, które czytałam o nim, zdawano się zapominać. Myląc bycie konsekwentnym z arogancją, jedni krytykowali go za odrzucanie propozycji grania w serialach, inni wytykali mu role niepasujące do wizerunku, jaki pospiesznie mu nadano. Nie brakowało też złośliwych aluzji poniżej pasa, przed którymi nie sposób się obronić. Domyślałam się, że dla tych, którzy zrezygnowali z kroczenia pod wiatr, Armin mógł być jak wyrzut sumienia, a to nigdy nie uchodziło bezkarnie. Czy dlatego tak bardzo cenił uczciwe w swojej naturalnej zmienności środowisko gór oraz szczerłość prostych ludzi, z którymi tu się stykał?

Zaraz potem przyszły mi na myśl inne jego słowa, z tej samej rozmowy na balkonie. Insynuował, że moje życie jest ucieczką i brakuje mi śmiałości, by zobaczyć szanse, jakimi ono nas darzy. Tamtego wieczoru nie zgadzałam się z nim, gdyż nie dopuszczałam do siebie, że istotnie wiele lat uciekałam. Nie tylko przed bólem, jaki niosły ze sobą powroty w minione, lecz również przed samą sobą. Przed prawdziwą Karolą, którą porzuciłam wraz z wyjazdem z Polski. I którą na obczyźnie do reszty zdradziłam.

Czyżbym potrzebowała dopiero katuszy migren, aby zatrzymać się i mieć odwagę spojrzeć wstecz? Najwidoczniej tak. Byłoby przedziwne, gdyby uwolnione wspomnienia okazały się lekarstwem dla ciała. Podobno gorzkie leki są najbardziej skuteczne. Teraz czułam się silniejsza niż parę miesięcy temu, i to pomimo konfrontacji z faktami, których zaakceptowanie nie przychodziło mi łatwo. Byłam także gotowa uwierzyć, że przyszłość szykuje mi coś dobrego? Zaufać Arminowi? Czas okłamywania siebie zostawiłam za sobą, więc nie potrafiąc jednoznacznie na to odpowiedzieć, lepiej było z tym się nie spieszyć.

Schodząc później ku dolinie, próbowałam zapomnieć o trapiących mnie wątpliwościach i zwyczajnie cieszyć się czystym, górskim powietrzem, przychylnością natury. Mina zrzędała mi po wyjściu z lasu, kiedy komórka zasygnalizowała mi napływ wiadomości; wszystkie nadała Kinga. Nalegała, abym

jak najszybciej się z nią skontaktowała, ponieważ jest w opresji. Jako że próbowała osiągnąć mnie minionego wieczoru, a dzisiaj nie było nowego sygnału, pomyślałam, iż sama doszła z tym do ładu. Niemniej wolałam się upewnić.

– No, nareszcie! – powitał mnie głos Kingi. – Jak dobrze móc liczyć na siostrę!

– Byłam poza zasięgiem. Mów, w czym rzecz, bo bateria mi siada.

– A gdzie teraz jesteś? – Próbowała mnie wybadać. – Może w uzdrowisku?

Zaprzeczyłam i ponagliłam ją do wyjaśnień. Schodząc ku wiosce, wsłuchiwałam się w niezupełnie logiczny wywód Kingi, starając się zarówno wylapać sens, jak i uniknąć pułapek na drodze. Podzielność uwagi nie okazała się moim atutem, jednak przystanąłam.

Moja siostra i Spyra przesadzili z afiszowaniem się ze swoją zażyłością. Nie trzeba było długo czekać, a dotarło to do żony plastyka, która tolerowała wybryki męża, dopóki dbał o pozory. W rezultacie Sylwester poprosił Kingę, by zwolniła jego garsonierę – w trybie natychmiastowym. Zwinęła manatki i opuściła pensjonat „Perła”, śląc mi rozpaczliwe sygnały. Przespała się w hotelu. Dzisiaj sprawiała wrażenie opanowanej, a nawet cynicznej.

– Chyba zdawałaś sobie sprawę, że on nie zostawi żony? – przerwałam jej opowieść.

– Na głowę upadłaś?! – Roześmiała się. – A po co mi artysta gołodupiec?! Był dobry dla zabicia czasu, ale to mięczak, szybko mnie znudził. Szkoda mi tylko pokoju, bo mieszkałam tam za darmo. Sylwek miał u mnie dług wdzięczności za tego krytyka z Jeleniej, którego sprowadziłam na jego wernisaż. Gdyby nie on, nie sprzedałby ani jednego obrazu!

– No, nie wiem... – powątpiewałam.

– Wszystko przez tę jego podejrzliwą starą! Baba ma fioła, uparła się na mnie, zamiast pilnować tych, z którymi rzeczywiście ją zdradza! Ałé! – jęknęła. – Wstałam dzisiaj cała połamana! Dużo sobie liczą za nocleg, a nie zainwestowali nawet w porządne materace!

– Dlaczego po prostu nie wrócisz do domu?

– Może miałam nadzieję, że wreszcie się dogadamy?

– Skończ z tym, Kinga! – wydusiłam przez zaciśnięte zęby. – Zapominasz, że to ty jesteś mi coś winna.

– Przenoszę się do schroniska! – poinformowała mnie lekkim tonem, chyba udając, że nie rozumie mojej insynuacji. – Dogadałam się z kierownikiem, zaraz po mnie pojedzie. À propos, jeżeli chcesz pomówić o Marku czy o innych sprawach, będziesz musiała pofatygować się na górę! Dla ciebie to pestka, a zresztą, mówi się, że trud popłaca!

Jej ironiczny śmiech brzmiał mi w uszach jeszcze po skończeniu rozmowy. Nie sposób było nadążyć za tokiem rozumowania Kingi, więc nie pojmowałam, co

teraz przyświeca jej działaniom. Natomiast słowa o przeprowadzce do schroniska zmusiły mnie do ruszenia z miejsca i to szybkim krokiem. W żadnym razie nie chciałam spotkać się z siostrą zbyt blisko mojej siedziby oraz wioski, w której bywałam niemal każdego dnia. Na przystanku autobusowym również mogła mnie wypatrzeć, więc zmieniłam plany. Wchodząc między zabudowania, od razu skręciłam do pierwszego gospodarstwa po prawej.

Garbarkowa jak zawsze powitała mnie serdecznym uśmiechem. Oprócz aprobaty w jej oczach dostrzegłam coś jeszcze, jakby filuterne ogniki.

– Akuratnie wystudziłam murzynka, świeżo upieczony, będzie w sam raz do kawy! Bo paniusi chyba nie śpieszno i napije się jej z nami?

Ledwo weszłam do sionki, poczułam nęcący zapach ciasta, jednak skonsternowała mnie nieco zapowiedź, że będzie towarzystwo. Garbarek sprzedawał w uzdrowisku choinki, Zuzia o tej porze była w szkole, a innych gości dotąd tutaj nie widywałam. Moment później, po przekroczeniu progu kuchni, niewiadoma przeistoczyła się w fakt, który odjął mi mowę. Siedzący swobodnie przy stole mężczyzna wydawał się cokolwiek za duży dla tego wnętrza albo ja przywykłam w nim do mniej roslých biesiadników. Spojrzenie, jakim Armin mnie uraczył, różniło się od mojego brakiem zaskoczenia, lecz miało z nim też pewną wspólność. Oboje patrzyliśmy na siebie z niepewnością.

Wszystko pod niebem ma swój czas. Może mistykom i filozofom łatwiej o stoickie podejście do życia, jednakże większość z nas niecierpliwi się i wyprzedza bieg zdarzeń własnym działaniem bądź też przeciwnie – swoje szanse przesympia. Zacytowany porządek rzeczy odnosi się również do słów; jest czas milczenia i czas mówienia. Nie zawsze pozwalamy słowom dojrzeć, niekiedy dławimy je w sobie, naiwnie wierząc w wymowność ciszy. Są słowa, które wymykają się przedwcześnie i głupio, prześcigając myśli też jeszcze zielone. Jeżeli dobrze pójdzie, to zaświszczą tylko jak pociski i niezauważone spadną w piach, nim wywołają żenadę. Bywają słowa, które pragną ożyć, nie czekając swojej pory, a ich owoc jest kwaśny i cierpki, przynoszący innym zawód bądź ból. Te wymykają się na wolność przez szczeliny zadufania, egoizmu, rzadziej – nieświadomości. Pomówienia, plotki, ale też przemądrzałe opinie lub wnioski, których prawda nie zdążyła jeszcze oświecić... Jakże inne są słowa godnie czekające, by wpieryw dojrziała myśl, a dopiero potem one. To są słowa doskonałe, dostosowane do danej chwili, obojętnie czy wzniosłej, czy zwykłej. Niektóre będą proste, inne wyrazem intelektu i wiedzy, jeszcze dalsze staną się słodkie jak miód. Z ich owoców chętnie skorzystają inni, a być może zasilą swoim ziarnem przyszłe lub dalekie sady. Ale są również słowa rzucane na wiatr i lepiej, żeby tenże wywiały je precz, nim zalegną w czyjejs pamięci. Są też słowa niepotrzebne jak plewy, zasiewające w ludzkich sercach smutek, zwątpienie i gniew. Rodzą się i takie, które niczym niszczyielskie żywioły, chłostają chamstwem i nienawiścią. Powstają też słowa z drzew skarłowaciałych, mszczących się za

swoją małość robaczywym owocem. Są i dalsze, które przeoczyły swój czas, a kiedy doszły wreszcie do głosu, okazały się nic niewarte i nikt nie dał im posłuchu. Najsmutniejsze są jednak słowa, które celowo schowały się w listowiu milczenia. Tkwią tam, oczekując nie wiadomo czego, bojąc się konfrontacji z życiem. Niektóre na krótko przed tym, nim staną się obumarłe, decydują się jednak przemówić. Wydawałoby się, że mając tyle czasu do namysłu, zadziwią teraz świat swoją mądrością. Tymczasem, przedziwna rzecz, od wieków dochodzą do tej samej konkluzji. Brzmi ona nieodmiennie: Za późno, za późno!

Odłożyłam pamiętnik, usatysfakcjonowana, że tak szybko znalazłam szukany fragment. Przeciwnie były już moje odczucia względem jego morału. Nie, żebym szukała usprawiedliwienia dla siebie, gdyż przeczuwałam, iż go tutaj nie znajdę. Niemniej uderzyła mnie jednoznaczna wymowa idąca z moich starych zapisków. Pokrywała się z tym, o czym mówił Armin, w dniu swoich urodzin, i podczas naszej ostatniej rozmowy. Przedziwne było, że kiedyś podobnie do niego ceniłam wartość pojedynczych chwil jako szans, które nigdy więcej mogą się nie powtórzyć. Wiele wskazywało, że zniweczyłam kolejną, nie dając posłuchu słowom Armina, a sama również unikałam tych cisnących mi się na usta. Czy któregoś dnia i mnie przyjdzie stwierdzić: za późno?

Konwersacja przy stole Garbarkowej wychodziła nam nieszczególnie. Gospodyni zdawała się tego nie zauważać, a że była z tych, którzy już po sekundach ciszy czują się za nią odpowiedzialni, automatycznie ją zapełniała. Nasza rola polegała na wtrącaniu nieważkich uwag, potakiwaniu i uśmiechach. Pomędzy napotykaliliśmy się wzrokiem, a właściwe to Armin przyciągał mnie spojrzeniem. Paplanina Garbarkowej ujmowała napięcia, stąd cieszyło mnie, że do naszego spotkania doszło w jej obecności. Cała ta sytuacja była jednak nienaturalna.

Nie chcąc narażać się na dopytywanie gospodyni, opuściliśmy jej dom razem. Jak widać, oboje wpadliśmy na to samo. Za furtką przystanęliśmy.

– Wracasz na polanę? – zapytał Armin.

Na jazdę do uzdrowiska nie miałam ochoty, nie musiałam wstępować do sklepu. Przytaknęłam więc, na co usłyszałam:

– W takim razie odprowadzę cię.

Ruszyliśmy w stronę lasu. Kiedy nasze oddechy zgrały się z rytmem kroków, Armin zaczął wyjaśniać, dlaczego wrócił. Załatwił, co miał, i stwierdził, że nie jest jeszcze gotowy na życie w Warszawie. Nie mógł w niej wytrzymać ani dnia dłużej. Po czym, zerkając na mnie, dodał:

– Nie musisz się obawiać, nie będę cię nachodzić. Zatrzymałem się u leśniczego.

Zaciekawił się, jak daję sobie radę w domu, jednak nie doszukałam się w tym żadnych insynuacji. Siłąc się na neutralny ton, odparłam, że wszystko jest w

porządku. Nie chcąc zawracać mu głowy historiami nie z tego świata, opowiedziałam mu o sarnach. Zdziwił się, gdyż na polanie ich dotąd nie spotkał, a w innych rejonach tylko pojedyncze sztuki, nigdy stadko.

Obawiałam się, że lada moment padnie pytanie, czy postanowiłam coś odnośnie do nas dwojga; odkąd zostaliśmy sami, wisiało w powietrzu. Kiedy jednak Armin nawiązał do tego tematu, pominął pytajnik.

– Rozumiem, że wahasz się co do mnie – zaczął. – Co gorsza, Karolo... dzisiaj nie jestem już pewny, że rozłąka między nami cokolwiek załatwi.

– Proponowałam ci inne wyjście. Pełną otwartość. Tego jednak nie chciałeś. Mam ci ślepo zaufać! – Zaśmiałam się z goryczą.

– Wcale nie ślepo, znasz mnie, widzisz, jaki jestem.

– Wiem, jaki jesteś tutaj, w górach, gdy przebywasz sam na sam ze mną – uzupełniłam.

– To znasz mnie dużo lepiej od innych, ponieważ wtedy jestem najbardziej sobą.

– Skąd mam wiedzieć, że nie grasz?

– Jeżeli tego nie czujesz, to każda dalsza argumentacja jest zbędna – zripostował.

– Moja intuicja nie jest najlepsza...

– Wmawiasz to sobie. Gdyby tak było, uciekłabyś przede mną już pierwszego dnia.

Mógł mieć rację, czy jednak można bazować na uczuciach? Te w stosunku do niego były zresztą bardzo zmienne. Niejasność jego intencji dodatkowo je komplikowała.

– Powiedz wprost, że chcesz, abym nie miała wobec ciebie żadnych oczekiwań! – Odważyłam się wreszcie na bardziej wyraziste zarzuty.

– Przekręcasz moje słowa. Zostawiłem ci wybór.

– Wybór?! Wybór pomiędzy zgodą na istnienie twojej żony a końcem naszej znajomości!

– Nie. Pomiedzy byciem samej a byciem ze mną.

– Ach, tak? Czy to też ciebie dotyczy? Sam albo ze mną? – zaintonowałam sarkastycznie.

– Ja już wybrałem, to ty nie umiesz się zdecydować – powiedział to z taką pewnością, jakby wierzył w to, co mówił.

– Bo ty o mnie wiesz wszystko, a mnie kazałeś słuchać swojego wnętrza... Uczciwy wybór miałabym, znając całą prawdę o tobie! – Pokręciłam głową, a wciągnąwszy głęboko powietrze, wyznałam: – Koniec z kluczeniem pomiędzy słowami, dowiedziałam się, kim jesteś, Arminie! Żałuję tylko, że nie od ciebie!

Musiałam go zaskoczyć, gdyż na dobrą chwilę zamilkł. Zważyłam już, czy doczekam się jego reakcji, kiedy wreszcie zapytał:

– Co o mnie wiesz?

– To, co znalazłam w Internecie... najpierw wychodząc na idiotkę, która nawet nie wie, z kim mieszka! Nie powiem, sporo tam tego o tobie...

– Większość to kłamliwe plotki i bzdury! – zachnął się, po raz pierwszy tracąc pełną samokontrolę.

– Masz więc okazję je sprostować – podchwyciłam.

– Jedno wiem z całą pewnością. Tamtego Armina nie znam.

– Zaufanie jest nierozłącznie związane z kredytem milczenia – powiedział po dłuższej chwili.

Nie zareagowałam na aluzję. Spojrzałam kątem oka na Armina i dostrzegłam jego zmarszczone czoło. Chyba nie poczuwał się do winy.

– Ty też mi nie ufałeś. Dlaczego nie powiedziałeś mi, kim jesteś? – naciskałam.

– Ponieważ wolałem, abyś stworzyła sobie o mnie swój własny obraz...

– Co ty sobie wyobrażałeś? – weszłam mu w słowo. – Że nagle zacznę ci nadskakiwać albo wykorzystywać naszą znajomość?! Naprawdę masz mnie za kogoś takiego?

– Skądże, Karolo! Zresztą... planowałem ci wszystko powiedzieć. Stopniowo.

– Fakty pozostaną faktami! – Nie ustępowałam. – Bo chyba nie będziesz próbował mnie zwodzić, że kiedyś tam coś tam?

– Nie obiecuję nic, czego nie jestem w stanie dotrzymać – oświadczył dobitnie.

– Dobrze wiedzieć. – Westchnęłam i po chwili namysłu, trochę już wkurzona jego unikami, dodałam ze sztuczną oschłością: – To może zreasumuję. Żyjesz w dwu krańcowo różnych światach, a że jeden przemilczałeś, to pewnie widzisz mnie tylko w tym drugim. Jako że nie rzucasz obietnic na wiatr, więc tym samym mi ich nie dajesz. Krótko mówiąc, nie powinnam liczyć na zmianę tego układu. Czy coś pominęłam?

Przystanął i położył dłonie na moich ramionach. Patrząc mi prosto w oczy, powiedział:

– Tak, najważniejsze.

Odsunęłam się od niego i spytałam:

– Że się we mnie zakochałeś?

– Owszem.

– A co z żoną? Przestań, Armin!

Nie wytrzymałam siły jego wzroku, więc odwróciłam głowę i ruszyłam przed siebie. Byłam pewna, że nie doczekam się odpowiedzi, kiedy dobiegły mnie jego słowa:

– Od dawna jej nie kocham. Przecież ci mówiłem, że jesteśmy w formalnej

separacji.

Zatrzymałam się i odparłam:

– Separacja to taka niedomknięta furka... zawsze jeszcze można w tę lub w tamtą stronę.

Doszedł do mnie i nareszcie powiedział coś konkretnego:

– Widzę, że nie odpuszczisz. No, dobrze... Posłuchaj! Ostatnie dwa lata to tylko farsa małżeństwa. Próbowałam polubownie rozstać się z żoną, ale jest to trudniejsze, niż sądziłam. Stąd te moje wyjazdy do Warszawy, nasi adwokaci aranżowali spotkania, niestety, na razie niewiele to dało.

– Może ona nadal cię kocha? – zgadywałam, jeszcze niezupełnie zdając sobie sprawę z wagi jego słów.

– Ludmiła?! – Zaśmiał się drwiąco. – Ludmiła kocha wyłącznie siebie, zrozumiałem to dużo za późno! W głośnym rozwodzie dopatruje się szansy, aby media zwróciły na nią uwagę. Myślałam, że może pieniądze coś załatwią, cóż, kiedy ona uważa, że dostanie jedno i drugie.

– Być może zwyczajnie mści się na tobie – rzuciłam, lojalnie broniąc kobiety. – Skrzywdziłeś ją? Zdradziłeś?

– Nie, to nie to. Żadne z nas nie było święte, ale jej nie chodzi o zranione uczucia, lecz o wymierne korzyści. Zaoszczędzę ci szczegółów, wiedz tylko, że pod względem oczekiwań to małżeństwo było pomyłką, tak dla mnie, jak i dla Ludmiły. Jej obecna przewaga nade mną bierze się stąd, że ja mam więcej do stracenia!

Milczałam, nie umiając znaleźć odpowiednich słów. Armin chyba wyczuł moją konsternację, gdyż powiedział niemal przeprasząco:

– Nie chciałem cię w to mieszać, Karolo! Nie da się przewidzieć, kiedy ten koszmar wreszcie się skończy. Takie są fakty z mojej perspektywy, nie wspominając o innych problemach, zawodowych, z którymi muszę dojść do ładu. Rozumiesz więc chyba teraz, dlaczego jestem daleki od składania jakichkolwiek przyrzeczeń?

– A jednak chcesz, aby ci zaufałam... – przypomniałam.

– Tylko dlatego, że wierzę, iż wyjdę z tego. Nie zwycięsko, ale uwolniony. Może wtedy będę mógł zacząć od nowa. – Spojrzał na mnie przeciągle.

Zganiłam siebie w myślach, aby nie przywiązywać wagi do tak niejasnych określeń. Czym jest „może”? Połowiczną obietnicą, zacytnem nadziei, pobożnym życzeniem? Ech, niezobowiązująca formułka i tyle.

– Mimo wszystko nie pojmuję, czemu tak długo milczałaś?

– Najpierw z ostrożności. A potem? Chciałem uchronić nasz mały, intymny świat, nie dopuścić, by ktokolwiek go nam zabrudził. Ten dom na polanie, a w nim ty,

Karolo, stał się dla mnie czymś w rodzaju enklawy spokoju. To w nim

ładowałem swoje siły, w nim uczyłem się na nowo zaufać. Tak, ufać kobiecie, choć wątpiłem już, że kiedykolwiek będę jeszcze w stanie... Dom był tylko dla nas dwojga. Warszawę, pracę, a zwłaszcza Ludmiłę chciałem pozostawić poza progami.

– Powiedzmy... – Przypomniałem sobie jego samotne, nocne popijanie. – Twoja ostrożność zakrawała mi jednak na grubą przesadę.

– Pamiętasz tę kobietę, która kręciła się po okolicy i robiła zdjęcia, też naszego domu?

– Łucję Luty?

– Nie nazywa się tak, ale mniejsza o to. Jest prywatnym detektywem, Ludmiła zleciła jej, żeby mnie odnalazła. Znała tylko nazwę uzdrowiska, bo już wcześniej zaszywałem się tutaj.

– Bez niej? – zdziwiłam się.

– Tak, nasze małżeństwo szybko okazało się pomyłką. Wracając do tej kobiety... Zrobiła mi jakieś zdjęcia, na szczęście, w uzdrowisku, gdy podjechałem tam po coś z leśniczym. Ma je adwokat Ludmiły, lecz nie na wiele mu się zdają. Wiem jednak, że gdyby ona nakryła nas razem, choćby tylko na takim spacerze jak teraz, to perfidnie by je wykorzystwała.

– Miałam co do tej kobiety złe przeczucia... – zarzucałam sobie po czasie.

– Nieważne, już tu raczej nie wróci.

– Skąd ta pewność?

– Ludmiła myśli, że wyjechałem za granicę i w Polsce pojawię się dopiero na kolejnej rozprawie... – Zerknął na mnie.

Ugryzłam się w język, aby nie zapytać o datę. Było we mnie rozdwojenie, gdyż z jednej strony spalała mnie ciekawość odnośnie do wszystkiego, co dotyczyło Armina, a z drugiej każda informacja o nim i jego żonie sprawiała mi ból.

– Stare grzechy mają długie cienie...

– Co powiedziałeś? – Wyrwał mnie z zamyślenia.

– Nie ja, Agatha Christie. Przyszły mi właśnie na myśl jej słowa. Jeden nierozważny krok, jedna pochopnie podjęta decyzja, a konsekwencje tego ponosi się latami.

– Mówisz o swoim małżeństwie? – spytałam trochę podejrzliwie.

– O nim i o cenie wolności, jeżeli przypominasz sobie jeszcze mój toast. Niekiedy myślę, że dopiero teraz dojrzałem do życia. Wybacz, że wszedłem w patetyczny ton. Góry nastrajają mnie do rozmyślań. – Uśmiechnął się przepraszaająco.

– Im wyżej, tym szersza perspektywa! – Odwzajemniłam uśmiech. – Nie jesteś jedynym, który żałuje pewnych swoich decyzji.

– A ty czego żałujesz?

– Najbardziej chyba wyjazdu z Polski – odparłam bez namysłu, co zaskoczyło nawet mnie samą.

– To akurat można łatwo zmienić. Wystarczy chcieć.

– Aby chcieć, trzeba mieć do kogo i do czego wracać.

– No tak – wymamrotał, a kiedy wydawało mi się już, że nie podejmie tematu, dodał: – Karolo... tylko od ciebie zależy, czy zobaczysz we mnie tego kogoś. Teraz wiesz, jak się rzeczy mają, na razie nie umiem ci niczego zagwarantować. Wolałbym spotkać cię w innym czasie, gdy wszystko byłoby już wyprostowane. Chociaż... wtedy najpewniej nie byłoby mnie tutaj.

– Właśnie, Arminie. Byłbyś na powrót w swoim świecie. Teraz też jest tylko kwestią czasu, kiedy na powrót w nim się znajdziesz.

– W tym świecie nie będzie już Ludmiły.

– Możliwe, ale to ona lepiej pasuje do niego. Siebie w nim nie widzę.

– Nie musisz mi od razu odpowiadać. Powiedziałem ci przecież, że dam ci tyle czasu, ile potrzebujesz.

Znaleźliśmy się przy skrócie dróżki od traktu w stronę domu. Myślałam, że tutaj się pożegnamy, ale Armin się nie zatrzymał. Szliśmy gęsiego, nie kontynuując tamtej rozmowy. Dotarliśmy do furki, przystanęliśmy przy niej, spoglądając na siebie. Nie wiedziałam, co powiedzieć, podziękować mu za towarzystwo, zaprosić do domu? Duszą rwałam się, by wybrać drugą opcję, głos rozsądku opowiadał się za pierwszą. Plecak na ramionach Armina kazał się domyślać, że on był przygotowany na każdą z możliwości. Ale czy ja byłam? Dobrze wiedziałam, czym skończyłby się ten wieczór, gdybym spędziła go z Arminem. Może zaspokoilibym swoje tęsknoty, ale tylko na okres jednej nocy, a z rankiem przyszłyby wyrzuty sumienia. Powstrzymałam więc słowa, które podpowiadało mi serce, a w zamian wypowiedziałam inne:

– Dziękuję, że mnie odprowadziłeś! To ja już pójdę. – Podałam mu dłoń.

Nie od razu wypuścił ją ze swojej. Pomimo że były w rękawiczkach, zdawało mi się, że czuję łączące nas ciepło. I drzenie, które jednak mogło być tylko moim.

– Na pewno chcesz zostać sama? – dręczył mnie jeszcze.

– Nie chcę – odparłam szczerze. – Ale tak będzie lepiej.

– Co do tego akurat mam wątpliwości... Nie masz poczucia, że coś zaprzepaszczamy?

– Przecież sam oferowałeś mi czas do namysłu – wyszeptalam, mrugając oczami, aby nie dostrzegł, że zwilgotniały.

– Wiem. Tylko tak trudno rozstać mi się z tobą.

– Armin...

– Już dobrze, idę.

Nachylił się ku mnie i pocałował mnie w usta. Trwało to zaledwie sekundę, a

potem odczułam żal, jak po utracie czegoś, co było już moje. Zwolnił moją dłoń i wciągając głęboko powietrze, uśmiechnął się trochę smutno, po czym odwrócił się i poszedł. Aby nie patrzeć za nim, zrobiłam to samo, kierując się ku drzwiom. Tuż za nimi momentalnie usiadłam na ławie i nie tylko zmęczenie było tego powodem.

Zwycięstwo nad sobą miało gorzko-słony posmak porażki, do tego przyplątała się niepewność. A jeśli Armin miał rację ze swoim poglądem, iż ucieka nam szansa na coś ważnego? Po co zduszać czyste uczucia i połykać słowa wraz z łzami, czy nie jest to grzechem przeciw samej sobie? Czego się boję? Czemu mu nie ufam?

Armin robił dzisiaj niejedną aluzję, i każda, a zwłaszcza te rodzące we mnie nadzieje, wczepiła się w pamięć jak intruz. Albo jak wirus komputerowy, który powoli, lecz nieodwołalnie panoszy się, jedno pustoszy, a w drugim czyni korzystne dla siebie zmiany. Nie mogłam temu ulec. Znałam zbyt wiele kobiet, które raz uczepiwszy się mrzonki, dawały absolutną władzę nad sobą iluzjom. Niekiedy dopiero brutalną prawdą sprowadzone na ziemię pojmowały wreszcie, że ofiarami stały się niejako dobrowolnie. Były i takie, które nigdy tego nie przyznały, na przekór faktom oczywistym dla postronnych. Wirus w ich psychice sprawił nieodwracalne szkody, przeobraził zdrowo myślące kobiety w żalosne mitomanki.

Szczęśliwie, daleko mi do nich. Analizując słowa Armina, uznałam, że nie padły takie, na których mogłabym bez wahania oprzeć swoją decyzję. Zakochał się we mnie? Uczucia bywają zmienne. Może gdybym miała mniej lat i inne doświadczenia, wypuściłabym się na jeszcze jedną przygodę. Zaufanie było aktem odwagi. W moim położeniu nie mogłam sobie pozwolić na kolejny niepewny układ z mężczyzną, choćby i z tak atrakcyjnym jak Armin. Z wiekiem płaciło się za to coraz wyższą cenę, a ja stawałam się coraz mniej odporna na rozczarowania.

Słowa. Jedni nie przykładali do nich dużej wagi, dla innych były ważniejsze od wszystkiego innego. Ja skłaniałam się ku drugiej z tych grup. Nagromadzenie spraw niewymówionych rodziło we mnie rozterki, natomiast słowa wyartykułowane postrzegałam jako wiążące. Znalazłam się w punkcie bez wyjścia, ponieważ rozumiałam, że domagając się od Armina gwarancji, żądam niemożliwego, a bałam się pójść z nim na całość.

Tym samym, na swoje życzenie zostałam w domu sama. Pomijając może jego stałych mieszkańców – sądząc po reakcji kota, który z nasrożonym grzbietem wodził znów wzrokiem za czymś, co dla mnie było niewidoczne.

W powietrzu wisiała intensywność, która i mnie się udzielała. Wszystko było dzisiaj konkretne, od barw po zapachy i dźwięki, a kontury gór wbijały się w niebo wyraźną linią. Głębokie oddechy wprowadzały w płuca zimną świeżość przenoszoną potem na myśli. Od dawna nie były tak klarowne i proste, pozbawione retorycznych pytań oraz innych bezsensownych mącieli. Wiedziałam, co wiedziałam i na razie tyle musiało mi wystarczyć. Rytmiczny puls serca

przypominał mi o istnieniu czegoś stokroć ważniejszego od moich rozterek. Żyłam, czułam, doznawałam. Odnosiłam wrażenie, jakbym przeszła długą trasę i znalazła się na powrót w tym samym miejscu. Nie byłam rozczarowana, wręcz sphywało to na mnie osobliwym spokojem.

Nie wydarzyło się nic szczególnego, poza nocą przerywaną gonitwą kota. Przebudzona, niemal natychmiast znów zapadałam w sen. Nad ranem przeniósł mnie w obszary lub może stan istnienia, z którego wyszłam niechętnie. Byłam tam ja, był Armin, a nasza polana i otaczające ją lasy takimi, jakimi nie widziałam ich dotąd – tonęły w głębokiej zieleni. Niemalże czułam idące od niej letnie zapachy! Gdy wróciłam do rzeczywistości, ogarnął mnie smutek. Wtem przypomniałam sobie o snach proroczych i choć takich nigdy nie miałam, podniosło mnie to na duchu. Rzut oka na świat za oknami opromieniony wczesnym słońcem ucieszył mnie już samoistnie. Sił dodały prysznic i kawa.

W dolinę udałam się pieszo. Kontrast pomiędzy mroźnym cieniem a osłonecznioną, diamentowo skrzącą się bielą objawiał nastroje natury, przypominał moje własne. – Krańcowe doznania, radość w sekundzie umiała przejść w przygnębienie. Tak się stało minionego wieczoru, kiedy moja szamotanina wewnętrzna dosięgła chyba zenitu. Rankiem – spokój na granicy zubożenia. I niewspółmierna do krótkiego snu energia, która popędzała mnie teraz ku wiosce. Szóstym zmysłem przeczuwałam, że nadchodzi zmiana. Pomimo to nie było we mnie podniecenia, raczej zgoda na coś, dobre lub złe, czego już nie sposób uniknąć. W pewnym momencie niemal poczułam przymus, by przystanąć i spojrzeć za siebie. Zza kołyszających się ciężko czubków choin wylaniała się górna część domu. Szyby okien najwyższego piętra połyskiwały jak lustra z przeglądającymi się w nich obłokami. Nie zdążyłam jeszcze odwrócić wzroku, gdy jakaś zacieniona postać pojawiła się w jednym z okien. Sekundę później w następnym powtórzył się ten fenomen, a ja pojęłam, że to tylko złudzenie, odbicie ruchu chmury. Ciekawa rzecz, że ani moje spostrzeżenie, ani stwierdzenie pomyłki w żadnym razie mnie nie poruszyło. Ten dom nie był zwykłym domem, rozumiałam to i zaczęłam akceptować. Całkiem możliwe, że nie przestraszyłoby mnie nawet spotkanie w nim zjawy, ducha Emy.

W plecaku miałam książkę dla Zuzi, którą zamierzałam sprezentować malej przed jej odlotem do rodziców.

Kiedy wykupili dla niej bilet, a ich znajomi obiecali zająć się nią podczas podróży, dziewczynce minął dawny żal. Nie mogła doczekać się wyjazdu. Wstąpić chciałam nie tylko do Garbarków, Irena również była dzisiaj w domu. Gdy minęłam pasmo buczyny, dostrzegłam, że niebo na zachodzie jest ciemniejsze, wybrzuszone niczym ciężarna kobieta. Czyżby miało sypać? To, co widziałam niżej, zdawało się temu przeczyć. Wioskę otulało słońce, krystaliczne powietrze przybliżało wszystkie budynki, wyostrzało nawet odległą część doliny.

Kiedy opuściłam cień, zameldował się telefon, odkryłam tylko informację sieci komórkowej. Nie zainteresowały mnie obietnice darmowych minut, które w istocie wcale takie nie były. Oszustwo dzwignią handlu?

Garbarkowa powitała mnie z wypiekami na twarzy, a powód tego ujawnił się falą pachnącego powietrza. W nagrzanej do niemożliwości kuchni wyrabiała ciasto pod świąteczne kołaczki, jeden już wstawiła do piekarnika. Zuzia miała zabrać je do Irlandii. Pozostawiłam prezent dla małej, po czym wyjątkowo dziś niezatrzymywana przez gospodynię mogłam udać się dalej. Przewidywałam, że u Janowiczów zastanę podobny przedświąteczny harmider, jednakże nic podobnego. Moje przeprosiny za niezapowiedziane najście Irena z miejsca przerwała:

– Daj spokój! Dom ogarniam na bieżąco, a z resztą spokojnie zdążę. Przyszłaś akurat w porę, proszę cię, wejdź!

Wprowadziła mnie do środka, panował idealny porządek; chyba w niczym jej nie przeszkodziłam. Musiała jedynie doglądać obiadu, więc zasiadłyśmy przy stole kuchennym. Irena zaparzyła kawę w ekspresie i nie słuchając moich protestów, rozkroiła babkę z czekoladową polewą, tuż przedtem zakupioną ponoć w sklepiku. Być może to tam dowiedziała się o powrocie Armina, gdyż już w następnym zdaniu do tego nawiązała:

– Domyślałam się, że doszłicie do porozumienia...

– Szczerze mówiąc, nadal nie. Przyjechał, nie czekając na mój telefon. Widziałam się z nim wczoraj, ale zatrzymał się w domu leśnika.

– Dlaczego? – pytała Irena, nalewając kawę do filiżanek.

– Nie byłam gotowa na jego powrót. Sama zresztą nie wiem... Czemu nie spotkałam człowieka wolnego? Wtedy wszystko byłoby prostsze.

– Karolo... – podsunęła mi talerzyk z ciastem – w naszym wieku trudno ci będzie poznać kogoś, kto nie ciągnie za sobą ogona przeszłości. I nie zawsze da się go radykalnie odciąć. Są różne uzależnienia, kredyty, potomstwo. A propos, oni mają dzieci?

Zamarłam, gdyż ten aspekt jego małżeństwa nie przyszedł mi do głowy. To, że Armin o nich nie wspomniał, a ja nie zapytałam, o niczym jeszcze nie przesądzało.

– Nie mam pojęcia – przyznałam. – Armin należy chyba do ludzi, którzy nie kłamią, za to przemilczają niewygodne dla nich rzeczy. Nie wiem, co gorsze.

– Skrytość zawsze jest trochę podejrzana...

– Właśnie. A potem szok, gdy człowiek dowiaduje się prawdy. I teraz mam problem, bo nie wiem, co z nią zrobić.

– Zaraz tam problem! Może nie trzeba rozdzielać włosa na czworo. Nie ty przyczyniłaś się do jego rozstania z żoną. Nie zaplanowaliście zakochania się w sobie, los połączył was tu przypadkiem. Karolo, nie zmarnuj szansy na miłość!

Irena sprawiła, że mimo woli zamyśliłam się, ponieważ w duchu myślałam

tak samo. Wiara to nie to samo co wiedza; co to za sztuka zaufać, kiedy wszystko przejrzyste, pozytywne i pewne.

– Wiesz, dzisiejszego poranka obudziłam się z przekonaniem, że wszystko się ułoży – wyjawiałam po chwili namysłu. – Nie mam pewności, czy dotyczy to mnie i Armina, czy raczej ogólnie tego, co w moim życiu nastąpi. Nie umiem tego precyzyjnie wyjaśnić... Ostatnio byłam w impasie, a teraz poczułam, jakby nareszcie ruszyło coś do przodu. Ale przeczuwam też, że po drodze będą jeszcze jakieś przeszkody.

– Mówisz zagadkowo.

– Wybacz, zaczynam mącić.

– Nie, nie. Ja, co prawda, stoję mocno na ziemi, ale też nie lekceważę takich sygnałów. Chyba tylko odczytuję je trochę inaczej, łączę z przemianami w naszej psychice. Wydaje mi się, że po prostu dojrzewasz do zmiany. Nabierasz sił do zmierzenia się z nowym.

– Kto wie? Choć stare też niezupełnie zamknięte.

– Myślisz o swoim poprzednim przyjacielu?

– Nie. – Zdumiałam się, że dopiero jej pytanie przypomniało mi o istnieniu Tima. – Do niego nie ma już powrotu. Ale są sprawy, do których muszę wrócić i nareszcie je zamknąć. To ma też związek z moją siostrą, naszym domem rodzinnym...

– Ona jest w schronisku – wtrąciła Irena.

– Tak, mówiła mi. A skąd masz tę informację?

– Rano był tu Józek. Nie wiem, jak twoja siostra to robi, ale nie dosyć, że już dwa razy woził i zwoził ją stamtąd, to dzisiaj jechał do miasta z listą rzeczy, których sobie zażyczyła!

– Ojej... przeraziłam się. – Myślisz, że ona go wykorzystuje?

– Być może, ale to mu, jak widać, służy. Dawno nie widziałam go w tak dobrej formie! – Irena traktowała to lekko. – Kinga jest na swój sposób atrakcyjna, a znów tak wiele samotnych turystek tam się nie zatrzymuje. Zwierzyła się Józkowi, że jest w dole psychicznym i potrzebuje trochę spokoju. Chyba przejął się jej stanem.

– Słuchaj... Czy mówiłaś mu, że to moja siostra? – Uzmysłowiłam sobie nagle, że szwagier Iry wie przecież, gdzie mieszkam.

– Nie. Raczej nie kojarzy was ze sobą, coś by wspomniał. Zdziwiłby się chyba, że zatrzymała się w schronisku, a nie u ciebie.

– Tak, to może dziwić – przyznałam z zażenowaniem. – Dom ogromny, a ja nie chcę w nim ani siostry, ani Armina... – Nie dokończyłam tej myśli, natomiast powiedziałam: – Zaniepokoiłaś mnie pytaniem o jego dzieci...

– Najlepiej od razu sprawdźmy, może znajdziemy coś w Internecie!

Niezręcznie byłoby mi ją o to prosić, choć docieranie do publicznie

dostępnych danych nie czyni z nikogo szpicla. Te jednak dotyczyły prywatnego życia bliskiej mi osoby i mogłam dowiedzieć się niemiłych dla mnie rzeczy. Chciałam i nie umiałam się odważyć, stąd było mi na rękę, że zdecydowała za mnie Irena.

Dotarliśmy do plotkarskich portali, które bez żadnych oporów wywlekały na jaw, co tylko się dało. Osoby publiczne miały niełatwo, gdyż każdy detal z ich życia, odpowiednio skomentowany przez media, mógł wywołać sensację. Popyt na nie nakręcał podaż, toteż nawet przepuszczając wszystko przez sito, nie miałam pewności, czy i jak ma się to do prawdy.

O Arminie było dużo, ale większość z tego już czytałam. Pocieszało mnie, że nigdzie nie było nawet wzmianki o jego dzieciach. Nie powiem, poczułam ulgę, nie tylko z własnych egoistycznych pobudek, lecz również dlatego, iż mogłam odrzucić niechcianą myśl o egoizmie Armina jako ojca.

Na temat Ludmiły dowiedziałam się kilku rzeczy. Nosiła inne, dość banalne imię. Na potrzeby profesji przyjęła pseudonim, który z czasem do niej przyłgnał. Skończywszy karierę na wybiegu, spróbowała sił w filmie, lecz poza paroma drugoplanowymi rólkami w serialach nie udało się jej zaistnieć w branży. Nie potrafiłam ustosunkować się do jej talentu aktorskiego, natomiast atrybuty jej bezsprzecznej urody z pewnością były jej w tym pomocne. Dlaczego Armin ożenił się akurat z tą kobietą? Oczarowała go swoim pięknym ciałem? A może na zasadzie przyciągania się przeciwności? Słowa Armina o wyrachowanej naturze Ludmiły pokrywały się z moimi odczuciami, lecz byłam do niej uprzedzona, najpewniej też o nią zazdrosna.

Niektóre źródła zapowiadały rozpad ich małżeństwa. Przeważnie winę zrzucały na trudny charakter i pracoholizm Armina. Zważywszy jego długi pobyt w górach, wieści względem pracy nie były raczej na czasie. Ludmiła mniej lub więcej otwarcie potwierdzała pogłoski, wszędzie pokazywała się sama i nic nie dementowała. Mimo że taka jej postawa była dla mnie korzystniejsza, głośno wyraziłam zdziwienie:

– Po co taka manifestacja?

Irena ujęła to prosto:

– Widocznie wie, czego chce!

– Czego? – Dla mnie nie było tak oczywiste.

– Kariery, a choćby tylko zaistnienia jako celebrytka! Zobacz, wszędzie jej pełno, na każdym ważniejszym bankiecie czy imprezie! Przywykła do bycia w centrum uwagi, może więc liczy, że jako porzucona ofiara Armina znów wzbudzi zainteresowanie.

Koniec końców dowiedziałam się najistotniejszego. Wiadomość o separacji nie była zmyślona, uspokoił mnie również brak dzieci z tego związku. Ludmiłą nie zawracałam sobie głowy, cóż mnie obchodziło, jak żyła? Ważniejsze, aby ona i

Armin uregulowali swoje sprawy. Poczułam się trochę głupio, iż nie dałam wiary jego zapewnieniom.

Wyłączyłyśmy komputer. Przeszłyśmy do pokoju, gdzie Ira pokazała mi nowy nabytek. Był to obraz olejny Sylwestra, akt. Sprzedał Irze tanio, ponieważ nikt go nie kupił, a żona nie życzyła sobie mieć dzieła w domu. Przy okazji Irena spytała o obraz, który odbierała dla mnie w antykwariacie. Opowiedziałam jej, jak do tego doszło, i o tajemniczej historii Emy. Podzieliłam się też swoimi spostrzeżeniami względem malowidła. O scenach z wizji nie wspomniałam, gdyż zakładałam, że przyjaciółka nie da temu wiary. Zresztą już samo to, co wyjawiałam, rozbudziło jej ciekawość.

– Na pewno Ema przeżyła pożar? Skąd antykwariusz ma takie dane, skoro listy były pisane wcześniej?

– Nie wiem, może gdzieś to sprawdził, ale wspomniał o wyjeździe małżeństwa po spłonięciu domu.

– Hm... A jeśli jej mąż wszystko sprytnie ukartował? Mógł nie znieść myśli, że Ema chce go porzucić – spekulowała.

– I co, zabił ją wtedy, a dom podpalił?

– No, dobrze, może za bardzo się rozpedziłam... Niesamowita historia! Tylko ani słowa przy dziewczynkach! Gdzieś usłyszały, że na polanie straszy, więc kiedy cię odwiedziłam, potem Ola do wieczora wierciła mi dziurę w brzuchu...

– Antykwariusz mnie ostrzegwał przed polaną.

– Ludzie opowiadają też różności o twoim domu! – Ściszyła głos, choć byliśmy same. – Że tam musiało wydarzyć się jakieś nieszczęście. Nikt z tutejszych nie wziąłby go nawet za darmo.

– Są przesądni, ich strata. Nie miałabym nic przeciwko, aby pozostać w nim na stałe. Pokochałam go, dobrze mi w nim.

– Poważnie? Właściwie, gdyby mieć dobry samochód terenowy, dałoby się tam mieszkać. – Do głosu doszła praktyczność Iry. – Może nawet znalazłabyś pracę w uzdrowisku?

– Coś nowego w sprawie posady Juliana? – Przypomniałam sobie ich dylemat.

– Tak, zdecydował się ją przyjąć – odparła bez entuzjazmu. – Prawdę mówiąc, ja swojej też mam dosyć. Szefowa innym odejmuje obowiązków, choćby takiemu Spyrze, a mnie ciągle dokłada. Żeby jeszcze było za to jakieś uznanie! Stale pretensje, rzucanie mi kłód pod nogi! Dowiedziałam się właśnie, że nasze kółko teatralne jednak nie będzie reaktywowane...

– Dlaczego? – spytałam, choć mogłam przypuszczać, jaka będzie odpowiedź.

– Odgórna decyzja. Doszło do mnie nieformalną drogą, oficjalnie powiadomią mnie po Nowym Roku. – Westchnęła. – Po tym zastraszaniu dzieci to

kto wie, czy w ogóle zebrałabym chętnych? Poza tym, nasz Dom Kultury idzie z duchem czasu, a kultura stała się towarem, musi przynosić zyski. Kiedy przekonuję o potrzebie inwestycji w młode pokolenie, uważają mnie za idealistkę.

Nie potrafiłam jej pocieszyć, ponieważ wiedziałam, ile kółko dla niej znaczyło. Moja przyjaciółka nie ukrywała goryczy:

– Nigdy nie przypuszczałabym, że do tego dojdzie. Szkoda zapachu dzieci. Zgaszono go, nim naprawdę się rozpałił.

– Przykro mi, Irena, naprawdę...

– Mnie też. Najpierw byłam wkurzona, ale gdy emocje minęły, pozostał tylko żal.

Odruchowo spojrzałam na zegarek. Było jeszcze wcześniej, postanowiłam pojechać do uzdrowiska, za dwadzieścia minut miałam autobus. Przedtem jednak skorzystałam z łazienki. Wracając stamtąd, usłyszałam sygnał na swojej komórce, którą pozostawiłam w kuchni.

– Dzwoni już drugi raz! – zakomunikowała Ira.

Zanim dostałam się do telefonu, melodyjka zamilkła. Sprawdziłam, kto próbował połączyć się ze mną. Kinga.

– To nikt ważny – rzuciłam.

W oczach przyjaciółki zgasł błysk zaciekawienia, pojawił się natomiast nieznaczny uśmiezek. Chyba spekulowała, że zatajam telefon od Armina i może dlatego nie zatrzymywała mnie u siebie.

Pogoda zdążyła się zmienić. Promienie słoneczne przebijały się teraz przez warstwę mlecznej piany, forpocząty śnieżnych chmur nadciągających od zachodu. Ostre powietrze mieszało się z podmuchami wilgotnego wiatru i momentalnie zrobiło mi się zimno. Autobusu jeszcze nie było, więc naciągnęłam kaptur, licząc, że schronienia udzieli mi też wiata. Nie doszłam tam jeszcze, gdy telefon znów zagrał melodią.

– Nareszcie! Mogłabyś chyba czasami oddzwonić?! – usłyszałam zadyszaną siostrę. – Karola... musimy się spotkać, koniecznie dzisiaj, im prędzej, tym lepiej! Nie mogę być teraz sama!

– Co ci jest? Potrzebujesz lekarza?

– Nie wiem, co się ze mną dzieje! Nie zostawiaj mnie...

Przy ostatnim zdaniu jej głos się załamał, co powstrzymało mnie przed wyśmianiem jej. Nie znośłam być do czegoś przymuszana i w takich momentach rodził się we mnie opór. Siłąc się, by tego nie ujawnić, próbowałam ją wybadać:

– Jesteś w schronisku?

– A gdzie miałabym być?! – zniecierpliwiła się. – Musisz jakoś tutaj się dostać! Na pewno coś wymyślisz!

– No, nie wiem... – Wahałam się, co jej powiedzieć. – Ale Janowicz na pewno będzie u ciebie przede mną. Spróbuj się uspokoić. Zażyj lekarstwo i

wszystko wróci do normy.

– Cała ty, nigdy nie można na ciebie liczyć! – Prawie krzyczała, chyba była gdzieś na zewnątrz. – Potrzebuję cię tutaj! Posłuchaj, jeśli tu się nie zjawisz, to już nigdy niczego się nie dowiesz! Opłaci ci się, gwarantuję, ale ta oferta ważna jest tylko dzisiaj! Powiem ci resztę, o Marku, o naszym ojcu i matce, o tamtym dniu... Chcesz poznać całą prawdę? To przybądź!

– Tak? Za jaką cenę, szantażystko? – Zdenerwowała mnie, mówiąc o ojcu.

– Niech ci będzie, że to szantaż, ale z tobą nie da się inaczej! – rzuciła sarkastycznie. – Pospiesz się, naprawdę nie żartuję! Dzisiaj albo nigdy!

W tonacji jej głosu była jakaś frapująca mnie nuta, nie przypominałam sobie, abym kiedyś słyszała ją u niej. Brzmiała poważnie, nieomal groźnie, co w połączeniu z histerycznym wydźwiękiem innych słów czyniło dziwną mieszankę.

Z moich pospiesznych obserwacji wyrwały mnie odgłosy na drodze. Z daleka wyłonił się autobus, wyprzedzała go właśnie terenówka pana Józefa. Musiałam podjąć błyskawiczną decyzję. I nagle zrozumiałam, że nie mam odwrotu, nie mogłam wечно uciekać. Nie zwlekając, rzuciłam do słuchawki:

– Dobrze, Kinga. Czekaj na mnie w schronisku!

Rozłączyłam się i pomachałam ręką przed maską nadjeżdżającego samochodu.

Pan Józef zgodził się mnie podwieźć, z góry uprzedzając, że tego dnia to jego ostatni zjazd w dolinę. Kiwnęłam głową, i ściągnąwszy plecak, niezgrabnie zajęłam miejsce w terenówce. Ruszyliśmy, ponaglani nadjeżdżającym z tyłu autobusem. Za wioską muzyka z radjka samochodowego zaczęła zanikać, Janowiczowi nie udało się złapać czystej stacji, więc je wyłączył. Próbowałam go zagadywać, lecz skoncentrowany na prowadzeniu odpowiadał półsłówkami, więc zamilkłam. Ten powściągliwy mężczyzna o poważnym spojrzeniu nie wydawał mi się podatny na czyjeś wpływy. Kinga dopiero od paru dni mieszkała w schronisku, co nasuwało wnioski, że albo relacja Iry była przesadna, albo kolejny raz nie doceniłam siostry.

Na polanie zerknęłam ku domowi. Biały dach zlewał się z otoczeniem, niełatwo było go dojrzeć. Mijając Błędne Siostry, przypomniałam sobie epizod z zasłabnięciem. Wątpiłam, czy miało to jakikolwiek związek z tym miejscem, skałki wyglądały niegroźnie. Jakby na przekór mojemu sceptycyzmowi, silnik dzipa nagle zakaszlał i zgasł. Pan Józef nie przejął się tym, przekręcił kluczyk w stacyjce, z powodzeniem zapuszczając motor. Mogliśmy jechać dalej.

Droga do schroniska dłużyła mi się. Była we mnie już niecierpliwość przed czymś, co już chciałam mieć za sobą. Podjazd serpentyną okazał się trudniejszy, niż przypuszczałam. Miejscami zarzucało wozem, koła wpadały w miękki śnieg na poboczach, dopiero po paru próbach stamtąd wyjeżdżając. Pan Józef ani na moment nie tracił spokoju, widocznie przywykł do takich warunków, a może i do

gorszych. Kolejne zakręty z wynurzającym się zza nich nowym wzniesieniem odmierzały etapy trasy. Na jednym spotkaliśmy dwóch turystów, lecz pomimo wyraźnego zmęczenia nie chcieli zabrać się z nami. „Nie mielibyśmy pełnej satysfakcji!”, uzasadnili odmowę.

Milczenie Janowicza sprawiło, że chcąc nie chcąc, podążyłam myślami ku Kingdze. Naprawdę źle się czuła? Może symulowała? Nie byłam zorientowana co do objawów jej zaburzeń, więc każda z opcji była możliwa. Wahania dotyczyły też kosztów, jakie przyjdzie mi ponieść, poznając prawdę, o ile Kinga zechce dotrzymać słowa. Skoro chyba wybiłam jej z głowy pomoc przy pisaniu książki, frapowało mnie, czego będzie chcieć w zamian. Podczas naszych ostatnich rozmów nie wspominała więcej o pośle, co mogło sugerować, że zarzuciła ten pomysł. Cokolwiek jednak stało za jej żądaniem przybycia, nie miałam złudzeń – nie ściągała mnie tam bez powodu.

Widoczność się pogorszyła, pojawiła się mgła. Las po obu stronach drogi zanikał w mlecznych oparach, nabrał tajemniczości. Pomimo to miałam świadomość stromizny, więc poniekąd cieszyłam się, że nie jedziemy w przeciwnym kierunku. Byłoby bardziej niebezpiecznie.

Janowicz nie zapytał, po co jadę do schroniska. Dopiero zagadnięty przeze mnie, czy można tam ewentualnie liczyć na nocleg, potwierdził:

– Tak, miejsca jest dosyć. Komplet rezerwacji mamy od świąt po Nowy Rok, wtedy byłby problem. Nie lubi pani wędrowek?

– Na pewno nie samotnych! – Zaśmiałam się. – Pochwalę się jednak, że doszłam już do schroniska na nogach! Dzisiaj jestem tam umówiona, wypadło to niespodziewanie.

Kiwnął głową i powiedział, że jesteśmy już blisko. Istotnie, jeszcze tylko ostatni odcinek podjazdu i dotarliśmy na polanę. Mgła się przerzedziła, nie okalała góry na całej jej wysokości. Dzięki temu otoczenie schroniska powitało nas klarownym widokiem niemal po wyżej położony szczyt. Pan Józef zaparkował wóz przed budynkiem, podziękowałam mu i wysiadłam, gdy on wyjmował jeszcze jakieś pakunki. Ostre, wilgotne powietrze o zapachu jodeł prosiło się o głębsze oddechy, jednak zaraz serce zameldowało się kluciem. Ruszyłam przed siebie; zdrętwiałe po długim siedzeniu nogi dopiero po kilku krokach nabrały sprężystości. Od auta do schroniska celowo szłam wolno, nie spieszyło mi się na spotkanie z Kingą. Co gorsza, miałam złe przeczucie.

W głównym pomieszczeniu jej nie było. Zgłodniałam, więc u mężczyzny za barem zamówiłam bogracz z kluseczkami i pieczywem. Tymczasem usiadłam przy tym samym stoliku, który kiedyś wybrał Armin, z dyskretnym widokiem na salę. Gości było niewiele, toteż obsłużono mnie błyskawicznie. Pozwoliłam sobie na spokojne zjedzenie posiłku, a dopiero potem, przy herbacie, zaczęłam nastrajać się na konfrontację z siostrą. Wreszcie poczułam się na tyle pewnie, że wybiłam jej

numer.

- Jestem już na miejscu, w sali restauracyjnej – poinformowałam ją.
- Już?! A ja wyszłam się przejść, nie mogłam wytrzymać w schronisku! Jak tak szybko dostałaś się na górę?
- Dojechałam z panem Janowiczem.
- Chyba coś kręcisz, gadałam z nim, zanim wyszłam. Nic o tobie nie mówił...
- Helikopterem nie doleciałam. Mniejsza o to, wracaj do schroniska!
- Karola... wyjdź już w moją stronę, co? – W jej głosie brzmiała prośba. – Dziwnie się czuję... Chyba nie powinnam była wychodzić, myślałam, że na zimnie mi przejdzie. Usiądę tu i poczekam na ciebie.
- Nie siadaj, musisz iść! – Mróz nie był duży, jednak nie wydało mi się to rozsądne. – Opisz mi, którąś szłaś! Pójdę w twoją stronę.
- Schodziłam normalnie, szlakiem.
- Jakim szlakiem? Jest ich tu więcej. Doszłaś może do kierunkowskazu?
- Tak, jakiś mijalam. Szłam zwyczajnie, na dół... jak się jedzie autem, dalej prosto taką wąską drogą do skarpy. Zresztą obie mamy telefony. Nie wiem, czy dam radę wrócić do schroniska, naprawdę dziwnie się czuję... Ruszaj wreszcie!

Nie uśmiechało mi się opuszczać przyjemnie nagrzanego pomieszczenia, lecz zaniepokoiło mnie brzmienie głosu Kingi, to zaczepne, to zatrwożone. Czyżby naprawdę coś się z nią działo? Tak czy siak, nie mogła zajść daleko, od mojego przybycia na górę nie minęło dużo czasu. Uregulowałam rachunek, po czym wyszłam na zewnątrz.

Nasunęłam kaptur na głowę i skierowałam się na drogę. Była odśnieżona pługiem, ale po jakimś czasie musiałam z niej zboczyć. Do drogowskazu dotarłam, nie mijając nikogo. Szlaki rozdzielały się tutaj, lecz tylko jeden z nich prowadził w dół. Przypomniałam sobie, że stamtąd przyszłam kiedyś z Arminem, jednakże wtedy nadrobiliśmy drogi, ponieważ chciał mi pokazać wąwóz. Czy tę skarpe Kinga miała na myśli? Nie mając pewności, zadzwoniłam do niej, lecz nie zgłaszała się. Musiałam szybko podjąć decyzję.

W dolinę należało skręcić na prawo, ale Kinga mówiła, że szła ciągle prosto, w dół, więc poszłam, kierując się jej wskazówkami. Niewiele później pożałowałam wyboru, gdyż dróżka zwęziła się mocno, a momentami była dość stroma. Pomiędzy usiłowałam połączyć się z Kingą; nie odbierała.

Postanowiłam, że dojdę jeszcze tylko do urwiska i jeśli nie spotkam siostry, zawrócę. Wyznaczony cel leżał trochę dalej, niż sądziłam, ale wreszcie drzewa się przeredziły i wyszłam na wolną przestrzeń skarpy. Dostrzegłam Kingę.

Siedziała na występie skalnym z głową opartą na kolanach. Z daleka wydawało się, że spała, może jednak tylko chroniła w ten sposób twarz od chłodu. Zawołałam ją, lecz byłam za daleko i zagłuszył mnie wiatr. Kiedy zbliżyłam się do

niej, podniosła głowę i spojrzała na mnie. Wyglądała niedobrze, blade usta miały się nijak do gorączki w oczach. Najbardziej jednak przeraziło mnie to, co zobaczyłam w jej wzroku.

– Jesteś – stwierdziła.

– Wstawaj! – poleciłam, potrząsając ją za ramię. – Dlaczego nie odbierałaś komórki ani nie poszłaś mi naprzeciw?

Nie podniosła się, stawiała opór. Nie rozumiałam, co się dzieje, gdyż jednocześnie kpiąco się uśmiechała, jakby celowo robiła mi na złość.

– No, podnieś wreszcie dupsko! – Siłowałam się z nią. – Chcesz tu zamarznąć?!

– Czemu nie? Podobno to łagodna śmierć.

– Nie gadaj głupstw, idziemy!

– Zostaw mnie i siadaj obok! Musimy pogadać.

– Tutaj?! Zwariowałaś! Nic tu po nas!

– Albo tutaj, albo nigdzie! – upierała się, choć słabym głosem. – Przestań wreszcie się rzucać i mnie posłuchaj! Obiecałam, że powiem ci wszystko i dotrzymam słowa. Właściwie chciałam, abyś coś dla mnie zrobiła, ale zmieniłam zdanie. To nie ma sensu. Nic nie ma sensu. Wracam.

Zamilkła. Zrozumiałam nagle, że nie zdołam odciągnąć jej stąd na siłę. W spojrzeniu i barwie głosu Kingi była desperacja oraz... nie umiałam tego czegoś określić, lecz kojarzyło mi się z czymś mrocznym. Naprawdę była chora, nikt nie umiałby tak doskonale odegrać najczarniejszą z ciemności. Rozwahałam, co mam robić, ale w głowie miałam pustkę.

– Wracasz do miasta? – ponagliłam ją pytaniem.

Zaśmiała się z ironią.

– Raczej tam, skąd przybyłam... – Wzięła głęboki oddech i zlustrowała mnie szybkim spojrzeniem. – Wiesz, Karola, ty nie jesteś taka zła, tylko strasznie naiwna. Zawsze byłaś romantyczką, wierzyłaś w sprawiedliwość i że dobro popłaca. Totalne brednie!

– Dlatego ukradłaś moje teksty? – Postanowiłam i ja nie owijać w bawełnę.

– Przykro mi, jakoś nie gryzie mnie sumienie! – rzuciła bezczelnie. – Zresztą, wydanie książek niczego mi nie przyniosło. To nie Ameryka, gdzie jeden bestseller robi z autora milionera! Tutaj o kasie możesz zapomnieć, a reszta... szkoda gadać!

– Może mam ci być jeszcze wdzięczna?

– A żebyś wiedziała! Zaoszczędziłam ci złudzeń!

– Kinga, chodźmy do schroniska! – Zdusiłam rodzącą się we mnie złość.

– Powoli, siostrzyczko! Jeszcze nie skończyłam. Powiem ci wszystko, będzie ci lżej...

– Mnie? – Kręciłam głową z niedowierzaniem. – Chyba tobie. Zresztą,

możemy rozmawiać po drodze. Spójrz, od wąwozu podnosi się mgła. Lepiej wracajmy!

– Jak grochem o ścianę... – jęknęła Kinga. – Siadaj, bo zmienię zdanie i nic się nie dowiesz!

W jej żądaniu była nieustępliwość, a ja poczułam, że nie zdołam jej złamać. Miałam do wyboru, albo stąd odejść, albo wysłuchać, co miała do powiedzenia. Zastanowiwszy się chwilę, pojęłam, że w gruncie rzeczy alternatywa nie istniała.

Naturalnie wyżłobiona półka skalna chroniła przynajmniej plecy. Widząc, że zdecydowałam się usiąść, Kinga przesunęła się, robiąc mi miejsce. Było twardo i niewygodnie, ale ciut cieplej.

– Słucham.

Spojrzałam na nią zdezorientowana. Czy to nie ona miała przemawiać? Odwróciła ku mnie twarz i ponagliła:

– No, mów! Co chcesz wiedzieć?

Wprawiła mnie tym w zakłopotanie. Tyle rzeczy wymagało wyjaśnienia. O co najpierw zapytać? O jej chorobę? Może wprost o matrioszki? Co do ksiązek, zrozumiałam, że skrupuły były jej obce. Wtem przyszyły mi na myśl sprawy, które opisała w ostatniej książce.

– Powiedz mi, skąd wiedziałaś, że tamtej nocy, na wycieczce z Markiem, po raz pierwszy spałam z facetem? Nie mogłaś zmyślić tych wszystkich szczegółów...

– Zgadza się – odparła natychmiast. – Ale zaskoczę cię, to była jednak moja idea.

– Jak to... Co masz na myśli? – Nie kapowałam.

– Że wszystko poszło dokładnie według planu. To ja wpadłam na pomysł waszej wycieczki... a nawet jej przedłużenia. Ty nic nie kumałaś, byłaś tylko kukielką w teatrzyku wydarzeń. – Zachichotała i zamilkła.

– Gadaj dalej!

– Okłamałam cię. Wykradając twoje notesy, już dawno znałam ich treść. Dopasowałam kluczyk do twojej szafki i podczytywałam je regularnie. Nie pisałaś tam tego wprost, ale nietrudno było odgadnąć, że pragnęłaś Marka. On był dla ciebie jak guru. Właściwie wystarczyło tylko trochę pomóc losowi.

– Wymyśliliście to wspólnie z Markiem? – Staralam się ukryć zdenerwowanie, lecz wewnątrz drżałam.

– Powiedzmy, że podsunęłam mu wtedy, iż nie miałabyś nic przeciwko temu...

– Ty... ty intrygantko! Ale dlaczego?! Co ci to dało? Mówiłaś przecież, że podkochałaś się w nim!

– Ponieważ taki był plan! – rzuciła hardo. – A Marek? Tak, poświęciłam się, pozwoiliłam mu się z tobą przespać, ale potem był już mój! Wiedziałaś o tym, siostrzyczko, że zostaliśmy parą? Pocieszałam go, kiedy ty zaczęłaś swoje

balowanie...

– Nie do wiary! – sapnęłam ciężko. Powoli zaczynam rozumieć... – Pocięczałaś? Raczej dalej męczyłaś!

– Marek to cienias! – zachnęła się. – I jak wszyscy faceci, myślał tylko o jednym, bez względu na to, jakiego cynika odgrywał! Skręcała mnie zazdrość, gdy widziałam, jaki był napalony na ciebie, jedynie ty, zimna księżniczka, niczego nie zauważałaś! Musiałam dopiero przemówić mu do rozumu! Postraszyłam go, że jeśli nie weźmie się wreszcie do dzieła, zrobisz to z pierwszym lepszym! Poskutkowało, bo gdy poprosiłam, aby przedłużył wycieczkę, nie miał już żadnych oporów.

– Ale... dlaczego?! Nadal nic nie pojmuję!

– Tamtej nocy miało nie być cię w domu. Fortel z autem wymyślił jednak Marek, w książce pominęłam tylko, że po wszystkim miał wyrzuty sumienia. Mięczak! Zadręczał się, nie umiał ci patrzeć w oczy, a ty w tej swojej nieutulonej żalobie widziałaś tylko czubek swojego nosa! Mnie oczywiście było to na rękę... Tak, jego też ci zabrałam! Nie wiedziałaś, że faceci wolą nawet brzydszą, ale chętną niż piękną niedostępną? Sama jesteś sobie winna!

– Kinga... jak mogłaś?! Marek... był moim przyjacielem! Dlaczego nic nie dostrzegłam?! – W moich skroniach pulsowało. – Jak on w ogóle mógł poddać się tobie? Przecież nigdy nikogo nie słuchał...

– Bo jestem dobra w te klocki? – zadrwiła.

– Nie wierzę...

– Nie musisz, bo w grę wchodził nie tylko seks. Miałam go w szachu. – Wzruszyła ramionami, jakby była to najzwyklejsza rzecz pod słońcem. – Powiedziałam mu, że to ja podpaliłam nasz dom i jeśli nie odsunie się od ciebie, zgłoszę się na policję i powiem, że zaplanowaliśmy to razem. Motywy też by się znalazły. Ja na wariackich papierach wywinęłabym się z tego, ale on na pewno nie!

– Jesteś szalona... – Tylko tyle potrafiłam z siebie wydusić.

– Że odbiłam ci Marka? – Zaśmiała się dziwacznie. – Zdziwisz się, ale tak, za to też powinnaś mi podziękować! Uchroniłam cię przed kolejnym zawodem. To nieudacznik i aż tak dobry w łóżku to on nie był! Wiesz... myślę, że spodobał mi się tylko dlatego, że kręcił się koło ciebie! Rzuciłam go niedługo po twoim wyjeździe, przestał mnie już rajcować. I dobrze zrobiłam! Pieprzony idealista, taki arogancki i ważny, a kim jest teraz? Uczy na jakimś zadupiu, ożenił się z miejscową dziewczuchą, pełno bachorów i bida z nędzą. Dwa lata temu, przypadkiem wpadliśmy na siebie. Gdyby mnie nie zaczepił, to bym go nie poznała! Wyłysiał, wychudł i ogólnie zdziadział! A gdy usłyszał, że pracuję u posła, to potem ciągle wydzwaniał do biura. Zawracał mi głowę pierdołami, chyba liczył, że mu pomogę... Naiwniak!

– Zaczekaj, Kinga! – Nie nadążałam za jej tempem, ale coś wymagało

wyjaśnienia. – Czemu tamtej nocy nie miało mnie być w domu?! Nie rozumiem... przecież umawialiśmy się wtedy, że wrócę wieczorem, aby cię zmienić przy ojcu!

– Z Markiem ustaliłam coś innego.

– Dlaczego?!

– Już mówiłam. Taki był plan.

– Jaki plan?! Sama go wymyśliłaś? – niecierpliwiłam się.

Natomiast Kinga była nienaturalnie spokojna. W momentach, kiedy milczała, z jej oczu wзираła czarna melancholia, co miało się nijak do słów, które tuż potem wyrzucała z siebie. A jednak nawet wówczas nie traciła opanowania. Nie do końca byłam przekonana, że stoi za tym jedynie poczucie zwycięstwa nade mną. Jeśli nawet, to wygrana nie sprawiała jej radości.

– Nawet nie wiesz, jakie masz szczęście – zaczęła po chwili. – W innym czasie nie wydobylałabyś tych informacji ode mnie. Nie za darmo. Ciesz się, siostrze, że mam już wszystko w dupie. Dostyc tej cholernej walki. Niech teraz inni się pomęczą!

– Kinga, co z tym planem?!

Wodziła wzrokiem gdzieś daleko, po moim pytaniu spojrzała na mnie i odparła:

– To był pomysł ojca. Widzisz, ostatecznie to mnie zaufał, nie tobie! Wiedział, jaka z ciebie mimoza... Nie zrozumiałabyś go!

– Ojca?

– Tak, naszego ojca. Nie chciał żyć, ale ty i mama nie pozwoliłybyście mu odejść. Wszystko sobie dobrze przemyślał, też z ubezpieczeniami. Miał taką polisę na życie, że gdyby zmarł z powodu choroby, matka dostałaby tylko parę groszy. Z wypadkiem to już inna sprawa, stawki są dużo wyższe. Dom był stary, wymagał remontu, lepiej było go spalić i dostać odszkodowanie. Ojciec nie chciał dłużej z tym zwlekać, lada dzień choroba mogła zaatakować mu umysł albo znów go sparaliżować. Plan był mistrzowski, ale potrzebował pomocnika. I wybrał mnie. Tę córkę, do której całe życie się nie przyznawał... Dobrze, co?

– Kinga... Ty podpaliłaś dom?! – Chyba to wykrzyczałam.

– Ależ skąd, idiotko! – zaprzeczyła. – Nie było mnie tam wtedy, pracowałam, nie pamiętasz? Miałam tylko tak załatwić, żeby ojciec pozostał tej nocy sam. Z matką to wiesz, po wielkich trudach dała się namówić na wyjazd, a ciebie wysłałam za miasto z Markiem. Ha, ha! Wszystkie trzy miałyśmy świetne alibi!

– To... jak?

– Ojciec sam się zabił. Tabletkami. Dobrze się poinformował, jakie i ile trzeba. Wykombinował też, jak zrobić spięcie, żeby nie wyszło na podpalenie. Ci ze straży w ogóle nie skumali. I kto by tam robił ojcu sekcję? Sprawa nie budziła wątpliwości. Zaczadził się na śmierć. Wszystko poszło dokładnie tak, jak

zaplanował. Ojciec był genialny.

Mój umysł bronił się przed dopuszczeniem do siebie takich faktów. Przeczynałam, że Kinga powiedziała prawdę, ale broniłam się jeszcze:

– Nie wierzę. On by tego nie zrobił. Obiecał mi, że się nie podda.

– No to zmienił zdanie! – burknęła, po czym kontynuowała już napastliwym tonem: – Ty egoistko! Miał cierpieć tylko dlatego, że umiałabyś łatwiej znieść śmierć naturalną? Raz już cię oszczędził, mogłabyś więc być bardziej wyrozumiała! Mnie też nie było lekko, ale zrobiłam, czego ode mnie wymagał! I możesz być pewna, że to docenił!

– W czym mnie oszczędził? – W potoku jej słów się gubiłam.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – Zerknęła na mnie. – Zastanów się, bo mnie jest wszystko jedno. To też zdradziła mi nasza babka, a ojciec potem potwierdził.

– Mów!

– No, dobra, następna matryoszka. Twoja mama. Oficjalna wersja, że zmarła na serce, tylko częściowo była prawdziwa. Serce wysiadło, bo zażyła za dużo tabletek nasennych, w szpitalu nie udało się jej odratować. Ojciec znalazł ją nieprzytomną... rano, bo noc spędził u mojej matki. To był wypadek, podobno chciała ich tylko nastraszyć. Twoja mama zawsze miała słabe zdrowie, więc nie plotkowano. Ale babka знаła powód i nigdy im nie przebaczyła. Wiesz, ojciec powiedział mi nawet, że jego choroba jest karą za tamto. Trochę późno ruszyło go sumienie... I co, nadal tak ci go żal?

W trakcie jej przemowy bezwiednie podniosłam się z miejsca. W głowie huczało mi od myśli, moje serce waliło jak po dużym wysiłku, z trudem łapałam oddech. Nadmiar sensacji okazał się ponad moją wytrzymałość, nie byłam w stanie wysłuchać ani zdania więcej.

– Dokąd to? – Kinga zareagowała, gdy ruszyłam przed siebie. – Mam coś jeszcze dla ciebie. Nie jesteś ciekawa?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Nie teraz. Wracam do schroniska. Tobie też radzę.

– Nie spieszy mi się.

– Jak chcesz.

Nie miałam siły, by namawiać ją do powrotu, a co dopiero z nią się szarpać. Byłam zbyt oszołomiona, wirowało mi przed oczami, ledwo szłam. Patrzyłam tylko pod nogi, nie rejestrując niczego wokół. Czułam się, jakby zabrano mi przeszłość i zatrzęsły się posady mojego świata. Straciłam wiarę w to, kim jestem i we wszystko, co dotąd było znane, a w jednej chwili mogło stać się ruiną.

Przedziwne, jak w nieprzejrzystej gęstwinie losu wije się nasza dróżka. Niekiedy nagły jej skręt nieoczekiwanie wyprowadza nas z ciemności, otwiera przestrzeń, ujawnia odmienne widoki. Dotąd zagubiona droga do prawdy przygnębiała mnie zamglonym widokiem i liczbą możliwych odnóg. Mój każdy

kolejny krok był przedzieraniem się przez gąszcz domysłów, zaś nowe informacje trafiały we mnie niczym uderzenia ciernistej gałęzi. Teraz uzmysłowiłam sobie, jak byłam naiwna sądząc, iż wystarczy wrócić, a wszystko we mnie się uzdrowi. Nawet wychodząc do światła, stale towarzyszył mi cień bolesnej przeszłości.

Coś sprawiło, że nagle się zatrzymałam. Jakieś osobliwe przeczucie, że nie pora teraz myśleć o sobie, lecz powinnam zająć się Kingą. Nie mogła zostać tam sama. To moja siostra, napomniałam siebie w duchu. Nie odeszłam daleko, ale znajdowałam się już na dróżce pomiędzy drzewami. Nie namyślając się, zawróciłam i przyspieszyłam. Jak na złość, pośliznęłam się raz i drugi, wreszcie jednak wróciłam na skarpe.

Mgła zdążyła podnieść się wyżej i utrudniała widoczność, jednak to nie z tego powodu zamarłam. Półka skalna, na której siedziałyśmy, była pusta, a po Kindze ani śladu! Mój wzrok padł na barierkę ograniczającą tu punkt widokowy od urwiska, za nią wszystko ginęło w mlecznej bieli. Struchlałam ze strachu.

Gdzie ona jest?! Do mojej świadomości dopiero teraz dotarły jej słowa o bezsensie wszystkiego, braku chęci do dalszej walki. Dziwna też była jej nagła szczerłość, jak nigdy – bezinteresowna. Z kolei wyraz twarzy siostry przypominał mi dzień, w którym po raz pierwszy odwiedziłam ją w klinice. Zaraz... co ona miała na myśli, mówiąc, że wraca tam, skąd przybyła? Do naszego miasta? Na leczenie? A może...? Nie!

– Kinga! Kinga! – wołałam w panice, bezskutecznie szukając jej wokół skały. – Kingaaa!

Odpowiadało mi tylko przytłumione wilgocią echo.

Lęk wziął mnie we władanie, trzęsły mi się ręce, miękkie kolana. Musiałam usiąść, zapanować nad tym, coś postanowić. Najtrudniej było zebrać myśli, zarazem wiedziałam, że należy działać szybko. Wyjęłam telefon komórkowy, zastanawiając się, jak wezwać pomoc, kiedy nieoczekiwanie zagrał w mojej dłoni. Jedyne na moment, sygnał zaraz się przerwał. Bezzwłocznie sprawdziłam, kto był nadawcą. Kinga!

Ulga mieszała się z zaskoczeniem. Siostra dała mi znak, więc chyba nic jej nie było... Tylko.... czy aby na pewno?! Pośpiesznie wybiłam jej numer, lecz nie odebrała rozmowy. Natomiast gdzieś w okolicy usłyszałam dźwięk telefonu. Wyłączyłam się, a wówczas zamilkł, więc ponowiłam próbę. Tak, nie myliłam się. Dokładnie ta sama melodyjka, po sekundach znowu przerwana. Szczęśliwie nie dochodziła z wąwozu, lecz gdzieś z tyłu, za mną; ominąwszy skałę, kolejny raz spróbowałam połączyć się z Kingą. Tuż potem do moich uszu doleciał znajomy sygnał, jednak nie z kierunku, z którego się spodziewałam. Zorientowałam się, że siostra nie wracała do schroniska, lecz nie wiedzieć czemu, skręciła w przeciwną stronę. Postanowiła zejść szlakiem na dół? Zdumiało mnie to i przeraziło.

Pierwszy odcinek dróżki prowadził wzdłuż urwiska. Armin przestrzegał

mnie, że to północna strona góry i są tam niebezpieczne, twarde płaty śniegu nawianego przez wiatr, mogą w każdej chwili się urwać. Dopiero dalej szlak wbijał się między drzewa i okrężnie prowadził w dolinę. Przypominałam sobie tę trasę z wycieczki z Arminem, wydawała mi się niełatwa, ale my wędrowaliśmy pod górę. Na dodatek nam sprzyjała pogoda i wcześniejsza pora dnia.

Nie miałam pojęcia, czy Kinga zdawała sobie sprawę, dokąd idzie, musiałam ją zatrzymać. Obawiałam się, że jeśli nie zasłabnie, a była przecież w marnej formie, to jak nic zabłądzi – we mgle albo w ciemnościach! Nawet dla mnie, choć miałam w plecaku latarkę, zakrawało to na brawurę.

– Kinga, wracaj! – krzyknęłam z całej mocy w stronę, gdzie zniknęła.

Wybiłam jej numer, znowu bez reakcji, z ledwością wychwytywałam z dala słaby odgłos melodyjki. Odległość między nami się zwiększyła, choć też mgła mogła tłumić dźwięk telefonu. Nie miałam czasu do stracenia, po raz kolejny tego dnia byłam zmuszona podjąć decyzję, a każda z nich dotyczyła mojej siostry. Czyżby bawiła się ze mną w kotka i myszkę? Odsunęłam tę myśl jako nielogiczną, ponieważ przeczyła temu wcześniejsza wylewność Kingi. Bardziej prawdopodobne, że miała wszystkiego dosyć.

Postanowiłam, że pomimo ryzyka spróbuję Kingę dogonić. Gdyby stało się coś siostrze, później nie wybaczyłabym sobie, iż mogłam temu zapobiec. Być może było to nawet moim obowiązkiem.

Zanim ruszyłam, musiałam kogoś poinformować, gdzie jestem – lekcje Armina nie poszły na marne. W pośpiechu wyszukałam w telefonie jego numer. Przerwany impuls mógł wskazywać, że akurat z kimś rozmawiał. Niestety, nie mogłam cierpliwie poczekać, aż będzie dostępny. W zamian znalazłam namiar Ireny.

– Czyś ty zwariowała?! Natychmiast wracaj do schroniska! – zbesztła mnie, gdy ekspresowo nakreśliłam jej sytuację. – Zaraz zawiadomię Józka, on będzie wiedział, co robić! Nie szukaj siostry na własną rękę!

– Blisko szlaku jest niezabezpieczone urwisko, Kinga może o tym nie wiedzieć! Pójdę tylko kawalek, pod lasem, a potem zawrócę! – upierałam się. – Nie wszczynaj, proszę, alarmu, bo może uda mi się ją dogonić! A jeśli nie, to bez problemu trafię stąd do schroniska i sama powiadomię o wszystkim. Rozłączam się, Ira, szkoda baterii! Zgłoszę się później!

Nie dopuściłam jej do głosu, czas naglił. Niebawem posuwałam się już śladami Kingi oraz turystów, którzy szli tędy przed nami. Ostatnio nie sypało, wydeptana w śniegu dróżka była wyraźna. Martwiła mnie natomiast mgła, gdyż odniosłam wrażenie, że jej ściana jest teraz bliżej. Znaczyło, że gęstniała.

Usiłowałam połączyć się z Kingą. Po kilku sygnałach zameldowała się sekretarka automatyczna, nie wychwycałam też żadnego dźwięku przede mną. Albo siostra celowo wyłączyła telefon, albo padła jej bateria zasilająca. Z niepokojem

stwierdziłam, że moja też była bliska wyładowania.

Szybki chód sprawił, że zadyszałam się i spociłam. Z kolei od zewnątrz otaczała mnie zimna wilgoć, która wnikała we mnie z każdym oddechem, wpychała się pod kaptur i za kołnierz. Zdawałam sobie sprawę, że nie chcąc się rozchorować, powinnam zwolnić, zarazem poganiał mnie niepokój o siostrę. Wytężałam wzrok, czy aby nie dojrzę jej przed sobą. Nie mogła być daleko.

Nie zawróciłam, gdy dróżka zakręciła w las. Chciałam pójść tylko kawałek, przypominając sobie, że szlak wkrótce poleci w dół. Może tam dojrzę Kingę? Niestety, im dalej wchodziłam między drzewa, tym robiło się ciemniej. W orientacji pomagała biel śniegu grubo pokrywającego poszycie z ciemniejszym, wydeptanym wgłębieniem.

Bez względu na to, czy zeszląbym w dolinę, czy zawróciła do schroniska, przed zmrokiem nie dotarłabym do celu. Na razie nie używałam latarki i nie miałam pewności, w jakim stanie są baterie, lepiej było je szanować.

– Kinga, zaczekaj na mnie! Kinga, idę za tobą! – wykrzykiwałam.

Wilgotne powietrze niosło moje słowa, a niekiedy powtarzało echem, wywołując u mnie przedwczesną radość, że słyszę odpowiedź. Las był niezwykle cichy, jakby wszystko, co żyje, pochowało się w norach i dziuplach. Czasem płoszył mnie jednak niezidentyfikowany trzask czy czapa śniegu spadająca z konaru. Pomimo to nie miałam poczucia zagrożenia, a przynajmniej odsuwałam takie myśli od siebie. Strach we mnie był lękiem o siostrę, a ten mnie napędzał, by nie bacząc na nic, iść ciągle do przodu.

Lęk o siostrę. Nie znałam dotąd tego uczucia. Zrodziło się w momencie, gdy wróciłam w pobliże punktu widokowego i nie zobaczyłam tam Kingi. Doznałam szoku. To było niczym spięcie w mózgu, gwałtowne i bolesne, jednocześnie spalające całą złą energię. Ona... nie żyje?! Za pierwszą myślą poszły obrazowe spekulacje, że pod moją nieobecność Kinga przeszła za barierkę i rzuciła się w głąb wąwozu. Wszystkie znaki, które wcześniej lekkomyślnie zbagatelizowałam, pamięć splotła nagle w mocny supeł pewnika, że moja siostra popełniła samobójstwo. Zaplanowała swoją śmierć i dlatego chciała ze mną się spotkać? Pragnęła mnie po raz ostatni zobaczyć? A może czekała, że dostrzegę coś i powstrzymam ją przed tym? Ja zaś, egocentryczka, miałam ją gdzieś, ważne były tylko rzeczy, które na koniec mi wyjawiała...

W tej krótkiej chwili pomiędzy moim załamaniem a telefonem Kingi poczułam coś, czego nie przewidziałabym w żadnej fantazji. Ogarnął mnie ogromny, niemierzący się z niczym żal, a na piersiach zaciskała się stalowa obroża. Nie poleciały mi łzy, był tylko ból nie do wytrzymania i przytłaczające poczucie porażki.

Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu uświadomiłam sobie, że kochałam siostrę.

Jej strata rozdzierała na drobne strzępy to wszystko, co przedtem myślałam o Kindze. Nie były już istotne jej przywary, nie miało znaczenia nic z tego, czym przez całe lata mi podpadała. Zwierzenia siostry i moje odkrycia, demaskujące jej nieuczciwość, nabrały nagle zupełnie innej rangi, nie tylko drugorzędnej, ale prawie wcale się nie liczącej! Obojętny był mi jej charakter, nie wzruszały mnie jej czyny. Niespodziewanie, również dla siebie samej, byłam gotowa usprawiedliwić Kingę, a nawet wybaczyć jej wszystko, w czym wobec mnie zawiniła. Byleby tylko móc ją raz jeszcze zobaczyć, bez pamiętliwości i bez oczekiwań.

Co dziwniejsze, nie zmieniałam zdania, kiedy okazało się, że niepotrzebnie się wystraszyłam. Odczułam ulgę, ale pozostał niepokój. Chociaż moja siostra żyła, nadal nie była bezpieczna. Zabić się można niekoniecznie skacząc w przepaść. Umysłem Kingi mogło kierować coś równie szalonego. Dokąd lub do czego zmierzała?!

Szlak leciał teraz w dół, szło mi się gorzej, a na dodatek odezwał się stary ból w kolanie. Zrozumiałam, że muszę zejść w dolinę, powrót do schroniska byłby za trudny. Szłam pogrążona w myślach, nawet nie zważałam już na oznakowanie. Wszechobecny śnieg stopniowo szarzał, w pewnym momencie uprzytomniałam sobie, że prawie nic nie widzę. Odtąd oświetlałam sobie drogę latarką.

Niedługo później zadzwieczał mój telefon. Ira. Belka mocy baterii wskazywała już niemal minimum, ale cóż, musiałam rozmowę odebrać.

– Karola, gdzie ty jesteś?! Czekam i czekam na wiadomość od ciebie!

– Nadal na szlaku... na czarnym.

– No, co ty?! Przecież zaraz będzie ciemno! W jakim kierunku idziesz?

– Na dół, za siostrą! – Staralam się udzielać krótkich, rzeczowych odpowiedzi.

– Ona jest już w schronisku! Dzwoniłam tam, bo chciałam sprawdzić, czy doszłaś. Józek powiedział mi, że...

Niestety, połączenie się przerwało; siadła mi bateria. Wobec informacji o Kindze specjalnie mnie to nie zmartwiło, bowiem oszczędzałam telefon na wypadek, gdyby trzeba było wezwać dla niej pomoc. Na szczęście, moja siostra przebywała już w pewnym miejscu, gdzie prawdopodobnie Janowicz miał na nią oko. Nie miałam zielonego pojęcia, w jaki sposób Kinga dotarła pod szczyt, skoro szła przede mną, ale wyjaśnienie zagadki na razie nie było możliwe. Moim zmartwieniem stało się teraz, jak sama mam dostać się do domu, choć nie miałabym też nic przeciwko temu, by trafić na jakąkolwiek ludzką siedzibę. Marsz był coraz bardziej wyczerpujący, buty miejscami zapadały się w śnieg, gdzie indziej poślizgiwałam się na ukrytych pod nim korzeniach. Od czasu do czasu sięgałam po śnieg, gasząc pragnienie.

Przypomniałam sobie ostrzeżenia Armina przed ignoranckim podejściem do gór, wyglądało, że byłam tego żywym przykładem. Dróżka niekiedy raptownie się

zwężała albo nawet zupełnie znikwała pod płatem zlodowaciałej bieli. Najgorzej było przy mocnych spadach, gdyż podtrzymując się pni i gałęzi, musiałam uważać, aby nie zgubić latarki. Do głowy pchały się niedobre wizje o zaginionych, zamarzniętych na śmierć turystach, bywało, że nigdy nieodnalezionych.

Trasa zdawała się nie mieć końca. Aby powstrzymać wzrastającą panikę, przymusiłam się do myśli o Kindze i o tym wszystkim, z czego zwierzyła mi się podczas rozmowy. Próbowałam uporządkować sobie nowe dane związane z moją przeszłością, były szokujące. Moja mama, ojciec, przyjaciel, a nawet siostra... Miałam wrażenie, że na każdego z nich patrzę teraz z innej perspektywy, zarazem powoli obejmując całość minionego, a nie tylko wyrywkowo jego fragmenty. Moja ocena zdarzeń pomimo kilkutygodniowych rozmyślań okazała się chybiona, podobnie jak mylne były moje pochopne osądy ich bohaterów.

Do mamy nie czułam żalu, mimo że zaryzykowała osierocenie maleńkiej córeczki dla celu, który nie był tego warty. Niewątpliwie kochała mnie, podobno byłam jej oczkiem w głowie. Ze względu na zdrowie odradzano jej macierzyństwo, a jednak, kiedy zaszła w ciążę, zdecydowała się mnie urodzić. Nie znaczyło to, że nie ceniła życia, pragnęła mieć rodzinę, dom, czyniła plany. Chcąc odzyskać męża, pokierowała się raczej impulsem, a desperacja podpowiedziała jej fatalną w skutkach taktykę. Zagrała wysoko, może nie biorąc pod uwagę słabości organizmu oraz opóźnionego powrotu ojca. Miałam prawo ją winić? Ileż fałszywych posunięć i ja miałam na swoim koncie, włącznie z ostatnim, które również mogło doprowadzić do tragedii! Moje rozważania nie zawierały ładunku emocjonalnego, może prócz smutku, że nie było mi dane lepiej poznać mamy. Inaczej gdy roztrząsałam śmierć ojca.

Zaplanował ją w najdrobniejszych szczegółach, to akurat pasowało do jego natury. Zawsze doskonale zorganizowany i pedantyczny, nic nie pozostawiał przypadkowi. Był zorientowany co do swojego stanu zdrowia. Kinga miała rację, egoistycznie wymusiłam na nim przyrzeczenie, iż nie podda się chorobie. Może gdybym wykazała więcej empatii, mnie zwierzyłyby się ze swoich zamysłów? Pytanie, czy umiałabym to unieść, przypuszczałam, że nie, tym samym stało się jasne, dlaczego wybrał Kingę.

Jego również nie miałam prawa osądzać, choć wszystko wskazywało, że targnął się na swoje życie. Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się nad swoim stosunkiem do samobójców, lecz rozumiałam, że generalizowanie nie ma sensu. Niezależnie od tego, czy był to akt tchórzostwa czy odwagi, zawsze wzdragałam się słysząc, iż ktoś dokonał takiego wyboru. Tym razem dotyczyło to bliskiej mi osoby, więc tym bardziej byłam poruszona.

Ojciec zrobił, co postanowił i najpewniej nikt by go przed tym nie powstrzymał; umarłby tak czy tak, nie miał nadziei. To, że odszedł, korzystając z przywileju wolnej woli, było dla mnie trudne do zaakceptowania, ale na razie nie

zastanawiałam się nad tym głębiej. A jednak Kinga znowu coś trafnie przewidziała, bowiem istotnie poczułam ulgę. Wyobrazenie sobie, jak ojciec ginie żywcem w płomieniach, było stokroć gorsze niż prawda.

I nagle pojęłam coś jeszcze. Nie zawiodłam go. Nie ponoszę winy za jego śmierć.

Ciocia Genia i inni ludzie mogli tak mówić, lecz nie wierzyłam im. Zakładałam, że wobec nieodwracalnego lepiej kogoś pocieszyć niż dodatkowo pograżyć. Na próżno, gdyż w moim mniemaniu zginął przeze mnie, fakty to poświadczyły. Wyznanie Kingi zamieszało nimi jak w kalejdoskopie. Powstał zupełnie inny wzór.

Coś jednak nie pasowało. Dlaczego Kinga podczas stypy zarzuciła mi, że ojciec umarł z mojej winy? Był to tylko publiczny popis aktorstwa dla podparcia oficjalnej wersji wypadku? A może wykorzystała okazję, by uczynić wyłom w stabilnej dotąd konstrukcji mojej psychiki? Jeżeli tak, to powiodło się jej lepiej, niż mogła przypuszczać. Co więcej, dowodziło mojej naiwności życiowej, zwłaszcza tej w ocenie bliskich mi ludzi.

Moja relacja z Markiem również to potwierdzała. Oszukiwał mnie i usłyszeć o tym z ust siostry nie było przyjemne. Zraniona duma zbyt długo odrzucała samokrytykę, lecz teraz pojęłam, że za swój zawód ponoszę część winy. W którymś momencie nasz układ tylko na pozór był jeszcze przyjacielski, pozwoliłam Markowi przewodzić i zaczęłam wisieć na nim jak bluszcz. Podałam mu siebie na tacy, a dalej to była już tylko równia pochyła. Nie dziwiło mnie nawet, że zainteresował się Kingą. Mogła intrygować go jej nieprzewidywalność i spryt, którego ja nie miałam. Lubił wyzwania. Domyślałam się, że w przeciwieństwie do mnie Kinga wiedziała, jak zatrzymać go przy sobie.

Powinłam mieć cichą satysfakcję, że – jeśli wierzyć siostrze – Marek nie osiągnął w życiu wiele i czas nie obszedł się z nim łaskawie. Poczułam jednak tylko coś w rodzaju nostalgicznego zasmucenia, iż dawny przyjaciel nie sprostał wygłaszanym przez siebie ideałom. I że we wspomnieniach na zawsze pozostanie mi zadra po jego zdradzie – z moją siostrą.

Przedziwne, jak niewiele myśli poświęcałam Kindze. Przez długie lata była jak mój dodatkowy, niechciany cień i też w większości moich starych zapisków postrzegałam ją właśnie tak. Jakże niewiele ją znałam, co gorsza, nie miałam chęci ani potrzeby, żeby lepiej ją poznać. Nie pamiętałam już nawet, kiedy zaczęła się moja niechęć do siostry. Dzisiaj nastąpił przełom... Po raz pierwszy od dawna nie zgasiałam myśli o niej westchnieniem zniecierpliwienia.

Na wspólnych zdjęciach z dzieciństwa byłyśmy jeszcze uśmiechnięte, zajęte zabawą. Z późniejszego okresu przypominałam sobie już tylko natręctwo Kingi oraz zazdrość, gdy robiłam coś bez niej. Z upływem czasu jej bliskość zaczęła mnie męczyć i chyba reagowałam na nią z przewrażliwieniem. Miała w sobie coś

takiego, co nawet teraz trudno mi określić... Fałszywą przymilność, cwaniactwo pod maską niewiniątka? Potrafiła łągać jak nikt i nawet przyparta do muru, zapierała się bądź przekreślała fakty. Nawet chorobę zręcznie zaprzęgała do swoich celów, manipulując rodzicami. Zyskiwała na tym, ale u mnie miała przechlapane. Nie dzieliłam z nią dziewczęcych sekretów, z całą pewnością nie mogła też liczyć na moją lojalność. Chociaż podjęłyśmy studia w tym samym mieście i na tej samej uczelni, nie widywałyśmy się tam prawie wcale. Uwolniona od Kingi nie interesowałam się jej życiem. Spotykałyśmy się niemal wyłącznie w domu rodzinnym.

Po wyjeździe z kraju ani razu nie zatęskniłam za siostrą. Osobliwa rzecz, że nawet pytana o rodzinę, najczęściej mówiłam, że jej nie mam. Spotkanie po latach nie zmieniło moich odczuć, nadal mnie drażniła, aczkolwiek zamiast nieprawdziwej sympatii był teraz cynizm Kingi, a udawaną życzliwość zastąpiło wyrachowanie. A jednak taka siostra, pewna siebie, z jawnymi wadami, odpowiadała mi mocniej niż ta, którą zapamiętałam z młodości. W gruncie rzeczy bowiem najbardziej raziała mnie chyba jej dawna dwulicowość.

Strach o nią uzmysłowił mi, że być może straciłam najbliższego członka rodziny. Była jeszcze jej matka a moja ciocia, jednak tylko w moich i Kingi żyłach płynęła krew tego samego ojca. Nie miał rodzeństwa, nie istniało więc też kuzynostwo, o dalszych krewnych nic nie słyszałam. Z naszej generacji pozostałyśmy tylko siostra i ja.

Niektóre prawdy są tak oczywiste, że stają się niemal nieważne. Dotyczyło to także tego przypadku. Potrzeba było wstrząsu, aby do mojej świadomości dotarło, że bez względu na to, jakim Kinga jest człowiekiem, pozostanie moją jedyną siostrą. Kłopotliwa, przykra we współżyciu, z ciemnymi stronami psychiki, lecz była moją najbliższą krewną, nie jakimś obcym człowiekiem, którego można odrzucić i o nim zapomnieć. W rodzinie panowały inne reguły, złamałyśmy je obydwie, pod tym względem żadna z nas nie była lepsza od drugiej. Nagłe poczucie winy łagodziła wiadomość, że moja siostra żyje. I pomaleńku rodziło się we mnie postanowienie poprawy.

Może jeszcze istniała dla nas szansa na porozumienie? Kinga wspominała coś o tym, lecz puszczałam to koło uszu, podejrzewając ją o interesowność. Jej ostatnia, niewymuszona szczerłość, zdawała się sygnalizować, iż ciążyło jej skrywanie prawdy przede mną. Nie miałam gwarancji, czy znowu czegoś nie knuła, jednak gdybanie nie miało sensu. W zamian spróbowałam odkurzyć w pamięci szczęśliwe chwile z naszego dzieciństwa, i – o dziwo – coś niecoś sobie przypominałam. Wspólne przeżywanie radości przy odpakowywaniu podarków świątecznych, wycieczki do zoo, bal przebierańców... Sceny potoczyły się nagle całym długim ciągiem, zaskakując mnie szczegółami, gdyż nie spisałam tych wspomnień w żadnym pamiętniku. Chyba nawet pomimo zmęczenia bezwiednie

się uśmiechałam. Tam, przy wąwozie, coś we mnie pękło, jakby przygotowując na przyjęcie siostry – takiej, jaka była. Podskórnie czułam, że tego potrzebuję i że moja akceptacja również i jej dobrze zrobi.

Straciłam rachubę czasu, schodziłam już bardzo długo, chyba dawno powinnam wyjść z lasu. Nie robiłam przerw, zatrzażała mnie ciemność, skrzypienie gałęzi i inne, nieznane odgłosy. Na pewno jednak zwolniłam, zmęczenie robiło swoje. Pocieszało mnie, że nie zgubiłam szlaku, choć znalezienie oznakowania przychodziło mi coraz trudniej. Wydeptana w śniegu dróżka dawała nadzieję, że gdzieś wreszcie dojdę. Wiedziałam, że muszę iść pomimo znużenia. Nie byłam zdolna do żadnych przemyśleń, osłabiona na ciele i na duchu szłam krok za krokiem. Ich rytm i rytm mojego serca.

Z jednostajnego taktu wyrwało mnie coś osobliwego, wydało mi się, że przede mną coś się zmieniło. Skierowałam snop światła w tamtą stronę, trafiając na nieprzejrzystą kurtynę mgły. Jeszcze i to, jęknęłam. Im dalej, a właściwie niżej schodziłam, tym zdawała się otaczać mnie coraz ściślej. Oddechy zamiast tlenu dostarczały płucom gęstej wilgoci, potęgując osłabienie. Wcześniej czułam gorąco, teraz na wskroś przenikał mnie chłód, może dlatego, że zwolniłam. Mroziło mnie także w środku. Mleczne, zbite opary wzmagały we mnie poczucie samotności i lęku. Z jakiegoś powodu znalazłam się w obcej sferze bezwzględnie izolującej mnie od świata, który znałam. W pewnym momencie przebiegło mi nawet przez myśl, że być może już nie żyję i będę tak wędrować przez całą wieczność.

Ledwo powłóczyłam nogami. Resztkami przytomności skonstatowałam, iż będę jednak musiała odpocząć, przynajmniej małą chwilę. Tylko... gdzie? Może oprzeć się chociaż o jakiś pień? Zatrzymałam się, jednak na próżno wypatrywałam drzew. Zwyczajnie zniknęły! Najpierw pomyślałam, że las ukrył się we mgle, potem zorientowałam się, że szlak wyprowadził mnie z niego na szerszą drogę. Na śniegu dostrzegłam ślady opon, co znaczyło, że znalazłam się na trakcie pomiędzy doliną a schroniskiem. Nie miałam pojęcia, czy doszłam do jakiegoś przesmyku leśnego czy może już niżej? Postanowiłam iść dalej, podniesiona na duchu, że nie zbłądziłam. Cóż, kiedy niewiele później całkiem opadłam z sił.

Czułam mocne zawroty głowy, nogi ważyły tonę, ślaniałam się jak pijana. Byłam już bliska stanu całkowitej obojętności, kiedy z mgły po mojej lewej stronie wyłoniło się coś wysokiego, o niezidentyfikowanym kształcie. Po chwili rozpoznałam skały. Nawet, jeśli były to te z mojej polany, i tak nie dałabym rady dojść stąd do domu. Mogłam jednak chwilę przy nich wypocząć, lepsze to niż paść z wycieńczenia na trakcie.

Kiedy dotarłam do skał, zaczęłam szukać odpowiedniego miejsca na odpoczynek i trafiłam na nieduże zagłębienie. Oparłam się plecami o ścianę, ciężko oddychając, zbierałam siły do dalszej drogi. Niestety, nie było już z czego ich czerpać. Najpierw pojawiły się dreszcze, trzęsłam się jak osika, nie potrafiłam

opanować dygotu. Było mi strasznie zimno, przemoczyłam stopy, a oblegająca mnie wilgoć sprawiała, że temperaturę powietrza odczuwałam jako niższą. Nie powróciłam na trakt. Przekraczało to moje możliwości. Potem zaczęła ogarniać mnie senność.

Ugięły mi się kolana i jakby w zwolnionym tempie zarejestrowałam, że całym ciałem zjeżdżam w puchową miękkość śniegu. Tam, oparta plecami o skałę, zapadłam w swoisty letarg, jeszcze nie snu, ale już nie jawy. W którymś momencie ustały dreszcze, a zmęczenie przeobraziło się w przedziwny, błogi stan zawieszenia. Zdawało mi się, że słyszę w pobliżu zagadkowe, przytłumione odgłosy, a we mgle przesuwają się jakieś cienie. Zamknęłam oczy, zobojętniała na wszystko; było mi dobrze, ciepło i nareszcie nie czułam zmęczenia. Nie ruszając się, bez wysiłku odchodziłam tam, gdzie już zawsze tak miało pozostać.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałam, był szept z moich ust. Wypowiedziałam tylko dwa słowa. Błędne siostry.

Na drewniany, belkowany sufit wpłynęła żółta smuga światła. Ktoś otworzył drzwi, a tuż potem skrzywienie podłogi zdradziło, że podchodził w moją stronę. Chciałam się podnieść, ale chyba zbyt gwałtownie, ponieważ pokój zawirował jak po zejściu z karuzeli. Upadłam z powrotem w poduszkę, gdy Armin, przysiadając na brzegu łóżka, niegłośnie powiedział:

- Dzień dobry! Obudziłaś się wreszcie... Jak się czujesz?
- Która godzina?
- Piąta...
- Piąta rano? – Wołałam się upewnić.
- Siedemnasta. Spałaś prawie dobrę.
- Daj mi jeszcze kwadrans... – poprosiłam, niezupełnie dobudzona.
- Śpij, ile chcesz. Lekarz twierdził, że sen ci najlepiej pomoże.
- Lekarz? – zdumiałam się.
- Tak, był tu dzisiaj.
- Nic nie pamiętam...
- Miałas wysoką gorączkę, majaczyłaś. Napij się, proszę, powinnaś dużo pić!

Kiedy usiadłam, podał mi kubek herbaty o przyjemnym, znajomym smaku. Percepcja zawiodła, ważniejsze było zaspokojenie pragnienia; usta miałam spieczone. Twarz Armina ginęła w cieniu, nie widziałam jego spojrzeń, ale miałam wrażenie, że patrzy na mnie z wyrzutem. Możliwe też, że to we mnie były wyrzuty sumienia, ponieważ czułam, że znów narobiłam zamieszania. Na moje pytanie, co właściwie się stało, powiedział tylko:

- Ciesz się, że żyjesz, byłaś bardzo wyczerpana. Potem o tym pomówimy, spróbuj jeszcze trochę pospać... Gotuję rosół, ale to potrwa jeszcze z jakąś godzinkę. Śmiertelnie mnie wystraszyłaś, Karolo! – Ostatnie zdanie wymówił z

troską, dotykając mojego czoła. – Temperatura już spadła, świetnie.

Przypomniał, że obok łóżka mam butelkę mineralnej, po czym wyszedł, przymykając drzwi. Nie umiałam i nie chciałam myśleć o tym, co się wydarzyło, łatwiej było uciec w sen i wkrótce odpłynęłam.

Jawie przywrócił mnie dopiero jakiś koszmar, zaciemnione wnętrza i cisza nie do końca pozwoliły o nim zapomnieć. Zapaliłam nocną lampkę, przywrócona świadomość miejsca pomogła, a dodatkowo otrzeźwiłam się łykami wody. Gdy po nią sięgałam, mój wzrok zatrzymał się na ramce z fotografią mamy. „Czy to ty byłaś tam przy mnie?”. Moje nieme pytanie pozostało bez odpowiedzi, jak i wiele dalszych, pchających się do głowy – wraz z wizualizacją wspomnień. A może tylko fragmentów snu?

Nie miałam pewności, sceny nadchodziły z mgły i we mgle ginęły. Przypominałam sobie wyraźnie, że szłam i szłam, oraz swój spadek sił. Pamiętałam również wszystko, co doprowadziło do mojej wędrówki, natomiast w żadnym razie jej zakończenia. Nie miałam pojęcia, jak znalazłam się w swoim łóżku, nawet w jaki sposób dotarłam do domu. Były tylko strzępy obrazów, niewyraźnych, impresjonistycznie rozmazanych. I uparty refren mojego imienia, zniekształcony echem, choć jakby całkiem blisko.

Musiałam pójść do łazienki. Nogi miałam jak z waty i trochę kręciło mi się w głowie, ale po kilku krokach zapanowałam nad ciałem. Przechodząc korytarzem, usłyszałam z dołu odgłosy rozmowy. Armin nie był tam sam.

Lustro nad umywalką objawiło mi brutalną prawdę, wyglądałam jak półtora nieszczęścia. Przetłuszczone włosy przylegały do rozognionej twarzy, od przepoconej koszulki szedł przykry zapach. Weszłam do wanny, by splukać się prysznicem, potem sięgnęłam po szampon. Do swojego pokoju wróciłam owinięta ręcznikiem kąpielowym i w turbanie na głowie. Byłam skonsternowana, zastawszy tam Armina.

– Nie przeceniasz swoich sił? – skarcił mnie łagodnie. – Rosół gotowy. Zjesz tutaj czy ze mną?

– Zaraz zejść. Ktoś tam jest? – Krępował mnie mój obecny stan, ale i godziny, podczas których byłam nieprzytomna.

– Już nie ma nikogo. – Armin podniósł się z miejsca. – Janowicz zajrzał po drodze, ten ze schroniska. Twoja siostra martwiła się o ciebie.

– Tak? – Zatrzymałam się w pół drogi do szafy. – Jak ona się ma? Wszystko z nią w porządku?

– Chyba tak. Podobnie do ciebie, przespała prawie cały dzień. Wczoraj była dziwnie apatyczna, nic nie można było z niej wyciągnąć...

– Pan Józef tak mówił? – dopytywałam się, nie bacząc, że dygoczę z zimna.

– Sam widziałem. Minęliśmy ją z leśnikiem na serpentynie, podwieźliśmy do schroniska. Ale... powinnaś chyba się ubrać. Opowiem ci wszystko na dole.

Zostawił mnie samą. Byłam dziwnie zmieszana, może dlatego, że nie wiedziałam, jak zareagować na jego obecność w domu. Z uwagi na minione wypadki moja zgoda na to najpewniej była już zbędna. Od przebudzenia się próbowałam odtworzyć ich przebieg, jednakże płynny film nieustannie kończył się przy skałkach. Dalsza projekcja składała się tylko z pojedynczych, bezsensownie pociętych, zamazanych kadrów. Nie pozostawało mi nic innego, jak wysłuchać relacji Armina.

Pachnąc świeżością, od stóp po szyję w miękkich polarach i wełnach poczułam się lepiej. Wyszłam z pokoju pewnym krokiem, jednak na schodach wołałam trzymać się poręczy, wirowało mi w głowie. Być może z głodu – rozchodzący się smakowity aromat rosółu uzmysłowił mi, że od wczoraj nic nie jadłam. Na życzenie Armina, usiadłam za stołem; z własnej woli oszczędziłam już ducha, rezygnując z lustracji kuchni. Remi wskoczył mi na kolana, musiałam go jednak zrzucić, nie chcąc przypadkiem poparzyć zupą. Syknął ze złością i zwiął w głąb pokoju.

– Zaczynij już, proszę! – zachęcił mnie kucharz i kelner w jednej osobie, stawiając przede mną talerz z rosółem.

Z makaronem, kawałkami mięsa i marchwi, ozdobiony natką pietruszki, pobudził resztę zmysłów, więc do jedzenia zabrałam się bez ociągania. Rosół dorównał swojej optyczno-wonnej zapowiedzi, nie omieszkałam zatem pochwalić kuchmistrza. Kiedy zjedliśmy, Armin zdecydował się nawiązać do minionego dnia.

– Wiem, że spotkałaś się z siostrą przy punkcie widokowym na wawóz... Dziwne miejsce, zważywszy wczorajszą mgłę. Potem rozstałyście się, tak?

– Odeszłam stamtąd, ale po paru minutach wróciłam. Kingi już tam nie było, jednak usłyszałam jej telefon i poszłam za nią... wołałam ją... Nie wiem, czemu na mnie nie zaczekała?

– O to będziesz musiała sama ją zapytać – przerwał moje dywagacje. – Szłaś za siostrą... którą?

– Czarnym szlakiem, wzdłuż urwiska.

– Wynika z tego, że ona potem skręciła z niego na inny. Musiałaś przeoczyć to rozwidlenie. Poszłaś lasem w dół, a siostra doszła do drogi. Tam właśnie ją spotkaliśmy.

– Dziwne. Poszła w inną stronę, więc myślałam, że nie chce wracać do schroniska.

– Trudno powiedzieć, co ona chciała, jednak ty mogłaś, a nawet powinnaś do niego wrócić. Karolo... O tej porze schodzić w dolinę? – Ganił mnie wzrokiem.

– Bałam się o Kingę. Ta mgła, urwisko... chciałam ją przestrzec... w razie czego jej pomóc – jąkałam się, w duchu zgadzając się z Arminem.

– Jak w kawale o ślepym i kulawym! – Pokręcił głową i ciągnął: – Ty dla niej ryzykowałeś, a ona dopiero dzisiaj przypomniała sobie o tobie.

– Kinga nie powiedziała wam o mnie?!

– Nie. W aucie prawie wcale się nie odzywała. Wyglądała jak na prochach. A w schronisku od razu poszła na górę. Całe szczęście, że tam byliśmy, kiedy Janowicz odebrał telefon swojej bratowej. Irena opowiedziała mu o przerwanej rozmowie z tobą. Gdyby nie ona, nikt by nawet nie wiedział, że wyszłaś w góry! Prosiłaś się o tragedię... Brak mi słów! – Istotnie na chwilę zamilkł.

– Mnie też. – Tym razem przyznałam już na głos.

Zerknął na mnie spod oka, po czym mówił dalej:

– Trzeba było cię odszukać. Naradziliśmy się, że ja i Janowicz zejdziemy twoimi śladami. Na wypadek, gdyby trzeba było cię transportować, zabraliśmy sanie. A leśniczy swoim gazikiem patrolował drogę w dolinę. Niestety, istniały małe szanse, że odnajdziemy cię przed ciemnością. Gdyby nam się nie powiodło, nazajutrz planowaliśmy zorganizować poszukiwania już na szerszą skalę.

– Kto mnie znalazł? – Miałam nadzieję, że nie doszło do akcji ratowniczej.

– Powoli... – Nakazał mi cierpliwość. – Jakies dwie godziny później spotkaliśmy się tutaj. Na szlaku cię nie było, do domu ani do schroniska też nie dotarłaś, wyszło więc na to, że jednak pobłądziłaś we mgle. – Przeszył mnie wzrokiem i znów pokiwał głową. – No, dobra... Leśnik odwiózł Janowicza do schroniska, ale wracając, zajechał tu jeszcze raz, żeby się upewnić, czy może wróciłaś. I wtedy zdecydowaliśmy się przeszukać polanę.

– Dlaczego? Leśniczy coś zauważył?

– Nie, była gęsta mgła. Ale wysiadając pod domem, wyłowił coś uchem. Twierdził, że z daleka dochodziły jakieś osobliwe odgłosy. Jakby zawrozczenie, które urywało się i cichło. Mówił, że nigdy wcześniej czegoś podobnego nie słyszał.

– Płacz saren... – Wymawiając szeptem te słowa, poczułam dreszcze na plecach.

– Bałem się, że może leżysz gdzieś niedaleko, zraniłaś się, złamałaś nogę...

– Armin nie patrzył na mnie. – Zabraliśmy sanie, mocne latarki i ruszyliśmy raz jeszcze, tym razem dróżką wzdłuż ogrodzenia, cały czas cię nawołując. Przebijaliśmy się też na przełaj, a potem przyszło mi na myśl, aby sprawdzić jeszcze przy skałkach. I tam cię znaleźliśmy. Dosłownie kilka metrów od traktu.

Dopiero teraz na mnie spojrział.

– Chciałam tylko odpocząć. Zasnęłam?

– Byłaś... półprzytomna, kompletnie wyczerpana. Na szczęście, niczego sobie nie odmroziłaś. Zawieźliśmy cię stamtąd do domu... Nie pamiętasz tego, co?

– Nie... tylko jakieś migawki.

– Nic dziwnego. Potem podniosła ci się temperatura, rzucałaś się, mówiłaś od rzeczy. To była ciężka noc... – sapnął. – Rankiem leśniczy przywiózł lekarza, lecz dzięki Bogu kryzys wtedy już minął...

Armin mówił bez emocji, jednak u mnie one mimowolnie wzrastały. Przypuszczałam, że musiało być ze mną źle, skoro nawet teraz, niemal po dobie, czułam się chora. Przygnębiała mnie świadomość, że wystawiłam na niebezpieczeństwo także inne osoby. Było mi wstyd. Za zwięźle opowiedzianą historią kryły się godziny mozolnego marszu mężczyzn w ciemnościach i mgle, a przecież na własnej skórze doświadczyłam, co to znaczy. Wolałam nie wyobrażać sobie spotkania z leśniczym i Janowiczem, nie miałam nawet teraz odwagi podnieść oczu na Armina. Musiałam to znowu zrobić, kiedy zapytał:

– Długo błądziłaś po polanie?

– Raczej wcale – odparłam po zastanowieniu. – Starłam się trzymać szlaku i nagle zorientowałam się, że jestem już na trakcie, tym odśnieżanym pługiem.

– Coś tu się nie zgadza. Gdybyś schodziła czarnym szlakiem, musielibyśmy cię spotkać.

– Niekoniecznie, bo wyszłam dużo wcześniej od was. – Wzruszyłam ramionami.

– Niemożliwe. Nie masz doświadczenia, a w śniegu idzie się wolno. Musiałaś jednak pobłądzić i na polanę dotarłaś później, niż myślisz – upierał się Armin. – Według moich obliczeń, byłaś jakieś pięć godzin w drodze.

– Pięć godzin?! Niemożliwe!

– No to posłuchaj. Twoją siostrę podwieźliśmy do schroniska około szesnastej. Przypuśćmy, że wtedy już jakąś godzinę schodziłaś. A znaleźliśmy cię dopiero po dwudziestej.

– Po dwudziestej?! Zdumiewające. Nie, nie mogłam tak długo iść, schodziłam tylko szlakiem i nigdzie się nie zatrzymywałam. Hm... Jedyne co przychodzi mi do głowy to, że resztę czasu spędziłam przy skałkach...

– Dwie, trzy godziny? – Pokręcił głową.

– Może zasnęłam.

– Tyle godzin bez ruchu? Zamarzłabyś! A ty byłaś wręcz rozgrzana, jakbyś doszła tam na krótko przed naszym przybyciem. Nie, Karolo. Musiałaś stracić rachubę czasu. Nie wiem, jak to zrobiłaś, że wcześniej nie opuściły cię siły... Twój Anioł Stróż miał pełne ręce roboty!

Opowieść Armina zdeorientowała mnie. Ktoś z nas dwojga na pewno mylił się w ocenie zdarzeń. Droga z góry zdawała się nie mieć końca, lecz trudno było mi uwierzyć, abym schodziła nią tyle godzin. Z kolei, nie umiałam też podważyć argumentu Armina, że gdybym wędrowała czarnym szlakiem, on i Janowicz musieliby mnie dogonić bądź minąć. Przecież nie mogłam rozplynać się we mgle! Czy na pewno zboczyłam z drogi tylko ten jeden raz, aby odpocząć przy skałkach? Dałabym głowę, że tak właśnie się stało.

Armin przytaczał podobne przypadki lekkoduchów, którzy wypuszczali się w góry z przesadnym mniemaniem o własnej kondycji, nie bacząc na warunki

pogodowe. Nie protestowałam, czując, że to jego forma pośredniego odreagowania zdarzeń minionej doby. Pod swoim adresem, oprócz kilku uwag, nie usłyszałam reprimendy, być może na razie mnie oszczędzał.

Rosół dodał mi sił, więc zdecydowałam się pozostać na dole, przenieśliśmy się tylko w pobliże kominka. Usiedliśmy w fotelach naprzeciw siebie, nad kubkami parującej herbaty. Miała znów ten znajomy, charakterystyczny smak i tym razem skojarzyłam go z odległym wspomnieniem. Deszcz zacinający w okna wiejskiego domu babci, ja otulana przez nią kocem, gdyż wróciłam przemoczona do suchej nitki. I tak samo pachnąca herbata...

– Jest z sokiem malinowym. Garbarkowa posłała dla ciebie, podobno zbija gorączkę – powiedział Armin. – Z kolei pani Irena podała piękny kawał mięsa i włoszczyznę na rosół. Masz przyjaciół w wiosce...

– Oboje mamy – sprostowałam, wzruszona troską o mnie.

Najwięcej do zawdzięczenia miałam Arminowi, lecz nie umiałam znaleźć stosownych słów, żeby to wyrazić. Nie tak wyobrażałam sobie nasze ponowne spotkanie. Peszyło mnie, że po raz kolejny zobaczył mnie w stanie godnym pożałowania i znowu wyciągał z tarapatów. Nie tylko z poświęceniem mnie poszukiwał, ale jeszcze potem do rana czuwał przy moim łóżku. Martwił się o mnie, choć też zapewne był zły, iż nie posłuchałam jego ostrzeżeń. Czy za tyle kłopotu wystarczy zwykłe „dziękuję”?

– Przepraszam cię... – zaczęłam od tego. – Zabrakło mi wyobraźni. Jakoś nie pomyślałam, że nie tylko siebie narażam.

– Skrucha mile widziana! – podchwycił żartobliwie, zaraz jednak spoważniał: – Dla gór trzeba mieć respekt, ale to, co się stało, poniekąd jest także moją winą. Wyrzucałem sobie, że zostawiłem cię samą.

– Ty?! – zdziwiłam się. – Przecież nie miałaś z tym nic wspólnego! Kinga chciała zobaczyć się ze mną, a cała reszta, to już tylko następstwo mojej bezmyślności.

– Ale gdyby nie ja i moja prośba o dyskrecję, spotkałabyś się z siostrą w domu, a nie w schronisku.

– Nieprawda, nie zaprosiłabym jej tutaj – przyznałam uczciwie. – Z wielu powodów nie chciałam, aby Kinga kręciła się po moim życiu. Wolałam widywać się z nią w neutralnych miejscach. To nie twoja wina, Arminie. Poszłam na to spotkanie z własnej, nieprzymuszonej woli. Pomimo wszystko... było warto.

– Nie rozumiem.

– Ponieważ czuję, że w innym czasie nie powiedziałałaby mi tego, co tam, przy urwisku. Wiesz, trafiłam na wyjątkowy nastrój Kingi. Była zubożniała, zdesperowana, a przez to szczerą. Być może nawet teraz tego żałuje.

– Powiesz mi, co to było? – zapytał miękko.

– Dowiedziałam się rzeczy, które chyba pomogą mi wreszcie uporządkować

moją przeszłość – odparłam ogólnikowo. – Kiedyś powiedziałaś, że każde z nas musi z osobna z nią się uporać. Miałaś rację, Arminie.

– Myślałem wtedy wyłącznie o sobie, o swoim pogmatwanym życiu! Wołałem nie wciągać cię w moje brudy. Nic to jednak nie dało, a wręcz nawet pogorszyło sprawę. Otrzymałaś prawdę o mnie w najgorszym wydaniu.

– Zgadza się, ale... bez urazy, niektóre sekrety i ja zachowam tylko dla siebie.

Armin chyba jednak poczuł się dotknięty, wstał i bez słowa poszedł w stronę kuchni. Kiedy wrócił, uśmiechał się do mnie, przyniósł butelkę wina.

– Wybacz, że tobie nie należę... Na razie lepiej nie pij alkoholu! – usprawiedliwił się, wskazując na jedyną lampkę w drugiej dłoni.

Tym razem usiadł tuż przy mnie, a kiedy napełnił szkło i posmakował trunku, powiedział:

– Oczywiście, masz pełne prawo do własnych tajemnic. Może przyjdzie czas, że będziemy sobie ufać całkowicie. Nie... nie obawiaj się, na pewno nie będę cię poganiać. Musisz jednak wiedzieć, że w pewnej sprawie, która nas dotyczy, zmieniłem zdanie. Chciałbym tu wrócić.

– Już tutaj jesteś.

– Ktoś musiał zaopiekować się tobą. – Uśmiechnął się i otoczył mnie ramieniem.

– Dziękuję ci. – Staralam się, aby nie zabrzmiało to sarkastycznie.

– Istnieje też inny aspekt – dodał Armin. – Samotność przestała mnie cieszyć. Nie wytrzymuję z dala od ciebie i tego domu. To jak?

– Dobrze.

Zawstydził mnie beznamiętny ton mojej zgody. Ucieszyłam się przecież, że Armin na powrót będzie tu ze mną, więc dlaczego nie potrafiłam okazać radości?

Przeczuwałam, że moje wątpliwości brały się wyłącznie z lęku, który był we mnie. Strachu przed życiem, jakie Armin prowadził, znanym mi wyłącznie z niepoważnych źródeł. Z obawy, że nie podołam jego oczekiwaniom i w innym otoczeniu niż nasza polana skompromituję się w jego oczach. Nie bez znaczenia były również moje minione związki z facetami, na Timie skończywszy. Po raz pierwszy przyznałam przed sobą, iż problem nie leżał wcale w Arminie. To ja stwarzałam go swoim brakiem odwagi i wiary, że mogłoby nam się udać. Byłam beznadziejna.

Kotu minęły fochy, pojawił się przy nas i ułożył sobie miejsce w fotelu naprzeciwko. Moment później już pochrapywał, do rytmu ze spokojną muzyką z radia. Wsłuchiwałam się w nią w milczeniu, obserwując języki ognia – pełzały po wnętrzu kominka, niekiedy z nagłą iskrzyły. Otoczona ramieniem Armina delectowałam się idącym od niego ciepłem i jego akceptacją moich słabości. Uspakajało mnie, że nie popędzał czasu, zarazem naturalnie przywrócił dawny

porządek, gdyż w gruncie rzeczy tego właśnie chciałam. Chwilowo postawiłam na intensywność przeżywania tego, co jest, a nie co było lub będzie. W założeniu – bowiem nie wiedzieć kiedy, zapadłam w coś w rodzaju drzemki, której sprzyjała leniwa atmosfera wieczoru. I wówczas, na pograniczu jawy i snu, znów nadeszły urywane kadry.

Przeniosłam się w pobliże skałek.

Nie byłam tam sama. To, co brałam za cienie, przybierało wyraźne kształty i zbliżało się do mnie. Najpierw ostrożnie, płosząc się, gdy wykonałam najmniejszy ruch latarką lub w ich stronę spojrzalam. Potem mój wzrok zamgliło zmęczenie. Chyba popadałam już w błogi letarg, gdy poczułam na twarzy czyjś oddech i wilgotny, zamszowy dotyk na policzku. Osobliwe doznanie sprawiło, że resztką sił zmusiłam się do otwarcia oczu. Wtedy je zobaczyłam, były bardzo blisko. Podświetlone tylko częściowo, ponieważ latarka musiała wypaść mi z dłoni, wydały się monstrualnej wielkości. Niezdolna nawet do przerażenia, zmarznięta i bezsilna, poddałam się temu, na co i tak nie miałam już wpływu...

... Miękość, kołysanie, wszystko niebieskawozielone. Byłam na chmurze, płynęłam z wiatrem, klarowne powietrze wpadało mi do płuc, rozwiewało włosy. A więc to jest tak! Spełnione marzenie z dzieciństwa przekroczyło moje wyobrażenia, śmiałam się i płakałam ze szczęścia. Niesamowite widoki w dole, a z mijanych chmur machali do mnie inni podróżnicy. Jedno wiedziałam na pewno, wracałam do domu. Gdziekolwiek był...

Kiedy podniosłam powieki, najpierw nie widziałam nic, później bardzo powoli wyłonił się świat, jakiego nie znałam, kontrastowy do tego sprzed chwili, złożony z naprzemiennych warstw mleczej szarości i czerni. Dalej była już tylko nieprzenikniona ciemność. Z dziwną obojętnością zarejestrowałam, że zewsząd otacza mnie przyjemnie ciepły ciężar. Po chwili zrozumiałam. Leżały obok mnie, oddychając nie zawsze równo, ale spokojnie, nie reagowały na moje nieznaczące ruchy. Niebawem znów oddaliłam się w sen czy w jakiś inny, jemu podobny byt.

Nastąpiła bezczasowa błogość...

Czas przypomniał o sobie zmianą. Moje zmysły zakomunikowały, że wokół mnie coś się dzieje. Niezidentyfikowane odgłosy, potrącanie, a moja głowa, dotąd oparta o coś miękkiego, dotykała teraz zimnej ściany. Mimo że nie otwierałam oczu, zdawałam sobie sprawę, iż pozostałam znowu sama, jednak miałam też nieodparte wrażenie, że nie na długo. Ktoś nadchodził. Raz za razem, jak przez tubę, dochodziły do mnie dźwięki, które wreszcie rozpoznałam jako przywoływanie mojego imienia. Nie interesowało mnie to, pragnęłam spać, przybrałam w śniegu pozycję embrionalną.

Chciałam z powrotem do ciepła albo na swoją chmurę.

Tak, teraz przypomniałam sobie wyraźniej. Nieznośne głosy, abym się obudziła, piekące łyki alkoholu w gardle, poszturchiwania i przenoszenie mnie na

sanie. Twarz Armina i innego mężczyzny. Niekończąca się, tym razem niewygodna jazda – do innego już domu. I potem moje narkotyczne wizje.

– Zdrzemnęłaś się? – Pytanie padło prawie jednocześnie z moim otrzeźwieniem. – Przepraszam, ramię mi zdrętwiało.

Armin wysunął je spode mnie. Sięgnął po lampkę, dopił wino, po czym znów ją nim napełnił. Obserwowałam to wszystko w milczeniu, wciąż jakby w niezdecydowaniu zawieszona pomiędzy dwoma światami. Powoli do mojego umysłu przedzierała się cała prawda o tym, co zdarzyło się na polanie. Niewyobrażalna, fantastyczna, a jednak dla mnie realna.

– Zaparzę ci świeżą herbatę – zaproponował Armin.

– To były sarny – rzuciłam cicho, jeszcze zanim zdążył podnieść się z miejsca.

Odwrócił się do mnie z pytającym, zdumionym spojrzeniem, toteż ciągnęłam:

– Wczoraj, przy skałkach. Ogrzewały mnie sobą. Dlatego moje ciało nie zdążyło się wyziębic.

– Karola... – Armin jęknął i popatrzył na mnie ze współczuciem.

– Wiem, to nie do wiary, i na pewno myślisz, że je wyśniłam! Ale one naprawdę tam były! Widziałam je. Dotykałam ich, czułam ich ciężar i zapach, ułożyły się wokół mnie, niemal na nich leżałam! To nie majaki. One mnie uratowały! – ekscytowałam się coraz bardziej. – Teraz wszystko się zgadza, i czas, który spędziłam na zimnie, i dlaczego nie znaleźliście mnie na szlaku! Miałam rację, byłam przy skałkach. A ze mną sarny!

– Uspokój się, proszę! – Armin złapał mnie za obydwie dłonie. – Posłuchaj siebie, co ty mówisz...

– Uwierz mi! Były tam! A wcześniej płakały, aby dać komuś znać, że grozi mi niebezpieczeństwo! – Nie odpuszczałam. – Garbarkowa się myliła. One nie płaczą na śmierć, lecz żeby ostrzec.

– Karola! – napomniał mnie znowu. – Byłaś półprzytomna, miałaś gorączkę... W takim stanie miewa się przywidzenia!

– Nie, to nie to. Przed chwilą wszystko sobie przypomniałam. Halucynacje nie mogą być tak realne!

– Mogą... – Wpatrywał się we mnie, aż moja pewność zmaląła. – A swoją drogą, odkąd to sarny płaczą?

– Płaczą, zapytaj Garbarków. Państwo Witomscy też je słyszeli, a wczoraj leśniczy. – Przynajmniej tego nie pozwoliłam sobie obalić.

– Wierzysz w bajki. To mogło być wszystko, wycie wiatru albo jakieś ranne zwierzę... Zresztą, nieistotne. Karola, znaleźliśmy cię samą przy skałkach. Nie było tam żadnych saren.

– Uciekły słysząc, że nadchodzicie! Nie dostrzeżliście ich... Ta gęsta mgła!

Spoglądał na mnie z troską i ciężko westchnął.

– Zrobię ci herbatę, mam wrażenie, że temperatura znowu ci podskoczyła. Przyniosę termometr...

– Nie, dziękuję. Wystarczy herbata z sokiem – odparłam trochę naburmuszona.

Musiał to zauważyć, gdyż chwilę pomyślał i zaoferował kompromis:

– No, dobrze. Jutro wybiorę się do skałek. Dla twojego i mojego spokoju sprawdzę to miejsce, w którym byłaś. Mogę nawet na dowód zrobić tam zdjęcia, jednak już teraz wiem, co tam będzie. Ślady naszych butów i sań, nic więcej. Mam nadzieję, że to cię przekona. To co, zostawiamy temat do jutra?

– Zgoda! – Rozchmurzyłam się; szkoda było wieczoru, a ja i tak wiedziałam swoje.

Nocą zaczął padać śnieg. Rankiem nasypało go tyle, że zniknęło dojście do furtki, a im dalej w dzień, tym zasp przybywało. Po raz kolejny tej zimy dom na polanie został odcięty od świata. Wskutek kaprysu pogody sprawa saren miała na zawsze pozostać zagadką. Pamiętając sceptyczne podejście Armina, nie wróciłam do niej więcej, nie w słowach. Przez moje myśli sarny przebiegały odąd wielokrotnie.

Patrzyłam, jak srebrzyście oblodzoną wstęgą drogi nadjeżdża gazik leśnika. Przy zakręcaniu na parking przed schroniskiem trochę nim zarzuciło, ale kierowca nad tym zapanował. Idące ledwo ponad czubkami drzew słońce oraz jaskrawa biel śniegu raziły mnie w oczy, sięgnęłam po okulary. Dopiero wtedy, spoglądając na Kingę zza przyciemnionych szkieł, rzuciłam na pożegnanie:

– Na mnie już pora! Gdybyś zmieniła zdanie, zostaw mi wiadomość.

– Przykro mi, nie zmienię – odparła z przekornym uśmiechem. – Dobrze mi tu. Sama powiedz, po kiego miałabym już wracać?

– Jak chcesz... – Zgasiłam jej próbę wciągnięcia mnie w nową dyskusję. – Idź już, przewieje cię tutaj na wylot! No to... do widzenia!

Uścisnęłyśmy się cokolwiek niezdarnie. Odchodząc, czułam na sobie jej wzrok i rzeczywiście, zbliżywszy się do pojazdu, dostrzegłam, że Kinga wciąż stoi przy wejściu. Pomachała mi, lecz zanim zdążyłam zrobić to samo, odwróciła się i zniknęła za drzwiami.

Armin wysiadł z gazika, gdyż musiał uporządkować tylne siedzenie, było zawałone jakimiś rzeczami.

– Wszystko w porządku? Jesteś zadowolona ze spotkania? – spytał, gdy czekałam, by zająć miejsce w wozie.

– Nie wiem... muszę to w sobie przetrawić. Pogadamy w domu, dobrze? – poprosiłam, a on kiwnął głową.

Wreszcie mogliśmy ruszyć. Siedzący za kierownicą leśniczy prawie się nie odzywał, mimo że Armin prowadził z nim coś w rodzaju dialogu. Jego rozmówca

reagował potakiwaniem bądź najwyżej kilkoma słowami. Zjazd ośnieżoną serpentyną wymagał koncentracji, przypuszczałam jednak, że to również moja obecność sznurowała mu usta. Głęboko osadzone, ciemne oczy obserwowały mnie w lusterku już rankiem, w trakcie podróży na górę.

I tym razem wołałam nie spoglądać za okno. Wydawało mi się, że jedziemy skrajem drogi i brakuje centymetrów, by stoczyć się ze zbocza. Przymykałam powieki, ale wtedy było jeszcze gorzej, każdy gwałtowny ruch auta powodował u mnie palpacje serca. Niekiedy Armin obracał się ku mnie i dodawał mi otuchy uśmiechem, już przywykł do trasy, a z racji zawodu pewnie też do sytuacji ekstremalnych.

W minionych dniach, podczas których zawieja zatrzymała nas w domu, rozmawialiśmy o wielu sprawach, również o jego pracy. Wybór szkoły filmowej uzasadnił nie miłością ani nawet predyspozycjami.

– Szkoda mi było życia na jedno życie! – wyznał w tonie żartu. – Od dziecka byłem wszystkiego ciekaw i rozpiełała mnie energia. Kiedy przyszło zastanowić się nad swoją przyszłością, okazało się nagle, że mam poważny problem. Interesowało mnie multum rzeczy, nie umiałem się zdecydować, co gorsza, miałem obawy, że przy żadnej z nich długo nie wytrwam. Wtedy po raz pierwszy pomyślałem o aktorstwie, jako że daje możliwość wcielenia się w różnorodne postacie. Oczywiście, to uproszczone i bardzo naiwne podejście! – Zaśmiał się głośno. – Ale od tej młodzieńczej idei wszystko właściwie się zaczęło.

Dopytywany, opowiedział mi więcej o swojej drodze aktorskiej oraz o blaskach i cieniach tego zawodu. Z pozycji widza ciekawił mnie dotąd efekt końcowy prezentowany na deskach scen czy przed kamerami. W swoim odczuciu potrafiłam odróżnić grę świetną od fatalnej oraz domyślałam się, że ta pierwsza jest tylko po części wynikiem talentu, a reszta płonem niemałej pracy. Naturalność aktorów może być tak samo pozorna, jak lekkość pióra pisarza. Z wrażenia zaniemówiłam, kiedy na moją prośbę Armin wymienił mi grane przez siebie role, teatralne i filmowe. Z kolei delikatnie wypytywana o moje upodobania, przyznałam, że bardziej od teatru lubię jednak iluzję, jaką stwarza kino. Ostrzegłam przy tym, że jestem dyletantem.

– Nie mam dużej wiedzy na temat tych dziedzin, albo mi się coś podoba, albo nie podoba. Nie czytam recenzji i krytyk, nie oglądam też materiałów dodatkowych do filmu. Nie interesuje mnie, jakie intencje miał reżyser i jakich sztuczek się używa, by podziałać na emocje. Zostawiam to profesjonalistom. Idę na sztukę czy na film, żeby coś przeżyć, czasami też tylko po to, żeby się rozerwać. Ale jeśli po wyjściu z teatru lub kina zastanawiam się nad tym, co zobaczyłam, czuję, że miałam udział w czymś szczególnym i zostanie to we mnie na dłużej.

– Dla twórców jesteś idealnym odbiorcą! Reagujesz intuicyjnie, a nie tak, jak według krytyków wypada odnieść się do sztuki!

Armin pięknie opowiadał o swoim zawodzie, jednak nie idealizował. Zdradził mi pewne tajniki zakulisowe, na tyle ogólnie, by nie powiązać ich z żadnymi konkretnymi nazwiskami. Jak w każdym środowisku, tak też i w tym poza indywidualnymi warunkami liczyły się układy. Nie brakowało również fałszu, intryg i zawiści. Doświadczył tego na własnej skórze, na szczęście, był na tyle dobry, że na razie bezrobocie mu nie groziło.

Jego słowa zgadzały się z moimi stereotypami o tych kręgach. Natomiast pewną nowością dla mnie było usłyszeć o dylemacie rozpoznawalnych aktorów. Przedstawił to w kilku zdaniach:

– Nieprawdą jest, że aktor czerpie tylko z siebie. Do pewnego stopnia na pewno to się udaje, lecz z czasem może stać się zmanierowany i nudny. Aktor musi przebywać między ludźmi. Uczy się ich zachowań, podsłuchuje mowę, przyswaja gesty i tak dalej. Cóż, kiedy wraz z popularnością ludzie zaczynają go inaczej traktować, stają się w jego obecności nienaturalni, mniej spontaniczni.

W jednej sekundzie przypomniał mi się przymilny człowiek obsługujący nas kiedyś w schronisku i wychwyciłam, w czym rzecz.

– Stała asysta takich chyba może nawet wypaczyć charakter.

– Trafne spostrzeżenie. Kiedyś mówiło się, że woda sodowa uderza do głowy. W pewnym momencie i ja byłem tego bliski – wyznał zaskakująco otwarcie. – Dlatego od czasu do czasu muszę pobyć z dala od tego wszystkiego, nabrać do siebie dystansu.

– Całkowite odosobnienie też nie jest dobrym wyjściem – stwierdziłam już w ogólnym znaczeniu.

– I w tym cały paradoks, ponieważ, aby nie zatracić siebie w publicznym wizerunku, konieczna jest konsekwentna ochrona swojej prywatności. Żadnych zbyt osobistych wywiadów, sprzedaży prywatnych zdjęć, daleko od sensacyjek i tak dalej. Próbowałem kiedyś ustalić to z Ludmiłą, lecz niestety była innego zdania. Wiem, że przynajmniej część plotek o nas napędziła mediom ona sama... szczególnie po naszym rozstaniu.

– Reagowałeś na to?

– Nie, prostowanie przynosi skutek odwrotny, dodatkowy szum. Rozumiesz chyba jednak, że szybki rozwód nie jest w jej interesie. Skończą się spekulacje na temat naszego małżeństwa, skończy się i rozgłos.

– Może pogodzicie się jeszcze...

Przejście od aktorstwa do ich związku krępowało mnie, taiłam to pozorowaną obojętnością. Przeciwnie Armin, gdyż odparł nie bez egzaltacji:

– Nie chcę kobiety, dla której nie liczę się ja jako ja, a tylko to, czym się zajmuję. Dla której małżeństwo było tylko środkiem do celu!

– Chyba nikt cię do niego nie zmuszał... – odważyłam się na sarkazm.

– W rzeczy samej. – Wzruszył ramionami.

Pulsująca żyła na jego szyi ujawniała, że emocje w nim nie ostygły. Myślałam, że na tym zakończył, a jednak nie, mówił dalej, już spokojniejszym głosem:

– Natura, stwarzając Ludmiłę, zastawiła na mężczyznę wyjątkowo perfidną pułapkę. Coś jak z muchomorem, ęci od zewnątrz, a w środku trujący... Pobraliśmy się zaledwie po kilku tygodniach znajomości. Egzotycznie, romantycznie, o zachodzie słońce na plaży...

– W Tajlandii.

– Tak, na planie filmu, ona dostała w nim jakąś małą rolę... później ją wycięto. W każdym razie, właśnie tam zaiskrzyło między nami... jakiś obłęd... do dzisiaj trudno mi to pojąć! – Zerknął na mnie, żeby sprawdzić reakcję. – Przepraszam, to nie ma nic do rzeczy... Czar zresztą wkrótce prysnął. Ledwo wróciliśmy do kraju, a zdjęcia z naszego ślubu ukazały się w jednym z kolorowych pism! Tylko przez przypadek dotarło do mnie, że nie zrobił ich żaden paparazzi, ale że Ludmiła za moimi plecami dogadała się z jakimś fotografem. Wściekłem się wtedy, to była nasza pierwsza poważna scysja. Niestety, nie ostatnia, gdyż parcie na szkło Ludmiły było ważniejsze niż nasza prywatność i dobro naszego małżeństwa. Wreszcie nadszedł moment, w którym zrozumiałem, że bezsens jest ciągle godzenie się na chwilę. No, cóż... zawód sobą był obustronny.

– A konkretnie?

– Ona liczyła, że ułatwię jej zrobienie kariery. Ja natomiast pragnąłem rodziny i zwykłego, domowego ciepła. Szkoda, że nie dogadaliśmy się przed ślubem. Potem było już za późno, a teraz rozumiem, że to nie mogło funkcjonować, nie w tym układzie.

Mniej więcej to samo sugerował mi już podczas innej rozmowy, zdziwiło mnie, że znów do tego wrócił. W gruncie rzeczy nie miał dla mnie żadnych nowin ani niczego też nie przyrzekał, wszystko więc zostało po staremu. Powikłana sytuacja, w jakiej się znalazł, zresztą też nie bez własnej winy, uzasadniała jego ostrożność w składaniu zobowiązań. Jedną część mnie skłaniała się ku temu, aby powiedzieć mu, iż te są dla mnie nieważne. Dobrze pamiętałam tęsknotę za Arminem, kiedy wyprowadził się z domu, moje nocne marzenia, aby ogrzał mnie sobą, był moim mężczyzną. W jego obecności moje życie wydawało się prostsze i ja sama mniej skomplikowana. Potrzebowałam go, uwierzyłabym nawet, że on też mnie potrzebuje, nie tylko naszej intymnej bliskości, ale również tej powszedniej. Pojawiły się również inne podszepty, Karoli niepewnej, bezkompromisowej, naznaczonej przeszłością. Jednakże słyszałam je coraz rzadziej...

Gazik skręcił z traktu na drogę, a właściwie na dwa pasy ubitego przez koła śniegu wiodące stąd do naszego domu. Rankiem tą samą trasą jechaliśmy w przeciwnym kierunku. Zimny, ale wreszcie suchy i słoneczny poranek sprawił, że zdecydowałam się wyjść na spacer.

– Może odwiedziłabyś siostrę? – podsunął mi wtedy Armin. – Podwieziemy cię z leśniczym do schroniska, wybieramy się dzisiaj w tamten rejon. A w drodze powrotnej znowu mogłabyś zabrać się z nami.

– No, nie wiem, trochę obawiam się spotkania...

– ...z Kingą? – zgadywał.

– Nie, z nią to nawet muszę pogadać. Chodzi o leśnika i pana Józefa. Wstyd mi przed nimi, przecież nie mam nic na usprawiedliwienie swojej głupoty! Na dodatek, akurat ci dwaj zawsze są tacy nieprzystępni...

– Mylisz się! – znów wszedł mi w słowo. – To raczej ty ich onieśmielasz. Przyznaję, są skryci, ale wierz mi, przy bliższej znajomości dużo zyskują. Daj im więcej czasu, Karolo. Myślę, że wystarczy im zwykle podziękowanie, nie oczekują przesadnej wdzięczności. To hardzi mężczyźni, przywykli do gór.

Prędzej czy później i tak musiało dojść do konfrontacji. Leśniczy przyjął moje nieskładne słowa z charakterystyczną dla siebie, bądź też względem mnie – powściągliwością. Mimo to poczułam, że przeprosiny odniosły pożądany skutek. Natomiast Janowicz, na którego natknęłam się już w schronisku, zaskoczył mnie żywą reakcją, poczuwając od uśmiechu na mój widok po zapewnienie, że grunt, iż wszystko skończyło się dobrze. Zdumiała mnie zażyłość, jaką miałam okazję zaobserwować pomiędzy nim a Kingą. Tym spostrzeżeniem podzieliłam się z Arminem, kiedy w domu wspólnie przygotowywaliśmy posiłek.

– Jak to możliwe? – zastanawiałam się głośno. – Ledwo się znają, a pan Józef zdaje się być na każde jej zawołanie! Ona zaś zachowuje się jak mała, bezradna dziewczynka. Mam obawy, że Kinga wykorzysta go i zostawi, a przecież dopiero otrząsnął się jakoś po stracie żony...

– Nie ma potrzeby wtrącać się w jego życie, to dorosły człowiek, odpowiada za swoje decyzje.

– Nie zamierzam się mieszać – sprostowałam. – Sama nawet powiedziałam kiedyś do Iry, że być może nowa kobieta pomogłaby mu pokonać żalobę. Ale... Kinga? Trudno mi sobie wyobrazić, aby długo wytrzymała na tym odludziu. Uzdrowisko to dla niej głęboka prowincja!

– Mnie kiedyś też nie mieściło się w głowie, że tyle czasu wytrzymam bez miasta. Ludzie się zmieniają, Karolo.

Zamyśliłam się, skupiając na krojeniu równych plasterków fety. Na kolację wymyśliliśmy zapiekanki na bazie chleba tostowego posmarowane czosnkowo-ziolową oliwą i obłożone pomidorami, cebulką i dwoma rodzajami sera. Dopiero, gdy całość wylądowała na blasze w piekarniku, przyznałam Arminowi rację:

– To prawda, wszyscy się zmieniamy. Ja również miałam siebie za dziecko miasta, a proszę! Możliwe, że Kinga podobnie do mnie, nie miała wcześniej zbyt dużo kontaktu z naturą. Każę jej wracać, a sama aż cierpnę na myśl o wyjeździe!

– Może nie będziesz musiała – odparł wieloznacznie.

– Wykluczone, więc proszę, nie mówmy o tym! – Rzuciłam mu błagalne spojrzenie, po czym skręciłam do zarzuconego wątku. – Wiesz, powinnam chyba popracować nad swoim stosunkiem do siostry. Nie umiem wyzbyć się uprzedzeń do niej, a później mam wyrzuty sumienia. Po dzisiejszej rozmowie z nią czuję się podle.

– Mów dalej...! – zachęcił mnie, gdyż zamilkłam.

– Byłam jędzowata. Co prawda, ona też nie stała się nagle ucieleśnieniem siostrzanej miłości, jednak tym razem to ja prowokowałam Kingę. W pewnym momencie zrobiło mi się głupio, bo zamiast jak zawsze odbić pałeczkę, ona tylko smutno się uśmiechnęła. Nie daje mi to spokoju. Kinga chyba naprawdę starała się być miła.

– To minimum po tym, co zaszło! Zwabia cię nad urwisko, później znika bez słowa... Wyjaśniła to jakoś?

– Nie wiem, czy jej wierzyć... mówiła, że była bliska skończenia... ze wszystkim. Może to skutek leków, bo najpierw nie brała ich kilka dni, choć powinna regularnie, a potem wzięła za dużo. Powiedziała, że część zażyła jeszcze przed wyjściem ze schroniska, Janowicz gdzieś je dla niej załatwił, ale trochę słabsze niż zwykle brała. A nad wąwozem znów wzięła proszki, bo wydawało się jej, że tamte nie podziałały. Dlatego potem już mało co pamięta.

– Hm, to ma jakiś sens – oświadczył Armin, otwierając butelkę wina. – Twoja siostra rzeczywiście zachowywała się, jakby nic jej nie obchodziło. Myślałem, że to na skutek zimna, gdyż cała się trzęsała. Co to za leki? Antydepresanty?

– Chyba tak.

– Nie powinna leczyć się nimi na własną rękę. Mogą mieć silne działania uboczne, włącznie z pojawieniem się tendencji samobójczych.

– Jeszcze i to! Nie wiem, czy Janowicz zdaje sobie sprawę, w co się ładuje?

– Skoro załatwił jej lekarstwa, to musi mieć rozeznanie. – Armin rozpraszał moje czarne wizje. – Wróćmy jeszcze do tamtego dnia. Nie podoba mi się ta sprawa z telefonami. Nadmieniłaś, że Kinga zadzwoniła do ciebie i zaraz potem się rozłączyła... Dlaczego chciała, żebyś za nią poszła?

– Zapytałam ją o to. Odparła mi, że nie dzwoniła do mnie. Miała komórkę w kieszeni i być może przypadkiem coś nacisnęła. Wcześniej kontaktowała się ze mną, mój numer był ostatni, jest to więc prawdopodobne. Na moje sygnały nie reagowała, bo nie chciała z nikim gadać i wyłączyła telefon – powtórzyłam Arminowi jej wersję.

– Lepsze takie wyjaśnienia niż żadne.

– Nie do obalenia, więc to zostawiam. Mam teraz problem z tą nową Kingą, bez kądziwości, podejrzenie spokojną.

– I tym się martwisz? Ja bym to raczej podciągnął pod działanie lekarstw. Widocznie zażywa je teraz jak trzeba.

– Chciałabym, żeby tak było. A może grała do tej pory? Przykre to, ale prawie nie znam swojej siostry. Całe lata nie utrzymywałyśmy kontaktu, a teraz się okazało, że nie znałam jej nawet wtedy, gdy miałyśmy go ze sobą! Nic zresztą z tego, co było, nie jest takie, jak ja to widziałam. Kinga wszystko mi zburzyła!

– Czasami lepiej zburzyć iluzje i zbudować coś nowego, na solidnym fundamencie prawdy. Popatrz na to nie jak na stratę, ale jak na szansę – radził.

Domyśliłam się, że Armin nawiązuje też do swojej sytuacji. Jego słowa zdawały się potwierdzać, że podjął decyzję z rozmysłem i teraz twardo dąży do tego, aby życiowy plac budowy przygotować pod nowe. Wbrew temu, co mówił, podjęcie decyzji o rozwodzie nie przyszło mu chyba łatwo. Od pewnego czasu odnosiłam jednak wrażenie, iż zamknął za sobą rozdział rozpamiętywania. Skończyły się nocne posiedzenia przy muzyce i winie, stał się bardziej zrównoważony emocjonalnie.

Mój przypadek był inny, choć i mnie rozwaliło się życie. Jeżeli miało to być szansą dla mnie, to na co? Obecny etap postrzegałam jako przejściowy, horyzonty rysowały się niewyraźnie, lecz, chociaż powoli, przejaśniało się minione. Nieraz sobie myślałam, że moje życie toczy się za szybą i to niekoniecznie po piękniejszej stronie lustra. W niezauważalnym dla mnie momencie i to się zmieniło. Zaczynałam wierzyć, że może uda mi się wreszcie uwolnić od demonów przeszłości. Osobliwa rzecz, że Kingę również do nich zaliczałam. Uciekałam od myśli o niej, jak też od reszty starych wspomnień. Tak bezpiecznie.

W tym samym momencie mnie olśniło. Coś dotąd hermetycznie zamkniętego we mnie odkryło szczelinę i poczęło wydobywać się stamtąd na wolność. Nie było to dla mnie przyjemne, jednak już nie umiałam tego w sobie zdusić. Czasami lepiej zburzyć iluzje... Słowa Armina, przenikając mnie, okazały się mieczem obosiecznym. Owszem, moja bezpieczna przeszłość zachwiała się na kłamstwach bliskich, lecz nieprawda istniała też we mnie. Nie czułam się od nich lepsza.

Zauważyłam wyczekujące spojrzenie Armina.

– Zdałam sobie właśnie sprawę z czegoś ważnego – wyznałam nieoczekiwanie.

– Właśnie chciałem spytać, co się dzieje? Zbladłaś, jakbyś zobaczyła upiora...

– Gorzej, przeraziłam się... ale samej siebie! Jestem podła i zakłamana!

– Ejże, powoli! – Roześmiał się zaskoczony. – Skąd ta samokrytyka? O czym ty mówisz?

– O mojej relacji z siostrą. Wprowadziłam cię w błąd... nie, nie celowo, siebie też oszukiwałam! Ileż arogancji było we mnie! Należała mi się nauczka! –

gorączkowałam się.

– Karola... uspokój się... niewiele z tego rozumiem.

– Dobrze... spróbuję ci to wyjaśnić. – Wzięłam parę głębszych oddechów, po czym już spokojniej oświadczyłam: – Prawda wygląda tak, że wygodniej mi było myśleć o siostrze, że jest z gruntu zła, niż przypominać ją sobie inną. To dlatego jestem rozdrażniona, gdy Kinga zachowuje się poprawnie, albo co gorsza, wykazuje chęci, by poprawić nasze stosunki! Nie pasuje mi to do mojego schematu!

– Chcesz powiedzieć, że raz na zawsze ją zaszufładkowałam?

– Tak. Przykleiłam jej etykietkę fałszywca i sprawa załatwiona. Siostra nie siostra, przed takimi ludźmi należy się chronić! – zakończyłam z ironią.

– Nadal twierdzę, że nie bez powodu... – przypomniał.

– Oczywiście, Kinga nie jest aniołem. Ale ja także nie jestem święta. Fakty są takie, że wolałabym mieć inną siostrę i co gorsza, nigdy tego przed nią nie ukrywałam...

Wiesz, ona zawsze kleiła się do mnie, wodziła za mną wzrokiem jak szczeniak, słuchała mnie i we wszystkim naśladowała. Chyba jednak dopiero w szkole zaczęło mi to przeszkadzać. Wstydziłam się jej, bo kompromitowała mnie przed koleżankami, nie uznawałam jej choroby. Oj, nie, nie byłam wobec niej lojalna, ani wtedy, ani później!

– Tak bywa. Jestem jedynakiem, więc nie mam takich doświadczeń, jednak moi koledzy też niekoniecznie przepadali za swoim rodzeństwem. – Armin chyba chciał mnie uspokoić.

– W pewnym wieku jest to może zrozumiałe, ale czubić się tyle lat?! Od młodości dystansowałam się do niej, w ogóle nie przejmując się tym, co Kinga czuje! – mówiłam wartkim tonem, ledwo nadążając za własnymi myślami. – Cóż mnie obchodziły jej problemy? Nic. Wynosiłam się ponad nią, na wszystko mając przed sobą usprawiedliwienie. Tak było wtedy i tak jest do dzisiaj. Nic dziwnego, że mściła się na mnie! Na jej miejscu najpewniej robiłabym to samo!

– Sprawa z książkami? – odgadywał.

– Nie tylko ta, ale nieważne... zasłużyłam sobie na to wszystko! Odrzuciłam Kingę... i niestety, nie byłam jedyna, bo także babcia, a nawet rodzony ojciec! Jak mogłam tyle czasu nie dostrzec, że jej choroba nie wzięła się znikąd!

– Karolo, nie popadaj w przesadę! Nie ty jesteś winna jej choroby, kiedy zaczęła się u niej, też byłaś tylko dziewczynką.

– Wiesz, co jest najgorsze? – weszłam mu w słowo. – Moja cholerna hipokryzja! Wtedy nad urwiskiem, kiedy myślałam, że Kinga targnęła się na swoje życie, zrozumiałam, jak dużo dla mnie znaczy! Potem, gdy było wiadomo, że ona żyje, przyrzekłam sobie, że zmienię się w stosunku do niej. I co z tego wynikło? Owszem, byłam skłonna wiele jej wybaczyć i pokazałam, jaka jestem szlachetna i

dobra! Ale tak naprawdę nie było to szczere. Nie zależało mi na niej, a wyłącznie na spokoju mojego sumienia!

– Ona też ma na nim niejedno...

– Tak, każda z nas popełniła masę błędów, ale dzisiaj to ja byłam gorsza!

– Możesz to jeszcze naprawić...

– Myślisz? – Spojrzałam na niego z nadzieją.

– Minionego nie da się zmienić, ale przyszłość owszem. Może teraz uda wam się to, co dawniej nie wyszło? Napijmy się wina! – Podsunął mi lampkę. – Zapiekanki zaraz będą, czujesz, jak pachnie czosnkiem?

– No... – Odwzajemniłam uśmiech, wdzięczna za przerywnik ułatwiający mi zapanowanie nad sobą.

Zrelaksowana winem i nasycona kolacją podeszłam do swojego odkrycia obiektywnie. Żadna z nas nie była idealna, jednakże mogłyśmy wpłynąć na poprawę wzajemnych stosunków. W kolejnych spotkaniach z Kingą po raz pierwszy dostrzegłam szansę na stworzenie nowego rodzaju relacji. Ona chyba też tego chciała. Zrozumiałam, że próbowała zwrócić na siebie moją uwagę. Może nawet włącznie z wciąganiem mnie w pisanie swojej książki.

Kiedy powiedziała, że mnie potrzebuje, uznałam, że jest interesowna. Dopiero teraz pojęłam, że być może pragnęła tylko siostry, takiej siostry, jaką nigdy dla niej nie byłam. Zawodziłam ją i nie miałam pewności, czy kiedykolwiek będę umiała stanąć na wysokości zadania, jednak chciałam się z tym zmierzyć. Nie tak jak wtedy, powracając w rodzinne strony, gdy odwiedziłam ją dla świętego spokoju. Tym razem miało być bez uprzedzeń i poczucia wyższości, a z przekonaniem, że pomóc możemy sobie wzajemnie.

Był jeszcze Armin i nasz niejasny związek. Odkąd wprowadził się znów do domu, miałam niemały problem, by nie ulec jego wpływowi. Zachowywał się naturalnie, poza jednym wyjątkiem – nie posuwał się teraz dalej poza przytulenie mnie, nie wspominał więcej o zakochaniu. Za co najpierw byłam mu wdzięczna, potem wywołało to u mnie niepokój. Zaczęłam powątpiewać w uczucia Armina i nieświadomie go testować. Doprowadzało to do momentów, w których powietrze aż elektryzowało od napięcia między nami. Zezwalał mi na to, być może czekając na moją dalszą inwencję, jednak zawsze w ostatnim momencie tchórzyłam. Zwykle trzeźwiło mnie przypomnienie sobie, że Armin jest żonatym facetem.

Mogły jeszcze upłynąć miesiące bądź lata, nim na powrót stanie się wolnym człowiekiem. I tutaj pojawiały się moje rozterki. Jak powinnam ustosunkować się do jego obecnego statusu? Dystansować się, dopóki nie ureguluje tej sprawy? Nie miałam pewności, że przy tym wytrwam, lękałam się, iż z czasem z kochanków przeobrazimy się w przyjaciół. Może więc raczej posłuchać swojego serca? Uspokojona najświeższym wynurzeniem Armina coraz bardziej skłaniałam się ku temu.

Bezczynny wieczór rozleniwił nas, nawet zapomnieliśmy o dorzuceniu do ognia; ledwie się tlił. Zorientowałam się dopiero, gdy nagle wstrząsnęły mną dreszcze. W pierwszym momencie przyszła mi na myśl Ema. Nie umiałam pozbyć się poczucia, że dawna mieszkanka tego domu nadal tutaj gości – bądź bywa, choć nie materialnie. Pojawiało się wtedy mrowienie na skórze i jakieś wewnętrzne rozedrganie po wszechogarniającą świadomość, że nie jestem sama. Nie było to ani przyjemne, ani nieprzyjemne, jednak dość dziwne. Pamiętałam reakcję Armina na moją opowieść o sarnach i wołałam przemilczeć osobliwości, których raz po raz doświadczałam tutaj.

Tym razem zimne ciarki nie zapowiadały żadnego kuriozalnego zjawiska, po prostu zrobiło się chłodno. Podniosłam się z fotela, śledzona wzrokiem Armina i kota.

– Pójdę się położyć – powiedziałam. – Z rana chciałabym wybrać się do uzdrowiska. A ty jakie masz plany?

– Na teraz czy na jutro? – Armin uśmiechnął się dwuznacznie, odkładając laptopa.

– Dzisiaj pozostaje już tylko spać.

– Zaśniesz tak wcześnie? Może przyjdę... zanucić ci kołysankę? – Czarował mnie też przeciągłym spojrzeniem.

– Podpuszczasz mnie? – zapytałam, jednak trochę niepewnie.

– Dowiesz się, gdy usłyszysz odpowiedź... – Tajemniczo zniżył głos.

Myśląc, że sobie żartuje, skarciłam Armina wzrokiem, a on uniósł brwi. Odchodziłam już w stronę schodów, kiedy niespodzianie dla siebie samej odwróciłam się.

– Dobrze, przyjdź... o ile nie fałszujesz! – wypaliłam.

Odprowadził mnie jego śmiech. Idąc na górę, też się uśmiechałam.

Łyki łagodnego chianti pomniejszyły moją niecierpliwość, rozluźniały. Długie oczekiwanie na kogoś, z kim byłam umówiona, było dla mnie czasem zmarnowanym. Nie umiałam wtedy niczym się zająć, a niespokojne myśli, ścigając się z irytacją, ostatecznie ustępowały miejsca tej drugiej. Irena zdążyła się pojawić, zanim do tego doszło.

– Przepraszam... stałam w kilometrowej kolejce do kasy! – usprawiedliwiała się. – Ludzie powariowali z tymi świętami, raptem trzy wolne dni, a wózki załadowane jak na miesiąc! Padam z nóg... potrzebuję kawy!

– A ja zamówię sobie jeszcze wino... – Podniosłam pustką lampkę w stronę dziewczyny za barem, wdzięczając się do siedzącego naprzeciw niej gościa.

Obsłużyła nas szybko, rozlewając przy tym kawę Iry na spodek i wróciła do czynności, która wychodziła jej chyba lepiej. Lokal był nieduży, pretendujący wystrojem do nowoczesnych, co przekładało się też na niewygodne krzesła. Zapropowała go Irena, ale teraz stwierdziła:

– Zmieniło się tutaj! Kiedyś lubiłam to miejsce... No, trudno, ale poproszę chociaż o przyciszenie muzyki!

Kelnerka skrzywiła się, lecz przychyliła się do prośby Iry i łomot ucichł. Wreszcie mogłyśmy rozmawiać ze sobą normalnym tonem, oszczędzając gardła i uszy sąsiadów.

Nie zdziwiło mnie, że Irena znalazła dla mnie czas w przeddzień Wigilii. Moja koleżanka należała do osób, które do tej tradycji podchodziły bez przesadnych emocji. Niemniej nie omieszkała wywiedzieć się, jakie mamy plany.

– Nie kłopotz się, jutrzejszego wieczoru nie spędzę w samotności! – zapewniłam, domyślając się do czego zmierza. – Do was zajrzę w jakiś dzień świąteczny, dobrze?

– Jesteś zawsze mile widziana... – odparła, po czym dodała z lekkim ociąganiem: – A jeśli twój przyjaciel zechce ci towarzyszyć, to naturalnie, zaproszenie obejmuje i jego!

– Nie ma go, dzisiaj wyjechał. – Wolałam od razu wyjaśnić. – Do swojej mamy, jest wdową. Chciał, żebym z nim pojechała, ale odmówiłam. Byłoby mi zbyt niezręcznie, zresztą, jego matce na pewno też...

Przemilczałam przed Ireną, że mój brak zgody zawiódł Armina. Odebrał to jako niedostatek moich chęci i spontaniczności. Twierdził, że jego matka jest wyrozumiała i mądra, ponadto doskonale go zna i wie, iż nie zaprosiłby do jej domu pierwszej lepszej kobiety. Być może miał rację, nie znałam tej pani, jednak nie ustąpiłam. Spróbowałam postawić się na jej miejscu, a wówczas wyglądało to inaczej niż z jego perspektywy. Żonaty syn, który na święta ogólnie uznawane za rodzinne zjeżdża do niej z jakąś nieznaną, zapewne kochanką. Logika męska nie zawsze szła w parze z rozumowaniem kobiecym, wolałam więc zdać się na intuicję.

– Ależ wymyślił! Synowi wybaczy nietakt, ale ty podpadłabyś jej już na samym początku! – Ira poparła moją decyzję. – Zaraz... jeśli nie z nim, to z kim będziesz w Wigilię?

– Z kim to dokładnie nie wiem... zapytaj raczej, gdzie? – odparłam tajemniczo.

– Zastrześliś mnie! – Irena zatrzymała filiżankę w połowie drogi do ust. – No, mów, nie trzymaj mnie w napięciu!

– W schronisku! – oznajmiłam i dodałam półzartem: – Turystyczna wieczerza wigilijna!

– Prawda, Józek organizuje co roku!

– Moja siostra nalegała, abym dołączyła do niej, a twój szwagier specjalnie zjawił się z zaproszeniem. Zgodziłam się także z powodu Armina, gdyż miał opory zostawić mnie samą.

– Masz szczęście, że w schronisku jest twoja siostra, bo teraz u mnie

miałabyś krechę! – Zerknęła na mnie z udawanym wyrzutem. – Jak tam się dostaniesz?

– Przyjedzie po mnie leśniczy, podobno od lat spędza Wigilię w schronisku. Z powrotem zabiorę się z nim albo z twoim szwagrem, gdyż mówił, że później wybiera się jeszcze do was i do rodziców...

– Tak, tak... ale czasami dociera dopiero przed północą i potem wszyscy na pasterkę! Raz było odwrotnie, wszyscy pojechaliśmy do schroniska. Jeszcze za życia mojej bratowej. – Irena się zasmuciła. – Razem z teściami, ale nie byli zachwyceni kolacją w tak dużym gronie, wolą świętować tylko z bliskimi. Mnie się podobało, nie powiem!

– Zapomniałam zapytać, jak jest tam z podarunkami? Bo chyba nie każdy każdemu? – Spojrzałam z nadzieją na Irę, że ona mi coś podpowie.

– O to się nie kłopotcz! – Roześmiała się. – Będzie tam pewnie jakieś trzydzieści osób, sami znajomi Józka, zjadą z całej Polski! On uważa, że upominki pod choinkę robi się tylko dzieciom, nam też ich nie daje, jedynie Oli. A wy z siostrą wymieniacie się nimi?

– Od wielu lat nie było ku temu okazji. Wstąpiłam dzisiaj do antykwariatu i kupiłam dla niej taki drobiazg... pokażę ci! – Schyliłam się i podniosłam z podłogi plecak.

Wymacałam w nim mały pakunek i podałam go Irze, ciekawa jej reakcji. Zachwyciła się bez udawania:

– Jest śliczny! To chyba srebro, prawda? A jak zgrabnie połączone te kamyki... bursztyny i...?

– Podobno agaty czy jakieś inne półszlachetne. W oku jest kryształek – objaśniłam, doinformowana przez sprzedawcę. – Wiesz, były dwa wisiorzy, niemal identyczne, tylko inaczej zwrócone, bo gdy leżały razem, to sarenki spoglądały na siebie. Jakoś szkoda było mi je rozdzielać i postanowiłam, że ten drugi wezmę dla siebie. Chyba po raz pierwszy dobrowolnie godzę się, żeby nosić z Kingą to samo!

– Lubisz sarenki? – spytała Irena.

– Owszem. – Uśmiechnęłam się.

Zachowałam dla siebie powód sympatii do nich, związany nie tylko z ich wizytami przy domu, ale też z moim osobliwym przeżyciem przy skałkach. Na swój sposób ja i Kinga też byłyśmy błędnymi siostrami, społecznymi banitkami, spokrewnionymi duszami zagubionymi w przestrzeni i czasie. Tyle że my nigdy nie trzymałyśmy się w stadzie jak legendarne siostry zaklęte w sarny. Najwyższa pora było to zmienić. Nie miałam pewności, czy uda mi się przekazać Kindze tę symbolikę, podobnie jak ja, odrzucała sentymenty. Niemniej nie umiałam się oprzeć, by nie nabyć srebrnych wisiorów.

W antykwariacie zastałam kilkoro klientów i obydwu sprzedawców. Ku mojemu zdumieniu, obaj powitali mnie z jednakową serdecznością. Jako że niczym

nie zasługiwałam na ich specjalne względy, miałam poczucie, że coś się za tym kryje. Wkrótce dowiedziałam się więcej.

– Liczyliśmy, że zajrzy pani do nas! – powiedział starszy sprzedawca, a z uwagi na ludzi kręcących się blisko dodał już konspiracyjnym szeptem: – Mamy nowiny! Proszę tymczasem porozglądać się po sklepie, porozmawiamy, gdy klienci wyjdą!

Nie spieszyło mi się, a zaintrygowana zapowiedzią w żadnym razie nie wyszłabym bez wyjaśnień. Mogłam też spokojnie przyjrzeć się rzeczom w oszklonych witrynach czy w szufladach wyściełanych zielonym suknem. Tam znalazłam wisiory, które potem sprzedano mi zresztą bardzo korzystnie, niemal w cenie jednego. Być może spowodowało to moje niezdecydowanie przy wyborze prezentu dla Janowiczów. Zdecydowałam się na dwa porcelanowe świeczniki.

Przedtem nadarzyła się sposobność do rozmowy z antykwariuszami.

– Znaleźliśmy coś nowego! – rozpoczął jowialny współnik. – W zakupionej niedawno książce. Są to wspomnienia pewnej Niemki, żyła w tych stronach przed wojną...

– Książka? – przerwałam pytaniem i podałam tytuł pozycji, którą nabyłam na wieczorku autorskim.

– Właśnie ta! – zdumiał się, że ja również ją znam. – Jak pani wie, ciekawi nas wszystko, co jest związane z tymi okolicami, więc słysząc o niej, musieliśmy ją przeczytać. Nie trafiliśmy w niej, niestety, na żadne informacje o Walonach. To pierwsi karkonoscy wędrowcy, po których pozostały tajemnicze znaki na skałach. Ich temat ciekawi nas najbardziej, ale nic o nich nie było, za to inne wątki dotyczące rdzennej ludności, rozwoju turystyki w tym regionie...

– Przejdź może do rzeczy! – upomniał go drugi antykwariusz.

– Przecież do tego zmierzam! – Starszy pan obruszył się i zwracając do mnie, dodał: – Przypomina pani sobie tę historię z książki o turystach zaginionych zimą?

– Tak. Trzej mężczyźni, ciała jednego z nich nigdy nie znaleziono.

– O tego mi właśnie chodzi! – Uderzył się dłońmi w uda. – Po przeczytaniu nie dawało mi to spokoju, miałem wrażenie, że już gdzieś spotkałem się z tym imieniem... I rzeczywiście! Zgadzał się również rok tego zdarzenia!

Antykwariusze przyglądali mi się z uśmiechem i ponaglali mnie, kiwając głowami – może w ten sposób próbowali wymusić na mnie rozwiązanie zagadki. Jeśli tak było, to przecenili moją zdolność percepcji, bowiem wciąż wiedziałam tyle, ile przedtem. Starszy pan postanowił mi wreszcie podpowiedzieć:

– Martin!

Wzruszyłam ramionami.

– Przykro mi, nic nie kojarzę.

– Ależ Martin jest owym znajomym Emy z pani domu! Do niego pisała listy!

– Zganił mnie, jakbym powinna to wiedzieć.

– Chyba nie gniewa się pani, że wtajemniczyłem we wszystko mojego współnika? – zagadnął łagodnym tonem. – Co dwie głowy, to nie jedna...

Trochę już niecierpliwie zapewniłam, że nie mam o to pretensji, listy nie były moją własnością, a moje odkrycia na obrazie – tylko domysłami. Niezaprzeczalnie coś zaczynało mi świtać, lecz wołałam wstrzymać się jeszcze z wnioskami.

– Ten zaginiony człowiek wymieniony jest w książce z imienia i nazwiska – kontynuował sprzedawca. – Dla pewności poprosiliśmy naszego znajomego Niemca, który ma dostęp u nich do dużego archiwum, aby sprawdził te dane. Okazało się, że ktoś taki naprawdę żył w Berlinie, a ostatni raz widziano go właśnie w naszym uzdrowisku. Tej samej zimy, w której Ema bezskutecznie czekała na jakiś znak od niego!

– Może to tylko przypadek?

– Wykluczone. Tamten turysta nosił to samo imię co ukochany Emy, a ślad po nim zaginął właśnie tutaj. W relacji książkowej i listach jest zbyt wiele zbieżności!

– Myślą panowie... – zaczęłam.

– Że on wybrał się tu niby na wędrowkę, ale to mógł być tylko pretekst, by zobaczyć się z Emą! – dokończył za mnie młodszy sprzedawca. – Z pewnością niepokoił się jej długim milczeniem. Jak pani wie, potem odnaleziono tylko jego zamarzniętych bratanków. Na dodatek, nasz znajomy Niemiec przysłał nam kopie artykułów z lokalnej gazety z tamtego czasu. Proszę sobie wyobrazić, że już wtedy spekulowano, iż nie jest to tragiczny wypadek!

– Jeśli nie wypadek, to... co? – zapytałam, przewidując, że usłyszę kolejną fantastyczną tezę powiązaną z legendą o zwodzeniu wędrowców przez Błędne Siostry.

– Zbrodnia!

Odpowiedzi udzielił starszy antykwariusz, ale oczekiwanie na moją reakcję było u nich bliźniacze – wpatrywali się we mnie, spodziewając się chyba, że będę w szoku. Nie byłam. W tej samej bowiem sekundzie poczułam się tak, jakbym stała się świadkiem połączenia rozsypanej układanki w jedno, to zaś przyniosło mi osobliwy spokój. Brakująca część znalazła swoje miejsce, obraz nabrał sensu, a co dziwniejsze, miałam wrażenie, że znałam go od dawna.

– Mąż Emy go zabił – usłyszałam swoje słowa.

– To są też nasze przypuszczenia! – gorączkował się starszy pan. – Musiał dowiedzieć się o powrocie Martina w te okolice i wykorzystał jego wypad w góry, aby pozbyć się rywala! Miał motyw! Mógł nie tylko stracić żonę, ale też dobrą opinię, bo wcześniej Martin próbował go przecież szantażować! Nie mógł do tego dopuścić!

– Zabił go w domu – podzieliłam się moim podejrzeniem. – Nie wiem, czy go tam zwabił, może Martin szukał tam pomocy... Jeśli jednak doszło do zbrodni, to właśnie w domu.

Moi rozmówcy spojrzeli po sobie i potem znów na mnie, niemal jednocześnie pytając, skąd u mnie takie przekonanie? Zorientowałam się, że popełniłam głupstwo, wyjawiając coś, czego nie sposób udowodnić. Na moje szczęście, do sklepu weszli klienci, a że prosili o poradę, ktoś musiał do nich podejść. Zrobił to młodszy antykwariusz, acz z wyraźnym ociąganiem. Wykorzystałam jego nieobecność i wyjawiałam przed drugim:

– Przepraszam, rozpędziłam się... oczywiście, z mojej strony to też są tylko poszlaki.

– Ale na czymś musiała je pani opierać. – Nie ustępował, świdrując mnie wzrokiem.

Zdecydowałam się, że powiem mu prawdę.

– Miałam w tym domu wypadek...

– A jednak! Nie bez przyczyny ostrzegałem! – Nie omieszkał wtrącić z przejęciem.

– Nic wielkiego się nie stało! – Uśmiechnęłam się, próbując go uspokoić. – Ale uderzyłam się wtedy w głowę i przeżyłam coś w rodzaju wizji. Nie zapamiętałam z tego wiele, jakieś skrawki scen, niczym kadry niemego filmu... Wiem, że zabrzmi to nieprawdopodobnie, jednak odniosłam wrażenie, iż miały coś wspólnego z historią, która wydarzyła się w tym domu.

– Co pani widziała? – dopytywał się antykwariusz, poruszony moimi słowami.

– No, właśnie... kobietę i dwóch mężczyzn, w różnych sytuacjach, w domu i przy nim. Wszystko było tam niby podobne, a jednak inne, zwłaszcza umeblowanie czy ich stroje. Widziałam też pożar i kałużę krwi na podłodze... – Zamilkłam, otrząsnęłam się i dokończyłam:

– Pewnie halucynacja albo inne omamy, jak już wspomniałam, uderzyłam się w głowę!

Do antykwariatu weszli klienci i sprzedawcy musieli się nimi zająć. Ja również podniosłam się z krzesła, czas mijał, a nie wybrałam jeszcze upominków. Zabrało mi to dwa kwadransy. Pomimo namów do pozostania, zapłaciwszy za rzeczy, pożegnałam się. Szczerze powiedziawszy, miałam obawy, że obustronnie się nakręcamy, antykwariusze głodni takich sensacji, a ja tracąc kontrolę nad tym, co jawą, a co tylko zwidami. Obiecałam jednak zajrzeć do nich po świętach, wówczas w ich królestwie powinny panować warunki bardziej przychylne rozmowie.

Te w lokalu, gdzie siedziałyśmy z Ireną, również nie zachęcały do rozgoszczenia się na dłużej, toteż wkrótce uregulowałyśmy rachunek.

Zdecydowałyśmy, że porozmawiamy sobie przy winie u niej w domu. Rankiem dogadałam się z panem Józefem, że pod wieczór wstąpi tam po mnie, gdy będzie wracać do schroniska. Miałam nadzieję nie przywyknąć do jego usług, nie byłoby to trudne.

Na zewnątrz panował mróz, idąc po oblodzonych chodnikach, na wszelki wypadek trzymałyśmy się z Iry pod ramię. Wyglądałyśmy bardziej na turystki niż miejscowe, w odróżnieniu od tych ostatnich nie spiesząc się i bez stresu na twarzy. Ktoś jeszcze ze stałych mieszkańców uzdrowiska zdawał się nie przejmować bliskością świąt. Trochę znudzony przystanął przed wystawą, lecz rozpoznając nas, się ożywił.

– Witam urocze panie! A dokąd to?

– Na parking – odparła Ira. – Myślałam, że jesteś chory...

– Właśnie wracam z zabiegu, dzięki za troskę! – Ostatnie słowa Sylwek rzucił z ironią. – Cholerny ziąb! Może wstąpimy napić się grogu? Znam fajne miejsce.

– Ja muszę do domu – stwierdziła Irena i spojrzała pytająco na mnie.

– Ja też! – odparłam stanowczo.

– Nikt nie ma dla mnie czasu! – poskarżył się z udawaną żalnością. – Każdy, do kogo zadzwonię, ma urwanie głowy... Niech już miną te święta!

– A żonie pomoc nie łaska? – Ira pastwiła się nad nim.

– Po co? Tylko jej przeszkadzam! – Zaśmiał się jak z dobrego żartu. – To co, dziewczyny, nie dajcie się prosić, ja stawiam!

Nie dawał za wygraną, lecz nic tym nie wskórał. Kiedy tak staliśmy, ulicę handlową nagle rozświetliły latarnie, dodatkowo ozdobione neonami w kształcie aniołów, konkurując z migotliwymi dekoracjami wystaw sklepowych. Co dla jednych tandetne, innych chwytalo za serca; mnie ujął widok sań sunących środkiem jezdnii do taktu dzwoneczków na sztychach koni. To był moment, w którym po raz pierwszy od lat przestałam srożyć się na święta, a wręcz cieszyłam się na nie. W otoczeniu polskich gór, pośród przyjaznych mi ludzi, miałam szansę, by stały się dla mnie czymś więcej niż tylko dniami wolnymi od pracy.

Pożegnawszy Sylwestra, skierowałyśmy się na parking. Irena bez żenady nadawała na plastyka, który z powodu jakiejś błahostki wziął zwolnienie lekarskie.

– Akurat teraz, gdy przydałaby się jego pomoc! Oby tylko zjawił się jeszcze w tym roku, trzeba udekorować salę na imprezę sylwestrową! Tak w ogóle, to ani słowem nie zapytał o twoją siostrę! Cały on, gdy jakieś trudności, to głowa w piasek! Przez chwilę będzie grzeczny, żeby uspokoić żonę, dopóki nie wypatrzy nowej zdobyczy...

– Wiesz, Kinga mówiła, że do niczego między nimi nie doszło. Wierzę jej, nie miała powodu, żeby mnie okłamywać.

– A to dobre! – Irena zaśmiała się. – Dostał za swoje! Chyba zaczyna wątpić

w swoje superego, z żadną z was mu nie wyszło! Albo spokojnie, albo będzie chciał sobie udowodnić, że babki jednak lecą na niego! Pożyjemy, zobaczymy...

Widok wolnej budki telefonicznej przy poczcie przypomniał mi, że chciałam zadzwonić do cioci Geni. Irena załadowała torby do bagażnika i poszła do budynku urzędu, miała tam coś do załatwienia. Przewidując czekanie na nią, nie musiałam się spieszyć, pomimo to rozmowa z ciocią nie była długa.

Wiedziała, że Kinga nadal jest w uzdrowisku, jednakże siostra zataiła przed nią swoją przeprowadzkę do schroniska. Nie wspomniała też ani słowem o swoim kryzysie zdrowotnym i dramatycznym zajściu przy urwisku. Jedyne, czym ciocia była zaniepokojona, to brakiem pewności, gdzie i z kim Kinga spędzi święta.

– Każdego roku właśnie w tym czasie dopada ją depresja! Nawet, gdy mnie tu odwiedzała, zamykała się w pokoju gościnnym, aż było mi głupio przed profesorem. Karolko, ja wiem, że dużo wymagam od ciebie, ale czy nie mogłabyś...

– Spotykam się jutro z Kingą na wspólnej Wigilii – przerwałam, wyczuwając jej skrępowanie. – Nie martw się o nią, czuje się dobrze, góry jej służą.

– Widujecie się? Nie masz pojęcia, jak się cieszę!

Uspokojona moim zapewnieniem o kontakcie z siostrą, pożegnała się ze mną. Nie czułam do niej żalu, rozumiejąc, że to Kinga jest jej rodzoną córką, a zarazem dzieckiem troski. O mnie była spokojna. Dziwiło mnie, iż siostra nie dostrzega starań swojej matki, sama wiele bym dała, aby móc tego doświadczać od mojej mamy. Los chciał inaczej.

W telefonie Danuty odezwała się automatyczna sekretarka. Nagrałam się, pozdrawiając przedświątecznie i życzyłam całej rodzinie udanego urlopu, na którym może nawet już przebywali. Natomiast pod trzecim z wybitych numerów zgłosiła się córka Reginy, informując mnie, że mama jest nieobecna. Poprosiłam więc tylko o przekazanie jej, że dzwoniłam.

Było za zimno, aby czekać na ulicy, więc poszłam na pocztę. Irenę dostrzegłam w długiej kolejce. Zobaczywszy mnie, zrezygnowała ze stania i podchodząc do mnie, jęknęła:

– To nie na moje nerwy, masa ludzi, a czynne tylko dwa okienka! Popłacę wszystko przez Internet, chyba nareszcie nabrałam rozumu. Julian od dawna mnie do tego namawiał!

– I słusznie! – poparłam ją, ze współczuciem zerkając na starszków w kolejce, którzy raczej nie mieli wyboru. – Co z nową pracą twojego męża? Kiedy zaczyna?

– Od nowego roku. Ma trochę pietra, gdyż to zupełnie coś innego niż robił do tej pory. Najważniejsze, że blisko, dojedzie tam w kwadrans! A, właśnie, nie mówiłam ci jeszcze o tej naszej znajomej! Parę dni temu wpadła do mnie do Domu Kultury, rozszczebiotana jak młoda sikorka. Chyba zaczęła znowu z kimś się

spotykać, zawsze jest wtedy w dobrym humorze. Oczywiście, trzymam kciuki za jej szczęście! – Puściła do mnie oko.

– Twojemu szwagrowi się upiekło! – zażartowałam.

– Przynajmniej chwilowo, bo kto ją tam wie? Złośliwi twierdzą, że to nimfomanka, miejmy jednak nadzieję, że raczej nie trafiła dotąd na odpowiedniego faceta. W każdym razie Julian poczuł ulgę, krępowały go te pytania o brata!

– A co u ciebie w pracy?

– Ostatnio mieliśmy młyn, w grudniu tak zawsze. Przy okazji jednak chyba zyskałam w oczach szefowej, bo musiałam przejąć robotę Sylwka, a też doskakiwać do biblioteki. Zrobiła się nawet podejrzenie przystępna...

Plotkując wyjechałyśmy z miasteczka, na polach powitały nas ciemności. Irena prowadziła samochód ostrożnie, nie miał dobrej przyczepności na oblodzonej drodze. Przed dwoma laty rozstałam się ze swoim ostatnim autem, zniechęcona wielkomięskimi korkami i wiecznymi poszukiwaniami wolnego parkingu. Tutaj niekiedy brakowało mi własnego pojazdu, ale moje ograniczone środki nie pozwalały na wynajem.

Zbliżałyśmy się już do wioski, kiedy Irena jeszcze zwolniła. Pulsacyjnie naciskając hamulec, żeby nie wpaść w poślizg, zatrzymała samochód. To wyrwało mnie z zamyślenia, a zaraz potem pytanie Iry:

– Widzisz je?

Drogę majestatycznie przemierzały sarny, jedna po drugiej, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi. W świetle reflektorów ich sylwetki wydawały się połyskiwać, miały w sobie coś nierzeczywistego, a zarazem dynamiczne ruchy mięśni i gibkich nóg temu przeczyły. Naliczyłam siedem sztuk, dorosłe, pomimo zimy wcale nie wychudłe. Mogłam się mylić, ale przypominały mi stadko pojawiające się przy moim domu.

– Niesamowite... – Irena nie umiała wyjść ze zdumienia nawet wówczas, gdy sarny zniknęły w mroku. – Całe szczęście, że już pierwszą dojrzałam z daleka! Mieszkam tu tyle lat, nigdy wcześniej nie widziałam tu ani jednej, a nagle aż tyle naraz! I co na to powiesz, mieszczychu?! Zaniemówiłaś z wrażenia?

– Ty zaniemówisz, kiedy coś ci opowiem...

Podjęłam bowiem decyzję, że wtajemniczę ją w moje spotkania z sarnami, powiem także o tym, może wyimaginowanym zdarzeniu pod Błędnymi Siostrami. Poczulałam potrzebę, by porozmawiać z nią o tym oraz o innych fenomenach wokół mojego miejsca zamieszkania. Trzeźwość Ireny mogła być mi pomocna.

– Ruszaj wreszcie! – ponagliłam ją, gdyż wytrzeszczała na mnie oczy jak przed momentem na sarny.

– Niech zgadnę... Jesteś w ciąży! – wypaliła.

– Postradałaś zmysły? – Roześmiałam się, choć mając świeżo w pamięci noc z Arminem, która miast ukołysać, wyzwoliła z nas szaleństwo, nie było mi do

śmiechu. – Przyjmuję jednak pokornie sugestię i po świętach zaczynam się odchudzać!

– To już nie wiem... – Westchnęła ciężko i zdecydowała się jechać. – A propos odchudzania, może zapisałybyśmy się na pilates? Taka miła dziewczyna rozdawała u nas ulotki, mam jedną w torebce.

No to mam za swoje, pomyślałam i odruchowo dotknęłam brzucha. Irena niestety się nie myliła, wyczułam sadelko, rezultat folgowania sobie i próżniaczego trybu życia. Na ogół stroniłam od składania noworocznych postanowień, lecz tym razem uzasadniała je konieczność. Co gorsza, czekało mnie chyba stworzenie długiej listy, ponieważ należałoby zmienić niejedno. Przede wszystkim – w samej sobie.

Wieczór schylał się ku nocy, jak na zamówienie, tylko z lekka mroźnej i bezwietrznej. Klarowne niebo z miliardami jarzących się punkcików wzmacniało wrażenie udziału w czymś nieogarnionym, do czego przynależymy jedynie przecuciem. Napawało mnie to pokorą, a zarazem osobliwie wzruszało. Reagowałam dzisiaj na wszystko z zawstydzającym mnie rozczuleniem. Zawsze z dystansem i niesentymalna, nagle nie potrafiłam okiełznać uczuć ani ich zamaskować. Chyba nie było to nawet potrzebne, nikt nie zwracał na mnie szczególnej uwagi, może za wyjątkiem Kingi, przyglądającej mi się wtedy z pewnym zakłopotaniem.

Kolacja wigilijna rozpoczęła się wraz z pierwszą gwiazdką, którą ktoś wypatrzył, paląc papierosa na zewnątrz. Siedzieliśmy za złączonymi ze sobą stolami przykrytymi białymi obrusami i ozdobionymi małymi gałązkami choiny. Nie czułam się wyobcowana, zagadywano mnie, spontanicznie się przedstawiając, wciągano do rozmów. Po prawej miałam Kingę, po lewej leśniczego; być może z racji wspólnego przybycia czuł się w obowiązku towarzyszyć mi też tutaj. Nareszcie poznałam jego imię, ale w myślach nazywałam go po staremu – leśnikiem. Miejsce obok siostry pozostało puste aż do samego momentu wnoszenia potraw, gdyż dopiero wówczas dołączył pan Józef – z rozpaloną twarzą, jako że nad wszystkim miał pieczę. Musiałam przyznać, iż zadał sobie wiele trudu, choć, jak mi powiedział, nie bez wsparcia innych. Do pomocy w kuchni zgłosili się ochotnicy, a salę udekorował wspólnie z niektórymi gośćmi większość od lat przyjeżdżała tu na święta. Kinga pochwaliła się własnym udziałem przy strojeniu choinki i lepieniu pierogów oraz uszek do barszczu; podobno przygotowania do Wigilii skończyli grubo po północy.

Serce schroniska zwolniło dzisiaj rytm, może dlatego, że nie pojawiali się przypadkowi turyści, a ci obecni do samej wieczery przebywali w swoich pokojach. Kiedy dano im znać, iż pora ją zacząć, salę bez pośpiechu zapełniły z trzy tuziny ludzi. Rozmawiało się ciszej niż zwykle, z niewidocznych głośników rozbrzmiewały niegłośno kolędy, których rytm rozbijały czasem trzaski drewna w

kominku. Wniesiono półmiski z postnym jadem i na stołach zapalono świece, a Janowicz wygłosił krótką przemowę. Potem wszyscy po sąsiedzku składali sobie życzenia, dzieląc się opłatkiem i uśmiechali do pozostałych. Jeżeli uroczystość w ogóle może być przytulna, tutaj właśnie była, w skromnym otoczeniu, wśród zwyczajnie ubranych osób – odświętnie, jednak swojsko, bez konsumpcyjnej przesady, z przypomnieniem o istocie świąt.

Po kolacji złożonej z tradycyjnych potraw, w czasie której nie zabrakło barszczu i kutii, smażonego karpia i różnych regionalnych smakołyków, wyłączono muzykę, by pośpiewać kolędy. Wówczas po raz pierwszy poczułam, że zwilgotniały mi oczy; przypominałam sobie inne takie wieczory, gdy wraz z ciotką Genią i Kingą wtórowaliśmy ojcu. Miał mocny, niski głos, lecz choroba i tego go pozbawiła, toteż nasza ostatnia wspólna Wigilia również z tego powodu była już tylko namiastką poprzednich.

Dzisiaj ponad inne głosy wybijał się tubalny bas leśniczego, a jako że przy mnie odzywał się rzadko i raczej półgłosem, zaskoczył mnie tą ukrytą w nim mocą. Zdumiewała także jego samotność, mógł uchodzić za przystojnego mężczyznę. Pod gęstym zarostem dopatrzyłam się regularnych, wcale niebrzydkiych rysów, jedynie stała, pionowa zmarszczka pomiędzy brwiami nadawała jego twarzy posępny wyraz.

Pomyślałam o Arminie i łączącej ich przyjaźni. Obracali się w krańcowo różnych środowiskach, ale w pewnym sensie byli do siebie podobni, chociażby w swojej nieufności do innych i miłości do natury. Pomyślałam, że być może niesprawiedliwie oceniam Armina, nie dowierzając jego pobudkom, a w gruncie rzeczy sama buduję mur między nami. Z nas dwojga to nie on miał uprzedzenia do ludzi oraz do tego, czym oni się parali. A ja miałam problem choćby z jego popularnością.

Brakowało mi Armina. To z nim chciałam teraz być, przełamać się opłatkiem, wzajemnie złożyć sobie życzenia. Zniknęła moja wcześniejsza pewność, iż słusznie zrobiłam, nie towarzysząc mu do jego mamy. Tę kobietę również z góry osądziłam, zapominając, że dla matki najważniejsze jest szczęście dziecka. Zrobiło mi się przykro, a polskie kolędy, w większości melancholijne, pogłębiały mój smutek. Pocieszałam się wizją powrotu Armina – obiecał dotrzeć w góry zaraz po świętach. A jednak nie umiałam już powstrzymać łez. Cisnęły się do oczu z tęsknoty za moim mężczyzną, ale również za wszystkimi Wigiliami w moim domu rodzinnym, które nigdy więcej miały się nie powtórzyć.

W odróżnieniu ode mnie, mojej siostrze rozrzewnienie było obce. Kiedy większość zgromadzonych oddawała się śpiewaniu kolęd, ona i paru innych woleli pomóc uprzętać stoły. Wnosili na nie patery z ciastem i świątecznymi struclami, ustawiali szkła pod napoje gorące i inne. Uznałam, że grzecznie będzie przyłączyć się do Kingi, zwłaszcza, że uregulowała należność za mój udział. A przy okazji

mogłam rozproszyć ciężkie myśli. Donosząc coś na stoły, spotkałam się ze spojrzeniem pana Józefa. Uśmiechnął się do mnie, a zaraz potem dał mi znak wzrokiem, by wyjść za nim na korytarz. Czekał na mnie w uchylonych drzwiach prowadzących do jego prywatnych pomieszczeń.

– Proszę za mną, chciałbym zamienić z panią kilka zdań. Przepraszam, że tak potajemnie, ale lepiej, żeby Kingi przy tym nie było. Mam do pani prośbę!

– Do mnie?

Zdumiałam się, gdyż nie przychodziło mi nic do głowy, w czym mogłabym mu się przydać. Weszłam za nim do przedpokoju, a Janowicz domknął drzwi i kontynuował:

– Tak, już wyjaśnię, w czym rzecz. Ostatnio mówiłem, że po Wigilii mógłbym panią podwieźć do domu. Chętnie to zrobię, ale... jutro. A mówiąc wprost, wolałabym, żeby na dzisiejszą noc została pani w schronisku... W pokoju pani siostry jest wolne łóżko.

– Ale... dlaczego? – Nie pojmowałam.

– Nie chciałbym, żeby ona była dziś sama, a ja muszę jeszcze zjechać do wioski, do rodziców i brata. No i potem do miasteczka na pasterkę, więc szybko nie wrócę. To jak, byłoby to możliwe? – Spoglądał na mnie z nadzieją. – Szkoda, że wcześniej na to nie wpadłem, przygotowałyby się pani...

Patrzyłam na tego zwykle małomównego i zamkniętego w sobie mężczyznę, dziwiąc się jego przemianom, a jeszcze bardziej sprawie, która jej dokonała. Niepokoił się o moją siostrę! Nawet mnie tym zawstydził, więc zapytałam:

– Co jest z Kingą? Na mnie robi wrażenie zrównoważonej...

– Nie ma konkretnych powodów do obaw, ale lepiej mieć na nią oko! – tłumaczył. – Jej nastroje potrafią zmienić się z godziny na godzinę. Obiecała mi, że będzie regularnie zażywać leki, ale wie pani, ja nie mam pewności, czy one naprawdę jej służą, jest po nich zmieniona.

Perorował jeszcze przez chwilę na ten temat, jak widać przejęty chorobą Kingi; przejmował się jej stanem na pewno bardziej ode mnie. Poniekąd więc też na skutek wyrzutów sumienia zgodziłam się pozostać w schronisku do jutra. Na salę wróciliśmy oddzielnie.

Pan Józef mnie zastanawiał. Wydawało się, że chętnie przyjął Kingę pod swoje skrzydła, lecz intrygowała jego motywacja oraz tempo, w jakim ci dwoje porozumieli się ze sobą. Dzisiaj również mogłam zaobserwować, że zażyłość między nimi nie ograniczała się tylko do zdrabniania swoich imion. Widziałam, jak Janowicz patrzył na Kingę, a w jego wzroku troska mieszała się z dumą... posiadania? Ona traktowała go z pozorną wyższością, jednak łagodziła to uśmiechem. A że zapowiadało się między nimi coś więcej niż tylko przelotna znajomość, zrozumiałam po rozmowie z Kingą.

Wcześniej, na wieść, że zostanę, pokazała mi pokój, w którym miałam

przenocować. Znajdowały się w nim dwa łóżka, obydwie idealnie zasłane. Moja siostra nie kryła, jak rzeczy się mają.

– Tak, sypiam u Józka. Tutaj wycofuję się tylko wtedy, gdy nie chcę nikogo widzieć. Zdarza się to mniej więcej dwa razy na dzień. – Zachichotała. – Ale prędzej czy później znowu go szukam. Józek może nie jest najbardziej atrakcyjnym z facetów, jednak przy tym swoim trochę szatańskim wyglądem ma do mnie anielską cierpliwość. Najpierw wkurzał mnie ten jego ciągły spokój, niczym nie wyprowadzisz go z równowagi! Nawet, gdy któreś nocy pojechałam do niego, to tylko przyniósł dodatkową poduchę, przytulił mnie i zasnął. Wyobrażasz to sobie?!

– Chyba jednak zdobyłaś go? – insynuowałam z uśmiechem.

– Musiałam, bo cackał się ze mną jak z porcelanową lalką! Wprawdzie męczy mnie ta jego nadopiekuńczość, ale przynajmniej zaczął dostrzegać we mnie kobietę!

– Kinga... – zaczęłam po chwili milczenia. – Zastanawiałaś się, co dalej? Mam wrażenie, że dla niego to nie jest tylko przelotny romans...

– Nie wiem jeszcze, co z tego będzie. Nie rozumiem siebie, nie rozumiem jego. Nikt przed nim nie traktował mnie w ten sposób. On akceptuje mnie taką, jaka jestem, z moimi wadami i odlotami. Nie umiem nawet zrobić mu czegoś na przekór, bo nie stawia mi żadnych warunków! – Zaśmiała się, kręcąc głową. – Józek musi być kompletnym wariatem, że chce tu kogoś takiego, jak ja!

– Naprawdę chciałabyś pozostać w schronisku? – badałam.

– Szaleństwo, nie? – Znowu się roześmiała. – Ja, która uznawałam tylko stolicę, a w każdym innym miejscu czułam się na wygnaniu! Sama się dziwię, ale wiesz, tutaj jakby mniej szarpie się życiem i sama z sobą!

To coś jak ja na swojej polanie, pomyślałam. Kinga tymczasem opowiadała mi o codzienności w schronisku, regularnym rytmie zajęć, w które weszła trochę z nudów, a obecnie wymierzały jej dni, nadając im porządek, przywracały spokój ducha; o mieszkających tu na stałe ludziach, naznaczonych dramatycznymi przejściami, przybyłych na chwilę, by pozostać na wiele lat; o turystach, tych zachodzących, aby tylko odpocząć, ale też tych, którzy pozbywali się tu zmęczenia duszy. Janowicz bywał spowiednikiem bądź przyjacielem, jakich gdzie indziej nie mieli. Potem jego wspierali, gdy załamał się po śmierci żony.

– Nazywają siebie klubem świrusów... Inie bez racji! – Zachichotała. – Wracają tu, kiedy mogą, a już zawsze na święta... Zauważyłaś chyba, że to głównie samotni ludzie?

– Rzeczywiście, nie było dzieci.

– Ani prezentów pod choinką. To taka ustalona zasada, aby nikt nie poczuł się lepszy czy gorszy.

– Hm... a ja mam dla ciebie mały podarunek. A dokładnie, dla ciebie i dla mnie, zresztą zobaczysz...

Sięgnęłam do torby po dwie identyczne paczuszki, pozostawiając wybór siostrze, po którą sięgnie. Odpakowałyśmy je jednocześnie, moja sarna miała głowę zwróconą w prawo. Kinga porównała ją ze swoją i stwierdziła:

– Są jak bliźniaczki, za które często nas brano. Ładny, trafiłaś w mój gust! Dziękuję ci... – Jej głos nieznacznie się załamał.

Rozdzwięczał się mój telefon komórkowy. W obrębie schroniska był zasięg sieci, jednak połączenie zanikało i by porozmawiać bez zakłóceń, ludzie wychodzili na zewnątrz. To samo doradziła mi teraz Kinga.

– Oddzwonię do ciebie za parę minut! – rzuciłam do słuchawki z nadzieją, że Armin usłyszał, po czym się rozłączyłam.

Zeszłyśmy na dół, Kinga przodem, ja za nią, po drodze wkładając kurtkę. Tuż przy wejściu do głównego pomieszczenia schroniska moja siostra odwróciła się do mnie i powiedziała:

– Mogłaś być dzisiaj z nim... może nawet powinnaś. Nie zawał tego, siostro!

Zanim zdążyłam się odezwać, zniknęła za drzwiami. Strzelała w ciemno albo była zorientowana co do mojego życia lepiej, niż sądziłam. To, że dotąd ani słowem nie wspomniała o Arminie, nie musiało znaczyć, iż nie wie, że z nim mieszkam. W każdym razie, wiedział o tym Janowicz, więc siłą rzeczy także Kinga. Przyjęłam to do wiadomości zdumiewająco spokojnie.

W głosie Armina nie doszukałam się nuty żalu, z jakim zegnał się ze mną przed wyjazdem. Był w świetnym humorze, złożył mi życzenia, także w imieniu swojej matki; musiała być w pobliżu, gdyż od razu przekazał jej moje. Rozmawiała z kimś, w tle słyszałam dwa kobiece głosy i nagle mnie zmroziło... Czyżby była tam Ludmiła? W tym momencie Armin wspomniał, że siostra mamy jest u nich z wizytą, a ja zawstydziłam się podejrzeń.

– A jak Wigilia w schronisku? – dopytywał się. – Tłoczno?

Wyznał zaraz, że znając moje nastawienie do świąt, miał obawy, czy stamtąd nie zwieję. Roześmiałam się.

– Tym razem żadnych wędrówek po nocy! Zostanę tu zresztą do jutra!

Wyjaśniłam mu powody, przypuszczając, że dla Armina nie tyle one są ważne, ile to, iż nie będę sama w domu. Zaskoczył mnie jednak, mówiąc:

– Dobrze, że tam jesteś, wybaczone, zachowałem się jak egoista. W takim dniu jak dzisiejszy rodzina ma pierwszeństwo. Przemyślałem, co opowiedziałas mi o swojej siostrze i całkiem możliwe, że masz rację. Nie wszyscy potrafią wyrazić swoje pragnienia, niektórzy czekają, czekają... a gdy wreszcie zdobędą się na to, by cokolwiek powiedzieć, przemawia przez nich już tylko gorycz...

– Nie poznaję Kingi... Stara się i chyba naprawdę docenia, że tutaj jestem – wtrąciłam.

– To cieszy, ale nie oczekuj cudu. Nie zawał tego, Karolo!

Zachnęłam się, ponieważ użył dokładnie tych samych słów, którymi Kinga

mnie upominała. Czyżbym nagle tylko ja z nas trojga miała niepokonane emocje? Domyślałam się jednak, o co mu chodziło. Do każdego konfliktu trzeba reakcji obydwu stron. Jeżeli jedna nie da się sprowokować, spór wygaśnie w zarodku.

Armin zgrabnie zmienił temat, chwając się podarunkiem mamy pod choinkę. Zrobiła dla niego na drutach ciepły, włóczkowy golf; uśmiechnęłam się wiedząc, że bardzo takie lubi. Bez żenady przyznał, iż wracając do domu, pozwala matce się rozpieszczać, a ona jest przeszczęśliwa, mogąc to robić. Potraktowałam jego słowa z przymrużeniem oka, gdyż komu jak komu, ale Arminowi na pewno nie groziło zostanie maminsynkiem.

– Tylko ciebie mi tutaj brakuje – wyszeptał do słuchawki, jakby na potwierdzenie, iż nie do końca wczuł się w rolę dziecka.

– Mnie ciebie też... – wyznałam zgodnie z prawdą.

Na koniec zaskoczył mnie ujawnieniem prezentu, który sprawił nam obojgu.

– Po powrocie do domu włącz telewizor! Pilot znajdziesz na regale.

Pod moją nieobecność zamontował wraz z leśnikiem antenę satelitarną na dachu. Tym samym cywilizacja dotarła też na polanę. Okazało się, że telewizor mieliśmy sprawny, lecz do planu skrywania tożsamości Armina należało również i to, by utrzymać mnie w niewiedzy. Poza tym, zażegnywał teraz moje pretensje, na starej antenie odbiór i tak był fatalny. W taki wieczór jak dzisiejszy wybaczyłabym mu nawet gorsze sprawy, więc tylko westchnęłam. Porozmawialiśmy jeszcze chwilę, po czym pożegnaliśmy się bez wielkich słów, aby nie rozbudzić w sobie jeszcze większej tęsknoty.

Wróciłam do środka. Przemarzałam, więc skierowałam się w pobliże kominka, chociaż nie znałam siedzących tam osób. Wciągnięto mnie w rozmowę, jakbym była jedną z ich grona. W przeciwieństwie do podobnych sytuacji, przydarzających mi się najczęściej podczas urlopu, w tym towarzystwie nikt się nie zaciekawiał, skąd przybyłam, ani co robię. Wystarczyło im moje imię. Nie padły żadne osobiste pytania, a jednak paradoksalnie poczułam, że to nie stawianie niewidzialnej bariery, lecz aprobata. Zaczynałam pojmować, co Kinga miała na myśli, mówiąc o bezwarunkowej akceptacji Janowicza. Chętnie zapytałabym go, ile razy sparzył się, podchodząc w ten sposób do ludzi, gdyż wątpiałam, by nikt tego nie wykorzystał.

Trochę później bezosobowo nawiązałam do idealizmu, w konsekwencji będącego nierzadko zwyczajną naiwnością. Osoby wokół wymieniły się uśmiechami, jakby odgadły, co mnie trapi, po czym jedna z kobiet zareagowała:

– Lepiej dziesięć razy pozwolić się oszukać, niż raz potraktować kogoś niesprawiedliwie.

– No, nie wiem... – zawahałam się. – Moim zdaniem, lepiej mieć dobrą znajomość ludzi i nie dopuścić do oszustwa.

– Żadnego człowieka nie rozgryziesz do końca – zauważyła łagodnie moja rozmówczyni. – Mało to farbowanych lisów?

– Dlatego właśnie należy być ostrożnym! – argumentowałam.

– Wiesz, jest taka opowiadka o człowieku, któremu zniknęła siekiera – zaczął mężczyzna, który ustąpił mi miejsca. – Podejrzewał o kradzież syna swojego sąsiada. Chłopiec chodził jak złodziej, wyglądał jak złodziej i mówił jak złodziej. Później jednak ten człowiek, kiedy wrócił na wyręb, znalazł tam swoją siekierę. Gdy spotkał syna sąsiada, spojrzął na niego już inaczej. Chłopiec chodził, wyglądał i mówił jak każde inne dziecko. Rozumiesz?

Przytaknęłam. Zgadzałam się z nim, że przeważnie widzimy ludźmi takimi, jakimi chcemy ich widzieć. Częstokroć w skrzywionym lustrze uprzedzeń. Miałam jednak wątpliwości co do poglądu wyrażonego przez inną kobietę, że nawet ktoś nieuczciwy traktowany z zaufaniem, będzie starał się być lepszy. Spróbować chyba nie zawadziło.

Bardzo przyjemnie gawędziło mi się z nimi, ich słowa dawały mi do myślenia, ale oni się nie wymądrzali. W kącie pomieszczenia ktoś przygrywał na gitarze i choć nie były to kolędy, to ciepłe ballady dobrze wkomponowały się w świąteczny nastrój wieczoru, reszta obecnych rozsiadła się przy stole, rozmawiając ze sobą w grupkach czy parach. Ciepło w tym pomieszczeniu rozchodziło się nie tylko od kominka.

Kingę zobaczyłam ponownie, kiedy pan Józef podszedł do mnie mówiąc, iż na niego już czas. Przystanęła przy drzwiach, opierając się o framugę, a Janowicz mi szepnął, że jest zmęczona i idzie na górę spać. Poczułam się znużona, być może przez nadmiar nowych wrażeń, więc zdecydowałam, że zrobię to samo.

Gdy wróciłam do pokoju, Kinga leżała już w łóżku. Nie doczekałam się odpowiedzi na moje „dobranoc”, toteż myśląc, że już zasnęła, wyłączyłam światło i po wieczornej toalecie wskoczyłam pod kołdrę. W myślach raz jeszcze przebiegałam sceny z minionego dnia, poranne pożegnanie z Arminem, jazdę z leśniczym do schroniska, a potem pobyt tutaj. Zazdrościłam siostrze, że można tak po prostu przyłożyć głowę do poduszki i zasnąć. Ku mojemu zdumieniu, Kinga nagle zaczęła mówić, najpierw cicho, z przerwami między zdaniem, a potem już był potok słów.

– Odkąd pamiętam, był we mnie gniew! – Nawiązała do naszej młodości. – Długo nie rozumiałam, skąd wziął się we mnie i dlaczego go czuję?! Mówiono mi, że mam trudny charakter, byłam niezdolna i uparta. Ale nawet, gdy starałam się być lepsza, nie wychodziło mi... Ten gniew we mnie był jak matryca, odbijał się we wszystkim moich czynnościach.

– Kinga... – Usiadłam na łóżku, zaskoczona. – O co ten gniew? Z powodu ojca?

– Nie wiem, niekiedy mi się wydaje, że był już we mnie przed narodzeniem!

Ale tak, na ojca i na matkę, na nasze babcie, na ciebie także! Za te wszystkie kłamstwa rodziców, bo od zawsze czułam, że kręcą! Za tchórzostwo ojca, po którym ty od urodzenia miałaś nazwisko i nawet imię, a mnie się wstydził! Za to, że ty, moja siostra, nie dopuszczałaś mnie do swojego świata! Z powodu tych wszystkich spojrzeń ludzi i dwuznacznych uśmiezków na ich gębach!

– Oj, Kinga... – Głos mi się załamał.

– Nie potrzebuję twojego współczucia! – Usłyszałam, że odwraca się w moją stronę. – Powinnaś wiedzieć, że z biegiem czasu polubiłam mój gniew, zrozumiałam, że daje mi siłę! Kiedy dochodzi do głosu, ludzie mają przede mną respekt. Umieć być wtedy nikczemna! Niestety, nie zawsze jest we mnie... a to, co go zastępuje... bywa stokroć gorsze.

– O czym ty mówisz?

– O czym? O niepokoju... jeśli w łagodnej formie... bo jest też strach, przeraźliwy, obłądny strach! Nieuchwytny, nieprzewidywalny, pojawiający się we mnie bez powodu. Czyni mnie słabą, bezbronną, miesza moje plany... A gdy już się mną nasyci, to rzuca w głęboki dół! Gniew i strach, moje dwa bieguny, zawsze jestem bliżej jednego albo drugiego, nigdy na równiku!

– To dlatego przyjmujesz leki? – spytałam łagodnie. – Przykro mi...

– Mówiłam ci, że nie chcę litości! – Chyba się zirytowała. – Tak, muszę brać lekarstwa, ale to jeszcze nie znaczy, że jestem czubkiem! Nawet nie wiesz, ilu ludzi ma podobne lęki, a depresja jest taką samą chorobą jak każda inna... chociażby, jak twoja migrena!

– Kto ci powiedział o mojej migrenie?

– Danka. Nieciekawie masz z tymi atakami, ale przynajmniej nie musisz się wstydzić choroby. To taka elegancka przypadłość!

– Zdziwiłabyś się... – wymamrotałam na wspomnienie przytyków ignorantów.

– Wiesz, że to może być objaw autoagresji? – Głos Kingi wszedł w nową tonację. – Jedni podcinają sobie żyły, inni zabijają się na raty. Nie tędy droga, siostrzyczko! Owszem, w życiu trzeba walczyć, ale nie z samym sobą! Uciekałaś całymi latami!

– Sugerujesz, że uciekałam w chorobę?! – Zatkano mnie.

– W każdym razie, przed życiem, bo ani nie byłaś szczęśliwa, ani nie pozwoliłabyś sobie na szczęście? Co, może się mylę?

– Tak... nie... nie wiem. Ale na pewno sama nie aplikowałam sobie ataków migreny, to nonsens!

– Nie twierdzę, że robiłaś to rozmyślnie! Jednak żyjąc tak jak żyłaś, z dnia na dzień, bez przeszłości i planowania przyszłości, dobrowolnie umierałaś za życia! I wtedy zareagował twój organizm, zaczął wysyłać sygnały, próbował tobą wstrząsnąć...

– I gdzie tu autoagresja? – Podważyłam jej słowa, trochę nimi urażona.

– Nie kapujesz, czy jak?! Jeśli się okaleczasz, to również nie dla przyjemności, no, chyba że jest się jakimś zbokiem! Spotkałam ludzi poranionych na duszy, w szpitalu bywało ich niemało. Okaleczali się, aby bólem fizycznym przytępić w sobie większy ból, a psychiatrzy twierdzili, że było to także wołaniem o pomoc. Ty oczywiście jesteś za dobrze ułożona, aby żyletką ciachać się po rękach! Może więc twoja podświadomość wkroczyła do akcji i pochlastała cię migreną!

– No, pięknie... Wychodzi, że sama jestem sobie winna!

– Nie musi być tak, jak mówię, ale weź to pod uwagę.

– Od diagnozy do wyleczenia daleka droga – zauważyłam.

– Zawsze to jednak jakaś szansa, ja raczej jej nie mam. Musiałam zaakceptować, że nigdy nie będę zupełnie zdrowa. I wiesz, co jest najdziwniejsze? Że często już nawet tego nie chciałam. W chorobie jestem wolna! Mogę sobie pozwolić na gniew albo żeby być słabą... W chorobie nie muszę liczyć się z niczym ani z nikim!

– Jak jest teraz, Kingo? – spytałam po chwili obustronnego milczenia.

– Teraz... – zająknęła się – znowu próbuję stawić temu czoło. To dużo trudniejsze. Sama nie daję rady, a leki też nie załatwiają wszystkiego. Józek mnie wspiera i wierzy, że podołam...

– A ty?

– Powiedziałam już, że próbuję. Więcej obiecać nie mogę.

– Dobrze, że nie opuściłaś gór – usłyszałam samą siebie.

– Nie bądź zła, Karola, że znowu wepchałam się w twoje życie. – Sapnęła ciężko. – Wiesz... dawniej myślałam, że chcę być taka jak ty. Ale to nieprawda. Chciałam tylko być dla ciebie ważna. Dlatego to wszystko...

Poczułam osobliwe mrowienie na plecach, ciepło-zimny dreszcz wzruszenia. Nie zastanawiałam się długo, podniosłam się, przeszłam parę kroków dzielących mnie do łóżka Kingi i usiadłam na nim. Widziałam zaledwie zarysy jej sylwetki, twarz była ciemną plamą, lecz udało mi się odszukać jej rękę i wzięłam ją w swoje dłonie.

– Przepraszam! – Tylko tyle umiałam powiedzieć, gardło miałam jak zasznurowane.

– Ja też. – Lekko uścisnęła moją dłoń, po czym odsunęła ją i zaszydziła: – No, dobrze, wystarczy tego, bo rozkleimy się jak pensjonarki!

– Posuń się, zimno mi! – Szturchnęłam ją, aby zrobiła mi miejsce, uśmiechając się przez łzy.

Tej nocy bardzo długo rozmawialiśmy, próbując nadrobić zaległości wielu lat. Obydwie z poczuciem winy względem siebie, ale również z gotowością, by wyprostować nasze zagmatwane stosunki. W naszych wspomnieniach nie było

chronologii, przeskakiwałyśmy z tematu na temat, i jeśli nawet do głosu dochodził sarkazm, nie było w nim już złośliwości.

Z banalną prostotą dotarło do mnie, że brakowało mi siostry, co gorsza, sama kiedyś pozbawiłam się daru, jakim jest posiadanie rodzeństwa. Pomimo że tak naprawdę od wczesnej młodości nie zezwalałam jej na bliskość, ona wyczuwała mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Jej podpowiedzi odnośnie do mojej migreny przekonywały mnie. Każda z nas wysyłała sygnały, ona na zewnątrz, ja przeciw sobie. Nie byłyśmy aż tak różne, jak sądziłam. Kinga z jej nienasyconą potrzebą miłości i ja, niedopuszczająca uczuć do siebie, obydwie nie radziłyśmy sobie z przeszłością. Mogłyśmy jednak podjąć próbę, by pokonać ją wspólnie.

Nazajutrz Józef, z którym za inwencją Kingi przeszłam wreszcie na „ty”, dotrzymał obietnicy i odwiózł mnie na polanę. Zanim pożegnałam się z siostrą, wręczyła mi malutki, miękki pakunek owinięty gładkim papierem.

– Co to? Notesik? – zgadywałam, wyczuwając prostokątny kształt.

– Odpakuj w domu! Miało być ostatnią matryoszką... Nie miej zahamowań, bo to coś, co ci się należy. Twoja część.

Zaintrygowała mnie, ale dotrzymałam przyrzeczenia. Przedłużyłam sobie nawet napięcie, zabierając się do rozpakowania pakunku dopiero po zaparzeniu herbaty i wygodnym usadowieniu się w fotelu. Moment później spoglądałam na plik banknotów.

– Myślałem, że czas niedomówień i sekretów pozostawiliśmy już za sobą! – zarzucił mi Armin, ledwo opuściliśmy dom Garbarków.

– O co ci chodzi? – spytałam, wyczuwając przyczynę jego wzburzenia.

– Dobrze wiesz, o co! – Upewnił się spojrzeniem. – Ten telefon... Przepraszam, ale chcąc nie chcąc słyszałem, co mówiłaś do Reginy. Robisz jakieś plany, a mnie o tym ani słowa!

– Przecież wiedziałeś, że kiedyś muszę tam wrócić! – Wzruszyłam ramionami, nie patrząc na niego.

– Twierdziłaś, że pozostaniesz tu do wiosny.

– Tak, w założeniu był półroczny pobyt, niestety, okoliczności się zmieniły. Naszą firmę przejęła inna korporacja. Wszyscy mieliśmy nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale cóż, stało się. Już zwalniają ludzi, mnie też nie oszczędzą, mam to jak w banku! Jestem wdzięczna Reginie, że pomyślała o mnie, choć z tą posadą to jeszcze nic pewnego. Jeżeli jednak ją dostanę, będę zmuszona skrócić urlop... – wyjaśniałam.

– Brak mi słów! – Pokręcił głową.

– Ty też nie zostaniesz tu na zawsze! – broniłam się. – Sam mówiłeś, że czekasz na ciekawą propozycję roli... Chcesz mi powiedzieć, że odrzuciłbyś ją z mojego powodu?

– Między nami jest taka różnica, że ja na pewno uwzględniłbym cię w

swoich projektach! Wspólnie zastanowilibyśmy się, co dalej.

Nie wierzył mi chyba, że dopiero co dowiedziałam się o wszystkim. Reginy nie było podczas świąt w domu, skontaktowałam się z nią dopiero po Nowym Roku, a wówczas nowina gonila nowinę. Moja koleżanka była przewidująca, nie czekała na zwolnienie, znalazła zatrudnienie w innej firmie, dopiero się rozwijającej. Armin słyszał naszą rozmowę, dotyczącą możliwości pracy dla mnie. Wiedziałam, że pomimo wewnętrznych oporów przed powrotem powinnam wykorzystać szansę.

Tego dnia po raz pierwszy zeszliśmy razem do wioski. Oboje w świetnym humorze, choć po niezbyt długiej nocy, wpadliśmy na pomysł zrobienia pizzy – zabrakło jednak komponentów. Robiąc w sklepiku zakupy, miałam okazję zaobserwować przeistoczenie się powolnej sprzedawczyni w zwinną i przymilną kobitkę. Spojrzenia, jakie przy tym rzucała Arminowi, mówiły wszystko.

W drodze powrotnej wstąpiliśmy do Garbarków; kończyły się ferie świąteczne, więc chciałam się dowiedzieć, czy Zuzia dotarła z powrotem. Zastaliśmy ją w domu. Zdaniem jej babci, kwieciście relacjonującej pobyt dziewczynki w Irlandii, wróciła stamtąd bardzo zadowolona. Sama bohaterka wydarzeń milczała, onieśmielona obecnością Armina. Natomiast blask jej oczu zdawał się potwierdzać, że pobyt świąteczny przerósł jej oczekiwania.

Garbarkowa, dyskretnie przywoławszy mnie na bok, powiedziała, że rodzice Zuzi noszą się z zamiarem powrotu do ojczyzny. Poprosiła, abym nie zdradziła się z tym przed małą, gdyż to jeszcze nie całkiem pewne, lepiej nie robić jej nadziei. Byłam tego samego zdania. Zainteresowała mnie jednak przyczyna zmiany ich życiowych planów. W pierwszej chwili przyszło mi na myśl, że to wizyta córki rozbudziła w nich tęsknotę za bliskością rodziny. W istocie spowodował to kryzys gospodarczy, gdyż irlandzki cud okazał się krótkotrwały, a zielona wyspa żadnym rajem. Co dla tych ludzi było utratą złudzeń, dla Zuzi mogło profitować odzyskaniem rodziców, lecz widząc rozterkę na twarzy Garbarkowej, wstrzymałam się od komentarza.

Telefon Reginy odebrałam w kuchni gospodyni, potem żalowałam, że nie wyszłam pogadać na zewnątrz. Cień rozmowy położył się bowiem na następne godziny, choć pozornie odnosiliśmy się z Arminem do siebie jak wcześniej. Nie wyszło tylko udawanie, że pizza jest smaczna; przygotowana bez serca była mdła i jakby z zakalcem.

Na resztę dnia oboje zamknęliśmy się w sobie. Być może nie zdawał sobie sprawy, iż chodzi o moją egzystencję, lecz jego rezerwa powstrzymywała mnie przed powrotem do tego tematu. Jako że data mojego wyjazdu nie była jeszcze ustalona, reakcja Armina wydała mi się przesadna i też poniekąd mnie zawiódł. Noc spędziliśmy oddzielnie, a żeby nie miał wątpliwości, iż chcę być sama, zatrzasnęłam drzwi nawet przed kotem. Nie byłam prawdziwie zła, nawet liczyłam,

że sen ugasi nasze żale i nazajutrz spokojnie się dogadamy.

Rankiem paliło się w kominku, rozchodził się ponętny zapach kawy, ale Armina nie było. Na stole znalazłam wiadomość od niego. Poinformował mnie, że ma coś do załatwienia i nie wróci przed sobotą. Mieliśmy dopiero wtorek. Mimo że takie zagranie podchodziło pod dziecinadę, to i tak odniosło skutek; byłam zdeprymowana i wkurzona.

Rozsiadłam się w fotelu, czekając na efekty działania kawy, ale bez powodzenia. Pobolewał mnie brzuch. Choć istniało zaledwie minimalne ryzyko, iż po namiętnych nocach z Arminem zaszłabym w ciążę, całkowicie wykluczyć tego nie mogłam. Ale wątpliwości zostały rozwiane, dostałam miesiączkę. Poprzednia nerwowość ustąpiła miejsca rozczulaniu nad sobą, zawładnęły mną czarne wizje. Nawet menstruacja, której regularne pojawienie się zawsze witałam z ulgą, paradoksalnie też mnie zdołowała. Wiedziałam, że jest tylko jedna osoba, która potrafiłaby wyrwać mnie z tego stanu – Armin z jego wpływem na moje emocje, tak w dobrym sensie, jak i niestety w złym. Brakowało mi jego ramion, słów podnoszących na duchu, a chociażby i nagany. On jednak był znowu daleko.

Wtem przyszła mi do głowy głupia myśl o ostatnim dzwonku natury. A jeśli za tym, co braliśmy za zakochanie, czaiła się tylko ona ze swoim zawołowanym celem podtrzymania gatunku? Na to, że potrafiła wabić stosownie do formy życia, istniało aż nadto przykładów w faunie i florze. Z biologicznego punktu widzenia byłam tylko samicą, którą trzeba zachęcić do uległości samcowi. Świadomość tego nie ułatwiała mi rozpoznania autentyczności swoich uczuć. To samo odnosiło się do pragnienia bliskości Armina. Na chwilę obecną pomogła mi jednak się pozbiierać.

Języki ognia już ledwo wybijały się spod popiołu, należało dorzucić nowych szczap. Podniosłam się z fotela, zrzucając z kolan kota, choć przyjemnie wygrzewał mi brzuch. Na tak jawną niewdzięczność zareagował skarżącym miauknięciem. Kosz opałowy do połowy wypełniony był drewnem, nie miałam jednak pewności, czy wystarczy do wieczora. Wysypałam resztki polan obok kominka, po czym z pustym koszem zesłam schodami na dół.

Często wracałam do historii Emy, teraz moje myśli pobiegły ku niej niemal automatycznie. Przywykłam już do wyobrażenia, że towarzyszy mi w tym domu, jednak w tej jego części czułam się nieswojo. Obrazy z moich wizji, sugestie antykwariuszy oraz surowość otoczenia pobudzały moją wyobraźnię i wyczulały na najmniejsze bodźce. Tylko tutaj panował specyficzny, wilgotny chłód, czym niżej, tym mocniej odczuwalny, momentami zdający się sunąć po ciele jak dotyk zimnego gada. Tym razem zapobiegawczo przed mrozem na zewnątrz opatuliłam się szczelnie. Ciepły ubiór nie powstrzymał jednak skojarzeń, które z biegiem dni nabierały coraz wyraźniejszych kształtów.

Jeśli wcześniej sądziłam, że te przecucia odnoszą się do dramatu

nieszczęśliwej Emy, to obecny tok moich rozważań szedł w stronę zatargu między jej mężem a kochankiem. Idea o zbrodni, spontanicznie powstała podczas rozmowy z antykwariuszami, nie chciała mnie opuścić. Zdawałam sobie sprawę, jak fantastycznie zabrzmiałoby to dla kogoś, kto nie doznawał tu nic z tego, co ja przeżywałam. Hamowałam się więc przed opowiedzeniem Arminowi o swoich przypuszczeniach, choć jeden raz byłam już tego blisko.

Świt zastał mnie w jego pokoju. Przebudziłam się nagle, udręczona jakimś koszmarem, po którym pozostał strach. Sięgnęłam po wodę, ale butelka przewróciła się i hałas obudził Armina. Prawie usiadł na łóżku, a uspokojony moimi słowami wyjaśnił:

– Myślałem, że znów nocuję na dole! Właściwie, chyba ani jednej nocy nie przespałem tam całej! Jak nie jakieś odgłosy z ogrodu, to dziwaczne, zakręcone sny...

– Sny? – zaciekałam się. – Opowiedz mi o nich!

– Nie sposób, nie było w nich żadnego sensu. Chociaż... jeden powtarzał się regularnie. Śnił mi się pożar, a że tam w oknach są kraty, nawet po przebudzeniu dziwnie się czułem. W ogóle to przeniesienie się na dół to zły pomysł. Tutaj i cieplej, i spokojniej... i bliżej ciebie. – Przytulił się do mnie.

Kiedy próbowałam kontynuować przerwany temat, nie pozwolił mi na to, drwiąc z dopatrywania się znaczeń w urojeniach umysłu. Przemilczałam więc swoje wizje, aczkolwiek zastanawiające, że obojgu nam jawił się pożar, do którego zresztą kiedyś tu doszło.

Odkąd dowiedziałam się o listach Emy, nie potrafiłam dłużej bagatelizować rzeczy, których tutaj doświadczałam. Według mojej teorii, ten dom był specyficzną soczewką skupiającą promienie czasu, obecnego i minionego. Dwie rzeczywistości w szczególnych warunkach przenikały się wzajemnie, nie pojmowałam tylko, w jakim celu, ani jaką rolę w tym odgrywamy? Może tylko mój wypadek sprawił, że zobaczyłam tamte zdarzenia? Zasklepione w bursztynie przeszłości przypląły do mnie na fali czasu, choć wcale ich nie szukałam, ani nie miałam siebie za medium.

Po otwarciu drzwi do ogrodu wiatr oprószył mnie białym konfetti. Przyciężkie chmury zrzucały balast gęstego puchu, a wcześniejszy senny pejzaż przeobraził się teraz w bajkowy. Przez ułamek sekundy poczułam się, jakbym przeniosła się do wnętrza szklanej kuli ze śniegiem, którą ktoś potrząsnął. Uśmiechnęłam się i powróciłam do realiów, zabierając się do roboty. Nie zdążyłam jeszcze napełnić kosza drewnem, kiedy przez ścianę śniegu przebił się do mnie przytłumiony odgłos jadącego gdzieś wyżej pojazdu. Zbliżał się do domu, więc musiałam się pospieszyć, żeby na czas wrócić na górę. Doszłam tam, nie bez zadyszki, gdyż z załadowanym koszem, prawie jednocześnie z sygnałem dzwonka u drzwi. Jakież było moje zdumienie, kiedy zobaczyłam miłego pana z antykwariatu i to w towarzystwie brodacza leśnika!

– Proszę dalej! – zaprosiłam obydwo do środka.

Wyjaśnili mi cel swojego przybycia. Leśniczy przywiózł karton produktów, które Armin przed wyjazdem kupił w sklepiku. Przypuszczałam, że pod tym pretekstem miał sprawdzić, jak ja się miewam. Skorzystał na tym również antykwariusz, który od wioski szedł pieszo i okazja dojazdu spadła mu jak z nieba. Odniosłam wrażenie, że leśniczy nie do końca dowierzał, czy znam tego przybysza. Upewniwszy się co do tego, ani jednak myślał zostawić nas samych. Jako że trudno było posądzać jowialnego pana o nieczne zamiary, domyśliłam się, że leśnika zaintrygowała jego przemowa. Zaraz po powitaniu antykwariusz wyłuszczył bowiem, co sprowadza go do mnie.

– Czekaliśmy na panią z moim współnikiem, pani nie przychodziła, więc zdecydowaliśmy, iż panią odwiedzę. Przepraszam, że tak bez zapowiedzi... ale ta zagadka wokół Emy i Martina niesamowicie nas wciągnęła! Mam nowe informacje, lecz przyznam, że też trochę martwiliśmy się o panią!

– Niepotrzebnie, za to jestem ciekawa nowin. Porozmawiajmy przy stole – zaproponowałam obu mężczyznom, gdyż nie wypadało inaczej. – Zapraszam!

Leśniczy zawahał się, jednak zdjął kurtkę i poszedł za mną. Kiedy parzyłam kawę, antykwariusz streszczał historię zaginionego turysty i związanych z tym poszlak, szukając wzrokiem potwierdzenia tychże faktów u mnie. Kiwałam głową, ale zamarłam, kiedy od konkretów przeszedł do spekulacji. Jeśli wcześniej leśniczy wykazywał zainteresowanie, teraz zerkał na nas jak na czubków. Nie mogłam mu się dziwić, to, co mówił starszy pan, nawet mnie żenowało.

– Pani wizje poświadczają nasze przypuszczenia! Na dobrą sprawę jesteśmy niemalże pewni z moim współnikiem, iż pożar domu miał zatrzeć ślady dokonanej tu zbrodni!

– Uważa pan, że mąż Emy celowo go wzniecił? – spytałam z powątpiewaniem, donosząc na stół dzbanek z kawą. – Przecież z listów wynikało, że nie chciał opuścić polany, zapewne kochał to miejsce.

– W desperacji jest się zdolnym do krańcowych czynów! – argumentował antykwariusz. – Mógł zresztą w afekcie zabić kochankę żony i potem działać w pośpiechu, byle tylko ratować swoją skórę!

– Zwłoki nie palą się całkowicie – wtrącił nieoczekiwanie leśnik. – Znalezione by pozostałości...

– O ile ktoś by ich tu szukał! – dokończył starszy pan z satysfakcją. – Lata były niespokojne, przygotowywano się do wojny, policja miała co innego na głowie. W tej głuszy nietrudno było zatuszować morderstwo, a że Ema i jej mąż po pożarze opuścili te strony, kto by się przejmował jakimś pogorzeliem!

Uzasadniał swoją teorię, mnie jednak wciąż coś się nie zgadzało. Wreszcie zrozumiałam, co mi nie pasuje.

– A co z akcją poszukiwań zaginionych turystów? Była na wielką skalę, więc

na pewno zwrócono by uwagę na pożar. Tymczasem w książkowym opisie nie ma o nim ani słowa! Nadmieniał pan o relacji w lokalnej prasie... Może tam była wzmianka o pożarze?

Antykwariuszowi po moich słowach zrzędał mina. Stwierdził, iż w gazecie też o tym nie pisano. Aby go trochę pocieszyć, zapytałam, czy we wspomnianych nowych źródłach były jakieś rewelacje o Emie?

– A może... ona żyje?! – dodałam z przejęciem, po zaczerpnięciu oddechu.

– Niestety, nie – odparł mój rozmówca. – Już pani powiem, co o niej wiemy, wszystko sobie odnotowałem.

Sięgnął do kieszeni w marynarce i najpierw dobył okulary, a zamieniwszy je z tymi, które miał na nosie, wyjął karteczkę. Rozłożył ją i powoli odczytał spisane tam informacje. Ema po opuszczeniu Karkonoszy zamieszkała w Monachium, a po wojnie, podczas której owdowiała, przenieśli się do mniejszego miasta w Bawarii. Nie wyszła powtórnie za mąż, sama bezdzietna, poświęciła się wychowaniu obcych dzieci, do emerytury pracując w sierocińcu.

– Ilu lat dożyła? – spytałam.

– Policzmy... urodziła się pierwszego grudnia tysiąc dziewięćset ósmego, a zmarła... – Podał drugą datę.

– Nie wierzę! – wykrztusiłam. – Nie myli się pan?

– Absolutnie!

Obaj mężczyźni spojrzeli na mnie z zaciekawieniem, więc poczułam się w obowiązku wyjaśnić:

– Ema zmarła dokładnie w tym dniu, w którym ja się urodziłam! Zgadza się wszystko, dzień, miesiąc i rok! Niebawale... – Poczułam mrowienie na plecach.

Skokami skojarzeń przebiegłam okres od przybycia na polanę do teraz, dostrzegając, jak byłam tu prowadzona z powrotem ku sobie samej, a jednocześnie wiązana z domem. Czy stała za tym ona, kobieta żyjąca tu kiedyś lub to coś, co tu po niej pozostało? Jeżeli dotąd miałam jakieś wątpliwości, że wmawiam sobie nasze powiązanie, teraz je odrzuciłam. Ta data nie mogła być przypadkiem. A przynajmniej ja nie mogłam w to uwierzyć, inaczej odniósł się do sprawy leśniczy:

– Zbiegi okoliczności mają swój wdzięk, ale są tylko zbiegami okoliczności. Każdego dnia mnóstwo osób rodzi się i umiera.

– Oczywiście. – Antykwariusz poparł go tylko pozornie. – Ludzie mają tendencje do wynajdywania rzeczy nadprzyrodzonych tam, gdzie tylko mogą... Jednak pani Karola odkryła Emę na obrazie i wyczuwała ją w tym domu na długo przed tym, nim poznała jej historię! Teraz na dodatek ten dzień urodzin i śmierci... To nie dziwne?

– Widuje tu pani duchy? – Leśnik zwrócił ku mnie spojrzenie pełne ironii.

– Nie. – Odparłam z uśmiechem. – Poza momentem, kiedy walnęłam się w głowę i na trochę straciłam przytomność. Przyznam jednak, że niekiedy czuję się tu

dość osobliwie.

– O tym właśnie mówię! – Antykwariusz wszedł mi w słowo. – Ema próbuje nawiązać z panią kontakt! I to z powodzeniem!

– Pan przesadza! – zachnął się leśniczy. – Chyba będę się zbierać... czekają na mnie prawdziwe problemy.

Podniósł się z krzesła i pożegnał się z moim gościem, który niezupełnie umiał zamaskować urazę. Odprowadziłam brodacza do drzwi, a zanim odszedł, zdradził mi, że Armin istotnie zlecił mu do mnie zaglądać. Chociaż zapewniłam, że nie jest to konieczne, puścił moje słowa mimo uszu.

– Do widzenia... Zajadę jutro!

Zamknęłam za nim drzwi i uśmiechnęłam się; troska Armina, pomimo wszystko, jednak mnie ujęła. Po powrocie do stołu, starszy pan wyraził ubolewanie z powodu niedowiarstwa leśniczego, po czym wrócił do sedna:

– Mam jeszcze inne nowiny, ten człowiek strasznie mnie rozpraszał! – Pokręcił głową. – Niech pani uważnie posłucha, bo dowiedzieliśmy się więcej! Po pierwsze, na jednej z aukcji internetowych dostrzegliśmy obraz tego samego malarza... – Wskazał wzrokiem na dzieło wiszące nieopodal kominka. – Poprosiliśmy o kontakt i jeszcze przed świętami zadzwonił do nas ze Śląska bardzo miły pan, wnuk tego malarza.

– Doprawdy? – zdumiałam się.

– A owszem. Po jego dziadku pozostały obrazy, malował dużo, lecz rzadko trafiał się nabywca. Oczywiście spytałem, czy w pamięci rodziny nie przetrwało jakieś szczególne wspomnienie o dziadku? Ten pan zaprzeczył, ale po świętach ponownie do nas zadzwonił! Proszę sobie wyobrazić, że w Wigilię zaczął wypytywać swoją mamę, a ona przypomniała sobie coś z lat, gdy była jeszcze dziewczynką!

– Tak, tak, słucham – zapewniłam, gdyż wpatrywał się we mnie, jakby miał wątpliwości.

– To było jeszcze przed wojną, jej ojciec wyjechał w Karkonosze, by malować z natury. Wrócił z pleneru przedwcześnie i bez płócien, za to z większą gotówką. Ta pani zapamiętała to zdarzenie, ponieważ jej mama zamiast się ucieszyć, pokłóciła się z mężem! Podobno nigdy wcześniej ani nigdy potem nie było w ich domu takiej awantury!

– I co to pana zdaniem oznacza? – Wstrzymywałam się z własną interpretacją.

– Nie tyle moim, ile naszym, gdyż zastanawialiśmy się nad tym ze współnikiem – skorygował. – Przypuszczamy, że ów malarz mógł być świadkiem jakiegoś zdarzenia, może nawet na tej polanie! I że zapłacono mu za milczenie!

– Niby mąż Emi miał mu dać pieniądze? Mogło też być, że malarz miał szczęście trafić na jakiegoś hojnego miłośnika sztuki! – podważałam wersję

antykwarium.

– I żona robiłaby o to awanturę?! – Zaśmiał się. – W tej rodzinie się nie przelewało, więc byłoby raczej odwrotnie. Myślę, że malarz wyjawiał żonie prawdę, a że ta zahaczała o kryminał, kobieta się rozzłościła. Poza tym jeszcze jedno. Jego obraz z polaną znaleźliśmy w tym samym domu, w którym była też książka z listami Emy w środku. To mogły być rzeczy uratowane z pożaru.

– Jeśli nawet, to czyż nie dziwne, że Ema i jej mąż, opuszczając te strony, nie zabrali uratowanych rzeczy ze sobą? – zasugerowałam.

– Wszystkich faktów się nie wyjaśni! – zachnął się. – W każdym razie, jestem skłonny przyznać, że ta postać kobieca w oknie to jednak Ema. Ma pani niebywałą intuicję!

– Może tylko dobre oko... – zażartowałam, choć schlebiali mi jego słowa.

– My natomiast mamy dobrego nosa, wiedzieliśmy, kto nam pomoże! Bo to jeszcze nie wszystko, czego dowiedzieliśmy się na temat tej historii! – zapowiedział z tajemniczą miną.

– Zadali sobie panowie wiele trudu! – zauważyłam z pochwałą w głosie.

– To dla nas przyjemność, uwielbiamy takie stare zagadki! – odparł nie bez dumy. – Ale od początku. Nasz niemiecki znajomy, oprócz wyszukania w archiwum danych o Emie, dotarł również do jednej z jej podopiecznych. Właściwie, tylko przez przypadek, gdyż ta pani jest dzisiaj dyrektorką domu dziecka, w którym Ema pracowała. Znajomy zatelefonował tam, chcąc potwierdzić ten fakt, a wówczas dyrektorka się rozgadała. Ema była jej dawną wychowawczynią i do samej jej śmierci panie pozostały ze sobą w przyjaźni. Znajomy wysłuchał wspomnień tej kobiety! Przy okazji dowiedział się też czegoś bardzo intrygującego.

– Tak? – bezwiednie go poganiałam.

– Otóż, na krótko przed śmiercią Ema wyznała swojej przyjaciółce, że gryzą ją wyrzuty sumienia. Chodziło o jakąś tragedię, do której doszło z jej przyczyny. Żałowała, iż najpierw nie mogła, a potem nie odważyła się wrócić do miejsca, by załatwić coś, co niby zaniedbała. Niestety, Ema nie wyjawiała żadnych szczegółów, a wkrótce zmarła. I co pani na to?

– Nie wiem...

Trudno było mi od razu wysnuć z tego jakieś wnioski, natomiast antykwariusz miał już gotowe.

– Naturalnie, chodzi o jej kochankę! Ema zabrała swoją tajemnicę do grobu, lecz nam się wydaje, że nawet tam ją to dręczy.

– Ma pan jakiś pomysł, co to może być? – Starłam się zachować trzeźwość myśli, chociaż w głębi ducha podzielałam rozumowanie antykwariusza.

– To, co pani sama sugerowała, najpewniej za przyczyną Emy, mianowicie, że w tym domu dokonano zabójstwa! Gdzieś tutaj nadal znajdują się szczątki

Martina. Trzeba je znaleźć i godnie pochować!

– Co?! Chce pan powiedzieć, że w tym domu jest trup?! – Zatkąło mnie.

– Hm... raczej już tylko kości, albo ich resztki... Uważamy z moim współnikiem, że są w tym domu albo w jego pobliżu. Typowałbym piwnicę. Może trzeba będzie zerwać posadzkę. Pokaże mi ją pani?

– W piwnicy jest... zwykle klepisko. – Spowaźniałam. – Teraz to już nigdy tam nie zejdem!

– Bez obawy, razem sprawdzimy!

Ani myślałam mu towarzyszyć, nie pozwoliłam również na spenetrowanie piwnicy beze mnie. Tłumaczyłam, że nic tam nie zobaczy, gdyż nawet, jeśli miał rację, minęło ponad pół wieku, a ziemia była ubita i zmarznięta.

– Nie będziemy przecież czekać do wiosny! Można sprowadzić tu ludzi z odpowiednim sprzętem...

Zasłoniłam się wymówką, iż dom nie jest mój, więc wpieryw należałoby uzgodnić to z właścicielami. Obiecałam jednak, że przekażę im jego sugestie i zamierzałam dotrzymać słowa. Prawda czy nie, zmroziło mnie wyobrażenie, iż mieszkam bezpośrednio nad czymś grobem. Coś trzeba było z tym zrobić, i to szybko!

Antykwariusz nie upierał się, a wkrótce oznajmił, że musi wracać do uzdrowiska. zaproponowałam mu pozostanie do obiadu, lecz miał obawy, że śnieg odetnie go tutaj od świata. Przez moment rozważałam, czy wraz z nim nie zejść do wioski, by czas do powrotu Armina spędzić u Ireny. Odrzuciłam jednak pomysł i stłumiłam rodzący się powoli we mnie niepokój. Spekulacje na temat domu bazowały na wątpliwych domysłach, miały luki. Ponadto, jeśli nawet krążyły tu jakieś duchy, to dotąd były mi przychylne.

Wraz z zapadającymi ciemnościami opuszczał mnie optymizm. Niepotrzebnie zaczęłam dedukować i choć z istniejących danych oraz przesłanek nie odtworzyłam, co naprawdę tu się wydarzyło, wysnułam dość odkrywczy wniosek. Nie zgadzała się chronologia zdarzeń!

Morderstwo, o ile do niego doszło, nie musiało wcale wydarzyć się tuż przed pożarem. Przypomniałam sobie listowne skargi Emy, że mieszała w domu omdlenia i jakieś koszarne wizje. Martin mógł wtedy już nie żyć i całkiem możliwe, że kobieta zaczęła się czegoś domyślać. Podobno czasem u silnie kochających się par jedno potrafi wyczuć śmierć drugiego; czy było tak i w tym wypadku? A może Ema odkryła ślady zbrodni bądź nawet miejsce pochówku ciała? Kto wie, czy jej mąż dopiero wówczas nie uciekł się do zamazania dowodów swojego czynu z podpaleniem domu łącznie? Taki obrót wydarzeń, z pożarem na długo po ustaniu akcji poszukiwań turysty, mógłby tłumaczyć, dlaczego wieść o spalonym domu wtedy nikogo już nie obeszła.

Popatrzyłam na obraz. Byłam przekonana, że jestem na właściwym tropie

rozwiązania zagadki. Równocześnie męczyło mnie, że o czymś zapomniałam. Kiedy domniemania panów z antykwariatu bazowały na zdobytych danych, odnosiłam wrażenie, iż nie tyle sama dokonywałam tych odkryć, ile ktoś mi je podpowiadał. Tak było chyba i teraz, zmuszając mnie do podejścia do obrazu.

Zapaliłam kinkiety po obu jego stronach i dokładnie mu się przyjrzałam. Czy twórca malowidła naprawdę poznał tajemnicę domu? Jeśli doszło do konfrontacji malarza z właścicielem domu, to mężczyźni w końcu się dogadali. Może stał za tym szantaż, a może przekupstwo.

A co z ofiarą zbrodni? Zrozumiałam, że obojętnie, czy Martin trafił do tego domu celowo czy przypadkiem, pozostał w nim na długo. Zakładałam, że był przetrzymywany w piwnicy, gdzie malarz uwiecznił jego twarz. Zniknął jednakże zimą, więc sądząc po wczesnowiosennym pejzażu na obrazie, musiał być tam więziony przez wiele tygodni. W mojej wizji Ema również nie potrafiła opuścić pokoju, więc być może jej mąż oboje trzymał pod kluczem. Była też krew, która przemawiała za mordem, a to z kolei sygnalizowało, że w jakimś momencie sytuacja musiała wymknąć się spod jego kontroli. Czy to Emie udało się uwolnić kochanka bądź on sam jakoś wydostał się z piwnicy i wdał się w bójkę z rywalem? Mój wyimaginowany scenariusz zdarzeń dopuszczał wiele opcji, wszystkie jednak miały ten sam finał. W tym domu zabito człowieka.

Im bliżej nocy, tym mocniej się upewniałam, że zostałam wybrana przez Emę do dokończenia tego, czego ona już zrobić nie mogła. Stara historia nie zamknęła się wraz z pożarem domu. W pewnym niepojętym sensie, wciąż się toczyła, zarówno w wymiarze, gdzie czas nie miał znaczenia, jak i przez znaki dawane ludziom, którzy przebywali pod tym dachem. Co jedni nazywali miejscem przeklętym albo nawiedzonym, dla mnie stało się echem wołania o pomoc.

Coś w tym wystawionym na żywioły domostwie było tak samo zagubione i pełne zwątpienia, jak w naszym brutalnym świecie ja oraz Kinga. Jeśli moje dotychczasowe przeczucia nie mijały się z prawdą, Ema mogła być do nas podobna – już w latach swojej późniejszej samotności, pozostawiwszy za sobą niespełnione marzenia. Może także w pokrewieństwie dusz.

Jeszcze jedna z błędnych siostr, pomyślałam o niej ze smutkiem. W tej samej sekundzie poczułam na karku znajome tchnienie chłodu, dziś wyjątkowo subtelne było niemal pieszczotą.

Serce zadrgało we mnie przestraszeniem. To niemożliwe, już kiedyś to przeżyłam!, przebiegło mi przez myśl. Wysilek umysłu zemścił się potężnym kołataniem pod czaszką. Następne kwadransy przetrwałam wchłonięta przez ból i ciemność pokoju, wdzięczna za brak jakichkolwiek impulsów. Z kokonu odrętwienia wyrwały mnie dopiero odgłosy za ścianą. Ktoś ciężko stąpał w przedpokoju, otworzył drzwi do łazienki, po jakimś czasie z niej wyszedł i udał się schodami niżej. Na piętrze na powrót zaległa zbawienna cisza, a ja wreszcie

zasnęłam, sponiewierana i wyczerpana silnym atakiem.

Wczesnym rankiem pozostało po nim tylko przykre wspomnienie. Choć odczuwanie istnienia bez bólu dla mnie już nigdy nie miało być pewnikiem, to odwrót migreny był zawsze małym zmartwychwstaniem. Z odpowiednią do tego radością wkroczyłam w nowy dzień, który ze swojej strony witał mnie promiennie, nie szczędząc słońca.

O nocnym gościu przypominałam sobie dopiero wchodząc pod natrysk. Ręcznik kąpielowy mojego współlokatora byle jak zwisał z haka i był trochę wilgotny. Poprawiając go, wyśmiałam swoją nocną trwogę, usprawiedliwioną jedynie atakiem migreny. Zdumiało mnie, że Armin wrócił tu późnym wieczorem, według mego rozeznania, kręcił się po domu grubo po północy. Czyżby od wioski wędrował po ciemku? Nie sądziłam raczej, aby komuś chciało się podwieźć go o tej porze.

Na dole nie zastałam nikogo, nawet kota nie było, co mogło tylko znaczyć, że śpi u Armina. Czekając, aż ekspres zaparzy kawę, podeszłam do najbliższego okna i tam osłupiałam. Nieopodal furtki stał ciemnozielony, piękny dzip, niepodobny do wysłużonego gazika leśniczego ani do terenówki Józefa. Samochód przy domu wywołał we mnie burzę spekulacji, brałam nawet pod uwagę, że przybył tu brat Reginy. Zamierzałam właśnie pójść na górę, by przebrać się na ewentualność spotkania z nieznaną osobą, kiedy na schodach pojawił się Armin. W przeciwieństwie do mnie, dobudzonej szokiem, on wydawał się zaszpany. Zbliżając się do mnie, raz i drugi ziewnął.

– Zbudziłam cię? – zapytałam, choć mijając jego pokój, starałam się nie robić hałasu.

– Witaj... – Przyciągnął mnie do siebie i pocałował. – Nie, nie ty. Remi.

Sprawca nie wiedzieć kiedy pojawił się i lasił do naszych nóg. Kocia radość czy domaganie się śniadania? Najpierw jego pana uraczyłam kawą, od razu pytając o dzipa. Uspokojona, że to on nim przybył i to w pojedynkę, napełniłam kocią miseczkę karmą. Czegoś mi brakowało... No, tak, jeszcze kawa dla mnie!

– Lot był opóźniony, ale nie chciałem nocować w Warszawie, od razu wsiadłem do auta i w drogę. Przyjeżdżam, a ty twardo śpisz! – Nie krył zawodu. – Liczyłem, że zaczekasz na mnie, napijemy się winka...

– Wybacz... nie byłam w stanie. – Westchnęłam. – Dopadł mnie wczoraj atak migreny, konałam cały dzień! A już miałam nadzieję, że wreszcie się odczepiła...

– Przykro mi! – Spojrzał na mnie współczująco i zaraz dodał otuchy: – Wierzmy, że to jej ostatnia, desperacka ofensywa! Patrząc na ciebie, dziś po niej ani śladu!

Podziękowałam mu uśmiechem, pytając o jego pobyt w Londynie, lecz Armin nie kwapił się do wyjawienia szczegółów. Przyjęłam, że nie chce zapeszyć

czegoś, co może jeszcze nie całkiem pewne i automatycznie przyszła mi na myśl propozycja nowej roli. O zmianie swoich planów uprzedził mnie telefonicznie. W jego głosie nie było już wtedy urazy ani żadnych sztucznych tonów. Przeprosił, że wypadło mu coś ważnego i jego nieobecność potrwa jakiś tydzień dłużej.

Teraz był znów w domu, do czego, jak sobie uzmysłowiłam, nie musiałam już przywykać. Przynależał do tego miejsca tak samo, jak ja, wypełniał je w naturalny sposób, inaczej niż towarzystwo nawet najbardziej miłych gości. Niemniej na tamtą jego wieść, że na razie nie wraca, zaprosiłam do siebie Kingę.

Spędziłyśmy ze sobą kilka intensywnych w doznania dni, w niedzielę dołączyła do nas Irena. Rozmowy z siostrą, w domu czy poza nim, coraz bardziej potwierdzały mi jej zagubienie. Ona nie była szczęśliwa i chyba nie była już zdolna uwierzyć, że ma do szczęścia prawo. Miotła się, czy powinna zostać z Józefem. Moje słowa, a również rady Iry, chyba nawet już do niej nie docierały.

Kinga miała w sobie tyle przeciwieństw, że czasem odnosiłam wrażenie, iż mam do czynienia nie z jedną, a z wieloma osobami, zwłaszcza, że dochodziła do tego skrajność jej nastrojów. Zmieniały się z godziny na godzinę. Odkrywałam u niej zaskakujące przymioty, takie jak uczynność, empatia, lecz raptem dochodziła do głosu inna strona jej natury, zaczepna, cyniczna, prześmiewcza. Nie miałam pewności, czy stoi za tym tylko choroba, jednak oczywiste było, że siostra potrzebuje nie tylko miłości, ale też fachowej pomocy.

Józef Janowicz także zdał sobie z tego sprawę. Kiedy odbierał ją z mojego domu, uciszył moje obawy dyskretnym półszepcetem, że są już umówieni na wizytę u dobrego psychiatry. Na pożegnanie przytuliłam Kingę wyjątkowo czule. Wyślizgując się z moich objęć, przeszła mnie zawadiackim spojrzeniem.

– I znowu nie wiesz, co masz myśleć o swojej siostrze wariatce! Nie martw się, ja też mam z tym problem... – Zachichotała. – Któregoś dnia zrzucę swoją skórę i nareszcie odżyję!

Pozostawiła mnie rozdartą pomiędzy optymizmem a smutkiem. Bez leków była melanżem sprzeczności, a po lekach marną połową siebie. Świadomość, że wróg gnieździ się w twoim umyśle, a walcząc z nim, walczysz też przeciw sobie, musiała być czymś strasznym.

Z mojej pamięci wyłoniła się nagle scena z filmu biograficznego o genialnym matematyku, nobliście a zarazem schizofreniku paranoidalnym. W pewnym momencie zgodził się na istnienie różnicy pomiędzy tym, co prawdziwe, a tym, co działo się w jego głowie i próbował pokonać urojenia. Bezskutecznie, gdyż jak naprawić coś, co zepsute, jeżeli można to uczynić jedynie za pomocą felernego narzędzia, w tym wypadku właśnie rozumu?

Zapewne moja siostra również odbierała rzeczywistość po swojemu. Umysł Kingi podpowiadał jej wyjścia, które przekraczały granice zdrowej logiki. Czy jednak to jej wina, że rozumowała w ten sposób? Martwiłam się o nią i pragnęłam

porozmawiać o tym z Arminem, ale na razie chwila nie była ku temu stosowna.

Zasiadając przy stole, od razu zesliśmy na temat widocznego za oknem nowego nabytku. Armin przyznał, że już od pewnego czasu nosił się z zamiarem kupna dżipa, lecz najpierw szukał kupca na poprzedni wóz. Zamieścił ogłoszenie w Internecie, jednak zainteresowanie kosztownym samochodem było mierne. Wreszcie zgłosił się ktoś konkretny, doszło do transakcji, po czym Armin kupił dżipa, którego upatrzył sobie już wcześniej.

– Jest wprawdzie dużo wolniejszy od starego wozu, za to w górach radzi sobie wyśmienicie! – uzasadniał.

– Sprawdziłem wczoraj, podjazd z wioski do lasu nie stanowi żadnego problemu.

Nie zapytałam Armina, czy właśnie ten interes krył się za jego nagłym zniknięciem. Nie musiał mi o wszystkim mówić, a jeżeli chodziło o sprawy związane z Ludmiłą, nawet wołałam, żeby je przemilczał. Mając w pamięci dzień poprzedzający jego wyjazd, nie chciałam zepsuć dobrej atmosfery, a moje dociekanie mogłoby nas znowu poróżnić. Byłam wdzięczna, że nie wracał do tamtego sporu między nami. Miałam nadzieję, że podobnie do mnie uznał, iż pozostały nam czas można spożytkować w przyjemniejszy sposób niż czyniąc sobie wyrzuty. Na razie byliśmy względem siebie nawet przesadnie mili, toteż prawdziwie rozprężyłam się dopiero wówczas, kiedy przeszliśmy do naszych typowych, z lekka sarkastycznych żartów. One najlepiej dowodziły istnienia pełnej swobody.

W takiej atmosferze relacjonowałam Arminowi czas spędzony tu bez niego. Najpierw zwięźle, gdyż zwykle dopiero drugi kubek kawy oliwił mój aparat mowy. Mój rozmówca był zawiedziony.

– Żadnego wypadku, żadnych sensacji? – dociekał z udawanym rozczarowaniem.

– Poza tym, że chyba mamy trupa w piwnicy, to same nudy!

Domyślałam się, że leśniczy wspomniał mu o wizycie antykwariusza, uznałam więc, iż nie ma sensu robić z tego tajemnicy. Jak można było przypuszczać, na moją nowinę Armin zareagował śmiechem.

– Przestań, proszę! – zaprotestowałam. – Pomyślmy raczej, co z tym zrobić? Pierwszej nocy po odwiedzinach tego pana nie spałam prawie do świtu!

– A więc tu także straszy?! Nie wiem, czy sprawdzę się jako pogromca duchów, ale mogę się tego podjąć! – dowcipkował.

– Nie jest mi wcale do żartów. To dramatyczna historia.

Spojrzał na mnie uważniej, dolał sobie kawę do kubka i opierając się wygodnie o krzesło, poprosił już z powagą:

– W takim razie opowiedz mi ją od początku!

– Dobrze, ale obiecaj, że nie będziesz wtrącać ironicznych uwag, wyśmiewać

mnie czy robić głupich min!

– Zamieniam się w sfinksa! – zapewnił, dowodząc tego skamieniałym obliczem.

Zacząłam więc mówić, najpierw ograniczając się do danych przedstawionych we wspomnieniach autorki książki oraz z listów Emy. Przytoczyłam też informacje, które zebrał dla mnie antykwariusz. Historia skrócona do suchych danych nawet w moich uszach brzmiała nieprzekonująco, toteż podsumowałam je spekulacjami, tak moimi, jak obu starszych panów.

– Mniej więcej to wszystko – zakończyłam. – Zdaję sobie sprawę, że wiele w tym niejasności...

– W rzeczy samej – potwierdził Armin. – Być może ocieracie się o prawdę, lecz trudno będzie jej dociec, od tamtych zdarzeń minął szmat czasu. Epizody, które mi nakreśliłaś, można różnie interpretować, przeważały zresztą poszlaki. Szczerze powiedziawszy, nie bardzo rozumiem, po co zawracać sobie tym głowę? Chyba nie wierzysz, że w tym domu naprawdę ukryto ludzkie zwłoki?

Liczyłam się ze sceptycyzmem Armina, lecz miałam małą nadzieję, iż moja opowieść mocniej go wciągnie. Trochę więc z zawodu, a trochę na przekór powiedziałam:

– Jestem przeświadczona, że tak właśnie jest!

– Na jakiej podstawie?

– Na jakiej? – powtórzyłam, zastanawiając się, jak uzasadnić coś, co chwiałał opoką racjonalizmu. – I tak tego nie pojmiesz!

– Może chociaż spróbuj mnie przekonać!

– Nawrócić agnostyka? Bez szans! – zakpiłam. – No, dobrze, posłuchaj, ale na tych samych zasadach, jak wcześniej. Nie odzywaj się, póki nie skończę. Zgoda?

Wykonał gest, jakby zamykał usta na zamek błyskawiczny i skupił się na moich słowach. Tym razem nie przychodziły mi łatwo. Najpierw okrężnie, a później już wprost mówiłam mu o znakach, jakie naprowadzały mnie na kolejne ślady owej historii. Rozpoczęłam od książki, w której zaintrygowały mnie rzeczy wydarzające się na tej polanie, włącznie z zaginięciem Martina. Przyznałam się do wizji po moim wypadku z wyrazistymi scenami, które potem powracały szczątkowo, dając mi na chwilę przepustkę do świata, który dawno już minął. Podzieliłam się wrażeniami na widok malowidła i moim stopniowym odkrywaniem przekazu, który stary obraz zdawał się zawierać. Później zwróciłam uwagę na dalsze przypadki, znalezione listy i chęć antykwariusza, aby wtajemniczyć mnie w ich treść, dotarcie do informacji o Emie, a co najbardziej osobliwe, jej data śmierci będąca zarazem dniem moich urodzin.

– Zdumiewa mnie, że przybyłam właśnie tutaj! – kontynuowałam po kilku łykach kawy. – Regina totalnie mnie zaskoczyła! Nie byliśmy ze sobą na tyle

blisko, żeby wychodziła do mnie z taką propozycją! Udostępnić komuś swój dom i to na wiele miesięcy?! Na dobrą sprawę, wcale tego nie chciałam! Tymczasem nie tylko stąd nie uciekłam, ale wręcz pokochałam to pustkowie!

Następnie przeszłam do moich odczuć związanych z samym domem, nie pomijając nawet tych trącących o mistykę. Staralam się nie patrzeć na Armina, lecz przelotnie zerkając dostrzegłam, że w jego oczach zapaliły się wreszcie ogniki zaciekawienia. To zachęciło mnie, by wyjawić mu swoje przeczucia dotyczące ducha Emy bądź jakiegoś innego bytu z tak zwanego świata równoległego.

– Wiem, że zakrawa to na szaleństwo i że nie zdołam ci tego wyjaśnić! – usprawiedliwiałam się mimowolnie. – Nie odbieram tego zawsze, teraz na przykład nie. Są jednak chwile, że wyczuwam w pobliżu czyjaś obecność, chociaż nikogo nie ma.

– Czym się to objawia? – Nie wytrzymał i zadał pytanie, na szczęście, bez cienia drwiny w głosie.

– Różnie. Najczęściej mam po prostu wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Czasami znów, że przechodzi całkiem blisko, niemal łapię na skórze ruch powietrza. Rzadziej, w szczególnych momentach, czuję specyficzne mrowienie na karku, niekiedy wręcz dreszcze. Są też sygnały, których nie umiem opisać, ponieważ odbieram je jakby w sobie, nie z zewnątrz. Jest to ostrzeżenie, innym razem pewność, że nie muszę się bać, że jestem bezpieczna.

Albo czuję niepokój, dopóki nie zrobię czegoś, i ta myśl staje się prawie obsesją.

– Na przykład?

– Chociażby z tym obrazem. – Wskazałam na niego wzrokiem. – Przyciągał mnie, nie pozwalał o sobie zapomnieć, wreszcie dojrzałam na nim głowę mężczyzny w okienku przy ziemi. Co gorsza, ilekroć schodzę na dół, coś namawia mnie, aby zejść niżej, do samej piwnicy. I nie wymyśliłam tego dopiero dowiadując się o romansie Emy z Martinem! Czułam to już dużo wcześniej, zaczęło się po tym nieszczęsnym upadku.

– No, cóż... – Armin się zastanawiał. – Nie będę podważał twoich odczuć, ale czy to nie dziwne, że tylko ty je tutaj miewasz?

– Bynajmniej! Inni ludzie również doznawali tu osobliwych rzeczy! Zresztą, daleko nie trzeba szukać... nawet ty je miałeś! Przypomnij sobie swoje niespokojne noce w mieszkanku na dole, twoje sny o pożarze...

– Karolo! – Zaśmiał się. – Jeszcze chwila, a uwierzę, że naprawdę mieszkamy tu z duchem!

– Nie musisz! Chciałeś się dowiedzieć, o co chodzi, powiedziałam ci, co wiem i możemy temat zamknąć! – odcięłam się lekko nadąsana.

– Wiesz, z historiami tego typu jest ciężka sprawa, bo podobnie, jak trudno je udowodnić, nie sposób ich też obalić. A przynajmniej, dopóki nie znajdzie się

logicznych wyjaśnień dla takich... hm... fenomenów.

– Czyli przekona cię dopiero nieboszczyk w piwnicy?

– To nie jest tak, że ja ci nie wierzę – łagodził moją urazę. – Może jednak nie doceniasz siły podświadomości.

Ludzi od zawsze zajmowały niewiarygodne zjawiska, a zapalając się do jakiejś idei, potem wszystko z nią łączą, może nawet bezwiednie.

– Przewidywałam, że sprowadzisz to do omamów...

– Nie dąsaj się, tego nie powiedziałem! Historia dawnych mieszkańców domu nawet mnie zainteresowała. Jestem też pełen uznania dla twoich poszukiwań prawdy. Nie podniecam się tylko tą mistyczną otoczką. W takich sprawach jestem racjonalistą.

– A ja myślałam, że złapiesz za łopatę i przekopiesz piwnicę! – Przymusiłam się do żartu, z udawaną podkówką na buzi.

– Trup nie zając, mam dużo lepszy pomysł na przedpołudnie... – Spojrzał na mnie, dwuznacznie się uśmiechając.

– Co ci chodzi po głowie? – Zmieszało mnie lekko przecucie, że mój mężczyzna zapragnął nadgonić czas naszej rozłąki.

– Masz prawo jazdy? – nieoczekiwanie zapytał.

– Tak, a co?

– Poćwiczysz jazdę dżipem. Na początek pod moim nadzorem.

– Ja? – zdumiałam się.

– Owszem, jest przecież do naszej wspólnej dyspozycji. Nie martw się, ma wspomaganie, prowadzi się go łatwo. Będiesz mogła sama zjeżdżać w dolinę, może nawet dasz radę do schroniska?

Nie chciałam studzić jego entuzjazmu przypomnieniem o moich planach opuszczenia tych stron. Tymczasem istotnie mogłabym korzystać z dżipa, choć prawdę mówiąc, miałam pewne obawy, czy nie przecenia mnie jako kierowcy.

Zabraliśmy się do przygotowania śniadania. Zwykle, kiedy nakrywałam do stołu, Armin kroił już pieczywo, do mnie należało zadbanie o napoje, on z kolei wyjmował z lodówki produkty i układał je na talerzykach. Działo się to automatycznie, bez ustalania, co kto powinien, i tych małych nawyków codzienności pojawiało się coraz więcej.

Liczba zjedzonych przeze mnie kiełbasek, które podgrzałam do śniadania, sprawiła, że nie od razu chciało mi się ruszyć z domu. Moje noworoczne postanowienie w kwestii diety funkcjonowało jedynie w zrywach, aktualnie udawałam, że mam amnezję. Teraz usprawiedliwiała mnie moje odbicie w lustrze, gdyż przybrawszy na początku pobytu parę kilogramów, potem już więcej nie przytyłam. Wiedziałam też, że zrzucę je po opuszczeniu Polski. Za jej granicami nic mi tak nie smakowało.

Wreszcie jednak pokonawszy lenistwo, wyruszyliśmy na przejażdżkę. Z

bliska dżip okazał się solidnym pojazdem. Armin najpierw sam zasiadł za kierownicą i łagodnie nim ruszył. Silnik wozu nie ryczał jak gazik leśnika, a we wnętrzu auta było zaskakująco przestronnie. Przy trakcie Armin skręcił w stronę schroniska. Zaoponowałam, że jak na pierwszą próbę to zbyt wielkie wyzwanie, toteż przy najbliższej okazji zawróciliśmy w stronę polany. Rozświetlona słońcem zapraszała przestrzeń, a wrażenie bezmiaru potęgowała nieruchoma pustka. Krystalicznie czystego powietrza nie poruszał dziś najsłabszy wietrzyk.

Zatrzymaliśmy się dokładnie przy Błędnym Siostrach, pomyślałam nawet, że motor pojazdu samoistnie wygaśnie, jednak to Armin przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Przesiadamy się? – zapytałam.

– Później. – Spoważniał. – Porozmawiajmy chwilę...

– Aż się boję! – Żartobliwym tonem nadrabiałam niepewność. – Dlaczego tutaj?

– To miejsce jest dla mnie szczególne. Przypomina mi dzień, w którym o mało cię nie straciłem... – Wodził spojrzeniem po skałach.

Ich czubki pod chustami śniegu skrzyły się bielą, jednakże mój wzrok powędrował w dół, do cienia pod nimi. Gdzieś tam ostatecznie straciłam siły, mogłam zamarznąć i pozostać tam na zawsze... gdyby nie sarny... gdyby nie upór Armina. Mimowolnie zadrżałam.

– Bałem się, że nie zdążymy odnaleźć cię żywą! Chyba dopiero wtedy naprawdę pojąłem, ile dla mnie znaczysz, Karolo. Wiesz, kiedy potem majaczyłaś w gorączce, obiecałem ci... to i owo. A jednak dopuściłem do tego, że znowu zaczęliśmy się rozmijać. Marnujemy cenne dni.

„Resztkę dni”, powiedziała bezgłośnie, a zwracając się do Armina, poprosiłam:

– Nie zmarnujmy więc dzisiejszego! Pozwól mi się nacieszyć pierwszą jazdą dżipem!

Zatrzymał na mnie spojrzenie, było w nim coś, co mnie peszyło, ślad wyrzutu, może zwątpienia.

– O tym właśnie mówię. W oddaleniu tęsknimy za sobą, a kiedy jesteśmy blisko, unikamy rozmów o tym, co najważniejsze!

– Masz rację, wybacz.

– Spotkaliśmy się w bardzo niekorzystnym czasie – mówił spokojnie. – Ja z moją powikłaną sytuacją prywatną, zmęczeniem ludźmi, a nawet znużeniem aktorstwem. Ciebie z kolei nękała migrena i jeszcze zawałił ci się związek. Oboje przyjechaliśmy tu z potrzeby spokoju, nie szukaliśmy nowych partnerów, wręcz mieliśmy wzajemną awersję do siebie. A jednak wbrew wszystkiemu pokonaliśmy uprzedzenia i staliśmy się sobie bliscy. Nie powinniśmy tego zaprzepaścić!

Przypomnienie naszych początków uprzytomniło mi, że istniały tylko

minimalne szanse, że w ogóle się poznamy. Poruszaliśmy się w innych światach, nie mieliśmy wspólnych znajomych, dzieliły nas granice. A jeśli nawet jakimś cudem otarlibyśmy się gdzieś o siebie, najpewniej nie zwrócilibyśmy na siebie uwagi.

– Zostaniesz ze mną, Karolo?

Wyczuwałam już, że padnie to pytanie i bałam się tego. Poczułam się przyciśnięta do muru, choć nie miałam powodu, by nie wierzyć w szczerą intencję Armina.

– Nie mogę postawić wszystkiego na jedną kartę! – wykręcałam się od odpowiedzi, uciekając spojrzeniem. – A jeśli nam nie wyjdzie? Przecież sprzeczamy się, unosimy dumą... aż któregoś dnia pokłócimy się na dobre! Dokąd potem miałabym wracać, gdzie znajdę pracę i dom?!

– Dlaczego od razu zakładasz najgorsze? Wszystko przed nami, ścieramy się, żeby dopasować! Może trochę więcej wiary w nas, Karolo? – przekonywał łagodnie.

– Armin... – Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Nie chcę cię stracić.

– Wiem – szepnęłam.

– Więc nie wyjeżdżaj!

Żeby to było takie proste! Oczywiście, że pragnęłam pozostać, ale też bałam się kolejnego zawodu, po którym znów przyjdzie mi zaczynać od niczego. Rozsądek czy serce? Gdyby do tej rozmowy doszło w innych okolicznościach, chyba przeważałyby moje uczucia. A może Armin to przewidział i nie chciał, abym decydowała pod wpływem uniesienia? O ile łatwiej było nam porozumiewać się bez słów, nasze ciała nie analizowały, nie kierowały się poczuciem dumy ani rozważą. Noc sprzyjała pojednaniu, lecz nie mogła trwać wiecznie, a z porankiem znowu nadeszłyby wątpliwości.

Nie patrzyłam na Armina, dlatego kiedy nagle przemówił, zdumiał mnie jego opanowany ton. Spodziewałam się raczej wyrzutów.

– Rozumiem twoje wahania. Może będzie ci łatwiej, gdy zapewnię ci to, czego potrzebujesz?

– O czym ty mówisz? – Lękałam się nieporozumienia.

Odwrócił się do mnie, wyjmując coś z wewnętrznej kieszeni kurtki. Zbladłam, rozpoznając w jego dłoni aksamitne pudełeczko.

– Nie mogę tego przyjąć...

Niezrażony moimi słowami, położył je na mojej dłoni. Jego oczy pałały, lecz głos nic nie zdradzał:

– To nie jest to, o czym myślisz. Niestety, z moim rozwodem może jeszcze trochę potrwać... Jeżeli jednak byłabyś w stanie zaakceptować nietypową kolejność rzeczy, moglibyśmy zacząć... od wspólnego domu.

– Mieszkamy już razem... – wtrąciłam niepewnie.
– Naszego domu, Karolo. – Zaakcentował pierwsze słowo. – Otwórz, proszę!
Mając już pewność, że opakowanie nie skrywa pierścionka, podniosłam wieczko. W środku znajdował się klucz, nawet nie nowy i jakby mi znajomy. Podniosłam wzrok na Armina.

– Tak, znasz go. – Wskazał głową w stronę wyższych partii polany. – Dom należy już do nas, a formalnie do ciebie, gdyż kupiłem go na twoje nazwisko.

– Kupiłeś?! – Na razie tylko ta informacja do mnie dotarła, a i to niezupełnie.

– Tak, po to byłem w Londynie, a potem jeszcze u notariusza w Warszawie. Później przekażę ci wszystkie dokumenty, będziesz musiała je podpisać, ale na razie symboliczny klucz.

– Powoli... Kupiłeś dom Witomskich? – upewniałam się jeszcze.

– Owszem. Spotkałem się z twoją znajomą, miała już pełnomocnictwo swojego brata. Wiesz, Wiktor parokrotnie sugerował, że nie interesuje go ta posiadłość i chętnie by ją sprzedał. Jego siostra, z tego, co wiem, prawie wcale tu nie bywała. Przypuszczałem, że takie rozwiązanie byłoby po ich myśli. I nie myliłem się. Zwłaszcza panią Witomską ucieszyła wiadomość, że to właśnie ty w nim zamieszkaż.

– Zamieszkaż? – Popatrzyłam tam, gdzie dom skrywały drzewa.

– Nie musisz opuszczać Polski.

– Nie żartuj sobie! – Wracała mi przytomność umysłu.

– Mówię serio. Powiedziałaś kiedyś, że nie miałaś tu do kogo ani do czego wracać. Teraz już masz... Daję ci siebie i nasz dom. A tobie pozostawiam wybór. – Armin przyciągał mnie wzrokiem.

– Nie mogę, nie potrafię... – Przymknęłam wieczko pudełka. – Nie umiem nawet zebrać myśli! Skąd miałeś pieniądze na dom? Co to za pomysł, aby kupować go na moje nazwisko?

– Witomscy nie chcieli dużo, zdawali sobie sprawę, że na taki dom trudno byłoby im znaleźć chętnych. Skąd pieniądze? Zostały mi ze sprzedaży warszawskiego mieszkania, było ogromne, mam teraz kawalerkę. Reszta z oszczędności. Nie oszukuję Ludmiły, już dawno dostała swoją część. Dopóki jednak nie orzeczono naszego rozwodu, lepiej nie kupować niczego na siebie.

– Jesteś szalony! – zachnęłam się i pokręciłam głową. – A jeśli ciebie oszukam?!

– Nie zrobisz tego. – Uśmiechnął się rozbijająco.

– Armin, jak ty to sobie wyobrażasz? Z czego miałabym się tu utrzymać? Co będzie z twoją pracą?

– Pytania, pytania... Karolo, wszystko dokładnie przemyślałem! Owszem, będę wyjeżdżać, ale czasowa rozłąka nie jest rozstaniem na zawsze. A jeśli wyrazisz takie życzenie, możesz mi towarzyszyć. Nie obawiaj się, nie czeka cię los

Penelopy. – Znów się uśmiechnął.

– Masz gotową koncepcję na całe moje życie? – spytałam.

– Nie, sama je wyreżyserujesz, to tylko jeden z wielu scenariuszy. Inny zakłada zamieszkanie w stolicy, ale wiem, że tego nie chcesz. Możemy zresztą wspólnie napisać scenariusz, ale najpierw muszę usłyszeć, jaką podjęłaś decyzję?

– Przepraszam... nie odpowiem ci teraz. – Westchnęłam po chwili milczenia, zwracając mu pudełeczko. – Jestem w szoku...

– Zdaję sobie sprawę. Chcę, abyś wiedziała, że poważnie podchodzę do naszej przyszłości. Pozostań ze mną, Karolo! Pozostań w naszym domu! Okoliczności na razie nie są idealne, ale wierzę, że nam się uda. Zaufaj mi... Zaufaj też sobie!

Nasze oczy się spotkały, w jego dostrzegłam zdecydowanie potwierdzające mi, że będzie o to walczyć. Domyślałam się, iż w moich było zmieszanie i niepewność. Zmieszanie, ponieważ czułam, że Armin oczekiwał na słowa, których w tej chwili nie umiałam wypowiedzieć. Brak pewności był zaś dobitnym świadectwem, że z ufnością wciąż jestem na bakier. Moje policzki pałały, ze wstydu bądź z nadmiaru wrażeń.

Na trakcie przed nami pojawili się wędrowcy. Poczekaliśmy, aż zbliżyli się do nas, mijając nas, rzucili zaciekawione spojrzenia. Milczałam, więc Armin powiedział:

– Dobrze, zakończmy już ten temat. Zastanów się i wrócimy do tego innym razem.

Zaproponował, abym teraz ja zasiadła za kierownicą. Objął mi, jak działają biegi, pouczył, żeby startować spokojnie, z wyczuciem mocy wozu. Robiłam wszystko w myśl jego zaleceń, starając się skupić już tylko na jego słowach, a jednak wciąż brzmiało mi w uszach. „Pozostań ze mną, pozostań w naszym domu!”. To wszystko spadło na mnie zbyt nagle i było zanadto piękne, ażeby mogło być prawdą.

Ruszyliśmy przed siebie. Dopiero po przejechaniu większego odcinka drogi nabrałam poczucia, że wreszcie panuję nad wozem. Nie dałam się jednak namówić, aby zjechać do wioski. Zakreśliłam pod lasem i pojeździliśmy tam i z powrotem traktem po polanie, aż za którymś razem zjechałam na drogę prowadzącą w stronę domu. Nigdy wcześniej nie patrzyłam na niego tak, jak tego południa. Mój umysł nadal nie dopuszczał możliwości, że mogłabym pozostać tu na stałe, lecz cała reszta mnie drżała z podniecenia.

– Przejadę się do schroniska! – oznajmił mi stąd, ni zowąd Armin. – Pod taką górę dżip jeszcze nie wjeżdżał... Zabierzesz się ze mną? Bez obawy, ja poprowadzę!

– Nie, mam już dosyć. I chyba chcę trochę pobyć sama – przyznałam.

– Rozumiem... – Uśmiechnął się ciepło, wysiadając z wozu.

Mineliśmy się przed maską. Nie pozwolił mi przejść obojętnie. Przyciągnął do siebie i pocałował, po czym włożył do mojej dłoni pudełeczko.

– Otwórz tym kluczem! – poprosił. – Niezobowiązująco.

– Dobrze – zgodziłam się z nieśmiałym uśmiechem.

Podchodząc do domu, czułam na sobie wzrok Armina. Zaczekał, aż odemknę drzwi i dopiero wtedy usiadł za kierownicą. Pożegnaliśmy się tylko spojrzeniem.

Miałam nadzieję, że nie był zawiedziony brakiem żywej reakcji u mnie. Znał mnie na tyle, by wiedzieć, że potrzebuję czasu, aby przyswoić sobie nowinę, a jeszcze więcej na podjęcie decyzji. Jeżeli jednak sądził, że kupując ten dom, pozbawi mnie rozterek, to grubo się pomylił. Uświadamiając sobie, co znaczyły jego słowa, wpadłam w popłoch, miałam niesamowity zamęt w głowie.

Ja i on, to nie może się udać! Stara mantra przypominała o sobie zwątpieniem, wkrótce przeganiała je duma. Moje ego znalazło się na absurdalnej huśtawce, to sięgając pułapu poczucia wartości, to opadając w niziny samooceny. I jeszcze dom, który dzisiaj przedziwnie napierał na mnie, domagał się uwagi strzelaniem w ścianach, skrzypieniem podłogi, intensywnym zapachem drewna. Sama nie byłam już pewna, na ile go kocham, a na ile kochałam to, co było nieosiągalne. Być może dotyczyło to również Armina.

Długo nie wracał. Zdążyłam ugotować obiad i potem usiadłam przed telewizorem, nasłuchując odgłosów za oknem. Żałowałam, że jednak nie pojechałam z Arminem, w schronisku nietrudno było się zasiedzieć. Potem przyszło mi na myśl, że być może zajechał jeszcze do leśnika, co z kolei trochę mnie zirytowało. Kiedy zmrok przeszedł w ciemność, zaczęłam się niepokoić. Nie umiałam znaleźć sobie miejsca, nawet kotu udzieliło się moje napięcie.

Wyszłam na balkon, aby nieco otrzeźwić się zimnym powietrzem. Smugi żółtego światła z okien padały na śnieg w ogrodzie, w górze migotały miliony gwiazd. Przyciągały mnie. Kiedy znów zwróciłam wzrok ku ziemi, przestraszyłam się. Poniżej domu stała w bezruchu dorodna sarna. Chociaż z dala nie widziałam jej ślepi, sprawiała wrażenie, jakby wpatrywała się we mnie. Mróz na zewnątrz był niczym w porównaniu do lodowatego potu, który spłynął mi po plecach. Wtem z głębi pokoju doleciało miauczenie kota, niezadowolony drapał o framugę. Odwróciłam się do niego, a gdy spojrzałam na ogród, sarna zniknęła. Być może spłoszyła się moim ruchem.

Wróciłam do pokoju, zrobiłam sobie drinka. Wreszcie wydało mi się, że słyszę za oknem warkot silnika. Rzeczywiście, na dróżce za płotem zatrzymał się jakiś pojazd. Na ogół nie otwierałam drzwi Arminowi, lecz tym razem niemal ku nim pognałam. Rozwarłam je na oścież w tym samym momencie, w którym ktoś wchodził przez furtkę. Rozpoznałam Irenę, a tuż za nią kroczył jej szwagier.

Uśmiech na ich widok zamarł na moich ustach, kiedy weszli w krąg światła z holu, a ja zobaczyłam ich twarze. Janowicza była śmiertelnie poważna i

skonsternowana, natomiast mojej przyjaciółki zalana łzami. Nie zdążyłam nawet zapytać, co się stało, gdy przecucie przeszło mnie bólem nie do zniesienia. Sekundę później Irena mocno objęła mnie ramionami i głośno szlochając, powtarzała w kółko:

– Tak mi przykro, Karolo! Tak mi przykro!

Nisko zawieszona chmury przysłaniały dolinę, do syczącego szary dzień rozjaśniała jedynie biel śniegu. Zająłam miejsce przy biurku pod oknem, nawet tu brakowało światła. Przypatrywałam się rzeczom leżącym na blacie w tym samym idealnym porządku, w jakim je pozostawiłam. Po prawej równy stosik moich notesów o osmalonych okładkach, za nimi trzy książki Kingi oraz pojemnik z przyborami do pisania. Z lewej – stylizowana na antyczną, gabinetowa lampka z zielonym kloszem. Obok niej mosiężna ramka z fotografią. Na wprost leżał duży, zamknięty zeszyt, a na jego płóciennej okładce spoczywało eleganckie wieczne pióro. Sięgnęłam po pamiętnik, lecz zawahałam się, podobnie, jak w minionych dniach. W zamian otworzyłam szufladę i wyjęłam z niej czystą kartkę. Położywszy ją przed sobą, złapałam za długopis, a wolną ręką podparłam brodę.

Kwadranś później jeszcze nic nie napisałam, łatwiej było zaprowadzić ład wokół siebie niż w sobie. Spod mojej dłoni wychodziły esy-floresy, w takt rozbieganych myśli krążących daleko i blisko. A jednak, gdy zdecydowałam się wreszcie zapalić lampkę, pośród bezwiednych gryzmołów rozpoznałam jedno słowo. *Emigrantka*. Uśmiechnęłam się cierpko, przypomniawszy sobie, jak bardzo zaciekały mnie engramy. Jaki sens miały dzisiaj tamte poszukiwania? Teoretyczne wyniki jak zawsze skorygowało życie. Niemniej uważniejsze spojrzenie na napisane pojęcie uwydatniło coś, co wtedy przeoczyłam. Słowo zawierało imiona znajomych mi osób, a nawet kota! Mój umysł wreszcie się ożywił, a niewiele później serce dorównało przyspieszonym rytmem. Nie przypuszczałam, że pośród dziesięciu literek słowa EMIGRANTKA odnajdę tyle postaci, z którymi los połączył mnie przed emigracją, w jej trakcie i po niej.

Najpierw odkryłam dawną mieszkankę domu. EMA. Tuż za nią jej kochanek, MARTIN. Skoro byłam już przy cudzoziemskich imionach, automatycznie nasunął mi się TIM. Następnie przyszła mi na myśl REGINA i mogłam wrócić do Polski. Zaczęłam od przeszłości, a w niej była moja mama MARIA, ciocia GENIA i KINGA, a także obydwie babcie: NATA i MIRA. W późniejszych latach – mój przyjaciel MAREK, a również ANETA. I wreszcie IRENA, oraz najważniejsza z ostatnio zawartych znajomości: ARMIN.

Doszukałam się też innych, popularnych imion, lecz nie umiając powiązać ich z nikim bliskim, przekreśliłam je jako nieistotne. Stokroć mocniej zdumiewały i zajmowały mnie te, które nosili ludzie dla mnie ważni.

Ciekawe, że dołączyli do nich bohaterzy tajemnicy sprzed niemal wieku. Martin i Ema. Jak zwał się mąż tej ostatniej, dowiedziałam się dopiero niedawno i

teraz musiałam zejść po gazetę, by to sprawdzić. Znalazłam ją na stoliku nieopodal kominka. Przebiegłam wzrokiem artykuł opisujący sensację, zatrzymując się przy nazwisku mężczyzny. Typowo niemieckie, tak jak i jego imię, które, o dziwo, znów mogłam stworzyć z moich literek! GINTER.

To jego szkielet znaleziono zakopany w piwnicy, co było dużym zaskoczeniem nie tylko dla mnie, ale i dla inicjatorów akcji – panów z antykwariatu. Zostałam właścicielką domu i nie miałam już wymówki, aby nie pozwolić im na to, zwłaszcza widząc ich zaangażowanie. Nie doceniałam ich możliwości, sądziłam, że trochę tu pokopią i szybko zrażą się brakiem wyników, ci jednak podeszli do tego profesjonalnie. W dodatkowym znaczeniu tego słowa, gdyż sprowadzili znajomego profesora, człeka skrupulatnego, który pojawił się tu wraz z ekipą studentów ochotników. Okazało się, że nie myliliśmy się co do swoich przeczuć, pod piwnicznym klepiskiem rzeczywiście spoczywał nieboszczyk!

Naturalnie, nie sposób było to zataić, o znalezisku pisano w gazetach. Pominięto na szczęście mój kuriozalny udział w sprawie, skupiając się na tropie z listów Emy i antykwariuszach. Ci ostatni dotarli do rodziny Martina, a właściwie do potomków dawnych bliskich; historia jego zaginięcia była im znana. Chcąc mieć pewność, że znaleziono kości Martina, zlecili nawet badania genetyczne kości, a wtedy wyszło, że zmarły nie mógł być ich krewnym! Nowa informacja wprowadziła niemały zamęt i pokazała, jak łatwo ulec autosugestii. Przyrzekłam sobie to zapamiętać.

Jednak moje domysły nie leżały daleko od prawdy. Analiza wykazała bowiem, że szkielet należał do męża Emy, zaś uraz czaszki Gintera bezspornie dowodził, iż zmarł śmiercią gwałtowną. Musiałam zgodzić się z wnioskami antykwariuszy, kiedy jakiś czas później rozmawialiśmy o tym na zapleczu ich sklepu. Były bardzo prawdopodobne.

– Wygląda, że sytuacja rozwinęła się inaczej, niż zakładaliśmy. Trudno orzec, czy Ginter zginął w wypadku, czy doszło do zabójstwa, być może w afekcie lub podczas bójk. Potem kochankowie dla zatarcia zbrodni podpalili dom i czym prędzej przenieśli się do Monachium – mówił starszy antykwariusz. – To tłumaczyłoby, dlaczego pozostały tu sprzęty uratowane z pożaru.

– Przypuszczamy, że aby nie wzbudzić podejrzeń, Martin podszył się pod Gintera i też pewnie jako on poszedł na wojnę i poległ – dokończył współlnik.

– A co z mężczyzną w piwnicy? Czyżby to jednak mąż był tam więziony? – myślałam głośno.

– Nie sądzimy – zaprzeczył młodszy sprzedawca. – Ktoś mógłby zauważyć jego zniknięcie, bo przecież do pożaru doszło dużo później. Najpewniej więc to jednak Martin był pod kluczem. Nie poznamy wszystkich szczegółów, jednak z listów Emy wynika, że początkowo nie wiedziała, iż jej kochanek jest tak blisko. Z

kolei pani wizja z pożarem zdaje się mówić, że wcale nie chciała śmierci męża... Rozpaczała wtedy, nieprawdaż?

– Tak. – Westchnęłam, przywołując ten obraz. – Zaczynam coraz lepiej rozumieć jej wyrzuty sumienia. Tamte zdarzenia obciążały ją do samej śmierci... i jeszcze świadomość, że Ginter nie ma nawet grobu.

Obecnie spoczywał w godnym miejscu. Jego szczątki pochowano w rodzinnym grobowcu w jakimś przygranicznym miasteczku niemieckim. Chociaż szkielet już przed dwoma miesiącami zabrano z mojej piwnicy, wieść o jego pochówku oddaliła resztki niepokoju. Obiecałam sobie, że któregoś dnia wybiorę się na grób Gintera i złożę na nim kwiaty. W zastępstwie Emy. Czułam, że ona chciałaby tego, a dokładnie mówiąc, był to jej ostatni przekaz dla mnie.

Ema odeszła. Zanikło we mnie poczucie czyjejs obecności w domu, skończyły się znaki i natrętne myśli. Co dziwniejsze, nawet kotek zbiegał teraz schodami na dół, towarzysząc mi przy noszeniu drewna. Pętla czasu z jej niezakończoną historią mogła wreszcie się zamknąć. Miałam wrażenie, że między innymi i po to musiałam tutaj przyjechać. Jednakowoż kolejna teoria antykwariuszy była nawet już dla mnie nazbyt fantastyczna.

– Mniemamy, że może być pani inkarnacją Emy. Ta wspólna data śmierci i narodzin, telepatyczne porozumienie dusz, pani przybycie w te strony...

– I panów wybujała fantazja! – dokończyłam ze śmiechem. – Mogę najwyżej uznać, że mam predyspozycje do bycia medium, choć absolutnie mnie to nie zachwyca! Dlatego będę mieć się na baczności, aby skończyło się na jednorazowej przygodzie!

Do antykwariatu wstąpiłam po figurkę Hutchenreuthera, która wpadła mi w oko podczas pierwszej wizyty. Kupiłam ją dla Reginy na krótko przed moją podróżą do jej miasta, przez dekadę lat będącego też moim. Tę furtkę również należało domknąć.

Uregulowanie formalności związanych z powrotem do Polski poszło na tyle sprawnie, że oprócz dni spędzonych w gościnie u dawnej koleżanki, mogłam potem odwiedzić też ciocię Genię. Jechałam do niej przepełniona wahaniem, ponieważ nasze poprzednie spotkanie przebiegło w atmosferze dalekiej od harmonii. Tym razem umiałyśmy spokojnie rozmawiać z sobą, a nawet, czego się nie spodziewałam, zastałam ją z poczuciem winy, skruszoną.

– Przepraszam cię, Karolo, za słowa, które wtedy wymówiłam – tłumaczyła się zmieszana, kiedy już tylko w dwie usiadłyśmy przy herbacie. – Nie byłam sobą...

– Wiem, i dlatego tu jestem. Zapomnijmy o tamtym, pamiętajmy tylko dobre...

– Zawsze myślałam o tobie jak o mojej córce! – zapewniła mnie z łzami w oczach. – Mam sobie wiele do zarzucenia, bo nie zawsze tak mi z tobą wychodziło,

jak bym chciała...

– Daj spokój, byłaś dla mnie dobra jak rodzona matka! – Przytuliłam ją. – Zapewniliście mi z ojcem szczęśliwe dzieciństwo, beztruską młodość i wykształcenie. Niczego mi nie brakowało! Daliście mi mocne podstawy na życie, nie jesteś odpowiedzialna za to, co potem z nim zrobiłam!

Moje wyznanie nie miało tylko na celu podniesienia cioci na duchu. Mówiłam to szczerze. Dawne rany zasklepiły się, a ja stałam się mądrzejsza. Nie miałam prawa nikogo osądzać za jego osobiste pragnienia, wybory, a nawet za jego błędy. Historia mojej rodziny była nimi naznaczona, rzutowały także na mnie. Tragiczne zdarzenia z przeszłości, czy tego chciałam czy nie, domagały się mojej pamięci i przenikały przez jej pęknięcia zdradliwym przeciągiem, pozostawiając po sobie ból uszu. Dopiero rozprawiając się z nimi, mogłam otworzyć się na nowe. Nie nastąpiłoby to bez pomocy mojej siostry, za co byłam jej zobowiązana, choć prawda nie była łatwa do przyjęcia. Ostatecznie jednak dopuściła świeże powietrze, z całą gamą zapachów, których istnienia nie przeczuwałam. Wbrew wszystkiemu przyniosła mi także deszcz nadziei.

Róża jerychońska odżyła i zapuszczała korzenie.

Pozostałam w domu na polanie. Nie mogłam stąd wyjechać i tego nie chciałam. Początkowo, pogrążona w wielkim bólu, strzaskana na przemian winą i złością, myślałam o ucieczce gdzieś na koniec świata. Przedtem jednak trzeba było załatwić wiele spraw, zorganizować pogrzeb, powiadomić kogo trzeba, pukać do różnych urzędów. Trzymałam się dzielnie, gdyż była przy mnie Irena, lepiej ode mnie zorientowana we wszystkich procedurach, służąca również swoim samochodem. Dżip Armina odholowano gdzieś do warsztatu, szkody były duże, choć głównie w blacharce; nie chciałam ich oglądać. Płakałam tylko nocą, w bezpiecznym kokonie domostwa, bez końca wspominając chwile, które kiedyś nieważne, obecnie nabierały cennej wartości. Wiedziałam, że odtąd nawet zwykłe pożegnania będą dla mnie przecuciem rozłąki ostatecznej, definitywnej. Na jawie męczyły mnie koszmary, lecz sen przynosił pokój. Rankiem powracały pytania, aż wreszcie nadszedł dzień, w którym otrzymałam też odpowiedzi.

Dzień przełomowy, decydujący o moim pozostaniu w górach, zarazem miażdżący mnie poczuciem wstydu. Po raz kolejny zamiast zaufać, jątrzyłam, spekulowałam, wąpiłam. Dotarło do mnie, że znowu zawiodłam.

Podziwiałam Józefa za opanowanie, z jakim zjawił się u mnie, przynosząc nowinę; poprzednim razem zaraz za progiem rozbeczał się jak bóbr. I tym razem jego twarz przyobleczona była smutkiem, jednakże w oczach nie było już czarnej rozpacz.

– Znaleźliśmy list pożegnalny – oznajmił, gdy zasiadł za stołem. – I nie tylko list. Było też dużo zakamuflowanych tabletek.

Minęły dwa tygodnie od pogrzebu Kingi, kiedy Janowicz zdecydował się

wreszcie zwolnić zajmowany dawniej przez nią pokój dla nowych gości. Jej rzeczy już wcześniej zostały spakowane, lecz nikomu nie przyszło do głowy, by zajrzeć pod materac. Dopiero teraz, powlekając czystą pościel, nieoczekiwanie odkryto list i leki. Koperta nie była zaadresowana, toteż Józef przeczytał go, a potem przybył z nim do mnie. Wzięłam go drżącą dłonią i z sercem rozkołatanym obawą, jakie słowa w nim znajdę.

Był zaskakująco krótki, nawet nie na połowę strony. Nie zawierał żadnych pretensji, ani do losu, ani do ludzi. Kinga wymieniła kilka osób, które przepraszała za swoją decyzję. Swoją matkę, mnie, Józka, jakiegoś lekarza, a również, co mocno mnie zdumiało, owego posła, który ją rzucił. Raz jeszcze się okazało, jak mało znałam swoją siostrę.

Nie widziała sensu w dalszym zmaganiu się z chorobą i nie chciała dłużej być obciążeniem dla tych, którzy ją kochali. Napisała, że odkąd pamięta, zawodziła siebie i innych, a jej okresy dobrego samopoczucia, pomimo terapii i lekarstw, stawały się coraz krótsze. Miała dosyć takiego życia, a swój krok uzasadniła banalnym zdaniem, iż tak będzie lepiej dla niej i dla nas. List nosił datę z przedednia jej śmierci.

Józef niebawem się pożegnał, też, jak ja, na razie nie umiał rozmawiać o Kindze. Ostatnimi laty omijało go szczęście, miałam jednak nadzieję, że schronisko i żyjący w nim ludzie dadzą mu potrzebne wsparcie. Kiedy zostałam sama i wzięłam do ręki list siostry, rozplakałam się. Wstrząsnęło mną sformułowanie Kingi, dla innych może niezrozumiałe, ale dla mnie czytelne, że nie ma już gniewu, by walczyć z chorobą. W desperacji pisze się zazwyczaj o braku nadziei lub wiary, jednak moja siostra to pominęła. Przypomniałam sobie naszą rozmowę w wieczór wigilijny i wszystko stało się jasne. Gniew Kingi był jej siłą.

Naturalne dla ludzi dążenie do szczęścia dla mojej siostry paradoksalnie było zgubą. Rozbita psychika wmawiała jej, że poddanie się mu jest równoznaczne ze słabością. Dopóki negowała pragnienia, miała pozorną kontrolę nad sobą. Obojętność i nieliczenie się z nikim dawało jej wyrazistość, a ta, w poczuciu Kingi, zatracala się, gdy dopuszczała do siebie uczucia wyższe.

Po naszej szczerzej rozmowie pojęłam, że pragnęła miłości i akceptacji, a jednak potem znowu zwątpiła i nie zezwoliła sobie na szczęście. Lekceważyła chorobę i zdystansowała się do Józefa. Musiał jednak wiele dla niej znaczyć, skoro nie potrafiła skrzywdzić go porzuceniem. Wybrała inne rozwiązanie, w jej mniemaniu sprawiedliwe – opuszczając nas wszystkich.

Miałam ogromną nadzieję, że tam, gdzie teraz przebywała, nareszcie jest wolna i bez zahamowań szczęśliwa. Chociaż złamała przykazanie Boże i potępiła ją prawo moralne, nie postrzegałam jej czynu w kategoriach winy. Czyż można osądzać ślepcę za to, że nie trafia do celu? Moja siostra pozbawiona była tego, czym podejmuje się świadome decyzje. Zdrowego, poczytalnego umysłu.

Jeszcze tego samego dnia powiadomiłam jej matkę o liście. Po słowach, jakie wyrzekła podczas pogrzebu Kingi, że straciła jedyną córkę, oraz rezerwie, z jaką wtedy mnie traktowała, planowałam wysłać go pocztą.

Pod telefonem zastałam jednak inną ciocię Genię, na powrót zrównoważoną i szukającą zgody. Później, kiedy odwiedziłam ją w domu pracodawcy, zdumiałam się nawet, jak dzielnie znosi żałobę. Tuż przed moim odjazdem nieoczekiwanie wyznała:

– Od lat bałam się, że Kinga targnie się na życie. Lekarze ostrzegali mnie przed tym, mówili, żeby liczyć się z taką ewentualnością. Odkąd zrozumiałam, jak poważna jest jej choroba, już zawsze towarzyszył mi niepokój. A teraz... teraz mam wyrzuty sumienia.

– Ja też, obydwie zawiodłyśmy Kingę – powiedziałam.

– Nie, nie! Kindze nie można było pomóc. Wiesz, że nawet przebywając na zamkniętym leczeniu, usiłowała się zabić? Zdana na leki, oszukiwała, że je bierze, nienawidziła ich... Moje wyrzuty sumienia są z innego powodu. Bo ja... nareszcie czuję teraz spokój. Bardzo mnie boli, gdy uświadomię sobie, że już nigdy nie zobaczę jej żywej. Ale jednocześnie przestałam się bać, o nią bać. Jestem spokojna... Rozumiesz? To nie może być w porządku, że tak się czuję...

– Przeciwnie, to jest w porządku – uspokoiłam ją. – Twoje serce ci mówi, że Kinga jest już bezpieczna. Nigdy jej nie zapomnimy, ona jednak zrobiła ten krok z myślą o wolności, swojej i naszej. Tak zrozumiałam jej list.

– Dziękuję ci, chyba masz rację. Cóż, musimy żyć dalej... – Ciocia Genia pokiwała głową, lecz wyraz jej oczu zdradzał, że jeszcze długo będą ją trapić rozterki.

Na pożegnanie wręczyła mi specjalnie dla mnie wykonaną, powiększoną odbitkę starego zdjęcia. Nie wiedziałam, że zawsze nosiła je przy sobie, w książeczce z dokumentami. Byliśmy na nim w czwórkę, podczas letniego spaceru w parku, wszyscy uśmiechnięci. Ojciec i ona z tyłu, a przed nimi ja i Kinga w bliźniaczych sukieneczkach, trzymające się za ręce. Miałyśmy wtedy nie więcej niż sześć lat.

Zdjęcie stało teraz na moim biurku, w takiej samej ramce, w jakiej przy łóżku miałam fotografię mamy. Każde z nich przypominało mi o moich korzeniach; mimo że pokręcone i słabe, zawsze mnie podtrzymywały, pomagały dojrzewać i wzrastać. To była moja rodzina, innej nie miałam i patrząc na nią, coraz częściej zamiast smutku czułam wdzięczność. Któregoś razu uśmiechnęłam się do małej Kingi i odtąd stało się to moim nawykiem, ilekroć spoglądałam na fotkę. Miałam przy tym wrażenie, że odwzajemnia uśmiech, filuternie, trochę kpiąco, cała ona. Natomiast ostatnie spojrzenie przed snem tradycyjnie należało się mamie.

Moja ręka znowu bezwiednie wodziła długopisem po kartce. Pokreśliłam

„emigrantkę”, ponieważ nie uważałam się już za nią. Kim i gdzie teraz byłam? Rozmyślania doprowadziły mnie do konkluzji, że życie jest niczym podróż pociągiem ze stacją początkową i docelową oraz wieloma przystankami pomiędzy. Przeżywamy w niej chwile szczęścia i smutku, marzymy o pięknych widokach za kolejnym zakrętem, powiększamy bagaż doświadczeń. Podniecenie przed nieznanym splata się z tęsknotą za minionym, a dzisiaj szybko ucieka. Nie brak też współpodróżnych, z którymi na dłużej lub krócej dzielimy swoją małą przestrzeń. Jedni wsiadają, inni wysiadają, jeszcze inni oddalają się i powracają. W naszym pociągu rzadko będziemy sami, gdyż jesteśmy częścią zbiorowości podróżnych. Iluż z nich troszczyło się o nas, zanim weszliśmy w dorosłość, jak wielu życzliwie nas wsparło i towarzyszyło na jakimś odcinku... Zdarzali się też fałszywi i podli. Choć rozczarowania były wpisane w podróż, to wytyczała ją ufność, że nasz pociąg zmierza do sensownego celu. Być może każde z tych spotkań na naszej trasie, podobnie jak każdy z jej etapów, było nam po coś potrzebne. Zaczynałam rozumieć, że nabycie biletu nie gwarantuje jeszcze prostej podróży. Należało liczyć się z objazdami, postojami, przesiadkami, a nawet z kraksami. Nie na wszystko mamy wpływ i dopóki tego nie zaaprobujemy, nie uzyskamy wewnętrznego pokoju.

Żałowałam, że wcześniej nie miałam takiego dystansu do życia. Odsuwałam przeszłość i nie cieszyło mnie jutro, naiwnie się spodziewałam, że musi być idealnie, zawsze o czasie i w pierwszej klasie. Łatwiej mi było zarzucić oczekiwania, niż dostosować się do swojego miejsca w przedziale. Ten dom na odludziu i nieprzewidywalny Armin dzień po dniu uczyli mnie innego spojrzenia na siebie i na niepewną ludzką egzystencję. Cóż z tego, że byliśmy śmiertelni i nie mieliśmy wpływu na rozkład jazdy? Izolowałam się za szczelnie zasuniętymi zasłonkami, zamiast zwyczajnie cieszyć się podróżą. Roztrwoniałam w ten sposób wiele dni, przeoczyłam mnóstwo pięknych widoków. I co gorsza, było mi obojętne, dokąd podążam, byle tylko nic nie zakłócało miarowego stukotu kół.

Z mojego na pozór bezpiecznego letargu najpierw wyrwała mnie migrena. Była jak przeraźliwy gwizdek zawiadowcy, który uparł się, by raz za razem budzić mnie, brutalnie uświadamiać, gdzie jestem. Na nic zdało się zatykanie uszu, a metody uciszenia go skutkowały na krótko. Pomógł dopiero objazd, daleki, z zaliczeniem stacji, na których kiedyś już byłam, oraz z długim postojem. Nie miałam pewności, dokąd teraz podążam, w każdym bądź razie, perfidny gwizdek zamilknął.

Ostatnie natarcie migreny nastąpiło w dniu poprzedzającym tragedię, tak, jakby Armin przewidział, że był to jej końcowy, straceńczy zryw. Oszczędziła mnie nawet w stresie, który przeżywałam potem, nie pojawiła się więcej również przy zmianach pogody. Nieśmiało ośmieliłam się wierzyć, że zostałam od niej uwolniona. Pozostała już tylko ostrzegawczym lękiem w pamięci, ten jednak

chciałam w sobie zachować. Miał mi przypominać, by już nigdy nie zaciągać zasłonek w przedziale, nie zamykać się przed życiem. Byłam wreszcie gotowa, by przyjąć je ze wszystkim, dobrym i złym, co ze sobą niosło. Zaczynałam też ufać sobie.

Armin próbował uświadomić mi tego potrzebę, również w samym dniu wypadku. Podczas naszej rozmowy przy Błędnych Siostrach przeczuwał, że właśnie z tej przyczyny mogę mieć problem z jego hojną propozycją. Kupując dom na moje nazwisko, dowodził, iż mi zaufał i nie obawiał się podjęcia ryzyka, z jakim to się wiązało. Mój podstawowy dylemat został rozwiązany, nie musiałam wyjeżdżać z Polski, miałam tu dach nad głową.

Idea siedziby dla nas dwojga, czasowej bądź stałej, miała wypełnić resztki moich wahań, a jednak tak się nie stało. Zamiast nie posiadać się z radości znowu się miotalam. Nie, żebym doszukiwała się w tym jakiegoś podstępu, nie kwestionowałam też jego dążeń do rozwodu. Trapiła mnie niepewność co do własnej osoby. Jestem godna kochania? Co Armin we mnie widzi? Podołam jego oczekiwaniom? Dom nie był prezentem, przyjęcie go warunkowała zgoda na nowy rodzaj relacji z Arminem. Pragnęłam tego tak samo, jak bałam się uzależnienia, w którym być może się nie sprawdzę.

Otwierając drzwi domu wręczonym mi kluczem, wciąż nie miałam pewności, czy odważę się otworzyć na naszą przyszłość. Nie ufałam sobie i jeszcze tego samego dnia gorzko tego pożałowałam. Mój brak wiary w siebie, w nas sprawił, że zamiast wspólnie uczcić okazję, wołałam zostać sama. Armin nie pokazał tego po sobie, lecz musiałam go rozczarować.

Do schroniska dotarł bez szwanku. Nowy dziup wzbudził zaciekawienie Janowicza, spotkali się na parkingu, potem Armin został zaproszony na obiad. Zjedli go w prywatnych pomieszczeniach Józefa, gdzie mogli sobie pogawędzić, nie zwracając niczyjej uwagi. Kiedy Armin zaczął zbierać się do drogi powrotnej, pojawiła się moja siostra, pytając, czy nie mogłaby zabrać się z nim do mnie. Wiedział o poprawie naszych stosunków, nie miał więc oporów, by na to przystać. Pomysł nie spodobał się Józefowi, lecz Kinga go ofuknęła i dała jej spokój. Później wyrzucał sobie, że pomimo wszystko jej nie zatrzymał, od rana była dziwnie podekscytowana, jej stan go niepokoił.

Co wydarzyło się potem, również dowiedziałam się z jego relacji. Nie minął nawet kwadrans od odjazdu Armina i Kingi, kiedy dostał alarmujący telefon leśnika, iż tamci mieli wypadek. Leśniczy wezwał już policję i pomoc, lecz zdając sobie sprawę, iż ta prędko nie dotrze, jechał już w górę, jednocześnie prosząc Janowicza, aby ruszył też ze schroniska. Ten błyskawicznie zebrał ludzi i wszczęto poszukiwania.

Armin zdołał tylko powiadomić przez komórkę leśnika, że wypadł autem z drogi i nie wie, co z Kingą, po czym kontakt się urwał. Pora była jeszcze wczesna,

szybko odkryto miejsce zdarzenia; dżip zatrzymał się na drzewie kilkanaście metrów poniżej trasy zjazdowej. Zbocze było tutaj strome, lecz zalesione, nieco wyżej, za zakrętem serpentyny skarpa była skalista. Spadając w tamtym miejscu, nie miałoby się żadnych szans.

Za kierownicą znaleziono nieprzytomnego Armina. Doznał licznych obrażeń, rana głowy obficie krwawiła, miał złamane żebra. Podczas wyciągania go z wozu na moment odzyskał świadomość, co dawało nadzieję, że przeżyje. Później znów ją stracił, być może organizm łaskawie oszczędził mu katuszy transportu do schroniska. Na polanie pod szczytem czekał już śmigłowiec ratowniczy, który zabrał Armina do kliniki.

Nigdzie nie było Kingi, choć dokładnie przeczesano otoczenie. Niektórzy, znający jej labilność, zakładali, że zmieniła plany i wcześniej wysiadła z wozu. Janowicz jednak nalegał, by rozszerzyć obszar poszukiwań, a jego intuicja go nie zawiodła. Przyjrząwszy się drodze hamowania dżipa, zorientowano się, że Armin dużo wyżej stracił nad nim kontrolę, niemal zaraz za zakrętem. Kingę znaleziono poniżej skalnego urwiska, nie żyła. Nikt nie miał pojęcia, w jaki sposób mogła znaleźć się tak daleko od wraku samochodu, nawet policja nie była w stanie tego ustalić. Wszystko jednak wskazywało, że moja siostra zginęła na miejscu. Ciało zwieziono stamtąd terenówką Janowicza, gdyż dopiero w wiosce czekała karetka. Potem przetransportowano je dalej.

Józef funkcjonował jak automat, nie dopuszczając do siebie emocji. Nerwy puściły mu dopiero później, po przybyciu do mnie. Wstąpił do Ireny, by powiedzieć o wypadku, a ona mu uzmysłowiła, że i mnie należy powiadomić. Kiedy to uczynili, z kolei ja się załamalam, toteż zabrali mnie do domu Iry. Wmusiła we mnie jakieś prochy na uspokojenie, w następnych dniach także ich potrzebowałam.

Pogrzeb Kingi odbył się w naszym rodzinnym mieście, tam też spotkałam się z ciocią Genią. Cały czas towarzyszyła mi Irena, bez niej i Danki nie dałabym rady niczego zorganizować, ani chyba nawet zadbać o siebie. Zwłaszcza Ira była jak surowy major i opiekun w jednym, wiedząc, kiedy trzeba postawić mnie do pionu, a kiedy pocieszyć i dodać otuchy. Przed wszystkim jednak okazała się oddaną mi przyjaciółką.

Na bieżąco dowiadywałam się o stanie Armina. Po dwóch dobach kryzys minął i lekarze zapewniali, że wróci do zdrowia. Nie od razu pojechałam do niego, choć Irena oferowała mi podwiezienie. Wykręcałam się przeżytym wstrząsem oraz brakiem sił, w gruncie rzeczy prawda była inna. Chociaż oficjalnie mówiło się o wypadku, nie umiałam wyzbyć się myśli, że to Armin jest winny śmierci mojej siostry. Bezosobowego losu nie dało się oskarżać, a Bogu złorzeczyć się bałam. Dopiero później, po powrocie z pogrzebu w góry, zrozumiałam, jaki to absurd. Armin w żadnym razie nie życzył Kindze źle, sam zresztą również był

poszkodowany. Jej śmierć także dla niego musiała być niełatwym przeżyciem, a czekały go jeszcze dalsze konsekwencje, nie tylko zdrowotne. Nie podejrzewałam go o brawurę, na tej serpentynie równałyby się samobójstwu, mógł jednak popełnić jakiś błąd. Pomimo wszystko zdecydowałam się go odwiedzić.

I znów go sobą rozczarować.

Nie dałam wiary temu, co mówił. Owszem, współczułam mu, gdyż był słaby, cierpiał fizycznie i psychicznie. Nie chciałam jednak słuchać jego wyjaśnień; kiedy je zaczął, kazałam mu milczeć. Na każde wspomnienie Kingi rozdzierał mnie ból, zabroniłam Arminowi nawet wymawiać jej imię. Ona nie żyła i tego nic nie mogło zmienić, a już najmniej jakieś frazesy. Nie wyobrażałam sobie nawet, abym kiedykolwiek umiała porozmawiać z nim o tym, co wtedy zaszło. Znowu myślałam tylko o sobie.

A potem pojawił się Józef z listem Kingi i wersję Armina przyjął inaczej. List w znikomym stopniu ujął mi żalu po stracie siostry, ale uprzytomnił mi moją pomyłkę. Dotarło do mnie, że przez nią mogę też utracić Armina. Nie zaufałam mu, zostawiłam samego, nie przejęłam się tym, co czuje. Przełamałam wstyd i ponownie odwiedziłam Armina. Z ulgą dostrzegłam, że wyglądał lepiej niż poprzednio, natomiast w jego nastawieniu do mnie wyczułam niechęć.

– Nie sądziłem, że cię tu jeszcze zobaczę. Niepotrzebnie się fatygowałaś. Coś się stało?

– Tak. – Poinformowałam go o liście pożegnalnym Kingi. – Chciałam cię przeprosić.

Moja skrucha nie stopiła jego chłodu. Rozumiałam to, był jak najbardziej uzasadniony, ja w takim położeniu czułabym podobnie. Nie wiedziałam, jak go przełamać, nasza rozmowa absolutnie się nie kleiła. Odwracał wzrok, co potęgowało u mnie wrażenie, że nie jestem tu mile widziana. Zaczęłam wierzyć, że sprawdziły się moje niedobre przeczucia i on mnie już nie chciał. Winić za to mogłam tylko siebie.

Sytuacja krępowwała nas oboje, postanowiłam więc odejść, dać mu trochę czasu. Przedtem jednak poprosiłam, aby opowiedział mi, co się wtedy stało. Zamiast tego wręczył mi własny opis wypadku, kopię relacji, którą spisał dla policji. Od razu zabrałam się do czytania, zerkając ukradkiem na Armina. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, dopiero gdy z ciężkim westchnieniem zwróciłam mu opis, wytrzymał moje spojrzenie. Dostrzegając w tym słabą nadzieję, iż jednak zechce się ze mną rozmówić, powiedziałam:

– Powinam była wysłuchać cię już poprzednim razem. Przepraszam. Za siebie i za nią.

Długo, dla mnie całą wieczność, nie reagował na moje słowa, wreszcie jednak zdecydował się odezwać.

– Nie wiem, dlaczego zostałem w to wciągnięty. Może miałem tylko pecha

znaleźć się wtedy w nieodpowiednim miejscu. Wyjdę z tego, ale już nie jestem pewien, Karolo, czy będę umiał wrócić...

– Nie musisz kończyć – przerwałam mu. – Wyprowadzę się z domu, oddam ci klucze.

– Aż rwiesz się do tego! – zauważył cynicznie.

– Nieprawda, ale wiem, że zawiodłam. Nie byłam przy tobie, kiedy najbardziej mnie potrzebowałeś. Nie pozwoliłam ci nawet niczego wytłumaczyć. Owszem, byłam w szoku po śmierci Kingi, miałam też strasznie dużo na głowie, ale to mnie nie usprawiedliwia. Dlatego chcę ci to ułatwić. Wyjadę najszybciej, jak będę mogła.

– Nie powiedziałem, że masz wyjeżdżać. Jeszcze co najmniej kilka tygodni spędzę w szpitalu – mruknął.

– Przykro mi, Arminie. Musiałeś tyle znieść...

– Więcej od zranień bolało, że winisz mnie za wszystko! – Przeszył mnie wzrokiem.

– Tylko w pierwszej chwili! – zaproponowałam. – Potem już tylko siebie winiłam. Przeze mnie pojechałeś wtedy w góry! Z mojego powodu Kinga wsiadła do dżipa. Noc w noc śniłam o tym wypadku, więc za dnia nikomu nie pozwalałam, aby mówił o tym przy mnie!

– Ja do dzisiaj o tym śnię... – wtrącił, chyba już bez sarkazmu.

– Nie umiem tego naprawić – odezwałam się po chwili. – Gdybym tylko mogła, cofnęłabym czas... i zatrzymała cię wtedy w domu.

Spojrzał na mnie uważnie, w milczeniu. Kiedy wreszcie się odezwał, jego głos był łagodniejszy.

– Nie udało mi się jej powstrzymać. Wierz mi, próbowałem! Złapałem nawet jej kurtkę, ale wyśliznęła mi się... a potem wszystko poszło bardzo szybko! Przez tę szarpaninę zarzuciło dżipem i straciłem nad nim panowanie. Pamiętam tamte sceny jak w zwolnionym tempie, wiedziałem, że zaraz wypadnę z drogi i nic nie mogłem zrobić! Nie było nawet możliwości, by spojrzeć za siebie i zobaczyć, co z Kingą!

– Zanim wyskoczyła z auta, coś powiedziała? – spytałam, poruszona bólem widocznym na jego twarzy.

– Nie, nic. – Pokręcił głową. – Uśmiechnęła się tylko... tak inaczej... jakby zamierzała zrobić psikusa! Ni stąd, ni zowąd, odpięła pas i otworzyła drzwiczki... dosłownie w sekundę! Dodawałem właśnie gazu, wychodząc z zakrętu... Im dłużej zastanawiam się nad tym, tym mam większą pewność, że zaplanowała zrobić to właśnie w tym miejscu. Gdzieś dalej upadłaby na śnieg, mogłaby się tylko poturbować.

– Kinga zawsze była sprytna. – Uśmiechnęłam się smutno. – Moja biedna, szalona siostra. Wybacz jej, proszę.

– A może chciała nas rozdzielić? – zasugerował Armin cicho.

– Nie sędzę, raczej wykorzystwała dogodną okazję. Nie, to nie ona. To wyłącznie mój egoizm nas rozdzielił – przyznałam z determinacją.

Zamknął oczy, być może przeceniałam jego kondycję i moja wizyta go zmęczyła. Patrząc na niego, uprzytomniłam sobie, że przegrałam jego miłość na własne życzenie. Nie ufałam mu, sprawiłam mu zawód, opuściłam w potrzebie.

– Pojutrze przewożą mnie stąd do innej kliniki, pod Warszawę – oznajmił spokojnie. – Będę mógł tam potem zacząć rehabilitację.

– To dobrze – wymogłam na sobie te słowa, choć wiadomość znaczyła, że być może nie zobaczymy się więcej.

– Nie przyjeżdżaj tam do mnie. – Nie pozostawił mi złudzeń, po czym dopowiedział jeszcze na dokładkę: – Mogłabyś natknąć się na Ludmiłę. Może też namierzyć mnie tam ktoś z brukowców, więc lepiej nie.

– Jak sobie życzysz. – Staralam się trzymać fason, jednak nie do końca udało mi się ukryć smutek.

Armin przymknął powieki. Nie wiedziałam, czy dawał mi tym znak, że na mnie już pora, czy zbierał siły na stosowne polecenie. Uprzedziłam go, podnosząc się z krzesła i zbliżyłam się do jego łóżka. Kiedy ostrożnie przysiadłam na jego brzegu, podniósł ku mnie wzrok, a ja zrozumiałam, że nie dam rady stąd odejść. Nie bez wypowiedzenia słów, które niepotrzebnie w sobie tłumiałam, aż stały się nieprzydatne jak przeterminowany towar. Pomimo to wymówiłam je.

Odwróciłam głowę w bok, nie mając odwagi sprawdzić reakcji Armina. Przygryzałam wargi do bólu, jakby to miało tłumaczyć, skąd na moich rzęsach łzy. Po momencie poczułam, że Armin dotyka mojej dłoni i delikatnie ją ściska.

– Spójrz na mnie!

Zabrzmiało to jak rozkaz. Trochę wystraszona zwróciłam się ku niemu, jego twarz była poważna, ale w oczach pojawił się cień przychylności.

– Zwątpiłem, czy kiedykolwiek mi to powiesz.

I wiesz, myślałem, że już nawet tego nie chcę. Mogłabyś to powtórzyć?

Niektóre słowa są zbyt wiążące i ciężkie, by wypowiadać je niefrasobliwie. Jedynie te lekkie były na tyle bezwartościowe, że ulatywały w zapomnienie. Znałam siebie, zawsze nieskora do wielkich słów, lękałam się nie otrzymać spodziewanego posłuchu, ale bałam się też zniewolenia nieopatrzonym złożeniem obietnicy. Unikałam mówienia na wiatr, w zamian na wiatr rzucałam... milczenie. Nie pretendowało do złota, nie podchodziło nawet pod wymowne. Dla mnie było bezpiecznym schronieniem, a zarazem miałam nadzieję, że nikogo nie raniło. I tutaj się pomyliłam.

Uwolnione słowa wiele zmieniły. Przekonały Armina, że jestem zdolna do uczuć i do spontaniczności, której tak bardzo brakowało mu we mnie. Porzucając milczenie, powracałam do tej Karoli, jaką byłam kiedyś, przed wyjazdem z

ojczyzny. Stęskniłam się za poczuciem humoru i lekkością myśli tamtej dziewczyny, za odwagą. Kto wie, czy nie wyprzedzała mnie nawet w mądrości. W jednym z pamiętników ze zdumieniem przeczytałam:

Każdy związek jest niepowtarzalny jak oryginalna kreacja i to od nas zależy, czy stworzymy ją tak, abyśmy czuli się w niej dobrze, pewnie i swobodnie, lub przeciwnie – będzie krępować nasze ruchy, ograniczać na ten czy inny sposób czy wręcz będziemy się jej wstydzić. Zaprojektować ją, to dopiero początek roboty, pozostaje jeszcze szycie, ozdabianie, poprawianie, niekiedy łatanie. I jest to praca na całe lata – tak długo, dopóki wzajemnie nam na sobie zależy.

Nie miałam już wahań, że pragnę podjąć się tej pracy. Zależało mi na Arminie i zamierzałam mu tu udowodnić. Przedziwne, gdyż oswabadzając przed nim długo skrywane słowa, jakby całej sobie darowałam wolność. Zrozumiałam, że miłość nie jest wyrokiem, przez który zatracamy siebie dla kogoś, lecz szczęściem, że ten ktoś istnieje. Otwierając się na nią, otworzyłam się na życie.

Nazajutrz Armin kończył swój pobyt w klinice rehabilitacyjnej. Przynależało mi mu, że nie wyjadę stąd, nim nie powróci – do mnie, albo już tylko do tego domu.

W buczynie, na tle ostatnich płatów śniegu odkryłam dziś pierwsze przebiśniegi. Zielone łodyżki z pokornie zwisającym kwiatem miały w sobie tyle samo niewinności, ile impertynencji. Są jak młodość, która wyprasza starość, pomyślałam, choć cieszył ich widok, zwiastujący nadejście wiosny.

Zima na polanie była dłuższa niż w dolinie. W dalszym ciągu pokryta jednolitą bielą, lśniła refleksami promieni słonecznych, zmuszając do przymrużenia oczu. Na jej polaci nadal rządziły się gawrony, inna zwierzyna, nie znajdując tu karmy, tylko przemykała tędy, szukała jej gdzieś niżej. A jednak powolutku i tutaj robiło się cieplej, Błędne Siostry zrzuciły z siebie chusty śniegu.

Wracałam z uzdrowiska. Miałam tam parę drobnych spraw do załatwienia i jedną większą, której wynik był dość niepewny. Negocjacje z dyrektorką Domu Kultury okazały się jednak łatwiejsze niż w moich przewidywaniach. Nie tylko, że wyraziła zgodę na reaktywację kółka teatralnego, lecz jak nigdy dotąd była mi przychylna. Napawałam się jeszcze swoim małym sukcesem, kiedy Sylwester sprowadził mnie na ziemię.

– Nie myśl, że przekonała ją twoja chęć pomocy! – prychnął lekceważąco. – Ona ma nadzieję, że sprowadzisz tutaj tego aktora!

– Brednie! – Irena skarciła go wzrokiem. – Po aferze z księdzem Filipem rodzice dzieci wydzwaniali do niej, ale jej było głupio przyznać, że pospieszyła się z rozwiązaniem kółka. Wykręcała się, że odgórne przepisy zabraniają pracy z dziećmi w pojedynkę, a ona nie ma środków na dodatkowy etat...

– Tak jakby tobie za to płaciła! – Plastyk chciał zaskarbić sobie sympatię koleżanki.

– Sam widzisz, że propozycja Karoli była jej na rękę. Będzie mieć święty

spokój, a nie poniesie żadnych kosztów.

– Mniejsza o powody, najważniejsze, że się zgodziła! – podsumowałam.

– O, tak! – Moja przyjaciółka obdarzyła mnie uśmiechem. – Ola i Zuzia będą wniebowzięte! Od tygodni wierciły mi o to dziurę w brzuchu! Inne dzieci też się dopytywały...

– Ale mnie w to więcej nie angażuj, mogę najwyżej machnąć jakiś plakacik! – zastrzegł Sylwek. – Zresztą, macie teraz fachowego konsultanta!

Z jego słów przebijała urażona duma, którą demonstrował, ilekroć natykałam się na niego. Lokalna sensacja wokół wypadku sprawiła, że w Domu Kultury dowiedziano się o mojej znajomości z Arminem. Wśród zatrudnionych tu pań wzbudziłam zaciekawienie, ale chyba też konsternację. Natomiast plastik zareagował, jakbym chciała mu wymierzyć tym policzek, insynuował kobiecie zagrywki. Wciąż nie brał pod uwagę, że on może komuś się nie podobać.

W gruncie rzeczy to Irena miała powód, by unieść się honorem – choćby w stosunku do rodziców swoich podopiecznych. Nie zrobiła tego, wymazała z pamięci ludzką niewdzięczność i powróciła do planów sfinalizowania spektaklu. Dzięki wsparciu szkoły krawieckiej tudzież jakiegoś prywatnego sponsora rokowało to powodzeniem; patronat Domu Kultury również wszystko ułatwiał. Sytuacja zmieniła się na korzyść, kiedy wyniosły księżulek zaprzestał mącenia. Niezupelnie z własnej woli, opuścił uzdrowisko. Stała za tym decyzja proboszcza, któremu podpadł, kiedy wyszedł na jaw romans wikarego z parafianką – kochliwą znajomą Janowiczów.

– Chyba się domyślam, kto kogo uwiódł! – kpiła Irena. – Pomimo to jakoś nie jest mi go szkoda! Oby tylko ona nie przypomniała sobie znowu o Józku...

Powątpiewałam, aby szwagier Iry był gotowy na związek z jakąkolwiek kobietą. Może kiedyś, w dalekiej przyszłości, lecz na razie na powrót zamknął się w sobie. Od tamtych dramatycznych dni spotkałam go tylko raz, jednakże nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Być może jeszcze nie mógł albo też nie chciał rozmawiać o Kindze, a to głównie ona łączyła nas ze sobą.

Ja potrafiłam już o niej mówić, zgoła odczuwałam przymus. Zamięczałam Irenę wspomnieniami o siostrze, a te wypływały ze mnie niekończącym się strumieniem. Irena wysłuchiwała mnie z podziwu godną cierpliwością, aż któregoś dnia podsunęła mi pomysł:

– Spisz to wszystko, póki pamiętasz! Pamięć jest zawodna, z czasem wiele się zapomina albo idealizuje.

– No, nie wiem... – Wahałam się, choć w głębi ducha przyznawałam jej rację. – Chyba nie umiałabym być obiektywna.

– Zrób to dla siebie, nie pod ocenę innych! – argumentowała. – A dziewczynki się ucieszą, że wykorzystasz ich prezent!

Uśmiechnęłam się. Ola i Zuzia sprawiły mi niespodziankę podarunkiem

świętecznym. Z własnych oszczędności kupiły gruby, nietypowej wielkości brulion, nie byle jaki, porządnie oprawiony materiałem, z lekko pożółkłymi stronicami, stylizowanymi na stare. Janowicze zaś do kompletu obdarzyli mnie pięknym piórem wiecznym. Całość w dziewiczym stanie zdobiła moje biurko, niekiedy wzbudzając u mnie wyrzuty sumienia, ale nigdy twórczy zapał.

Zgasiałam go w sobie tak dawno temu, wąpiłam, aby udało się go jeszcze wskrzesić. Co więcej, nie zależało mi na tym. Moje pisanie należało do innego życia, w którym chciało mi się zgłębiać naturę człowieczą; wierzyłam, że mogę tym cokolwiek zmienić. Tragedia, jaka dotknęła moją rodzinę, zmusiła mnie do powrotu na ziemię, zmieniając moje cele, a także mnie samą. Odnalezione po czasie pamiętniki były tego dowodem.

Niemniej namowy Iry sprawiły wyłom w moim postanowieniu, że nigdy nie wrócę do pisania. Zaczęłam się nad tym zastanawiać. Obawiałam się jednak, że temu nie podołam. Miałam za sobą długie lata, w których nie tylko nie łąpałam za pióro, ale także prawie wcale nie czytałam w języku ojczystym. Doskonale zdawałam sobie sprawę ze zubożenia swojej polszczyzny, z trudu, z jakim przychodziło mi zwerbalizowanie myśli. Podobnie mogło być ze słowem pisanym.

Obawiałam się również, że straciłam zdolność przenikania istoty rzeczy oraz postrzegania świata przez pryzmat odczuć. Nie zadowolilyby mnie określenia, że niebo jest błękitne, łąka kwitnąca, a spojrzenie nieodgadnione. Kiedyś potrafiłam dostrzec i zrozumieć więcej, malować oraz bawić się słowem, dochodzić do trafnych konkluzji. Lękając się, że nieodwracalnie to zaprzepaciłam, zamiast to sprawdzić, tchórzliwie się wycofałam. Brulion pozostał zamknięty.

Moja sytuacja finansowa na razie była na tyle dobra, że nie rozglądałam się jeszcze za pracę. Oszczędności powiększyły mi się bowiem o moją część kwoty ze sprzedaży rodzinnej posesji. Wiedziałam, że prędzej czy później będę musiała znaleźć jakieś odpłatne zajęcie, tymczasem nie spędzało mi to snu z powiek. Na krótko zaburzyła go tylko wiadomość, że pieniądze miałam otrzymać jeszcze przed moim wyjazdem z Polski. Kiedy dziękowałam za nie cioci Geni, niebawem się zdziwiła, że czynię to dopiero teraz, i od słowa do słowa, ujawniła się prawda. Nie wiem, dlaczego Kinga nie przekazała mi ich wcześniej, możliwe, iż pierwotnie zamierzała jakoś to wykorzystać. Było to już bez znaczenia, zresztą pieniądze wręczyła mi bezinteresownie.

Pozostały jednak inne pytania, które chętnie zadałabym dziś siostrze. Dlaczego właśnie tutaj, w miejscu mojego pobytu, zdecydowała się zakończyć życie? Czy odchodząc, miała do mnie żal, że nie wyczułam jej totalnego zagubienia? Co sprawiło, że to Armin był ostatnią osobą, który widział ją żywą? I najważniejsze, czy tam, gdzie teraz przebywa, osiągnęła pokój?

Nie obnosiłam się z żalobą, nosiłam ją w sercu. Rozumiałam, że upływ czasu złagodzi ból, lecz nigdy całkowicie go nie usunie. Przeciwnie niż po śmierci ojca,

nie odsuwałam myśli o Kindze, gdyż teraz już nie bałam się odczuwania. Przyjmowałam wylew smutku, podobnie jak akceptowałam fale wiary, nadziei, radości. Przyptywy i odpływy czyniły równowagę w naturze, także w naturze ludzkiej.

W jednym z takich dni, kiedy górę w moich uczuciach brał żal, ktoś niespodzianie podniósł mnie na duchu. Powracałam ze sklepiku, kiedy zatrzymał się przy mnie gazik i leśniczy zaproponował mi podwiezienie. Skorzystałam chętnie, gdyż zdążyłam już przemarznąć, natomiast do reszty mnie zmroziło, kiedy nieco później zaczął mówić o sarnach. Pamiętałam relację Garbarkowej o dobieciu potrąconego zwierzęcia, toteż teraz nieufnie wsłuchiwałam się w słowa leśnika.

– Na przednówku sarny są coraz słabsze, głodne podchodzą pod wioski, a ludzie, litując się nad nimi, rzucają im byle co. To jednak może im zaszkodzić, a także całemu ekosystemowi. Dodatkowe pożywienie jest niezbędne, ale musi być odpowiednio przygotowane. Ja i moi pracownicy wiemy, czego potrzebują, wykładamy im to w lesie zawsze w tych samych miejscach.

– W górach zima długo nie odpuszcza... – wtrąciłam, żeby cokolwiek powiedzieć, gdy zapadło milczenie.

– Tak, dlatego coraz częściej schodzą w dolinę. Ostatnio raz po raz natykam się na nie w pobliżu skałek.

– Na polanie? Przy Błędnym Siostrach? – upewniałam się.

– Właśnie tam, aż się dziwię. Może za dnia wygrzewają się w słońcu, osłonięte przez skałki przed wiatrem. Ale coś jeszcze jest w nich nietypowego. Przeważnie w rudlach są kozy, kozły i młode, a w tym były wyłącznie kozy.

– Chyba nie nadążam... to co, sarny czy kozy?

– Sarny! – Zaśmiał się, wyjaśniając mi, że poprzednie nazwy przynależą do mowy ludzi lasu. Po czym zauważył: – W tym stadku zawsze było ich siedem, ale jakiś czas temu dołączyła do nich ósma. Do tej pory znałem tylko odwrotne przypadki, że po zimie ubywało ich, nie przybywało! Przedziwne...

W tej samej sekundzie przypomniałam sobie samotną sarnę pod domem i poczułam mrowienie na plecach. Poprzez natłok późniejszych emocji zupełnie wyleciało mi to z głowy, dopiero informacja leśnika znów ożywiła tamten epizod. Znieruchomiała sarna w ogrodzie, jej spojrzenie skierowane w moją stronę i późniejsze, nagłe zniknięcie... Czy to możliwe? A jednak pojawiła się tam w dniu, w którym zginęła Kinga, być może nawet o tej samej godzinie. Nie pamiętałam już, co skłoniło mnie wtedy do wyjścia na balkon, może po prostu musiałam zobaczyć tę sarnę. Dołączyło do tego nieodparte przecucie, że ona czekała tam na mnie, że chciała mi coś przekazać. Kiedy znaleziono Kingę, miała na sobie wisiołek z sarną. Została z nim pochowana.

Leśniczy nie potrafił uściślić, kiedy po raz pierwszy dostrzegł powiększone stadko, jednak z całą pewnością już po wypadku przy serpentynie. Nie wyjaśniłam

mu przyczyn swoich dociekań, były zbyt niewiarygodne, aby z kimkolwiek się nimi dzielić. Pod domem chyba się zdumiał, gdy dziękowałam mu za podwiezienie z wdzięcznością niewspółmierną do jego fatygi, nie wyłączając zwilgotniałych oczu. Z całą pewnością nie przyczyniłam się tym do pokonania jego rezerwy względem kobiet. Na herbatę nie wstąpił.

Im dłużej rozmyślałam nad jego spostrzeżeniem, tym mocniej się go uczepliłam. Moja wersja historii zakładała istnienie nadnaturalnego pierwiastka i wyimaginowana czy nie, jak nic dotąd pocieszała mnie, dodawała otuchy. Dobrze było pomyśleć, że Kinga dołączyła do legendarnych sióstr i pozostała w moim pobliżu. Pozwoliłam sobie nawet na domysł, że tamtego popołudnia przybyła, by mi to zaszykalizować, a również, żeby się ze mną pożegnać.

Nie płakałam więcej na jej wspomnienie. Kiedy nadpływał smutek, wychodziłam na balkon i spoglądałam w stronę skałek. Nie miałam szczęścia wypatrzeć saren, lecz wystarczała mi sama świadomość, że są niedaleko. Być może przemykały z boczem dopiero po zmroku lub w nierzadko zalegającej tu mgle, a może ujawniały się tylko wybrańcom. Dla mnie już na zawsze pozostały błędnymi siostrami. I poniekąd też moimi siostrami.

Polana zachowała swoje sekrety, nie zamierzałam ich dochodzić. W każdej miłości kryje się tajemnica, ja zaś pokochałam to odludne miejsce, akceptowałam je takim, jakie było, czując przed nim respekt. Czasem wędrowałam traktem w górę i przy Błędnym Siostrach przystawałam. Niekiedy zamyślałam się tam na dłużej.

Wybudził mnie ptasi świergot za oknem, znajoma ścieżka dźwiękowa pod pogodny poranek. Do pokoju wniknęła bladżłota jasność, po suficie tańczyły subtelne promyki słońca. Był kwadrans po ósmej, lecz z dala od mknącego światła miało się wrażenie, że dzień wraz ze mną dopiero przeciera oczy.

Mijało pół roku, odkąd pojawiłam się na polanie. Przeżyłam tutaj niejedno i dzisiaj nie byłam już taka sama. Panująca w tym miejscu iluzoryczna beczasowość paradoksalnie pogodziła mnie z czasem. Teraźniejszość zapanowała nad duchami przeszłości i przestała obawiać się jutra. Warkocz nowych dni spletał się równo. Nie widziałam już potrzeby, by cokolwiek ścinać, gdyż obecnie nie dopuszczałam do powstania kołtunów.

Brałam życie takim, jakie było, nie spierałam się z losem, nie rozdzielałam włosów na czworo. Zamiast myślenia życzeniowego, które z reguły doprowadzało do rozczarowań i sporów, nauczyłam się mówić, co mi leży na sercu, a niekiedy też na wątrobie. Zmieniłam się nie tylko w stosunku do ludzi, wyzbywając się ich szufladkowania, ale też nieśmiało zbratałam się z naturą, obudziło się we mnie poszanowanie dla wszystkich istnień, również tych dla mnie niewidocznych.

Nie dotarłabym do tego punktu, gdyby nie powrót do Polski, jakże oporny, niechętny reminiscencjom. W szczególności jednak wpłynęło na mnie zamieszkanie w tym domu, z jego zmienną historią i opinią budzącą grozę, z jego

sekretem, który mnie było dane odkryć, ale także z jego samotnością. Stał się już tym, za co w swojej nieświadomości brałam go od początku, starą, lecz mocną siedzibą, zapewniającą mi ciepło, spokój i bezpieczeństwo. To tutaj przyszło mi stawić czoło temu, czego najbardziej się bałam, w nagrodę odzyskałam zdrowie i wiarę w siebie. Oraz otrzymałam miłość.

Jej co poranny dowód, aromat świeżo zaparzonej kawy, dotarł właśnie do moich nozdrzy. Moment później kot wskoczył na kołdrę, widać, sprzykrzyło mu się samemu.

– Wstaję już, wstaję! – zapowiedziałam, przymuszając się do opuszczenia łóżka.

Zamiauczał i zadowolony, z wysoko podniesionym ogonem, asystował mi do łazienki, a gdy skończyłam poranną toaletę – przy zejściu schodami. Zdawało się, że na dole nikogo nie było, jednak to tylko fotel zasłaniał sylwetkę mężczyzny rozpalającego ogień w kominku. Słyszac moje nadejście, wyprostował się i uśmiechnął.

– Myślałem, że jeszcze sobie pośpisz – powiedział, idąc w moją stronę.

– Szkoda dnia! – Spojrzałam na południowe okna. – Wybierzemy się później na spacer? Nie chcę przeoczyć nadejścia wiosny!

– Podobno zakochani mają wiosnę w sercach! – szepnął, przytulając mnie.

– Uważaj, masz brudne ręce! – Śmiejąc się, wykręciłam się z jego objęcia. – Należę sobie kawę. Tobie też?

– Nie, dziękuję, wypiję do śniadania. Z nas dwojga jedynie ty jesteś od niej uzależniona – przyciął mi bez złośliwości.

– Wyłącznie rano, stosuję ją jako środek na podniesienie ciśnienia!

– Są też inne metody. Jestem lekiem na całe zło... – zaintonował starą piosenkę Prońko, puszczając oko.

To prawda, jak nikt inny potrafił postawić mnie na nogi, i to w każdym sensie. Czerpałam z jego optymizmu, korzystałam wymiennie z jego niespożytej energii. Jeżeli wszystko już zawodziło, to nigdy jego ramiona. W nich powracała mi pewność, że jest dobrze i dobrze będzie.

Lubiłam te jego małe przekomarzania się ze mną. Niekiedy robił to w obecności leśnika lub Iry, a wówczas rzucałam mu karcące spojrzenia, choć serce pęczyło mi z dumy. Pomimo że Armin nadal był formalnie żonaty, nasi przyjaciele wiedzieli, że nie jesteśmy tylko współlokatorami. Nie zauważyłam, aby ktoregoś to gorszyło. Kiedyś tylko Irena spytała:

– Jesteś w stu procentach przekonana, że on cię nie zwodzi?

– W stu procentach to ja wierzę w jego chęci, ale co z tego rozwodu naprawdę wyniknie, nie wiem – przyznałam szczerze.

Ufałam Arminowi, choć – jak kiedyś sam się wyraził – nie mógł przyrzec mi czegoś, na co nie miał wpływu.

Skoro życie nie gwarantowało wieczności, to cóż znaczyły ludzkie obietnice? Ważniejsze było dla mnie wyznanie Armina, że pragnie być ze mną. Nie, że ślubuje, przysięga, zaklina się na wszystko, ale właśnie, że tego pragnie.

Usłyszałam te słowa, przedtem tysiąc razy wątpiąc, czy w ogóle wróci do mnie, stąd kiedy przybył na polanę, o mało znowu tego nie zepsułam. Zachowywałam się jak gracz, któremu błyszczą oczy na widok wymarzonej karty, ale za nic nie pokaże, że mu na niej zależy.

– Tylko przypadek sprawił, że spotkaliśmy się właśnie tutaj – skwitowałam, kiedy obchodząc piętra domu, nawiązał do naszych początków.

– Tak nas postrzegasz? Jako przypadkową znajomość? – Przenikał mnie wzrokiem.

– Nie czepiaj się, nie to miałam na myśli. Poznać się można na wiele sposobów, ważniejsze, co potem – odparłam niecierpliwie.

– Karolo... dlaczego jesteś taka spięta? – spytał łagodniejszym głosem.

– Może z niewyspania... jest pełnia, nie mogłam wczoraj zasnąć.

Czułam się niezręcznie, nigdy nie lubiłam kręcić, lecz kamuflaż w ramach samoobrony wydawał mi się usprawiedliwiony, a niekiedy wręcz konieczny. Na szczęście, Armin odgadł, że za moją sztywnością kryje się niepewność i strach przed odrzuceniem. Podszedł do mnie i nic więcej nie mówiąc, namiętnie pocałował. Słowa przyszły później. Przekonał mnie, że nie musimy od razu planować resztę życia, a wejść w naszą miłość powoli, krok po kroku.

Czyniliśmy to teraz, bez wywierania na siebie presji, dużo rozmawialiśmy z sobą, a jeszcze więcej się śmialiśmy, to jak kochankowie, to jak przyjaciele, a bywało, że wygłupialiśmy się jak dzieci. Rozstawaliśmy się tylko na krótko, razem chodziliśmy spać i razem się budziliśmy, pomiędzy niemal wszystko robiąc wspólnie. Rozkoszowaliśmy się w ten sposób dniami, które dzieliły nas od kolejnej rozłąki, ponieważ ta była nieunikniona.

Tymczasem Armin dochodził do dawnej kondycji, której wymagała od niego nowa rola filmowa; zdjęcia miały zacząć się w maju. Z teje przyczyny oznaki wiosny tak samo cieszyły mnie, jak zasmucały, przeważała jednak radość, gdyż byłam ciekawa odradzenia się natury na naszej polanie. Pozostałam na niej nie tylko z tego powodu. Zdecydowałam się przyjąć ofertę Armina, z nadzieją, że ten dom stanie się moim i jego domem, miejscem, które czasem będziemy opuszczać, ale zawsze do niego wracać. On już zdawał się w to wierzyć.

Na razie byliśmy tu jeszcze we dwoje. Po śniadaniu poszliśmy spacerkiem w dolinę, lecz nie zeszliśmy do wioski. Za buczyną skręciliśmy na dróżkę wzdłuż lasu, omijała zabudowania i wyprowadziła nas na osłoneczone, choć jeszcze upstrzone plackami śniegu pola. Gdyby nie chłodny wiatr, może nawet zdjęłabym kurtkę, ale przynajmniej ją rozpięłam. Armin, w swojej ulubionej czerni i na powrót bez brody, prezentował się znów jak tamten mężczyzna, który wystraszył

mnie swoim pojawieniem się w domu. Uśmiechnęłam się na wspomnienie nazw, jakie wtedy mu nadawałam – „intruz” brzmiał najdelikatniej. Co dziwniejsze, to właśnie moje wzięcie go za włamywacza przeważyło o jego pozostaniu na polanie!

– Początkowo nie byłem pewny, czy nie udajesz – przyznał po czasie. – Owszem, miałś paszport, twoja historyjka mogła się zgadzać, ale żeby nie kojarzyć mojej twarzy?

– Proszę, proszę, twoja próżność została ukarana! – przygadałam mu.

– Chyba żartujesz! Życzyłbym sobie więcej takich spotkań, ale cóż, wybierając ten zawód, wiedziałem, na co się piszę. Koniec końców, upewniłem się, że jednak nie domyślasz się, kim jestem.

– Co cię przekonało?

– Wiele rzeczy. Nie było mizdrzenia się, pokazywania siebie od najlepszej strony. Wpieniałaś mnie, na przykład z tym drobiazgowym ustalaniem zasad, albo znów totalnie mnie lekceważyłaś! Musiałabyś, Karolo, być nadzwyczajnie utalentowaną aktorką, aby zmylić mnie do tego stopnia! Na szczęście, nie jesteś nią.

– Czyli jestem autentycznie wkurzająca? – podchwyciłam.

– Tak – ku memu zaskoczeniu, potwierdził. – I bardzo mnie to cieszy. Twoje uczucia wypisane są w oczach, a ja mam do nich czytnik.

– Jeszcze moment, a usłyszę, że znasz mnie lepiej ode mnie...

– Możliwe... Niekiedy wiem, czego chcesz, zanim mi to powiesz – szepnął; objął mnie i muskał ustami szyję. – Jak teraz...

Armin nie okazał się ani przestępcą, ani tajnym agentem, lecz wcale nie skłamał, mówiąc, że czasami nimi bywa. Myślał o swoich wcieleniach filmowych, również inne jego słowa nabrały dla mnie nowego znaczenia. Informacja o nieudanym związku uzasadniała jego przygnębienie, melancholijne wieczory obficie skrapiane winem. Nie pojmowałam natomiast, dlaczego wówczas, kiedy zaczęliśmy siebie pragnąć, domagał się potwierdzenia, że chcę zbliżenia. Długo opierał się, by wyznać mi tego przyczynę, wreszcie ją jednak poznałam.

– Ludmiła pociągała mnie fizycznie jak żadna inna kobieta przed nią – opowiadał powoli, badając wzrokiem moją reakcję. – Nie będę ukrywać, to seks wpłynął na szalony pomysł z ekspresowym ślubem, a potem, gdy zrozumiałem swoją pomyłkę, powstrzymał mnie przed radykalnym ucięciem kontaktu. Manipulowała mną, a ja zezwalałam na to. Szantażowała mnie seksem, ale tak naprawdę dotarło to do mnie, kiedy rozstaliśmy się na dłużej, kręciłem wtedy za granicą. Tamta rozłąka ostatecznie otworzyła mi oczy. Dalej już wiesz, wystąpiłem o rozwód. I obiecałem sobie, że już żadnej kobiecie nie pozwolę wmanewrować się w podobne uzależnienie, jak wtedy z Ludmiłą.

– Odtąd już tylko czysty seks i zero zobowiązań? – Spróbowałam ująć jego nowe zapatrywania.

– Dokładnie tak... miało być – zakończył już ze śmiechem. – Wzajemna zgoda na chwilę przyjemności, a potem znów każdy w swoją stronę.

– Nie przewidziałeś opcji, że tyle czasu spędzisz z kimś pod jednym dachem...

– Nie przewidziałem innej opcji. Że się zakocham.

Obeszliśmy pola szerokim łukiem i powróciliśmy na dróżkę pod lasem. Rzeńskie powietrze dotleniało płuca, ale byłam już trochę zmęczona. Odpoczęliśmy na zwałonym pniu, jakich przybyło po zimie. Kiedy wystawiałam twarz do słońca, Armin wykorzystał zasięg sieci i zadzwonił do swojej matki. Ujmował mnie sposób, w jaki zwracał się do niej, spokojnie i ciepło, choć musiał zawsze wysłuchać długiego ciągu błahostek, nim został dopuszczony do głosu. Przy całej swojej miłości do matki denerwował się na jej łatwowierność, przez co napytała sobie już kłopotów, a bywało, że naraziła też na nie syna. Wtedy, gdy nagle zniknął z domu po naszej pierwszej, upojnej nocy, pędził do matki wystraszony jej wezwaniem, by na miejscu dowiedzieć się, że stała za tym intryga jego jeszcze-żony. Nie doszło do pojednania, a raczej aprobaty warunków Ludmiły, za co zemściła się na Arminie kolejnym atakiem pomówień. Jego matce było potem bardzo przykro, lecz ostatnio, znów w dobrej wierze, powiadomiła Ludmiłę o jego wypadku. Między innymi dlatego Armin wolał, abym nie odwiedzała go w podwarszawskiej klinice; nikt z tamtego jego świata, za wyjątkiem matki, nie wiedział o moim istnieniu. Tak było lepiej.

Staralam się nie myśleć o jego żonie, a jednak nie dało się udawać, że jej nie ma. Choć nie stała między nami fizycznie, dopóki nie mieli rozwodu, przynależała do życia Armina, czy tego chciał, czy nie chciał. Pewnej nadziei na zmianę tego układu dostarczała mi Irena, krypto-czytelniczka plotkarskich portali. Podobno coraz częściej widywało się Ludmiłę z pewnym biznesmenem o arystokratycznych korzeniach, a co ważniejsze – stanu wolnego. Nie wchodziłam w to głębiej, pozostawiając problem do rozwiązania zainteresowanym. Co nie znaczyło, że nie odetchnęłabym z ulgą, gdyby to nastąpiło.

Ruszyliśmy dalej, niechętnie opuszczając nasłonecznione miejsce, by wejść w cień buczyny. Promienie przebijały się tylko w górze, zdobiąc konary złotymi nitkami. Przez moment poczułam się jak w bajce, ja i mój ukochany, nasze małe królestwo, pewnik happy endu. Nastrój błogości nie mógł trwać długo, nie byłam już dzieckiem, aby pozwolić ponieść się takim fantazjom. W moim wieku wiedziało się, że życie niestety najczęściej rozmija się z nimi, i nadaje sprawom własny bieg. Zerkając na Armina, nie pytałam już siebie, dlaczego trzymamy się za ręce ani – jak długo to potrwa? On był ze mną, a ja byłam przy nim, może na zawsze, a może tylko dopóki sobie nie spowszedniejemy. Nasza historia już się toczyła, a my wymierzaliśmy ją tylko po części, świadomi czyhających na nas zagrożeń i pokus, kruchości naszych ciał i naszej woli. Wiedzieliśmy tylko, że

chcemy spróbować.

– Osobliwie zamilkłaś... dobrze się czujesz? – Armin wytrącił mnie z rozmyślań.

– Wspaniale! – Uśmiechnęłam się szeroko.

– Żadnych oznak migreny?

– Najwyżej jakiś lekki ból głowy, ale to nic w porównaniu do tamtych ataków. A właśnie, powinnam chyba mojemu lekarzowi wysłać kartkę z podziękowaniem! Albo nie, jeszcze odczekam... – Zawahałam się.

– Wyślij już. Więcej optymizmu, moja droga!

– Po tylu latach przymusowego znoszenia nieznośnej lokatorki trudno uwierzyć, że wyprowadziła się dobrowolnie!

– Mówisz o niej jak o żywej istocie. – Uśmiechnął się pobłażliwie.

– To prawda, z czasem tak jakoś wyszło. Z bezosobowym wrogiem trudniej się walczy.

– Podobnie radzą sobie ludzie z innym problemami, ze strachem, z poczuciem samotności. Dzieci wymyślają sobie niewidzialnych dla innych towarzyszy. Romantycy marzą na jawie, wizualizując sobie lepszy świat od tego, który ich otacza. I tak dalej.

– Arminie... – zająknęłam się, gdyż nagle naszło mnie podejrzenie, że jego wywód ku czemuś zmierza. – Nie wymyśliłam sobie tego wszystkiego, co wyczuwałam w domu...

– Nie denerwuj się, kochanie! – Przystanął i biorąc mnie za ramiona, dokończył: – Wierzę ci... Zastanawia mnie inna sprawa. Że dzisiaj już nic się nie dzieje. Potwierdzasz to?

– Tak – odparłam trochę niepewnie.

– Nie masz wrażenia, że zbiegło się to w czasie z ustaniem ataków migreny?

Zastanowiłam się. Mógł mieć rację, choć wciąż nie wiedziałam, jaka hipoteza skrywa się za jego dywagacjami. Przybliżył mi ją, gdy szliśmy polaną.

– Poczytałem trochę na ten temat. Znane ci aż za dobrze, dotkliwe symptomy migreny wywołuje neurogeny stan zapalny w mózgu. Podrażnione nerwy zaczynają niejako nadinterpretować normalne bodźce zewnętrzne, jak światło, dźwięki, zapachy. O samym bólu już nie mówię. To naprowadziło mnie na myśl, że być może przewrażliwienie czy zwiększona wrażliwość dotyczy szerszych wymiarów niż tylko zmysłowych. Zacząłem szukać dalej.

– Chyba wiem, co chcesz mi powiedzieć – wtrąciłam. – Uważasz, że moje doznania były tylko efektem zapalenia czegoś tam w mózgu?

– Istnieją potwierdzone badania, że migrenicy, zwłaszcza przed atakiem, ale nie tylko wtedy, wychwytyją więcej niż inni. Są na ogół lepszymi obserwatorami świata, ale również wyczuleni na niewymierne piękno czy na tak zwaną sferę duchową.

– Naprawdę? Znasz kogoś z nazwiska? – zainteresowałam się, nie całkiem obłąskawiona.

– Owszem, wielu. Na migrenę cierpiał Chopin, Beethoven, Hildegarda z Bingen, Lewis Carroll, Einstein, Pascal...

– Doborowa kompania! – zadrwiłam.

– Mógłbym jeszcze długo wymieniać. U jednych owocowało to wielkimi dziełami lub odkryciami, inni doświadczaali przeżyć, miano ich za mistyków bądź za szarlatanów. Niektórzy mieli siebie za medium.

– Zaliczasz mnie do tych ostatnich? – zażartowałam.

– Najważniejsze, że migrena już cię nie męczy. I na myśli mam wszystkie jej objawy... włącznie z kontaktem z duchami. – Uśmiechając się, puścił do mnie oczko.

– Niedowiarek! – Chciałam go odepchnąć, ale przytrzymał mnie mocno.

Jak zwykle w takich sytuacjach, pojednał nas pocałunek. Insynuacje Armina poszły w zapomnienie, dodatkowo rozmazały się widoki przed moimi oczami. Zamrugałam, gdyż załzawiły się od powiewów wiatru albo może od wzruszenia. Uświadomiłam sobie, że takie chwile jak ta, z bezmiarem radości w sercu, odbierana wszystkimi zmysłami, były czystym, nieskażonym szczęściem.

Pokonaliśmy większą część podejścia i zza strzępiastej linii choin wyłoniły się kontury domu. Wielokrotnie przebudowywany bez jednolitego planu z pewnością nie zachwyciłby architektów, dla mnie jednak był najpiękniejszy. Solidny i wiernie trwający na miejscu, swoim obiecywał ochronę, obcych odstraszał. Do moich pierwotnych odczuć względem niego niedawno dołączyło przywiązanie. Teraz, wiedząc już, że jest również mój, zezwoliłam sobie na sentymenty. To w nim zaczęła się moja przemiana, tutaj otworzyłam się na miłość, a też dane mi było tutaj przeżyć ostatni, jakże intensywny czas z siostrą. Pokochałam ten dom i chociaż Armin żartował, że przegoniłam jego ducha, miałam nieodparte wrażenie, że nigdy nie będzie wyłącznie naszą siedzibą.

Rozmyślałam o tym, kiedy posiliwszy się obiadem, odpoczywaliśmy przy kominku. Armin oglądał telewizję, raz za razem ziewając, ja też byłam myślami gdzie indziej, przy temacie, który poruszaliśmy dzisiaj w drodze. A co, jeśli Armin nie mylił się w swoich przypuszczeniach i nie istniały żadne nadnaturalne zjawiska, a tylko okołomigrenowe spięcia w umyśle dostarczały mi tamtych doznań? Plastyczne wizje, intuicyjne wyczucia... Na ile byłam zdolna ocenić ich prawdziwość, a na ile zwodziły mnie moje przeczulone zmysły?

Obiektywnie patrząc, wiele z osobliwych zdarzeń dziejących się w minionym półroczu dałoby się jakoś wytłumaczyć. Czy można było polegać na obrazach wywołanych uderzeniem się w głowę czy krańcowym wyczerpaniem? Należało ufać subiektywnym odczuciom i emocjom? Opierałam się, by uznać teorię Armina, lecz jeden jego argument nie pozwalał mi o sobie zapomnieć.

Wszystkie te fenomeny przestały się objawiać wraz z ustąpieniem migreny.

Brałam właśnie oddech, by powiedzieć Arminowi, że jestem skłonna przyznać mu rację, gdy ni stąd, ni zowąd on pierwszy się odezwał:

– Będę niekonsekwentny, ale w atmosferze tego domu jest coś niezwykłego.

Telepatia?! Zdumiona, że wyłapał moje myśli, rzuciłam mu tylko pytające spojrzenie, czekając na dalsze słowa. Padły niebawem.

– Wiesz, moja mama spytała mnie dzisiaj, czy nie mam obaw zostawić cię tutaj samej. Nie wyobraża sobie, że jakaś kobieta chciałaby żyć na takiej głuszy...

– Zaśmiał się lekko. – A jednak dało mi to trochę do myślenia. Zastanawiałem się właśnie, czy może przypadkiem tylko dla własnego spokoju nie bagatelizuję niebezpieczeństw?

– I jakie wnioski? – Odzyskałam już głos.

– To dziwne, ale nie boję się o ciebie, choć mam się za odpowiedzialnego człowieka. Właściwie nigdy się nie bałam... dopóki byłeś tutaj. O, kurde, gadam jak oszołom...

– Nie, nie! Mów, proszę, dalej!

– Nie mam nic do dodania. Tak sugestywnie opowiadasz o swoich przeżyciach, że chyba zaczęło mi się to udzielać! – zakpił z samego siebie.

– Mniejsza o te osobliwe historie – powiedziałam, w domyśle mając ich bohaterów, Emę i błędne siostry.

– Faktem jest, że naprawdę czuję się w tym domu bezpieczna. Z tobą i bez ciebie. Ale z tobą jest tu milej.

– Chodź więc do mnie! – Armin rozwarł ramiona.

Zanim to zrobiłam, z ognia wysypały się żywe iskry, a tuż potem niewidzialny gość zapowiedział się tchnieniem na moim karku. Powstrzymałam pragnienie, by się odwrócić. Cokolwiek chowało się za moimi plecami, ucieszyło mnie ponowną wizytą. Bodajże nawet chciałam, by pozostało na dłużej.

Było po siedemnastej, kiedy wyszłam z transu drzemki. Wtulona w mojego mężczyznę, razem pod jednym pledem, nie czułam chłodu, choć w kominku zaledwie się żarzyło. Ostrożnie wysunęłam się z objęć Armina, coś tam zamruczał, ale wkrótce jego oddech na powrót się wyrównał. Reakcja kota, rozłożonego przy jego stopach, była niemal identyczna. Drewniana podłoga zdradliwym skrzypieniem demaskowała moją ucieczkę, pomimo że szłam cichutko, w samych wełnianych skarpetach. Po drodze dorzuciłam drewna do ognia, po czym jeszcze zahaczyłam o kuchnię, by znaleźć coś do picia. Nie chcąc robić hałasu, zamiast kawy na oprzytomnienie nalałam sobie tylko coli. Z napełnioną szklanką w dłoni weszłam na pięterko.

Snuliśmy już plany przebudowy domu, ale na razie wszystko było po staremu. Moim pokojem nadal był dawny, z oknami na zachód, choć częściej

spaliśmy w łóżku Armina. Teraz szłam do siebie, bynajmniej nie w konkretnym celu, raczej popychana tam jakimś przymusem. Za drzwiami pokoju zawahałam się, by już zdecydowanie ruszyć w stronę biurka. Usiadłszy przy nim, najpierw wypiałam kilka łyków coli.

Mój wzrok padł na mosiężną ramkę ze zdjęciem. Uśmiechnęłam się do małej Kingi, a później kolejno do każdej ze sfotografowanych osób. Dzisiaj spozierali na mnie inaczej, bądź ja odkryłam w ich oczach coś, czego przedtem nie dostrzegałam. Tak, było w nich oczekiwanie. Jeżeli kryła się za tym ciekawość losu, to mogłam tylko im życzyć, aby jak najdłużej pozostali w nieświadomości. Nagle w lot zrozumiałam, że nie o to im chodzi i że swoim wnikliwym wzrokiem zdają się wychodzić poza tamten czas. W spojrzeniach moich bliskich, a nawet mnie samej istniał konkretny przekaz dla obecnej Karoli. Pełen zachęty, poparcia i potwierdzenia, że mam w siebie uwierzyć.

W jednej sekundzie pojęłam, jak spełnić ich oczekiwania. Sięgnęłam po pióro, a potem przysunęłam brulion bliżej siebie. Otworzyłam go na pierwszej, dziewiczej stronie, lecz nie od razu ośmieliłam się nanieść na nią słowa. Moje serce kołatało z przejęcia, a chyba też z przerażenia, że nie podołam wyzwaniu.

To nie miała być tylko moja historia, ale wyraźnie czułam, że mam przyzwolenie, żeby ją spisać. Zgodę mojej rodziny, aprobatę domu, który mnie przyjął, może nawet całej polany, gdyż zanim podjęłam się tego zadania, w głowie pojawił się tytuł. Błędne siostry... Bezwiednie dotknęłam wisiora na piersiach.

Nie za wiele spodziewano się po mnie? Chyba jestem szalona, stwierdziłam, skinąwszy głową w stronę fotografii i odkręciłam pióro. Zamyśliłam się, po czym powoli, zdanie po zdaniu, zaczęłam kreślić swoją opowieść:

Można na pozór iść, lecz dreptać tylko w miejscu, można jak skorpion ze strachu przed bólem zabić się własnym jadem. Jakkolwiek wydaje się to dziwne, czasem dopiero cofając się będziemy zdolni ruszyć do przodu. Być może odkryjemy nawet, że choć w cieniu prawdy kryją się lęki, przez jej światło na powrót wnika w nas nadzieja.

